Anna Reid

LENINGRAD

TRAGEDIA OBLĘŻONEGO MIASTA 1941–1944

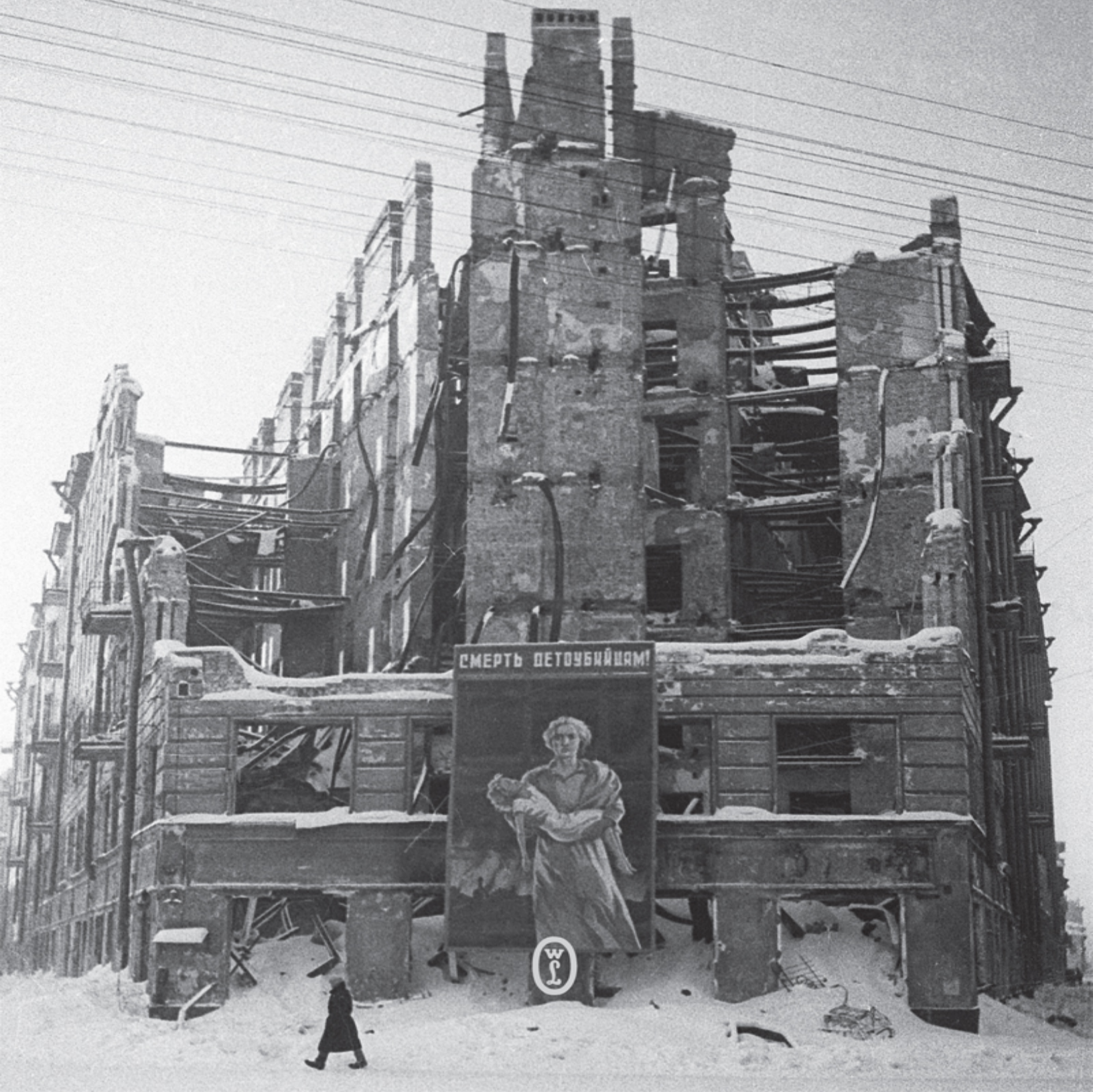

Anna Reid

LENINGRAD

TRAGEDIA OBLĘŻONEGO MIASTA 1941–1944

przełożył
Wojciech Tyszka

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wprowadzenie

CZĘŚĆ I. INWAZJA.
CZERWIEC–WRZESIEŃ 1941

1. 22 czerwca 1941
2. Barbarossa
3. „Nasi biją, a Niemcy biorą”
4. Zaciąg narodowy
5. „Złapani jak mysz w pułapkę”

CZĘŚĆ II. OBLĘŻENIE SIĘ ZACZYNA.
WRZESIEŃ–GRUDZIEŃ 1941

6. „Bez sentymentów”
7. „Do ostatniego tchu”
8. 125 gramów
9. Spadanie przez komin

CZĘŚĆ III. UMIERANIE.
ZIMA 1941–1942

10. Droga Życia
11. Sanie i kokony

12. „Byliśmy jak kamienie”
13. *Swiazi*
14. „Robinson Crusoe był szczęściarzem”
15. Trupożerstwo i ludożerstwo
16. *Anton Iwanowicz jest wściekły*
17. Wielki Dom

CZĘŚĆ IV. CZEKAJĄC NA WYZWOLENIE.
STYCZEŃ 1942–STYCZEŃ 1944

18. Miasnoj Bor
19. Nieśmiała radość życia i oddychania
20. Symfonia Leningradzka
21. Ostatni rok

CZĘŚĆ V. POKŁOSIE

22. Powroty
23. Okruchy pamięci

Dodatek

Bibliografia

Podziękowania

Źródła fotografii

Przypisy

Tytuł oryginału: *Leningrad. Tragedy of a City Under Siege, 1941–44*

Opieka redakcyjna: JOLANTA KORKUĆ
Redakcja: ANNA GABRYŚ
Wybór ilustracji: MARCIN STASIAK
Opracowanie map: ANDRZEJ NAJDER
Korekta: EWA KOCHANOWICZ, PAULINA ORŁOWSKA, DOROTA TRZCINKA
Opracowanie graficzne: ROBERT KLEEMANN
Na okładce wykorzystano zdjęcie z oblężonego Leningradu
© Ria Novosti/EastNews
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Copyright © 2011 by Anna Reid
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2012

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07743-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Edwarda i Bertiego

WPROWADZENIE

Oto opowieść o oblężeniu Leningradu, najstraszliwszej blokadzie miasta w całej historii ludzkości. Leningrad leży nad północno-wschodnią odnogą Morza Bałtyckiego, u początków długiej, płytkiej zatoki oddzielającej południowe brzegi Finlandii od północnego wybrzeża Rosji. Przed rewolucją październikową miasto to było stolicą Imperium Rosyjskiego. Od imienia swojego założyciela – cara Piotra Wielkiego – nosiło wówczas nazwę Sankt Petersburg. Po upadku komunizmu, dwadzieścia lat temu, powrócono do tej nazwy. Dla starszych mieszkańców miasto wciąż pozostaje jednak Leningradem, nawet nie na cześć samego Lenina, lecz ze względu na pamięć o około 750 tysiącach mieszkańców, którzy zginęli z głodu podczas trwającego blisko dziewięćset dni – od września 1941 roku do stycznia 1944 roku – oblężenia miasta przez wojska niemieckie. Niektóre współczesne oblężenia, takie jak blokada Madrytu czy Sarajewa, trwały wprawdzie dłużej, ale żadne z nich nie doprowadziło do śmierci choćby dziesiątej części ofiar z Leningradu. W mieście tym zginęło prawie trzydzieści pięć razy więcej cywilów niż w Londynie w czasie najsilniejszych bombardowań nazistowskich między wrześniem 1940 roku a majem 1941 roku i czterokrotnie więcej niż w Nagasaki i Hiroszimie razem wziętych.

22 czerwca 1941 roku, w letni poranek wybrany przez Hitlera na początek ataku Niemiec na Związek Radziecki, Leningrad wyglądał właściwie tak samo jak przed rewolucją. Mewa krążąca nad pozłacaną iglicą wieży Admiralicji zobaczyłaby ten sam widok co dwadzieścia cztery lata wcześniej: poniżej niespokojną i mętną rzekę Newę i ciągnące się wzdłuż niej parki i pałace; na zachodzie, gdzie Newa uchodzi do morza – długie ramiona stoczniowych dźwigów; na północy zygzakowate zabudowania Twierdzy Pietropawłowskiej oraz równą siatkę ulic na Wyspie Wasiljewskiej; na południu wreszcie – cztery koncentrycznie ułożone ciągi wodne – urokliwą rzekę Mojkę i stateczną

Fontankę, a także pełen chłodnego i klasycznego piękna Kanał Gribojedowa oraz najzupełniej zwyczajny Obwodnyj – a także dwa wspaniałe bulwary – Izmaiłowski i Newski Prospekt – prowadzące w idealnej symetrii aż do dworców kolejowych Warszawskiego i Moskiewskiego i dalej, do leżących na obrzeżach miasta dzielnic przemysłowych znaczonych magazynami i wysokimi kominami fabrycznymi.

Pozory jednak mylą. Choć na zewnątrz miasto nie zmieniło się wyraźnie, to wewnątrz doznało głębokiej transformacji, a wręcz traumy. Historię blokady miasta opowiada się zazwyczaj w filmowym stylu: od sielanki przez tragedię po odzyskaną sielankę. Spokój letniego poranka zaburzony wieściami o niemieckiej napaści, potem mobilizacja mieszkańców, zatrzymanie wroga u bram miasta, długi okres głodu i chłodu, wreszcie ostateczne zwycięstwo i towarzyszący mu wybuch powszechnej radości. Ale rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej. Każdy leningradczyk w wieku powyżej trzydziestu lat w roku 1941 miał już za sobą trzy wojny: pierwszą wojnę światową, wojnę domową pomiędzy bolszewikami a „białymi", która nastąpiła zaraz po niej, a także wojnę zimową z Finlandią z lat 1939–1940, dwa okresy głodu: najpierw podczas wojny domowej, a następnie w wyniku programu kolektywizacji wdrożonego przez Stalina na początku lat trzydziestych XX wieku po brutalnym przejęciu przez państwo wszystkich majątków ziemskich, w końcu dwie wielkie fale terroru politycznego. Trudno było znaleźć w mieście choćby jedną rodzinę, zwłaszcza pośród mniejszości narodowych i dawnego mieszczaństwa, której nie dotknęła strata, uwięzienie bądź wygnanie kogoś bliskiego, a już z pewnością nagłe zubożenie. W ustach ludzi, takich jak poetka Olga Bergholc, córka żydowskiego lekarza, stwierdzenie: „wszyscy odmierzaliśmy czas, licząc odstępy pomiędzy jednym samobójstwem a kolejnym"[1] wcale nie było melodramatyczną przesadą. Oblężenie zatem, choć bezprecedensowe pod względem liczby ofiar śmiertelnych, zyskało wymiar nie tyle jednostkowej tragedii, ile kolejnego mrocznego rozdziału w długim ciągu poprzedzających je nieszczęść i katastrof.

Do blokady doszło przez nieposkromioną pychę zarówno Hitlera, jak i Stalina. W sierpniu 1939 roku obaj przywódcy zadziwili cały świat,

odkładając na bok różnice ideologiczne i podpisując pakt o nieagresji, w którym przewidzieli rozbiór leżącej między ich państwami Polski. Kiedy więc wiosną 1940 roku Hitler zwrócił się przeciwko Francji, Stalin trzymał się z boku, a nawet wspierał sojusznika, w dalszym ciągu dostarczając mu ziarno, wyroby metalowe, gumę i inne niezbędne towary. Dziś już dobrze wiemy, znając zapisy rozmów Stalina z Politbiurem, że spodziewał się on, iż prędzej czy później zostanie wciągnięty w wojnę z Niemcami. Ale termin ataku wojsk hitlerowskich, ochrzczonego mianem planu Barbarossa („Rudobrody", od przydomku Fryderyka I, cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego i organizatora jednej z krucjat), był dla niego całkowitym zaskoczeniem, wręcz druzgocącym ciosem. Nową, słabo bronioną granicę przebiegającą przez terytorium Polski oddano niemal natychmiast, a po zaledwie kilku tygodniach spanikowana Armia Czerwona musiała bronić najważniejszych miast głęboko na obszarze samej Rosji.

Główną ofiarą tego braku przygotowania padł właśnie Leningrad. Bezpośrednio przed wybuchem wojny liczył nieco ponad trzy miliony mieszkańców. W ciągu dwunastu tygodni, które upłynęły do połowy września 1941 roku, kiedy wojska niemieckie i fińskie całkowicie odcięły miasto od reszty kraju, około pół miliona leningradczyków powołano do wojska bądź ewakuowano. W mieście pozostało więc uwięzionych trochę ponad dwa i pół miliona cywilów, z czego co najmniej czterysta tysięcy dzieci. Głód nadszedł niemal natychmiast, a w październiku milicja zaczęła zgłaszać przypadki znalezienia na ulicy skrajnie wychudzonych zwłok. W grudniu liczba zgonów wzrosła czterokrotnie, by osiągnąć szczyt w styczniu i lutym, kiedy w ciągu miesiąca umierało prawie sto tysięcy ludzi. Do końca zimy – tego roku wyjątkowo mroźnej nawet jak na warunki rosyjskie – temperatura spadała w niektóre dni poniżej minus trzydziestu stopni Celsjusza, a głód i wyziębienie doprowadziły do śmierci około pół miliona mieszkańców. I właśnie na tych miesiącach, naznaczonych masowymi zgonami (przez rosyjskich historyków określanych jako „okres heroiczny"), skupiłam się w mojej książce. Kolejne dwie zimy w oblężeniu przyniosły już wyraźnie mniej ofiar śmiertelnych, po pierwsze dlatego, że było coraz mniej ludzi do

wyżywienia, po drugie zaś wytyczono szlak zaopatrzenia w żywność przez jezioro Ładoga – leżące na wschód od Leningradu „wewnętrzne morze", którego południowo-wschodnie brzegi wciąż pozostawały pod kontrolą Armii Czerwonej. W wyniku zaciekłych walk Rosjanom udało się w styczniu 1943 roku przebić korytarz lądowy z miasta i przeprowadzono tam linię kolejową. Mimo to umieralność w dalszym ciągu utrzymywała się na bardzo wysokim poziomie, a łączna liczba ofiar śmiertelnych do stycznia 1944 roku, kiedy to Wehrmacht ostatecznie rozpoczął rozwleczony w czasie odwrót, sięgnęła siedmiuset albo i ośmiuset tysięcy, czyli od jednej czwartej do jednej trzeciej całej populacji miasta przed oblężeniem.

Warto odnotować, że oblężeniu Leningradu nie poświęcono zbyt wiele uwagi na Zachodzie. Najbardziej znana pozycja popularnonaukowa o tym wydarzeniu, autorstwa moskiewskiego korespondenta dziennika „New York Times" Harrisona Salisbury'ego, ukazała się w roku 1969. Historycy drugiej wojny światowej skupiali uwagę raczej na bitwach o Stalingrad czy Moskwę, choć to właśnie Leningrad był pierwszym miastem, którego Hitler nie zdołał opanować. A przecież upadek tego miasta oddałby w ręce Niemców największe fabryki broni, stocznie i stalownie w całym Związku Radzieckim, pozwoliłby połączyć siły z wojskami fińskimi, wreszcie umożliwiłby odcięcie linii kolejowych, którymi transportowano aliancką pomoc z arktycznych portów Archangielsk i Murmańsk. W świadomości ludzi Zachodu oblężenie Leningradu gubi się jednak zupełnie w mrocznej otchłani frontu wschodniego – pustej, pokrytej śniegiem przestrzeni przemierzanej przez kolejne fale niedożywionych i źle wyposażonych rekrutów Armii Czerwonej, desperacko nacierających w kierunku zmasowanego ognia niemieckich karabinów maszynowych. Smutnym tego potwierdzeniem może być przekonanie wyrażane przez wielu moich przyjaciół, że Leningrad (położony nad Bałtykiem) i Stalingrad (trzy razy mniejszy, leżący blisko obecnej granicy z Kazachstanem i noszący dziś nazwę Wołgograd) to jedno i to samo miasto.

Nieco inaczej, choć równie niejednoznacznie, patrzy się zresztą także na Niemców, których działania na froncie wschodnim jeszcze do

niedawna kojarzyły się bardziej z porażkami o charakterze militarnym niż z okrucieństwem i potwornościami wojny. Miliony dzisiejszych Niemców wciąż muszą żyć ze świadomością, że ich ojciec czy dziadek był członkiem partii nazistowskiej, ale też miliony innych miały ojców czy dziadków walczących na froncie wschodnim. O ileż łatwiej jest ich pamiętać ginących z głodu bądź odmrożeń, przerażonych i zmuszonych do niewolniczej pracy w radzieckich obozach jenieckich (niemal 40 procent z 3,2 miliona żołnierzy państw Osi schwytanych przez Sowietów zmarło w niewoli)[2], niż widzieć ich palących wsie, odbierających chłopom żywność i ubrania czy wysiedlających i rozstrzeliwujących Żydów. Zresztą, w ostatecznym rachunku ofiar tragedia Leningradu w kategoriach winy i okrucieństwa i tak musi ustąpić pierwszeństwa Holokaustowi. Tak to ujął jeden z niemieckich historyków: „Mówiąc cynicznie, mamy w naszej historii tak wiele problematycznych aspektów, że konieczny jest tu jakiś wybór”[3]. Spacerując po urokliwej średniowiecznej starówce Fryburga Bryzgowijskiego, miasta, w którym zgromadzono niemieckie archiwa wojskowe, napotyka się osadzone w płytach chodnikowych w nieregularnych odstępach niewielkie mosiężne tabliczki z wyrytymi nazwiskami i datami. Upamiętniają one domy, z których wywieziono mieszkańców do obozów koncentracyjnych. Leningradzkie kobiety i dzieci, choć prześladowane z równą stanowczością przez ten sam reżim, nie doczekały się podobnego upamiętnienia, a jeszcze do niedawna ich cierpienia w ogóle z trudem przebijały się do powszechnej świadomości.

Innym powodem, dla którego o oblężeniu pisano tak niewiele, były starania Sowietów, by uniemożliwić poznanie całej prawdy o tym wydarzeniu. Jeszcze podczas wojny panowała wszechobecna cenzura. Nawet Rosjanie spoza pierścienia oblężenia, a co dopiero ludzie z Zachodu, mieli niewielkie pojęcie o warunkach panujących w mieście. W radzieckich wiadomościach radiowych mówiono o „trudnościach” i „brakach”, ale nigdy o głodzie, mieszkańcy Moskwy zaś ze zdumieniem i przerażeniem słuchali opowieści przekazywanych im prywatnie przez przyjaciół, którym udało się uciec z Leningradu przez

jezioro Ładoga. Za to brytyjskie i amerykańskie media bezkrytycznie powtarzały doniesienia radzieckich agencji informacyjnych. Kiedy początkowa faza walk o miasto weszła w militarny impas, zamarły też bezpośrednie relacje reporterów BBC, a rok później w londyńskim „Timesie" pojawiło się doniesienie o utworzeniu wąskiego korytarza lądowego, pełne głębokich, choć nieświadomych niedomówień. Czytelnicy mogli się zatem dowiedzieć, że położenie leningradczyków, którzy w trakcie pierwszej zimy w oblężeniu cierpieli „straszliwe niedostatki", teraz, z nadejściem wiosny, „z miejsca uległo poprawie"[4]. Równie mizernie byli poinformowani oficjalni przedstawiciele sił aliantów. Pewien członek Brytyjskiej Misji Wojskowej w Moskwie, młody wówczas kapitan marynarki wojennej, wspomina, że jego jedynym źródłem informacji o rzeczywistych warunkach panujących w mieście była aktorka i przyjaciółka, która zdołała dostarczyć żywność swoim pozostającym w oblężeniu rodzicom, wybłagawszy miejsce w samolocie jakiegoś generała[5].

Już po wojnie rząd radziecki przyznał, że w mieście wystąpiło zjawisko głodu na skalę masową, a podczas procesów norymberskich podał uderzająco dokładną, acz nieprawdziwą liczbę ofiar śmiertelnych – 632 253 osoby. Jednak jakikolwiek zgodny z rzeczywistością opis okropieństw w oblężonym Leningradzie miał wciąż pozostać niedostępny dla opinii publicznej, podobnie zresztą zabronione były wszelkie dyskusje o tym, dlaczego w ogóle wojska niemieckie przedarły się tak daleko i dlaczego do miasta nie dostarczono więcej zapasów żywności i nie ewakuowano zeń większej liczby cywilów, zanim pierścień oblężenia został domknięty. Granice tego, co dozwolone, zawęziły się jeszcze bardziej po nastaniu zimnej wojny oraz po zarządzonych przez Stalina dwóch kolejnych czystkach w roku 1949. Pierwsza z nich, przeprowadzona w tajemnicy, dosięgła leningradzkich przywódców wojennych i tamtejszą organizację partyjną. Druga przebiegała pod hasłem walki z „kosmopolityzmem" (jak umownie określano pochodzenie żydowskie albo ogólnie ciągoty prozachodnie) i poczyniła spustoszenie pośród kadry naukowej i wysoko wykwalifikowanych przedstawicieli wolnych zawodów w mieście. W tym samym roku jeden z bliskich współpracowników Stalina,

Gieorgij Malenkow, odwiedził popularne w mieście Muzeum Obrony Leningradu, w którym znajdowały się domowej roboty lampy, odtworzony wojenny punkt racjonowania żywności (wraz z dwiema cieniutkimi kromkami ówczesnego wyrobu chlebopodobnego), a także różnego rodzaju zdobyte na Niemcach uzbrojenie i wyposażenie wojskowe. Przechadzając się z wściekłością po salach i potrząsając trzymanym w ręku przewodnikiem, Malenkow miał ponoć wykrzyknąć: „Z tego wynika, że Leningrad spotkał jakiś specjalny los związany z «blokadą»! To minimalizuje rolę wielkiego Stalina!", a następnie zarządził zamknięcie muzeum. Jego dyrektora oskarżono o „gromadzenie amunicji w celu przygotowywania aktów terrorystycznych" i skazano na dwadzieścia pięć lat łagrów[6].

Wraz ze śmiercią Stalina (1953) i dojściem do władzy Nikity Chruszczowa zaistniała wreszcie możliwość podjęcia badań nad innymi aspektami wojny niż geniusz wojskowy Wielkiego Przywódcy. Na fali tej „odwilży" pojawił się słynny, choć początkowo tajny, referat Chruszczowa, potępiający kult jednostki, którym otaczano Stalina, oraz partyjne czystki, wydano demaskatorską książkę Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, a także otwarto w roku 1960 pierwszą placówkę upamiętniającą zmarłych w Leningradzie cywilów. Na jej siedzibę wybrano cmentarz Piskariowski na północno-wschodnich obrzeżach miasta, gdzie znajduje się największa liczba masowych grobów z czasów wojny. Następca Chruszczowa, Leonid Breżniew, poszedł o krok dalej, czyniąc oblężenie jedną z podwalin nowego kultu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, co miało być sposobem na odwrócenie uwagi od stagnacji politycznej i pogarszających się warunków życia w kraju. W tej wersji historii leningradczycy z ofiar wojennej klęski stawali się głównymi bohaterami heroicznej epopei narodowej. Owszem, umierali wprawdzie z głodu, ale w milczeniu i z godnością, ufając swoim przywódcom i chętnie oddając życie w obronie kolebki rewolucji. Nikt się nie uskarżał, nie uchylał od pracy, nie obchodził systemu racjonowania żywności, nie brał łapówek ani nie chorował na czerwonkę. A już z całą pewnością nikt, poza kilkoma faszystowskimi szpiegami, nie liczył na ewentualne zwycięstwo Niemców.

Po upadku komunizmu przed dwudziestu laty można było w końcu – wedle słów jednego z rosyjskich historyków – „zetrzeć grubą warstwę lukru". Otwarto archiwa rządowe, udostępniając między innymi wewnętrzne materiały partyjne, raporty sił bezpieczeństwa dotyczące przestępczości, nastrojów społecznych czy działań różnych agend rządowych, akta procesowe więźniów politycznych, meldunki oficerów politycznych z frontu, a także zapisy rozmów telefonicznych między władzami Leningradu a Kremlem. Pisma literackie rozpoczęły publikowanie nieocenzurowanych wspomnień i dzienników z czasów oblężenia, gazety codzienne zaś przeprowadzały szczere wywiady z wciąż przepełnionymi goryczą weteranami Armii Czerwonej i cywilami, którzy przeżyli blokadę miasta. Wreszcie, po raz pierwszy, upubliczniono mnóstwo fotografii z oblężonego Leningradu, ukazujących nie radosne komsomołki z łopatami na ramieniu, lecz wychudzone dzieci o patykowatych nóżkach i wzdętych brzuchach albo stosy leżących w bezładzie nagich zwłok ludzkich.

Nasza wiedza na ten temat jest niewystarczająca, gdyż wciąż część dokumentów pozostaje objęta klauzulą tajności, inne zniszczono podczas powojennych czystek, ale wyraźnie widać, że ten nowy materiał nie pozostawia suchej nitki na propagowanej przez Breżniewa ckliwej wersji oblężenia. To prawda, leningradczycy wykazywali się nadzwyczajną wytrzymałością, bezinteresownością i odwagą, ale równocześnie kradli, mordowali, porzucali najbliższych, a nawet uciekali się do jedzenia ludzkiego mięsa, co zresztą zdarza się we wszystkich społecznościach będących w skrajnym stadium głodu. Prawdą jest również, że ówczesne władze usilnie starały się bronić miasto i ochraniać ludność, wymyślając przeróżne „dodatki" do żywności czy też ustanawiając szlaki zaopatrzenia i ewakuacji mieszkańców przez zamarznięte jezioro Ładoga. Z drugiej strony, te same władze wielokrotnie dopuściły się nieuzasadnionego zwlekania, zaniechania, narażania życia własnych żołnierzy przez wysyłanie ich do walki bez należytego wyszkolenia i uzbrojenia, zagarniania zapasów dla wysokiej rangi aparatczyków kosztem głodującej reszty mieszkańców, a wreszcie dokonywania tysięcy bezsensownych aresztowań i egzekucji. Jak zauważa historyk sowieckiego Gułagu Anne Applebaum, łagry

znajdowały się wprawdzie na uboczu, ale jednocześnie stanowiły jakby mikrokosmos życia w całym Związku Radzieckim. Odtwarzały one „brakoróbstwo, rządziła [nimi] taka sama złodziejska, głupia biurokracja, panoszyła się korupcja, a ludzkie życie otoczone było pogardą”[7]. Podobne uwagi można sformułować w stosunku do Leningradu z okresu oblężenia – sytuacja w mieście nie tylko nie odstawała od tej panującej w innych częściach Związku Radzieckiego, ale Leningrad wręcz skupiał wszystkie te doświadczenia w maksymalnie skoncentrowanej miniaturze. Pisząc tę książkę, nie starałam się udowodnić, że do zjawiska masowego głodu w mieście w równym stopniu co Hitler przyczynił się także Stalin. Próbowałam pokazać, że przy innych władzach i lepszym kierownictwie liczba ofiar śmiertelnych zarówno wśród cywilów, jak i żołnierzy mogła być o wiele mniejsza.

Dla niemałej liczby Rosjan taka konkluzja jest trudna do zaakceptowania. W dwudziestowiecznej historii Rosji nie ma wielu momentów nadających się do opiewania i świętowania, a zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami z całą pewnością może być źródłem narodowej dumy i uczuć patriotycznych. Kiedy Władimir Putin, podobnie jak wcześniej Breżniew, urządza pełne rozmachu wojenne uroczystości rocznicowe, znajduje nader ciepły i pozytywny oddźwięk społeczny. Dochodzi tu do głosu również pewien element taktownej autocenzury: heroiczna wersja propagowana przez Breżniewa poza stawianiem w korzystnym świetle reżimu komunistycznego pomagała też ocalałym z oblężonego Leningradu uporać się z ich traumatycznymi przeżyciami[8]. Niełatwe, a nawet okrutne, wydaje się zatem publiczne podważanie narracji dzielnej starszej kobiety, która zgodziła się udzielić wywiadu i opowiedzieć o wspierających się nawzajem sąsiadach, matkach poświęcających się dla swoich dzieci albo o wspaniałej opiece w szpitalu dla ewakuowanych z miasta cywilów. Ona przecież nie głosi żadnej propagandy ani nie buduje żadnego mitu, lecz po prostu odwołuje się do takiej wersji przeszłości, z którą łatwiej żyć. Paradoksalnie, publiczna dyskusja o oblężeniu może stać się bardziej szczera wówczas, gdy umrą już ostatni „blokadnicy”.

Ostatecznym celem tej opowieści o oblężeniu Leningradu nie jest jednak zwrócenie uwagi na przeoczone dotąd okropności, zdemaskowanie sowieckiej propagandy czy dodanie kolejnych punktów do długiej listy przewin wielkich dyktatorów. Jest nim natomiast, podobnie jak w przypadku wszystkich opowieści o ludziach w sytuacjach ekstremalnych, uświadomienie sobie, co tak naprawdę oznacza bycie człowiekiem oraz jakiego dna i jakich wyżyn może sięgnąć ludzkie zachowanie. Najłatwiej jest się nam odnosić do tych ofiar oblężenia, które najwięcej o nim opowiadają – autorów dzienników i wspomnień, których relacje stanowią zrąb tej książki. Nie są to bezimienni ubodzy chłopi z drugiego końca świata, lecz dobrze wykształceni Europejczycy z wielkiego miasta – pisarze, artyści, wykładowcy uniwersyteccy, bibliotekarze, kustosze muzeów, przedsiębiorcy, księgowi, emeryci, a także gospodynie domowe, studenci i młodzież szkolna; dobrze ubrani właściciele gramofonów, zwierzątek domowych, czytający ulubione powieści – jednym słowem ludzie tacy jak my. Niektórzy z nich okazali się bohaterami, inni byli samolubni i bezduszni, ale większość zachowywała się raz tak, raz tak. Jak to ujęła pewna autorka pamiętnika, opisując przedstawicieli partii przewijających się w owych czasach przez jej szpital wojenny, „Byli tam i dobrzy, i źli, i zwyczajni". Ich własne słowa są najlepszym świadectwem tamtych wydarzeń.

Brockagh, kwiecień 2010

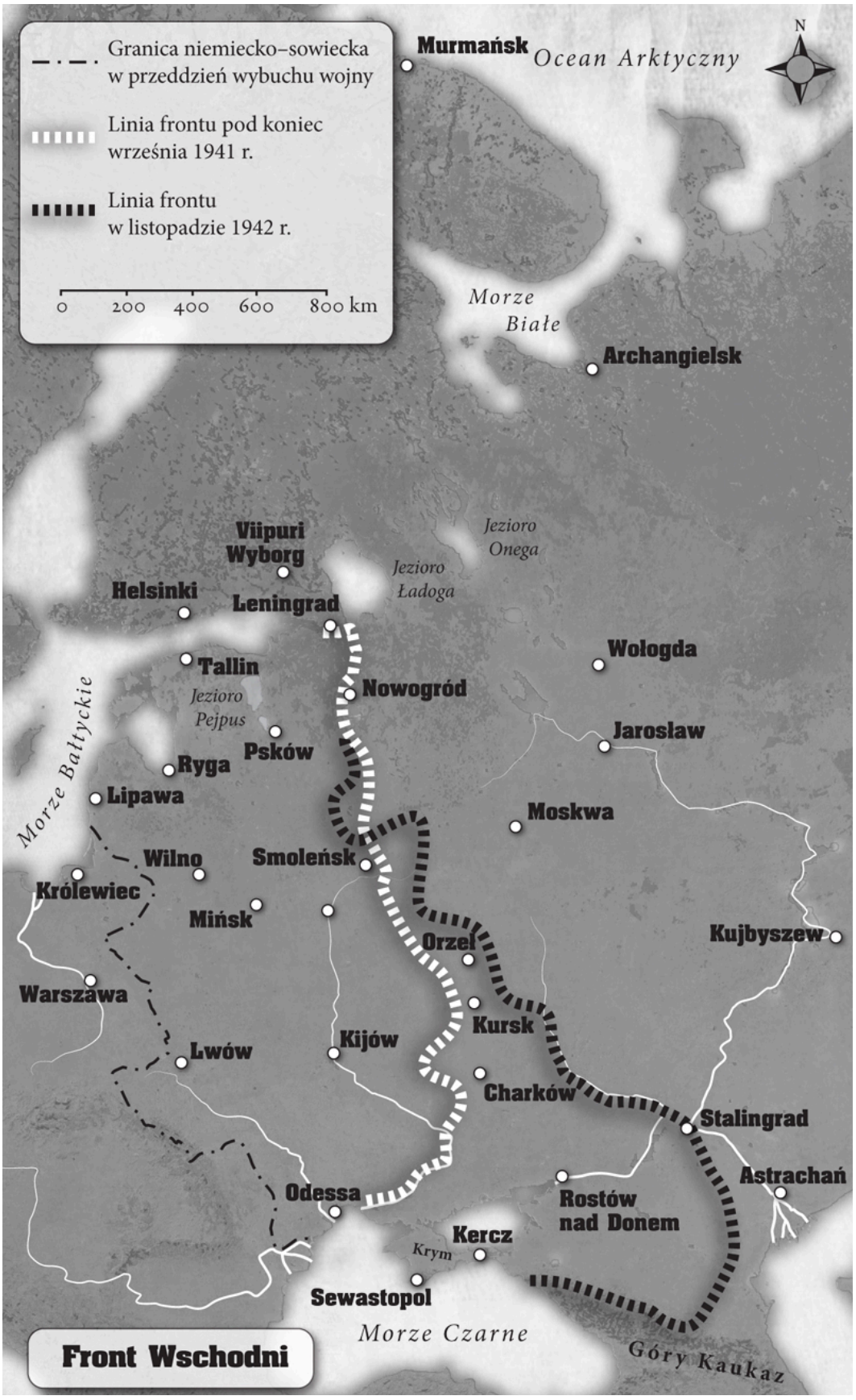
Granica niemiecko–sowiecka w przeddzień wybuchu wojny
Linia frontu pod koniec września 1941 r.
Linia frontu w listopadzie 1942 r.
0 200 400 600 800 km
N
Murmańsk
Ocean Arktyczny
Morze Białe
Archangielsk
Viipuri
Wyborg
Jezioro Onega
Jezioro Ładoga
Helsinki
Leningrad
Wołogda
Tallin
Nowogród
Jezioro Pejpus
Jarosław
Psków
Ryga
Morze Bałtyckie
Lipawa
Moskwa
Wilno
Smoleńsk
Królewiec
Mińsk
Orzeł
Kujbyszew
Warszawa
Kursk
Kijów
Lwów
Charków
Stalingrad
Astrachań
Odessa
Rostów nad Donem
Kercz
Krym
Sewastopol
Morze Czarne
Góry Kaukaz
Front Wschodni

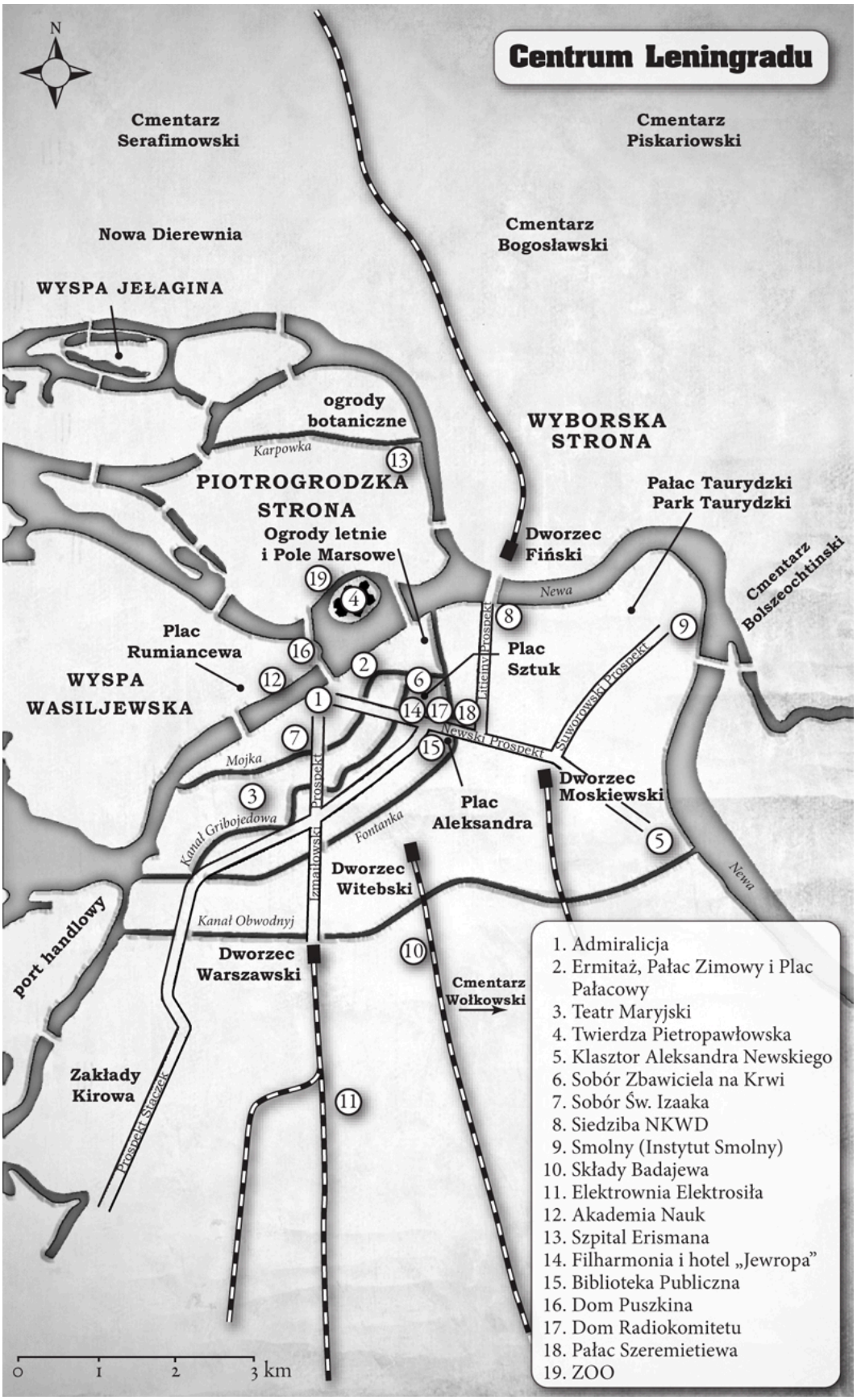
Centrum Leningradu
N
Cmentarz Serafimowski
Cmentarz Piskariowski
Nowa Dierewnia
Cmentarz Bogosławski
WYSPA JEŁAGINA
ogrody botaniczne
Karpowka
WYBORSKA STRONA
PIOTROGRODZKA STRONA
Pałac Taurydzki
Park Taurydzki
Ogrody letnie i Pole Marsowe
Dworzec Fiński
Newa
Cmentarz Bolszeochtinski
Plac Rumiancewa
WYSPA WASILJEWSKA
Plac Sztuk
Litejny Prospekt
Suworowski Prospekt
Newski Prospekt
Mojka
Prospekt
Dworzec Moskiewski
Plac Aleksandra
Kanał Gribojedowa
Fontanka
Iznaiłowski
Dworzec Witebski
Kanał Obwodnyj
port handlowy
Dworzec Warszawski
Cmentarz Wołkowski
Zakłady Kirowa
Prospekt Staczek
0 1 2 3 km
1. Admiralicja
2. Ermitaż, Pałac Zimowy i Plac Pałacowy
3. Teatr Maryjski
4. Twierdza Pietropawłowska
5. Klasztor Aleksandra Newskiego
6. Sobór Zbawiciela na Krwi
7. Sobór Św. Izaaka
8. Siedziba NKWD
9. Smolny (Instytut Smolny)
10. Składy Badajewa
11. Elektrownia Elektrosiła
12. Akademia Nauk
13. Szpital Erismana
14. Filharmonia i hotel „Jewropa”
15. Biblioteka Publiczna
16. Dom Puszkina
17. Dom Radiokomitetu
18. Pałac Szeremietiewa
19. ZOO

CZĘŚĆ I

—

INWAZJA

czerwiec–wrzesień 1941

Można by rzec, że katastrofy wyjątkowo pasują do Leningradu… Ta zimna rzeka, te groźne zachody słońca, ten przerażający księżyc niczym z teatralnej scenografii.

Anna Achmatowa[1]

1. 22 CZERWCA 1941

Sześćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od miasta zwanego kiedyś Leningradem dociera się do działek nazywanych przez Rosjan daczami: zielonych nieuprawianych pól usianych małymi jeziorkami, poprzecinanych szutrowymi wiejskimi drogami obsadzonymi sosnami o rdzawobrązowej korze. Pośród nich majaczą zniszczone przez czas drewniane domki letnie z zapadającymi się werandami i przeszklonymi gankami. W niedzielny poranek 22 czerwca 1941 roku Dmitrij Lichaczow, trzydziestopięcioletni pracownik naukowy specjalizujący się w średniowiecznej literaturze rosyjskiej, zażywał kąpieli słonecznej w towarzystwie żony i córek na piaszczystym i pełnym jaskółek brzegu rzeki Oredeż:

„Brzeg był stromy, a wzdłuż niego, powyżej naszej plaży, prowadziła wąska dróżka. Pewnego dnia, siedząc na piasku, usłyszeliśmy strzępy przerażającej rozmowy. Dróżką szli wczasowicze i rozmawiali o bombardowaniu Kronsztadu, a także o tym czy innym samolocie. Początkowo zastanawialiśmy się, czy nie wspominają czasem kampanii fińskiej z roku 1939, ale zaniepokoiły nas ich podniecone głosy. Kiedy wróciliśmy na daczę, powiedziano nam, że właśnie wybuchła wojna".

W samo południe Lichaczowowie wraz z innymi wczasowiczami zgromadzili się wokół ustawionego na zewnątrz głośnika, by wysłuchać oficjalnego obwieszczenia o wojnie. Z głośnika przemawiał nie Stalin, lecz komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow. „Mężczyźni i kobiety, obywatele Związku Radzieckiego – zaczął swoje przemówienie – dzisiaj o godzinie 4 rano wojska niemieckie, nie wysuwając uprzednio żadnych żądań wobec Związku Radzieckiego, nie wypowiadając mu wojny, napadły na nasz kraj". Dalej w tekście przemówienia pojawiła się nuta zdumienia i krzywdy: „Dokonano jej [napaści], nie zważając na fakt, że ZSRR i Niemcy zawarły pakt o nieagresji i że Rząd Radziecki z najdalej idącą skrupulatnością wypełniał wszystkie postanowienia tego paktu". Na zakończenie

nastąpiło dodające otuchy wezwanie: „Sprawa nasza jest słuszna. Wróg będzie rozgromiony. Zwycięstwo będzie do nas należeć". Po zakończeniu transmisji „wszyscy posmutnieli i zapadło milczenie... Po *Blitzkriegu* Hitlera w Europie nikt się nie łudził, że będzie dobrze"[2].

W podobny sposób spokojny letni weekend został zakłócony w całym Leningradzie. W swoim mieszkaniu w centrum miasta, nieopodal pałacu Taurydzkiego, wzniesionego dla księcia Potiomkina, Jelena Skriabina wstała wcześnie, by zdążyć coś przepisać na maszynie przed planowanym wyjazdem za miasto. Poranne słońce, rześkie powietrze wpadające przez okno, odgłosy niani uciszającej za drzwiami jej pięcioletniego syna Jurę, wszystko to wywoływało w niej „cudowne uczucie zadowolenia i radości". Jej starszy syn, czternastoletni Dima, wyszedł z domu wczesnym rankiem wraz z kolegą, by zdążyć na moment uruchomienia fontann przy wspaniałym barokowym pałacu Peterhof, położonym nad Zatoką Fińską. O godzinie dziewiątej rano z fabryki zadzwonił do niej mąż, który poruszonym i tajemniczo brzmiącym głosem nakazał jej pozostanie w domu i włączenie radia. W południe Jelena i jej matka wysłuchały przemówienia Mołotowa. „A zatem wojna! Niemcy już przystąpiły do bombardowań radzieckich miast. Słowa Mołotowa były pozbawione zdecydowania, jakby brakowało mu tchu. Jego mobilizujące i uduchowione apele wydawały się nie na miejscu. I wtedy nagle zdałam sobie sprawę z faktu, że zawisło nad nami coś złowieszczego i przytłaczającego". Po zakończeniu transmisji Jelena wyszła na zewnątrz, gdzie zastała tłumy ludzi rozpychających się w pośpiechu, by dotrzeć do sklepów i „wykupić wszystko, co tylko było na półkach".

„Wielu spieszyło do banków, by wycofać swoje oszczędności. Ogarnęła mnie ta sama panika, więc ja też pobiegłam wyjąć ruble zgromadzone na mojej książeczce. Ale było już za późno. W banku zabrakło pieniędzy. Wypłaty wstrzymano. Ludzie głośno domagali się pieniędzy. Upał czerwcowego dnia był nieznośny. Ktoś zemdlał. Ktoś inny gwałtownie przeklinał. Dopiero pod wieczór wszystko jakoś dziwnie się uspokoiło"[3].

O godzinie jedenastej tego samego ranka Jurij Riabinkin, chudy piętnastolatek z grzywką „pod garnek" i wielkimi ciemnymi oczami,

szedł ulicą Sadową na zawody szachowe dla młodzieży odbywające się w ogrodach pałacu Pionierów (dawniej pałacu Aniczkowa) tuż obok mostu Aniczkowa. Jak zauważył, mijani milicjanci mieli przy sobie maski przeciwgazowe, a na ramionach czerwone opaski, co – jak zakładał – było elementem zwykłych ćwiczeń obrony cywilnej. Jednak gdy już rozstawiał swoje figury na szachownicy, spostrzegł, że wokół stojącego w pobliżu chłopca gromadzi się tłum. „Nadstawiłem uszu i… zamarłem. «Wczoraj o czwartej w nocy był nalot niemieckich bombowców na Kijów, Żytomierz, Sewastopol i jeszcze gdzieś» – z ożywieniem mówił chłopak. Mołotow przemawiał przez radio. Mamy teraz wojnę z Niemcami! (…) Miałem okropny mętlik w głowie. Nic nie rozumiałem. Rozegrałem trzy partie. Dziwne, wszystkie trzy wygrałem i powlokłem się do domu". Po kolacji Jurij wyszedł pokręcić się po zatłoczonych i pełnych napięcia ulicach, stał też dwie i pół godziny w kolejce po gazetę (wysłuchując „ciekawych rozmów" i „sceptycznych uwag"), zanim ogłoszono, że żadnych gazet nie będzie, za to ukaże się „jakiś oficjalny komunikat". Późnym wieczorem w swoim dzienniku Riabinkin napisał z charakterystyczną dla nastolatka pretensjonalnością: „Na zegarze – wpół do dwunastej. Zaczęła się decydująca, poważna walka, starły się dwa antagonistyczne ustroje: socjalizm i faszyzm! Od wyniku tej wielkiej walki historycznej zależy szczęście ludzkości"[4].

Teoretycznie leningradczycy powinni być lepiej niż ktokolwiek inny w państwie radzieckim przygotowani do drugiej wojny światowej czy też – jak określa się ją w Rosji – Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, gdyż całkiem niedawno mieli okazję z bliska obserwować jej preludium. W wyniku niemiecko-radzieckiego paktu o nieagresji z sierpnia 1939 roku Związek Radziecki przystąpił do okupacji nie tylko wschodnich terytoriów Polski, ale także – w czerwcu 1940 roku – państw bałtyckich położonych na zachód od Leningradu, jak również usianych setkami jezior południowych krańców Finlandii, leżących bezpośrednio na północ od miasta.

Szczególnie wojna zimowa z Finlandią mogła dać im przedsmak tego, co ich wkrótce czekało. Rozpoczęta 30 listopada 1939 roku, trzy miesiące po najechaniu na Polskę, miała być wedle oczekiwań samych

Rosjan bardzo krótka. „[Myśleliśmy, że] wystarczy tylko, żebyśmy nieco podnieśli głos – wspominał Chruszczow – a Finowie posłusznie się dostosują. A gdyby to nie poskutkowało, mieliśmy raz wystrzelić, a oni wtedy podnieśliby ręce do góry i poddali się”[5]. W rzeczywistości wojna przyniosła Rosjanom upokorzenie. Pomimo ogromnej dysproporcji sił – populacja Finlandii wynosiła wówczas 3,7 miliona wobec prawie 200 milionów ludności Związku Radzieckiego – Finowie stawili zaciekły opór, zmuszając Rosjan do zaangażowania w wojnę ogromnej liczby wojsk. Kiedy wreszcie Związek Radziecki zmusił Finlandię do poddania się, 12 marca 1941 roku, anektując przy tym jej drugie pod względem wielkości miasto Viipuri (obecnie rosyjski Wyborg), a także cały przesmyk między Zatoką Fińską a jeziorem Ładoga, ceną stało się 127 tysięcy ofiar wśród czerwonoarmistów. Pogłoski wyciekające ze szpitali wojskowych były dla leningradczyków pierwszymi oznakami słabości armii radzieckiej, zarówno pod względem dowodzenia, jak i wyposażenia czy wyszkolenia. Żołnierzom brakowało broni, amunicji, zimowych ubrań czy choćby kamuflażu („Trudno było o lepszy cel” – wspominał jeden z fińskich pilotów myśliwca, mając na myśli kolumnę wojska przecinającą zamarznięte jezioro. „Rosjanie nie mieli na sobie nawet białych kurtek”). Przede wszystkim jednak w Armii Czerwonej brakowało dobrych oficerów, a to za sprawą samego Stalina i jego paranoicznej kampanii wymierzonej w siły zbrojne podczas niedawnego Wielkiego Terroru, w wyniku której zostały one bardzo poważnie okaleczone. W latach 1937–1939 aresztowano niewiarygodną liczbę 40 tysięcy oficerów, z czego około 15 tysięcy rozstrzelano. Pośród nich znalazło się 3 z 5 marszałków Związku Radzieckiego, 15 z 16 dowódców armii, 60 z 67 dowódców korpusów, 136 ze 169 dowódców dywizji oraz 15 z 25 admirałów. Wśród ocalałych (z których 44 procent nie ukończyło nawet szkoły średniej) byli przede wszystkim ślepo posłuszni weterani wojny domowej albo pospiesznie awansowani młodzicy, zbyt bojący się sądu wojennego i plutonu egzekucyjnego, by ryzykować podejmowanie jakichkolwiek własnych inicjatyw czy dostosowywanie rozkazów do zmieniających się okoliczności[6]. Błędy popełniane podczas wojny zimowej były później powtarzane z taką dokładnością w trakcie pierwszych pięciu miesięcy niemieckiej inwazji,

że z perspektywy czasu ta pierwsza kampania może się wręcz wydawać jedynie rozgrzewką przed zasadniczą próbą sił. Z całą pewnością taka właśnie była perspektywa Finów; wciąż zresztą określają oni drugą wojnę światową – w trakcie której pomagali wprawdzie oblegać Leningrad, ale odmówili bezpośredniego ataku na miasto – „wojną kontynuacyjną".

W praktyce jednak dla leningradczyków, podobnie zresztą jak dla większości zwykłych Rosjan, pierwsze dwadzieścia dwa miesiące drugiej wojny światowej wydawały się raczej czymś odległym. „Gdzieś w Europie toczyła się wojna – wspominał jeden z mieszkańców Leningradu – i to już od kilku lat... Tylko co z tego? Przejmowanie się wydarzeniami międzynarodowymi, okazywanie – jak to określano – «niezdrowych emocji» uznawano za wielce niestosowne..."[7]. O ile Finowie bronili się zawzięcie, o tyle kampanie w Polsce oraz w krajach bałtyckich okazały się dla Rosjan szybkie i łatwe. Triumfalny marsz Hitlera przez Francję i Holandię wiosną 1940 roku głęboko poruszył zorientowanych w sprawach Zachodu intelektualistów, takich jak poetka Anna Achmatowa, która w niepublikowanych wierszach opłakiwała upadek Paryża i bombardowania Londynu. Większość ludzi w Związku Radzieckim jednak wierzyła w to, co mogła usłyszeć z ulicznych głośników, wyczytać w zamieszczanych na tablicach ogłoszeniach czy dowiedzieć się od agitatorów na niekończących się zebraniach w pracy. Wedle tych doniesień kapitaliści rzucili się sobie do gardeł, a Związek Radziecki stał z boku, gotów skwapliwie skorzystać z okazji i pozbierać zostawione resztki. Mimo że – jak sądzono – pakt z Hitlerem miał charakter jedynie tymczasowy, ewentualna wojna z nim byłaby toczona na niemieckiej ziemi i zakończyłaby się wkrótce po jej rozpoczęciu, a to na skutek rewolucji proletariackiej w samych Niemczech. Robotnicy w Leningradzkich Zakładach Metalowych, dowiedziawszy się o niemieckim ataku, wykrzykiwali: „Nasze wojska ich zmiażdżą, w tydzień będzie po wszystkim. Nie, nie w tydzień – musimy przecież dojść do Berlina. To zajmie trzy–cztery tygodnie"[8]. Nawet wyrobieni obserwatorzy, potrafiący prawidłowo ocenić kwietniową inwazję Hitlera na Jugosławię (z pogwałceniem radziecko-jugosłowiańskiego paktu o przyjaźni) oraz mowy ostrzegawcze

Churchilla, byli wstrząśnięci, kiedy to, czego się obawiali, rzeczywiście stało się faktem. Wedle słów filolożki klasycznej Olgi Fridenberg, ciotecznej siostry Borisa Pasternaka, „Niewiarygodna była nie sama inwazja, bo któż by się jej nie spodziewał?... Niewiarygodny był ten wstrząs w naszym życiu, jego nagłe rozszczepienie na kiedyś i na teraz w to ciche i spokojne lato spędzane przy szeroko otwartych oknach”[9].

Jak powszechnie wiadomo, zaskoczone było również samo radzieckie przywództwo. „Stalin i jego ludzie nadal tkwią w całkowitym bezruchu. Jak królik, który napotkał węża”[10]. Choć historycy wciąż spierają się o racjonalność przedwojennej polityki zagranicznej Stalina, jasne jest dzisiaj, że spodziewając się wojny z Niemcami, Stalin żył jednocześnie w przekonaniu, iż stosując metodę ustępstw, można będzie odwlec nieuchronny konflikt przynajmniej do następnego roku. Raporty o zamiarach Hitlera słane przez radzieckiego ambasadora w Berlinie były ignorowane, podobnie jak doniesienia wywiadu wojskowego o koncentracji wojsk po zachodniej stronie nowej granicy niemiecko-radzieckiej. Nie brano także pod uwagę ostrzeżeń ze strony Brytyjczyków, traktując je jako dezinformację mającą na celu zamienienie czerwonoarmistów w „żołnierzy Anglii”. Nic zatem dziwnego, że komisariat handlu w dalszym ciągu wysyłał do Niemiec ziarno, ropę, gumę i miedź, nie przerywając dostaw aż do nocy poprzedzającej inwazję.

Pełnomocnikiem Stalina w Leningradzie w chwili wybuchu wojny był Andriej Żdanow, pulchny aparatczyk o ziemistej cerze, przypalający jednego papierosa od drugiego. Ten syn nauczyciela najpierw wspiął się na stanowisko sekretarza partii w mieście Gorki (wcześniej i obecnie ponownie Niżny Nowogród), następnie awansował na członka Komitetu Centralnego, a po zamordowaniu szefa partii w Leningradzie Siergieja Kirowa (prawdopodobnie na rozkaz samego Stalina) objął w 1934 roku przywództwo leningradzkiej organizacji partyjnej i został pełnoprawnym członkiem Politbiura. W pełni oddany i lojalny, a także – podobnie jak Stalin – pracoholik i samouk, był jednym z niewielu ludzi, do których Stalin zwracał się poufałym „ty”, nie zaś ogólnie przyjętym i formalnym „wy” – odpowiednikiem naszego „pan”. Dziś pamięta się przede wszystkim jego pierwszoplanową rolę w obronie Leningradu, ale

również tragikomiczny powojenny okres, w którym pełniąc funkcję komisarza do spraw kultury, oskarżał Annę Achmatową o to, że jest „pół zakonnicą, pół dziwką", a Szostakowiczowi brzdąkał na fortepianie „właściwe politycznie" melodie. W rzeczywistości jednak był to zbrodniarz odpowiedzialny za liczne masowe morderstwa: nie tylko nadzorował czystki w Leningradzie w latach 1937–1939, lecz – podobnie jak inni członkowie Politbiura – aktywnie wprowadzał je w terenie, konkretnie na Uralu i nad środkową Wołgą. Jego podpis figuruje tuż obok podpisów Stalina i Mołotowa pod dziesiątkami list osób przewidzianych do rozstrzelania.

Tak jak Stalin Żdanow był absolutnie przekonany o tym, że pogłoski o rychłym niemieckim ataku są zdecydowanie przedwczesne, i 19 czerwca wyjechał z Moskwy na sześciotygodniowy urlop do Soczi nad Morzem Czarnym. „Niemcy przegapili już swój najlepszy moment – upewniał go w tym Stalin. – Wygląda na to, że zaatakują w 1942. Jedź odpocząć". W sobotnie popołudnie 21 czerwca, kiedy Żdanow aklimatyzował się po przyjeździe do kurortu, zwyczajowa strużka raportów spływających z jednostek straży granicznej nagle zamieniła się w rwący strumień: mnożyły się doniesienia o kolejnych naruszeniach radzieckiej przestrzeni powietrznej, o potajemnych ruchach czołgów i artylerii, o stawianiu mostów pontonowych i usuwaniu zasieków z drutu kolczastego. Krótko po godzinie dziewiątej wieczorem co najmniej trzech dezerterów – jeden Litwin i dwóch niemieckich komunistów – przedostało się przez Bug za linie radzieckie i oświadczyło przesłuchującym ich oficerom, że w ich jednostkach właśnie odczytano nowe rozkazy. Atak miał się zacząć o godzinie czwartej rano i – jak powiedział Litwin – „planują wykończyć was raczej szybko"[11].

Na Kremlu niepokój wciąż mieszał się z niedowierzaniem. Ambasada w Berlinie raportowała, że niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie odpowiadało na umówione copółgodzinne próby kontaktu telefonicznego. Późnym wieczorem komisarz obrony generał Siemion Timoszenko zadzwonił do Stalina z wiadomością usłyszaną od niemieckich dezerterów, na co Stalin rozkazał mu natychmiast zwołać zebranie członków Politbiura i wyższych rangą generałów. Po ich

przybyciu przerwał nerwowy spacer po pokoju i spytał: „Co zrobimy?". Timoszenko oraz szef sztabu generał Gieorgij Żukow nalegali, by wszystkie wojska nadgraniczne postawić w stan pełnej gotowości bojowej. Stalin miał inne zdanie: „Jeszcze za wcześnie na wydawanie takiej dyrektywy. Być może wszystko uda się rozwiązać środkami pokojowymi... Wojska okręgów przygranicznych nie powinny ulegać żadnym prowokacjom, aby nie wywołać komplikacji". Pół godziny po północy Stalin zezwolił wreszcie na przekazanie rozkazu żołnierzom, ale zażądał, by poprzedzono go ostrzeżeniem, że ataki mogą się okazać jedynie prowokacjami, i wezwaniem do „stonowanej" odpowiedzi. Zebranie zakończyło się o trzeciej nad ranem. Godzinę później Stalin, który dopiero co położył się do łóżka, otrzymał telefon od Żukowa. Główne miasta na zachodzie i południu Związku Radzieckiego – Kijów, Mińsk, Wilno, Sewastopol – były właśnie bombardowane. „Zrozumieliście mnie, towarzyszu Stalin?" – upewniał się Żukow. Powtarzał pytanie kilka razy, zanim wreszcie uzyskał odpowiedź. Nawet Stalin musiał już teraz przyznać, że wojna właśnie się zaczęła[12].

Pierwszą zasadą polityki zagranicznej, nieomal truizmem w rozmowach dyplomatów przy stołach, jest przestroga: nigdy nie najeżdżaj Rosji. Dlaczego zatem Hitler zdecydował się zaatakować Związek Radziecki?

Jego cele – i to już na etapie planowania tej kampanii w roku 1940 – były dalekie od konwencjonalnej geopolityki. Nie zamierzał jedynie zaanektować nowego i użytecznego terytorium, by tym samym zmienić istniejący układ sił, lecz chciał unicestwić całą kulturę i ideologię, a jeśli zaszłaby taka konieczność, to także całą rasę. Jego wizja dotycząca nowo podbitych terytoriów, prezentowana z całą otwartością podczas oficjalnych posiłków w rozmaitych kwaterach wojennych, zakładała powstanie rozległej Rzeszy rozciągającej się od Berlina aż do Archangielska nad Morzem Białym oraz Astrachania nad Morzem Kaspijskim. Tak pouczał architekta Alberta Speera:

„Cały ten teren musi przestać być azjatyckim stepem, musi zostać zeuropeizowany! Nasi chłopi będą mieszkać w ładnych, przestronnych farmach; niemieckie władze we wspaniałych budynkach, gubernatorzy

w pałacach. Każde miasto otoczone zostanie wianuszkiem prześlicznych wiosek i miasteczek, w pasie o szerokości 30–40 kilometrów, połączonych najlepszymi drogami. Dopiero poza tym pasem będzie zupełnie inny świat, w którym pozwolimy Rosjanom żyć, jak im się tylko podoba”[13].

Istniejące miasta miały zostać ogołocone z tego, co w nich najcenniejsze, po czym zniszczone (w miejscu Moskwy miało powstać sztuczne jezioro), a owe prześliczne nowe wioski i miasteczka zamierzano zaludnić aryjskimi osadnikami ściągniętymi ze Skandynawii i Ameryki. W ciągu dwudziestu lat, wedle marzeń Hitlera, ich liczba sięgnęłaby już dwudziestu milionów. Rosjanie – uznawani za najniższą rasę pośród Słowian – mieli zostać wywiezieni na Syberię, przekształceni w niewolników albo po prostu wytępieni, podobnie jak Indianie w Ameryce. Zduszenie ewentualnego rosyjskiego oporu zyskałoby charakter jedynie nieco bardziej forsownych ćwiczeń. „Raz na kilka lat – wspominał Speer – Hitler planował organizować niewielką kampanię za Ural po to, by zademonstrować dominację Rzeszy i utrzymywać gotowość bojową niemieckiej armii na wysokim poziomie”. Jak to ujął późniejszy dokument planistyczny SS, bezustanna mobilność wojsk Rzeszy na froncie wschodnim miała – na podobnej zasadzie jak działania Brytyjczyków na północno-zachodniej granicy w Indiach – „zapewnić Niemcom młodość”.

Wizja ta jest tak surrealistyczna, tak śmieszna w swej wąskiej i płytkiej perspektywie, postrzeganej niczym z wysokości barowego stołka, że aż kusi, by w ogóle nie brać jej na poważnie. Jaki sens miałoby okupowanie jakiegoś kraju tylko po to, by go ostatecznie zniszczyć? Skąd by brano pieniądze potrzebne na nowe drogi i miasta? I skąd miliony nowych osadników chętnych do przeprowadzki? A wojska niezbędne do utrzymywania połowy kontynentu w stanie permanentnego niewolnictwa? Dla hitlerowskiego dowództwa nie był to jednak wcale sen na jawie. W lipcu 1940 roku, kilka tygodni po upadku Francji, Hitler rozkazał swojemu naczelnemu dowódcy armii, feldmarszałkowi Waltherowi von Brauchitschowi, a także szefowi sztabu generalnego wojsk lądowych, generałowi Franzowi Halderowi, przystąpienie do kreślenia planów podboju Związku Radzieckiego. Jak

argumentował Hitler, w obecnym stanie rzeczy nie dało się najechać Wielkiej Brytanii, a jedynym sposobem, by przemówić jej do rozsądku i zmusić do zawarcia pokoju, było wyeliminowanie ostatniego na kontynencie mocarstwa z natury wrogiego Rzeszy. Von Brauchitsch i Halder widzieli to inaczej (choć nie aż tak odmiennie, jak próbował to przedstawiać Halder już po wojnie), uważając, że to Wielką Brytanię powinno się wyeliminować z wojny jako pierwszą. (Wpis w dzienniku Haldera z 28 stycznia 1941 roku: „Barbarossa. Cel niejasny. W ten sposób nie uderzymy w Brytyjczyków… Ryzyka na Zachodzie nie wolno nie doceniać. Jest całkiem możliwe, że Włochy upadną po stracie swoich kolonii, a my będziemy mieli południowy front w Hiszpanii, we Włoszech i w Grecji. Jeśli będziemy wtedy zaangażowani w Rosji, trudna sytuacja może zmienić się w jeszcze gorszą”[14]). Równie pełen wątpliwości był minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, który uznawał pakt z Mołotowem za swoje największe osiągnięcie i podkreślał fakt, że Związek Radziecki wciąż skrupulatnie przestrzega jego postanowień, w tym obietnicy dostarczania zboża i innych towarów. Hermann Göring, kierujący sprawami gospodarczymi i najpotężniejszy po Hitlerze człowiek w całej Rzeszy, martwił się natomiast o zbyt małe zapasy żywności oraz siły roboczej. Jednak führer, wówczas u szczytu popularności i uwielbienia, potrafił zastraszyć swoich podwładnych jednym zmarszczeniem brwi i w końcu nawet najwięksi sceptycy przestawali mnożyć zastrzeżenia i godzili się na nieuniknione. Jedynym członkiem niemieckiego przywództwa, który podjął z tego powodu jakiekolwiek kroki, był nieprzewidywalny Rudolf Hess – zdecydował się na nieco dziwaczny lot do Szkocji, najwyraźniej w nadziei na zapobieżenie wojnie na dwa fronty poprzez wynegocjowanie pokoju z Wielką Brytanią.

Plan Barbarossa został ostatecznie doprecyzowany w grudniu 1940 roku, a datę rozpoczęcia jego realizacji ustalono na 15 maja 1941 roku. Zarówno owa data, jak i sam plan wkrótce uległy zmianie (opóźnienie wymusiła konieczność pomocy Włochom w Grecji i Libii, a atak z dwóch stron zmienił się w natarcie z trzech kierunków). Ale od samego początku zakładano, że kampania ta będzie prowadzona z bezprecedensowym okrucieństwem, której to polityce armia postawiła

zawstydzająco niewielki opór. „Ta wojna – napisał Halder po dwuipółgodzinnej przemowie führera wygłoszonej dla ścisłego dowództwa 30 marca – będzie całkowicie odmienna od wojny na Zachodzie… Dowódcy muszą się poświęcić i zapomnieć o jakichkolwiek osobistych skrupułach". W czerwcu to samo Naczelne Dowództwo doprowadziło do wydania niesławnego „rozkazu o komisarzach", na mocy którego schwytani oficerowie polityczni mieli być z miejsca rozstrzeliwani. Kolejne rozkazy zezwalały na podejmowanie „środków zbiorowych" wobec cywilów, „którzy uczestniczą albo chcą uczestniczyć we wrogich aktach", a także odbierały sądom wojskowym prawo do sądzenia przestępstw – w tym również gwałtów i morderstw – popełnianych przez żołnierzy niemieckich na radzieckiej ludności cywilnej. Poszczególnym oficerom dano w praktyce wolną rękę, by mogli traktować napotkanych Rosjan, jak im się żywnie podobało. Od samego początku przyjęto też bezwzględną politykę rekwirowania artykułów spożywczych. Wojska okupacyjne miały żywić się tym, co uda im się skonfiskować w okolicy, nawet jeśli oznaczało to narażenie miejscowej ludności cywilnej na głód. „Rosjanin już od wieków jest z głodem za pan brat!" – żartował w typowo nazistowskim, jakże rubasznym stylu Herbert Backe, sekretarz stanu w Ministerstwie Żywności i Rolnictwa. „Jego żołądek jest rozciągliwy, stąd brak jakiegokolwiek fałszywego współczucia!" Goebbels dorzucał ze swadą, że Rosjanie „będą musieli jeść swoje kozackie siodła", za to Göring przewidywał „największy masowy pomór w Europie od czasów wojny trzydziestoletniej"[15].

Jednak przede wszystkim trzeba się było szybko rozprawić z bolszewikami. Miał to być *Blitzkrieg*, czyli „wojna błyskawiczna", polegająca na prędkim posuwaniu się do przodu dywizji pancernych i zmotoryzowanej piechoty. W szybkim marszu na wschód armia miała nie zatrzymywać się w celu opanowania każdego ośrodka oporu, a zwłaszcza nie dawać się wciągać w wyniszczające walki pozycyjne, przez które przegrała wojnę z lat 1914–1918. Łącznie cała kampania miała potrwać nie dłużej niż trzy miesiące, przy czym pierwszych kilka tygodni powinno przynieść zniszczenie Armii Czerwonej w serii głównych bitew, pozostały zaś czas winien posłużyć do

przeprowadzenia operacji dławienia resztek oporu. Natychmiast po podboju europejska część Rosji byłaby poddana rządom cywilnym sprawowanym przez cztery nowe reichskommissariaty, co pozwoliłoby większości wojsk powrócić do domu.

Sprawy przybrały obrót całkowicie odmienny od zakładanego nie tylko dlatego, że Hitler był mistrzem fantazjowania, ale także ponieważ zupełnie nie rozumiał społeczeństwa radzieckiego. W olbrzymim stopniu przeszacował on siłę rosyjskiego antysemityzmu, nie doceniał za to uczuć patriotycznych i narodowych. Nie był też w stanie – i tu akurat płynął z głównym nurtem brytyjskiej i amerykańskiej opinii publicznej owych czasów – dostrzec, że większość Rosjan, choć sterroryzowana i zubożała w wyniku działań ich przywódców w ostatnich dwóch dziesięcioleciach, stawi nieustępliwy opór obcemu najeźdźcy. „Rozwalcie drzwi – głosiła jedna z jego niesławnych złotych myśli – a cała spróchniała konstrukcja zwali się z hukiem!" Prostackie oszczerstwa – „Słowianie to banda urodzonych niewolników", „ich bezdenna głupota", „te głupie masy ludzkie na Wschodzie" – powtarzane bez końca w moralizatorskich kazaniach nad suto zastawionym stołem świadczyły nie tylko o zwykłym rasizmie, ale i o intelektualnym lenistwie, o samozadowoleniu w obliczu ogromnego, szybko zmieniającego się i pełnego tajemnic kraju, o którym on i jego doradcy wiedzieli bardzo mało. „Zbyt wielkie nadzieje – wspominał później jeden z generałów Hitlera – pokładano w przekonaniu, że Stalin zostanie obalony przez swój własny naród, jeśli będzie ponosić polityczne porażki. Przekonanie to podsycali doradcy polityczni führera, a my, żołnierze, wiedzieliśmy zbyt mało o politycznej stronie tego konfliktu, by móc z nimi dyskutować"[16].

W miarę postępowania działań wojennych zaczęła się uwidaczniać coraz większa rywalizacja, i to nie tylko między rozlicznymi agencjami odpowiedzialnymi za okupowany Związek Radziecki, których kompetencje nierzadko się pokrywały, ale również między ideologami zdeterminowanymi, by wcielić w życie wielką wizję eksterminacji nakreśloną przez ich führera, a pragmatykami (przy czym wielu było z pochodzenia Niemcami bałtyckimi), którzy doradzali postępowanie bliższe raczej tradycyjnej polityce kolonialnej. Jego istotą miałoby być

zjednywanie sobie mniejszości narodowych, w tym zwłaszcza Ukraińców, i wycofywanie się z niepopularnych rozwiązań wprowadzonych przez komunistów, takich jak zamykanie cerkwi czy kolektywizacja. Nawet gdyby Hitler lepiej rozumiał Związek Radziecki, to bardzo prawdopodobne, że zignorowałby rady pragmatyków. Atak na Związek Radziecki miał wprawdzie racjonalne uzasadnienie: zdobycie przez Niemcy ogromnych połaci ziemi rolnej i kontroli nad szybami naftowymi, a także wyeliminowanie nieprzyjaznego im reżimu. Chodziło tu jednak także o rasę: była to wojna eksterminacyjna – *Vernichtungskrieg*. Bolszewicy, Żydzi, Słowianie – wszyscy byli robactwem, bestiami, rakiem, trucizną, a samo ich istnienie przekleństwem dla narodowych socjalistów i ich snów o potędze. Likwidacja albo zniewolenie wszystkich tych ludzi było nie tyle środkiem wiodącym do dominacji terytorialnej, ile zasadniczym jej składnikiem.

2. BARBAROSSA

W niedzielną noc 22 czerwca, jak w każdą letnią noc, w Leningradzie nie sposób było doczekać ciemności. Słońce chowało się wprawdzie na zachodzie za szaroniebieskim horyzontem Zatoki Fińskiej, lecz niebo nad dachami domów pozostawało rozświetlone owym różowym fioletem, utrzymującym się aż do wczesnych godzin poranka, kiedy słońce na powrót wschodziło, by skąpać miasto w pełnym, oślepiającym blasku dnia. O godzinie drugiej nad ranem Jelenę Skriabinę obudził ogłuszający huk dział przeciwlotniczych. Uznawszy (błędnie, bo były to tylko ćwiczenia), że trwa właśnie nalot na miasto, wraz z całą rodziną dołączyła do sąsiadów schodzących klatką schodową ich kamienicy:

„Lubow Nikołajewna Kurakina perorowała, starając się przekrzyczeć wrzawę. Jej mąż, były członek partii, miał już za sobą dwa lata odsiadki za kontrrewolucyjne poglądy. I choć po aresztowaniu męża jej wiara w komunizm uległa mocnemu zachwianiu, tej nocy, w ryku dział przeciwlotniczych, zapomniała o wcześniejszych urazach. Z przekonaniem wychwalała niezwyciężony Związek Radziecki…

Anastasija Władimirowna, nasza była gosposia, siedziała na wysokim kufrze i uśmiechała się sarkastycznie. Nawet nie próbowała skrywać swojej nienawiści do władz sowieckich, a w tej wojnie i w końcowym zwycięstwie Niemców widziała jedyne możliwe ocalenie. Pod wieloma względami podzielam jej poglądy, ale ten uśmieszek zaczyna mnie irytować. Tak oto grają w nas wszystkich dwa sprzeczne uczucia: wiara w to, że Rosja nie ulegnie jednak zniszczeniu, oraz świadomość, iż jedynie wojna niesie ze sobą jakąkolwiek realną szansę na uwolnienie nas od terroru, który sieje ten reżim”[1].

Skriabina nie była jedyną mieszkanką Leningradu rozdartą wewnętrznie z powodu niemieckiej napaści. W całym mieście wściekłość na nazistowskich agresorów mieszała się ze złością na swoje

władze za ewidentny brak przygotowania do wojny, a w niektórych przypadkach – jak u jednej z sąsiadek Skriabiny – to drugie uczucie przechodziło wręcz w przekonanie, że niemiecka okupacja mogłaby się okazać niezbyt wygórowaną ceną za pozbycie się bolszewików.

Kiedy Lichaczow powrócił do miasta w poniedziałek, było ono ciche i posępne. Na Wydziale Literatury Rosyjskiej miejscowego uniwersytetu – mieszczącym się w budynku dawnego urzędu celnego na wschodnim brzegu Wyspy Wasiljewskiej, teraz określanego mianem Domu Puszkina – ludzie byli rozmowni bardziej niż zwykle, choć wciąż zanim cokolwiek powiedzieli, najpierw uważnie rozglądali się dookoła. „Wszyscy wyrażali zdziwienie, że dosłownie kilka dni wcześniej do Finlandii wysłano bardzo duże ilości zboża – pisali o tym w gazetach… Najwięcej mówił A. I. Gruszkin, snując fantastyczne, choć wyłącznie «patriotyczne teorie»…" W Zakładach Kirowa informatorzy śledzili reakcje zwykłych robotników. Mówcy zabierający głos podczas zebrania załogi byli, co zrozumiałe, niezwykle stanowczy. „Brak mi słów, by opisać niewyobrażalnie zdradzieckie postępowanie tych faszystowskich psów – krzyczał jeden z nich. – Naszym obowiązkiem jest teraz zjednoczyć się wokół rządu towarzysza Stalina, zapomnieć o własnych potrzebach i włożyć wszystkie nasze siły w pracę na rzecz frontu". Jednak w prywatnych rozmowach ludzie wyrażali wściekłość i przerażenie:

„Słyszano, jak towarzysz Martynow mówił w jednej z prywatnych rozmów: «Widzicie? Karmiliśmy Hitlera naszym chlebem, a teraz on zwraca się przeciwko nam!». E. P. Batmanowa ogłosiła zaś, że wedle jej wiedzy Niemcy opanowali już Hanko [radziecką bazę marynarki wojennej na zachód od Helsinek]. Obecni tam członkowie Partii udzielili jej surowej nagany, wyjaśniając pozostałym towarzyszom, że takie rozmowy są wielce szkodliwe i leżą w interesie wrogich elementów".

Następnego dnia kierownik stołówki towarzysz Sołowiow opóźnił godzinę obiadu… z powodu problemów z dostarczeniem posiłków. Pośród czekających podsłuchano następującą rozmowę: „Jest dopiero drugi dzień wojny, a już brakuje chleba. Jeśli wojna potrwa rok, wszyscy pomrzemy z głodu"[2].

Mimo to nastroje u przeważającej części mieszkańców w pierwszych dniach wojny charakteryzowały się niekłamanym patriotyzmem. Zanim jeszcze został wydany rozkaz powszechnej mobilizacji (27 czerwca), pod biurami partii, siedzibami wojskowych komisji poborowych i centralami fabryk ustawiały się długie kolejki ochotników. W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin wojny, a więc znacznie wcześniej, niż pojawiły się jakiekolwiek oficjalne rozkazy mobilizacyjne, do tego rodzaju instytucji na ochotnika zgłosiło się łącznie około stu tysięcy leningradczyków[3]. Już w czwartek 26 czerwca Zakłady Kirowa mogły zameldować o otrzymaniu dziewięciuset podań o wcielenie do milicji zakładowej oraz stu dziesięciu nowych deklaracji członkowskich do partii. Obwodowe biuro poborowe odnotowało ponad tysiąc zgłoszeń, i to zarówno od mężczyzn, jak i kobiet chcących natychmiast wyruszyć na front[4]. W dniu wypowiedzenia wojny ośmioletni wówczas Igor Kruglakow udał się wraz z ojcem i wujami do studia fotograficznego Karla Bulli przy Newskim Prospekcie, by pozować do rodzinnego portretu. Już następnego dnia, jak wspomina, „poszliśmy na Piotrogrodzką Stronę, aby odprowadzić ojca do komisji wojskowej. Pamiętam dobrze ten *wojenkomat*, cały jego dziedziniec był otoczony przez wysokie budynki. Przy wejściu znajdował się niewielki punkt kontrolny, w którym ojciec bez zbędnych ceregieli został zarejestrowany. Wyjechał jeszcze tego samego wieczoru”[5].

Wiec w Zakładach Kirowa, czerwiec 1941 roku.

W ciągu kolejnych kilku tygodni funkcjonariusze partyjni zaangażowali się w organizację starannie wyreżyserowanych, choć mimo to w dużej mierze dobrowolnych inicjatyw zbierania funduszy na obronę miasta. W Zakładach Kirowa starsi „weterani pracy" apelowali do kolegów o przynoszenie biżuterii, pieniędzy, obligacji i innych kosztowności czy papierów wartościowych, jak również o zrzeczenie się przynajmniej jednej dniówki. W rezultacie do skarbników w Zakładach wpłynęło tak wiele cennych przedmiotów, że musieli oni wkrótce poprosić o zanoszenie ich bezpośrednio do banków. Publiczne – w trakcie specjalnych zebrań zakładowych – odrzucenie oferty partii, by zrzec się poborów, było trudne do wyobrażenia. Jednak, jak wykazuje historyk Andriej Dzieniskiewicz (jeden z pierwszych badających archiwa leningradzkie z czasów wojny, gdy tylko to umożliwiono po upadku komunizmu na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku), jedynie prawdziwym porywem serca można tłumaczyć fakt, iż ludzie „oddawali złote kolczyki albo pojedyncze srebrne łyżki, o których istnieniu nikt poza nimi nie wiedział"[6].

Ta fala patriotycznego uniesienia ogarnęła również zamieszkałą w mieście inteligencję, czyli tę grupę społeczną, która poza oficerami i wyższymi urzędnikami partyjnymi została najmocniej dotknięta represjami ubiegłych pięciu lat i miała w związku z tym najwięcej powodów, by szczerze nienawidzić rządzących. Jeśli pominąć olbrzymie różnice historyczne i kulturowe, ów pęd do działania, obserwowany zwłaszcza wśród ludzi młodych, bardzo przypomina analogiczny zryw uczniów w edwardiańskiej Anglii, którzy pod wpływem nacjonalistycznej propagandy masowo zaciągali się na front. Oto, co pewien osiemnastolatek napisał tego czerwca do swojej dziewczyny:

„Witaj, Irino!

Będę świadkiem czegoś niezwykłego i bardzo ważnego – idę na front! Czy rozumiesz, co to znaczy? Pewnie nie.

To sprawdzian samego siebie – swoich poglądów, nawyków, charakteru. I nie jest to żaden paradoks. Możliwe, że po doświadczeniach wojennych będę w stanie lepiej zrozumieć muzykę Beethovena albo geniusz Lermontowa i Puszkina…

Cóż, nie mam czasu na pisanie. Teraz mam jednak nad tobą pewną przewagę. Rzucam się oto w wir życia, podczas gdy ty wciąż będziesz ślęczeć nad swoimi książkami. Przesadziłem trochę z tymi książkami? To nic, może jeszcze kiedyś się zobaczymy. Chwytam twoje dłonie i ściskam je mocno.

Oleg”[7].

Starsi Rosjanie, dla których Związek Radziecki był państwem obcym i wrogim, zaczęli teraz na nowo identyfikować się ze swoją ojczyzną. Lidia Ginzburg, trzydziestodziewięcioletnia wówczas krytyczka literacka, dokonała takiej analizy ówczesnych wydarzeń:

„W przepełnionych niepokojem pierwszych kilku dniach wykształceni mieszkańcy Leningradu szukali sposobu, by nie odczuwać samotności i egoizmu, które wzmagały ich poczucie strachu. Był to wręcz instynktowny odruch… owo odwieczne pragnienie, by uciec od samego siebie, od odpowiedzialności, od swojej nadjaźni. Pragnienie to w zupełnie absurdalny sposób znalazło wyraz w dziwacznym poczuciu dopasowania do zaistniałej sytuacji. Tak oto intelektualista czuł się

w obowiązku, by wymagać od siebie tego, czego wymagało od niego społeczeństwo".

W sposób zaiste zdumiewający ludzie z konieczności nawykli do ukrywania swoich poglądów, hipokryzji i niepodejmowania szczerej rozmowy z nikim poza najwęższym kręgiem przyjaciół, teraz nagle trafiali, i to całkowicie z własnej woli, w główny nurt nastrojów społecznych, a do tego dostosowywali się do wytycznych władz. Jak wspomina Ginzburg: „Niezdatni do służby wojskowej usilnie starali się być przydatni w jakikolwiek inny sposób: chodzili do szpitali, oferowali swoje usługi jako tłumacze, pisali artykuły do gazety, przy czym najwyraźniej wcale nie myśleli o wynagrodzeniu". Oficjalne władze nie zawsze wiedziały, co z nimi począć. „Wpadali oni w tryby machiny całkowicie nieprzystosowanej do radzenia sobie z tak skomplikowaną materią psychologiczną. Machina ta, z właściwą sobie bezdusznością i nieufnością (...) przerzucała tych ludzi z jednego odcinka na drugi, całkowicie wbrew ich woli"[8].

Pośród wielu osób, które gorąco kochały swoją ojczyznę, a jednocześnie szczerze nienawidziły jej ówczesnych władz, była Anna Achmatowa. Urodzona w roku 1889 i wychowana w Carskim Siole, miejscowości na południe od Leningradu, słynnej z carskiej rezydencji, jeszcze przed rewolucją październikową zyskała sobie status poetki kultowej. Zasłużyła na to zarówno jako autorka pięknej, nasyconej goryczą liryki, jak też jako kobieta wyzwolona, podróżująca po Europie i sportretowana – jako wysoka i szczupła kobieta o orlim nosie – przez samego Modiglianiego. Ciemne chmury zaczęły zbierać się nad nią pod koniec lat dwudziestych XX wieku, kiedy jej były mąż, poeta Nikołaj Gumilow, został aresztowany i stracony jako jeden z pierwszych czołowych artystów pośród całej rzeszy ofiar bolszewików. W latach trzydziestych, gdy kolejni przyjaciele znikali w łagrach, Achmatowa zajęła się wykładaniem i tłumaczeniami, ale w skrytości wciąż tworzyła coraz głębsze i coraz bardziej przejmujące poezje, przy czym każdego nowego wiersza uczyła się na pamięć, a jego rękopis paliła. W roku 1938 po raz trzeci w ciągu ostatnich pięciu lat aresztowano jej dwudziestoszścioletniego syna, który trafił do gułagu, gdzie przebywał aż do wybuchu wojny z Niemcami. Mimo to Achmatowa chętnie

przyjęła zaproszenie do wygłoszenia przez radio patriotycznego apelu do „kobiet leningradzkich", a także stawała na warcie przed pałacem Szeremietiewów nad rzeką Fontanką, gdzie zamieszkiwała kątem u swojego trzeciego byłego męża, historyka sztuki Nikołaja Punina, wraz z jego nową żoną i córką.

Inną pisarką, która zmagała się z problemem pogodzenia miłości do ojczyzny z nienawiścią do rządzących nią władz, była trzydziestojednoletnia poetka Olga Bergholc. Mało dziś znana Bergholc zyskała sławę dzięki *Dziennikowi lutowemu*, cyklowi żywych i – jak na ówczesne standardy – bardzo odważnych wierszy napisanych podczas pierwszej zimy w oblężeniu i odczytywanych w radiu na początku 1942 roku. W chwili wybuchu wojny była nieznaną nikomu szeregową pracownicą leningradzkiej stacji radiowej. Uczciwa i wrażliwa, o łagodnej owalnej twarzy z wielkimi niebieskimi oczami, Bergholc znała i ceniła Achmatową, ale – o pokolenie młodsza – dorastała w atmosferze powszechnej wiary w ideały komunizmu, charakterystycznej dla pierwszego dziesięciolecia po rewolucji październikowej. Rozczarowanie nadeszło dopiero w 1937 roku wraz z aresztowaniem jej byłego męża (który później został potajemnie stracony) oraz wydaleniem jej samej z partii i ze Związku Pisarzy. Zaledwie osiemnaście miesięcy później przyszła kolej i na nią samą. Była w ciąży, kiedy osadzono ją w więzieniu na tyłach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Litiejnym Prospekcie, gdzie tak długo i bez opamiętania kopano ją w brzuch, aż poroniła. Po siedmiu miesiącach została wreszcie zwolniona, a ocaliła ją – jak na ironię – czystka w szeregach samej bezpieki, która dosięgła jej wyższe szczeble, w tym między innymi prześladowców poetki.

Kiedy dwa lata później wybuchła wojna, Bergholc zdążyła już powrócić do zwyczajnego życia i codziennych problemów. Flirtowała z kolegą z radia podczas zakrapianej alkoholem imprezy, snuła mgliste plany napisania w najbliższej przyszłości powieści i pomagała siostrze w załatwieniu nielegalnej aborcji. Wpis w jej dzienniku z 22 czerwca brzmiał prosto i jasno: „WOJNA!", ale tego samego dnia poetka napisała też zupełnie nowy i nienadający się do publikacji wiersz, w którym starała się załagodzić wewnętrzny konflikt między gorzkim

rozczarowaniem komunizmem w wersji praktykowanej przez Stalina a miłością do ojczyzny:

> Ja i dzisiaj nie zapomniałam
> gorzkich lat prześladowań i zła,
> ale teraz jasno zrozumiałam,
> że nie tylko ja, Ty również cierpiałaś,
> to Ty byłaś mężna i czekałaś.
> Nie, o niczym nie zapomniałam!
> Choćbym była martwa, osądzona –
> na Twój zew wstałabym z mogiły,
> wszyscy by powstali, nie tylko ja jedna.
> Kocham Cię miłością nową,
> gorzką, wybaczającą i żywą,
> moja Ojczyzno w wieńcu cierniowym
> i z ciemną tęczą nad głową.
> Oto nastała nasza godzina, ale co znaczy –
> tylko nam to pojąć jest dane.
> Kocham Cię – nie mogę inaczej,
> ja i Ty tworzymy jedno jak dawniej[9].

Zadbać o to, by gniew ludu, będący reakcją na wieści o niemieckiej inwazji, nie przekształcił się w bezład i chaos, mieli: Ždanow (który 26 bądź 27 czerwca powrócił do Leningradu), Piotr Popkow, wybuchowy przewodniczący radzieckiej rady miasta, a także (wraz z ogłoszeniem stanu wojennego) generał lejtnant Markian Popow, dowódca leningradzkiego garnizonu wojskowego. Wdrażanie w życie rozkazów organów przywódczych miasta leżało natomiast w gestii komitetów wykonawczych rady regionu, rady miasta oraz szesnastu rad dzielnicowych. Cała ta struktura i tak przyjmowała polecenia z samej Moskwy; na przykład wydany przez Popowa 27 czerwca rozkaz numer 1, wprowadzający dłuższe godziny pracy, ściślejsze obostrzenia dotyczące

podróżowania oraz godzinę milicyjną, był dosłowną kopią analogicznego rozkazu ogłoszonego dwa dni wcześniej przez dowódcę garnizonu moskiewskiego. Jak to ujął jeden z historyków: „Trudno doprawdy uniknąć wrażenia, że dowódca garnizonu leningradzkiego wręcz przepisał swój rozkaz z «Prawdy»”[10].

Struktura władzy była skomplikowana. Nakładały się na siebie kompetencje, władze leningradzkie były ściśle uzależnione zarówno od odległego Kremla, jak i od pobliskiej kwatery Żdanowa mieszczącej się w Instytucie Smolnym, w budynku byłego Instytutu dla Szlachetnie Urodzonych Panien, przekształconym w siedzibę leningradzkiego komitetu partii. Tak było niemal do chwili całkowitego okrążenia miasta. Utworzenie 24 sierpnia Rady Wojennej Frontu Leningradzkiego, której członkami byli zarówno Żdanow, jak i dowódca frontu marszałek Klimient Woroszyłow, nieco usprawniło proces decyzyjny, ale nadal nie rozwiązało problemu nadmiernej centralizacji. Cztery dni wcześniej Żdanow próbował zdjąć z siebie część licznych obowiązków, dzięki utworzeniu drugiego komitetu, w którego skład on sam miał nie wejść. Komitet miał sprawować pieczę nad wznoszeniem umocnień, produkcją broni i prowadzeniem szkolenia wojskowego dla cywilów. Niemal natychmiast jednak Żdanow otrzymał telefon od Stalina z pretensjami, iż nowe gremium powstało bez jego zgody, i z wyraźną sugestią, by w skład komitetu włączono zarówno samego Żdanowa, jak i Woroszyłowa. Żdanow został zatem z dwoma niemal identycznymi ciałami decyzyjnymi, wobec czego drugie z nich dziesięć dni później zlikwidował. Od tej pory ów chorobliwie otyły, cierpiący na astmę i łysiejący aparatczyk, który nosił niezmiennie tę samą bluzę w kolorze khaki ze śladami łupieżu i popiołu z papierosów, nie podejmował już żadnych prób zdjęcia z siebie nawet części odpowiedzialności. Popularne wówczas powiedzenie głoszące, że bez jego pozwolenia nie można przydzielić choćby jednego wolta prądu, niemal w pełni odpowiadało prawdzie. Pośród całej masy banalnych dokumentów z jego podpisem zachowanych w archiwach znajduje się dość typowy dlań rozkaz zobowiązujący jedną fabrykę do dostarczenia drugiej dziewięciu zbiorników tlenu[11].

W chwilach kryzysu pierwszym odruchem zarówno Żdanowa, jak i Woroszyłowa było wydanie nakazu aresztowań. O godzinie pierwszej w nocy w piątek, zaraz po wybuchu wojny, Jelena Skriabina i jej mąż obudzili się na dźwięk dzwonka u drzwi. „Każdy, kto mieszka w Związku Radzieckim, wie, co oznacza taki dzwonek, zwłaszcza późno w nocy. Jego dźwięk zapowiada albo nakaz przeszukania, albo rozkaz aresztowania. Tym razem jednak okazało się, że jest to wezwanie z miejscowej komisji poborowej". Cztery dni później Skriabina dowiedziała się, że jedna z jej znajomych miała wyraźnie mniej szczęścia: „Przyszli w nocy, przeszukali mieszkanie, nic nie znaleźli, nic nie skonfiskowali, ale tak czy owak zabrali ją ze sobą. Wiem tylko, że kierownik instytutu, w którym obie pracujemy, jest do niej nastawiony bardzo wrogo. Możliwe więc, że zarzucają jej «obce powiązania»". Skriabina udała się więc do rodziny swojej znajomej i spędziła w jej gronie nieco więcej czasu, niż pierwotnie planowała. Kiedy wróciła do domu, zastała domowników przekonanych, iż także i ona została aresztowana[12].

Najbardziej oczywistymi ofiarami nowej fali terroru, która przetoczyła się przez Leningrad po wybuchu wojny, byli przedstawiciele zamieszkującej miasto mniejszości niemieckiej. Byli to potomkowie mówiących po niemiecku Bałtów, chłopskich osadników zachęconych do uprawiania rosyjskiej ziemi jeszcze przez carycę Katarzynę Wielką, czy też licznych Niemców, którzy napłynęli do Rosji później, by robić karierę zawodową bądź pozostawać w służbie kolejnych carów. W większości żyli w tym kraju już od pokoleń i poza nazwiskami nie odróżniali się w zasadzie w żaden sposób od zwykłych Rosjan. Niektórzy z nich próbowali zresztą uniknąć deportacji, zmieniając nazwisko, podczas gdy inni udawali Żydów[13]. Na mocy procedury doprowadzonej wcześniej do perfekcji w krajach bałtyckich oraz we wschodniej Polsce dostali teraz dwadzieścia cztery godziny na przygotowanie się do wyjazdu. Eufemistycznie określany mianem „obowiązkowej ewakuacji", przybierał on postać długiej podróży w przepełnionych wagonach towarowych, kończącej się gdzieś w Arktyce, Azji Środkowej, na Syberii albo Dalekim Wschodzie. W taki sposób latem 1941 roku deportowano około 23 tysięcy rdzennych

Niemców i Finów, kolejnych 35 162 zmuszono zaś do opuszczenia miasta przez zamarznięte jezioro Ładoga w marcu 1942 roku[14]. Była wśród nich także rodzina Tribergów, która mieszkała przy Newskim Prospekcie, nad niegdysiejszym rodzinnym sklepem z obuwiem, słynnym w mieście „Aleksandrem". Tak oto wspominał ich sześćdziesiąt lat później jeden z sąsiadów:

„To była po prostu jedna z wielu rodzin. Mieszkali naprzeciwko nas, w tej samej klatce schodowej, pod numerem jedenastym, na Newskim Prospekcie…

Mieli trójkę dzieci, dwóch chłopców i trzyletnią dziewczynkę. Dwaj starsi synowie, dwunasto- i szesnastoletni, czasem do nas wpadali. Ich matka i ciotka udzielały mi lekcji niemieckiego. To były bardzo piękne, eleganckie i inteligentne kobiety. Matka chłopców była niezwykle uprzejma, a przy tym bardzo wykształcona. Wyglądało na to, że starszy syn odziedziczył po niej wszystkie jej talenty, choć miał też sporo z ojca, inżyniera władającego kilkoma europejskimi językami. Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że w osobie tego młodzieńca nasz kraj stracił przyszłego uczonego.

A mówiąc precyzyjniej, stracił ich wszystkich. Oto jak do tego doszło:

W roku 1938 aresztowano ojca.

W roku 1941 aresztowano również matkę.

W roku 1944 została ona zastrzelona.

Synowie zostali sierotami bez żadnych środków do życia: cały ich majątek skonfiskowano. W rezultacie starszy syn umarł z głodu, bo nie miał już za co kupić chleba. Młodszy syn mieszkał z ciotką i jej córeczką. Byli oni ludzkimi strzępami: kobieta umierająca z głodu i dwójka cierpiących na dystrofię [skrajne wychudzenie] dzieci. W tym stanie deportowano ich z Leningradu przez zamarznięte jezioro Ładoga".

Podczas tej drogi ciotka zmarła, a dwójkę ocalałych dzieci rozdzielono i nigdy więcej nie mieli się już zobaczyć. W taki sposób znikła cała rodzina, przy czym – jak z lekką nutą szyderstwa zauważyli jej sąsiedzi – „stało się to podczas ostatniej wojny z Niemcami, ale ściśle rzecz biorąc, wcale nie z rąk Niemców"[15].

Deportacje i aresztowania, i to w dużej liczbie (71 112 osób do października 1942 roku według dokumentów służby bezpieczeństwa), dotknęły także elementów „społecznie obcych" i „kryminalno-przestępczych" wyszukiwanych w całej populacji. W praktyce oznaczało to represje wobec tych samych grup ludności, które stały się obiektem prześladowań już wcześniej, podczas czystek z lat 1936–1938. Byli to ludzie należący do dawnego mieszczaństwa („elementy pozaklasowe"), chłopstwa („dawni kułacy"), mniejszości etnicznych („nacjonaliści"), osoby czynnie praktykujące religię („sekciarze"), żony i dzieci ofiar uprzednich represji („krewni wrogów ludu"), a także wszyscy posiadający jakiekolwiek związki z zagranicą czy choćby znający jakiś język obcy („szpiedzy i zdrajcy"). Jak łatwo się domyślić, zgubny los można było sobie zgotować zwykłym malkontenctwem albo publicznym stwierdzeniem oczywistości – pierwsza w czasie wojny w Związku Radzieckim egzekucja za „szerzenie defetystycznych plotek" odbyła się właśnie w Leningradzie już na początku lipca. Setki zwyczajnych ludzi aresztowano za narzekanie na zbyt długi czas pracy, przewidywanie nieudanych zbiorów czy przekazywanie wiadomości o zbombardowaniu Kijowa i Smoleńska[16].

Jednym z najznamienitszych leningradczyków, którzy zniknęli bez śladu w owym czasie, był purnonsensowy pisarz Daniił Juwaczow, lepiej znany pod literackim pseudonimem Daniił Charms. Ten wywodzący się z awangardy lat dwudziestych autor był znany jako ekscentryk: studiował wiedzę tajemną, pił wyłącznie mleko, a w pobliżu swojego mieszkania przy ulicy Majakowskiego paradował w czapeczce *à la* Sherlock Holmes, myśliwskiej kurtce, obszernych spodniach do kolan i kraciastych skarpetkach, z zegarkiem wielkości spodka w kieszeni. Okruchy jego utworów prozatorskich i dramatycznych – opublikowane dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych – oddają z dużą dawką czarnego humoru ponurą rzeczywistość wszechwładnej biurokracji i nieokiełznanej państwowej przemocy, tak charakterystyczną dla jego czasów. W jednym dziele bohater wciąż śni o milicjancie ukrywającym się w krzakach, chudnąc przy tym w oczach, dopóki inspektor sanitarny nie nakazuje go zgnieść i wyrzucić do śmieci. W innym ciekawskie stare kobiety wychylają się z okna, wypadając jedna po drugiej na ulicę.

W kolejnym przyjaciele sprzeczają się o to, czy liczba siedem jest przed czy po liczbie osiem, a od tych rozważań odrywa ich dopiero dziecko, które „szczęśliwie" spadając z parkowej ławki, łamie sobie szczękę. Charms został aresztowany w sierpniu i osadzony w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zmarł z nieznanych przyczyn dwa miesiące później. Czemu akurat on? Historyk badający okres oblężenia Leningradu Harrison Salisbury ujął to tak: „być może dlatego, że nosił śmieszny kapelusz".

Dobrowolność z pierwszych dni wojny niebawem stała się obowiązkowa. W piątek 27 czerwca – szybciej niż na pozostałym terenie Związku Radzieckiego[17] – rada miejska Leningradu wydała rozkaz mobilizacji dla wszystkich sprawnych fizycznie mężczyzn w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat, a także dla wszystkich kobiet, z wyłączeniem tych w wieku od szesnastu do czterdziestu pięciu lat, opiekujących się małymi dziećmi, w celu zapewnienia obrony cywilnej miasta. Większość zmobilizowanych wysłano na przedmieścia do kopania rowów przeciwczołgowych, pozostałym przydzielono pracę w mieście polegającą zarówno na kopaniu schronów przeciwlotniczych, kamuflowaniu budynków publicznych (cały Instytut Smolny ukryto za siatką maskującą, a grupa alpinistów amatorów przemalowała złoconą iglicę budynku Admiralicji na szaro), jak również na przystępowaniu do nowo tworzonych ekip strażackich, saperskich oraz pierwszej pomocy, a wreszcie na zastępowaniu robotników fabrycznych zaciągniętych do regularnego wojska. Spora część odpowiedzialności za sprawny przebieg tego przedsięwzięcia spadała na wszechobecnych i powszechnie nielubianych *uprawdomów*, to jest zarządców bloków mieszkalnych, którym przyznano prawo do przydzielania poszczególnych zadań w ramach obrony cywilnej, a także do sprawdzania pozwoleń na pobyt i składania doniesień na osoby uchylające się od mobilizacji[18].

Całe to zamieszanie wzbudzało wiele wesołości u dzieci. Jurij Riabinkin pomagał budować schrony bombowe nieopodal soboru Kazańskiego (o czym z dumą pisał: „na obu rękach mam odciski i zadry"), ładował piasek („chłopcy zrobili z piasku gębę Hitlera i walili

po tej gębie łopatami") oraz spędzał czas na grze w bilard i w szachy w pałacu Pionierów albo zaczytywał się w *Davidzie Copperfieldzie*[19]. Mały Igor Kruglakow, pozostawiony sam sobie, wybrał się na wycieczkę do Ogrodów Taurydzkich, gdzie podziwiał srebrne balony zaporowe unoszące się nad parkowymi ścieżkami niczym wielkie wieloryby, a także do Muzeum Suworowa, którego dozorca wpuścił go na dach, żeby mógł sobie popatrzeć na jego gołębie pocztowe. Zaciemnienia, niezbyt skuteczne podczas krótkich i jasnych letnich nocy, wprowadzono 27 czerwca, przy okazji wydając dzieciom fosforyzujące plakietki w kształcie robaczków świętojańskich albo róż, co miało zapobiec ewentualnym wypadkom. Na poddaszach składowano piasek, malowano je wapnem, aby utrudnić proces palenia się, na szybach w oknach naklejano rolki papieru czy wręcz bandaży, by ograniczyć ich tłuczenie. Takie naklejanie rolek miało, jak wyjaśnia Ginzburg, „efekt kojący, pozwalający ludziom zająć się czymś, zamiast biernie wyczekiwać. Ale było w tym również coś przejmującego i dziwnego, przywodzącego na myśl nieskazitelną biel oddziału szpitalnego, w którym tymczasem nie ma jeszcze rannych, ale bez wątpienia wkrótce się pojawią". Byli też tacy, którym efekt końcowy wydawał się całkiem ładną dekoracją, podobną nieco do ogrodowych kratownic czy rzeźbionych okiennic w wiejskich domach bogatych chłopów. Mieszkańcy kamienicy przy Fontance stworzyli cały rysunek składający się z palm i siedzących pod nimi małp, ale najczęściej spotykanym wzorem były po prostu dwie krzyżujące się linie proste, co sprawiało, że dominującym motywem wizualnym okresu oblężenia stał się krzyż świętego Andrzeja.

Dmitrij Lichaczow, zwolniony z poboru ze względów zdrowotnych, musiał mimo to odbyć szkolenie wojskowe u boku swoich kolegów z Domu Puszkina.

„My, posiadacze «białych biletów», zostaliśmy wcieleni do oddziałów samoobrony Instytutu; wydano nam dwulufowe karabiny i poddano szkoleniu na dziedzińcu przed budynkiem Wydziału Historycznego. Pamiętam, że pośród maszerujących byli B. P. Gorodiecki i W. W. Gippius. Ten drugi maszerował w przezabawny sposób, na

paluszkach, wychylając ciało mocno do przodu. Nasz instruktor śmiał się z niego pod nosem, podobnie zresztą jak wszyscy inni…”

Lichaczow przezornie gromadził też zapasy żywności, namawiając przy tym członków rodziny, by odbierali w całości swoje, początkowo bardzo hojne, przydziały chleba, który następnie kroili w kromki i suszyli, kładąc je na nasłonecznionym parapecie okiennym. Gdy nazbierało się ich wystarczająco dużo, napełniali nimi poszewkę, którą zawieszali wysoko na ścianie, gdzie nie mogły się dobrać do niej myszy. Dodatkowo zachęcał też rodzinę, by wykupywała wszystko, co tylko się da, z błyskawicznie pustoszejących sklepów, których witryny zasłonięto już i zabito deskami, wszelkie szpary zaś wypełniono ubitą ziemią. Później żałował, że nie kupili więcej.

„Zimą, gdy leżałem w łóżku, myślałem tylko o jednym, aż głowa mnie od tego bolała – wtedy na półkach sklepowych leżały jeszcze konserwy rybne. Dlaczego ich nie kupiłem? Dlaczego kupiłem tylko jedenaście słoików tranu i nie wróciłem do apteki po raz piąty, by przynieść jeszcze trzy kolejne? Dlaczego nie kupiłem choć trochę witaminy C i tabletek glukozy? Wszystkie te «dlaczego» strasznie mnie dręczyły. Myślałem o każdej niedojedzonej misce zupy, o każdej wyrzuconej skórce od chleba, o każdej obierce ziemniaka z takim poczuciem winy i desperacją, jakbym był nieledwie mordercą moich własnych dzieci. Ale i tak zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, a przede wszystkim nie uwierzyliśmy w żadne uspokajające zapewnienia, które płynęły z radia”[20].

Gieorgij Kniaziew, dyrektor archiwów Akademii Nauk, poruszał się na wózku inwalidzkim, odkąd dotknął go paraliż nóg. Dzień w dzień z mozołem przemierzał na nim ten sam ośmiusetmetrowy odcinek ulicy wzdłuż nabrzeża Wyspy Wasiljewskiej, od wyłożonego płytami z brązu Domu Akademików, w którym mieszkał, mijając parę wypolerowanych sfinksów przywiezionych z Luksoru przez Mikołaja I, pałac Mienszykowa z pięknym dwuspadowym dachem oraz obsadzony lipami plac Rumiancewa, by dotrzeć do portyku Akademii. Na przeciwległym brzegu rozciągała się monumentalna panorama Leningradu: na lewo, za mostem Pałacowym, wielkie rokokowe gmachy Ermitażu i Pałacu Zimowego, w ich tle majaczące w oddali anioł na placu Pałacowym oraz

czubek bajecznie kolorowej kopuły soboru Zbawiciela na Krwi; na wprost budynek Admiralicji z charakterystyczną spiczastą iglicą; po prawej jajowata kopuła soboru Świętego Izaaka, a za nią słynny posąg konny Piotra Wielkiego dłuta Falconeta, znany jako „Jeździec Miedziany", wyrastający z wielkiej granitowej podstawy. Właśnie ten odcinek chodnika i ten widok tworzyły, wedle słów samego Kniaziewa, jego „promień świata", wąskie okienko, przez które miał on postrzegać całe oblężenie. Będąc człowiekiem przyziemnym i przywiązanym do konwencji (swój dziennik zadedykował, z niezamierzoną zapewne ironią, „Dla Ciebie, daleki przyjacielu, członku przyszłego społeczeństwa komunistycznego, któremu wojna będzie obca i bezgranicznie wstrętna, tak jak wstrętne jest nam przeciwne naturze ludożerstwo"[21]), spędzał pierwsze dni wojny na słuchaniu radia („Muszą przecież powstać ludy Europy!"), porządkowaniu apteczki pierwszej pomocy („na wypadek oparzeń i ran"), a także na podejmowaniu wielokrotnych prób zmobilizowania swoich podwładnych, którzy wykazywali tendencję do „pilnowania krzeseł w gabinecie prezesa", zamiast zajmować się porządkowaniem archiwów. Tak opisuje on swoją wizytę w biurze administracji archiwów, w starym budynku Senatu, którą odbył 2 lipca:

„Na schodach, na których niegdyś pobrzękiwała szabla oficera gwardii Lermontowa (...), teraz po prawej stronie kołysze się kawałek szyny zawieszonej na grubym drucie obok metalowego pręta – bijaka. To na wypadek alarmu chemicznego. Na górnym podeście ciemno – palą się niebieskie żarówki. Szedłem korytarzem niemal po omacku i czułem się tak jak na spektaklach Meyerholda.

Niesamowite wrażenie miałem w archiwum IRLI [Instytutu Literatury Rosyjskiej]. Nie poznałem sal roboczych. Wszędzie jakiś chaos... Za posągiem Aleksandra Wsiewołowskiego stoją dwie czterdziestowiadrowe beczki z wodą, jedna już przecieka, wszędzie widać skrzynie z piaskiem i łopatami; w korytarzu przeciągnięty jest wąż przeciwpożarowy. Obok sali Puszkina skrzynie na materiały archiwalne. Jedne są puste, inne napchane po brzegi. Trzeba oddać sprawiedliwość – rękopisy Puszkina są idealnie zapakowane... Ale wszędzie nerwy, niepokój. Tuż obok skrzyń jeden z pracowników

dyktuje maszynistce artykuł o faszyzmie. Ktoś opisuje materiały przeznaczone do zapakowania w skrzyniach… Niosą torby z piaskiem".

Jelena Skriabina postanowiła uciec przed wojną i zmniejszyć prawdopodobieństwo aresztowania, wynajmując daczę (ich ceny gwałtownie poszły wówczas w dół) nieopodal Puszkina, miasta zwanego wcześniej Carskim Siołem, które wyrosło wokół dawnych rezydencji letnich rosyjskich władców. Tam wraz z dziećmi spędzała czas, spacerując w słońcu po wspaniale urządzonym parku Katarzyny. „Niebieskie niebo, niebieskie jezioro i zielona linia brzegu. Było tu tak spokojnie. Nie słychać było żadnych głosów. Nikt nie przechadzał się alejkami. Tylko gdzieś tam, w oddali, srebrzyste mury pałaców pobłyskiwały zza gęstej zieleni"[22]. Jednak podczas cotygodniowych wizyt w mieście nie sposób było ignorować rzeczywistości. Jelena martwiła się możliwością ataku gazowego (jak się miało okazać – niepotrzebnie; maski przeciwgazowe wprawdzie wydano, ale nigdy ich nie użyto), lecz także perspektywą głodu, „bo wszystkie te zapewnienia w gazetach o tym, jak olbrzymie mamy zapasy żywności, to bezczelne kłamstwa". Jej sąsiadka, Kurakina, szeptem opowiadała o tym, jak ciężko bity był w obozie jej mąż, który właśnie wrócił, przerażony i na wpół głuchy, a samoloty latające wysoko nad głowami mieszkańców znaczyły bezchmurne niebo długimi smugami, co stało się nowym powodem do niepokoju dla leningradczyków, podejrzewających, że jest to jakiś nieznany im system namierzania.

Dopiero 3 lipca, a więc jedenaście dni po rozpoczęciu inwazji, Stalin zdecydował się wygłosić swoje pierwsze wojenne przemówienie radiowe. Niedopracowane, ale bardzo bezpośrednie (znaczący był choćby brzęk szklanki o zęby, gdy popijał z niej wodę), było ono – zdaniem moskiewskiego korespondenta BBC Aleksandra Wertha – „wielką mową ku pokrzepieniu serc, mową o krwi, pocie i łzach, porównywalną jedynie ze słynną mową Churchilla wygłoszoną po Dunkierce"[23]. Rozpoczynająca się w niespotykanym dotąd nieformalnym, niemal błagalnym tonie („Towarzysze, obywatele, bracia i siostry! Apeluję do was, przyjaciele!"), wzywała naród do totalnej wojny, nawiązując do tradycji walki z wojskami napoleońskimi.

Produkcja miała przekraczać wszelkie normy, a „marudy, tchórze, dezerterzy i panikarze" mieli trafić przed sąd wojenny. Na drodze marszu faszystowskich ciemiężycieli nie wolno było pozostawić „ani kawałka torów kolejowych, ani kilograma chleba i ani litra oliwy", a na tyłach ich oddziałów partyzanci mieli wysadzać drogi, mosty i linie telefoniczne, a także podpalać lasy, magazyny z zapasami i konwoje z zaopatrzeniem. „Wrogowi i jego wspólnikom" należało stworzyć „warunki nie do zniesienia", a przy tym „na każdym kroku ich ścigać i niszczyć". Stalin kończył swoje przemówienie jeszcze jednym dobitnym podkreśleniem tej myśli przewodniej: „Wszystkie siły narodu muszą zostać skierowane na zgniecenie wroga. Naprzód, ku Zwycięstwu!".

Tak w Leningradzie, jak wszędzie indziej mowa ta przyczyniła się do pewnego opanowania nastrojów. Jak wspomina Werth, w moskiewskich kinach publiczność wpadała w szalony entuzjazm, ilekroć na ekranie pojawiał się Stalin, „co, zważywszy na ciemności, raczej nie zdarzałoby się, gdyby ludzie naprawdę nie czuli takiej potrzeby"[24]. Stalin w dużym stopniu umniejszał sukces planu Barbarossa, utrzymując, że Niemcy ponoszą ciężkie straty, wobec czego Rosjanie uznali, że najgorsze już za nimi i teraz ich sytuacja wygląda dość stabilnie. Siedemdziesięcioletnia akwarelistka Anna Ostroumowa-Lebiediewa (która pobierała nauki pod okiem Riepina, Baksta i Whistlera, a przy tym przeżyła aż trzech carów) słuchała tego przemówienia wraz z pokojówką Niuszą w swoim mieszkaniu nieopodal Dworca Fińskiego na leningradzkiej Wyborskiej Stronie. W dzienniku zapisała: „Dziś wysłuchałam z poruszeniem i mocniej bijącym sercem mądrych słów towarzysza Stalina. Jego słowa napełniły moją duszę spokojem, nadzieją i radością"[25].

Malarka czułaby się z pewnością mniej uspokojona, gdyby wiedziała, jak daleko naprawdę posunęli się Niemcy. Pierwszych jedenaście dni wojny było bowiem dla Związku Radzieckiego druzgocącą porażką. Na jego podbój wyruszyły największe siły najeźdźcze, jakie kiedykolwiek zdołano zmobilizować: 4 miliony żołnierzy armii niemieckiej i wojsk państw Osi, 3350 czołgów, 7 tysięcy dział polowych, ponad 2 tysiące samolotów i 600 tysięcy koni. Zwłaszcza na północy Armia Czerwona

musiała stawiać czoło przeważającym siłom wroga, mając 370 tysięcy żołnierzy w zestawieniu z 655 tysiącami, którymi dysponował Wehrmacht. (Liczba dział, czołgów i samolotów bojowych była mniej więcej podobna)[26]. Niemcy byli również lepiej dowodzeni i zorganizowani. Grupa Armii „Północ" – jedna z trzech, które zaatakowały wzdłuż całej granicy rosyjsko-niemieckiej – była prowadzona przez feldmarszałka Wilhelma Rittera von Leeba, sześćdziesięciopięciolatka, który całe swoje życie poświęcił służbie wojskowej i który poprowadził zwieńczony sukcesem atak na Linię Maginota. Podlegał mu generał Ernst Busch, dowodzący 16 Armią, a także generał Georg von Küchler, dowódca 18 Armii, opromieniony niedawną wiktorią we Francji. Opancerzoną szpicą Grupy Armii „Północ" była 4 Grupa Pancerna, dowodzona przez generała Ericha Höpnera, mającego pod sobą dwóch generałów poruczników: Hansa Reinhardta i Ericha von Mansteina, którzy należeli do najwybitniejszych dowódców wojsk pancernych w całej armii Hitlera. Tymczasem Grupa Północno-Zachodnia Armii Czerwonej utraciła dowództwo w wyniku czystek przeprowadzonych przez Stalina i przechodziła właśnie dramatyczne przegrupowanie i reorganizację. Przeważająca część jej jednostek była niedostatecznie obsadzona ludźmi, a w dodatku niektórym oddziałom nawet nie wydano ostrej amunicji. Także jej umocnienia były zdecydowanie niewystarczające: do czerwca 1941 roku armia ta w dużej mierze porzuciła bunkry znajdujące się na starej granicy sprzed roku 1939 – tak zwanej Linii Stalina – a nie zdążyła jeszcze ukończyć wznoszenia kolejnych fortyfikacji położonych dalej na zachód.

Przede wszystkim jednak Niemcy mieli przewagę zaskoczenia. Kiedy radzieccy strażnicy graniczni zerwali się na równe nogi, słysząc odgłos wybuchających pocisków rankiem 22 czerwca, wielu z nich jeszcze nie otrzymało spóźnionego, bo wydanego zaledwie niecałe trzy godziny wcześniej, rozkazu Stalina o wprowadzeniu stanu pełnej gotowości bojowej. Osłupiali i bojący się podjąć samodzielnie jakąkolwiek decyzję niżsi rangą oficerowie zaczęli telegrafować, pytając o rozkazy: „Strzelają do nas! – brzmiała typowa wówczas wiadomość – Co mamy robić?". Również siły powietrzne nie miały czasu się przygotować: piloci

Luftwaffe ze zdumieniem obserwowali radzieckie samoloty stojące w równym rządku, bez żadnego kamuflażu, na lotniskach polowych. Zresztą nawet te, które zdołały wzbić się w powietrze, także stanowiły dla nich łatwy cel. „Rosjanin znalazł się daleko za naszymi liniami, więc wstrzymałem ogień – pisał o jednym z takich przypadków fiński as przestworzy – choć nie jestem wcale pewien, czy mógłbym się zebrać do wykończenia takiej kaczki podanej mi jak na talerzu… Zresztą, jego niepewny lot wskazywał, że było to ledwie nieopierzone kaczątko". Łącznie w pierwszym dniu wojny zostało zniszczonych 1200 samolotów w 66 bazach, z czego trzy czwarte w ogóle nie wzbiło się w powietrze[27]. Do końca roku Niemcy zapewnili sobie absolutną hegemonię w przestworzach i jedynym ograniczeniem w swobodnym bombardowaniu i ostrzeliwaniu celów z powietrza było dla nich wciąż jeszcze odczuwalne uszczuplenie sił po bitwie o Anglię. Naloty na Leningrad zaczęły się jednak dopiero na początku września, co wynikało z opóźnień w naprawie lotnisk, które samo Luftwaffe wcześniej zbombardowało. Miasto zostałoby też zniszczone w znacznie większym stopniu, gdyby nie dysponowało setkami reflektorów, dział przeciwlotniczych i „nasłuchiwaczy" – urządzeń akustycznych w kształcie gigantycznych tub gramofonowych potrafiących wychwycić zbliżanie się eskadr bombowców, nierzadko tych samych, które dwanaście miesięcy wcześniej dokonywały powietrznych ataków na Londyn.

Piechota niemiecka szturmuje wieś na Froncie Wschodnim, czerwiec 1941 roku.

Mając po swojej stronie przewagę liczebną, lepsze dowodzenie, element zaskoczenia i dominację w powietrzu, Grupa Armii „Północ" posuwała się naprzód ze zdumiewającą prędkością. Przed leningradczykami skrzętnie ukrywano fakt, że trzy dni po rozpoczęciu działań wojennych oddziały pancerne von Leeba przemierzyły już niemal całą Litwę, a następnego dnia opanowały przyczółek na przeciwległej, łotewskiej stronie rzeki Dźwiny, której wojska carskie skutecznie broniły w latach 1915–1917. „Nie spodziewam się, bym kiedykolwiek jeszcze miał doświadczyć czegoś porównywalnego z tym pełnym impetu natarciem – napisał von Manstein w swoich (niezwykle wybiórczych) wspomnieniach. – Stanowiło to spełnienie marzeń każdego dowódcy czołgu". Na Litwie i Łotwie, gdzie przeważająca część ludności z radością przyjęła przepędzenie Sowietów, kobiety wręczały niemieckim żołnierzom bukiety kwiatów, a nacjonalistyczne oddziały zbrojne z ochotą przyłączyły się do walk, jak również do linczowania Żydów.

Kiedy Niemcy parli naprzód w błyskawicznym ataku, Armia Czerwona nie była nawet w stanie zapewnić sobie odpowiedniej łączności. Komunikaty wykrzykiwane przez telefon urywały się w pół słowa, sztabowe auta lawirowały między palącymi się miejscowościami w poszukiwaniu stanowisk dowodzenia. Rozkazy, jeśli w ogóle jakieś docierały, były nieaktualne, na przykład nakazywały oficerom użycie w walce nieistniejących już oddziałów albo obronę pozycji znajdujących się teraz daleko na tyłach Niemców. Dość typowy był przypadek 5 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców. Podobnie jak inne jednostki nadgraniczne nie wchodził on w skład regularnego wojska, ale stanowił część rozległej sieci aparatu bezpieczeństwa, to jest Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, czyli NKWD. Prawdopodobnie pułk ten został kompletnie zaskoczony wybuchem wojny. 22 czerwca o godzinie dziesiątej rano przemieszczał się na północ drogą z Wilna w kierunku Rygi, gdy znienacka wpadł pod ostrzał prowadzony z powietrza przez niemieckie stukasy. „Miasto Szawle (Šiauliai) stało w ogniu – raportowano z pułku – a niemieckie samoloty z całą brutalnością postępowały z uciekinierami i oddziałami znajdującymi się na drodze. Stało się dla nas jasne, że zaczęła się wojna". Pułk schronił się w pobliskim lesie, gdzie dotarł doń łącznik z rozkazami natychmiastowego podążania do łotewskiego portu Rygi, w którym wybuchły „niepokoje". Po przybyciu na miejsce pułk zastał miasto opanowane przez powstanie antyradzieckich partyzantów łotewskich, którzy pozakładali stanowiska karabinów maszynowych na kościelnych wieżach, strychach oraz w najwyższych oknach nowoczesnych domów mieszkalnych w stylu *art nouveau*. Kwatery Armii Czerwonej i NKWD, podobnie jak siedziba Łotewskiej Partii Komunistycznej i dworzec kolejowy, znalazły się pod ostrzałem. Zmobilizowawszy siły z lokalnego garnizonu, pułk „wciągnął piątą kolumnę w ciężkie walki. Na ostrzał z okien, wież i dzwonnic odpowiedziano ogniem z karabinów maszynowych oraz czołgów". Ponadto z miejsca rozstrzelano też stu dwudziestu „drani spośród schwytanych przedstawicieli piątej kolumny", a także przystąpiono do działań odwetowych wobec ludności cywilnej: „Nad ciałami naszych poległych towarzyszy żołnierze pułku złożyli przysięgę, że bez litości zmiażdżą faszystowskie gady i jeszcze

tego samego dnia burżuje z Rygi odczuli na swojej skórze smak naszej zemsty".

Wszystko to na nic się zdało. Choć zdemoralizowane i zdekompletowane oddziały wycofującej się 8 Armii dotarły do miasta 30 czerwca, już pięć dni później Sowieci musieli opuścić Rygę i kontynuować odwrót na północ w głąb Estonii. Cała operacja przebiegała w kompletnym nieładzie: most kolejowy w Rydze wysadzono, zanim wszystkie radzieckie jednostki zdołały wyjechać z miasta, a pośród tych, które pozostały, znalazł się kolejny pułk straży granicznej, o którym później zaginął wszelki słuch – jak to zwięźle ujmuje raport 5 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców, „ponieważ ani oficerowie, ani żołnierze 12 Oddziału Granicznego nie pojawili się po bitwie, brak jest jakiejkolwiek dokumentacji". 10 lipca dotarły rozkazy od Żdanowa, by kolejną linią obrony uczynić rzekę Navesti, którą w rzeczywistości Niemcy zdążyli już przekroczyć. Po ciężkiej dwugodzinnej bitwie Armia Czerwona w nieładzie wycofała się w kierunku miasta Võhma. „Przed Võhmą odbywała się regularna rzeź. Rozwścieczeni faszyści, niczym w pijackim szale, robili wszystko, by wyrwać się z miasta, ale przy użyciu ognia oraz bagnetów żołnierze i dowódcy 320 Pułku Strzelców oraz 5 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców powstrzymali napór wroga". W tym czasie z 5 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców nie zostało już zapewne zbyt wiele, ponieważ otrzymał on rozkaz oddania się pod dowództwo innego pułku z tej samej dywizji, a także utrzymania pozycji w Võhmie i „zawracania, jeśli to konieczne, przy użyciu ognia, dezerterów". Takie żądanie było niemożliwe do spełnienia: „bezustannie" ostrzeliwani przez Niemców uciekający żołnierze i cywile znajdowali się na wszystkich drogach wychodzących z miasta[28].

Panorama zniszczonego starego miasta w Rydze, wrzesień 1941 roku.

Podczas gdy Sowieci pośród krwawych walk wycofywali się z Rygi, na wschodzie pancerne oddziały Reinhardta przełamały starą Linię Stalina w Ostrowie, na granicy rosyjsko-estońskiej sprzed roku 1940. To właśnie tutaj bielone wapnem obejścia i uporządkowane szachownice pól charakterystyczne dla krajów bałtyckich ustępowały miejsca krajobrazowi właściwej Rosji – nieuregulowanym groblami czy systemami nawadniającymi łąkom i mokradłom porośniętym olchami, wierzbami czy karłowatymi brzozami, pełnym trzciny stawom, drewnianym chatynkom, omszałym i zniszczonym przez czas, z nieodłącznymi przydomowymi poletkami kartofli, ogrodzonym koślawymi płotami ze sztachet i z trudem widocznym zza wybujałych kęp zielska i chwastów. 8 lipca Reinhardt zajął między innymi Kreml i czterdzieści cerkwi w średniowiecznym Pskowie, ważnym węźle drogowym i kolejowym na drodze na wschód. Także i tutaj Sowieci wysadzili w powietrze kluczowy most, zanim zdążyły po nim przejść wszystkie wycofujące się oddziały. W rezultacie porzucono 206 z 215 karabinów maszynowych, a pozostawieni sami sobie żołnierze musieli

przekroczyć rzekę wpław, chwytając się pływających po niej pni drzew. W zaledwie siedemnaście dni Wehrmacht posunął się naprzód o niewiarygodne 450 kilometrów i nie tylko zajął całe terytorium niedawno przyłączonych do Związku Radzieckiego i niespecjalnie wobec niego lojalnych państw bałtyckich, ale też wkroczył na tereny rdzennie rosyjskie, zagrażając Leningradowi[29].

W samym mieście jednak niewielu w pełni rozumiało nadciągające zagrożenie. Bynajmniej nie dlatego, że nie próbowano. „Po przebudzeniu – pisała młoda matka Jelena Koczina – rzucamy się do radia. Popijamy stygnącą herbatą gorzkie pigułki komunikatów…" Jak wspominała Lidia Ginzburg: „Głód informacji był wszechpotężny. Pięć razy dziennie ludzie rzucali wszystko, cokolwiek akurat robili, i biegli do najbliższego głośnika. Gotowi byli słuchać każdego, kto był choćby o metr bliżej linii frontu od nich, ale także urzędów rządowych czy jakiegokolwiek innego źródła informacji"[30].

Tymczasem władze robiły wszystko, co w ich mocy, by do ludzi nie docierały wiarygodne informacje. Jedyną instytucją władną wydawać oficjalne komunikaty było Radzieckie Biuro Informacyjne, utworzone trzy dni po wybuchu wojny i znane pod skróconą nazwą Sowinform. Jego ogłaszane dwa razy dziennie biuletyny celowo formułowano bardzo ogólnikowo, wspominając na przykład o walkach „na odcinku" danych miast czy o anonimowych „skupiskach ludności N", które właśnie utracono bądź odzyskano. (Taka konwencja nawiązywała do dziewiętnastowiecznego charakteru powieści rosyjskiej. Na przykład *Martwe dusze* Gogola zaczynają się opisem powozu przejeżdżającego przez bramę gospody „w mieście N na prowincji"). Zamiast przyznawać się do porażek, nagłaśniano mało wiarygodne dowody jednostkowych zachowań bohaterskich, które korespondent wojenny Wasilij Grossman określał pogardliwie mianem opowieści o „Iwanie Pupkinie zabijającym pięciu Niemców za pomocą łyżki". O wielkich klęskach na polu bitwy informowano dopiero po kilku dniach od ich poniesienia. Walki „na odcinku" Pskowa wspomniano dopiero 12 lipca, a więc cztery dni po

tym, jak miasto padło, a jeszcze dwanaście dni później mówiono o tym jako o „polu bitwy", po czym temat w ogóle wypadł z obiegu[31].

Praktycznym skutkiem tej dezinformacji było między innymi to, że wielu rodziców dzieci wysłanych na wieś na wakacje nie zdążyło ich odebrać przed opanowaniem tych terenów przez szybko posuwające się naprzód wojska niemieckie. Omal nie stało się to udziałem również kilku znajomych Jeleny Skriabiny. 8 lipca jej sąsiadka Lubow Kurakina, której mąż dopiero co powrócił jako strzęp człowieka z gułagu, z trudem zdołała ściągnąć dzieci z Białorusi, znajdującej się już wówczas częściowo pod okupacją niemiecką:

„Mówi, że widziała niemieckiego żołnierza zaledwie kilka kroków dalej. Powiedziała, że się go nie bała, bo przecież Niemcy są takimi samymi ludźmi jak my. Bała się tylko tego, że mogą u niej znaleźć ukrytą w pończosze legitymację partyjną... Wszystko jednak skończyło się dobrze. Odnalazła swoje dzieci. Część drogi powrotnej przebyli pociągiem, część ciężarówką, a w niektórych miejscach szli pieszo".

Kolejna znajoma miała to szczęście, że jej mąż, „zaufany pracownik" (co w komunistycznym żargonie oznaczało uprzywilejowanego oficjela partyjnego), mógł skorzystać ze służbowego samochodu, którym przywiózł ich trzyletnią córeczkę. „Dzięki temu udało mu się objechać wiele miast i miasteczek. Ale i tak miał dużo szczęścia, że ją odnalazł. Przywiózł ją ubraną jedynie w zieloną piżamkę"[32]. Historyk Angielina Kupajgorodska, która w chwili wybuchu wojny miała jedenaście lat, wspomina, jak personel jej obozu pionierskiego po prostu porzucił swoje stanowiska pracy:

„Mieliśmy się wybrać na jakąś wycieczkę, coś w rodzaju pieszej wędrówki. Ale zaraz nam powiedziano, że jednak jej nie będzie. Minęły dwie albo trzy godziny, aż wreszcie kazano nam ustawić się w szeregu i oznajmiono, że zaatakował nas Hitler. W jednej chwili wszystko się zmieniło. Wcześniej posiłki były tak dobre jak w sanatorium, ale od tej chwili jedliśmy już tylko kaszę. Zniknęli gdzieś wszyscy mężczyźni, a jedynymi dorosłymi, jacy z nami zostali, były panie kucharki. Obóz podobno się skończył, ale nikt nie przyjechał, żeby nas odebrać. Szwendaliśmy się więc bez celu. Nikt nam niczego nie tłumaczył.

Chodziły tylko plotki, że podobno mamy być wysłani do Moskwy i mieszkać pod ziemią w metrze".

Angielina wysłała do domu wiadomość poprzez inne dziecko i tylko dzięki temu rodzice pod koniec lipca przyjechali ją wreszcie odebrać. „Nie mam pojęcia, co się stało z pozostałymi dziećmi. Do tego czasu nie odebrano jeszcze wielu z nich, a Niemcy byli już bardzo blisko"[33].

Ze strachu przed oskarżeniami o tchórzostwo nawet wojskowy wydział komunikacji wewnętrznej w swoich raportach bardziej dbał o poprawność retoryczną niż o zgodność z faktami. Raport z 31 lipca głosił: „Ledwie tylko wioska Polana znalazła się pod naszym ostrzałem, a już z domów zaczęli wyskakiwać Niemcy z opuszczonymi gaciami. Także żołnierze z okopów wzięli nogi za pas... Z okrzykami «Hurra!» nasz batalion runął na faszystów. W ruch poszły granaty, bagnety, kolby karabinów i zapalone butelki. Rezultat był zdumiewający". 2 lipca oddziały graniczne NKWD, które zaszyły się w „domu dawnego kułaka" pod Ostrowem, znalazły się pod ostrzałem pięciu wrogich czołgów. „Z naszej siedziby, całej w ogniu, młodszy *politruk* [kierownik polityczny] Broitman, dwukrotnie już ranny w klatkę piersiową, prowadził ostrzał wroga, nie pozwalając mu otworzyć włazów czołgowych. Obok niego nasz *starszyna* [starszy sierżant], towarzysz Nagorski, bohatersko raził nieprzyjaciela ogniem z karabinu maszynowego. Krwawiąc obficie, z heroiczną odwagą zabezpieczyli oni odwrót oddziału na nowe pozycje. Obaj padli na polu bitwy, bohatersko broniąc powierzonego im odcinka"[34].

Znacznie bliższy rzeczywistości był cyniczny i popularny w owych czasach dowcip. Porucznikowi Armii Czerwonej siedzącemu w porzuconej na poboczu drogi niemieckiej ciężarówce ktoś radził, żeby uciekał, bo jeszcze go zastrzelą. „A niby kto? – mówi na to porucznik. – Niemcy pomyślą, że to ich człowiek, a nasi pouciekają"[35].

Przez pierwsze tygodnie wojny Grupa Północno-Zachodnia Armii Czerwonej znajdowała się w niemal całkowitej rozsypce. Raporty wewnętrzne wielokrotnie opisują odwrót oddziałów „w pojedynkę i małymi grupkami", co jest eufemistycznym określeniem panicznej ucieczki. Odcięta przez błyskawiczną ofensywę Niemców ogromna

część rosyjskich żołnierzy błąkała się po zdewastowanej okolicy, usiłując albo przedostać się za linię wroga do swoich jednostek, albo wręcz poddać się nieprzyjacielowi. Ulotki zrzucane z powietrza instruowały ich, że są teraz partyzantami, i dodawały im otuchy wieściami o powstaniu nowego sojuszu sowiecko-brytyjskiego[36]. Jeńców było tak wielu, że Niemcy po prostu spędzali ich do najbliższych wolnych budynków na opanowanym już terenie i zostawiali tam bez jedzenia, dostępu do sanitariatów czy czystej wody. Za to tych, którym rzeczywiście udało się dołączyć do swoich oddziałów, natychmiast podejrzewano o tchórzostwo, dezercję albo szpiegostwo. Choć Armia Czerwona dobrze przecież znała warunki terenowe, według Haldera próby kontrataków podejmowano „w sposób, który jasno pokazuje, że ich dowództwo jest całkowicie pogubione. Również taktyka stosowana w tych natarciach jest wybitnie słaba. Strzelcy umieszczeni na ciężarówkach nacierają u boku czołgów wprost na naszą linię ognia, wobec czego nieuniknione są ciężkie straty pośród oddziałów wroga". Jak oceniał Halder, przed 3 lipca od dwunastu do piętnastu z dwudziestu jeden dywizji piechoty oraz pancernych Grupy Północno-Zachodniej Armii Czerwonej zostało unicestwionych[37].

Ów powszechny zamęt był jeszcze potęgowany przez śmiertelnie groźną praktykę szukania kozłów ofiarnych pośród najwyższych dowódców Armii Czerwonej. Najbardziej prominentną ofiarą takich działań był generał Dmitrij Pawłow, dowódca Frontu Zachodniego, aresztowany 4 lipca i stracony 22 lipca wraz z trzema podkomendnymi. Natomiast generał Iwan Kopiec, szef dowództwa radzieckiego lotnictwa bombowego, oszczędził NKWD kłopotu, popełniając samobójstwo już drugiego dnia wojny. Na niższych szczeblach dowodzenia trudna do oszacowania liczba oficerów stanęła przed sądami wojskowymi i została rozstrzelana na miejscu za „tchórzostwo", czyli nakazanie odwrotu bez wyraźnego rozkazu[38].

Z Moskwy generał Żukow zachęcał do krwawej rozprawy z takimi „zdrajcami". „Dowódcy wycofujący się z linii obrony bez rozkazu i zdradziecko poddający swoje pozycje – grzmiał w telegramie z 10 lipca – dotychczas nie ponosili żadnej kary. Również wasze bataliony pościgowo-niszczycielskie [specjalne oddziały NKWD odpowiedzialne

za wyłapywanie dezerterów] wydają się procedować zbyt opieszale – nie ma żadnych widocznych rezultatów ich działania". Przedstawiciele Rady Wojskowej i prokuratora wojskowego mieli „natychmiast udać się do jednostek frontowych i na miejscu uporać się z tchórzami i zdrajcami"[39]. Nie dziwi więc służalczy ton wielu raportów z linii frontu, które zwyczajowo podkreślają, że dany oddział walczył do „ostatniego naboju", zanim ostatecznie został zmuszony do odwrotu[40].

W przypadku Leningradu znaczący był los Kiriła Mierieckowa, czterdziestoczteroletniego generała o przysadzistej sylwetce i zadartym nosie, który swego czasu dowodził pierwszym, katastrofalnym etapem wojny z Finlandią, po czym na krótko go awansowano na stanowisko szefa sztabu generalnego, które stracił na rzecz Żukowa w styczniu 1941 roku. W pierwszych dniach wojny został aresztowany po tym, jak jego przyjaciel Pawłow złożył na niego donos o udziale w fikcyjnym spisku antyradzieckim. W więzieniu bito go gumowymi pałkami – czynił to inny jego były przyjaciel, a przy tym jeden z wyższych stopniem zastępców Ławrientija Berii – by we wrześniu na powrót powołać go do służby wojskowej. Gdy umytego i w pełnym umundurowaniu prowadzono go do gabinetu Stalina, po drodze spotkał swego prześladowcę, który przyjaźnie się z nim przywitał. Mierieckow z dużą odwagą odmówił uczestnictwa w tym teatrze hipokryzji, odpowiadając mu wprost: „Spotykaliśmy się na gruncie towarzyskim, ale teraz boję się was". Stalin zapytał Mierieckowa o zdrowie, po czym wysłał go jako przedstawiciela Stawki (Kwatery Głównej Najwyższego Naczelnego Dowództwa) do dowództwa Grupy Północno-Zachodniej Armii Czerwonej. Już do końca wojny pozostał on jednym z dwóch albo trzech najwyższych dowódców tej Grupy Armii, choć – co zrozumiałe, zważywszy na jego niedawne doświadczenia – wykazywał wyraźną niechęć do podejmowania jakichkolwiek własnych inicjatyw czy kwestionowania rozkazów[41].

Klimient Woroszyłow, 1940 rok.

Wykrwawianiu armii towarzyszyły przetasowania na najwyższych stanowiskach wojskowych. Leningrad miał to nieszczęście, że został przydzielony marszałkowi Klimientowi Woroszyłowowi. Ten próżny i wyjątkowo dbający o elegancję sześćdziesięciolatek o jasnoniebieskich oczach, ze starannie utrzymanym wąsikiem często jest opisywany jako typowy stary wiarus – mężny, ale o sztuce militarnej wiedzący niezbyt wiele (celuje w tym Harrison Salisbury, który przytacza historię o tym, jak to Woroszyłow osobiście poprowadził w bój grupę uderzeniową z bagnetami w dłoniach podczas jednego z wrześniowych natarć pod Krasnym Siołem, pisząc poetycko: „ich jasne włosy rozwiewał wiatr, ich twarze tchnęły świeżością, a ich miny były twarde i zacięte"; cóż, może rzeczywiście tak było). Faktycznie prezentował on nie tylko ignorancję

w sztuce wojskowej – jako komisarz obrony nadzorował przecież katastrofalnie przeprowadzony pierwszy etap wojny zimowej – ale też, podobnie jak Żdanow, był gorliwym mordercą zza biurka, organizatorem czystek sprzed zaledwie czterech lat, w wyniku których zginęła większa część wyższego korpusu oficerskiego Armii Czerwonej. Dmitrij Wołkogonow, odpowiedzialny za edukację polityczną w armii radzieckiej, a znacznie później, już w latach osiemdziesiątych w erze *głasnosti*, pierwszy znaczący biograf Stalina, jest w tej kwestii zupełnie jednoznaczny: „przeciętny, nijaki, mierny intelektualnie". Według niego Woroszyłow był „tylko zwykłym katem, pachołkiem Naczelnego Kata"[42]. Zastępca Woroszyłowa, marszałek Grigorij Kulik, prezentował się niewiele lepiej. Był to kolejny kombatant wojny domowej z roku 1918, a przy tym dobry znajomy sadystycznego Berii, na co dzień zaś pełen ignorancji, lubiący pomiatać ludźmi pijak. To właśnie jego skrajna niekompetencja w dowodzeniu 54 Armią na południe od Leningradu w dużej mierze przyczyniła się do ostatecznego okrążenia miasta. Żołnierze określali jego styl dowodzenia jako „więzienie albo medal", bo podkomendnych, którzy przypadli mu do gustu, chętnie nagradzał, a tych, którzy nie zdołali go zadowolić, kazał aresztować[43].

Podczas gdy Stalin rozprawiał się ze śmietanką wyższych oficerów armii radzieckiej, Hitler triumfował w otoczeniu swojego sztabu, świeżo przeniesionego do nowej kwatery koło Rastenburga (Kętrzyna) w Prusach Wschodnich, nazwanej Wilczym Szańcem. Jego dalekosiężne plany snute po kolacji nabierały coraz większego rozmachu. „Uroki Krymu – zauważył między północą a drugą nad ranem w noc zdobycia Rygi przez Grupę Armii «Północ» – będą teraz na wyciągnięcie ręki dzięki *Autobahnowi*. Dla nas, Niemców, będzie to nasza Riwiera. Również Chorwacja stanie się dla nas turystycznym rajem". Niestety, obie rosyjskie stolice najwyraźniej nie stanowiły dla niego takiego potencjału wakacyjnego, kiedy więc trzy dni później wojska niemieckie zajęły Psków, Hitler wezwał do siebie Haldera i powiedział mu, że „podjął niewzruszoną decyzję, by zrównać z ziemią Moskwę i Leningrad, tak by uczynić je zupełnie niezdatnymi do zamieszkania, a tym samym zwolnić nas od konieczności karmienia

tamtejszej ludności podczas zimy. Miasta te zostaną starte na pył przez nasze lotnictwo". Był tak przekonany, że cała europejska część terytorium Rosji wkrótce wpadnie w jego ręce, że polecił Halderowi przystąpić do planowania operacji zdobycia przemysłowych miast na Uralu. Zresztą, nawet tenże ostrożny zazwyczaj Halder przyznawał w swoim dzienniku, że sprawy rozwijają się „wspaniale i zgodnie z planem". W jego ocenie główny cel Barbarossy, polegający na rozbiciu zasadniczej części sił Armii Czerwonej po zachodniej stronie Dźwiny i Dniepru, został zasadniczo osiągnięty. Choć wciąż pozostawało jeszcze wiele do zrobienia, nie było „prawdopodobnie przesadą stwierdzenie, że kampania rosyjska została rozstrzygnięta po zaledwie dwóch tygodniach"[44].

3. „NASI BIJĄ, A NIEMCY BIORĄ”

Polityka Sowinformu, polegająca na bardzo oszczędnym dawkowaniu prawdy, sprawiła, że leningradczycy szybko przekonali się, iż oficjalnym źródłom informacji nie należy zbytnio ufać. *Naszy bjut, a Niemcy bierut* („nasi biją, a Niemcy biorą”) – szeptano sobie ukradkiem. Szybko też zrozumiano, jak interpretować pełen ogólników i sloganów język używany przez Sowinform. *Ożestoczonnyj boj* („zacięte walki”), *upornyj boj* („zażarte walki”) i *tiażołyj boj* („ciężkie walki”) oznaczały narastające stopniowanie powagi sytuacji. Jeśli sytuacja była „złożona”, sprawa miała się wyjątkowo źle, ale najgorszy ze wszystkich możliwych komunikatów brzmiał: „Ciężkie walki obronne przeciwko przeważającym siłom wroga” – oznaczał on całkowity odwrót sił radzieckich. Jak napisał jeden z leningradczyków: „Z zawoalowanych komunikatów Radzieckiego Biura Informacji wyłania się paradoksalnie niezwykle jasny obraz – Armia Czerwona nie jest w stanie powstrzymać niemieckiej ofensywny na żadnym bronionym odcinku frontu”[1].

Bardziej godne zaufania informacje, choć jedynie cząstkowe, można było zdobyć podczas szeptanych rozmów w zaciszu domowym albo też uzyskać od mężczyzn dopiero co przybyłych z linii frontu. W połowie sierpnia zawzięta antybolszewiczka Lidia Osipowa, emerytka mieszkająca w Puszkinie, w ten właśnie sposób z niekłamaną radością dowiedziała się o podejściu Niemców na odległość zaledwie 50 kilometrów: „Wczoraj pewien lotnik podczas posiłku w stołówce na lotnisku wyznał dziewczynie przy kasie: «Teraz będziemy bombardować wroga w Siwierskiej». Wiadomo więc, że Siwierska została już opanowana przez Niemców. Kiedy dotrą także i do nas? I czy naprawdę tu dotrą? Najcięższe są zawsze ostatnie godziny przed wypuszczeniem z więzienia”. Tak zwane raporty tworzone przez działaczki partyjne z jej kobiecej organizacji nie miały absolutnie żadnej wartości. Były „niczym fragmenty z gazet dla analfabetów rozwieszane

na murach – żadnych komentarzy czy pytań. Przez całą godzinę odczytuje nam się to, co same przeczytałybyśmy w kwadrans. Boże, kiedy się to wszystko skończy?”[2].

Co innego jednak wiedzieć, a co innego tylko się domyślać. Wszelkie luki informacyjne wypełniały zatem plotki i pogłoski. Jedna z nich głosiła, że Leningrad nie został zbombardowany, gdyż Hitler chce go ocalić w prezencie dla swojej (mitycznej) córki; według innej miano oszczędzić Wyspę Wasiljewską, ponieważ urodził się tam Alfred Rosenberg (szef hitlerowskiego Ostministerium). Kolejne głosiły, że na środku kanału prowadzącego do Bałtyku zatonął trafiony torpedą okręt radzieckiej floty morskiej, że Wehrmacht dysponuje okrągłym czołgiem wypluwającym z siebie pociski niczym diabelski młyn albo że jakiś niemiecki spadochroniarz wylądował wprost na klombach kwiatów pod pałacem Taurydzkim, gdzie cudem uniknął śmierci z rąk staruszek uzbrojonych w ogrodowe grabie[3].

Mieszkańcy Leningradu czytają informacje umieszczone na tablicach przed redakcją „Leningradzkiej Prawdy", lipiec 1941 roku.

Władze usiłowały powstrzymać ten niekontrolowany wysyp plotek i pogłosek. Komitet wykonawczy rady miejskiej zabronił wszystkim jej pracownikom jakichkolwiek rozmów o wojnie przez telefon, grożąc ściganiem tego jako przestępstwa „ujawniania tajemnic wojskowych". Ponadto z jeszcze większą pilnością zabrał się do aresztowania „defetystów", stosując się ściśle do zapisów nowego prawa, nakazującego stawiać ludzi oskarżonych o szerzenie „fałszywych pogłosek wywołujących niepokój pośród ludności" przed sądami wojskowymi[4]. Jednocześnie to samo kierownictwo angażowało się w rozsiewanie pogłosek w celu odwrócenia uwagi od klęsk ponoszonych na froncie. Z tego powodu podsycano strach przed szpiegami, sabotażystami i *rakietnikami* – ludźmi, którzy mieli ponoć dawać sygnały samolotom wroga, strzelając racami i wypuszczając flary. Do specjalnego wydziału należało oddawać wszystkie przewodniki i mapy,

podobnie jak rowery, aparaty fotograficzne i radiowe. Motorniczy tramwajów i trolejbusów przestali głośno obwieszczać kolejne nazwy przystanków, zamalowano znaki uliczne, a sprzed najważniejszych instytucji usunięto tablice z nazwami. Zwykłe zapytanie o drogę, a nawet pojawienie się na ulicy w obco wyglądającym ubraniu mogło doprowadzić do nie lada kłopotów. Dmitrij Lichaczow zorientował się kiedyś, że jest śledzony przez grupę chłopców z powodu swojego jasnego płaszcza (jak sobie natychmiast uświadomił, „inne niż szare ubrania były w ZSRR czymś niezwykłym"), a Jelena Skriabina, zostawiwszy swojego wysokiego, noszącego okulary syna przed sklepem, wracając do niego po chwili, zastała go przepytywanego przez przygodnego milicjanta. Udało się jej przekonująco udowodnić tożsamość Dimy dopiero dzięki wyciągnięciu zaświadczenia wojskowego męża, a także argumentowi, że skoro Dima nie ma jeszcze szesnastu lat, nie może też posiadać własnego dowodu tożsamości[5]. Inna pamiętnikarka, Jelena Koczina, przekonała się, że także i ona sama nie jest wolna od swoistej szpiegomanii rozprzestrzeniającej się niczym „infekcja":

„Wczoraj na rynku wczepiła się we mnie starowinka przypominająca płastugę w przeciwdeszczowym płaszczu.

– Widziała pani? Pewnikiem szpieg! – zagadała i machnęła króciutką rączką w kierunku jakiegoś przechodnia.

– ???

– Spodnie i marynarkę ma różnego koloru.

Roześmiałam się.

– I wąsy jakby przyklejone! – utkwiła we mnie gniewne, blisko osadzone oczy.

– Daruje Pani... – szarpnęłam się.

Nie puszczała. Podreptała za mną, po czym po kilku krokach odpadła. Ale... i mnie się wydaje, że jest wielu takich, których należałoby mieć na oku"[6].

Mania prześladowcza szerzyła się nieprzerwanie do późnej jesieni, a w opowieści o *rakietnikach* zdawali się wierzyć nawet najbardziej trzeźwi obserwatorzy wydarzeń – jak choćby angielsko-rosyjski

korespondent BBC Aleksander Werth. Nie znamy jednak ani jednego dobrze udokumentowanego przypadku, by w mieście kiedykolwiek odkryto prawdziwego zagranicznego szpiega (w odróżnieniu od mieszkańców sympatyzujących z Niemcami).

Cztery tygodnie po rozpoczęciu inwazji nastroje w Leningradzie oscylowały wokół pełnego dezorientacji oczekiwania na nieuniknione, co znajdowało wyraz w całkowitym oderwaniu jako takiej ulicznej normalności od szokujących informacji docierających przez radio. „Nie sposób uwierzyć, że trwa jakaś wojna – napisał niepełnosprawny archiwista Gieorgij Kniaziew. – Wszędzie panuje taki spokój, nawet jeśli tylko pozorny". Pogoda również wciąż pozostawała bez zmian – panował upał, a na ulicach pełno było pyłków topoli, nazywanych przez Rosjan puchem. Wieczorami pracownicy urzędów i biur jak co dzień zbierali się na placu Rumiancewa, by pograć w domino. Jednego z takich wieczorów, siedząc przed Domem Akademików podczas kolejnych ćwiczeń przeciwlotniczych, Kniaziew miał okazję obserwować grupę nastoletnich dziewcząt ładujących na ciężarówkę górę piachu, a obok nich chłopców w kąpielówkach wskakujących do rzeki albo dosiadających połyskujące w słońcu kamienne sfinksy z Luksoru. Pilnowała ich wszystkich żona jednego z akademików, ubrana w kapelusz i rękawiczki. Zagadnąwszy dozorcę, Kniaziew usiłował przybrać ton pełen swobody i hartu ducha, ale jego rozmówca nie mógł pogodzić się z tym, że wojna najwyraźniej nie wygląda tak jak na filmach. „«To niedobrze – powiedział – że walczą na naszym terytorium… Okropne zniszczenia. Dlaczego bez walki oddano fortyfikacje dawnej granicy państwa?». Nie mogłem mu nic odpowiedzieć. Jesteśmy bardzo słabo poinformowani. Dotychczas nie wiem, czy Niemcy są blisko czy daleko. Czy Leningrad jest czy nie jest poważnie zagrożony?" Jak zauważył Kniaziew, w powietrzu unosił się lekki zapach dymu od torfowisk celowo podpalanych po to, by zmylić lotnictwo nieprzyjaciela[7].

Anna Ostroumowa-Lebiediewa, artystka w podeszłym wieku, którą tak podniosła na duchu transmisja przemówienia Stalina, mieszkała naprzeciwko szpitala wojskowego. Podczas ćwiczeń przeciwlotniczych

obserwowała, jak do bunkrów znosi się rannych na noszach, a studenci medycyny wyskakują przez włazy w dachu szpitala. 21 lipca napisała:

„Na Leningrad wciąż nie spadła ani jedna bomba, choć syreny wyją nader często. Ostatniej nocy ostrzeżenie o nalocie rozległo się najpierw o dwunastej trzydzieści, a potem raz jeszcze o piątej trzydzieści nad ranem. Obudziłam się, a huk dział przeciwlotniczych był tak ogromny, że nie mogłam znowu zasnąć. Ubrałam się więc i zeszłam na podwórze, by posiedzieć trochę na ławce… Niebo było czyste, a słońce nie wzeszło jeszcze zza budynków, ale już podświetlało jasnym światłem balony zaporowe rozsiane po niebie. Płynęły one po delikatnym, eterycznym błękicie niczym srebrne okręty. Nie widać było podtrzymujących je lin i zdawać się mogło, że szybują swobodnie po całym niebie”[8].

Choć większość parków publicznych zamknięto, by drążyć w nich schrony przeciwlotnicze, Lebiediewa miała pozwolenie na wstęp do Ogrodów Botanicznych:

„Ogrody wciąż znajdowały się w nienaruszonym stanie, ale nie dbano o nie tak starannie jak zazwyczaj. Wielką przyjemność sprawiało mi podziwianie wspaniałych hortensji – rosły one w wielkich donicach pogrupowane kolorami: białym, różowym i jasnoniebieskim, stanowiąc prawdziwe eksplozje niewiarygodnego piękna. Wokoło nie było żywej duszy. Słońce rzucało refleksy na trawę i przebijało się przez liście drzew. Światło padało na ławkę, na nasze ubrania, na kartki naszych książek. Od rzeki zawiewał chłodny wietrzyk. Ogarnęło mnie uczucie spokoju i wyciszenia, i przez ułamek sekundy zapomniałam wręcz, że znajdujemy się w stanie wojny, że ludzie giną, a miasta płoną i obracają się w gruzy”.

Jednym z powodów, dla których w mieście dawała się odczuć taka dziwna cisza, był fakt, iż ponad 50 tysięcy leningradczyków, głównie kobiet i nastolatków, zostało wysłanych 100 kilometrów na południowy zachód od miasta, by tam budować nowe umocnienia wzdłuż tak zwanej Linii Ługi. Pierwsze brygady zaczęły pracę na tym odcinku już 29 czerwca, ale sama linia formalnie została wytyczona dopiero 4 lipca. Wtedy to Żukow rozkazał Grupie Północno-Zachodniej Armii Czerwonej zająć linię obrony zaczynającą się w Narwie, mieście położonym na wybrzeżu Bałtyku o 120 kilometrów na zachód od

Leningradu, a dalej wiodącą łukiem przez Ługę i Starą Russę aż po Borowicze, leżące 250 kilometrów na południowy wschód od miasta. Najsilniej umocniony odcinek tej linii, oparty o rzekę Ługę, miał się składać z ciągnącego się na szerokość 15 kilometrów pasa pól minowych, stanowisk dział przeciwpancernych i innych umocnień, pośród których przewidziano jedynie wąską lukę między Ługą a Gatczyną, przez którą mogłaby się wycofać Armia Czerwona[9]. Ponadto nakazano prace na dwóch wewnętrznych pierścieniach – jeden z nich przebiegał od Peterhofu nad Zatoką Fińską przez Gatczynę aż po Kołpino, drugi zaś okalał bezpośrednio samo miasto, od portu handlowego u ujścia Newy po położoną w górze rzeki niewielką miejscowość Rybackoje[10]. Jedną z tysięcy nastolatek skierowanych do pracy na Linii Ługi była Olga Grieczina, siedemnastoletnia studentka Uniwersytetu Leningradzkiego. Sarkastycznie wspomina ona w pamiętnikach:

„Na Wydziale Filologii nasz idol, profesor [Grigorij] Gukowski, zabrał głos na zgromadzeniu studentów i wygłosił porywającą mowę, w której wzywał nas do zaciągania się do ochotniczego batalionu studentów. Wielu faktycznie z miejsca się zapisało… Wszyscy spodziewali się, że także sam Gukowski zaciągnie się do jakiejś formacji, jako że wielu z naszych nauczycieli zgłaszało się czy to w charakterze tłumaczy, czy działaczy politycznych. Ale Gukowski niespodziewanie zaczął się pojawiać w zielonych domowych pantoflach i z laseczką. Niektórzy mówili, że dręczy go ostry reumatyzm, inni jednak ostrożnie zauważali, że najwyraźniej wzywanie wszystkich wokół do działania okazało się dlań znacznie przyjemniejsze niż samodzielne działanie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy naprawdę był chory, czy nie, ale warto zauważyć, że mimo to nie miał problemów z napisaniem swojej książki o Gogolu”[11].

Sama Grieczina, choć raczej nie miała powodów, by zbytnio lubić bolszewików (jej ojciec, lekarz, został przez władze rewolucyjne zesłany do małej wiejskiej przychodni, a wuj trafił do gułagu), nie przyjęła analogicznej taktyki, wobec czego w trzecim tygodniu lipca wraz z grupą studentek znalazła się – w tłumie oczekujących na ewakuację –

na Dworcu Moskiewskim, skąd miał wyruszyć pociąg zmierzający na Linię Ługi:

„Docierały do nas niepokojące wieści o ostrzeliwaniach i bombardowaniach na froncie, zwłaszcza w okolicach Ługi. Ale żadna z nas nie wiedziała, dokąd jedziemy, kiedy więc tego wieczora wreszcie wyruszyłyśmy, byłyśmy w świetnych nastrojach, śpiewając piosenki, by odegnać od siebie ów wewnętrzny niepokój. Kiedy wysiadłyśmy z pociągu w Gatczynie, było już ciemno. Skierowano nas do parku przy pałacu w Pawłowsku, gdzie miałyśmy spędzić noc, ale nie mogłyśmy spać, gdyż Niemcy zaczęli bombardować pobliskie lotnisko, i wszystko wokół nas trzęsło się i brzęczało. Kazano nam się podnieść, schować wszystko, co miało biały kolor, i zabroniono palić papierosy. Zaczęłyśmy szybko iść drogą pełną już naszych jednostek. Żołnierze maszerowali w pośpiechu, ale i w zupełnej ciszy. Jeśli któryś z nich wydał jakiś głos, inny natychmiast go uciszał i strofował za nieuwagę. Żadna z nas nie miała pojęcia ani dokąd idziemy, ani po co, przez co bałyśmy się jeszcze bardziej. Wszystkim nam strasznie chciało się pić, do tego stopnia, że – gdy droga zaczęła biec przez jakiś lasek – zaczęłyśmy pić błotnistą wodę z przydrożnych rowów".

Rankiem, przemaszerowawszy 20 kilometrów, studentki dotarły do jakiejś wioski, gdzie rozdzielono je do domostw, po dwie lub trzy na gospodarstwo. Tego popołudnia wyjaśniono im też, na czym będzie polegać ich praca:

„Miałyśmy kopać rowy przeciwpancerne (głębokie na 1,2 metra) oraz usypywać przedpiersia (teoretycznie na wysokość 1 metra). Choć jedynymi naszymi narzędziami były łopaty, siekiery i nosze [do przenoszenia ziemi], zabrałyśmy się do pracy z wielkim entuzjazmem. Dni były słoneczne i upalne. Pracowałyśmy od piątej rano do ósmej albo dziewiątej wieczorem, z dwu- lub trzygodzinną przerwą na odpoczynek po obiedzie. Karmiono nas dobrze, ale nie było herbaty, chyba że nasza gospodyni naparzyła nam jej z kwiatów lipy. Pod względem fizycznym była to bardzo ciężka praca i po dwóch tygodniach podczas próby podniesienia noszy nagle zauważyłam, że nie mogę się z powrotem wyprostować"[12].

Grieczina i tak miała szczęście, że jej jedynym problemem były bóle w krzyżu. Koczina była jedną z wielu robotnic pracujących przy kopaniu rowów, która znalazła się pod ostrzałem niemieckich stukasów:

„Dziś cała pracownia kopała rowy przeciwczołgowe wokół Leningradu. Ryłam ziemię z prawdziwą przyjemnością (nareszcie coś przydatnego!)... W okopach pracowały prawie wyłącznie kobiety. Chustki na ich głowach jarzyły się w słońcu jak kolorowe ogniki. Wyglądało to na gigantyczny kwietny klomb opasujący miasto.

I nagle błysnęły skrzydła samolotu, przecięły niebo. Zaterkotała seria z karabinu maszynowego i kule, jak malutkie metalowe jaszczurki, z szelestem czmychnęły w trawę nieopodal mnie. Stałam zdziwiona, niepomna wszystkich zasad PeWeCheO [obrona przeciwlotnicza i przeciwchemiczna], które dopiero co wbijano mi do głowy.

– Niech pani ucieka! – krzyknął ktoś, szarpnąwszy mnie za rękaw.

Odwróciłam się. Wszyscy bezładnie biegli. Pobiegłam i ja, chociaż nie wiedziałam, dokąd uciekać i co robić... Ujrzałam przed sobą niewielki mostek. Rzuciłam się ku niemu. Pod mostkiem ziała głęboka kałuża. Przesiedzieliśmy w niej w kucki całą godzinę. Do pracy już nie wróciliśmy”[13].

Jelena Skriabina, słysząc o takich ostrzeliwaniach, martwiła się, że także jej syn Dima może zostać skierowany do kopania rowów, co wydawało jej się pracą „bezsensowną, mogącą co najwyżej doprowadzić do śmierci wielu ludzi... Bierze się do niej każdego – młode dziewczyny w lekkich sukienkach i sandałach albo chłopców w szortach i koszulkach z krótkim rękawkiem. Nie pozwala im się nawet pójść do domu i przebrać się. Jaki z nich tak naprawdę może być pożytek? Przecież młodzi wychowani w mieście nawet nie wiedzą, jak posługiwać się łopatą, a co dopiero ciężkimi łomami, którymi muszą rozkruszać twardą, zeschniętą glinę”[14].

Jej sceptycyzm był jak najbardziej na miejscu. Dziewczyny rzeczywiście musiały kopać w kostiumach kąpielowych, przyklejając sobie do nosów kawałki papieru, by uniknąć oparzeń słonecznych. Podczas nocnych marszów często gubiły ciężkie łopaty albo odsyłano je z powrotem do domów z powodu niemożliwych do zaleczenia pęcherzy

na dłoniach i stopach. Chłopki gotujące im kaszę i rozścielające słomę do spania, przezywały je „panienkami" z miasta, a doglądający ich mężczyźni krzyczeli: „Wydaje wam się, że jesteście aktorkami i przyjechałyście do jakiegoś kurortu? Jesteście tu, by ocalić Ojczyznę!". Ich początkowy entuzjazm szybko się wyczerpał: „A on myślał, że my co tu robimy – gramy w palanta?" – wyrwało się jednej z nich, gdy przybyły z wizytą ich profesor marksizmu-leninizmu spytał je, czy są zmęczone[15].

Wąska, pełna dziur, a w niektórych miejscach sforsowana, zanim jeszcze zdążono obsadzić ją wojskiem, Linia Ługi była mimo to miejscem, w którym Wehrmacht po raz pierwszy napotkał jakikolwiek, choć tylko tymczasowy, opór. Z Moskwy od Żukowa przyszły rozkazy dla Grupy Północno-Zachodniej Armii Czerwonej, by opanować Linię Ługi 4 lipca i tego też dnia pierwsze oddziały obrońców zajęły tam swoje pozycje. Gdy operacja rozlokowywania wojsk, ale także kopania umocnień była jeszcze w toku, 10 lipca Żukow rozkazał Woroszyłowowi przeprowadzenie kontrataku na pozycje 8 Dywizji Pancernej von Mansteina, która znajdowała się wówczas w odkrytym terenie i przemieszczała się szybko na wschód po zajęciu miejscowości Solcy na zachód od jeziora Ilmeń.

Do tego czasu *Blitzkrieg* znacząco spowolniły utrudnienia związane z ukształtowaniem terenu i pogodą. Drobinki piasku i kurzu dostawały się do silników, mosty okazywały się zbyt słabe, by móc udźwignąć ciężar czołgów, a zjeżdżanie z głównych dróg było – jak to ujął jeden z niemieckich oficerów – „niczym opuszczenie XX wieku i znalezienie się w średniowieczu". Wehrmacht nie mógł też polegać na swoich mapach; jak wspominał pewien generał: „Wszystkie teoretycznie główne drogi zaznaczone były na czerwono i wydawało się, że jest ich całkiem sporo, tyle że okazywały się one zaledwie piaszczystymi duktami. Nasz wywiad dość dobrze rozpoznał sytuację w okupowanej przez Rosjan części Polski, ale całkowicie zawiódł przy opisie warunków panujących za właściwą granicą rosyjską". Letnie burze zamieniły piach i kurz w błoto, przez które mogły wprawdzie przejechać czołgi, ale już nie ciężarówki wiozące paliwo, zapasy i oddziały pomocnicze. „Po godzinie lub dwóch opadów nasze siły pancerne były całkowicie

unieruchomione. To był niesamowity widok – oddziały czołgów i wozów transportowych rozciągały się na przestrzeni ponad 150 kilometrów, stojąc w miejscu i czekając na wyjście słońca, które osuszy ziemię”[16].

Rozpoczęte 13 lipca, przy ponad trzydziestostopniowym upale, kontruderzenie wojsk radzieckich było dla 8 Dywizji Pancernej całkowitym zaskoczeniem, odcinając ją od dywizji zmotoryzowanej piechoty pozostawionej w tyle i zmuszając do przyjęcia zaciętych, czterodniowych walk w całkowitym okrążeniu, podczas których jedyną możliwością uzupełniania zapasów były zrzuty z powietrza. Choć z pułapki tej udało się Niemcom wyrwać już 18 lipca, ceną za wysiłek była utrata siedemdziesięciu ze stu pięćdziesięciu czołgów będących na wyposażeniu dywizji, jak również wymuszona, a bezcenna dla rosyjskich obrońców na liniach Narwy i Ługi, dziesięciodniowa przerwa w niemieckim natarciu, podczas której von Leeb i jego dowódcy dokonywali przegrupowania sił i dyskutowali nad dalszą strategią. Z rosyjskiego punktu widzenia wynik tego boju bardzo jednak odstawał od wielkiego zwycięstwa w wojnie obronnej, którego żądała Moskwa. Dowodzący obroną Leningradu bez wątpienia uświadomili sobie w tym momencie, że są niebezpiecznie blisko podzielenia losu generała Pawłowa stojącego na czele Frontu Zachodniego Armii Czerwonej, który został aresztowany w pierwszym tygodniu wojny i teraz, wraz ze swoimi podwładnymi, oczekiwał na egzekucję. Kozłem ofiarnym Grupy Północno-Zachodniej okazał się dowodzący Grupą Operacyjną Ługa generał Konstantin Piadyszew, szanowany i doświadczony dowódca, znający się zwłaszcza na umocnieniach, kawaler dwóch orderów Czerwonego Sztandaru. W pewnym momencie generał po prostu zniknął; dziś wiemy, że 23 lipca został aresztowany za „zaniedbanie obowiązków” przez swojego oficera dowodzącego, generała Popowa, i zmarł w więzieniu dwa lata później. Po tygodniu zaś Żdanow i Woroszyłow zostali wezwani na dywanik do Moskwy, ale skończyło się dla nich tylko na połajance Stalina za „brak twardości”[17].

W Leningradzie panował nastrój narastającego niepokoju. Coraz częściej zadawano sobie dwa podstawowe pytania: o żywność – czy

zapanuje kolejna klęska głodu, jak podczas wojny domowej z lat 1920–1921 – oraz o to, czy należy ewakuować się z miasta.

Wywożenie z Leningradu cennych obiektów, a także zakładów obronnych, rozpoczęło się zaraz po dotarciu do miasta wieści o inwazji, nie tyle w oczekiwaniu oblężenia, ile z obawy przed nalotami powietrznymi. Jedną z najlepiej przygotowanych do tej operacji instytucji okazał się Ermitaż, a to za sprawą przytomności umysłu swojego dyrektora, Iosifa Orbelego, który – ryzykując oskarżenia o sianie paniki wojennej – już od miesięcy dyskretnie gromadził materiały konieczne do zapakowania i przewozu zbiorów (wśród nich 50 ton wiórów drewnianych, 3 tony wyściółki bawełnianej i 16 kilometrów ceraty). Z jego polecenia 40 najcenniejszych obrazów z kolekcji muzeum natychmiast przeniesiono do wzmacnianych stalowym kołnierzem skarbców mieszczących słynne zbiory scytyjskiego złota, a już następnego ranka personel oraz ochotnicy rozpoczęli gigantyczną operację demontowania, przenoszenia, wkładania do skrzyń i katalogowania całej olbrzymiej i wspaniałej kolekcji muzeum, od skrzydlatych byków babilońskich po wykonane z jadeitu i kryształu jajka Fabergé z wzorem przebiśniegów. Jedna ze studentek historii sztuki tak to opisywała:

„Pracujemy od świtu do późnego wieczora. Bolą nas nogi. Zdejmujemy obrazy ze ścian… Nie towarzyszy temu doznawane zazwyczaj uczucie zachwytu nad tymi arcydziełami, choć celowo owijamy *Danae* [Tycjana] bardzo powoli… Na dole pakuje się do skrzyń także rzeźby. Orbeli jest wszędzie, w każdej sali… Pusty Ermitaż wygląda jak dom po pogrzebie”[18].

Jeśli było to możliwe, obrazy pakowano na płasko, te zbyt wielkie zaś, by zmieściły się w wagonie kolejowym, musiano zwijać. Uczyniono tak również, choć po dłuższym nerwowym wahaniu, z delikatnym *Zdjęciem z krzyża* Rembrandta. Zaledwie jeden obraz – *Syn marnotrawny* Rembrandta – zasłużył na skrzynię wyłącznie dla siebie, a tylko trzy – dwie *Madonny* Leonarda i przepiękną *Madonnę Conestabile* Rafaela – pozostawiono w ramach. Całą resztę – dzieła Giorgionego, Tiepola, Breughla, Van Dycka, Holbeina, Rubensa, Gainsborougha, Canaletta, Velázqueza, El Greca – usunięto z blejtramów, a puste ramy

pozostawiono wiszące na swoich stałych miejscach na ścianach galerii. Wspaniały posąg Woltera dłuta Houdona, z charakterystycznym haczykowatym nosem i krzywym uśmieszkiem, opuszczono z trzeciego poziomu monumentalnych schodów siłami grupy marynarzy posługujących się drewnianymi prowadnicami oraz systemem bloczków i wyciągów. Wazę z Czertomłyku, srebrny dzban z IV wieku p.n.e. wspaniale zdobiony motywami gołębic i koni, trzeba było napełnić malutkimi kawałkami kruszonego korka, które dwie kobiety przez całą noc cierpliwie wkładały przez niewielką szczelinę w jego dziobku łyżeczkami od herbaty.

Po sześciu dniach i nocach nieprzerwanej i gorączkowej pracy pierwszy pociąg wyładowany skarbami przeszłości – w liczbie około pół miliona obiektów zapakowanych w ponad tysiąc skrzyń – wyjechał z miasta 1 lipca. Przeznaczony pierwotnie do wywiezienia maszyn z Zakładów Kirowa, składał się z dwóch lokomotyw, dwudziestu dwóch wagonów towarowych, dodatkowego wagonu opancerzonego do przewozu najcenniejszych obiektów oraz wagonów pasażerskich dla strażników i personelu Ermitażu, wyposażonych z obu końców w platformy dla dział przeciwlotniczych. Jego stacją docelową, o czym wiedziało zaledwie kilka osób, miał być Swierdłowsk na Uralu (dawniej Jekaterynburg – miasto, w którym zamordowano cara Mikołaja II i jego rodzinę). Drugi pociąg, wiozący 700 tysięcy obiektów w 422 skrzyniach, wyruszył z miasta 20 lipca. Ponieważ zgromadzone przez Orbelego materiały do pakowania szybko się skończyły, zadanie pozyskania nowych otrzymała egiptolog Milica Matie. Jak wspominała później ze zdziwieniem: „Przez niemal dwa lata w rogu mojego gabinetu stało kilka długich gładkich tyczek. Nigdy bym nie przypuszczała, że przyjdzie taki czas, gdy własnoręcznie nawinę na nie tkaniny z okresu koptyjskiego Egiptu i wyślę je na Ural”[19]. Szperając w sklepach i magazynach oraz prosząc o jakiekolwiek materiały izolacyjne, od trocin po wytłoczki po jajkach, udało się jej w końcu zgromadzić ich wystarczająco dużo, by zapakować kolejnych 351 skrzyń, tyle że wówczas pierścień oblężenia wokół Leningradu był już niemal domknięty, wobec czego przetrwały one wojnę ułożone jedna na drugiej w galerii na parterze Pałacu Zimowego.

Wśród obiektów wywiezionych z Ermitażu drugim pociągiem była między innymi mozaika wykonana przez Michaiła Łomonosowa, przedstawiająca zwycięstwo Piotra Wielkiego nad Szwedami pod Połtawą, która wisiała (i wisi do dziś) na szczycie głównej klatki schodowej w budynku Akademii Nauk przy nabrzeżu Wyspy Wasiljewskiej. Jej wysyłkę nadzorował Kniaziew:

„Brak mi słów, by opisać, co czułem, kiedy zdejmowano ze ściany mozaikowy portret założyciela Akademii Piotra Wielkiego… Odprowadziłem ich, nie będę ukrywał, głęboko przejęty… Na początku debatowaliśmy nad bezpiecznym przechowywaniem ich na miejscu, teraz, w związku z wydarzeniami na froncie, zajmujemy się sprawą ewakuacji. Myślę, że ewakuacja razem z Ermitażem jest najpewniejsza… Ale boli mnie serce. Wróciłem do domu zdruzgotany".

Tydzień później przyszła kolej na najcenniejsze rękopisy z Akademii.

„Zapakowaliśmy w sumie trzydzieści skrzyń. Zabezpieczyliśmy je przed wilgocią i kurzem (papa asfaltowa, celofan, cerata, teczki, papier). Cały personel Archiwum pracował nad tym dwa tygodnie. Zrobiliśmy spisy wszystkich materiałów według skrzyń. Skrzynie zostały obwiązane drutem i zaplombowane. Odprowadziłem od bramy do nabrzeża ciężarówkę z tymi skrzyniami. Tak się odprowadza kogoś bardzo bliskiego: syna, córkę, żonę. Długo patrzyłem, jak ciężarówka powoli (prosiłem kierowcę, żeby był bardzo ostrożny) posuwa się mostem Pałacowym… Osierocony wróciłem do Archiwum"[20].

Kolejnych 360 tysięcy obiektów – pośród nich Biblia Gutenberga, listy Puszkina, modlitewnik Marii Stuart, królowej Szkocji, oraz jeden z dwóch najstarszych na świecie ocalałych greckich tekstów Nowego Testamentu – opuściło Bibliotekę Publiczną, pieszczotliwie nazywaną „Publiczką", na Newskim Prospekcie.

Jelena Skriabina i Jelena Koczina, obie pracujące matki, były podobnie jak inne kobiety rozdarte między ewakuacją wraz z dziećmi i przyjaciółkami a pozostaniem u boku mężów i rodziców. Jak napisała Skriabina 28 czerwca:

„Stoję przed poważnym problemem. Polega on na tym, że choć mogłabym zabrać ze sobą Dimę i Jurę, musiałabym zostawić matkę i stareńką babcię. Kiedy wróciłam do domu z tymi wieściami, moja matka rozpłakała się… Babcia jest wstrząśnięta i nie odzywa się. Czuję się jak między młotem a kowadłem. Z jednej strony rozumiem doskonale, że trzeba chronić dzieci, a z drugiej – żal mi tych bezradnych kobiet. Jak mogłabym je zostawić na pastwę losu?".

Podobnie jak inni Skriabina częściowo ufała też uspokajającej propagandzie:

„Nie wierzę, że w Leningradzie mogłoby dojść do klęski głodu. Wciąż nam powtarzają, że mamy dosyć zapasów żywności, które podobno powinny nam wystarczyć na wiele lat. Jeśli zaś chodzi o groźbę bombardowań – bezustannie zapewniają nas o wielkiej sile rażenia i dużym zasięgu naszego systemu obrony przeciwlotniczej… Jeśli choć połowa z tego jest prawdą, po cóż mielibyśmy wyjeżdżać?"[21].

Paradoksalnie, podobnie uspokajający efekt miało wprowadzone 18 lipca racjonowanie żywności. Przy 800 gramach chleba dziennie dla pracowników fizycznych, 600 dla urzędników i 400 dla niepracujących członków rodzin, a do tego obfitych miesięcznych przydziałach mięsa, zboża, masła i cukru, stawki żywieniowe wydawały się bardzo hojne („nie jest tak źle, można z tego wyżyć" – napisała Skriabina[22]), co dla ubogich rodzin stanowiło wręcz zauważalną poprawę sytuacji. Tego samego dnia otwarto 71 nowych „sklepów komercyjnych" prowadzących sprzedaż żywności poza systemem racjonowania i w nieograniczonych ilościach, tyle że po znacznie wyższych cenach. Dla wielu były to ceny nieosiągalne, zwłaszcza po wprowadzeniu nowych obostrzeń dotyczących wycofywania oszczędności, ale tak czy owak wystawne witryny tych sklepów przyczyniały się do umacniania fałszywego poczucia bezpieczeństwa. „Kiedy widzisz wystawę sklepową pełną jedzenia – rozumowała Skriabina – masz pokusę, by nie dowierzać pogłoskom o nieuchronnym głodzie". Koczina była znacznie mniej łatwowierna i od razu ruszyła do najbliższego „sklepu komercyjnego", by kupić tam dwa kilogramy prosa, jak się okazało, jedynego produktu, który w nim jeszcze pozostał („Nie znoszę kaszy jaglanej!" – napisała). Ponadto wyjechałaby do Saratowa wraz ze swoim Instytutem Chemii,

gdyby nie stanowczy sprzeciw męża i choroba córeczki: „Lena ma biegunkę i gorączkę. Musimy odłożyć plany ewakuacji na kilka dni. A zresztą jak tu zadbać o sterylność butelki dla niemowlaka w podróży?”[23]. Pierwszy dzień sierpnia zastał Skriabinę ciągle poza miastem, w Puszkinie, gdzie starała się ze wszystkich sił nie dostrzegać wojny i cieszyć się opuszczonymi parkami wokół pałaców. Z Leningradu przyjechała do niej z wizytą siostrzenica: „Dowiedziałam się od niej o szybkim ataku Niemców. Zbliżają się już do Leningradu. Postanowiłyśmy zostać na wsi, dopóki nie zdobędą Ługi”.

Tydzień później pogoda się zmieniła – zaczął padać ulewny deszcz. 8 sierpnia, w zacinającym deszczu, czołgi Reinhardta przypuściły atak na północny sektor Linii Ługi, nieopodal Kingisepp. Po trzech dniach chaotycznych walk udało im się w trzech miejscach przełamać linię obrony na rzece Łudze, okupując to tysiącem sześciuset ofiarami po stronie niemieckiej. 8 Dywizja Pancerna von Mansteina, po otrząśnięciu się ze strat poniesionych pod Solcami, 12 sierpnia odcięła linię kolejową Kingisepp–Gatczyna. Sowiecka kontrofensywa w pobliżu Starej Russy, rozpoczęta dość chaotycznie 10 sierpnia, załamała się, przynosząc olbrzymie straty w ludziach i sprzęcie. Oto relacja jednego z artylerzystów, Wasilija Czurkina, odpowiedzialnego za manewrowanie działem ciągniętym przez szóstkę koni, przez lasy leżące o 60 kilometrów na południowy zachód od Leningradu:

„Posunęliśmy się nieco dalej i po dotarciu do głównej drogi ujrzeliśmy ogromny, spanikowany tłum ludzi, biegnących w całkowitym nieładzie w kierunku Wołosowa. Na jednym z wozów leżał jakiś ranny żołnierz, jęczący i błagający, by opatrzyć mu rany. Nieopodal szła dziewczyna z torbą lekarską, ale nie zatrzymała się, by mu pomóc, bała się zwolnić marsz. Z tyłu słychać było odgłosy szczękającego metalu – niemieckich czołgów. Ktoś krzyknął do dziewczyny, by pomogła rannemu, po czym zawróciliśmy i szybko podążyliśmy z powrotem do miejsca, w którym zostawiliśmy nasze działa. Ale nie było już tam ani dział, ani ludzi. Zobaczyliśmy, jak z lasu na polanę bateria numer 4 wyjeżdża pod ostrzałem niemieckich czołgów… Tuż pod nogami konia zaprzężonego w wóz bagażowy

wybuchł pocisk artyleryjski. Koń padł, ale choć na wozie znajdowały się wszystkie nasze rzeczy, w tym peleryny, nie mogliśmy po nie pójść, bo czołgi podeszły już zbyt blisko, nawet nas wyprzedzając”[24].

Na południu 18 Armia von Küchlera prowadziła natarcie na historyczne miasto Nowogród, stolicę jednego z ruskich księstw z IX wieku, bramę do jeziora Ilmeń. Miasto padło 17 sierpnia, o czym nie poinformował Sowinform, który dopiero 23 sierpnia doniósł o walkach „w okolicach Nowogrodu”. Łącznie, od 10 do 28 sierpnia, radziecka 34 Armia straciła połowę ludzi, 74 z 83 czołgów, 628 z 748 dział i moździerzy, 670 ciężarówek i 14 912 koni. Wielu żołnierzy albo uciekło, albo dokonywało samookaleczeń w nadziei na przetransportowanie na tyły wraz z innymi rannymi, by uniknąć rzezi. W dniach od 16 do 22 sierpnia schwytano na próbie przedostania się z frontu do Leningradu ponad tysiąc żołnierzy podejrzewanych o dezercję, a w niektórych jednostkach medycznych, jak odnotował pełen niepokoju raport polityczny z 30 sierpnia, niemal pięćdziesiąt procent hospitalizowanych z powodu ran posądzano o samookaleczenie: na przykład w szpitalu ewakuacyjnym numer 61 spośród tysiąca rannych czterystu sześćdziesięciu otrzymało postrzał w lewe ramię albo lewą dłoń[25].

Odpowiedzią Stalina na te klęski był pełen wściekłości telegram do Żdanowa i Woroszyłowa. Jeśli armie niemieckie będą odnosić kolejne zwycięstwa w okolicach Nowogrodu – grzmiał w nim wódz – staną przed możliwością oskrzydlenia Leningradu od wschodu, zerwania kanałów łączności z Moskwą i bezpośredniego spotkania z wojskami fińskimi na wschód od Ładogi:

„Odnosimy wrażenie, że najwyższe dowództwo Grupy Północno-Zachodniej Armii Czerwonej nie dostrzega tego śmiertelnego zagrożenia, wobec czego nie podejmuje też specjalnych środków, by mu zapobiec. Niemieckie siły w tym rejonie nie są wielkie, zatem potrzebujemy jedynie wysłać do boju trzy świeże dywizje pod umiejętnym dowództwem. Stawka nie da się przekonać do tego nastroju fatalizmu, niemożności podejmowania decydujących kroków,

przy argumentacji, że robi się wszystko, co jest możliwe do zrobienia”[26].

Trzy dni później obawy Stalina się urzeczywistniły, ponieważ padło Chudowo, miasto na głównej magistrali kolejowej Moskwa–Leningrad. 22 sierpnia Żdanow wysłał do Stalina telegram, w którym błagał o posiłki. Zwracał w nim uwagę, że dwadzieścia dwie dywizje strzelców Grupy Północno-Zachodniej Armii Czerwonej walczą obecnie na odcinku frontu długim na 400 kilometrów, a siedem z nich prawie nie ma już ciężkiej artylerii ani radiotelefonów. Kolejnych pięć dywizji w ogóle nie zostało włączonych do tych wyliczeń, gdyż ich „zdolność bojowa” jest „niska” – innymi słowy, zostały praktycznie starte z powierzchni ziemi. Koniecznych jest zatem od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu świeżych batalionów, a także nowe uzbrojenie dla pięciu dywizji[27].

Wieczorem 25 sierpnia zajęty został także Lubań, leżący 30 kilometrów na północ od Chudowa na linii Moskwa–Leningrad. Następnego dnia zatelefonował Stalin, domagając się raportu. Telefon odebrał zastępca Woroszyłowa, generał Popow, który przyznał, że Lubań został poddany, i ponownie poprosił zarówno o więcej żołnierzy, „gdyż ci dotąd nam przysłani nie pokrywają nawet w połowie naszych strat”, jak również o broń półautomatyczną dla piechoty, „która dysponuje wyłącznie karabinami”, i wreszcie zasugerował, by Leningradowi wolno było zatrzymać, a nie wysyłać dalej, produkowane tam wozy opancerzone. Stalin, choć niechętnie, zgodził się z tą argumentacją:

„Już pozwoliliśmy wam zatrzymać trzydniową produkcję, możecie jeszcze dostać kolejne trzy albo cztery dni… Przyślemy wam więcej batalionów piechoty, ale nie potrafię powiedzieć ile… W ciągu kilku tygodni być może uda się nam uskładać dla was dwie dywizje. Gdyby wasi ludzie umieli działać zgodnie z planem i poprosili nas o te dwie czy trzy dywizje dwa tygodnie temu, już mielibyśmy je dla was gotowe. Cały kłopot polega na tym, że wy wolicie żyć i pracować jak cyganie, z dnia na dzień, nie patrząc w przyszłość. Żądam, byście przywrócili w 48 Armii nieco porządku, zwłaszcza w tych dywizjach, których tchórzliwi oficerowie zniknęli diabli wiedzą gdzie po tym Lubaniu wczoraj…

Żądam, żebyście oczyścili rejon Lubania i Chudowa z wrogich sił za każdą cenę i wszelkimi środkami. Powierzam wam to zadanie osobiście… Powiedzcie mi jeszcze, Klima [Woroszyłow] pomaga czy przeszkadza?".

„Pomaga. Jesteśmy naprawdę wdzięczni" – odpowiedział roztropnie Popow[28].

Wilhelm von Leeb (w środku) podczas inspekcji jednej z jednostek na Froncie Wschodnim. Pierwszy z prawej Ernst Busch, sierpień 1941 roku.

Tego samego dnia, 26 sierpnia, Stalin ostatecznie zezwolił na odwrót drogą morską z Tallina, stolicy Estonii leżącej 300 kilometrów na zachód od Leningradu. Operacja ta – jak to ujął Werth: „w rodzaju Dunkierki, tyle że bez wsparcia lotnictwa" – okazała się jedną z największych (a dziś jest jedną z najsłabiej pamiętanych) klęsk militarnych, które przypadły w udziale Związkowi Radzieckiemu w pierwszych kilku miesiącach wojny. Był za nią odpowiedzialny admirał Władimir Tribuc, głównodowodzący Floty Bałtyckiej Marynarki Wojennej ZSRR. Szybko dostrzegłszy, że nowo założona radziecka baza morska w Libau (Lipawa, obecnie Liepaja) na wybrzeżu łotewskim w razie ataku niemieckiego będzie niezwykle łatwym celem, już

wcześniej zabiegał on (z dużą dozą odwagi) o zezwolenie na przeniesienie największych okrętów na wschód do Estonii, co udało mu się ostatecznie przeforsować na krótko przed wybuchem wojny. Jak się wkrótce okazało, był to bardzo mądry ruch – Lipawa padła dwa dni po rozpoczęciu działań wojennych, a pięć dni później okręt flagowy, ważący siedem tysięcy ton krążownik „Kirow", szczęśliwie zdołał uciec z Rygi do Tallina. Do obrony tego miasta Tribuc dysponował czternastoma tysiącami marynarzy, około tysiącem milicjantów i ocalałymi resztkami, w sile około czterech tysięcy żołnierzy, oddziałów frontowych, które zdołały ujść do Tallina spod Rygi, w tym 5 Zmotoryzowanym Pułkiem Strzelców, obecnie zredukowanym do „stu pięćdziesięciu bagnetów". Choć Tribuc zaciągnął dwadzieścia pięć tysięcy estońskich cywilów do kopania okopów, większość z nich – podobnie zresztą jak większość Łotyszy – wcale nie chciała być „broniona". Nocami w mieście rozlegały się odgłosy strzałów, anonimowe ręce rozklejały proniemieckie plakaty, a pewnego rosyjskiego oficera zabito, gdy wychodził z restauracji. NKWD odpowiedziało zwyczajowymi aresztowaniami, plutonami egzekucyjnymi i sądami wojennymi.

8 sierpnia – tego samego dnia, w którym von Leeb rozpoczął natarcie na Linię Ługi – Tallin został otoczony od strony lądu: Wehrmacht dotarł właśnie do wybrzeża na wschód od miasta. Tribuc zaproponował dwa równie ciężkie do przyjęcia sposoby wyrwania się z pułapki. Mógł oto albo skupić wszystkie swoje siły i spróbować przebić się na wschód w kierunku wciąż nieokupowanej Narwy na granicy estońsko-rosyjskiej, albo zabrać swoje oddziały na drugą stronę zatoki, na wybrzeże Finlandii, po czym przebijać się z nimi przez fińskie linie obronne do Leningradu. Stalin odrzucił obie te propozycje: Tallin miał być utrzymany za wszelką cenę.

18 Armia przypuściła natarcie wieczorem 19 sierpnia. Brukowane ulice i strome, kryte czerwoną dachówką dachy starego miasta, ale także szalowane domki letnie i płócienne kabiny plażowe na kąpielisku w Piricie zasypały pociski artyleryjskie. „Kirow" odpowiedział ogniem, rozświetlając cały port na jasnoczerwono. Mieszkańcy miasta przyglądali się temu zza zamkniętych okiennic witryn sklepów

i zabarykadowanych drzwi domów. Sytuację w tydzień po rozpoczęciu tego obustronnego ostrzału tak opisywał w dzienniku zastępca Tribuca, admirał Jurij Pantielejew:

„Odparto silny atak na miasto przeprowadzony w nocy. Wróg zmienił taktykę, przenikając do miasta małymi grupkami… Wszystkie lotniska zajęte przez wroga. Nasze samoloty odleciały na wschód. Flota i miasto pod ostrzałem i bombardowaniem. Przepiękna Pirita płonie… Inne przedmieścia także płoną. W mieście wielkie pożary. Na dojazdach do portu wznoszone są barykady. Wszędzie dym… Ogień z okrętów i baterii nadbrzeżnych nie zelżał. Nasze stanowisko dowodzenia w porcie pod ciągłym ostrzałem”[29].

Nieco później tego ranka Stalin dał wreszcie pozwolenie na ewakuację floty do Kronsztadu, stałej rosyjskiej bazy morskiej położonej na wyspie Kotlin u wejścia do Zatoki Fińskiej. Podczas gdy obrońcy powoli wycofywali się w kierunku portu, podpalając po drodze elektrownię, elewatory zbożowe i magazyny, rozpoczęto okrętowanie cywilów towarzyszących marynarzom Floty Bałtyckiej – żon oficerów, oficjeli partyjnych, trupy teatralnej, a także wyższych rangą komunistów estońskich, w tym prezydenta marionetkowej Republiki Estonii. Ekstrawagancki korespondent wojenny Wsiewołod Wiszniewski, przypatrujący się tej operacji z nabrzeża, zażądał od swego kierowcy, by nie tylko wymontował z ich samochodu gaźnik, ale też wysadził cały wóz w powietrze za pomocą granatu ręcznego. Następnego dnia przeprowadzono załadunek wojska i tak oto rankiem 28 sierpnia niemal 23 tysiące ludzi i 66 tysięcy ton uzbrojenia znalazło się na pokładach 228 rozmaitego rodzaju okrętów uformowanych w cztery konwoje i ustawionych przy wyjściu z portu[30].

Przez cały poranek 28 sierpnia okręty te pozostały w tym samym miejscu z opuszczonymi kotwicami, walcząc z siedmiostopniowym sztormem. Do południa wiatr nieco zelżał i dano sygnał do wypłynięcia. Rozciągnięte na długość około 25 kilometrów konwoje miały przed sobą nie lada zadanie. Porównywalny z nimi konwój, który wypłynął z Dunkierki czternaście miesięcy wcześniej, musiał pokonać odległość 80 kilometrów, w dodatku po wodach kontrolowanych przez Królewską Marynarkę Wojenną. Okręty Tribuca miały do przepłynięcia 350

kilometrów, z czego przez pierwszych 250 byłyby wystawione na ataki ze strony baterii przybrzeżnych, łodzi podwodnych oraz fińskich okrętów torpedowych. Na planowanej trasie wrogie miny roiły się niczym „kluski w barszczu". Dowódca Floty Armii Czerwonej, admirał Kuzniecow, oszacował później, że bezpieczne przejście dla konwoju zapewniało sto trałowców. Tribuc tymczasem dysponował zaledwie trzydziestoma ośmioma, w większości przerobionymi trawlerami. Wypływająca flota nie otrzymała też żadnej osłony powietrznej przed działaniami Luftwaffe, choć tuż przed wyruszeniem zgłoszono do Żdanowa taką prośbę; Kuzniecow skarżył się, że rozkazy Żdanowa zostały wydane „z dużym opóźnieniem".

Od momentu wyruszenia konwoje bezustannie atakowały nurkujące bombowce Junkers 88. W dodatku już pierwszego dnia o godzinie szóstej wieczorem flota wpłynęła na pierwsze większe pole minowe przy cyplu Juminda, 65 kilometrów na wschód od Tallina. Pierwszym okrętem, który zatonął, dokładnie pięć minut po godzinie osiemnastej, była „Ella", estoński statek handlowy. Holownik z czwartego konwoju ratujący ocalałych z „Elli" także wpadł na minę i poszedł na dno kwadrans później. Po dziesięciu minutach lodołamacz „Kristjanis Voldemars" został zatopiony wskutek bombardowania. W trakcie tego samego ataku powietrznego uszkodzeniu uległa „Vironia", statek wiozący cywilów, przez co musiała zostać wzięta na hol przez „Saturna". Konwoje nadal kierowały się na wschód, teraz już w znacznie mniejszym porządku, lawirując, by uciec przed bombardowaniami junkersów i ogniem z baterii umieszczonych na cyplu. Okręty wojenne same były zbyt zajęte unikaniem bomb i min, by chronić statki transportowe, z których większość nie posiadała żadnych dział przeciwlotniczych. Wraz z zapadającym zmierzchem kolejną ofiarą pola minowego padł „Krab", następnie łódź podwodna, która zniknęła w odmętach w niecałą minutę, wreszcie „Saturn", wciąż ciągnący na holu „Vironię". O godzinie 20.30, równo z zachodem słońca, na dno poszła jedna z kanonierek, a osiemnaście minut później zatonęła następna łódź podwodna. Dwie minuty po niej niszczyciel „Jakow Swierdłow" został trafiony torpedą przeznaczoną dla „Kirowa" i zatonął po sześciu minutach. Tak wspominał to admirał Kuzniecow:

„Szybko zapadała ciemność. Sylwetki okrętów płynących z tyłu konwoju wyraźnie odcinały się na tle pożarów szalejących w Tallinie. Ogromne słupy ognia i czarne kłęby dymu unoszące się nad wodą znaczyły miejsca utraty kolejnych okrętów wojennych i jednostek transportowych. Wraz z zapadnięciem zmroku ucichł ohydny ryk hitlerowskich bombowców. Nie znaczyło to jednak wcale, że załogi na statkach mogą odetchnąć z ulgą – na wodzie wciąż czaiło się śmiertelne niebezpieczeństwo. W tych ciemnościach trudno było dostrzec kolejne miny, w dodatku pływające teraz pośród szczątków zniszczonych szalup ratunkowych".

Między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią pod wodę poszło następnych dziewięć okrętów, w tym transportowiec „Everita", statek „Ługa" wiozący trzystu rannych oraz cztery kolejne z ośmiu niszczycieli płynących we flotylli. Natomiast „Mińsk", z admirałem Pantielejewem na pokładzie, został unieruchomiony po tym, jak w jednym z jego podwodnych parawanów wybuchła mina. Wziął go na hol stawiacz min „Skory" („Szybki"), który pół godziny później sam trafił na minę i poszedł na dno. Z okrętów, które padły ofiarą min, bodaj najczęściej wspomina się o „Vironii", transportującej wielu znaczących cywilów. Przechylająca się na prawą burtę i buchająca kłębami dymu, już wcześniej została wzięta na hol, by wreszcie o godzinie 21.45 trafić na minę. Relacje rosyjskie mówią o odcinających się na tle płomieni ciemnych sylwetkach pasażerów skaczących z płonącego pokładu, o odgłosach *Międzynarodówki* niosących się po wodzie, o wystrzałach z rewolwerów – to oficerowie odbierali sobie życie na chwilę przed ostatecznym zanurzeniem się okrętu w odmętach.

Tuż przed północą ocalałe jednostki zakotwiczyły pośrodku pola minowego, by zaczekać, aż poprawi się widoczność. Z nastaniem kolejnego dnia podniesiono kotwice i jatka rozpoczęła się od nowa. Do późnego popołudnia sześć kolejnych okrętów zatonęło od min, osiem od bomb, a dwa holowniki przejęły fińskie łodzie patrolowe. Wśród utraconych okrętów były: transportowiec „Plan Pięcioletni", wiozący trzy tysiące żołnierzy, oraz łódź patrolowa „Snieg", która zabrała na pokład ocalałych z „Vironii". Kolejne cztery uszkodzone statki, w tym trzy transportowce, zdołały bezpiecznie przybić do wybrzeży wyspy

Gogland (dla Szwedów Hogland, a dla Finów Suursaari), skąd żołnierzy (w tym również ocalałych z 5 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców) zabrano mniejszymi łodziami do Kronsztadu. Pozostała część flotylli z trudem dotarła do portu docelowego po czterech dniach. Cała ta operacja zakończyła się utratą sześćdziesięciu pięciu okrętów i śmiercią około czternastu tysięcy ludzi[31].

Była to największa katastrofa w historii rosyjskiej marynarki wojennej. Pod względem ofiar przewyższa ona co najmniej dwukrotnie klęskę floty carskiej poniesioną z rąk Japończyków pod Cuszimą w roku 1905 (notabene pierwszą wiktorię morską któregokolwiek mocarstwa azjatyckiego nad dowolnym państwem europejskim). Później, rzecz jasna, wybuchła dyskusja nad tym, dlaczego w ogóle do tej porażki doszło. Zarówno Kuzniecow, jak i Pantielejew wspierali decyzję o obronie Tallina, ale wyrażali też pogląd, że cywile powinni zostać ewakuowani z miasta znacznie wcześniej, a za brak przygotowania na czas odpowiednich planów ewakuacji winili Woroszyłowa. Niewątpliwie konwoje poradziłyby sobie lepiej, płynąc po głębszych wodach, gdzie wprawdzie zostałyby narażone na ataki ze strony niemieckich łodzi podwodnych oraz wpadłyby na większość pól minowych, ale za to uniknęłyby ostrzału baterii nadbrzeżnych. Co oczywiste, powinny też były prowadzić więcej trałowców („Tylko skąd mieliśmy je wziąć?" – pytał Kuzniecow). Dziś historycy wojskowości kwestionują sam plan obrony Tallina, który przyniósł niewolę około dwudziestu tysiącom żołnierzy, a związał zaledwie cztery niemieckie dywizje i niewiele pomógł w walkach toczonych bardziej na wschód.

Prawdziwy problem leżał jednak gdzie indziej, a mianowicie w całym radzieckim dowództwie, czy też dokładniej – w całkowicie uzasadnionym strachu starszych stopniem oficerów przed opowiadaniem się za odwrotem, zanim jeszcze stawał się on naglącą koniecznością i zamieniał się w nieuniknioną klęskę. Wielce pouczające są tu losy Wiaczesława Kalitiejewa, kapitana „Kazachstanu", największego transportowca w całej flotylli. W wyniku wybuchu bomby, która trafiła w mostek zaraz po wypłynięciu z portu pierwszego dnia ewakuacji, stracił on przytomność i wpadł do morza. Miał wiele szczęścia, że wyłowiła go łódź podwodna i zabrała do Kronsztadu.

Tymczasem „Kazachstan”, choć w płomieniach i z zaledwie siedmioma pozostałymi przy życiu członkami załogi, zdołał wysadzić pasażerów na piaszczystej łasze, sam zaś z trudem dopłynął do Kronsztadu cztery dni później (był jedynym transportowcem, któremu się to udało). Natychmiast wszczęto dochodzenie. Dlaczego Kalitiejew opuścił okręt? Dlaczego przybył do portu przed nim? Czy przypadkiem nie wyskoczył za burtę celowo? W specjalnie wydanym komunikacie Stawki ogłoszono, że członkowie załogi, którzy doprowadzili „Kazachstan” do portu, zostali nagrodzeni orderami Czerwonego Sztandaru. Kalitiejew stanął zaś przed plutonem egzekucyjnym za „tchórzostwo” i „dezercję podczas walki”[32].

4. ZACIĄG NARODOWY

„A dlaczego sądzicie, że chciałbym rozmawiać o wojnie?" – zbeształ swojego rozmówcę sześćdziesiąt lat po zakończeniu wojny osiemdziesięcioośmioletni Ilja Frenklach, mieszkający teraz w Izraelu i oddający się tam głównie korzystaniu ze słońca i sekciarstwu:

„Tak więc chcecie usłyszeć prawdę z ust żołnierza… Tylko komu to teraz potrzebne? Jeśli mówisz całą prawdę o wojnie, z całą szczerością i otwartością, zaraz znajdą się dziesiątki «hurrapatriotów» krzyczących: «Oszczerstwo! Potwarz! Bluźnierstwo! Szyderstwo! On nas obrzuca błotem!»… Z drugiej strony – ta polityczna poprawność, mówienie o «męstwie i heroizmie, bez zbytniego rozlewu krwi, zdecydowanych posunięciach, pod dowództwem światłych i doskonale przygotowanych oficerów…» – cóż, taki pełen fałszu i hipokryzji język, te aroganckie przechwałki półoficjalnych mediów zawsze przyprawiają mnie o mdłości".

W momencie wybuchu wojny terminujący jako początkujący robotnik w zakładach włókienniczych Frenklach uczył się walczyć nie w Armii Czerwonej, ale w formacji obronnej Leningradu zwanej *narodnym opołczenijem*, co dokładnie można przełożyć jako „zaciąg narodowy", ale zwykle określa się mianem „narodowej milicji" albo „narodowej formacji ochotniczej". Formacja powstała początkowo na fali ludowego patriotyzmu, która wybuchła w mieście po nadejściu wiadomości o inwazji niemieckiej, a zamieniła się z czasem w narzędzie, za którego pośrednictwem dowództwo Leningradu, z bardzo niewielkim pożytkiem militarnym, ochoczo poświęciło około siedemdziesiąt tysięcy istnień ludzkich w okresie od lipca do sierpnia 1941 roku.

Opołczenije nie było wynalazkiem typowo radzieckim. Tego rodzaju naprędce zwoływane zaciągi już wcześniej pomagały Rosjanom odeprzeć ataki Polaków w roku 1612 i Francuzów w 1812 roku.

Członkowie takich formacji nie byli też, przynajmniej początkowo, żołnierzami poborowymi. Tak wspominał Frenklach:

„Większość z nas pospieszyła na wojnę z porywu serca, tak szybko, jak to tylko było możliwe… Kiedy pojawiła się Wojskowa Akademia Medyczna i rozpoczęła nabór do przeszkolenia lekarskiego, nikt z nas nie chciał wstąpić do tej superelitarnej instytucji z jednego zasadniczego powodu – oznaczało to utratę szansy na uczestnictwo w pierwszych potyczkach z wrogiem… W moim plutonie był pewien *komsorg* [komsomolski organizator, młodszy funkcjonariusz Komsomołu] z Instytutu Rolniczego. Miał gruźlicę, wręcz kaszlał krwią. Zaproponowano mu pracę na tyłach, ale odmówił i padł w jednej z pierwszych bitew”[1].

Pośród ochotników odrzuconych przez radę dzielnicową na Wyspie Wasiljewskiej byli, według dokumentów partii, „profesorowie, sędziowie, dyrektorzy, a także kilku oczywistych inwalidów – Sergiejew, któremu wycięto połowę żołądka, Łużyk – z jedną nogą i tak dalej”[2].

Powieściopisarz Daniił Alszyc, dziś ponad dziewięćdziesięcioletni nestor petersburskiego środowiska literackiego, był wówczas jednym z dwustu dziewięciu studentów na Wydziale Historii Uniwersytetu Leningradzkiego, którzy także się zaciągnęli. Choć osierocony przez stalinizm – jego ojciec został wygnany w latach trzydziestych – był mimo to żarliwym komunistą.

„Bardzo niewiele rodzin nie doznało żadnych cierpień od Stalina. A my, studenci, nigdy nie wierzyliśmy w te sfabrykowane procesy [procesy pokazowe z lat 1936–1937]. Musisz jednak zrozumieć, że nie czuliśmy żadnej wrogości do władzy radzieckiej. Uważaliśmy, że Stalin po prostu przesadzał w eliminowaniu swoich przeciwników, że wszystkie te przetasowania na szczytach władzy wkrótce się zakończą. No i każdy rozumiał, że Stalin to jedno, a ojczyzna to coś zupełnie innego”.

Kiedy okazało się, że ze względu na znajomość niemieckiego zostanie on oddzielony od kolegów i będzie przygotowywany do roli tłumacza, Daniił wpadł we wściekłość. „Wszyscy chcieliśmy iść na front i walczyć! Nikt nie chciał zostać na tyłach!” Akurat ta decyzja tak naprawdę ocaliła

mu życie, ponieważ w chwili, gdy ostatecznie dotarł na front, pod koniec września, „zaciąg narodowy" właśnie dokonywał swojego żywota, a ze wszystkich walczących w nim kolegów Daniiła ze studiów ocalało zaledwie trzydziestu[3].

Ruch, którego początki miały charakter spontaniczny i autentycznie ludowy, błyskawicznie nabrał cech oficjalnych i stał się niemal obowiązkowy. Proces ten wyjaśnił później pewien działacz partyjny w Zakładach Kirowa. Zaraz po przemówieniu Mołotowa informującym o niemieckiej inwazji przyszli do niego pierwsi ochotnicy z prośbą o wysłanie na front – było to pięć dziewcząt z Czerwonego Krzyża:

„To one stały u początków zaciągu narodowego. O tej piątce wiem tyle, że trzy zostały zabite pod Woronino, a jedna utonęła w Oredeży. Po nich zaczęło napływać dużo zgłoszeń. Przez niedzielę i poniedziałek co kilka godzin zjawiały się setki chętnych. Przyjmowaliśmy ich zgłoszenia, ale żadnych ludzi nigdzie nie wysyłaliśmy. Do końca poniedziałku wszystko to osiągnęło takie rozmiary, że trzeba było wreszcie zareagować jakoś bardziej konkretnie. Poszedłem do towarzysza Wierchogłaza, kierującego wydziałem wojskowym miejskiego komitetu partii, i spytałem go: «Co mam zrobić z tymi ludźmi?». Inne zakłady pracy były w tej samej sytuacji. Partkom [komitet partii w zakładzie pracy] nie odpowiedział od razu; powiedziano mi tylko, bym dalej przyjmował zgłoszenia. Jakieś siedem czy osiem dni później usłyszeliśmy, że mamy sformować dywizję *narodnego opołczenija*"[4].

27 czerwca Żdanow poprosił Moskwę o pozwolenie na sformowanie *opołczenija*, planując, że uczyni z nich część sił rezerwowych regularnej armii. Następnego dnia otrzymał odpowiedź od Żukowa: zgadzał się on na utworzenie siedmiu ochotniczych dywizji mających „wzmocnić" Grupę Północno-Zachodnią Armii Czerwonej, wobec czego plan taki został oficjalnie ogłoszony 30 czerwca. Wkrótce w ślad za Leningradem poszły też władze Moskwy, przedstawiając 4 lipca własną, bliźniaczo podobną propozycję sformowania *opołczenija*. Formacja ta z miejsca stała się oczkiem w głowie Żdanowa, zwłaszcza gdy planowi jej powołania ostro sprzeciwił się jego zaciekły rywal Beria, który chciał utrzymać wszystkie cywilne siły obronne pod kontrolą swojego NKWD,

podobnie jak milicję. W dość typowym dla siebie odruchu tromtadracji Żdanow natychmiast zadeklarował, że Leningrad dorówna stolicy w liczbie zaciągniętych ochotników, ustalając docelową liczbę (nigdy jej nie osiągnięto) na dwieście siedemdziesiąt tysięcy ludzi w piętnastu dywizjach[5].

Pierwsze trzy dywizje leningradzkiego *opołczenija*, liczące łącznie około trzydziestu jeden tysięcy ochotników, sformowano w dniach 4–18 lipca. Każda z nich przypisana była do innej dzielnicy miasta, co oznaczało, że koledzy z tego samego zakładu (a często również członkowie jednej rodziny) mogli się znaleźć razem w tej samej jednostce. Ochotników 1 Dywizji zwano „kirowcami", od Zakładów Obronnych Kirowa, skąd pochodziło około dziesięciu tysięcy osób, z których utworzono dwa pułki i trzy bataliony. 2 pułk 2 Dywizji zwał się natomiast „Skorochodowcy" – dosłownie „szybkochodziarze" – od fabryki obuwia Skorochod. Pozostała część 2 Dywizji składała się z pracowników elektrowni Elektrosiła. Łącznie zaciągnęło się około 67 tysięcy robotników, z których większość była wykwalifikowanymi specjalistami, co zwalniało ich od regularnego poboru[6]. Oprócz najbardziej elitarnej części siły roboczej z leningradzkich fabryk do dywizji tych włączono także wielu inżynierów, naukowców, artystów i studentów. Instytut Inżynierii Kolejowej dostarczył do *opołczenija* 900 mężczyzn, Instytut Górnictwa – kolejnych 960, Instytut Budownictwa Okrętowego – 450, Instytut Elektrotechniczny – 1200. Siedem batalionów sformowano w całości z ochotników z Uniwersytetu Leningradzkiego. Co zrozumiałe, pierwsza fala *opołczenców* składała się w nieproporcjonalnej części z komunistów. Spośród 97 tysięcy mężczyzn zaciągniętych do 6 lipca aż 20 tysięcy należało do partii, a kolejnych 18 tysięcy było członkami jej młodzieżówki, to jest Komsomołu[7].

W miarę jak rosły ambicje Żdanowa, rekrutacja do *opołczenija* stawała się coraz bardziej systematyczna. Wszystkim radom dzielnicowym, na podstawie liczby mieszkańców uprawnionych do głosowania, wyznaczano liczbę kontyngentów, te zaś z kolei odgórnie narzucały poszczególnym zakładom pracy znajdującym się na ich terenie, ilu *opołczenców* ma liczyć ich kontyngent. Dyrektorzy fabryk dwoili się

i troili, by przeprowadzić ewakuację swoich zakładów albo też przestawić ich działalność na produkcję obronną, i starali się ze wszystkich sił zatrzymać kluczowych członków swojej załogi, wobec czego zdarzało się, że zamiast mężczyzn wysyłali kobiety. „Produkcja została zredukowana do minimum" – wspominał działacz partii odpowiedzialny za rekrutację w Zakładach Kirowa. Kierownicy „zgłaszali do dyrektora i do Partkomu propozycje, aby opracować mechanizm decydujący o tym, komu można pozwolić się zaciągnąć, a komu nie. Ale rzecz jasna wielu z tych, którym nie powinno się pozwolić odejść, i tak odchodziło"[8]. A. I. Wierchogłaz, kierujący wydziałem politycznym *opołczenija*, a także członek miejskiego komitetu partyjnego, nawoływał swoich agitatorów do podwojenia wysiłków: „Nie możecie czekać na przejawy patriotyzmu, sami musicie go wpajać!". Tak więc jego podwładni mieli nie „pałętać się po cieplutkich, zacisznych gabinetach w centrali", ale „iść do fabryk i uzmysławiać tam cały problem ludziom – mówić im: «Chwytajcie za broń!»"[9].

Oparcie się takiej agitacji nie było prostą sprawą zwłaszcza po tym, jak Stalin pochwalił moskiewskie i leningradzkie *opołczenija* w przemówieniu radiowym z 3 lipca. „Jeden z ochotników – donosiła rada Wyspy Wasiljewskiej – były członek partii, złożył podanie o zwolnienie od służby, ale po godzinie pojawił się z prośbą o jego wycofanie, bo zrobiło mu się strasznie wstyd"[10]. Inny z kolei, wymawiający się chorobą, usłyszał, że stan jego zdrowia „nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma sam fakt zgłaszania się na ochotnika, a tym samym demonstrowanie swojej postawy politycznej". Lichaczow odczuwał głęboką pogardę dla hipokryzji swojego kierownictwa w Domu Puszkina:

„Wszyscy mężczyźni zostali zarejestrowani. Kolejno wzywano ich do gabinetu dyrektora, gdzie pierwsze skrzypce grali L. A. Płotkin wraz z sekretarzem organizacji partyjnej A. I. Perepeczem. Pamiętam Panczenkę, jak wychodził stamtąd trzęsący się i blady: właśnie im odmówił. Powiedział, że nie pójdzie jako ochotnik, bo woli służyć w regularnej armii... Uznano go za tchórza i potraktowano z pogardą, ale kilka tygodni później został zmobilizowany, tak jak powiedział. Walczył jako partyzant i zginął w lasach gdzieś koło Kalinina.

Tymczasem Płotkin, zarejestrowawszy wszystkich innych, sam wystarał się dla siebie o zwolnienie ze służby ze względów zdrowotnych. Zimą uciekł z Leningradu samolotem. Kilka godzin przed wylotem zdążył jeszcze wpisać na listę pracowników Instytutu swoją «dobrą przyjaciółkę», nauczycielkę angielskiego, którą zabrał ze sobą na pokład”[11].

Jest oczywiste, że wielu ludzi nie zdawało sobie sprawy, do jakiej służby zgłaszają akces, zakładając, że zostaną wykorzystani do obrony cywilnej, do pracy w charakterze specjalistów albo jako straż sąsiedzka, w razie gdyby Niemcy mieli wkroczyć do Leningradu. O ile jednak niełatwo było uniknąć zaciągu do *opołczenija*, o tyle prawdziwy problem stanowiło dopiero opuszczenie tej formacji. Jak wynika z dokumentów partii, pięćdziesięciu dwóch aktorów i muzyków usiłowało „złożyć broń” – zapewne w chwili zapisu sądzili oni, że ich rolą będzie zapewnianie rozrywki prawdziwym żołnierzom – „jednak podjęto odpowiednie kroki, by powstrzymać to zjawisko”[12]. Niejaki towarzysz Niniukow z Instytutu Botanicznego „ciągle powtarzał, że jego praca jest niezmiernie ważna, i prosił, by go zwolnić ze służby. Taką samą postawę prezentowali Nikulin i Denisow z Instytutu Geologii. Wszyscy zostali odesłani do swoich miejsc pracy, gdzie podjęte będą wobec nich odpowiednie środki. Członek partii Tajc oświadczył zaś: «Jeśli w pułku niepotrzebne są moje umiejętności zawodowe jako inżyniera metalurga, nie chcę w nim w ogóle być». Liberalne dowództwo, zamiast – co zrozumiałe – odmówić, pozwoliło mu wrócić do swojej fabryki. Dopiero po 11 lipca *zamkom* [zastępca komisarza] w wydziale politycznym pułku zaczął podejmować konieczne środki”[13].

Raporty o osobach uchylających się ponoć od walki stawały się pretekstem do wyrażania zapiekłego antysemityzmu:

„Swierdlin, ochotnik z 3 Batalionu Saperów 2 Pułku Saperów, Żyd, wcześniej pracował w sklepie spożywczym. Zgłosił się na ochotnika, a potem nagle uświadomił sobie, że trafił do dywizji przeznaczonej do wysłania na front. Wpadł w rozpacz i zaczął rozpowiadać, że kiedy wstąpił do *opołczenija*, jego żona próbowała się powiesić, a jemu udało się ją ocalić w ostatnim momencie. Pozwolono mu odejść… W artylerii komunista Brauman zalał się łzami, bo wystraszył się pójścia na front…

Członek Komsomołu Peterson chciał opuścić *opołczenije*, ale usłyszał parę twardych słów i został skierowany do pracy w kuchni”[14].

Takie postawy były jednak stosunkowo rzadkie. W większości ludzie albo sami rwali się do walki, jak choćby Frenklach i Alszyc (obaj Żydzi), albo uznawali, że lepiej jest się nie wyróżniać. Jak to wyraziła Lidia Ginzburg: „Wybór wcale nie był taki oczywisty: z jednej strony, niebezpieczeństwo bliskie, pewne i dobrze znane (niezadowolenie kierownictwa), z drugiej zaś – czaiło się coś wciąż dość odległego, niejasnego, a przede wszystkim niezrozumiałego”[15].

Utworzywszy już narodowy zaciąg, władze traktowały go z najwyższą podejrzliwością. Zebrani z prawdziwej potrzeby serca, a nie za przyczyną dyktatu partyjnego, członkowie tej formacji wykazywali całkowicie niepożądaną tendencję do samoorganizowania się, a nawet do sugerowania czy krytykowania pewnych rozwiązań. Szczególnie twardym orzechem do zgryzienia okazały się tysiące ochotników inteligenckich. Spośród dwóch tysięcy sześciuset mężczyzn w 3 Pułku Strzelców 1 Dywizji (rekrutację do niego przeprowadzono w pełnej przeróżnych instytutów dzielnicy Dzierżyńskiego), około tysiąca – jak z niepokojem odnotowywał Wydział Polityczny – stanowili „osobnicy starannie wykształceni – profesorowie, pracownicy naukowi, pisarze, inżynierowie”, wśród których należało „rozlokować” równie wykształconych oficerów, bo tylko tacy mogli oczekiwać szacunku i posłuchu. Prośby ochotników o wykorzystywanie ich zgodnie z posiadaną specjalizacją – na przykład inżynierów radiowych o zostanie oficerami sygnałowymi czy inżynierów górnictwa o przydział do formacji saperów – należało traktować jako „przejawy tchórzostwa”, a pułk konsekwentnie oczyszczać z „jęczydusz” i „niepewnych elementów”. W obu pierwszych dywizjach *opołczenija* ochotnicy początkowo sami wybierali swoich dowódców oraz „kierowników politycznych” – usadowione na poziomie batalionu osoby odpowiedzialne za pracę polityczno-wychowawczą, z silnym akcentem na propagandę, określane mianem *politruków*. Dokonywali tego w drodze nieformalnego głosowania[16]. Ta niebezpiecznie demokratyczna praktyka błyskawicznie została jednak zduszona w zarodku rozkazami samej Stawki. Wydział Polityczny, mimo

najszczerszych chęci, nie zdołał wpoić *opołczencom* ducha „socjalistycznego współzawodnictwa" z innymi jednostkami ani zmusić ich do przyjęcia wojskowych procedur. Jeden z *politruków* uskarżał się:

„Oto dwa przykłady z pułków Żdanowskiego i Kirowskiego. Był on wcześniej zwykłym robotnikiem, a teraz jest oficerem. W jednostce ma dwóch swoich byłych brygadzistów i oczywiście trudno jest im odejść od używania [dobrze znanych] imion: Sasza, Wania, Pietia. Albo taki przypadek. Dowódca wydaje rozkaz i mówi: «Powtórzcie». A jego podkomendny odpowiada: «Sasza, a po co ja mam powtarzać, myślisz, że jestem głupi?»... Musimy zmusić naszych dowódców do większej surowości"[17].

Wierchuszka partyjna obawiała się też, że wśród zgłaszających się na ochotnika mogą się kryć potencjalni zdrajcy. W grupie zaciągniętych zdemaskowano trzynastu „obcych" narodowościowo Niemców i Estończyków, a także jednego byłego trockistę, jednego „białego" Fina oraz kilku komunistów hiszpańskich i austriackich. Wszystkich wydalono z *opołczenija*, a ich dane przekazano do NKWD[18].

Jeśli chodzi o względy praktyczne, ochotnicy, których do 7 lipca było już sto dziesięć tysięcy[19], musieli zostać przeniesieni do koszar, uzbrojeni i wyposażeni, a także przeszkoleni do walki. W tym akurat aspekcie władze poniosły spektakularną porażkę, jak to szczerze przyznawali w swoich raportach sami *politrucy*. Ochotnicy z 1 Dywizji, zwanej „Kirowską", zostali powołani 4 lipca i wysłani do zaimprowizowanych koszar urządzonych w szkołach, szpitalu, hotelu robotniczym oraz domu studenta przy konserwatorium, gdzie musieli spać bezpośrednio na podłodze albo na piętrowych łóżkach bez materacy. Wydział Polityczny skarżył się, że przybyli tam prosto z pracy, pijani po tradycyjnych pożegnaniach towarzyszących poborowi i bez odpowiedniego ubrania. Podczas politycznych pogadanek siedzieli półnadzy bez koszul, swoimi dopiero co otrzymanymi karabinami uderzali o stelaże łóżek, by pozbyć się bagnetów, ukrywali ćwierćlitrówki wódki w przydzielonych im maskach przeciwgazowych, kupowali lody Eskimo od obwoźnych sprzedawców, którzy wchodzili i wychodzili bez przeszkód, a mogli przecież być szpiegami. A co gorsza, prawie w ogóle nie brali udziału w przeszkoleniu. Teoretycznie

ochotnicy powinni mieć szesnaście godzin szkolenia. W praktyce mieli znacznie mniej, gdyż brakowało niezbędnej do ćwiczeń broni i amunicji, ale także instruktorów (według jednego z raportów jeden instruktor przypadał na pięciuset–sześciuset żołnierzy)[20].

Dla porządku trzeba przyznać, że i tak nie było szans na przeprowadzenie odpowiedniego przeszkolenia w tak krótkim czasie. Już 7 lipca, po zaledwie trzech dniach spędzonych w koszarach i kilku masówkach w swoich zakładach pracy, mężczyźni z Dywizji Kirowskiej wymaszerowali ulicami miasta, pośród tłumów żon i dzieci, na dworzec Witebski, gdzie załadowano ich do pociągu zdążającego na front. Wyjazd szybko zamienił się w farsę, bo już kilka stacji dalej dowództwo armii zawróciło pociąg, do którego zapomniano załadować podstawowy ekwipunek dla żołnierzy. Pewien ochotnik wspominał:

„Łącznie wyruszaliśmy na front trzy razy… Za pierwszym razem 7 lipca. Dowództwo nas zawróciło, bo nie mieliśmy ze sobą żadnego sprzętu. 8 lipca przybyła broń, którą nam rozdano. Wyruszyliśmy ponownie, a po drodze rozdawano nam jeszcze mundury. Ale znów nas zawrócono. 9 lipca byliśmy wreszcie odpowiednio umundurowani i wyekwipowani: każdy z nas miał karabin, a oficerowie – broń automatyczną".

Choć 1 Dywizja dysponowała artylerią, karabinami maszynowymi i kilkoma pistoletami maszynowymi, to nie miała żadnych dział przeciwlotniczych, w jej moździerzach brakowało przyrządów celowniczych, a niektóre z wydanych karabinów liczyły czterdzieści lat. („Mój został zrobiony w roku 1895 – wspominał pewien kirowiec. – Miał tyle samo lat co ja")[21]. Dywizja ostatecznie dotarła do miejsca przeznaczenia – niewielkiego miasteczka kolejowego pomiędzy Ługą a Nowogrodem – 11 lipca, w samym środku niemieckiego nalotu.

W późniejszym okresie *opołczenija* traktowano jeszcze gorzej. 2 Dywizja także nie miała dział przeciwlotniczych ani żadnej broni automatycznej poza jednym karabinem maszynowym, a w dodatku jej artylerzyści byli tak niedoświadczeni, że musieli „uczyć się posługiwania bronią w walce". 3 Dywizja dysponowała zaledwie połową

przydzielonej jej artylerii, nie miała żadnych pocisków pancernych, żadnych granatów ani nawet koktajli Mołotowa, „ani jednego moździerza", miała za mało kabli do polowych telefonów, zaledwie kilka samochodów i motocykli, nie było natomiast żadnego smarowidła do karabinów, co oznaczało, że od momentu rozdania nie były one czyszczone – skarżył się Żdanowowi dowódca *opołczenija*, generał major Aleksiej Subotin. Mimo to formacja została wysłana do obsadzenia fortyfikacji pod Leningradem już 15 lipca, to jest w dniu jej skompletowania[22].

Jak jasno wynika z wewnętrznych dokumentów partyjnych, ochotników traktowano jako mięso armatnie. Na spotkaniu z kolegami z Wydziału Politycznego Wierchogłaz zachwalał wprawdzie ich zróżnicowanie: „W naszych jednostkach można dostrzec profesora maszerującego ramię w ramię ze studentem, metalowca obok wielkopiecownika albo architekta ćwiczącego na strzelnicy tuż przy piekarzu". Ale przyznawał też, że „ponieważ brak nam czasu na przygotowania, muszą oni szkolić się w walce, a walczyć, szkoląc się". Ochotników „nie należało używać w wojnie manewrowej, a jedynie do obrony..., dlatego też muszą [oni] umieć posługiwać się granatami i innymi prymitywnymi formami walki w celu odpierania ataków wroga"[23]. Jako pierwsza została rzucona do boju 2 Dywizja – natychmiast po przybyciu na front, 13 lipca, otrzymała rozkaz wyparcia niemieckich jednostek pancernych z przyczółka po drugiej stronie rzeki Ługi na południowy wschód od Kingisepp. Dywizje 1 i 3 poszły w ślad za nią tydzień później, kiedy zmotoryzowane dywizje Wehrmachtu nadciągały już szerokim wachlarzem na południe od Linii Ługi.

Konsekwencją takich działań była niemal powszechna panika i ogólne zamieszanie. Nieuzbrojeni, niewyszkoleni, wyczerpani całonocnymi marszami i niewyspani z powodu ukrywania się w ciągu dnia przed niemieckimi nalotami ochotnicy masowo uciekali albo wpadali w ręce wroga. Tak wielu z nich porzucało swoje przedpotopowe karabiny, że – aby temu przeciwdziałać – przeprowadzono specjalną kampanię pod hasłami: „Utrata karabinu to zbrodnia przeciw Ojczyźnie" i „Siłą żołnierza jest jego broń". Masowe rejterady w obliczu czołgów były tak powszechne, że ukuto dla nich osobne,

pseudomedyczne określenie – *tankowaja bojazń*, czyli „czołgofobia". Wierchogłaz zasugerował nawet swoim podkomendnym, by rozgłaszali pogłoski, że Niemcy używają jedynie atrap czołgów:

„Pewnego dnia zdarzył się dokładnie taki oto wypadek. Przez lornetkę dostrzeżono nadciągającą olbrzymią kolumnę czołgów. Czołgi stanęły, a któryś z oficerów oparł się łokciem o jeden z nich i jego łokieć zrobił w nim wgniecenie. Cóż, jak wiecie, łokcie nie robią wgnieceń w prawdziwych czołgach. Ten niewielki szczegół objawił całą prawdę – czołgi okazały się jedynie atrapami"[24].

Nie wiemy, czy ta absurdalna próba przekonania własnych ludzi, że można iść do walki przeciwko pojazdom opancerzonym praktycznie z gołymi rękami, odniosła jakikolwiek skutek, ale wydaje się to wysoce nieprawdopodobne.

W bitwie życie ochotników poświęcano w najbardziej prymitywny sposób. Niemiecki szef sztabu, generał Halder, zapisał w dzienniku: „Rosyjska metoda ataku: trzyminutowy ostrzał artyleryjski, potem przerwa, potem atak piechoty liczącej maksymalnie dwanaście szeregów, bez żadnego wsparcia ciężkiej broni. Ich ludzie już z daleka krzyczą «hurra». Straty Rosjan są niewiarygodnie wysokie"[25]. Jednym z tych żołnierzy piechoty był Frenklach. „Strach jest tak wielki, że twoje nogi są jak wrośnięte w ziemię – wspominał później. – Niezmiernie ciężko jest zmusić się do powstania, podniesienia karabinu i biegu. Ale kiedy już wstaniesz, reszta jest prosta – zwyczajnie biegniesz do przodu. I robisz to nie tylko ze strachu przed strzałem w tył głowy, gdybyś nie posłuchał, ale także z poczucia obowiązku wobec Ojczyzny".

Oficerowie, którzy wychodzili z bitwy żywi, byli poddawani zwyczajowemu, pełnemu podejrzliwości i zastraszania przesłuchaniu. Oto zapis przesłuchania *politruka* Michaiła Sierogodskiego prowadzonego przez Wierchogłaza po katastrofalnej w skutkach potyczce nieopodal Kingisepp pod koniec lipca:

„Sierogodski: «Na stację kolejową przybyło nas dziewięciuset, a z walk toczonych na miejscu wyszło sześciuset».

Wierchogłaz: «Zostali zabici czy uciekli?».

Sierogodski: «Niektórzy udali się w kierunku Gdowa, niektórzy zostali zabici».

Wierchogłaz: «Wiem dokładnie, dlaczego część z nich uciekła – bo wy straciliście głowę. Nie dotarło do was, że macie być ich dowódcą. Przez wasz brak umiejętności przywódczych pouciekali w zwierzęcym przerażeniu»".

Sierogodski wyjaśniał dalej, że ocalałej przy życiu części jednostki rozkazał, by „uważali się za partyzantów", podzielili się na mniejsze grupki i kierowali w stronę lasów:

„Wierchogłaz: «Powód waszego powrotu z tyłów?».

Sierogodski: «Było bardzo trudno o jedzenie. Przez ostatnie trzy dni, dopóki nie spotkaliśmy ponownie naszych jednostek, żywiliśmy się dzikimi roślinami. Szliśmy przez głęboki las sosnowy i jedliśmy leśny szczaw. Straszny głód zmusił nas do dołączenia do naszych oddziałów».

Wierchogłaz: «A wasze straty są jak duże?».

Sierogodski: «Trudno powiedzieć. W naszym oddziale pozostało sześćdziesięciu pięciu ludzi. Nie chodzi tylko o poległych; dwukrotnie wysyłałem ludzi na rekonesans i już nie wracali»"[26].

Także w raportach składanych na poziomie batalionów przebijają wściekłość i rozpacz, a ich język daleki jest od zwyczajnego żargonu politycznego. Niejaki komisarz Moisiejenko z 1 Dywizji wyjaśniał 21 lipca, dlaczego jego jednostka została zmuszona do odwrotu:

„Batalion bronił się przed ostrzałem z moździerzy, a nie mógł sam odpowiedzieć ogniem, bo nie posiadał własnych moździerzy. Batalion nie miał żadnej łączności z pułkiem, artylerią ani swoimi kompaniami, w rezultacie artyleria strzelała więc do własnych żołnierzy siedzących w okopach. Pierwsza Kompania batalionu wystawiła na ostrzał Trzecią Kompanię tego samego batalionu"[27].

Żołnierze nad brzegiem Newy w Leningradzie, lato 1941 roku. W tle sobór Świętego Izaaka.

Inny oficer 1 Dywizji uskarżał się na brak służb medycznych:

„Nie chodzi tylko o to, że sytuacja z lekami jest zła; nie mamy także żadnego sprzętu chirurgicznego. Jeśli ranni wymagają operacji, nie możemy im pomóc. Nie ma ani chirurgów, ani narzędzi, ani pielęgniarek. Są dziewczęta z Czerwonego Krzyża – co prawda to prawdziwe bohaterki, ale nie na wiele się przydają. Nie mamy wystarczająco dużo apteczek pierwszej pomocy. Nie ma żadnych

zapasów, tylko to, co żołnierze mają już w swoich plecakach, to wszystko. Jedna malutka buteleczka jodyny na plecak… A co powiedzieć o transporcie medycznym? Powinniśmy mieć trzysta osiemdziesiąt ciężarówek, mamy sto siedemdziesiąt. Nie ma żadnych wykwalifikowanych lekarzy…".

Nic dziwnego, sugerował, że oficerowie często znajdują się w sytuacji nie do pozazdroszczenia:

„Był tu jeden niemiły incydent. Dowódca 1 Pułku Kirowskiego zastrzelił się. Powodem było najwyraźniej tchórzostwo, strach że [pułk] nie jest odpowiednio uzbrojony. Podobno piętnaście minut wcześniej wygłosił on doskonałą przemowę [do żołnierzy], a potem odszedł na bok i się zastrzelił. Jego postępowania nie wyjaśniono żołnierzom; powiedziano im, że został zabity przez dywersantów"[28].

Pewien starszy porucznik wypytywany, dlaczego z własnej inicjatywy wydał rozkaz do odwrotu, odpowiedział: „Nie wiem, jak być oficerem, a nie chciałem, żeby z mojej winy zginęło mnóstwo ludzi", po czym zalał się łzami[29]. Jeden z żołnierzy obsługujących karabin maszynowy zostawił taką krótką notkę: „Postanowiłem odebrać sobie życie. W kompanii jest zbyt ciężko. Podpisano, szef kompanii, major Smirnow".

16 lipca najwyższe dowództwo rozkazało utworzyć cztery kolejne dywizje *opołczenija*, mające docelowo liczyć dodatkowych 41 446 ochotników. Znacznie poluzowano kryteria rekrutacji, tak by móc objąć nimi również posiadaczy „białych biletów"[30], osoby noszące okulary czy synów „wrogów ludu". Dolny limit wieku obniżono z osiemnastu do siedemnastu lat, górny zaś podniesiono z pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu lat. Mimo nadania im nowej pompatycznej nazwy „Dywizji Gwardyjskich" nie zdołano ukryć faktu, że były one jeszcze gorzej wyposażone od swoich poprzedniczek. Na przykład 3 Pułk Strzelców 1 Dywizji Gwardyjskiej dysponował 791 karabinami, 10 karabinami snajperskimi i 5 rewolwerami na 2667 ludzi[31]. Szkolenie i tym razem było fatalne albo wręcz żadne („Uczymy ich, jak walczyć za pomocą kamieni" – skarżył się jeden z instruktorów). Wskutek

marnotrawstwa z ostatnich trzech tygodni formacjom tym dotkliwie doskwierał też brak doświadczonych oficerów – spośród 781 oficerów 1 Dywizji Gwardyjskiej jedynie 82 należało do „kadry", czyli – mówiąc najogólniej – służyło w zawodowym wojsku. Komisarze musieli przetrząsać nieokupowaną część Związku Radzieckiego, sprowadzając kandydatów aż z Uralu, by obsadzić oficerami 2 Dywizję Gwardyjską[32].

Te nowe dywizje rzucano w bój z równą bezmyślnością jak poprzednie. Po przybyciu na front 11 sierpnia 1 Dywizja Gwardyjska trzykrotnie otrzymywała zmienione rozkazy, wskutek czego niektóre jej pułki musiały w ciągu doby przebyć forsownym marszem odległość 70 kilometrów. Z miejsca wysłano je bezpośrednio do walki, mimo że brakowało im nabojów, pocisków artyleryjskich i granatów. Jak raportował Żdanowowi kierownik Wydziału Politycznego, po dokonaniu inspekcji na froncie, nie można im było dostarczyć z tyłów więcej amunicji, gdyż dywizja nie dysponowała samochodem cysterną, a swoich trzysta dziewięćdziesiąt koni musiała wcześniej zostawić daleko za sobą z powodu braku uprzęży i wozów. Nie sposób było też ewakuować z pola bitwy rannych, ponieważ służby medyczne dysponowały zaledwie czterema ciężarówkami. Także przybywające do kwatery głównej dywizji „grube ryby" okazywały się większą zawadą niż pomocą:

„Każdemu z nich wydaje się, że jego obowiązkiem jest wydać jakiś rozkaz albo udzielić jakiejś rady. Oto charakterystyczny przykład: dowódca dywizji dowiedział się o tym, że 2 Pułk Strzelców otrzymał rozkaz do ataku dopiero wieczorem 12 sierpnia, kiedy rozkaz ten już wykonano, pod dowództwem jakiegoś generała majora z kwatery głównej. W rozmowie ze mną generał major Szczerbakow i komisarz brygady Kuroczkin stwierdzili zgodnie: «Każdy tu wydaje rozkazy, a nikt tak naprawdę nie pomaga»".

Na długiej liście brakującego zaopatrzenia znajdowały się między innymi beczkowozy, karetka i szpital polowy, ale także dwudziestu dodatkowych oficerów średniego szczebla oraz *politruków*, by móc sobie lepiej radzić z szybko pierzchającymi ochotnikami[33].

2 Dywizja Gwardyjska Armii Ochotniczej została wysłana na front do Gatczyny 12 sierpnia, a już dwa tygodnie później poszła w rozsypkę. Jak

raportował komisarz pułkowy Nabatow, podczas walki wyraźnie widać było, że:

„A. Niektórzy żołnierze nie wiedzą, jak posługiwać się bronią albo granatami. Przyczyniło się to do ich rozproszenia w boju.

B. Pewna część żołnierzy była źle zakamuflowana, bo nie zastosowała się do rozkazów, by się okopać. W rezultacie ponieśliśmy duże straty od ognia artyleryjskiego i moździerzy.

C. Podczas kontrataków żołnierze starali się być blisko siebie, zamiast rozciągnąć się we właściwą formację. Oznaczało to kolejne straty.

D. Żołnierze nie znają swoich sąsiadów po lewej i po prawej stronie. Omyłkowo biorąc swoich własnych ludzi za wrogów, myślą, że zostali okrążeni.

E. Pewna część dowódców jednostek nie zna własnych żołnierzy z nazwiska.

F. Niektórzy żołnierze nie wiedzą, jak używać apteczek pierwszej pomocy. W rezultacie niektórzy, odniósłszy stosunkowo niegroźne rany, wykrwawiają się na śmierć, zanim uda się ich dostarczyć do punktu medycznego".

W czasie między kolejnymi odsłonami rzezi dywizja przeczekiwała letnie burze, siedząc w niedokończonych okopach, głodna i przemoczona. (Jak to ujął Frenklach: „Taplaliśmy się jak hipopotamy w zoo"). Poszczególne jednostki składały zapotrzebowanie na plandeki, namioty, kuchnie polowe, bieliznę, brzytwy, menażki, manierki, łopaty, narzędzia do kopania rowów, hełmy, a przede wszystkim pojazdy mechaniczne, sprzęt do łączności, broń (3 Dywizja Gwardyjska miała zaledwie trzy karabiny na każdych czterech ochotników) oraz ludzi, którzy potrafią się nią posługiwać. Pewien *politruk* z jednego z batalionów 4 Dywizji Gwardyjskiej, wysłanej, by zasilić zdziesiątkowaną 2 Dywizję, raportował:

„Większość ochotników jest niewyszkolona albo wyszkolona niewystarczająco, więc podczas strzelania w niektórych przypadkach nie potrafią oni załadować karabinów i muszą to za nich robić ich oficerowie… Spośród dwustu pięciu przydzielonych do obsługi

karabinów maszynowych jedynie stu rzeczywiście obeznanych było z karabinami maszynowymi, a reszta okazała się zaledwie strzelcami. Jeszcze więcej strzelców, a także zwykłych pracowników fizycznych, znalazło się na liście «saperów», za to nie było tam ani jednego specjalisty od materiałów wybuchowych… Nie mają też żadnych narzędzi do naprawy swojej broni, więc zwykłe złamanie iglicy w karabinie maszynowym oznacza, że jest on już niezdatny do użycia”[34].

Formalna decyzja o likwidacji pozostałości *opołczenija* została podjęta 19 września, a do końca tegoż miesiąca jego resztki wcielono w szeregi Armii Czerwonej. Łącznie w formacji tej służyło 135 400 ludzi, w tym znacząca liczba kobiet w jednostkach pomocniczych[35]. Najbliższe oficjalnym szacunkowe dane dotyczące liczby ofiar, jakimi dysponujemy, pochodzą od zastępcy Żdanowa, Aleksandra Kuzniecowa, który rok później w swojej przemowie w Instytucie Smolnym stwierdził, że nie mniej niż czterdzieści trzy tysiące ochotników z Leningradu zostało zabitych, trafiło do niewoli albo zaginęło w pierwszych trzech miesiącach wojny. Niemal na pewno jest to liczba znacznie zaniżona. Śmiertelność w 1 i 2 Dywizji, a także w 2 i 4 Dywizji Gwardyjskiej – wszystkich praktycznie unicestwionych jeszcze przed oficjalną likwidacją – była o wiele wyższa, a w rozmowach z zachodnimi dziennikarzami pod koniec wojny sugerowano, że mogła ona wynosić nawet do pięćdziesięciu procent[36].

Czy taka danina krwi miała w ogóle jakiś sens? Tradycyjna interpretacja głosi, że choć *opołczenije* było niedoszkolone i niewystarczająco wyekwipowane, utrzymało Linię Ługi przez bezcennych kilka tygodni, dając czas na wzmocnienie wewnętrznych linii obronnych Leningradu. Jak powiedział Werthowi w roku 1943 dyrektor Zakładów Kirowa, „nie można ich było uważać za w pełni wyszkolonych żołnierzy, ale ich poświęcenie, ich odwaga były olbrzymie. Zdołali oni powstrzymać Niemców dosłownie w ostatniej chwili (…). Opór postawiony przez naszą Dywizję Robotniczą, a także przez lud Leningradu miał absolutnie decydujące znaczenie”[37].

Dzisiejsi historycy są o tym zdecydowanie mniej przekonani, przypisując krótką późnolipcową przerwę w marszu wojsk von Leeba raczej padającym wówczas obfitym deszczom, jak również działaniom regularnej Armii Czerwonej. Nawet jeśli ochotnicy – przerażeni, nieuzbrojeni, pozbawieni dowództwa – rzeczywiście jakoś wpłynęli na wynik niektórych potyczek, poniesione przez nich straty bez wątpienia stanowiły kolosalne marnotrawstwo wykwalifikowanych i wykształconych kadr, zwłaszcza w świetle rozpaczliwego zapotrzebowania na oficerów, które Armia Czerwona zaczęła odczuwać wkrótce potem. (Do końca września 1941 roku cała Armia Czerwona straciła niesłychaną liczbę 142 tysięcy ze wszystkich 440 tysięcy oficerów. Generał Fiediuninski, opisując nieudaną operację na froncie leningradzkim w październiku 1941 roku, raportował: „Winę za to ponosi głównie słabe dowództwo ze strony oficerów na poziomie plutonów i kompanii, w niektórych przypadkach sprowadzające się do zwykłego tchórzostwa”[38]). Historyk wojskowości Antony Beevor jest pełen potępienia i pisze: „Marnotrawstwo ludzkich istnień było tak straszne, że aż trudno je pojąć: bezcelowość tej rzezi przewyższa być może jedynie praktyka zuluskich królów nakazujących *impi* (oddziałowi) swoich wojowników maszerować prosto w przepaść, by mogli oni w ten sposób udowodnić swoją karność”. Jeszcze bardziej zdecydowanie wyraża się ocalały z *opołczenija* Frenklach:

„Są chwile, których wstydzę się po dziś dzień. Wielokrotnie rzucaliśmy się do ucieczki, porzucając naszych rannych. Każdy był przerażony, że sam może zostać ranny podczas odwrotu, bo jeśli nie byłeś w stanie samodzielnie iść, nie sposób było liczyć, że przyjdą po ciebie noszowi. Twoją jedyną szansą była pomoc ze strony przyjaciela… Po wojnie długo myślałem o roku czterdziestym pierwszym, analizując sytuację taką, jaka wtedy była. Wszystkie te bajeczki o powszechnym bohaterstwie to same kłamstwa na sumieniu piszących i *politruków*. Rzecz jasna, byli i bohaterowie, ale były też całe masy ludzi, którzy uciekali w panice. Była to olbrzymia, zupełnie nieuzasadniona i bezsensowna danina krwi, ku zadowoleniu naszego kretyńskiego dowództwa”[39].

Ostatnie słowo należy się jednak Stalinowi. W kwietniu 1942 roku, pragnąc poniżyć Woroszyłowa, który odrzucił zaproponowane mu stanowisko dowódcze, Stalin puścił w obieg notatkę dla Komitetu Centralnego z wyszczególnieniem wad towarzysza (celowo nie marszałka) Woroszyłowa. Pośród nich znalazł się również fakt, że podczas dowodzenia Północno-Zachodnią Grupą Armii Czerwonej „zajmował się [on] tworzeniem słabo uzbrojonych (w strzelby, piki, noże itp.) batalionów robotniczych, ale zaniedbał artyleryjską obronę Leningradu”[40]. Prawdą jest, że Woroszyłow był złym człowiekiem i złym żołnierzem, ale klęska leningradzkiego zaciągu narodowego nie była wyłącznie jego winą. Nauki pobierał on przecież w Politbiurze, a podstawową umiejętnością życiową jego członków była zdolność właściwego przewidywania życzeń samego Stalina.

5. „ZŁAPANI JAK MYSZ W PUŁAPKĘ”

Wiera Inbier przybyła do Leningradu pociągiem 24 sierpnia. Ta pięćdziesięciojednolatka była, co godne odnotowania, siostrą cioteczną Trockiego i wybitną członkinią środowiska literackiego. Tworzyła opowiadania, które udawało jej się przemycać przez sito cenzorskie bez popadania w miałkość socrealizmu najczystszej wody. Jej mąż właśnie został mianowany dyrektorem leningradzkiego Szpitala Klinicznego imienia F. Erismana, mieszczącego się w pełnym zieleni kompleksie dziewiętnastowiecznych budynków z czerwonej cegły, rozciągającym się naprzeciwko Ogrodów Botanicznych na Piotrogrodzkiej Stronie. Po wyprawieniu córki i malutkiego wnuczka w transporcie ewakuacyjnym z Moskwy Inbier postanowiła dołączyć do męża.

Wyprawa ta, która w czasach pokoju byłaby rutynową podróżą nocnym pociągiem, zajęła jej dwa i pół dnia. Wzdłuż torów ziały świeże kratery po bombach, w przeciwnym kierunku co chwila z łoskotem przewalały się długie pociągi towarowe, na których pod ochronnymi plandekami przewożono jakieś wielkie maszyny. Inbier zauważyła, że łatwo stwierdzić, jak długo każdy z nich był już w drodze, po świeżości brzozowych gałązek przytwierdzonych do dachów wagonów dla kamuflażu. Im bardziej jej pociąg zbliżał się do Leningradu, mijając zniszczone wioski o malowniczych, prowincjonalnych nazwach, tym częstsze stawały się postoje i przerwy w podróży. W swoim dzienniku pisarka zanotowała:

„Zatrzymaliśmy się o świcie. Stoimy… Nasz wagon jest prawie pusty i małomówny. W jednym z przedziałów już od dawna grają zawzięcie w preferansa, gra toczy się jakby cichaczem. Generał lejtnant, pogwizdując w zamyśleniu, ogłasza atu. Inżynier wojskowy co chwila wystukuje fajkę o brzeg stolika – cichy stuk przypomina kucie dzięcioła. Dymek z fajki wypływa na korytarz, układa się w warstwy, wydłuża się

i zawisa w promieniu słonecznym. Niekiedy nastaje taka cisza, jak gdyby pociąg sunął po mchu”[1].

Kiedy ponownie ruszyli, wjechali w niedawno zbombardowany las. Wszędzie leżały zwęglone i rozdarte drzewa, w górę sterczały powyrywane korzenie, osmalona ziemia miała kolor ochry. Inbier zanotowała nazwę mijanej stacji – Mga. Znajdowali się więc na trasie, którą normalnie ten pociąg nie jeździł: znak, że bezpośrednia linia z Moskwy została już odcięta przez Niemców.

Inbier wysiadła z pociągu w atmosferze napięcia. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy przy wychodzeniu z dworca, był plakat z tekstem apelu podpisanego przez Żdanowa, Woroszyłowa oraz przewodniczącego rady miejskiej Popkowa z datą sprzed trzech dni. Był to pierwszy oficjalny komunikat, w którym przyznawano, że Niemcy stoją już u bram samego Leningradu:

„Towarzysze! Leningradczycy! Drodzy przyjaciele! Nad naszym ukochanym rodzinnym miastem zawisła bezpośrednia groźba ataku ze strony faszystowskich wojsk niemieckich.

Wróg usiłuje przebić się do Leningradu. Chce zniszczyć nasze domy, przejąć nasze fabryki i zakłady, utopić nasze ulice i place we krwi niewinnych ofiar, dokonać zbrodni na naszym miłującym pokój narodzie, zniewolić wolnych synów naszej Ojczyzny. Tak się jednak nie stanie. Leningrad – kolebka rewolucji proletariackiej – nigdy nie był i nigdy nie będzie w rękach wroga…

Powstańmy jak jeden mąż w obronie naszego miasta, naszych domów, naszych rodzin, naszego honoru i wolności! Spełnijmy nasz święty obowiązek jako radzieccy patrioci i bądźmy niezłomni w walce z bezwzględnym i nienawistnym wrogiem, czujni i bezlitośni w zwalczaniu tchórzy, panikarzy i dezerterów; ustanówmy w naszym mieście najsurowszy porządek rewolucyjny. Uzbrojeni w żelazną dyscyplinę i bolszewicką determinację, staniemy naprzeciw wroga z odwagą i zadamy mu miażdżący cios!”[2].

Inbier zdała sobie wówczas sprawę, że w ciągu ośmiu dni, odkąd postanowiła wyjechać z Moskwy, sytuacja Leningradu uległa dramatycznemu pogorszeniu. Mimo to uznała, że przyjazd do męża był

dla niej najwłaściwszym wyborem. „Zawsze powtarzał: «Jeśli wybuchnie, musimy być razem». I oto jesteśmy razem".

Przez kilka kolejnych dni pisarka nie widywała go jednak zbyt często. Był w gorączkowym wirze pracy w szpitalu, ona zaś wystąpiła w lokalnej stacji radiowej („Moskwa i Leningrad, brat i siostra, wyciągają do siebie ręce"), po czym plątała się bez celu z dziwnym uczuciem bycia zbędną po ich nowym, przestronnym mieszkaniu. Przez wysokie okna widziała połyskujące w słońcu wody rzeki Karpowki oraz wypełnione palmami szklarnie Ogrodów Botanicznych. Ściany mieszkania były obwieszone „całą masą" starych talerzy z najdelikatniejszej porcelany, a wymalowane na nich róże zdawały się tak świeże, jak w dniu, w którym powstały, jeszcze za panowania carycy Elżbiety. „Cóż u licha miała z nimi począć – myślała – kiedy zaczną się naloty?" Choć dziennie ostrzegano przed nimi średnio dziesięć–piętnaście razy – wyglądało wręcz, jakby to był jeden ciągły alarm z krótkimi jedynie przerwami – wszystko wydawało się dziać jakby „daleko stąd, za horyzontem":

„Podczas alarmów wychodzę na balkon. Ulica Piesocznaja, zawsze cicha, zupełnie się wyludnia. Stoją na niej jedynie przeciwlotniczy strażnicy w blaszanych hełmach, patrząc w górę na niebo. Z rzadka przebiegnie jakiś uczeń szkoły zakładowej – ich internat jest w jednym z budynków w Ogrodach Botanicznych. Oto co powiedziała o nich motornicza tramwaju: «Zachowują się, jakby ten tramwaj należał do nich: czepiają się schodków, przepychają się do środka. Ale już mi to nie przeszkadza – przecież wkrótce wszystkich ich wyślą na front do kopania okopów»"[3].

Na drugim brzegu Newy, na ulicy Sadowej, Jurij Riabinkin spędzał promienne letnie dni, grając w szachy, kreśląc wraz ze swoim przyjacielem Finkelsteinem plany naukowe na wypadek, gdyby zamknięto ich szkołę, oraz przykładając się bardziej do obowiązków domowych, po tym jak jego matka odprawiła pokojówkę. Nikt jakoś nie zauważył jego szesnastych urodzin, więc postanowił sam sobie sprawić prezent i kupić książkę o szachach oraz zafundować kolację za pięć rubli w stołówce w zakładzie matki. Ślęcząc nad podręcznikami wojskowej strategii, wymyślił plan ocalenia swojego miasta. Całą

ludność należało „wysłać do lasu", a Armia Czerwona miała zamarkować odwrót i wciągnąć Niemców w pułapkę:

„Od razu, błyskawicznie, nieoczekiwanie (jeszcze bardziej nieoczekiwanie niż Niemcy 22 czerwca) nasze jednostki pancerne rozpoczynają gigantyczną ofensywę i zmuszają nieprzyjaciół, żeby się ścisnęli, tworząc ogromną bryłę. Wtedy bryła ta zostaje zaatakowana przez potężną artylerię, która podczas odwrotu zajęła najlepsze pozycje. Po upływie pół godziny ogień artyleryjski przenosi się o kilka kilometrów dalej, a miejsce, uprzednio ostrzeliwane, zajmują nasze wojska. Całe zmasowane nad nieprzyjaciółmi lotnictwo krąży i bombarduje ocalałe resztki wojska. A jak tylko wróg się poruszy, cofnie, trzeba będzie go nękać z powietrza, z ziemi, z morza".

Riabinkin wiedział jednak, że jest to tylko jego pełne życzeń fantazjowanie. W pamiętniku zapisał:

„Tak, ale to płonne, fantastyczne marzenia. Nikt nie przeprowadzi takiego ataku. I czołgów mamy za mało... Każdy wstępniak w gazecie krzyczy: «Nie oddamy Leningradu!»... Nie wiadomo jednak, dlaczego nasze wojsko nie odnosi zwycięstwa, broni też pewnie nie ma. Milicjanci na ulicach, a nawet niektórzy żołnierze z pospolitego ruszenia i Armii Czerwonej uzbrojeni są w karabiny okropnie przestarzałego typu. Niemcy walą przed siebie na czołgach, a nas uczą walczyć z nimi nie czołgami, ale granatami, a czasem i butelkami z benzyną. Takie to sprawy!"[4].

Anna Ostroumowa-Lebiediewa, artystka w starszym wieku, chodziła po centrum miasta, odnotowując w myślach (rysowanie było zabronione), które z zabytkowych obiektów w Leningradzie przygotowano już do działań wojennych. Na moście Aniczkowa posągi nurkujących koni dłuta Klodta były już rozmontowane w oczekiwaniu na zakopanie w ogrodach przed Teatrem Aleksandryjskim. Naprzeciwko soboru Świętego Izaaka sylwetka konnego posągu Mikołaja I ledwo wyłaniała się spod licznych worków z piaskiem, które zdawały się nieprzerwanie spływać ku ziemi grubą, kulistą powłoką. Kolumna Aleksandra na placu Pałacowym była ukryta za drewnianym rusztowaniem, przy czym deskowanie nie sięgało figury triumfującego anioła, który w dalszym ciągu dumnie wznosił swój krzyż na tle

błękitnego nieba. Prawdziwa debata wywiązała się na temat sposobu ochrony słynnego posągu Piotra Wielkiego dłuta Falconeta, znanego jako „Jeździec Miedziany". Niektórzy sugerowali, by zatopić go w wodach Newy, ale ostatecznie właśnie skrywano go za deskowaniem. Obserwując ochotników wyładowujących piasek z przycumowanej nieopodal barki, Ostroumowa-Lebiediewa żałowała, że sama nie może im pomóc: „Było gorąco, słońce prażyło. Stałam tam i patrzyłam, czując wstyd, że sama tak nie pracuję". Choć jej siostra i siostrzenice wyjechały z Leningradu, ona postanowiła zostać w mieście, częściowo z niechęci do opuszczania miejsc, z którymi się zżyła, głównie jednak z poczucia solidarności ze swoim miastem oraz z czystej ciekawości co do przyszłego rozwoju sytuacji. „Wszyscy martwią się o jedno i to samo – napisała 16 sierpnia. – Czy mamy wyjechać, a jeśli tak, to dokąd i jak? Co czeka nas w przyszłości? Jak tu rozpocząć życie od nowa w jakimś innym, obcym miejscu, wiedząc, że zostawiło się za sobą wygodne zacisze swojego mieszkania? Biedni leningradczycy! Ja chcę zostać. Zdecydowanie chcę zostać i być świadkiem wszystkich okropieństw, które nas czekają"[5].

Pomnik Piotra Wielkiego („Jeździec Miedziany”) ukryty za deskowaniami.

Fakt, że nie zdołano ewakuować z Leningradu części mieszkańców, głównie tych nieprzydatnych z punktu widzenia celów obronnych, doprowadził do większych strat niż jakakolwiek inna pomyłka w ocenie sytuacji. Porównać to można tylko z nieumiejętnością przewidzenia planu Barbarossa. Z chwilą gdy 29 sierpnia Leningrad opuszczał ostatni pociąg, według oficjalnych źródeł z miasta ewakuowano łącznie 636 283 ludzi. (Liczbę tę warto zestawić z 660 tysiącami cywilów ewakuowanych z Londynu zaledwie kilka dni po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię we wrześniu 1939 roku). Jeśli jednak pominiemy uchodźców z republik bałtyckich i innych rejonów, którzy w mieście zabawili tylko przejazdem, liczba ewakuowanych mieszkańców spada w najlepszym przypadku do 400 tysięcy. W Leningradzie wciąż pozostało ponad dwa i pół miliona cywilów, a do tego jeszcze kolejne 343 tysiące w otaczających miasto wioskach i miasteczkach, które także znalazły się wewnątrz pierścienia oblężenia. Ponad 400 tysięcy z nich stanowiły dzieci, a więcej niż 700 tysięcy pozostali niepracujący członkowie rodzin[6].

Dlaczego z Leningradu nie udało się wydostać większej liczbie ludzi niepotrzebnych do obrony miasta? Wina za to spoczywa po części na celowej polityce rządu, bałaganie organizacyjnym, a wreszcie na błędnych decyzjach podejmowanych przez samych leningradczyków, w dużej mierze pod wpływem wszechobecnego strachu. Jeśli chodzi o politykę władz centralnych, od samego wybuchu wojny jej priorytetem była ewakuacja przemysłu i kluczowych instytucji kosztem niepracującej części ludności. Już 3 lipca nowy pięcioosobowy Państwowy Komitet Obrony ZSRR (najwyższy organ państwowy w czasie wojny, pod przewodnictwem Stalina) postanowił przenieść na wschód 26 zakładów obronnych – z Leningradu, Moskwy i Tuły. Plany wobec Leningradu przyspieszono dodatkowo pod koniec miesiąca, kiedy Wehrmacht dotarł do Linii Ługi. Do końca sierpnia przeniesiono już 92 leningradzkie fabryki zbrojeniowe wraz z 164 320 pracującymi w nich robotnikami. Większość trafiła do przemysłowych miast na Uralu, gdzie w naprędce zaimprowizowanych budynkach natychmiast wznowiły produkcję, w tempie zaiste imponującym. Było to rzeczywiście wielkie osiągnięcie, choć wcale nie tak od początku do końca udane, jak przedstawiają to źródła radzieckie. Na kolei zapanowały chaos i przepełnienie, jednocześnie przywożono do miasta i wywożono z niego identyczne surowce, a niektóre fabryki rozbierano wówczas, gdy było już za późno na ich wywiezienie. Kiedy ostatnia linia kolejowa z miasta została ostatecznie odcięta, na placach załadunkowych wciąż czekały na przewiezienie maszyny, które mogły zająć ponad dwa tysiące wagonów – cały ten ładunek przeleżał bezużytecznie pierwszą zimę oblężenia, a część nawet jeszcze dłuższy czas[7].

Kolejnym katastrofalnie przygotowanym programem ewakuacyjnym z pierwszych tygodni wojny był ten dotyczący dzieci. 26 czerwca rada miejska Leningradu ogłosiła plany ewakuacji 392 tysięcy dzieci do wiejskich okręgów w regionach Leningradu, Kalinina i Jarosława; przeniesione miały być przy tym całe szkoły, przedszkola czy domy dziecka, ale już nie matki dzieci. Program ten spotkał się z powszechnym sprzeciwem. „Serce zaczęło mi mocno walić, a w głowie powstała gonitwa myśli – napisała Skriabina na wieść o tym. – Nie

wiedziałam, co robić ani co postanowić. Pomysł rozdzielenia mnie z [pięcioletnim] Jurą jest tak straszny, że jestem gotowa na wszystko, byle go zatrzymać przy sobie. Postanowiłam nie zastosować się do tego polecenia. Nie oddam tak po prostu swojego syna”[8]. Wielu rodzicom udało się z powodzeniem uchylić od tego programu ewakuacji, ale inni posłusznie wyprawili swoje dzieci na dworce i wysłali je do Ługi, Gatczyny, Starej Russy i innych tradycyjnych letnich kurortów położonych na południe i zachód od Leningradu. Pierwszych dziesięć pociągów wiozących 15 192 dzieci wyjechało z miasta 29 czerwca. Jelena Koczina obserwowała, jak prowadzono je na dworce kolejowe:

„Tabuny wystraszonych zwierzątek tarasują wszystkie ulice i posuwają się w kierunku dworca kolejowego, linii demarkacyjnej swojego dzieciństwa; po tamtej stronie zaczyna się życie bez rodziców. Malutkie wieziono ciężarówkami. Z przyczepy wystawały tylko ich główki, niczym kolonie opieńków. Odchodzący od zmysłów rodzice biegli za ciężarówkami”[9].

Trzy tygodnie później Wehrmacht dotarł do Linii Ługi, a rodzice uświadomili sobie, że władze nie tylko nie zdołały zapewnić ich dzieciom bezpieczeństwa, ale wręcz posłały je wprost ku nacierającym wojskom niemieckim. „Kiedy przybyliśmy do wioski, umieszczono nas w jednej z chat – pisała z okolic Starej Russy piętnastoletnia Klara Rachman. – O tak, prawie zapomniałam, kiedy jechaliśmy ciężarówką, bezpośrednio nad nami przeleciał niemiecki samolot. Oto jak wygląda nasza ewakuacja!”[10]. Przywiezienie dzieci z powrotem nie było takie proste, choćby z powodu wprowadzenia stanu wojennego, który kwalifikował jako przestępstwo każde nieuzasadnione opuszczenie stanowiska pracy. (Zakaz ten zlekceważył archiwista Gieorgij Kniaziew, kiedy zezwolił jednej ze swoich maszynistek na udanie się do Borowiczów po jej dwie córki w wieku dwunastu i dziewięciu lat[11]). Lidia Ochapkina, która musiała zajmować się nowo narodzonym dzieckiem i nie mogła sama pojechać po synka, zdołała namówić przygodną osobę, poznaną dopiero co w kolejce po chleb, „kobietę, tak 60–63 lata, w okularach, z wyglądu inteligentkę”, by zrobiła to za nią. „Zapytałam, dokąd wysłano jej wnuka. Odpowiedziała, że z przedszkolem nr 21 (dokładnie pamiętam numer), to znaczy tam,

gdzie myśmy wysłali synka… Zapytała, ile chłopiec ma lat. Powiedziałam, że niedługo skończy sześć (skłamałam). Silny chłopczyk, dobrze biega, może długo iść pieszo, jak będzie potrzeba". Kiedy następnego dnia Ochapkina udała się do rady okręgowej po dokumenty potrzebne do ściągnięcia syna, spotkała tam cały tłum rozwścieczonych matek. „Wszystkie się denerwowały, hałasowały, a niektóre nawet krzyczały: «Oddajcie nam nasze dzieci! Niech lepiej będą tutaj z nami, jak umrzemy, to razem, będziemy przynajmniej wiedziały jak i gdzie»". Odebrawszy odpowiednie papiery i przekazawszy je swojej nowej przyjaciółce wraz z całym chlebem, jaki tylko udało jej się kupić, Ochapkina zrozumiała, że pozostało jej teraz tylko czekać. Po dwóch tygodniach bez żadnych wieści nagle zobaczyła znajomą kobietę stojącą na podwórku w towarzystwie dwóch małych chłopców. Ściskając mocno Tolę, słuchała, jak wiozący ich pociąg został zbombardowany, a oni musieli długo iść pieszo, z rzadka tylko mogąc podjechać na jakiejś przygodnej ciężarówce albo na wozie[12].

Choć trudno w to uwierzyć, władze miasta próbowały wręcz zapobiegać podobnym misjom ratunkowym. Sekretarze dzielnicowych komitetów partii otrzymali instrukcje, by zabraniać dyrektorom zakładów zwalniania pracowników z pracy w celu sprowadzenia do domu wywiezionych dzieci, a ponadto, by zapewniać rodziców, że ich dzieci są bezpieczne, a także „likwidować wszelkie prowokacyjne pogłoski" świadczące o czymś wręcz przeciwnym[13].

Druga tura ewakuacji, tym razem matek i dzieci w wieku poniżej czternastu lat, została ogłoszona na początku sierpnia. Jak można się było spodziewać, rodziny często wolały jednak zaryzykować i pozostać w mieście. Skriabina napisała:

„Tym razem pozwalają wyjechać matkom razem z dziećmi. Kobiety jednak tak wystraszyły się tymi pierwszymi, katastrofalnie nieudanymi próbami, że wymyślają wymówki w postaci przeróżnych chorób, byle tylko opóźnić swój wyjazd… Jest jeszcze i strach przed czymś innym – wzdłuż linii kolejowych szaleją epidemie tyfusu, cholery i innych dolegliwości żołądkowych, a pociągi ewakuacyjne narażone są na bombardowania. Rodzina dyrektora fabryki, w której pracował mój

mąż, wyjechała, a wkrótce potem przyszła wiadomość, że ich czternastoletni syn zmarł na tyfus”[14].

Dla odmiany Ochapkina bardzo chciała wyjechać, ale musiała zrezygnować z tych planów, gdyż Tola zgubił się podczas alarmu przeciwlotniczego. Kiedy wreszcie następnego dnia udało jej się go odnaleźć na posterunku milicji, ich pociąg już odjechał. „Nie mogłam tak bez przerwy składać papierów o ewakuację. Ten wypadek przesądził o wszystkim – pozostałam w Leningradzie”.

Całkiem możliwe, że to spóźnienie na pociąg wyszło jej ostatecznie na dobre, bo transporty ewakuacyjne, zamiast podążać na wschód do regionu Wołogdy, w dalszym ciągu były wysyłane na południe, wprost na nacierające odziały 16 Armii Buscha. Bombowce poprzedzające dywizje pancerne niszczyły drogi, tory kolejowe i linie telegraficzne. Najgorsza tragedia związana z tymi działaniami wydarzyła się w Liczkowie, małym miasteczku na południe od jeziora Ilmeń. Konwój z dziećmi w wieku przedszkolnym uczestniczył akurat w uroczystościach powitalnych w gospodarstwie kolektywnym położonym 40 kilometrów dalej, gdy gruchnęła wieść o tym, że nieopodal lądują niemieccy spadochroniarze. „Właśnie zaproponowano nam herbatę – relacjonowała jedna z ocalałych – kiedy dyrektor gospodarstwa zerwał się na równe nogi. Wciąż pamiętam jego słowa: «Przed nami są nazistowscy spadochroniarze»”[15]. Dzieci zapakowano do ciężarówek i odwieziono z powrotem na stację w Liczkowie, gdzie kilka tysięcy innych właśnie wsiadało do pociągu. Czekając na swoją kolej, przedszkolaki zobaczyły nagle nad głowami niemieckiego stukasa. „Samolot krąży nisko – wspominała jedna z nauczycielek – lotnik spojrzy, naciśnie i bomba od razu wybucha. Mówili potem, że nie widzieli. Bzdury! (…) Piękna pogoda. Dzieci dobrze ubrane. Lotnik doskonale widział, kogo bombarduje”[16]. Samolot przeleciał wzdłuż peronu, zrzucając bomby z metodyczną precyzją. Potem nastąpił wielki wybuch, a kiedy dym się przerzedził, wagony pociągu leżały porozrzucane „jakby ręką jakiegoś olbrzyma”.

Docierały też opowieści (którym stanowczo zaprzeczano) o tym, jak dorośli odpowiedzialni za grupy ewakuowanych dzieci uciekają pośród chaosu i bałaganu albo też zabierają swoje dzieci z powrotem do

Leningradu, a porzucają całą resztę. „Stacja płonęła. Nie mogliśmy nikogo znaleźć, to było absolutnie upiorne! – wspominała jedna z matek przejeżdżających przez stację Mga. – Kierownik pociągu ewakuacyjnego siedział na pieńku i trzymał głowę w dłoniach. Stracił rodzinę i nie miał pojęcia, kto gdzie jest". Pałętające się wszędzie dzieci nie potrafiły podać swoich nazwisk, a ich rodzin nie sposób było odnaleźć[17]. Tłumy zdesperowanych rodziców jeździły od stacji do stacji, by sprawdzać inne pociągi; zachowywali się przy tym tak niebezpiecznie, że przedstawicieli okręgowych rad ostrzegano, by w ogóle nie wysiadali na peron.

Innym grupom ewakuacyjnym zostały wprawdzie oszczędzone naloty, ale za to czekały je heroiczne podróże okrężnymi trasami, przerywane długimi postojami bez żadnych szans na posiłek. Jeden z takich pociągów wyruszył pod koniec sierpnia do położonego na Syberii Omska, wioząc dwa tysiące siedemset dzieci w wieku od siedmiu do szesnastu lat. W czasie pokoju taka podróż zabrałaby trzy dni; teraz trwała całe siedem tygodni. Większość dzieci, jak wspominała towarzysząca im lekarka, miała ze sobą jedzenie na drogę, ale po kilku dniach trzeba je było wyrzucić, gdyż zaczęło się psuć. Rozmieszczone wzdłuż trasy bazy ewakuacyjne wydawały tylko mąkę i wodę, więc podczas postojów lekarka oddalała się od pociągu, żeby upiec dzieciom coś w rodzaju chleba. „Czasem dostawały też trochę mleka, ale raczej nieregularnie. Często chodziły głodne. Z rzadka mogliśmy zebrać jakieś warzywa z pola – pomidory czy marchewki – ale nie mieliśmy możliwości odpowiednio ich umyć". W przepełnionych wagonach rozprzestrzeniała się odra, ale także wszy; z powodu chorób zmarło w drodze pięcioro dzieci[18].

Straszne pogłoski o ewakuacji dzieci nie były jedynymi powodami, dla których nadliczbowi cywile decydowali się nie opuszczać Leningradu. Wielu z nich miało zobowiązania wobec krewnych albo obawiało się, że ich zaginiony w akcji syn czy mąż może w każdej chwili wrócić do domu i zastać puste mieszkanie. Ocalała z oblężenia Irina Iwanowa opisuje, jak jej babka sabotowała ewakuację rodziny – tak samo jak czynił cały Instytut Geologii, w którym pracowała matka Iriny. Choć zarówno Irina, jak i jej matka oraz babka uzyskały pozwolenie na

wyjazd, ciotce Iriny, Ninie, pracującej w zakładach zbrojeniowych, takiego pozwolenia nie udzielono. Kiedy kobiety jechały już na dworzec ciężarówką podstawioną przez Instytut, babka Iriny nagle uświadomiła sobie, że zapomniała zabrać swoją podróżną walizkę, i upierała się, że musi pojechać po nią do domu. Potem stwierdziła, że w ciężarówce nie ma już dla niej miejsca i że w takim razie musi z Iriną pojechać na dworzec tramwajem. W rezultacie cała rodzina spóźniła się na swój pociąg. Po powrocie do domu, jak opowiada Irina, „usiadłyśmy na kanapie, mama przytuliła mnie i powiedziała: «Cóż, dobrze, w takim razie wszyscy umrzemy razem»". Tak też się stało. Babka, matka i ciotka zmarły z głodu w lutym i marcu 1942 roku. Ośmioletnia wówczas Irina przeżyła samotnie dziesięć dni w towarzystwie dwóch trupów, zanim zabrał ją z mieszkania oddział obrony cywilnej i przewiózł do przytułku dla dzieci. Po siedemdziesięciu latach, podczas wywiadu w jej mieszkaniu, ubrana w najlepszą sukienkę, siedząc za stołem zastawionym po brzegi pięknie podanymi przekąskami, Irina przyznaje, że „to uczucie winy wobec babki prześladowało ją przez całe życie. Myślę, że ona chciała zostać z Niną i zapomniała walizy, a potem nie chciała znowu wejść na pakę ciężarówki absolutnie celowo"[19].

Ludzie bez pracy teoretycznie mogli się ewakuować indywidualnie, jednak związane z tym procedury biurokratyczne bardzo od tego odstręczały, kto zaś na nieokupowanych terenach nie miał krewnych, u których mógłby przebywać, nie miał szans znalezienia jakiegokolwiek dachu nad głową. W praktyce tacy ludzie często starali się o wciągnięcie na listę pracowników którejś z ewakuowanych instytucji, ale powodzenie zależało od kontaktów i „chodów". Jedna z przyjaciółek Skriabiny, żona dyrektora fabryki, zaproponowała jej posadę „opiekunki" w zakładowym przedszkolu, które miało się wkrótce ewakuować do regionu moskiewskiego. Dzień później zatelefonowała ponownie i „szlochając, poinformowała mnie, że nasze plany upadły. Kiedy robotnicy dowiedzieli się, że fabryka planuje odesłać wraz z przedszkolem swoją tak zwaną inteligencję, zbuntowali się i omal nie rozerwali gołymi rękami całego komitetu zakładowego". Skriabina poczuła zresztą ulgę: „Dręczący mnie problem został rozwiązany przez

okoliczności. Decyzja nie należy już do mnie. Nie muszę więcej martwić się tym, że opuszczę mamę i babunię. Nie będzie żadnego rozstania”[20].

Walerian Bogdanow-Bieriezowski, zapomniany dziś kompozytor *Pilotów* i *Ballady o ludziach z Floty Bałtyckiej*, postanowił zostać w mieście, gdyż nie chciał opuścić swojej matki, ale także właśnie teraz miał szansę objąć przewodnictwo leningradzkiego oddziału Związku Kompozytorów, po tym jak jego poprzedni przewodniczący wyjechał na wakacje i słuch po nim zaginął. Inni prywatnie powątpiewali, czy niemiecka okupacja może być naprawdę taka straszna, jak zapowiadała to oficjalna propaganda. „Czy to możliwe – zastanawiała się Skriabina z niedowierzaniem – by oni zabijali ludzi tylko za to, że są Żydami?” W połowie sierpnia odrzuciła więc drugą szansę ewakuacji, oczekując, jak delikatnie daje do zrozumienia w dzienniku, że Leningrad wkrótce zostanie poddany. „Jeśli wojna rzeczywiście postępuje w takim zawrotnym tempie, wówczas prawdopodobnie wszystko szybko się zakończy. Po co wyjeżdżać z miejsca, które dobrze znamy? Być może mądrzej byłoby zostać w swoim mieszkaniu? Co powinnam zrobić?” Mimo to Skriabina od razu zwietrzyła prowokację, gdy tylko jakiś stary znajomy ze szkolnych lat przysiadł się do niej na ławce i „bez żadnych wstępów zaczął mówić, jak to jest szczęśliwy, że Niemcy są już pod samym miastem, że są tak niezmiernie potężni i że jeśli miasto nie podda się dziś, uczyni to jutro (...). „A to – dodał, pokazując mi mały pistolet – na wypadek, gdyby moje nadzieje mnie zawiodły”. W Domu Puszkina jeden z kolegów Lichaczowa, tak krytykowany przez Olgę Grieczinę profesor Gukowski, Żyd, pojawił się w stołówce ubrany zawadiacko w „czapkę z daszkiem (lekko przekrzywioną na jedną stronę) oraz koszulę przewiązaną na modłę kaukaską. Przywitał się z nami, salutując. W zaufaniu powiedział nam, że kiedy przyjdą Niemcy, będzie się podawał za Ormianina”[21].

Historyk sztuki Nikołaj Punin poddał się zwykłemu fatalizmowi. Wieczorem 26 sierpnia – tego samego dnia, w którym nadeszła wreszcie zgoda na wyprowadzenie Floty Bałtyckiej z Tallina – siedział przy swoim biurku, w ciszy i w otaczających go ciemnościach towarzyszących obowiązującej już godzinie milicyjnej, i przymierzał się do pisania dziennika, którego prowadzenie przerwał dobrych pięć lat

wcześniej. Słabe światło lampy rzucało cienie na niebieską tapetę na ścianach. Dla ludzi z jego pokolenia, napisał, śmierć nigdy nie wydawała się zbyt odległa. „Tak naprawdę przez tych ostatnich dwadzieścia pięć lat zachęcano nas wciąż, byśmy umierali szybko. Wielu rzeczywiście umarło, a śmierć jest coraz bliżej, tak blisko, jak tylko może. Po cóż mamy o niej myśleć, skoro ona myśli o nas z całą powagą?" Poczucie nadciągającej zguby przypomniało mu o czasach Wielkiego Terroru z roku 1937, kiedy on sam i jego znajomi co wieczór kładli się do łóżek, spodziewając się z nastaniem ranka walenia do drzwi i oczekującej na zewnątrz więźniarki. Kiedy odwiedził wcześniej tego dnia Akademię Nauk („zamęt i chaos"), koledzy próbowali namówić go na wyjazd z nimi do Samarkandy:

„Ale to oznaczałoby, że dałem się wciągnąć w wojnę. Nie, nie pojadę. Lepiej już walczyć z wiatrakami, póki to jeszcze możliwe. Lampa parzy, jest tak cicho. Panie, pociesz dusze wstępujące do nieba.

Nie tak dawno temu powiedziałem komuś: «Są dwie naprawdę przerażające rzeczy: wojna i ewakuacja. Ale z nich dwóch ewakuacja jest gorsza». To prawda, tak się tylko mówi. Dlaczego jednak nie ewakuowano nas podczas jeżowszczyzny [czasów Wielkiego Terroru]? Wtedy było równie przerażająco"[22].

Tego rodzaju bolesne decyzje musiały być dodatkowo podejmowane w atmosferze silnego potępienia – ze strony zwykłej „ulicy", ale też czynników półoficjalnych – dla tych, którzy szybko wyjeżdżali z miasta. Ewakuowanych określano mianem „szczurów" albo *bieżeńców*, uciekinierów. Olga Grieczina miała nieprzyjemne pożegnanie z dwójką braci, jej kolegów ze studiów na uniwersytecie, którym matka załatwiła miejsca na wykopaliskach archeologicznych w Azji Środkowej. „Nie potrafiłam zrozumieć, jak zdrowi młodzi ludzie mogli zgodzić się na ewakuację, podczas gdy wszyscy inni starali się dostać na front… Rozmowa nam się nie kleiła. Nie miałam do nich pretensji o ten wyjazd. Po prostu byłam strasznie zaskoczona, że się zgodzili"[23]. Co więcej, niektóre rady dzielnicowe, afiszując się ze swoim zaufaniem pokładanym w najwyższych władzach, bezwiednie wręcz zniechęcały do ewakuacji cywilów. Jak to ujmuje autor najlepiej opisującej oblężenie książki powstałej w czasach radzieckich, Dmitrij Pawłow, podczas

wojny kierujący państwową agencją zaopatrzenia w żywność, „odmowę ewakuacji ze strony obywateli traktowały jako akt patriotyzmu i były z niej dumne, w ten sposób mimowolnie zachęcając ludzi do pozostania". Według niego liczba ludzi ewakuowanych przez cały lipiec i sierpień mogła i powinna być dwu- albo i trzykrotnie większa[24]. Jak na ironię, odmowa ewakuacji mogła również zostać potraktowana jako podejrzana. Jeden z pamiętnikarzy zanotował następującą pogłoskę:

„Mówi się, że P. Z. Andriejew i S. P. Prieobrażenska (z Teatru Maryjskiego) odmówili wyjazdu. «Dlaczego?» – spytano ich. «Jesteśmy przekonani, że Leningrad nie zostanie poddany» – odpowiedzieli. Ale administracja pomyślała sobie: «Znamy was. Jest już przecież pewne, że Leningrad będzie musiał zostać porzucony, a wy chcecie przejść na stronę faszystów! Lepiej was przesłuchajmy i dowiedzmy się, co z was za ludzie radzieccy»"[25].

Do 25 sierpnia Leningrad był już w trzech czwartych otoczony. Linie kolejowe prowadzące na zachód do republik bałtyckich zostały odcięte, podobnie zresztą jak bezpośrednie trasy do Moskwy. Jedyna drożna jeszcze linia wiodła na wschód, rozdzielając się na dwie w węźle kolejowym w mieście Mga, które teraz stało się sceną ciężkich walk. Na zachodzie Armia Czerwona utraciła cały przybrzeżny pas nadbałtycki poza sześćdziesięciokilometrowym odcinkiem wybrzeża nad Zatoką Fińską, na zachód od Peterhofu. Dzięki dostawom przez Kronsztad ten przyczółek Oranienbaum (dziś Łomonosow) – określany tym mianem od nazwy kolejnego z letnich pałaców carskich – utrzymał się przez cały okres oblężenia, choć z niewielkim pożytkiem strategicznym, za to za straszliwie wysoką cenę. Na północy armia fińska pod dowództwem generała Carla Mannerheima, odzyskawszy granice sprzed wojny zimowej, weszła do rosyjskiej Karelii i posuwała się dalej, wzdłuż północno-wschodnich brzegów jeziora Ładoga, zgodnie z daną Hitlerowi obietnicą „uściśnięcia rąk" z Wehrmachtem na rzece Swir.

Zagrożenie Leningradu pochłaniało już teraz całą uwagę Kremla. Istnieje pewna teza, mająca źródło w słynnej „tajnej mowie" Chruszczowa z roku 1956, zapowiadającej późniejszą odwilż, zgodnie z którą Stalin celowo pozwolił na okrążenie Leningradu, gdyż podejrzewał to miasto o liberalne odchylenie i dobrze pamiętał, że

właśnie stąd wywodzili się charyzmatyczni politycy, tacy jak choćby starzy bolszewicy Kirow (tajemniczo zamordowany w roku 1934) czy Grigorij Zinowiew (rozstrzelany po procesie pokazowym w 1936 roku). Lektura gwałtownych, a często wręcz niesamowitych, tyrad Stalina wygłaszanych późnym latem i jesienią 1941 roku jednak zupełnie przeczy tej teorii. Choć, co oczywiste, rozważał on porzucenie miasta, by oszczędzić wojska, z równą oczywistością uważał ten ruch za ostatnią deskę ratunku. Między 21 a 27 sierpnia, gdy niemieckie siły pancerne przetaczały się już przez kolejne miasta leżące na południe od Leningradu, z Kremla została wysłana do miasta „specjalna komisja". W jej skład wchodzili: minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow, dowódcy sił powietrznych, marynarki wojennej i artylerii, komisarz handlu Aleksiej Kosygin, a także – co szczególnie istotne – Gieorgij Malenkow. Ten trzydziestodziewięcioletni, szybko rosnący w siłę współpracownik Stalina całkiem niedawno został mianowany członkiem Państwowego Komitetu Obrony, pięcioosobowego ciała pod przewodnictwem Stalina, które w praktyce było najwyższym organem państwowym w ZSRR przez cały okres wojny. Gardził nim Żdanow, który też nadał mu powszechne wśród służby domowej przezwisko „Małania", od jego gruszkowatych kształtów, gładkiego podbródka i wysokiego głosu. Malenkow pozostawał ponadto w bliskich stosunkach z głównym rywalem Żdanowa – szefem NKWD Berią. Komisja, która oficjalnie miała za zadanie „ocenić skomplikowaną sytuację", w rzeczywistości została wysłana prawdopodobnie po to, by zdecydować na miejscu, czy Leningrad w ogóle może być broniony. Już sama podróż udowodniła członkom komisji, jak bliska katastrofalnej była owa „skomplikowana sytuacja" miasta. Przyleciawszy do Czerepowca, węzła kolejowego leżącego 400 kilometrów na wschód od Leningradu, grupa ta wsiadła do pociągu, którym była w stanie dojechać jednak tylko do Mgi, gdzie transport zastopował niemiecki nalot. Przy blasku pożarów rozświetlających nocne niebo i ogłuszającym dźwięku dział przeciwlotniczych wielkie szychy z Kremla musiały wysiąść z pociągu i udać się dalej pieszo. Idąc wzdłuż torów, szczęśliwie trafili na zwykły miejski tramwaj, który podwiózł ich do drugiego pociągu i w ten sposób dotarli wreszcie do miasta.

Komisja zabawiła w Leningradzie około tygodnia, a przez cały ten czas Stalin nie przestawał bombardować Żdanowa rozkazami, teraz już zupełnie oderwanymi od rzeczywistości[26]. Na przykład 27 sierpnia zatelefonował do Instytutu Smolnego, przedstawiając kompletnie nierealny plan rozmieszczenia czołgów „średnio co dwa kilometry, a miejscami co pięćset metrów, w zależności od warunków terenowych" wzdłuż nowej, studwudziestokilometrowej linii obrony od Gatczyny do rzeki Wołchow. „Dywizje piechoty ustawią się bezpośrednio za czołgami, wykorzystując je nie tylko jako siłę uderzeniową, ale także jako opancerzoną broń obronną. Do tego celu potrzebować będziecie 100–120 KW [seria ciężkich czołgów]. Myślę, że moglibyście wyprodukować taką liczbę KW w dziesięć dni... Czekam na waszą szybką odpowiedź"[27]. Następnego dnia Żdanow „wysmażył" typową dlań służalczą i potakującą odpowiedź. Plan Stalina ustanowienia linii obronnej „specjalnego typu" był „absolutnie słuszny", wobec czego Żdanow poprosił o pozwolenie na opóźnienie ewakuacji warsztatów należących do Zakładów Iżorskich i Kirowa, by produkowane przez nie czołgi mogły posłużyć do realizacji tego przedsięwzięcia.

Zniszczony dworzec kolejowy pod Leningradem, wrzesień 1941 roku.

29 sierpnia Niemcy zajęli Tosno, leżące zaledwie 40 kilometrów od Leningradu na drodze do Moskwy. Dotarli także do południowego brzegu Newy, rozdzielając siły broniące Leningradu od południowego wschodu na dwie części. Opanowany wściekłością i paranoją, Stalin zatelegrafował już tylko do Mołotowa i Malenkowa:

„Właśnie poinformowano mnie, że Tosno zostało zajęte przez wroga. Jeśli sprawy dalej będą przebiegać w ten sposób, obawiam się, że Leningrad zostanie poddany przez idiotyczną głupotę, a wszystkie dywizje leningradzkie dostaną się do niewoli. Co robią Popow i Woroszyłow? Nawet nie informują mnie, jak zamierzają odwrócić niebezpieczeństwo. Pewnie zajmują się wyszukiwaniem nowych dróg odwrotu; oto jak postrzegają swoje obowiązki. Skąd u nich ta otchłań bierności, to pańszczyźniane poddawanie się losowi? Po prostu ich nie rozumiem. W Leningradzie jest teraz mnóstwo czołgów KW, mnóstwo samolotów… Dlaczego cały ten sprzęt nie jest używany w sektorze Lubań–Tosno? Co może jakiś pułk piechoty przeciwko niemieckim czołgom, bez żadnego sprzętu?… Czy nie wydaje się wam, że ktoś tu

celowo otwiera drogę Niemcom? Co to za człowiek ten Popow? Czym zajmuje się Woroszyłow, co robi, żeby pomóc Leningradowi? Piszę to wszystko, bo bezużyteczność leningradzkiego dowództwa jest absolutnie niepojęta. Myślę, że powinniście wyjeżdżać do Moskwy. Proszę, nie zwlekajcie”[28].

Nie sposób dziś stwierdzić, jak blisko kuli w łeb byli wówczas Popow i Woroszyłow. Malenkow i Mołotow z pewnością przyłączyli się do ich obwiniania, nie zapominając też o skrytykowaniu Żdanowa. Odpowiadając Stalinowi tego samego dnia, chwalili się, że już wcześniej ostro krytykowali błędy Żdanowa i Woroszyłowa, wśród nich między innymi stworzenie Rady Obrony Leningradu, pozwolenie, by bataliony same wybierały swoich oficerów, wstrzymywanie ewakuacji cywilów czy nieumiejętność właściwego wzniesienia nowych umocnień. Co gorsza, Żdanow i Woroszyłow mieli też być winni „niezrozumienia ich obowiązku szybkiego informowania Stawki o środkach podejmowanych dla obrony Leningradu, ciągłego wycofywania się w obliczu wroga, a także nieumiejętności przejmowania inicjatywy i przeprowadzania kontrataków. Ci z Leningradu przyznają się do błędów, ale jest to, rzecz jasna, absolutnie niewystarczające”[29]. Reakcja Stalina była oschła: „po pierwsze, kto trzyma teraz Mgę? Po drugie, dowiedzcie się od Kuzniecowa, jaki jest plan dla Floty Bałtyckiej. Po trzecie, chcemy wysłać Chozina jako zastępcę Woroszyłowa. Jakieś sprzeciwy?”. Według syna Berii po powrocie komisji do Moskwy Malenkow namawiał Stalina do aresztowania Żdanowa i postawienia go przed sądem wojennym, ale Beria zdołał go od tego odwieść[30]. Zamiast tego Stalin ustanowił Malenkowa swoim łącznikiem z Leningradem: odtąd wszelkie komunikaty Stalina dla Żdanowa i *vice versa* miały przechodzić właśnie przez niego. Ten niezwykły układ, w którym Żdanow porozumiewał się ze Stalinem za pośrednictwem człowieka, który próbował (co Żdanow musiał przynajmniej podejrzewać) doprowadzić do jego śmierci, miał przetrwać aż do końca wojny.

Żdanowa zatem ostatecznie oszczędzono, za to zwykli leningradczycy mieli już mniej szczęścia. Walki pod miastem wciąż się

nasilały, a w jego obrębie Mołotow i Malenkow postanowili nakręcić spiralę terroru. W zestawieniu sporządzonym przez leningradzkie NKWD 25 sierpnia znajdujemy docelową liczbę 2248 aresztowanych i deportowanych, z podziałem na dwadzieścia dziewięć kategorii: od trockistów, zinowiewistów, mienszewików i anarchistów przez księży, katolików, byłych oficerów carskiej armii, „byłych zamożnych kupców", „białych bandytów", „kułaków" i ludzi z „zagranicznymi powiązaniami" aż po niezwykle pojemne kategorie „dywersantów" i „sabotażystów", „elementy antyspołeczne", a wreszcie nawet zwykłych złodziei i prostytutki[31]. Ten rewolucyjny zapał przyniósł dobrze już znane rezultaty. Na jednym z miejsc zbiórki zdegustowana obserwatorka zanotowała:

„Około setki ludzi czekało na deportację. W większości były to stare kobiety; stare kobiety w staromodnych pelerynach i znoszonych aksamitnych płaszczach. Oto z jakimi wrogami zdolne są walczyć nasze władze – zresztą, jak się okazuje, wyłącznie z takimi. Niemcy są już u bram, Niemcy lada chwila wkroczą do miasta, a my zajmujemy się aresztowaniem i deportacją starych kobiet – samotnych, bezbronnych, nieszkodliwych ludzi"[32].

Pośród ofiar tej fali terroru znalazł się też będący już w podeszłym wieku ojciec Olgi Bergholc, pracujący jako lekarz w jednej z fabryk zbrojeniowych. Wezwany na posterunek milicji w południe 2 września, usłyszał tam nakaz opuszczenia miasta do godziny osiemnastej tego samego dnia. „Tata – wojskowy chirurg, który uczciwie odsłużył 24 lata dla władzy sowieckiej – napisała w swoim dzienniku pełna niedowierzania Bergholc. – Szczerze kocha Rosję i jest człowiekiem rosyjskim do szpiku kości... Widocznie NKWD nie spodobało się jego nazwisko – piszę to bez cienia ironii"[33]. Z powodu szybkiego posuwania się wojsk niemieckich oraz szaleńczych zabiegów samej Bergholc, która uruchomiła wszystkie swoje znajomości, jej ojciec zdołał jeszcze pozostać w Leningradzie aż do następnej wiosny, wówczas jednak rzeczywiście został deportowany, w bardzo złym stanie, do Krasnojarska na Syberii Zachodniej. Powody? Pochodzenie żydowskie, odmowa donoszenia na kolegów, a także prawdopodobnie jego bliskie relacje z córką. Gdy wojenne poezje uczyniły z niej rozpoznawalną

publicznie postać, ojciec, będąc dla władz swego rodzaju zakładnikiem, stał się gwarantem jej odpowiedniego zachowania.

Pod koniec sierpnia załamała się przepiękna dotąd letnia pogoda. Na Leningrad spadły potężne ulewy, spływające obficie systemem miejskiej kanalizacji deszczowej, smagające bezlitośnie bruk, wypłukujące zielenie i żółcie z tynkowanych fasad kamienic. Pod miastem w dalszym ciągu trwały zażarte walki, teraz już w deszczu i błocie. 31 sierpnia Mga, która dotąd trzykrotnie już przechodziła z rąk do rak, ostatecznie padła, co odcięło ostatnią linię kolejową wychodzącą z miasta. „Stawka uważa taktykę przyjętą przez Leningradzką Grupę Armii Czerwonej za zgubną – groził Stalin. – Front Leningradzki umie tylko jedno – wycofywać się i poszukiwać coraz to nowych dróg odwrotu. Czy nie dość już tych heroicznych porażek?”[34]

Wiera Inbier otrzymała wiadomość od męża, że – jak mu powiedziano – szpital wojskowy, od tygodnia już spakowany i czekający na ewakuację, dostał polecenie, by rozładować pociąg i wrócić do siedziby. Obliczyła wówczas, że pociąg, którym sama przyjechała do miasta, prawdopodobnie był jednym z ostatnich, którym można się było przedostać. Skriabina, która dopiero co wymigała się od rozkazu ewakuacji, przedstawiając zaświadczenie od lekarza, poczuła chłodny dotyk strachu przed nieznanym: „Nocą wyruszył ostatni transport… Leningrad jest otoczony, a my zostaliśmy złapani jak mysz w pułapkę. Do czego doprowadziłam swoim niezdecydowaniem?”[35]. Siedząc za biurkiem o północy, Gieorgij Kniaziew słuchał odległych odgłosów ostrzału artyleryjskiego:

„Ponownie zapaliłem lampę z zielonym abażurem… To, co się będzie działo za kilka dni, jest całkowicie poza moją wyobraźnią. Spośród strzępów gazetowych doniesień wyłaniają się niczym senne koszmary przykłady zniszczenia, zrównania z ziemią dziesiątek, setek miast. Chyba jednak to samo nie przydarzy się takiemu kolosowi jak Leningrad?… Chyba nie będzie mi dane oglądać jego śmierci?”.

Kniaziew pozdejmował już ze ścian swego mieszkania osiemnastowieczne posążki wyobrażające akademików w perukach

i pumpach, debatujących pod smukłymi dębami, za to martwił się o to, że widoczne na zewnątrz, na nadbrzeżu sfinksy – tak niewzruszone, tysiącletnie – nie zostały jeszcze obłożone workami z piaskiem. „Po prostu o nich zapomniano… Zbyt wiele jest do zrobienia, by martwić się jeszcze i o nie! Stoją tam więc zupełnie same, jakby obok tych wszystkich wydarzeń".

Poza horyzontem widocznym dla cywilów trwała zażarta bitwa o Leningrad. Z Mgi 20 Dywizja Zmotoryzowana niemieckiej 16 Armii posuwała się powoli na północ, pokonując opór radzieckiej brygady strzelców oraz wyczerpanych oddziałów straży granicznej NKWD. Jej siły wzmocnione zostały 7 września czołgami 12 Dywizji Pancernej, co pozwoliło rozerwać radzieckie linie obronne i odepchnąć oddziały straży granicznej w kierunku zachodnim, ku rzece Newie, brygadę strzelców zaś na wschód, w stronę jeziora Ładoga. Po ciężkich walkach Niemcy zajęli Wzgórza Siniawińskie, zalesiony uskok górujący nad obsługiwaną przez skazańców kopalnią torfu, które miały się stać sceną wielokrotnie podejmowanych przez Rosjan prób wyrwania się z oblężenia i jedną z najbardziej krwawych aren bitewnych na całym froncie wschodnim. Wreszcie, 8 września, wojska niemieckie zajęły miasto-twierdzę Szlisselburg, ulokowaną niczym zawór u wypływu Newy z Ładogi i dzięki temu już od XIV wieku strzegącą rzecznego szlaku do Moskwy. Oznaczało to utratę przez Leningrad ostatniego lądowego połączenia z nieokupowaną częścią Związku Radzieckiego. Przez następny rok i pięć miesięcy jedyna dostępna dla leningradczyków droga na „kontynent" miała prowadzić albo przez jezioro Ładoga, albo w powietrzu. „Szara mgiełka nad Newą – napisał Kniaziew unieruchomiony na swoim mglistym nadbrzeżu – zaciera wyraźne kontury soboru Świętego Izaaka, Admiralicji, Pałacu Zimowego, Senatu, koni nad łukiem Sztabu Głównego. A gdzieś tam, o kilkadziesiąt kilometrów, na przedpolach Leningradu są Niemcy… Trudno w to uwierzyć, jakby to były senne rojenia w gorączce, a nie rzeczywistość. Jak mogło do tego dojść? Niemcy u bram Leningradu…"[36]

CZĘŚĆ 2

—

OBLĘŻENIE SIĘ ZACZYNA

wrzesień–grudzień 1941

Abyśmy wszystko w pełni zrozumieli, zima roku czterdziestego pierwszego została nam dana jako miara

Konstantin Simonow[1]

6. „BEZ SENTYMENTÓW”

Tak oto zaczęła się blokada. Błędy już popełniono – cała tragedia miała się odtąd rozgrywać z widoczną wyraźnie i z dzisiejszej perspektywy bolesną nieuchronnością. Wówczas jednak przyszłe wypadki wciąż zdawały się dopiero ważyć na szali. Niewielu tak naprawdę spodziewało się oblężenia – uważano, że albo Niemcy zostaną szybko odepchnięci, albo też Leningrad padnie.

Na całym froncie wschodnim Wehrmacht wydawał się szykować do ostatecznego zwycięstwa. Na północy Grupa Armii „Północ” pod dowództwem von Leeba otoczyła Leningrad. Grupa Armii „Środek” już osiem tygodni wcześniej zajęła Smoleńsk i była teraz zaledwie o mniej więcej 320 kilometrów od Moskwy. Grupa Armii „Południe” podeszła już pod Kijów i okrążała cztery armie radzieckie, szykując się również do rychłego zdobycia samego miasta. Dla zewnętrznych obserwatorów wydawało się całkiem możliwe, że reżim radziecki lada chwila zostanie obalony albo zmuszony do podpisania upokarzającego traktatu pokojowego. (W Londynie George Orwell napisał: „Wszyscy z niepokojem zauważają, jaką udręką będą tu wolni Rosjanie… Ludziom wydaje się, że Stalin zaraz otworzy mały sklepik w Putney i będzie sprzedawał samowary albo prezentował kaukaskie tańce”[2]). 4 września Stalin wysłał do Churchilla, za pośrednictwem swego ambasadora Iwana Majskiego, list pełen tyleż desperacji, co zawoalowanych gróźb. Przyznawał w nim, że „stabilizacja frontu została ostatnio zachwiana”, wobec czego absolutną koniecznością jest, by do końca roku Wielka Brytania otworzyła drugi front we Francji albo na Bałkanach, który odciągnąłby trzydzieści–czterdzieści dywizji niemieckich. Gdyby Rosja radziecka została pobita – argumentował ambasador w osobistej rozmowie – jak Wielka Brytania mogłaby wygrać tę wojnę? „Nie możemy oprzeć się wrażeniu – zatelegrafował Churchill do Roosevelta

po tym spotkaniu – że być może Sowieci myślą o odrębnych warunkach [pokoju]”[3].

O upadku Szlisselburga (9 września) Żdanow i Woroszyłow odważyli się powiedzieć Stalinowi dopiero dzień później. W odpowiedzi otrzymali od niego telegram – podpisany również, co stanowiło bardzo niepokojący sygnał, przez Malenkowa, Mołotowa i Berię – pełen odrazy i pogardy:

„Jesteśmy oburzeni waszym zachowaniem. Jedyne, co potraficie, to informować nas o poddaniu tego czy innego miejsca, bez napomknięcia choćby słowem o tym, jak zamierzacie powstrzymać utratę wszystkich tych miast czy stacji kolejowych. Sposób, w jaki poinformowaliście nas o stracie Szlisselburga, był skandaliczny. Czy to koniec waszych strat? A może już postanowiliście poddać Leningrad? Co zrobiliście z waszymi czołgami KW? Gdzie je rozmieściliście i dlaczego nie przyniosło to żadnej poprawy na froncie, skoro macie ich tak wiele? Żaden inny front nie dysponuje choćby połową przydziału KW, który wy dostaliście. A co robi wasze lotnictwo? Dlaczego nie wspiera wojsk na polu bitwy? Z pomocą przyszła wam dywizja Kulika – jak ją wykorzystujecie? Czy możemy liczyć na jakąkolwiek poprawę na froncie, a może pomoc Kulika na nic się wam nie przyda, podobnie jak KW? Żądamy, byście przekazywali nam najświeższe wiadomości o sytuacji dwa albo trzy razy dziennie”[4].

Jeszcze zanim dotarły doń wieści o Szlisselburgu, Stalin postanowił dokonać zmian w dowództwie. Poprzedniego dnia wezwał do siebie na Kreml szefa sztabu, generała Żukowa i rozkazał mu udać się do Leningradu z krótką wiadomością dla Woroszyłowa, która brzmiała prosto i zwięźle: „Przekażcie dowództwo Grupy Armii Żukowowi i natychmiast przylećcie do Moskwy”.

Żukow, czterdziestotrzyletni, wyróżniający się łysą i kanciastą czaszką, a poza tym żelazną wolą, doskonałym zmysłem taktycznym oraz odwagą przeciwstawiania się w sprawach wojskowych samemu Stalinowi, był wybitnym radzieckim dowódcą z czasów drugiej wojny światowej. Wyrobił sobie reputację (a przy tym, jak podejrzewał, uniknął szponów NKWD), dwa lata wcześniej z powodzeniem odpierając atak Japończyków na radziecką Mongolię. Zimą, na

przełomie lat 1942 i 1943, miał opracować spektakularny plan okrążenia wojsk niemieckich pod Stalingradem, a wiosną 1945 roku poprowadzić Armię Czerwoną w triumfalnym marszu na Berlin. Trzy jesienne tygodnie z roku 1941, podczas których powstrzymał Niemców pod Leningradem, także miały się przyczynić do tworzenia jego wojennej legendy.

Żukow – jak wspomina w pamiętnikach – wyleciał z Moskwy tego samego dnia, w którym spotkał się ze Stalinem przy szarej, dżdżystej pogodzie. Zabrał ze sobą dwóch zaufanych poruczników z czasów kampanii mongolskiej, wówczas już generałów: Michaiła Chozina i Iwana Fiediunińskiego[5]. Gdy zbliżali się do jeziora Ładoga, pochmurne dotąd niebo nieco się przejaśniło, a ich samolot dostrzegło kilka messerschmittów, które ścigały ich nisko nad lustrem wody, dopóki nie musiały zawrócić z powodu widocznych już w oddali baterii dział przeciwlotniczych. Wylądowawszy bezpiecznie na wojskowym lotnisku, wsiedli do samochodu i udali się prosto do Instytutu Smolnego, gdzie przy bramie zatrzymali ich strażnicy. „Poprosili nas o okazanie przepustek, których z oczywistych względów nie mieliśmy. Przedstawiłem się, ale nawet to nie pomogło. Cóż, rozkazy to rozkazy. «Będziecie musieli tutaj zostać» – powiedział nam oficer. Musieliśmy więc zaczekać przed bramą przynajmniej piętnaście minut, zanim dowódca Kwatery Głównej wydał zezwolenie na podjechanie pod drzwi".

Żukow wszedł do środka i zastał tam, jak sam to przedstawia, nastrój pijackiego defetyzmu. Trwało właśnie zebranie leningradzkiej rady wojennej, podczas którego kreślono plany wyburzenia najważniejszych fabryk i gmachów użyteczności publicznej w mieście, a także zatopienia Floty Bałtyckiej. Jego przybycie natychmiast odmieniło nastroje: „Po rozmowie postanowiliśmy przerwać posiedzenie i podkreślić, że żadnych przedsięwzięć na wypadek oddania miasta na razie realizować nie należy. Będziemy bronić Leningradu do ostatka"[6]. Przez całą noc Żukow dyskutował z radą, jak najlepiej wzmocnić obronę miasta, w tym zwłaszcza w okolicach Pułkowa, niewielkiego pasma wzgórz (i siedziby najstarszego w całej Rosji obserwatorium astronomicznego) leżących 12 kilometrów na południe od Leningradu. Wśród zaproponowanych

przez niego innowacyjnych rozwiązań znalazły się: zastosowanie dział przeciwlotniczych do bezpośredniego ostrzału czołgów, oddelegowanie marynarzy Floty Bałtyckiej do oddziałów piechoty, a także przeniesienie dział morskich z unieruchomionych okrętów floty na najsłabsze odcinki walk frontowych. Pośród dział wysłanych do Pułkowa znalazły się także pochodzące z krążownika „Aurora", tego samego, który oddając niegdyś wystrzał z działa dziobowego, dał sygnał do rozpoczęcia rewolucji październikowej. Żukow przerzucił też część 23 Armii, stojącej naprzeciw „potulnych" Finów na Przesmyku Karelskim, na południe, do walki z Niemcami, a wreszcie zarzucił plany unieszkodliwienia Floty Bałtyckiej. „Jeśli już mają zatonąć – oświadczył – niech się tak stanie w bitwie, przy huku wystrzałów z ich dział". Chozin przejął obowiązki szefa sztabu Północno-Zachodniej Grupy Armii Czerwonej, a Fiediuniński udał się na przegląd 42 Armii do Pułkowa. Jak stamtąd raportował, morale było bliskie załamania. Kwatera Główna Armii utraciła kontakt z jednostkami frontowymi, a sama przenosiła się właśnie na dalekie tyły, do piwnic Zakładów Kirowa. „Przejmij dowództwo 42 Armii – rozkazał mu Żukow – i to natychmiast!"[7]

Na pierwszej linii walk przybycie Żukowa nie przyniosło żadnych błyskawicznych rezultatów: front w dalszym ciągu pozostawał równie chaotyczny jak przedtem. Wasilij Czekrizow, trzydziestodziewięciolatek o pociągłej twarzy, wielkich poważnych oczach i z rzadkim wąsikiem, był głównym inżynierem w stoczni Sudomech. W czasach Wielkiego Terroru został zdegradowany i czasowo pozbawiony legitymacji partyjnej. To doświadczenie nie nauczyło go jednak życiowej mądrości. Ponieważ z natury był typem społecznika, wraz z przedłużającym się oblężeniem miał popaść w narastający konflikt ze swoimi skorumpowanymi przełożonymi, a do tego nigdy nie przestawała go zdumiewać przepaść między partyjną retoryką a rzeczywistością. 1 września wysłano go wraz z grupą innych robotników do wioski nieopodal Puszkina, gdzie mieli budować wzmocnione punkty ostrzału określane mianem „hoteli Woroszyłowa". Scena, którą zobaczył, była dość typowa dla wielu innych miejsc wzdłuż całego frontu wschodniego we wrześniu 1941 roku: niezliczona liczba chłopów kierujących przeładowanymi wozami albo niosących tobołki na

własnych ramionach, konny posłaniec pokrzykujący nerwowo, by przedrzeć się jakoś przez ten tłum, nieogoleni oficerowie w pomiętych szynelach, żołnierze parzący herbatę na ławce w parku, chłopiec ciągnący na sznurku kozę. Jak zanotował w pamiętniku Czekrizow, jego sugestia, by budować bunkry nieco dalej od frontu, nie została przyjęta zbyt ciepło. Gdy zapadł zmierzch, Czekrizow zobaczył ogień buchający znad trzech palących się wsi.

Wojska niemieckie na przedmieściach Leningradu, wrzesień 1941 roku.

Przez następne dwa dni obszar, na którym się znajdowali, był narażony na ciężki i wciąż narastający ostrzał artyleryjski, co zmuszało Czekrizowa i jego kolegów do pracy nocą. Pozbawieni dźwigów czy traktorów musieli wciągać wodę wiadrami, betonowe bloczki zaś wnosić na plecach. Zakwaterowano ich razem z grupą osiemnasto- i dziewiętnastoletnich pielęgniarek, które – podobnie jak oni – spały na zmianę na podłodze albo na stołach. „Jest ich jedenaście – zanotował zirytowany Czekrizow – a tylko jedna ma koc. U nas jest tak samo, ale mamy przynajmniej płaszcze. To dopiero nasz czwarty dzień, ale one są

tu już półtora miesiąca… Czy kwaterunek naprawdę nie mógł ich umieścić w jakimś lepszym miejscu?" 11 września po raz pierwszy w życiu Czekrizow doświadczył bombardowania i był zaskoczony strachem i niedowierzaniem malującym się na twarzach innych ludzi: „Było to bardzo interesujące, jak spojrzenie w lustro. Czy moja twarz wyglądała tak samo?". Dwaj ludzie z jego zespołu – nastoletni chłopcy, którzy jeszcze kilka dni wcześniej pociągali z butelki koniak i popisywali się przed pielęgniarkami „partyzanckim stylem" – zostali w tym ataku poważnie ranni, a jeden z nich zmarł następnej nocy. Czekrizow wrócił wraz z jego ciałem do Leningradu:

„W fabryce wiadomość ta spotkała się z obojętnością, została wręcz zbyta wzruszeniem ramion. Nie pozwolili nam nawet wystawić jego trumny, więc zabraliśmy ją do rodziny. Ich pokój jest malutki: nawet bez trumny ledwie wystarczało tam miejsca, by się obrócić. Pochowali go dzisiaj. Chciałem iść na pogrzeb, ale nie potrafiłem wrócić do tego domu, a raczej raz jeszcze spojrzeć w twarz jego matce. Jest pogrążona w nieutulonym żalu. Lepiej nie widzieć łez".

Po powrocie na front Czekrizow zastał tam jeszcze gorsze zamieszanie. „Łączność z Puszkinem utracona – napisał 16 września. – Udaliśmy się do Szuszarów, gdzie mają trafić nasze ruchome stanowiska dla dział, ale nie ma ich czym przetransportować, a my nie wiemy, co mamy z nimi zrobić. Sytuacja wygląda tak samo na całej linii". W Kwaterze Głównej, dokąd Czekrizow udał się, by prosić o jakiś środek transportu, „dziesięcioro ludzi zdawało się próbować rozwiązać każdy problem":

„Odnoszę wrażenie, że są to w większości po prostu zwykli biurokraci w wojskowych mundurach. Wczoraj wreszcie miałem dosyć. Powiedziałem im, że mają tam straszny bałagan. Podejrzewam, że wielu z nich zgodziło się ze mną w skrytości ducha… Oto przykład, historia, która naprawdę wydarzyła się w Pawłowsku. Kierowcy ciężarówek wiozący dla nas części muszą wypełniać formularze przewozowe, składające się z wielu rubryk, zupełnie jak w mieście. Kierownik transportu ostrzegł mnie, że wszystko ma się w nich zgadzać, a jeden z kierowców jest niedoświadczony i potrzebuje pomocy. Wypełnianie jego formularza zajęło pół godziny, a wszystko to na froncie! Jakąż to

czcią otaczamy papier! Niemcy pewnie mają na to wszystko znacznie prostsze procedury…

Tyły są pełne oficerów sztabowych wszelkich szarż. Każdy biega wokół i wygląda na bardzo przejętego. Jestem pewien, że dobra połowa z nich nie robi dokładnie nic. Tak, pod względem dowództwa nasza armia okazuje się raczej słaba. Także w fabrykach jest mnóstwo złej organizacji, ale tutaj jest dziesięć razy gorzej… Czy oni nigdy nad tym nie zapanują?”[8].

Podczas gdy Czekrizow pokonywał kolejne trudności przy wznoszeniu bunkrów, których linie i tak wkrótce miały zostać przekroczone, kilka kilometrów dalej dwudziestoośmioletnia Anna Zielenowa, poważnie wyglądająca młoda kobieta w okrągłych okularach, z wojowniczo zadartym nosem i równo przyciętymi włosami, organizowała końcową ewakuację wzniesionego dla Wielkiego Księcia Pawła, pyszniącego się piękną kolumnadą i zwieńczonego kopułą pałacu w Pawłowsku. Jak wspominała, był to czas „niewiarygodnego pośpiechu. Okna pałacu zostały już zabite deskami. Nie było prądu, więc pracowaliśmy przy świetle świec bądź palonych lin albo wręcz zwitków papieru”. Załadowawszy ostatnią, jak się miało okazać, ciężarówkę zdążającą do Leningradu, Zielenowa jeszcze raz weszła do środka, by po raz ostatni sprawdzić pałacową bibliotekę:

„Zeszłam na dół i biegłam wzdłuż biurek i szafek, otwierając wszystkie drzwiczki. I w ostatniej szafie zobaczyłam jakieś teki. Otworzyłam jedną z nich i zdębiałam. Były to wszystkie oryginalne plany [architekta] Rossiego. Następnie otworzyłam największą tekę i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Były w niej wszystkie rysunki Camerona – i Gonzagi, i Quarenghiego, i Woronichina. Nie wykonano moich poleceń. Te bezcenne dokumenty po prostu tu zostawiono.

Teki nie mieściły się do standardowej skrzyni, musieliśmy więc wykonać specjalną tylko dla nich. Na szczęście stolarze byli jeszcze w pałacu. Dałam im wymiary, ale oni powiedzieli: «Nie mamy już więcej drewna». Kazałam im więc rozbić kufer, w którym były trzymane poduszki. Kiedy oni zbijali skrzynię, ja postanowiłam dokonać aktu wandalizmu. Prześladowała mnie myśl, że unikatowe obicia tapicerskie na meblach Woronichina z Sali Greckiej miały być tu zostawione. Nie

mogliśmy uratować krzeseł, ale mogliśmy ocalić tapicerki. Każde obicie było przytwierdzone przy pomocy setek malutkich pozłacanych gwoździków. Prawdopodobnie i tak nie zmusiłabym się do tego, by je tknąć, gdyby akurat w tym momencie nie rozległa się seria strzałów z karabinu. Wtedy chwyciłam żyletkę i zaczęłam wycinać obicia, tnąc tak blisko gwoździków, jak tylko się dało. Włożyliśmy teki do nowej skrzyni, a między nie wpasowaliśmy obicia".

W następnej kolejności należało się zająć pałacowymi rzeźbami, wyglądającymi teraz boleśnie pięknie w przestronnych i ogołoconych galeriach. Zielenowa i jej ludzie ostrożnie przenieśli je do najdalszych zakamarków pałacowych piwnic, po czym zamurowali. Aby nowo wybudowana ściana nie różniła się zbytnio od pozostałych, wysmarowali ją błotem i piachem. Posągi stojące na zewnątrz – wyobrażające Apolla, Merkurego, Florę czy Niobe z jej płaczącymi dziećmi – zakopano w miejscach, w których były rozmieszczone po całym parku. Na białym marmurze posągu Sprawiedliwości i Pokoju jeden z robotników napisał: „Wrócimy po ciebie", po czym przysypał nowo skopaną ziemię opadłymi liśćmi.

Wszędzie wokół Armia Czerwona wykonywała teraz pełny odwrót. Wchodząc do pałacu rankiem 19 września, Zielenowa ze złością zauważyła zakurzone wojskowe motocykle niedbale zaparkowane wśród krzaków bzu w holenderskim ogrodzie carycy Marii Fiodorowny. W swoim gabinecie zastała natomiast jakiegoś majora kręcącego korbką telefonu:

„Uderzyło mnie zmęczenie na jego twarzy. Po drugiej stronie linii ktoś coś mówił zirytowanym głosem, a on odpowiadał (najwyraźniej już nie pierwszy raz), że wcale się nie rozłączył, że połączenie jest złe i że nie ma już więcej ludzi. Osoba po drugiej stronie wciąż pokrzykiwała ze złością. Major bardzo powoli odłożył słuchawkę na widełki, a ja zaczęłam swoją przemowę: «Czy moglibyście natychmiast powiedzieć waszym żołnierzom, żeby zabrali swoje motocykle z prywatnych ogrodów?». Wtedy on spytał: «Z czyich prywatnych ogrodów?». I ten biedny, wyczerpany major był zmuszony wysłuchać całego wykładu na temat Camerona".

Tego wieczoru Zielenowa otrzymała telefon z administracji muzeów leningradzkich informujący ją, że właśnie została dyrektorem Pawłowska. Był to jednak niewiele znaczący awans, bo jednocześnie zobowiązano ją formalnie do „szybkiej ewakuacji" pałacu. „Wtedy połączenie się zerwało, nie mogłam więc nawet niczego wyjaśnić... Wiedziałam, że musimy opuścić pałac, ale jak moglibyśmy zostawić wszystkie te skrzynie, które przygotowaliśmy do wywozu, i wszystkie rzeczy, których jeszcze nie spakowaliśmy? Nie, będziemy dalej pracować!" Uświadomiwszy sobie, że z Leningradu nie przyjadą już żadne ciężarówki, Zielenowa zarekwirowała wozy konne:

„Kiedy już wyprawiliśmy ostatniego z woźniców, pojawił się zielony MK [samochód]. Wyskoczył z niego jakiś niski wzrostem porucznik i zapytał nieoczekiwanie głośnym i władczym głosem: «Kim jesteście i co tutaj robicie?». Wyjaśniłam mu, że jestem dyrektorem pałacowego muzeum i parku, a to są moi koledzy. Wtedy porucznik wybuchnął: «Ale wszyscy w mieście zostali już ewakuowani!».

– My sami sobie zorganizowaliśmy ewakuację – właśnie czekamy na transport.

– Nie będzie żadnego transportu! Macie szczęście, że tędy przejeżdżałem i chciałem sprawdzić, czy wszyscy z kwatery dywizji już się stąd wynieśli. W tej chwili wsiadajcie do mojego wozu!

– Nie mogę nigdzie pojechać, nawet jeśli mi każecie, bo jestem tu z rozkazu najwyższego dowództwa – i podałam mu numer rozkazu.

– Nic nie rozumiecie! Pawłowsk nie jest na froncie, nie jest nawet na linii frontu. Jest na niemieckich tyłach!".

Zawyła syrena i Zielenowa zbiegła do pałacowych piwnic, które zamieniono na schron przeciwlotniczy. Omijając samowary i maszyny do szycia, dotarła do tłumu kobiet i dzieci. Przekazała im, że Pawłowsk został porzucony, a ci, którzy chcą się przedostać do miasta, muszą iść pieszo. W tym momencie przemowę przerwał jej leśniczy, który w pośpiechu wpadł do piwnicy: „W parku są Niemcy na motocyklach. Sam ich widziałem. Przy Białych Brzozach!". Zielenowa szybko zorientowała się, że kobiety nigdzie się nie wybierają, sama więc udała się na górę, tam wysypała zawartość szuflady swego biurka do walizki, po czym wyruszyła pieszo w kierunku Leningradu.

Dotarcie do miasta zajęło jej całą noc. W zwykłych pantoflach musiała przedzierać się przez pola i ogródki działkowe, wskakując do rowów na dźwięk ognia artyleryjskiego. Przechodząc przez park Aleksandra, zauważyła, że Teatr Chiński Rinaldiego stoi w płomieniach i lada chwila się zawali; w Kołpinie płonące Zakłady Iżorskie rozświetlały niebo przedwczesnym brzaskiem. Bliżej Leningradu drogi były mniej usiane lejami po bombach. W pewnym momencie podwiozła ją wojskowa ciężarówka wypełniona rannymi, która wysadziła ją w miejscu, skąd mogła już złapać tramwaj do miasta. O godzinie dziesiątej rano dotarła wreszcie do soboru Świętego Izaaka, w którego „mrocznych, ponurych, zimnych i wilgotnych" wnętrzach miała spędzić cały okres oblężenia, wraz z personelem i ocaloną zawartością wszystkich innych letnich pałaców[9].

Niemcy weszli do Pawłowska tego samego dnia, w którym zajęli też sąsiednie miasto Puszkin. Tutaj także zbyt późno zorientowano się, jak blisko jest wróg, by można było przeprowadzić w miarę zorganizowaną ewakuację. W pewnym momencie mieszkańcy miasta, którzy uciekli do Leningradu, zostali wręcz odesłani z powrotem do domu, gdyż nie mieli pozwoleń na pobyt w mieście. Zajadle antybolszewicka Lidia Osipowa obserwowała z sarkastyczną obojętnością, jak jej przyjaciele i znajomi próbowali podjąć decyzję, co dalej. Jak napisała 17 sierpnia, pojawił się rozdźwięk między „patriotami" a „defetystami": „«Patrioci» starają się jak najszybciej załapać na ewakuację, a ci drudzy – jak my – próbują w każdy możliwy sposób tego uniknąć". Podobnie jak wielu innych Osipowa wolała nie wierzyć w doniesienia o okrucieństwach popełnianych przez nazistów. W dzienniku napisała: „Hitler nie jest, rzecz jasna, taką bestią, jaką go odmalowuje nasza propaganda... Ludzie żałujący Żydów w Niemczech albo Murzynów w Ameryce czy Hindusów w Indiach mają dziwną tendencję do zapominania o naszych własnych bezlitośnie łupionych chłopach, których tępiono niczym karaluchy". Zgadzali się z nią nawet niektórzy żydowscy przyjaciele. „Od wielu Żydów słyszeliśmy coś w tym rodzaju: «A po co my mamy gdziekolwiek iść? Cóż, może i zamkną nas na trochę w obozach, ale potem przecież wypuszczą. Gorzej niż tutaj być nie może»".

W miarę jak walki się zbliżały, narastał też niepokój. Sąsiadka Osipowej, była członkini partii, spędziła noc 2 września, „biegając w tę i we w tę ze swojego pokoju do śmietnika na sąsiednim podwórku i wyrzucając całe naręcza oprawionych w czerwień tomów Lenina. W przerwach między wynoszeniem dzieł wielkiego geniusza na śmietnik wpadała do nas na pogawędki i papieroska. Użalała się nad swoim losem i nad władzą radziecką. Teraz jest dla mnie jasne, że radzieckie władze nie radzą sobie zbyt dobrze, bo N.F. nie jest osobą, która daje się ponieść emocjom. Wychowała się pod tą władzą i widziała wszystkie szczeble partyjnej drabiny, od najwyższych po najniższe. Te rozmaite doświadczenia zamieniły ją w cyniczkę – ani trochę nie wierzy już we wszystkie te komunistyczne bzdury, w ten idealistyczny sen. Zabawnie jest na nią patrzeć, ale powinna wystrzegać się Niemców, skoro była żoną trzech Żydów, a jej córka jest pół-Żydówką. Poza tym widać na niej jeszcze resztki komunistycznych piórek, w które się stroiła".

W zatłoczonych i ciemnych schronach przeciwlotniczych rozmowy stawały się niespotykanie swobodne. Osipowa pisała, że ludzie rozmawiali „o rzeczach, o których przed wojną nie dyskutowalibyśmy nawet we śnie, ani nawet wyjątkowo pijani, chyba że w towarzystwie ludzi bardzo nam bliskich. Siedzę sobie tutaj i piszę dziennik, nie kryjąc się z tym specjalnie, a nikt nie zwraca na to uwagi". Kiedy pociski artyleryjskie zaczęły już spadać na Puszkin, Osipowa wraz z sąsiadami przeniosła się na stałe do piwnic. W skrytości ducha z utęsknieniem wyczekiwała na to, co sama uważała za wyzwolenie. „Siedzimy tu cały dzień – napisała piętnastego. – Panuje wrażenie całkowitego zamieszania. Spytaliśmy: «Gdzie są teraz Niemcy?». – «W Kuzmino». To oznacza, że dotrą do nas za około dwie godziny". Tymczasem dwa dni później ulice nadal były puste:

„Wciąż żadnych Niemców. Poszliśmy na miasto. Wszechobecna cisza… Żadnego śladu władz. Jeśli tu są, dobrze się chowają. Wszyscy boją się, że może jednak wyjdzie na nasze, a nie na Niemców… Jeśli wyszłoby na Niemców – kilka mało ważnych ograniczeń, a potem WOLNOŚĆ. Jeśli na Czerwonych – dalszy ciąg tej beznadziejnej wegetacji i najprawdopodobniej represje…".

Następnego dnia Osipowa po raz pierwszy doznała niepokojącego przeczucia, że naziści tak naprawdę niewiele mieli wspólnego z Niemcami, których znała ze szkoły – takimi jak Heine czy Schiller. Oto bowiem podniosła zrzuconą z niemieckiego samolotu antysemicką ulotkę propagandową. „Co za miernota, głupota, ordynarność. «Ryj, w który trzeba przyłożyć cegłą!»; «Walczcie z Żydopolitrukiem!» I co za wulgarny, okaleczony język… Czy to możliwe, że jesteśmy w błędzie, że Niemcy naprawdę są tak źli, jak to przedstawia radziecka propaganda?" Dziewiętnastego oczekiwanie wreszcie się zakończyło. „Stało się – napisała w uniesieniu w dzienniku – NIEMCY NADESZLI! Z początku trudno było w to uwierzyć. Wyszliśmy ze schronu i zobaczyliśmy dwóch prawdziwych niemieckich żołnierzy idących ulicą. Wszyscy rzucili się do nich… Starsze kobiety szybko wskoczyły z powrotem do schronu i przyniosły słodycze, kawałki cukru i biały chleb". Ten wpis jest zatytułowany: „KONIEC Z CZERWONYMI! WOLNOŚĆ!".

Rzecz jasna, Osipowa była w straszliwym błędzie albo też nie chciała dostrzec rzeczywistego stanu rzeczy. Jednym z uchodźców z Puszkina, którzy przybyli do Leningradu, był kompozytor Bogdanow-Bieriezowski. Zanim wysłano go wraz z innymi muzykami do ładowania drewna w leningradzkich dokach, mieszkał w jednym ze skrzydeł pałacu Katarzyny. Wkrótce po tym, jak Puszkin padł, Bogdanow-Bieriezowski natknął się na swoją byłą sąsiadkę, która – nim uciekła pieszo do Leningradu – była świadkiem przejęcia miasta przez Niemców:

„Opowiadała nam straszne rzeczy… «Przewodnią rolę» przejął zwykły nauczyciel niemieckiego ze szkoły średniej w Puszkinie, który zgłosił się na ochotnika jako tłumacz, ale z równą ochotą wskazywał różnych komunistów, w tym słodką Aneczkę Krasikową z administracji pałacu. Aneczka często lubiła wpadać z wizytą – była śliczna, młoda i zawsze pogodna. Miała drobną twarz, której nie szpeciły nawet binokle, choć tak naprawdę wcale do niej nie pasowały. Jej mąż i pięcioletni chłopak zdołali w porę uciec. Ale jej powierzono pieczę nad pałacowymi schronami przeciwlotniczymi, w których chowała się spora część miasta, więc nie mogła wydostać się ani ciężarówką, ani pieszo. Faszyści rozstrzelali ją i wielu innych na trawniku naprzeciwko placu

apelowego przy wrotach z carskim monogramem, najpierw każąc im wykopać swoje własne groby. Para Żydów w podeszłym wieku – Lichterowie z prawego skrzydła – została powieszona (staruszka była tak dumna ze swojego chłopca, *tankisty*!). Podobnie postąpiono z trzema Żydami z lewego skrzydła: dwaj z nich, chłopcy z wielkimi uszami w wieku około siedmiu albo ośmiu lat, zawsze biegali pod naszymi oknami”[10].

W ślad za podjętymi przez Niemców poszukiwaniami w Puszkinie Żydów i komunistów został wydany rozkaz wzywający Żydów do pojawienia się 4 października w celu „rejestracji” w biurze *kommandanta* – naprzeciwko kina „Awangard” na rogu ulicy Pierwszego Maja. Uczyniło tak kilkuset ludzi, w większości kobiety, dzieci i osoby w podeszłym wieku. Stamtąd poprowadzono ich do pałacu Katarzyny, gdzie przez kilka dni pozostawali uwięzieni w piwnicach, bez jedzenia i wody. Następnie wyprowadzano ich grupami i rozstrzeliwano albo na terenie lotniska, albo w którymś z pałacowych parków. Ich ubrania rzucano oczekującym tłumom z okna na drugim piętrze miejscowego liceum, szkoły słynącej z tego, że kiedyś uczył się w niej sam Puszkin. Obławy i łapanki trwały przez kilka następnych tygodni. 20 października przed pałacem Katarzyny rozstrzelano kolejnych piętnastu dorosłych i dwadzieścioro troje dzieci. Ich ciała pozostawiono na miejscu egzekucji przez dwanaście dni, po czym część wrzucono do leju po bombie na dziedzińcu pałacowym, a resztę zakopano w ogrodach. Są przykłady Żydów ukrywanych przez nieżydowskich sąsiadów, ale też i przypadki denuncjacji, często – podobnie jak w czasach Wielkiego Terroru – motywowanej chęcią przejęcia mieszkań po ofiarach. Na przykład księgowa z pałacu Katarzyny została wraz mężem zadenuncjowana przez jednego z pracujących tam cieśli, który następnie wprowadził się do zajmowanego przez nich apartamentu w prawym skrzydle pałacu i kontynuował współpracę z SS w charakterze informatora. Łącznie władze niemieckie wymordowały w regionie Leningradu szacunkową liczbę trzech tysięcy sześciuset żydowskich cywilów, przy czym niemal wszyscy oni ponieśli śmierć w pierwszych kilku tygodniach okupacji[11].

Armia Czerwona w tym samym czasie, w którym utraciła Puszkin i Pawłowsk, została też wyparta z Aleksandrowska, niewielkiego miasteczka na przedmieściach Leningradu, przy końcu południowo-zachodniej linii tramwajowej, a także z Pułkowa, bronionego do ostatniej kropli krwi przez członków 5 Dywizji Gwardyjskiej *opołczenija*, których kości do dziś leżą pośród wybujałych krzaków róż i jaśminowca w lekko zaniedbanym masowym grobie tuż obok odbudowanego obserwatorium. Na wybrzeżu Zatoki Fińskiej zmotoryzowane dywizje Reinhardta zajęły Strielną i Peterhof, wzmacniając jeszcze izolację radzieckiej 8 Armii w przyczółku Oranienbaum. Kiedy wszelkie próby kontrofensywy zawiodły, Żukow nakazał ustanowienie nowej linii obronnej, biegnącej od południowo-zachodnich przedmieść Leningradu przez Pułkowo, a następnie szerokim łukiem do Newy w miejscu, gdzie rzeka meandruje na północ mniej więcej w równej odległości od Ładogi i Zatoki Fińskiej. Tym razem, jak stanowczo stwierdzał w rozkazie bojowym z 17 września, sformułowanym w znamiennym dla niego szorstkim i brutalnym stylu, miało już nie być żadnego odwrotu:

„1. Zważywszy na wyjątkową wagę [linii Pułkowo–Kołpino], Rada Wojenna Frontu Leningradzkiego oznajmia wszystkim dowódcom oraz oficerom politycznym i liniowym broniącym wyznaczonej linii, że każdy dowódca, *politruk* czy żołnierz, który porzuci wskazaną linię bez pisemnego rozkazu z Kwatery Głównej Armii albo z wojskowej rady wojennej, będzie z miejsca rozstrzelany.

2. Ogłosić rozkaz dowództwu i oficerom politycznym zaraz po otrzymaniu. Rozpowszechnić szeroko wśród szeregowych żołnierzy".

Trzy dni później Stalin dorzucił swoje rozkazy, według których wojska ulokowane wokół Leningradu miały bez wahania – pod groźbą egzekucji – strzelać do rosyjskich cywilów zbliżających się do nich od strony linii niemieckich:

„Do Żukowa, Żdanowa, Kuzniecowa i Mierkułowa

Mówi się, że niemieckie łajdaki podchodzące pod Leningrad wysłały przodem ludzi – starych mężczyzn i kobiety, matki z dziećmi – z okupowanych terenów, którzy mają prosić nasze bolszewickie siły o poddanie Leningradu i przywrócenie pokoju.

Mówi się też, że wśród leningradzkich bolszewików znajdują się ludzie uważający za wykluczone użycie siły przeciwko takim jednostkom…

Moja odpowiedź brzmi: bez sentymentów. Należy walić wroga, wraz z jego wspólnikami, chorymi czy zdrowymi, prosto w zęby. Wojna jest nieubłagana, a ci, którzy okazują słabość i pozwalają sobie na chwile wahania, jako pierwsi ponoszą porażkę. Ktokolwiek w naszych szeregach dopuści do zawahania, odpowiedzialny będzie za upadek Leningradu.

Pobijcie Niemców i ich marionetki, kimkolwiek są… Nie ma żadnej różnicy, czy są naszymi wrogami z własnej woli czy z przymusu. Nie ma litości dla niemieckich łajdaków i ich wspólników…

Żądam, by poinformować o tym dowódców oraz komisarzy w dywizjach i pułkach, a także Radę Wojenną Floty Bałtyckiej i komandorów oraz komisarzy na okrętach.

J. Stalin”[12].

Ostatecznie linia się utrzymała. Wilhelm von Leeb, kiedy jego przednie jednostki znalazły się 24 września zaledwie 15 kilometrów od Ermitażu – czyli w odległości, która dzieli na przykład londyńskie przedmieście Richmond od Piccadilly Circus albo autostradę do Jersey od Empire State Building w Nowym Jorku – musiał wreszcie przyznać, że jego mocno już wyczerpane i nadmiernie rozciągnięte armie nie są w stanie iść dalej. Musiał poprosić o pozwolenie na przejście do defensywy. Walki wygasły, a obie strony zajęły się liczeniem olbrzymich strat. U Niemców, w Grupie Armii „Północ”, od dnia rozpoczęcia inwazji zginęło bądź rannych zostało 190 tysięcy ludzi, stracono też 500 dział i 700 czołgów[13]. Po stronie radzieckiej straty były jeszcze większe. W tym samym okresie Flota Bałtycka i Północno-Zachodnia Grupa Armii Czerwonej straciły łącznie 214 078 ludzi, zabitych, zaginionych albo wziętych do niewoli (przy czym jeńców wojennych było w tej liczbie prawdopodobnie 70–80 procent), a kolejnych 130 848 zostało rannych – co stanowiło razem dwie trzecie całkowitej liczby ich wojsk na początku wojny. Ponadto Rosjanie stracili też 4000 czołgów, około 5400 dział i 2700 samolotów[14].

W tradycyjnych ujęciach historycznych okres od połowy do końca września, znaczony wyczerpującymi bitwami oraz bezwzględnymi pokazami wojennej odwagi i silnej woli, był uznawany za moment zwrotny w obronie Leningradu. Jednak nowsze interpretacje kładą mniejszy nacisk na błyskotliwość taktyczną Żukowa (choć wciąż jej nie kwestionują), większy zaś na wcześniejszą zmianę strategii po stronie niemieckiej. W tej wersji to nie tyle Armia Czerwona odparła Niemców, ile sami Niemcy postanowili przenieść ciężar walk gdzie indziej.

Od chwili powstania planu Barbarossa Hitler i jego generałowie pozostawali w nieustającej niezgodzie co do tego, które z miast – Moskwa czy Leningrad – jest ważniejszym celem strategicznym. Pierwotna dyrektywa Hitlera z grudnia 1940 roku, która zakreśliła szerokie ramy planu Barbarossa, była w tej materii jasna: marsz na Moskwę miał się rozpocząć dopiero po tym, jak zajęte zostaną republiki bałtyckie, Leningrad i Kronsztad, co pozwoli wyeliminować Flotę Bałtycką i zapewnić sobie produkcję leningradzkich fabryk broni. Nie zgadzali się z tym dowódcy poszczególnych rodzajów wojsk pod przywództwem szefa sztabu generalnego Franza Haldera. Argumentowali, że to właśnie stolica Rosji i jej największe miasto powinno iść na pierwszy ogień, a Leningrad dopiero w drugiej kolejności.

Rozdźwięk ten, chwilowo przytłumiony w momencie rozpoczęcia planu Barbarossa, znowu stał się wyraźny w połowie lipca, kiedy von Leeb poprosił o więcej wojska i ekwipunku dla swojej Grupy Armii „Północ". Analogiczny spór o to, czy omijać okrążone już rosyjskie miasta, czy też zdobywać je przed dalszym marszem, został wprawdzie rozwiązany na korzyść generałów, ale już w przypadku Leningradu Hitler nie chciał słyszeć o żadnych ustępstwach. „Moje petycje podkreślające wagę Moskwy są odrzucane bez żadnych sensownych kontrargumentów" – narzekał Halder w dzienniku 26 lipca. Dziesięć dni później, kiedy Wehrmacht podchodził pod Nowogród, Halder spróbował ponownie, tym razem za pośrednictwem generała Paulusa: „Na moją prośbę dowódca Grupy Armii «Południe» podniósł kwestie o wysokim znaczeniu strategicznym, podkreślając wagę Moskwy. Führer ponownie okazał się całkowicie głuchy na te argumenty. Wciąż

powtarza swoją starą śpiewkę: 1. Leningrad, z zaangażowaniem Hotha [dowódcy 3 Grupy Pancernej Grupy Armii «Środek»]. 2. Wschodnia Ukraina (...). 3. Moskwa na samym końcu". Następnego dnia Halder usiłował zjednać dla swojej sprawy szefa sztabu dowodzenia, generała Alfreda Jodla. „Uświadomiłem mu, że Leningrad może zostać zdobyty siłami już w dyspozycji [von Leeba]. Nie trzeba i nie wolno nam przekierowywać na Front Leningradzki niczego, co mogłoby być nam potrzebne pod Moskwą. Flance von Leeba absolutnie nic nie zagraża... Von Bock musi podążać ze wszystkimi swoimi siłami prosto na Moskwę. (Zapytać Führera: Czy może sobie pozwolić na niezdławienie Moskwy przed nastaniem zimy?)"[15].

Coraz bardziej zirytowany kolejnymi apelami von Leeba o więcej środków („Szalone prośby Grupy Armii «Północ» o inżynierów, artylerię, działa przeciwlotnicze"), a także podejmowanymi przez Hitlera próbami kontrolowania nawet najdrobniejszych szczegółów operacji wojskowych, Halder rozważał wręcz złożenie dymisji, zwłaszcza po wydaniu przez führera dyrektywy z 21 sierpnia, otwarcie podważającej stanowisko Naczelnego Dowództwa. „Propozycje OKH [Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych] – stwierdzał Hitler – nie są zgodne z moimi intencjami (...). Zasadniczym celem, który wciąż pozostaje do osiągnięcia przed nastaniem zimy, nie jest zdobycie Moskwy, ale raczej jest nim na południu okupacja Krymu oraz zagłębia węglowego w Doniecku (...), a na północy okrążenie Leningradu i połączenie się z Finami". W dalszym ciągu Hitler wyjaśniał, że dopiero po zrealizowaniu tych celów zostaną uwolnione siły mogące kontynuować marsz na rosyjską stolicę.

Halder był wściekły. Ingerowanie przez Hitlera w sprawy wojskowe stawało się nie do wytrzymania i to wyłącznie z winy führera pojawił się „zygzakowaty kurs obierany po każdym z jego kolejnych rozkazów". Naczelne Dowództwo, prowadzące obecnie już czwartą z kolei zwycięską kampanię, nie powinno „plamić swojej reputacji" spełnianiem tych ostatnich żądań, a von Brauchitsch, naczelny dowódca wojsk lądowych, traktowany był „absolutnie oburzająco". Halder zasugerował von Brauchitschowi, żeby obaj złożyli swoje rezygnacje, tyle że von Brauchitsch odmówił, „motywując to tym, że

rezygnacje te i tak nie zostałyby przyjęte, więc nic by to nie zmieniło”[16]. Spór załagodzono („Obraz szczęścia i harmonii – zanotował sarkastycznie Halder 30 sierpnia. – Wszystko znowu jest wspaniale”), ale jego ostateczne rozwiązanie nastąpiło dopiero 5 września, kiedy to Hitler wreszcie zgodził się, by – jeśli von Leeb nie zdobędzie Leningradu w ciągu dziesięciu dni – przenieść 4 Grupę Pancerną Höpnera na południe, by dołączyła do von Bocka w jego marszu na Moskwę[17]. W rzeczywistości, po protestach ze strony von Leeba i obietnicach rychłego zwycięstwa, przerzut rozpoczął się wprawdzie trzy dni później, ale i tak to Halder postawił na swoim. „Pierścień wokół Leningradu – napisał on w dniu, w którym jednostki pancerne przerzucono na południe – nie został jeszcze zaciśnięty tak mocno, jak można by sobie tego życzyć, a dalsze postępy po odkomenderowaniu 1 Dywizji Pancernej i 36 Zmotoryzowanej są wątpliwe… Sytuacja pozostanie nierozstrzygnięta do czasu, w którym pojawi się nasz nowy sprzymierzeniec – głód”[18].

To przegrupowanie nie wydawało się w owym czasie jakoś specjalnie znaczące. Po stronie niemieckiej postrzegane było jako tymczasowy kompromis, po rosyjskiej zaś poczucie nadciągającej katastrofy stało się jeszcze głębsze. Tymczasem z późniejszej perspektywy widać wyraźnie, że był to moment, w którym Niemcy przegapili największą szansę na zdobycie Leningradu. Pomimo ponad dwóch kolejnych lat niemal bezustannych walk na froncie północnym Grupie Armii „Północ” już nigdy później nie udało się osiągnąć wystarczająco dużej mobilności i siły ognia, by móc przypuścić frontalny, szeroko zakrojony atak na miasto. Miała się ona odtąd stać permanentną kulą u nogi na froncie wschodnim, wciąż żebrząc o posiłki, niezdolna do przesunięcia części sił do rezerwy z obawy przed ich natychmiastowym przeniesieniem na inny odcinek frontu. Podczas gdy na południu i w środkowej części frontu armie bezustannie przemieszczały się we wszystkich możliwych kierunkach, wokół Leningradu front praktycznie zastygł w okopach, zmieniając się w brudną i krwawą wojnę pozycyjną – dokładnie taką, jakiej chciał uniknąć Hitler, planując operację Barbarossa. W tej wojnie żadna ze stron, pomimo wielokrotnie podejmowanych ofensyw, nigdy

nie zdołała zebrać wystarczających sił, by móc definitywnie pobić przeciwnika.

Walther von Brauchitsch, Adolf Hitler i Franz Halder omawiają sytuację na Froncie Wschodnim, sierpień 1941 roku.

Zmiana strategii Wehrmachtu – z ataku lądowego na zagłodzenie przeciwnika i naloty z powietrza – została ogłoszona oficjalnie w okólniku z 28 września, puszczonym w obieg w Grupie Armii „Północ", a sygnowanym właśnie przez Haldera:

„Zgodnie z dyrektywą Naczelnego Dowództwa rozkazuje się, co następuje:

1. Miasto Leningrad ma zostać odcięte, a pierścień oblężenia zaciśnięty tak mocno, jak to tylko możliwe, tak by oszczędzić naszym wojskom niepotrzebnych wysiłków. Miastu nie zostaną przedstawione żadne warunki poddania się.

2. W celu wyeliminowania miasta jako ostatniego ośrodka oporu czerwonych nad *Ostsee* [Bałtykiem] tak szybko, jak to tylko możliwe,

jednak bez wielkiej daniny naszej krwi, nie zostanie na nie poprowadzony atak piechoty (...). Zniszczenie wodociągów, magazynów i elektrowni pozbawi miasto niezbędnych do funkcjonowania elementów i możliwości obronnych. Wszystkie obiekty wojskowe i siły obronne wroga mają zostać zniszczone przez ostrzeliwanie i zrzuty bomb zapalających. Cywilom należy uniemożliwić obchodzenie oblegających wojsk, w razie konieczności przy użyciu siły zbrojnej"[19].

Troska o to, by oszczędzać niemiecką piechotę, była jak najbardziej autentyczna. Walki uliczne w Smoleńsku drogo kosztowały Grupę Armii „Środek", a dopiero co zdobyty Kijów natychmiast pogrążył się w chaosie, kiedy NKWD zaczęła zdalnie detonować dziesiątki dużych bomb rozmieszczonych w głównych budynkach i hotelach w całym mieście. W wybuchach tych zginęło między innymi kilku wysokich rangą niemieckich oficerów. Nuta frustracji zaczynała też wkradać się w „mowy stołowe" Hitlera, wygłaszane przezeń podczas posiłków. Oprócz zwyczajowego fantazjowania („Na Wschodzie wszyscy Niemcy będą podróżowali pierwszą albo drugą klasą, by odróżniać się od miejscowej ludności. Pierwsza klasa będzie miała po trzy siedzenia z każdej strony, a druga – po cztery"), prelekcji podróżniczych prawdziwego światowca („Kopuła kościoła Inwalidów zrobiła na mnie wielkie wrażenie, ale już Panteon okazał się okropnym rozczarowaniem") oraz wymądrzania się na wszelkie możliwe tematy (drogi rzymskie a drogi inkaskie, wzory i ceny umywalek czy maszyn do pisania, zdrowotne właściwości polenty) – zaczęły się w nich teraz pojawiać także narzekania na upór radzieckiej obrony. „Każdy [radziecki] dowódca oddziału, który nie wykona rozkazów – zrzędził wódz podczas obiadu 25 września – ryzykuje, że odrąbią mu głowę. Woli więc zostać zgnieciony przez nas (...). Zapomnieliśmy już, z jaką zażartą nieustępliwością Rosjanie bili się z nami podczas pierwszej wojny światowej"[20].

Decyzja o tym, by nie szturmować Leningradu, odzwierciedlała także szerzej niepewność nazistowskich przywódców co do dalszych losów obu rosyjskich stolic, po tym, jak już wpadną one w ich ręce. Niepewność ta być może wyrastała podświadomie z pamięci o fiasku wojsk Napoleona pod Moskwą[21]. Początkowa koncepcja przewidywała

zwykłe starcie obu miast z powierzchni ziemi, zgodnie z tysiącletnią wizją Hitlera o lśniącej czystością, zbudowanej od nowa Wschodniej Rzeszy. „Jest stanowczą decyzją Führera – zanotował Halder po jednej z narad na początku lipca – by zrównać Moskwę i Leningrad z ziemią i uczynić je niezdatnymi do zamieszkania". Taki krok nie tylko „uwolniłby nas od konieczności żywienia ich mieszkańców podczas zimy", ale stanowiłby druzgocący cios dla rosyjskiej psychiki, „pozbawiając źródeł nie tylko bolszewizm, ale także moskiewski nacjonalizm"[22]. W miarę jak Grupa Armii „Północ" coraz mocniej zaciskała pierścień wokół Leningradu, sztabowcy w Naczelnym Dowództwie zaczęli rozważać – z zadziwiającą pobieżnością, ale także niezwykłym bestialstwem – co w praktyce ma się stać z cywilami. Dyskusja planistyczna z 21 września brała pod uwagę istniejące w tym względzie możliwości:

„1. Okupować miasto, to znaczy postępować tak, jak to robiliśmy w odniesieniu do innych dużych miast rosyjskich.

Odrzucono, ponieważ wtedy to my bylibyśmy odpowiedzialni za dostarczanie żywności.

2. Szczelnie odizolować miasto, jeśli to możliwe z zastosowaniem ogrodzenia pod napięciem pilnowanego przez strażników z karabinami maszynowymi.

Wady: z około dwóch milionów ludzi w możliwym do przewidzenia czasie umrą najsłabsi. Silniejsi zapewnią sobie zapasy żywności i przeżyją. Niebezpieczeństwo epidemii przenoszącej się na nasz front. Istnieje też wątpliwość, czy od naszych żołnierzy można wymagać, żeby strzelali do kobiet i dzieci próbujących się wydostać.

3. Kobiety, dzieci i ludzie starzy zabrani przez luki w pierścieniu okrążenia. Reszta zostawiona na pastwę głodu:

a) Wydostanie ich przez rzekę Wołchow za linią wroga jest teoretycznie dobrym rozwiązaniem, ale w praktyce trudno wykonalnym. Kto ma utrzymać setki tysięcy ludzi razem i odpowiednio nimi pokierować? Gdzie jest rosyjski front?

b) Zamiast prowadzenia ich na tyły rosyjskiego frontu pozwólmy im się rozproszyć po terenie [to jest terytorium okupowanym przez

Niemców].

W każdym z tych przypadków w dalszym ciągu istnieje ta niedogodność, że pozostała część głodującej ludności może być źródłem epidemii, a najsilniejsi są w stanie utrzymywać miasto przez długi czas.

4. Kiedy wojska fińskie posuną się naprzód i miasto zostanie całkowicie odizolowane, wycofujemy się za Newę i pozostawiamy obszar na północ od tego sektora Finom. Finowie nieoficjalnie dali do zrozumienia, że chcieliby mieć Newę jako swoją granicę państwową, ale Leningrad musi upaść. Dobre rozwiązanie w kategoriach politycznych. Kwestia ludności Leningradu nie zostanie jednak rozwiązana przez Finów. Musimy to zrobić my".

Ostatecznie zebranie zakończyło się przyjęciem nieprzekonującego trzyetapowego scenariusza. Najpierw rząd niemiecki miał „jasno i wyraźnie uświadomić światu", że skoro Stalin traktuje Leningrad jako cel wojskowy, Niemcy są zmuszone uczynić tak samo. Ponadto ogłoszono również, że w razie gdyby Leningrad się poddał, „umożliwiłoby to humanitarnemu Rooseveltowi pod nadzorem Czerwonego Krzyża" przetransportowanie cywilów „na jego własny kontynent, z gwarancją swobodnego ruchu okrętów. (Taka oferta, ma się rozumieć, i tak nie może być przyjęta – służy tylko celom propagandowym)". W tym czasie miasto miało być osłabiane ostrzeliwaniami, następnie zaś otworzono by luki w oblężeniu, żeby wypuścić cywilów. Pozostali mieszkańcy Leningradu mieli być „zostawieni sami sobie na okres zimy. Gdzieś na początku przyszłego roku wchodzimy do miasta (jeśli pierwsi uczynią to Finowie, nie protestujemy), prowadzimy pozostałych przy życiu w głąb Rosji albo do niewoli, ścieramy Leningrad z powierzchni ziemi, wyburzając budynki, i przekazujemy obszar na północ od Newy Finom". Sami planiści przyznawali, że scenariusz ten nie był do końca satysfakcjonujący, a Grupa Armii „Północ" wciąż potrzebowała rozkazów, które mogłyby „rzeczywiście zostać wdrożone, kiedy nadejdzie odpowiedni czas"[23].

Niemieccy dowódcy marynarki wojennej mieli podobne wątpliwości, choć z powodów raczej praktycznych i propagandowych niż humanitarnych. Pisząc do swojego admirała 22 września, a więc nazajutrz po owej pobieżnej naradzie planistycznej w Naczelnym

Dowództwie, pewien oficer łącznikowy przydzielony do Grupy Armii „Północ" stwierdził, że osobiście wątpi w to, by Leningrad mógł zostać zniszczony bez wysłania do miasta choćby jednego niemieckiego żołnierza:

„Cztery czy pięć milionów ludzi [*sic!*] nie pozwoli się dać zabić tak łatwo. Widziałem to na własne oczy w Kownie, gdzie Łotysze zastrzelili sześć tysięcy Żydów, wśród nich kobiety i dzieci. Nawet naród tak brutalny jak Łotysze po jakimś czasie nie był w stanie dłużej znieść widoku tych morderstw. Cała ta akcja nie przyniosła żadnych rezultatów. O ileż trudniejsze będzie to w mieście zamieszkanym przez miliony.

Poza tym rozpętałoby to, moim zdaniem, światową falę oburzenia, na którą politycznie nie możemy sobie pozwolić".

Zrównanie z ziemią Leningradu, kontynuował swój wywód oficer, oznaczało też pozbawienie Kriegsmarine możliwości wykorzystania jego stoczni, które mogłyby się w przyszłości przydać, zważywszy na to, że definitywna rozprawa z Wielką Brytanią i Ameryką była wciąż przed Niemcami. „Ostatecznie Leningrad może przecież zniknąć na późniejszym etapie, kiedy już wygramy wojnę na morzu". Podobnie jak wojskowi planiści on także wykoncypował całkowicie nierealistyczną sugestię zaapelowania do aliantów o wywiezienie cywilów na okrętach. „Jeśli Anglia i USA odmówią, właśnie na nich w oczach światowej opinii spadnie wina za zgony tych ludzi. Jeśli zaś się zgodzą, uwolnią nas od problemu, a przy tym będzie to dla nich oznaczało konieczność poświęcenia całkiem sporej ładowności"[24].

Hitler – „najtwardszy człowiek w Europie", jak sam siebie lubił określać – odczuwał wyłącznie irytację wobec wszelkiego „sentymentalizmu". Podczas kolacji 25 września oświadczył wszem wobec: „Przypuszczam, że istnieją ludzie zachodzący w głowę i próbujący znaleźć odpowiedź na pytanie: «Jak Führer może zniszczyć miasto takie jak Sankt Petersburg?». Najwyraźniej ja należę z natury do zupełnie innego gatunku!"[25]. Swoją determinację i brak jakiegokolwiek wahania potwierdził dobitnie w wydanej cztery dni później niesławnej dyrektywie dla Grupy Armii „Północ":

„Temat: przyszłość miasta Petersburga

Führer jest zdeterminowany, by zetrzeć miasto Petersburg z powierzchni ziemi. Po pokonaniu Związku Radzieckiego nie będzie żadnego pożytku z dalszego istnienia tego wielkiego ośrodka miejskiego. Także Finlandia nie wykazała zainteresowania utrzymywaniem dużego miasta dokładnie na swojej nowej granicy.

Zamierza się okrążyć miasto i zrównać je z ziemią za pomocą ostrzałów artyleryjskich z użyciem pocisków wszelkiego kalibru, jak również przez ciągłe bombardowania z powietrza.

Prośby o negocjacje warunków poddania miasta napływające po jego okrążeniu mają być odrzucane, jako że problem przemieszczenia i wyżywienia mieszkańców nie może i nie powinien być rozwiązany przez nas. W tej wojnie o podstawy naszego istnienia nie możemy być zainteresowani utrzymywaniem choćby części tej bardzo wielkiej populacji miejskiej”[26].

Formalne rozkazy, czyli niezgoda na poddanie miasta, wycieńczenie go bombardowaniami i ogniem artyleryjskim, strzelanie do cywilów, jeśli tylko zbliżą się do linii niemieckich, zostały wydane przez Jodla 7 października. Wcale nie zamknęły one jednak dyskusji. Dowódca Grupy Armii „Północ” von Leeb zapisał w dzienniku: „Dziś dotarła decyzja OKW [Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych] dotycząca Leningradu, zgodnie z którą przyjęcie kapitulacji nie wchodzi w rachubę. Wysłaliśmy pismo do OKH [Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych] z pytaniem, czy w takim razie wojska rosyjskie można brać do niewoli. Jeśli nie będzie takiej opcji, Rosjanie stawią nam desperacki opór, co będzie wymagać z naszej strony daniny krwi, i to prawdopodobnie bardzo dużej”[27].

Oficerowie w dalszym ciągu martwili się też o praktyczny aspekt egzekwowania od swoich ludzi obowiązku strzelania do uciekających cywilów. Powracając z inspekcji linii frontu 24 października, szef sztabu von Leeba przekazał mu opinię jednego z dowódców dywizji, z której wynikało, że jego ludzie wykonają taki rozkaz jednorazowo, ale w przypadku powtarzających się ucieczek „wątpił on, czy utrzymają nerwy na wodzy i będą w stanie raz po raz strzelać do kobiet, dzieci

i bezbronnych starych ludzi". Choć „w pełni rozumiano, że miliony ludzi okrążonych w Leningradzie nie mogą być przez nas żywione bez negatywnych konsekwencji dla naszego kraju", takie rozkazy mogłyby sprawić, że „niemiecki żołnierz straciłby wewnętrzną równowagę, tak iż nawet po wojnie nie potrafiłby się powstrzymać od aktów przemocy". Jak zauważał dalej, już widok tysięcy uchodźców zmierzających na południe przez Gatczynę i Psków oddziaływał demoralizująco na niemieckie wojska naprawiające drogi w tym rejonie, jako że „nie sposób ustalić ani dokąd oni pójdą, ani w jaki sposób się wyżywią. Można odnieść wrażenie, że prędzej czy później poumierają z głodu". W odpowiedzi naczelny dowódca von Brauchitsch zasugerował, że żołnierzom należy oszczędzić napięcia psychicznego związanego z koniecznością zabijania kobiet i dzieci z bliska, osiągając ten cel na odległość, z wykorzystaniem pól minowych i dalekosiężnej artylerii. Kiedy już oddziały Armii Czerwonej wokół Leningradu się poddadzą, jednostki niemieckie mogłyby na jakiś czas zostać przeniesione do koszar. „Nawet wówczas duża część cywilnej populacji zginie, ale przynajmniej nie na naszych oczach"[28].

Tak czy owak wszystkie te problemy pozostały w sferze hipotez. Włodarze Leningradu nigdy nie próbowali negocjować warunków poddania miasta, a zwykli leningradczycy nie podejmowali prób masowych ucieczek. Także Niemcy nie trzymali się swojej, dość zagmatwanej zresztą, polityki. W niemieckich liniach oblężenia nigdy nie otworzono żadnych luk, przez które chorzy, ocaleli z klęski głodu mieszkańcy mogliby uciec do nieokupowanej części Rosji; wręcz przeciwnie – barki i ciężarówki transportujące ewakuowanych przez Ładogę były wielokrotnie atakowane. Przez kolejne trzy zimy Wehrmacht realizował klasyczną operację oblężniczą, starając się w miarę możliwości nie dopuścić do jakichkolwiek przepływów ludności i towarów do i z miasta, a także wykorzystując bombardowania z powietrza i lądu do niszczenia zapasów żywności, zakładów użyteczności publicznej, fabryk, szpitali, szkół i domów mieszkalnych (jak wyjaśniała dyrektywa führera wydana tuż przed rozpoczęciem pierwszych nalotów: „Szczególnie ważne jest, by zniszczyć zaopatrzenie w wodę")[29]. Należy zatem podkreślić, że

zjawisko masowego głodu nie było wcale nieprzewidzianym czy też przykrym następstwem, ale koniecznym skutkiem ubocznym tej strategii, jej centralnym założeniem, które rutynowo przywoływano z pełną aprobatą w dokumentach planistycznych i które – kiedy już się zmaterializowało – z żywym zainteresowaniem śledził i analizował niemiecki wywiad wojskowy.

Zbrodnię tę, do czego sami Niemcy zaczęli przyznawać się z zażenowaniem dopiero niedawno, należy przypisać jednak nie nazistom, lecz niemieckiej armii. Goebbels i Himmler entuzjastycznie nawoływali wprawdzie do eksterminacji Słowian, ale nie mieli żadnego większego wkładu w podejmowanie decyzji dotyczących Leningradu, które powstawały w głowach Hitlera, Haldera, von Brauchitscha, Jodla i von Leeba. Choć członkowie Naczelnego Dowództwa już po kilku tygodniach od inwazji na Związek Radziecki zaczęli zdecydowanie kwestionować linię Hitlera, ich niezgoda wyrastała wyłącznie z wąsko pojmowanych względów praktycznych o charakterze czysto wojskowym. Nie wydaje się, by skrupuły moralne pchnęły choć jednego wyższego rangą oficera do podważania tej polityki, która – prowadzona z pełną świadomością jej konsekwencji – doprowadziła bezpośrednio do powolnej i bolesnej śmierci głodowej około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy nieuczestniczących w walkach cywilów, z czego dużą część stanowiły kobiety i dzieci.

Armia niezupełnie zresztą odpokutowała za swe działania już po wojnie. Jodl, sygnatariusz formalnego rozkazu wprowadzającego oblężenie Leningradu, stanął przed międzynarodowym trybunałem w Norymberdze, który uznał go za winnego zbrodni wojennych i skazał na śmierć przez powieszenie. Von Leeb, dla odróżnienia, wywinął się zadziwiająco niskim kosztem. Już w grudniu 1941 roku odszedł ze służby pod pretekstem choroby, a w Norymberdze skazano go zaledwie na trzy lata więzienia. Jego następca na stanowisku dowódcy Grupy Armii „Północ", Georg von Küchler, choć otrzymał wyrok dwudziestu lat więzienia, został zwolniony ze względu na wiek i stan zdrowia po zaledwie ośmiu. Na bolesną ironię zakrawają natomiast losy Haldera i Ericha Höpnera, dowódcy 4 Grupy Pancernej Grupy Armii „Północ". Höpner, choć był fanatycznym rasistą, chwalonym przez SS za

„szczególnie bliską i serdeczną" współpracę przy wymordowaniu dziesiątek tysięcy Żydów bałtyckich[30], dał się przekonać w obliczu klęski do przystąpienia do spisku na życie Hitlera. Kiedy zamach się nie udał, został aresztowany i stracony wraz z odważnymi i prawymi von Stauffenbergiem i von Trottem. Halder, choć nie uczestniczył w spisku na rozkaz Hitlera, także został w jego konsekwencji uwięziony, a później uwolniony przez Amerykanów. Oszczędzono mu procesu w Norymberdze w zamian za złożenie zeznań przeciwko byłym kolegom. Następnych czternaście lat spędził na ciepłej posadzie szefa sekcji niemieckiej wydziału historycznego armii amerykańskiej, w której to roli wydatnie pomagał upowszechniać zimnowojenny mit o „czystym Wehrmachcie", nieświadomym okropieństw Holokaustu i zmuszanym do prowadzenia wojny przez oszalałego dyktatora. W roku 1961, kiedy cały wydział rozwiązano, prezydent Kennedy nagrodził go medalem Meritorious Civilian Service (Za zasługi w służbie cywilnej) – najwyższym honorowym odznaczeniem, jakie może zdobyć nie-Amerykanin za służbę dla rządu USA. Przedmowa wydawcy do klasycznego amerykańskiego przekładu dzienników Haldera, publikowanych pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, kończy się wielce znaczącymi słowami: „Był wybitnym żołnierzem"[31].

7. „DO OSTATNIEGO TCHU”

Dnia 8 września, pięć minut przed siódmą wieczorem, inżynier Dmitrij Łazariew, specjalista z Instytutu Optycznego, szedł ulicą Sadową, gdy wokół rozległa się zwykła kakofonia ulicznych, zakładowych i okrętowych syren, obwieszczających alarm przeciwlotniczy. Stojąc wraz z innymi przechodniami pod arkadami, Łazariew usłyszał dochodzący znad głowy warkot silników. Był już przyzwyczajony do pojawiających się wysoko na niebie srebrzystych plamek niemieckich samolotów zwiadowczych, ale tym razem widok był zupełnie inny: około dwudziestu albo i więcej bombowców z zadartymi dziobami płynęło wolno nad dachami miasta w zdyscyplinowanej i zupełnie nieprzypadkowej formacji. Gdzieś niedaleko odezwało się działo przeciwlotnicze. Nagle pas nieba widoczny między dachami domów wypełnił się połyskującymi pociskami smugowymi i szybko rozwiewającymi się kłębami białego dymu. Kiedy alarm odwołano, Łazariew udał się w dalszą drogę do mieszkania krewnych nad Fontanką. Tam zastał całą rodzinę zgromadzoną na balkonie i spoglądającą na południe. Za zakrętem rzeki unosił się ogromny kulisty kłąb dymu, miejscami czarny, a miejscami oślepiająco biały. Stopniowo rozszerzał się, wypełniając całe niebo, a przy tym brązowiejąc w poświacie zachodzącego słońca. „Ten dym był tak niepodobny do innych, że przez dłuższy czas nie docierało do mnie, że jest to pożar… Był to niezwykły pokaz oszałamiającego piękna”[1].

Wiera Inbier i jej mąż wybrali się, mimo niekończących się tego dnia alarmów przeciwlotniczych, do Teatru Komedii Muzycznej na placu Sztuk, by zobaczyć operetkę *Zemsta nietoperza* Straussa. Zaprosili też zastępcę męża w szpitalu Erismana, w ocenie Inbier człowieka bystrego i przenikliwego, a przy tym mówiącego z zabawnym wiejskim akcentem. Podczas przerwy w przedstawieniu rozległ się kolejny alarm. „W foyer pojawił się dyrektor teatru, który miał nam do powiedzenia

kilka słów – wygłosił je tonem tak lekkim, jakby ogłaszał zwykłą zmianę w obsadzie. Poprosił nas, byśmy stanęli możliwie blisko ścian, gdyż – i tu wskazał kopułę – nad naszymi głowami nie było całkiem bezpiecznie". Po czterdziestu minutach usłyszeliśmy sygnał odwołujący alarm i operetkę wznowiono, choć w szybszym tempie i z pominięciem mniej ważnych partii. Wychodząc z teatru, Inbier i jej mąż wciąż nie zdawali sobie sprawy, że ten ostatni alarm był czymś znacznie poważniejszym niż dotychczasowe fałszywe alarmy, do których zdążyli już przywyknąć. Ku ich zaskoczeniu czekał na nich kierowca, choć wcześniej wcale go o to nie prosili. „Samochód zawrócił na placu i wtedy nagle zobaczyliśmy wielkie słupy czarnego, kłębiącego się dymu, oświetlanego od dołu płomieniami. Na niebie rozpętało się prawdziwe piekło. Kowrow odwrócił się i powiedział cicho: «Niemcy zrzucili bomby i podpalili magazyny z jedzeniem». W ogniu stały zbiorniki z ropą, mleczarnia, a także trzydzieści osiem drewnianych magazynów – znanych jako składy Badajewa, od nazwiska ich właściciela z okresu sprzed rewolucji – niedaleko Dworca Warszawskiego, w których przechowywano znaczącą część zapasów żywności dla całego miasta"[2].

Podczas tego pierwszego dużego nalotu zrzucano bomby zapalające – wąskie cylindry z kołnierzem, które zaczynały się tlić w momencie uderzenia, chyba że oddziały obrony cywilnej rozmieszczone na dachach budynków zdążyły je zagasić piaskiem[3].

Drugiego nalotu, przeprowadzonego o godzinie 22.34 tego samego wieczoru, nikt już nie mógł wziąć za ćwiczenia: zostało wówczas zrzuconych 48 bomb burzących o ciężarze od 250 do 500 kilogramów, co spowodowało śmierć 24 ludzi, głównie w rejonach Instytutu Smolnego i Dworca Fińskiego. Podczas tego nalotu ucierpiało również miejskie zoo, znajdujące się obok Twierdzy Pietropawłowskiej. Zginął jeden z członków personelu, a także jedno dziecko i siedemdziesiąt zwierząt, w tym słynny słoń Betty, który przybył do Petersburga z Hamburga sześć lat przed rewolucją październikową. Jak zanotował jeden z pracowników zoo, małpy doznały takiego urazu, że „przez kilka następnych dni tylko siedziały w milczeniu, jakby otępiałe, nie reagując nawet na kolejne spadające wszędzie pociski"[4].

Olga Bergholc przeczekała nalot w korytarzu swojego mieszkania. „Przez całe dwie godziny alarmu przeciwlotniczego trzęsły mi się nogi, momentami zamierało serce, choć na zewnątrz wydawałam się spokojna. Świadomie nie bałam się niczego, a jednak nogi drżały". Kiedy tylko nalot się skończył, pobiegła do budynku rozgłośni radiowej, by spotkać się ze swoim kolegą z pracy i kochankiem Jurijem Makogonienką. Jak sama pisała w pamiętniku, kochała wprawdzie swojego niepełnosprawnego męża i wiedziała, że romans z Jurijem był tylko jej „kaprysem", ale mimo to pragnęła „jeszcze jednego triumfu (...). Niech go ujrzę spragnionego, oszalałego, szczęśliwego (...), zanim nadejdzie świszcząca śmierć". Pomimo wciąż targającego nią wewnętrznego konfliktu między miłością do ojczyzny a nienawiścią do rządzących Bergholc chciała też nadal pracować: „Jutro muszę napisać dobry wstępniak. Muszę go napisać od serca, wkładając weń resztkę mojej wiary... Obecnie trudno mi przelać myśli na papier, choć długopis porusza się w mej dłoni, a myśli tłuką się po głowie"[5].

Bombardowania Leningradu trwały, rzecz jasna z przerwami, przez cały czas oblężenia. Najcięższe były właśnie w pierwszych tygodniach, potem ich intensywność spadła, najpierw wskutek oddelegowania 8 Korpusu Powietrznego do Moskwy, a następnie z powodu nastania ciężkich zimowych mrozów. Wraz z nadejściem wiosny kolejnego roku stały się znowu intensywniejsze. Łącznie, według źródeł radzieckich, na miasto zrzucono w ciągu wojny około 69 tysięcy bomb zapalających i 4250 bomb burzących. Ich łączny tonaż był wprawdzie daleki od tego, który zrzucono na Londyn, należy jednak pamiętać, że Leningrad po pierwsze zajmował znacznie mniejszą powierzchnię, po drugie zaś groziły mu nie tylko bombardowania z powietrza, ale także ciągły i stale wzmacniany ostrzał artyleryjski, przy czym właśnie to połączenie nocnych bombardowań z ostrzeliwaniem za dnia bezustannie szarpało mieszkańcom nerwy, odbierało sen, i wreszcie życie. W sumie przez cały okres wojny w Leningradzie zginęło od ognia nieprzyjacielskiego 16 747 cywilów, a ponad 33 tysiące kolejnych zostało rannych[6].

Dla dzieci i młodzieży naloty wiązały się początkowo ze sporą dawką podekscytowania. Igor Kruglakow – ośmiolatek, który pierwszego dnia inwazji udał się wraz z ojcem i wujkami do fotografa, by zrobić

pamiątkowe zdjęcie – z zachwytem patrzył, jak bomby zapalające zsuwają się w dół mansardowego dachu Muzeum Suworowa, wślizgiwał się bez biletu do miejscowego kina, gubiąc się w tłumie, rywalizował z kolegami o to, który z nich znajdzie więcej odłamków bomb (przy czym obowiązywała reguła „co zobaczę, to moje", nawet gdy odłamek był zbyt gorący, by go podnieść), i był zachwycony, gdy rodzina przeniosła się do bezpieczniejszego mieszkania na parterze w innym budynku, gdyż oznaczało to, że mógł spędzać czas ze świniami i cielakami, które mieszkający tam uciekinierzy ze wsi trzymali w prowizorycznej zagrodzie na podwórzu. Nastolatki podziwiające pożary podczas tych przerażających, ale i pięknych nocy przeżywały też swoje pierwsze młodzieńcze uniesienia miłosne. „Raz podczas gry we flirt – napisała Klara Rachman, pełniąca wówczas wartę w swojej szkole – Wowa napisał do mnie: «A co, gdybym ci powiedział, że cię kocham?». Myślałam, że to nic takiego, ale on wciąż wypisywał do mnie podobne rzeczy. Zdaję sobie sprawę, że w tych przerażających czasach niemądrze byłoby zaczynać coś takiego, ale to wszystko z jego inicjatywy (...). Wieczorem odprowadził mnie do domu. Spytałam go, czy to, co do mnie napisał, jest prawdą. Odpowiedział, że tak"[7].

Natomiast dla profesora Władimira Garszyna (prywatnie kochanka Anny Achmatowej), naczelnego patologa w szpitalu Erismana, w którym pracował mąż Wiery Inbier, naloty oznaczały po prostu inny rodzaj trupów:

„Bezkształtne kawałki ludzkiego ciała, wymieszane ze strzępami ubrań i ceglanym pyłem, a wszystko to wysmarowane treścią jelit. Wciąż zjawiali się krewni, niektórzy z twarzami bez wyrazu, jak maski, inni wrzeszczący i pokrzykujący. Ciężko było ich uspokoić i sprawić, by odpowiadali na pytania, ale nie mieliśmy wyjścia, bo trzeba było wystawiać kolejne akty zgonu i podejmować decyzje, w jaki sposób pochować zmarłych. Nigdy nie będę w stanie zapomnieć tych godzin i dni spędzanych w kostnicy zaraz po nalotach.

I nie chodzi o same trupy – tych widziałem całe mnóstwo przez dziesięciolecia mojej pracy – ale właśnie o krewnych... Do pewnego stopnia przywykłem do brania na siebie części ich smutku i przerażenia, ale to, co działo się wtedy, przekraczało wszelkie granice.

Pod koniec dnia moja dusza była jakby sparaliżowana; łapałem się na tym, że przywdziewam wciąż tę samą współczującą maskę i używam tych samych stałych formuł słownych. Po takich dniach czujesz się kompletnie pusty”[8].

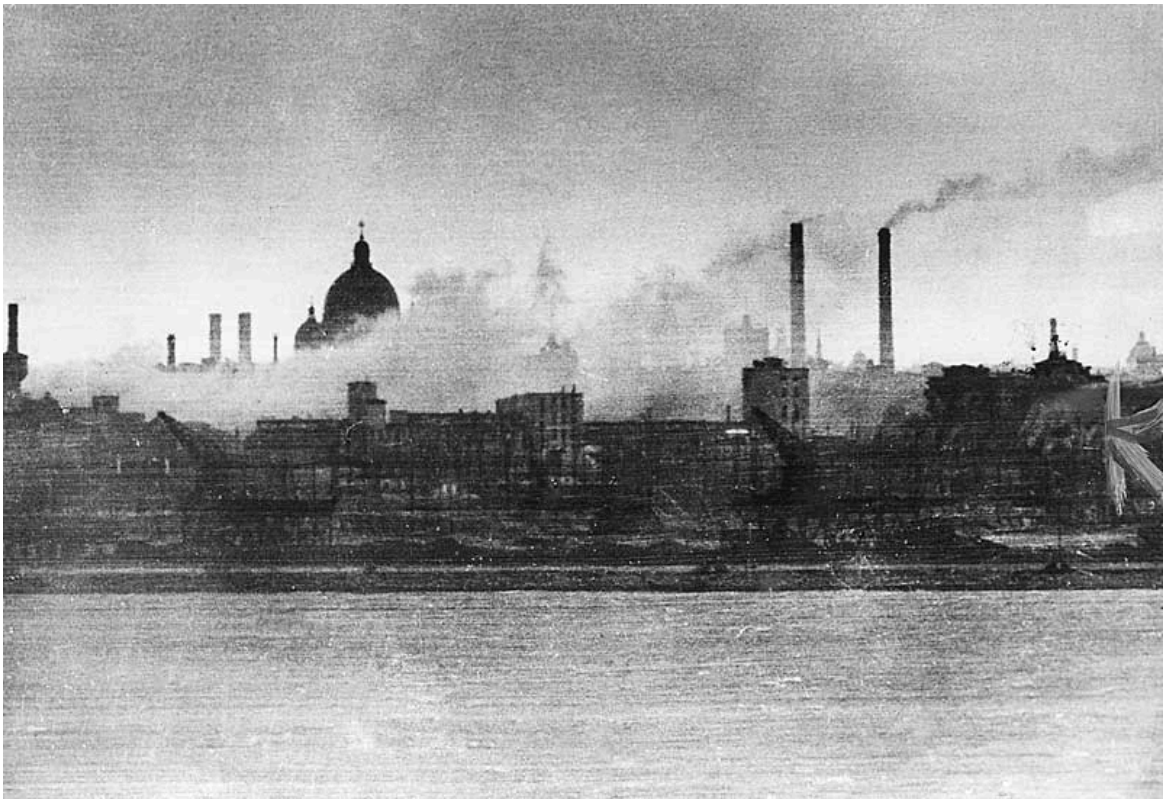

Płonące budynki przemysłowe nad Newą. W tle widoczne wieże Ławry Aleksandra Newskiego, wrzesień 1941 roku.

Leningrad nie posiadał własnej sieci metra, a władze nigdy nie wpadły na pomysł zapewnienia mieszkańcom odpowiedników produkowanych na skalę masową i łatwych do złożenia schronów Morrisona i Andersona, dzięki którym swoje domy wzmacniali podczas nalotów londyńczycy. Zamiast tego leningradczycy kryli się w znajdujących się w ich blokach kotłowniach albo na klatkach schodowych bądź też w prowizorycznych, podobnych do okopów schronach, kopanych w publicznych parkach i na trawnikach. Szybko przywykli do bezustannie przerywających ich noce i dni alarmów, do pozostawiania niedopitych filiżanek herbaty, do pospiesznego wdziewania płaszczy i kaloszy, przysypiania na ławkach i materacach

w ciemnych, zatłoczonych piwnicach („szczury śmigały po rurach niczym linoskoczkowie") i ponownego wchodzenia na górę do wyziębionych mieszkań. Do głębiej osadzonych piwnic ledwo dochodził dźwięk samolotów i dział przeciwlotniczych (tak było choćby w przypadku Ermitażu, choć powątpiewano, czy łuki Rastrellego wytrzymają), ale w większości przypadków leningradczycy kulili się, słysząc narastający gwizd każdej nadlatującej bomby („aż chciałoby się wcisnąć pod ziemię"), głuchy odgłos wybuchu zawsze towarzyszący uderzeniu i eksplozji, a wreszcie następujący chwilę potem przeciągły łoskot zawalających się budynków, brzęk tłuczonych szyb i krzyki ludzi. „Każdy myślał: «Uderzy we mnie», i umierał zawczasu – napisała Bergholc. – Umarłeś – a bomba spadła obok. Ale za chwilę znów zaczyna wyć i znów umierasz, i znów łapiesz oddech – zmartwychwstajesz, by umierać na nowo. Ile razy jeszcze? Zabijcie od razu, a nie po troszeczku, co parę godzin"[9].

Poranna droga do pracy – dla tych, którzy nie przeprowadzili się na stałe do swoich fabryk czy biur – zamieniała się w zapis zniszczeń albo uszkodzeń znajomych miejsc. Rozpołowione przez bomby bloki przypominały dekoracje sceniczne albo domy dla lalek, a ich banalne wyposażenie – kanapa, tapeta w kwiatki, płaszcz wiszący na wieszaku – szokowały brutalnym odsłonięciem. Zawsze analizująca wszystko Lidia Ginzburg napisała:

„Ruiny domów demonstrują czasem systemy pięter, cienkie warstwy sufitów i podłóg. Człowiek ze zdziwieniem zaczyna rozumieć, że siedząc w swoim pokoju, jest zawieszony w powietrzu, że nad jego głową i pod jego nogami tak samo wiszą inni ludzie. Oczywiście, wiedział o tym, słyszy przecież, jak na górze przesuwają meble, a nawet rąbią drwa. Ale wszystko to niewyobrażalna abstrakcja… Teraz ujrzał tę prawdę na własne oczy, aż dostał zawrotu głowy. Są domy, z których zostały jedynie fasady… przez dziury po oknach na górnych piętrach widać niebo. Są domy, zwłaszcza te mniejsze, z porozdzieranymi dachami, z których zwaliły się belki i deski. Wiszą krzywo i wydaje się, jakby ciągle spadały, przypominając wodospad"[10].

Wiera Inbier i jej mąż przeprowadzili się do szpitala Erismana, zajmując tam niewielki pokoik z dwiema żelaznymi pryczami, okrągłym

piecykiem, biurkiem, półką z książkami i ryciną Jennera wstrzykującego pierwszą szczepionkę przeciwko ospie. Widząc za oknami stare topole, przekonywali sami siebie, że będą one dla nich stanowić osłonę przed wybuchami. O ile dotychczas Inbier pozostawała nieco zdystansowana wobec wydarzeń w Leningradzie – jej myśli wciąż błądziły wokół krewnych i przyjaciół pozostawionych w Moskwie – o tyle przeprowadzka sprawiła, że znalazła się w samym środku szpitalnego życia, które odtąd przez cały okres oblężenia starała się wiernie opisywać w pamiętniku. 19 września, w dniu najcięższych dziennych bombardowań (280 samolotów zrzuciło wówczas 528 bomb burzących i około dwóch tysięcy bomb zapalających) udała się z wizytą do starej przyjaciółki z Odessy. Zastała ją uprzątającą podłogę z tynku, który poodpadał ze ścian i z sufitu, w sąsiednim budynku zaś zobaczyła martwych i rannych wynoszonych na zewnątrz. Nic tu nie było takie jak w zapamiętanym przez nią dzieciństwie, spędzonym jeszcze w czasach przed rewolucją. „Pamiętam – napisała Inbier następnego dnia – jaka piękna, wesoła i elegancka była jesienią 1913 roku w Paryżu. Wybraliśmy się całym towarzystwem na spacer: jeździliśmy na karuzeli, przygrywała muzyka. Potem usiedliśmy rzędem na murku, jedliśmy kasztany, patrząc na Paryż w opadających liściach". Tego dnia bomby trafiły w Gostinyj Dwor (najstarszy dom towarowy z XVIII wieku na Newskim Prospekcie), zabijając dziewięćdziesiąt osiem osób, a także w cztery szpitale oraz targowisko w Nowej Dieriewni, tradycyjnej dzielnicy robotniczej pełnej składów drewna i szkółek leśnych, położonej na północnym brzegu ujścia Newy. Inbier widziała, jak przywożą pięćdziesięciu rannych, „w tym dziewczynkę w wieku około siedmiu lat. Dziewczynka ciągle płakała, że opaska uciskowa na nodze sprawia jej ból. Ludzie ją pocieszali, mówiąc, że ból wkrótce minie. Potem podano jej znieczulenie i amputowano całą nogę. Kiedy się obudziła, powiedziała tylko: «Teraz dobrze, wcale nie boli». Nie miała pojęcia, że właśnie straciła nogę".

Dom zniszczony podczas bombardowań Leningradu, wrzesień 1941 roku.

Cztery dni później, pięknego jesiennego poranka, o wpół do jedenastej, olbrzymia bomba, która na szczęście nie wybuchła, spadła w ogrodach samego szpitala Erismana, zagłębiając się w ziemi tuż przy fontannie na głównym dziedzińcu szpitala. „Co najdziwniejsze – napisała Inbier – nie odczułam niemal uderzenia. W pierwszej chwili wydało mi się, że gdzieś daleko zatrzasnęły się ciężkie drzwi". Rozbrojenie bomby zajęło saperom aż dziesięć dni, a cały ten pełen napięcia czas Inbier spędziła, czytając rannym żołnierzom:

„Kilka dni temu siedziałam na stołku pośrodku sali szpitalnej i czytałam opowiadanie Gorkiego. Nagle zawyły syreny i zenitówki pokryły pociskami całe niebo. Wybuchła bomba, zadźwięczały szyby.

Siedziałam na stołku bez oparcia: nie miałam nawet do czego przylgnąć. Ze wszystkich stron okna, okna... Ranni, ludzie bezradni, mimo woli patrzą na mnie – zdrowego człowieka: co będę robić.

Wytężyłam całą swoją wolę; zaczekałam, aż ucichnie łoskot; i czytałam w dalszym ciągu, pilnując się tylko, żeby głos mi nie drgnął. Jednakże po powrocie do domu, po przeżytym strachu siły opuściły mnie od razu tak, że nawet musiałam się na pół godzinki położyć”[11].

W odczuciu wielu mieszkańców ostrzał artyleryjski był jeszcze gorszy od bombardowań, gdyż ostrzału nie poprzedzał żaden alarm. Od 4 września do końca roku 1941 ciężka artyleria Wehrmachtu ostrzeliwała Leningrad 272 razy, nawet do osiemnastu godzin bez przerwy, zasypując miasto łącznie 13 tysiącami pocisków. Największe straty ponosiły fabryki leżące na południe od miasta, w tym ogromne Zakłady Kirowa oraz Elektrosiła, położone tuż za linią frontu, przy końcu linii tramwajowej numer 9. Do końca listopada budynki Elektrosiły trafiono 73 razy. 54 tysiące mieszkańców oraz 28 fabryk w całości bądź w części przeniesiono na północ, poza bezpośredni promień ostrzału, do budynków opróżnionych wskutek akcji ewakuacyjnej. Dla złagodzenia efektu tych ostrzałów wymyślono pogłoskę, jakoby niektóre pociski wypełnione były tylko cukrem kryształem albo że znajdowano w nich współczujące i dodające otuchy listy od niemieckich robotników.

Rzecz jasna, niebezpieczeństwo z powietrza nie było jedynym problemem, jaki zaprzątał wówczas głowy leningradczyków. W połowie września wydawało się bowiem, że miasto jest bliskie upadku. Choć ludzie sami mogli już usłyszeć odległe odgłosy walk artyleryjskich, większość z nich wciąż nie wiedziała, gdzie dokładnie toczą się walki. Doniesienia Sowinformu były, jak zwykle, na tyle ogólnikowe, że jak głosił popularny wówczas żart, bardziej godne zaufania były już agencje OBS – *Odna Baba Skazała*, czyli „Jakaś Baba Powiedziała”, oraz OMS – *Odin Major Skazał*, „Jakiś Major Powiedział”. Oczywiste było jednak, że front jest już bardzo blisko. Świadczyły o tym zarówno pociski spadające na ulice, jak i setki chłopskich rodzin obozujących, wraz z całym swoim żywym inwentarzem, wokół dworców kolejowych. Zresztą do centrum miasta z pewnością przybyłoby ich jeszcze więcej, gdyby administracji kolei nie rozkazano, by nie wpuszczała ich do podmiejskich pociągów.

Jednym ze źródeł najświeższych wiadomości były tysiące cywilnych ochotników wciąż wznoszących umocnienia na przedmieściach

Leningradu. Była wśród nich także siedemnastoletnia Olga Grieczina. Po mało udanym okresie pracy w księgowości w jednej z fabryk zbrojeniowych, gdzie dostało się jej za delikatność i niewinność („Jesteś jak eksponat muzealny" – powiedział jej kiedyś szef), powróciła do kopania rowów w północno-wschodniej części miasta, niedaleko obecnego cmentarza Piskariowskiego i placówki upamiętniającej oblężenie. Warunki pracy były już znacznie cięższe niż w czerwcu, a nastroje znacznie bardziej ponure:

„Szybko zaczęło się robić zimno i choć był to dopiero początek września, rano budziłyśmy się przy mrozie. Jedzenie było kiepskie – jedno wiadro zupy, przeważnie z soczewicy, musiało starczyć dla wszystkich... Nasze kobiety nie dostawały żadnych listów ani od swoich ewakuowanych dzieci, ani od mężów na froncie.

Któregoś wieczoru siedziałyśmy w pokoju naszej gospodyni i słuchałyśmy jej jedynej płyty – *Mała błękitna chusteczka*. Wszystkie zaczęłyśmy strasznie płakać. Ta banalna piosenka, popularna przed wojną, przywodziła na myśl tak wiele wspomnień. Dla każdej z kobiet jej temat – rozłąka z ukochanymi – nagle stał się tak bardzo rzeczywisty.

Dwukrotnie pozwolono nam na powrót do domów i umycie się, gdyż wiele z nas miało wszy od brudu i zimna. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego i byłam przerażona, pełna odrazy. Pożyczyłam od sąsiadki pół litra nafty (w sklepach już nie sposób było jej dostać) i wtarłam ją sobie we włosy, a potem prawie do drugiej w nocy próbowałam ją z powrotem wypłukać ledwie ciepłą wodą...

Po wizytach w domu ludzie wrócili w posępnych nastrojach do okopów. Robiło się coraz zimniej, a my musiałyśmy wykopywać strasznie ciężką sinawą glinę. Trudno było unieść choćby jedną jej łopatę. I nawet wtedy, gdy głupia Tanka zaczęła lepić z tej gliny penisy, nie było to już wcale śmieszne, a ludzie zaczęli się na nią złościć".

Niemniej – mimo swojej wulgarności – to właśnie Tanka udzieliła schronienia nieco snobistycznej Grieczinie, co miało się dla niej stać pierwszą z wielu nauk dotyczących cnót klasy robotniczej w Związku Radzieckim. Z inicjatywy Tanki obie zmyliły też strażników i ukradły dwa worki ziemniaków z porzuconego przez wieśniaków pola. Wioząc swój łup tramwajem do miasta, Grieczina dowiedziała się, że Tanka

utrzymuje owdowiałą matkę i okaleczoną siostrę. Kiedy tramwaj nie mógł już jechać dalej – w pobliżu płonęła fabryka, dziewczyny musiały wysiąść i iść pieszo. „Byłam wycieńczona – wspominała Grieczina – i chciałam zostawić mój worek, ale Tanka powiedziała: «Czyś ty zgłupiała?» i władowała go sobie na plecy… A ja zaczęłam rozumieć, jak niesprawiedliwy był mój dotychczasowy osąd innych ludzi".

14 września brygada otrzymała rozkaz przerwania pracy i powrotu do Leningradu. Grieczina odwiedziła wydział lingwistyki na uniwersytecie, gdzie miała zacząć studia. Naukę na uniwersytecie traktowała jednak teraz z lekką pobłażliwością jako coś naiwnego. „Jak u licha można dyskutować o abstrakcyjnych koncepcjach, kiedy wszędzie wokół szaleją pożary i spadają bomby? Czułam się jak ktoś ciężko pracujący, kto raptem znalazł się w towarzystwie próżniaków". Wyszedłszy wcześniej z wykładu, udała się do stołówki, gdzie wymieniła kartki żywnościowe na końskie mięso i kaszę[12].

Nawet oficjalne źródła przyznawały już, że miastu grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. 16 września – w ponury i dżdżysty dzień, w którym porzucony został Puszkin – „Leningradskaja Prawda" zamieściła bliski histerii wstępniak napisany przez samego Żdanowa, zatytułowany *Wróg jest u bram! Będziemy walczyć o Leningrad do ostatniego tchu!* Napisano w nim: „Każdy musi twardo spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy i zadeklarować, że jeśli dziś nie stanie do mężnej i bezinteresownej walki w obronie miasta, jutro straci swój honor, wolność i dom ojczysty, stając się niemieckim niewolnikiem!". Następnego dnia artykuł wstępny został opatrzony równie pompatycznym tytułem: *Leningrad – być albo nie być?*[13]. Milicje zakładowe szkolono do samobójczych walk ulicznych. Jeden z podręczników precyzował:

„Zniszczenie czołgu osiągnąć można przede wszystkim dzięki przytomności umysłu, odwadze i zdecydowaniu. Nie wolno się ociągać, lecz trzeba wykazać szybkość i werwę (…). Walczący, po tym jak znajdzie sobie odpowiednią osłonę [sugerowano tutaj lampy uliczne, pachołki drogowe i słupy ogłoszeniowe], powinien pozwolić czołgowi zbliżyć się na dziesięć–piętnaście metrów (przy tej odległości walczący będzie w jego martwym polu, gdyż czołg nie będzie mógł do niego

strzelić), szybko wyskoczyć z ukrycia, wrzucić pod jego gąsienice tobołek z granatami i równie szybko ponownie się schować. Dokładnie tę samą technikę stosuje się przy butelkach z substancją zapalającą, a jedyna różnica jest taka, że butelkę rzuca się na tylną część czołgu".

Przy braku granatów albo koktajli Mołotowa, beztrosko ciągnął autor podręcznika, czołgi miały być unieruchamiane „decydującym i wprawnym ruchem bagnetu, kolby karabinu, noża, łomu albo siekiery"[14]. Bardziej przekonujące było wznoszenie w poprzek głównych arterii komunikacyjnych barykad – co czyniono przy użyciu stalowych „jeży" i betonowych „smoczych zębów", jak również z wykorzystaniem stalowych legarów, kamieni brukowych i wagonów tramwajowych wypełnionych piaskiem – a także zamurowywanie okien tak, by zamienić je w punkty ostrzału. Dom Akademików, w którym mieszkał Gieorgij Kniaziew, pełen był biegających marynarzy, którzy nosili worki z piaskiem. Wraz z żoną przeprowadził się on więc do swojego biura w Akademii Nauk, gdzie oboje spali na łóżkach polowych tuż pod popiersiem Lenina.

Kniaziew zaobserwował, że marynarze robili jeszcze jedno (z trudem zresztą zebrał się na odwagę, by wspomnieć o tym w swoim dzienniku): otóż podkładali ładunki wybuchowe pod mostem Lejtnanta Schmidta (wcześniej Mikołaja), położonym bardziej na zachód jednym z dwóch istniejących połączeń Wyspy Wasiljewskiej ze stałym lądem. „W pobliżu Akademii Sztuk Pięknych zdumiałem się, widząc, że marynarze wykopują w niewielkich odstępach jakieś dołki, coś tam wkładają, przykrywają cegłami i przysypują piaskiem... Akurat na wprost sfinksów. Czyżby... Ścisnęło mi się serce"[15]. Gdyby Niemcy rzeczywiście wzięli Leningrad, zniszczenie infrastruktury miasta i możliwości wytwórczych jego fabryk miało być całkowite. Ów „Plan D", zawierający listę obiektów przeznaczonych do wyburzenia, został upubliczniony dopiero w roku 2005. Dziś wiemy, że na tej liście znalazły się wszystkie główne zakłady w mieście, ale także elektrownie, wodociągi, centrale telefoniczne i telegraficzne, piekarnie, mosty, linie kolejowe, stocznie oraz port – łącznie około trzystu osiemdziesięciu obiektów. (Aleksandrowi Kuzniecowowi, zastępcy Żdanowa, przypisuje się zasługi w postaci zabronienia zaminowania pałacu Peterhof, jak

również wydania rozkazu usunięcia z dachu Ermitażu karabinów maszynowych, umieszczonych tam na wypadek lądowania spadochroniarzy na placu Pałacowym). W każdej z instytucji umieszczonej na liście wyznaczono „trójkę" składającą się z dyrektora, sekretarza partii i przedstawiciela NKWD, której zadaniem było przygotowanie szczegółowych planów dotyczących kolejności niszczenia parku maszynowego i zabudowań, a także ilości potrzebnych do tego materiałów wybuchowych, bądź – w przypadku mniej ważnych obiektów – siekier i ciężkich młotów. Rozkaz wdrożenia tych „specjalnych środków" miał wydać Kuzniecow, a odpowiedzialność za dopilnowanie, by go wykonano, miała spocząć na regionalnych delegaturach NKWD[16]. Choć cała praca planistyczna była prowadzona w wielkiej tajemnicy, strzępy informacji wyciekły na zewnątrz, docierając do zbulwersowanych robotników w fabrykach. „A co niby mamy robić, kiedy fabryki zostaną już wysadzone? – pytał jeden drugiego. – Bez fabryk sobie nie poradzimy. Nawet jeśli Niemcy nadejdą, my i tak musimy pracować, żeby jeść. Nie wysadzimy ich"[17].

Niemało członków kierownictwa fabryk opuszczało swoje stanowiska, co jasno wynika z całej fali reprymend i dymisji za „okazywanie tchórzostwa", „uleganie panice", sprzeniewierzanie środków czy nieusprawiedliwione nieobecności w pracy. W okólniku skierowanym do dyrektorów zakładów przemysłowych 5 września Żdanow skarżył się na coraz liczniejsze przypadki kradzieży i malwersacji, ale także na przesadnie formalistyczny wzrost żądań płacowych za nadgodziny. Wśród wskazanych przestępstw najznaczniejsze popełnił dyrektor wielkich zakładów Czerwony Chemik, który nakazał swojemu księgowemu wypłacenie pięćdziesięciu tysięcy rubli, a następnie zarekwirował samochód i byłby niechybnie uciekł, gdyby tylko księgowy nie zawiadomił w porę władz[18]. Inni, jak pierwszy sekretarz partii Nikonorow z Lediane Pola, małego miasteczka na wschód od Ładogi, topili smutki w alkoholu. Jak donosił pewien usłużny informator, zamiast mobilizować ludność cywilną do oporu w obliczu nadciągającego Wehrmachtu, „zajmował się on organizowaniem masowych popijaw, wciągając w nie przodujących robotników (...). Pośród pracowników lokalnej milicji kwitły zaś

pijaństwo i hazard karciany, w czym brał również udział osobiście szef milicji Martynow”[19]. Do końca roku 1941 aż 1540 urzędników miejskich „niegodnych zaszczytnego miana członka partii bolszewickiej” zostało pozbawionych swoich legitymacji partyjnych[20].

Równocześnie jeszcze bardziej zaostrzono ogólne środki bezpieczeństwa, w tym – co najbardziej dotknęło zwykłych ludzi – odłączono linie telefoniczne w prywatnych domach. Jak napisała Wiera Inbier:

„Zrobiło mi się jakoś dziwnie, gdy usłyszałam młody kobiecy głos: «Telefon zostaje wyłączony do końca wojny...». Próbowałam coś odpowiedzieć, protestować, ale szybko doszłam do wniosku, że to bezcelowe. Po kilku minutach telefon zabrzęczał i zamilkł... do końca wojny. Mieszkanie od razu zamarło, stało się chłodne i obce, zamknęło się w sobie. Wszystkie telefony w mieście zostały wyłączone o tej samej godzinie. Tylko nieliczne są nadal czynne: w urzędach (szczególnie ważnych), w klinikach i szpitalach”[21].

Na ulicach zwielokrotniono posterunki kontrolne, a miejsca, w których spadały ulotki propagandowe zrzucane przez hitlerowców, szybko odgradzano kordonem. („Przybywamy nie jako wasi wrogowie, lecz jako wrogowie bolszewizmu!” – głosiła jedna z nich. „Jeśli spłoną wasze fabryki i magazyny, pomrzecie z głodu! Jeśli spłoną wasze domy, zginiecie z zimna!”). Organizowano też nowe obławy (3566 zatrzymań między 13 a 17 września) na dezerterów z Armii Czerwonej i z *opołczenija*, którzy byli już tak liczni, że ówcześni pamiętnikarze opisywali ich jako „zalewających” całe miasto[22]. We Lwowie w obliczu nadciągającego Wehrmachtu NKWD zastrzeliło wszystkich miejscowych więźniów. W Leningradzie ograniczono się tylko do ich ewakuacji do obozów pracy znajdujących się wewnątrz pierścienia oblężniczego, co zresztą przyniosło podobny rezultat końcowy. Tak wspomina swoją podróż ocalały z konwoju zorganizowanego 9 października:

„Na pokładzie stały dwa rzędy konwojujących nas strażników, między nimi sznur więźniów kierowano schodkami w dół do ładowni. W ciemnej pustce połyskiwało małe światełko – stał tam jakiś porucznik

wyrzucający z siebie przekleństwa na prawo i lewo, i rozdający razy młotkiem do krokieta, a przy tym usiłujący upakować wszystkich najciaśniej, jak tylko było to możliwe. Ludzie stali tak ściśnięci, kurczowo trzymając swoje rzeczy. Za mną ciągnął się jeszcze długi sznur więźniów.

Do wieczora ładownia była już zapakowana po brzegi. Składała się z trzech przedziałów: jednego dla mężczyzn, w którym zmieściło się około trzech tysięcy ludzi, jednego dla kobiet, których było około ośmiuset, i jednej małej pakamery, do której wciśnięto dwustu niemieckich jeńców wojennych... Od czasu do czasu jakiś ciężko dyszący więzień próbował wspiąć się na kilka schodków, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Natychmiast rozlegały się strzały, a ów nieszczęśnik, posmakowawszy wraz z powietrzem ołowiu, zwalał się z powrotem na dół...

W dół przez luk spuszczono za pomocą liny stulitrową metalową beczkę. Z miejsca pospieszyła do niej cała masa więźniów. Większość nie miała czym nabrać wody, więc używali po prostu rąk.

[W ciągu nocy] warunki jeszcze się pogorszyły. Przede wszystkim początkowo byliśmy faktycznie mocno ściśnięci, ale przynajmniej mogliśmy stanąć na podłodze. Teraz zrobiło się wprawdzie więcej miejsca, ale za to podłoga zniknęła pod warstwą trupów, na których nie sposób było nie stanąć albo nie usiąść. Pojawił się też smród... Kiedy opuszczałem ładownię, rozejrzałem się dookoła: podłoga została całkowicie zasłana grubą warstwą rozkładających się ciał”[23].

Podwórze Teatru Młodego Widza w Leningradzie po bombardowaniu, październik 1941 roku.

Mimo wzmożonych środków bezpieczeństwa nie udało się zdusić wszystkich sprzeciwów. Nocą na ścianach podwórek i dziedzińców pojawiały się swastyki, a w skrzynkach na klatkach – albo w poczcie wysyłanej anonimowo do przywódców partyjnych – znajdowano ulotki oskarżające Stalina i wzywające do ogłoszenia Leningradu, na modłę Paryża, *ville ouverte*, miastem otwartym, co było eufemistycznym określeniem poddania. Powszechne oczekiwanie klęski znajdowało odzwierciedlenie w dramatycznym spadku podań o zapisanie do partii

– we wrześniu 1941 było ich mniej niż w lutym kolejnego roku, kiedy to tysiące leningradczyków umierały codziennie z głodu. W połączeniu z wyjazdem wielu członków partii na front trend ten doprowadził do spadku liczebności leningradzkiej organizacji partyjnej o połowę, ze 122 849 pełnoprawnych członków w chwili rozpoczęcia wojny do 61 842 ludzi na zakończenie roku. Równie gwałtownie rosła liczba „zagubionych" legitymacji partyjnych, choć niewielu decydowało się na tak mało subtelne rozwiązanie, jak to przyjęte przez jednego z robotników w Ochtińskiej Fabryce Chemicznej, który poprosił miejscowego sekretarza partii o niewpisywanie go na listę członków, „bo wtedy będzie można łatwo poznać, że jestem komunistą"[24].

Wszyscy ci, którzy wybrali siedzenie okrakiem na barykadzie, mieli ku temu całkiem mocne podstawy, ponieważ – jak jasno pokazują archiwa – Stalin najzupełniej poważnie rozważał porzucenie Leningradu, i to nie tylko podczas kryzysu w połowie września, ale również przez całą jesień i wczesną zimę, kiedy to absolutnym priorytetem stała się dlań obrona Moskwy.

Plan zdobycia Moskwy, któremu nadano kryptonim operacja Tajfun, został nakreślony przez Hitlera w jego dyrektywie z 6 września. Ogromne siły w liczbie ośmiuset tysięcy żołnierzy i trzech armii pancernych dysponujących ponad tysiącem czołgów miały podejść pod miasto od południa i zachodu, i wziąć w olbrzymie kleszcze wojska radzieckie broniące dostępu do stolicy. Kampania ta, rozpoczęta 30 września, bardzo szybko osiągnęła pierwsze wyznaczone jej cele. Niewielkie miasto Orzeł, leżące mniej więcej w dwóch trzecich drogi z Kijowa do Moskwy, zostało ponoć porzucone tak pospiesznie, że załogi niemieckich czołgów wjeżdżających do miasta ze zdumieniem spostrzegły, że obok nich po ulicach jeżdżą, jak gdyby nigdy nic, miejskie tramwaje. („Dlaczego nie wspomnieliście ani słowem o heroicznej obronie Orła?" – zapytał ze złością redaktor naczelny Wasilija Grossmana po jego powrocie z wypadu na front. „Ponieważ nie było tam żadnej obrony" – odparł Grossman). Pięć dni po rozpoczęciu ofensywy jeden z radzieckich samolotów zwiadowczych dostrzegł ciągnącą się na blisko 20 kilometrów uzbrojoną kolumnę zbliżającą się do miasta Juchnow, niecałe 200 kilometrów na północ od Orła

i zaledwie 130 kilometrów od stolicy. Wiadomość ta była tak nieprawdopodobna, że oficerowi lotnictwa, który ją zgłosił, zagrożono aresztem „za prowokację", a uwierzono w nią dopiero wówczas, gdy dwa kolejne samoloty potwierdziły to odkrycie.

6 października Stalin ściągnął z Leningradu Żukowa i postawił przed nim zadanie obrony Moskwy. Raz jeszcze Żukow zastał wojsko w stanie zapaści: linie komunikacyjne były zerwane, a formowane naprędce nowe jednostki składały się z maruderów, którym udało się uciec z „kotła" tworzonego przez nacierające na miasto siły niemieckie. Z ośmiuset tysięcy żołnierzy, którzy jeszcze sześć tygodni wcześniej stawiali opór na Froncie Centralnym, teraz między Wehrmachtem a stolicą pozostało zaledwie dziewięćdziesiąt tysięcy. Cztery dni później, gdy poborowi ciężko pracowali, wznosząc nowy pierścień umocnień opasujący przedmieścia Moskwy, oficer prasowy Hitlera zaprosił berliński korpus prasowy do Ministerstwa Propagandy w celu wysłuchania oświadczenia führera. Głosiło ono, że resztki Armii Czerwonej właśnie zostały zamknięte w pułapce. Zwycięstwo na Wschodzie było zapewnione. Ukazujące się następnego ranka gazety opatrzono jednoznacznymi nagłówkami, typu *Wybiła wielka godzina!* czy *Kampania na Wschodzie rozstrzygnięta!*

W Moskwie, gdzie odgłosy ostrzału artyleryjskiego były już słyszalne nawet na placu Czerwonym, zapadła decyzja o ewakuacji rządu. Prezydium Rady Najwyższej Związku Radzieckiego, Ludowy Komisariat Obrony oraz ambasady aliantów wyprawiono 15 października specjalnymi pociągami do Kujbyszewa (obecnie Samara) nad Wołgą[25]. Następnego dnia chodniki pokryły się tysiącami pospiesznie palonych dokumentów, samo miasto pogrążyło się zaś w anarchii. Milicja gdzieś znikła, partyjni bossowie uciekali z miasta zarekwirowanymi ciężarówkami załadowanymi wyrobami z kauczuku i gramofonami, a robotnicy wzięli się do szabrowania i linczowania. Dyrektor mleczarni, zauważony podczas próby ucieczki, został wywleczony ze swojego samochodu i wrzucony głową w dół do kadzi ze śmietaną. Porządek przywrócono dopiero pięć dni później. Cały ten niechlubny epizod zyskał sobie miano „wielkiego *drapu*", co było sarkastyczną grą słów wynikającą z podwójnego rozumienia słowa *drap*

– oznaczającego medalową wstęgę, ale także drapaka, paniczną ucieczkę[26].

Kiedy losy Moskwy wisiały dosłownie na włosku, porzucenie Leningradu wydawało się bardziej prawdopodobne niż kiedykolwiek wcześniej. Niechęć wyższych generałów do objęcia dowództwa obrony miasta była miarą tego, jak nisko oceniali oni szanse na jego ocalenie. Po wyjeździe Żukowa dowództwo początkowo przypadło jego zastępcy Iwanowi Fiediunińskiemu, ale z miejsca zaczął on zabiegać o to, by przekazano je Michaiłowi Chozinowi, który – jak celnie wskazywał – był starszy stopniem, a przy tym w przeszłości był jego przełożonym[27]. Chozin zgłaszał sprzeciw, argumentując, że nie może opuścić swojej 54 Armii, którą dopiero co przejął z rąk znienawidzonego i niekompetentnego Kulika. Żdanow próbował wówczas namówić marszałka Nikołaja Woronowa, szanowanego artylerzystę, rodowitego leningradczyka, ale on także odrzucił propozycję objęcia dowództwa, stwierdzając, że i tak ma już ręce pełne roboty jako zastępca komisarza obrony. Po dwóch tygodniach takiego „podaj dalej" zainterweniowała wreszcie Moskwa i 26 października odpowiedzialność za obronę Leningradu została ostatecznie złożona na barki niezbyt szczęśliwego Chozina, jego 54 Armię powierzono zaś Fiediunińskiemu.

Głównym zadaniem postawionym przed Leningradem na resztę roku było produkowanie możliwe największej ilości broni przy jednoczesnym ciągłym ewakuowaniu zakładów zbrojeniowych i ich robotników barkami przez Ładogę. (2 października wydano rozkaz wyekspediowania sześciotysięcznej załogi warsztatu czołgowego w Zakładach Iżorskich, wraz z rodzinami, dwa tygodnie później analogiczny rozkaz dotyczył 11 614 robotników z Zakładów Kirowa)[28]. Wszechobecny w tamtym okresie slogan: „Wszystko dla frontu!" powinien raczej brzmieć: „Wszystko dla Moskwy!", jako że gros i tak mocno uszczuplonej produkcji Leningradu szło nie do obleganych obrońców miasta, lecz było wysyłane poza pierścień oblężenia, na Front Centralny. Zapasy węgla i torfu, które mogły później posłużyć do ogrzania wyziębionych budynków, zużyto do zwiększenia produkcji pocisków i min, a wolne moce transportowe wykorzystywano nie po to, by ściągnąć do miasta więcej żywności, lecz by sprowadzać proch

i materiały wybuchowe, które stawały się składnikami amunicji natychmiast eksportowanej w drugą stronę – do stolicy.

Prowadzenie nasłuchu przez żołnierzy sowieckich na murach Twierdzy Pietropawłowskiej.

Jednocześnie Stalin rozkazał Żdanowowi podjęcie próby przełamania oblężenia. „Musicie szybko przebić się przez Mgę na wschód – zatelegrafował do Instytutu Smolnego 13 października. – Wiecie sami, że nie ma innych dróg. Wkrótce wasze zapasy żywności i inne zasoby się wyczerpią. Spieszcie się, bo obawiamy się, że będzie za późno”[29]. Dwa dni później Woronow poleciał do Leningradu, by nadzorować przygotowywaną ofensywę, a także narzucić miastu nowe niemożliwe do wypełnienia normy produkcji. Podczas pierwszego spotkania ze Żdanowem ten zaczął błagać o więcej amunicji, na co Woronow zażądał, by Leningrad zwiększył swoją własną produkcję pocisków do całkowicie nierealistycznego miliona sztuk miesięcznie. „Milion miesięcznie – przecież to szaleństwo! – wybuchnął Żdanow. – To jakiś blef! To ignorancja! Wy po prostu nie rozumiecie, jak funkcjonuje

produkcja amunicji!”[30] Trzy dni później Stalin domagał się informacji, czy jego nowa ofensywa została już rozpoczęta:

„Wysłaliśmy wam dyrektywę rozkazującą bezzwłoczne natarcie, tak aby połączyć Front Leningradzki z 54 Armią. Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Co się tam dzieje, czemu nie odpowiadacie? Czy ta dyrektywa jest zrozumiała i kiedy waszym zdaniem rozpocznie się natarcie? Żądamy natychmiastowej odpowiedzi w formie jednego z dwóch słów. «Tak» będzie oznaczać potwierdzenie i szybkie wykonanie dyrektywy, «Nie» – odmowę”[31].

23 października, kiedy natarcie niemieckie zagrażające Tichwinowi, końcowej stacji kolejowej kluczowej dla ewakuacji przez jezioro Ładoga, uprzedziło planowany atak, Stalin ponownie dał upust swojej wściekłości na leningradczyków, pisząc wiadomość odczytaną przez telefon przez marszałka Wasilewskiego, zastępcę szefa sztabu generalnego. Tym razem przyznawał już otwarcie, że być może Leningrad będzie musiał zostać poddany, i podkreślał, jak istotne jest wyrwanie się z oblężenia przez zamknięte w nim armie, a także jak niewiele może zrobić Moskwa, by przyjść z pomocą Leningradowi:

„Sądząc po waszej indolencji, można jedynie zakładać, że wciąż nie zdajecie sobie sprawy, w jak krytycznej sytuacji znalazły się wojska na Froncie Leningradzkim. Jeśli w ciągu następnych kilku dni nie przebijecie się przez front [niemiecki] i nie ustanowicie stabilnego połączenia z 54 Armią, przez które uzyskacie dostęp do naszych tyłów, wszystkie wasze wojska dostaną się do niewoli. Odbudowanie takiego połączenia jest konieczne nie tylko dla zaopatrzenia wojsk na Froncie Leningradzkim, ale przede wszystkim dla zapewnienia wojskom z Frontu Leningradzkiego możliwości wydostania się na wschód, w razie gdyby zaistniała konieczność poddania Leningradu. Miejcie świadomość, że Moskwa sama znajduje się w krytycznej sytuacji i że nie jest w stanie wam pomóc, dosyłając nowe siły… Żądamy od was szybkiej, zdecydowanej akcji. Skoncentrujcie osiem albo dziesięć dywizji i przebijcie się na wschód. Jest to konieczne w każdym przypadku, niezależnie od tego, czy Leningrad się utrzyma, czy zostanie poddany. Dla nas ważniejsza jest armia”[32].

Wasilewski osobiście wzmocnił ten przekaz, telefonując jeszcze tego samego dnia do 54 Armii Fiediunińskiego. Z Wołogdy wysłano nieuzbrojone posiłki, ale poza tym armia musiała polegać wyłącznie na sobie: „Proszę, miejcie świadomość, że w obecnej sytuacji dyskusja toczy się nie tyle wokół tego, czy ocalimy Leningrad, ale czy ocalimy armię z Frontu Leningradzkiego”[33].

Także w listopadzie, kiedy ludność cywilna w Leningradzie zaczęła już umierać na ulicach, nadal w uprzywilejowany sposób traktowano Moskwę. Dość typowy jest tu list Żukowa (wciąż dowodzącego obroną Moskwy) do Żdanowa z 2 listopada. Początkowo przepełniony zaufaniem – „Myślami często wracam do trudnych, lecz ciekawych dni i nocy, podczas których razem pracowaliśmy i walczyliśmy. Bardzo żałuję, że nie mogłem dokończyć tego zadania, choć byłem przekonany, że będzie mi to dane” – w dalszej części zawiera jednak przykrą niespodziankę. Oto generałowie na froncie centralnym „roztrwonili wszystkie swoje wojska, nie zostało z nich nic poza wspomnieniem. Od Budionnego mam tylko kwaterę główną i dziewięćdziesięciu ludzi, od Koniewa – kwaterę główną i dwa pułki”. Czy zatem Żdanow nie mógłby podesłać w następnym konwoju powietrznym czterdzieści moździerzy kalibru 82 milimetrów i sześćdziesiąt kolejnych kalibru 50 milimetrów, bo przecież „macie ich aż nadto, a my nie mamy ich wcale?”[34]. Z drugiej strony apele Żdanowa o więcej samolotów transportowych czy o dostawy koncentratów spożywczych były wysłuchiwane z dużym opóźnieniem albo zgoła wcale[35]. „Przydzieliliście nam dwadzieścia cztery douglasy – odpowiadał Żdanow na kolejne żądanie Stalina, by natychmiast wyrwać się z oblężenia, przekazane przez Malenkowa. – Gdzież więc one są? Wyślijcie je najszybciej, jak to możliwe”[36].

Walki na Froncie Leningradzkim – żołnierze sowieccy w okopie, listopad 1941 roku.

Łącznie, od 1 października do praktycznej likwidacji w grudniu, leningradzkie fabryki wysłały na potrzeby Armii Czerwonej 452 działa polowe kalibru 76 milimetrów wraz z ponad 29 tysiącami uzbrojonych pocisków do nich, a także 1854 moździerze różnych rozmiarów. Z późniejszej perspektywy wydaje się, że znacznie bardziej przydałyby się one pod samym Leningradem. Zwłaszcza że w takiej liczbie i tak nie

mogły przechylić szali pod Moskwą, za to mogłyby mieć decydujące znaczenie na południe od Ładogi, gdzie strefa zajęta przez Niemców wzdłuż brzegu jeziora była szeroka na zaledwie 15 kilometrów. Gdyby Armii Czerwonej udało się wówczas ustanowić bezpieczną drogę lądową do miasta – na rok przed tym, zanim faktycznie tego dokonała – nie tylko ocaliłoby to setki tysięcy cywilów od klęski głodu, ale też umożliwiłoby podjęcie normalnej produkcji w zakładach zbrojeniowych w mieście, ku ogólnemu pożytkowi całości radzieckich wysiłków wojennych. Stało się jednak tak, że podjęty na jesieni zmasowany wysiłek produkcyjny bardzo mocno osłabił Leningrad, pozbawiając miasto zasobów potrzebnych albo do przełamania oblężenia, albo też do jego przetrwania bez konieczności zapłacenia strasznej ceny w postaci masowej śmierci cywilów.

8. 125 GRAMÓW

Marina Jeruchmanowa, dziewiętnastoletnia potomkini faworyta Piotra Wielkiego, Aleksandra Mienszykowa, była – podobnie jak Olga Grieczina – pilną i trzymaną pod opiekuńczym kloszem dziewczyną, dla której wojna miała się okazać twardą szkołą życia i wychowania społecznego. Jej pierwszą wojenną pracą było uczestnictwo w „brygadzie koncertowej", która żegnała żołnierzy wyruszających na front. „Perony dworca wypełnione były żołnierzami, siedzącymi, leżącymi, niektórymi w towarzystwie łkających krewnych. I wtedy pojawiałyśmy się my – cztery małe dziewczynki z pulpitami i nutami – i grałyśmy kwartety". Choć dano jej sposobność ewakuowania się wraz z całym konserwatorium do Taszkientu, Jeruchmanowa odrzuciła tę propozycję, wybierając pozostanie z rodziną. Kiedy zaczęły się naloty, wszyscy przenieśli się do bezpieczniejszego mieszkania ciotki na parterze – w jednym pokoiku gnieździły się tam cztery dorosłe osoby, czwórka starszych dzieci, cztery jamniki i jedno niemowlę. Pierwsza śmierć doświadczyła tę rodzinę już na początku października, kiedy to ojczym Mariny, oficer marynarki zwolniony ze służby podczas czystek w roku 1937, zmarł na atak serca dwa dni przed nadejściem papierów przywracających go w poczet oficerów. Bliskim udało się urządzić mu religijny pogrzeb w monastyrze Spaso-Prieobrażenskim, a na grobie umieścić wielki drewniany krzyż (który później został skradziony na opał).

Po jego śmierci Marina i jej młodsza siostra Warwara mogły podjąć pracę. Obie zaciągnęły się jako *drużynnice*, nieopłacane członkinie formacji pomocniczych, złożonych głównie z nastoletnich dziewcząt, którym wyznaczano całą gamę nierzadko niebezpiecznych zadań wojennych, wykonywanych pod kierownictwem milicji. Było to w miejscu pracy ich matki, to jest w Hôtel de l'Europe, teraz zajętym przez wojsko na potrzeby szpitala. Budynek ten, stojący w połowie długości Newskiego Prospektu i popularnie nazywany „Jewropą", był

najstarszym i najbardziej eleganckim hotelem w całym Leningradzie, założonym w latach trzydziestych XIX wieku, a następnie – w latach siedemdziesiątych tegoż stulecia – przebudowanym i wyposażonym w windy, wymyślny system przywoływania służby oraz centralne ogrzewanie. Dla obu dziewcząt wydawał się on mitologicznym „Elizjum… Wszystko tu było takie wystawne i tak dobrej jakości – meble, dywany, zasłony, zastawa stołowa (…). W prysznicach wciąż płynęła ciepła woda, cały czas działała też pralnia, w której jakaś flegmatyczna pani wręczyła nam nasze fartuchy. Wszędzie panowały porządek i czystość". Na początku siostry pracowały na dole w kuchni, pod nadzorem olbrzymiego czerwonowłosego „cara", czyli szefa kuchni, co rano uroczyście przywdziewającego swój od stóp do głów bielutki strój i zabawnie trzęsącego brzuchem podczas chodzenia. Powyżej szczupli tatarscy kelnerzy z wysmarowanymi brylantyną włosami i „teatralnymi" manierami obsługiwali lżej rannych w znajdującej się na parterze Wielkiej Restauracji. „Uczyli nas, jak nakrywać do stołu, witać naszych «gości»… i broń Boże nie podawać posiłków na zimnych talerzach". Kierownik sali obsztorcowywał obie dziewczyny, a swoje „nagany uwielbiał przeplatać najgorszymi przekleństwami. Przy kilku takich pierwszych burach nie wiedziałyśmy, gdzie mamy podziać oczy. Mama powiedziała twardo: «Dzieci, udawajcie, że tego nie słyszałyście»". Choć oficjalnie nie wolno im było spać w miejscu pracy, w praktyce po cichu siostry wprowadziły się do hotelu, nocując na balkonie powyżej nieprawdopodobnie eklektycznej jadalni „wchodniej", z beczkowo sklepionym sufitem, dekoracjami tynkowymi nawiązującymi do stylu egipskiego i wielkim witrażowym oknem ukazującym długie łodzie wikingów płynące po rzece wzdłuż murów pradawnego ruskiego fortu. Mimo że pracowała tam po piętnaście godzin dziennie bez żadnej zapłaty, Marina wspomina hotel z dużą wdzięcznością: „Nasza «Jewropa» zapewniała nam schronienie i bezpieczeństwo, dała nam czas na złapanie oddechu"[1].

Pierwszą reakcją matki Mariny na obwieszczenie Mołotowa o wojnie było wysłanie córek do sklepu po mydło, a następnie nakazanie im, by rozpaliły w piecu. Chciała zacząć wypalać w nim suchary, tradycyjne pożywienie Rosjan na dłuższe podróże, a także na okoliczność braku

wszelkich towarów spożywczych. Inni postępowali dokładnie tak samo. Jak wspomina Marina, w chwili, w której domknął się pierścień oblężenia, jedynymi produktami pozostającymi jeszcze w sprzedaży były suszone owoce i blanszowane migdały na targu, zaporowo drogi kawior w sklepach spożywczych oraz bezużyteczne zabawki i artykuły sportowe w sklepie wielobranżowym Pasaż.

W 1941 roku przeciętny pięćdziesięcioletni Rosjanin miał już za sobą trzy wielkie okresy głodu: pierwszy, w latach 1891–1892, wywołany suszą na stepach nadwołżańskich, drugi, z lat 1921–1922, związany z rekwirowaniem ziarna oraz rozpoczętą zaraz po rewolucji wojną domową, i wreszcie trzeci, w latach 1932–1933, kiedy to bolszewicy przemocą kolektywizowali chłopskie gospodarstwa, co doprowadziło do śmierci nawet siedmiu milionów ludzi. Leningrad, choć w spokojnych czasach był miastem uprzywilejowanym, w rzeczywistości zawsze znajdował się w sytuacji mocno niepewnej i wrażliwej, zmuszony do polegania na imporcie żywności z innych, żyźniejszych regionów na południu kraju. Leżąca na skraju bagien wieś Miasnoj Bor, dosłownie „Mięsny Bór" (na północ od Niżnego Nowogrodu, będąca miejscem katastrofalnego okrążenia wiosną 1942 roku), zawdzięczała swoją nazwę wielkim stadom bydła, które tutaj, w drodze na północ, na targowiska stolicy, padały z wycieńczenia. Choć Leningrad w dużej mierze uniknął głodu związanego z kolektywizacją, to już podczas wojny domowej ulice miasta porastały trawą, tak wielu jego mieszkańców uciekło na wieś w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Mimo takich doświadczeń władze Leningradu pozwoliły, by w chwili rozpoczęcia oblężenia miasto było doń rozpaczliwie nieprzygotowane. Gdy 8 września odcięto ostatnią drogę łączącą Leningrad z resztą kraju, wewnątrz pierścienia oblężenia uwięzionych pozostało około 2,8 miliona cywilów, z czego 2,46 miliona w samym mieście, kolejne zaś 343 tysiące ludzi w otaczających je miasteczkach i wioskach[2]. Dodatkowo wewnątrz pierścienia znalazło się też około 500 tysięcy żołnierzy i marynarzy, co łącznie dawało szacunkową liczbę 3,3 miliona ludzi do wyżywienia. (Niemcy w znaczący sposób przeszacowali populację Leningradu, ustalając ją na ponad cztery miliony ludzi, prawdopodobnie dlatego, że przeprowadzki do miasta rodzin

z narażonych na działania wojenne południowych przedmieść wzięli za napływ zupełnie nowych uchodźców. Tym samym źle ocenili też okres, po którym mieszkańców zacznie dotykać głód)[3].

Tego samego dnia, w którym miasto zostało ostatecznie odcięte, z Moskwy przyleciał młodszy komisarz handlu Dmitrij Pawłow, który przystąpił do sporządzania szczegółowego wykazu wszystkich zapasów żywności zgromadzonych w magazynach, fabrykach, składach wojskowych i w zasobach innych instytucji publicznych. Z przerażeniem odkrył wówczas, że przy ówczesnym poziomie ich konsumpcji wystarczyłyby na niewiele ponad miesiąc. Dostępne ziarno i mąka skończyłyby się po 35 dniach, gryka, ryż, kasza manna i makaron – po 30 dniach, mięso i żywa rogacizna – po 33 dniach, oleje i tłuszcze – po 45 dniach, cukier i słodycze – po 60 dniach[4]. Nie było samolotów, którymi można by zapewnić miastu dodatkowe dostawy żywności na dużą skalę (zresztą, jak się wydaje, nigdy nawet takowych nie rozważano), a choć leningradzki oddział partii poprosił już o dostarczenie pięciu pociągów z produktami spożywczymi nad Ładogę, skąd barkami przetransportowano by je do miasta, tak naprawdę na płytkim i upstrzonym piaszczystymi łachami zachodnim brzegu jeziora nie było żadnej infrastruktury portowej, która mogłaby posłużyć do przyjęcia i rozładunku tychże barek (decyzja o tym, by zacząć budowę doków i składów w letniej wiosce wypoczynkowej Osinowiec, zapadła dopiero 9 września)[5]. Jeśli zatem blokada nie zostałaby przerwana szybko, Leningrad musiałby przetrwać, dysponując jedynie swoimi własnymi zasobami.

Brak zabezpieczenia odpowiednich zapasów żywności i paliwa jeszcze przed domknięciem pierścienia oblężenia wynikał z tej samej zabójczej mieszanki niedowierzania, złej organizacji i lekceważenia ludzkiego życia, która uniemożliwiła ewakuację z miasta nadwyżki jego ludności cywilnej. Nawet najbardziej efektywna i zatroskana administracja nie byłaby wprawdzie w stanie zapobiec poważnym brakom w zaopatrzeniu – nie istniały przecież żadne dodatkowe zapasy na wypadek sytuacji kryzysowych, pociągi były przeładowane, a najżyźniejsze regiony kraju właśnie trafiały w ręce wroga – jednak liczne błędy, bałagan, a nade wszystko niezdolność przywódców do

spojrzenia prawdzie prosto w oczy doprowadziły do tego, że sytuacja w mieście stała się znacznie gorsza od tej, która przypuszczalnie mogła zaistnieć. Wielce pouczająca jest tu historia, którą przytacza we wspomnieniach Anastas Mikojan, członek Państwowego Komitetu Obrony odpowiedzialny za handel i zaopatrzenie. Oto w pierwszych dniach wojny konwój wojskowych pociągów z zaopatrzeniem, podróżujący na zachód zgodnie ze zdezaktualizowanymi już planami mobilizacyjnymi, nie mógł dotrzeć do wyznaczonych stacji docelowych. Wiedząc o tym, że Leningrad jest zależny od dostaw ziarna z południa kraju, Mikojan rozkazał przekierować konwój właśnie do tego miasta:

„Przypuszczając, że leningradczycy będą tylko zadowoleni z takiej decyzji, nie uzgadniałem jej z nimi uprzednio. Nie wiedział o tym także Stalin, aż do chwili, kiedy zatelefonował do niego z Leningradu Żdanow. Oświadczył, że wszystkie magazyny w Leningradzie są przepełnione, i prosił, by nie przysyłano im żywności ponad plan (...). Wtedy żaden z nas nie przypuszczał, że Leningrad zostanie otoczony. Dlatego też Stalin polecił mi nie wysyłać leningradczykom bez ich zgody żywności ponad ilość, która została ustalona w planie”[6].

Tak oto Żdanow zdobył kilka punktów za gorliwość, a przy tym z powodzeniem umocnił swoją pozycję kosztem jednego z konkurentów. Pociągi zaś pojechały gdzie indziej.

Nawet po tym, jak oblężenie już się zaczęło, nadal panowało powszechne zamieszanie i samozadowolenie. Jak wspomina Pawłow:

„Jurysdykcja nad zapasami żywności pozostawała w gestii dziesięciu różnych agencji gospodarczych. Przy braku instrukcji od swoich zwierzchników w Moskwie każda z nich w dalszym ciągu wydawała żywność zgodnie ze standardowymi procedurami (...). W połowie września centrala przemysłu cukrowniczego ulokowana w Moskwie zatelegrafowała do swojego biura w Leningradzie z poleceniem wysłania iluś tam wagonów cukru z Leningradu do Wołogdy. Tymczasem już od 8 września Leningrad pozostawał w blokadzie. Było też wiele innych podobnych przypadków”.

Chociaż do czasu, gdy Pawłow przybył do Leningradu, drogie sklepy komercyjne, otwarte w lipcu po to, by zapewnić mieszkańcom podnoszący na duchu widok pełnych półek, zostały już zamknięte,

wciąż trwała sprzedaż produktów żywnościowych poza systemem racjonowania, prowadzona przez stołówki i restauracje. Uszczuplała ona łączne zapasy wydawanego oleju, masła, mięsa i cukru o niebagatelne od ośmiu do dwunastu procent. Nie przerwano ani produkcji piwa i lodów, ani też sprzedaży – ponownie poza systemem racjonowania – takich towarów luksusowych, jak kawior, szampan czy kawa[7].

Najbardziej jednak rzucał się w oczy chyba fakt, że władze nie potrafiły przechowywać zapasów żywności w taki sposób, by zminimalizować ryzyko ich utraty wskutek nalotów. Efektem tego był choćby spektakularny pożar składów Badajewa 8 września. Leningradczycy byli wówczas przekonani, że zniszczył on niemal całe zmagazynowane w mieście rezerwy żywności (opisujący to wydarzenie wspominają, że powietrze wypełniło się smrodem palonej szynki i palonego cukru), a później pamiętali go jako moment przełomowy, od którego w coraz szybszym tempie szerzył się głód (jak określiła to Marina Jeruchmanowa: „Właśnie wtedy skończyło się życie, a zaczęło egzystowanie"). W swojej zazwyczaj dość bezosobowej relacji Pawłow gorąco stara się zaprzeczyć tezie, by pożar ten miał aż tak wielką wagę, twierdząc, że w magazynach przechowywano skrzynie ze starymi dokumentami i częściami zamiennymi, a jedynymi produktami żywnościowymi, które zostały wówczas zniszczone, były trzy tysiące ton mąki i dwa i pół tysiąca opakowań cukru w kostkach, których większość i tak wykorzystano by później do produkcji słodyczy. W kategoriach oddziaływania na morale mieszkańców pożar w składach Badajewa był jednak bez wątpienia katastrofalny. Jak wspomina Jeruchmanowa:

„Wkrótce potem przydzielono nam osiem kilogramów soczewicy, trochę krabiego mięsa w puszkach i kilka innych rzeczy. Wszyscy byli niezadowoleni, że te przydziały nie zostały przeprowadzone przed pożarem, a dopiero po tym, jak już się wydarzył. Wprawdzie wydanie takich instrukcji właśnie w tamtych dniach musiało pewnie wymagać mnóstwa odwagi, ale jak to się stało, że nikt wcześniej nie wykazał się umiejętnością przewidywania?"[8].

Do bardziej udanych inicjatyw podjętych przez przywództwo Leningradu jesienią 1941 roku należały za to wysiłki zmierzające do

zebrania żywności z całego terenu objętego pierścieniem oblężenia, a także prace nad obmyśleniem substytutów rozmaitych artykułów spożywczych. Najpierw podjęto – utrudnioną przez brak środków transportu – akcję zwożenia plonów z pól położonych na nieokupowanych jeszcze terytoriach na północ i wschód od miasta. Dla pracowników rolnych, których nie obejmował system racjonowania żywności, oznaczało to konieczność zaciśnięcia pasa w stopniu nieomal dorównującym głodowi z okresu kolektywizacji. Rolnikom było wolno zatrzymać jedynie miesięczną normę piętnastu kilogramów ziemniaków na osobę (do takiej wartości spadła ona w listopadzie), resztę zaś musieli oddać ekipom rekwirującym, tworzonym przez komitety wykonawcze lokalnych rad. Wobec chłopów, którzy ukrywali swoje ziemniaki, „wyciągano konsekwencje zgodnie z prawem wojennym" – innymi słowy, podlegali oni bliżej niesprecyzowanym karom za czyny przestępcze[9]. Równolegle do tej zorganizowanej akcji pojawiały się też zupełnie prywatne inicjatywy mieszkańców Leningradu, którzy usiłowali pozyskać dla siebie tyle produktów rolnych, ile tylko się dało. „Na głównych drogach i podmiejskich liniach tramwajowych – żalił się autor notatki służbowej z 16 września – można zaobserwować setki ludzi z workami i koszami (...). Jeśli natychmiast nie powstrzymamy tej anarchii, oznaczać to będzie, że całe zbiory przejdą w ręce prywatne"[10]. Nacisk na gospodarstwa kolektywne trwał także przez cały okres pierwszej zimy w oblężeniu, przybierając formy obowiązkowych zakupów, innym zaś razem rekwirowania i „darowizn", co łącznie pozwoliło pozyskać 4208 ton ziemniaków i innych warzyw, żywy inwentarz o wartości 4653 ton mięsa, ponad 2 tysiące ton siana, 547 tony mąki i ziarna oraz 179 tysięcy jaj. Trzy piąte mąki i ziarna pochodziły z prywatnych zapasów rolników, podobnie jak jedna czwarta żywego inwentarza i ponad połowa ziemniaków[11].

W samym mieście instytucjom zaangażowanym w procesy przetwarzania i dystrybucji żywności nakazano przejrzeć zasoby w poszukiwaniu zapomnianych magazynów albo wybrakowanych produktów, które mogłyby posłużyć jako alternatywne źródła pozyskiwania mąki do wypieku chleba. W młynach ze ścian i spod desek podłogowych zeskrobywano pozostałości mąki, z browarów pozyskano

osiem tysięcy ton słodu, a wojsko dostarczyło owies przeznaczony pierwotnie dla koni. Konie zaś karmiono gałązkami brzozowymi namaczanymi w gorącej wodzie i posypanymi solą, ponieważ zwierzęta odmawiały jedzenia innych pokarmów, takich jak sprasowane wióry torfowe czy mączka kostna. Nurkowie wyłowili barki z ziarnem, które zatonęły po bombardowaniu u wybrzeży Osinowca, a ocalone w ten sposób ziarno, choć zaczęło już kiełkować, wysuszono i zmielono na mąkę. (Jak przyznaje Pawłow, wypiekany z niej chleb śmierdział pleśnią). W dokach odkryto duże ilości paszy ze sprasowanych wytłoków bawełnianych, spalanej zazwyczaj w piecach okrętowych. Choć w stanie surowym była ona trująca, okazało się, że wszystkie toksyny ulegają rozkładowi w wysokich temperaturach, zatem także i ją wykorzystano do produkcji chleba. Dzięki zastosowaniu wszystkich tych substytutów, a także sukcesywnemu zmniejszaniu racji żywieniowych, zdołano zredukować dzienne spożycie mąki w całym Leningradzie z ponad 2 tysięcy ton na początku września do zaledwie 880 ton 1 listopada.

W miarę jak jesień zaczęła przechodzić w zimę, substytuty żywności stawały się coraz bardziej egzotyczne, a powstające z nich pokarmy, dystrybuowane w miejsce chleba, mięsa, tłuszczów czy cukru figurujących na kartkach na jedzenie, miały coraz mniejszą wartość odżywczą. Paszę z ziaren lnu, odnalezioną na placach załadunkowych i zwykle używaną jako pokarm dla bydła, stosowano teraz do wyrobu szarawego „makaronu". Dwa tysiące ton owczych jelit pozyskanych z doków, wraz ze skórami cielęcymi przejętymi z jednej z garbarni, przemielono na „masę mięsną", której smród na próżno usiłowano zamaskować przez dolanie olejku goździkowego. Począwszy od końca listopada do chleba zaczęto dodawać – poza stosowaną już wcześniej w ilości dziesięciu procent paszą ze sprasowanych wytłoków bawełnianych – poddaną hydrolizie celulozę, pozyskiwaną ze strużyn sosnowych w procesie opracowanym przez chemików z Akademii Leśnictwa (kolejne dziesięć procent). Nie miała ona żadnych wartości odżywczych, a jedynym jej zadaniem było zwiększenie wagi i objętości bochenków, żeby formalnie spełniały one wymogi określone dla dziennych racji chleba przy użyciu mniejszej ilości prawdziwej mąki.

W rezultacie bochny musiały być wypiekane w blaszkach, tak by się nie rozpadały, a po wyjęciu z pieca były ciężkie i wilgotne, miały gliniastą konsystencję i smakowały jak trawa. Dwie tony oleju roślinnego używanego dzień w dzień do smarowania blaszek oszczędzano dzięki opracowanej mieszance wody, oleju słonecznikowego i „mydlin" – produktu ubocznego rafinacji olejów spożywczych w paliwo. Jak przyznawał Pawłow, nadawała ona bochenkom dziwną pomarańczowawą barwę, „ale uszczerbki na jakości były całkowicie do zniesienia, zaoszczędzony olej zaś trafiał do stołówek"[12]. Kolejnym wynalazkiem Akademii Leśnictwa był „ekstrakt drożdżowy" wyrabiany ze sfermentowanych trocin brzozowych, który rozprowadzano po zakładowych kuchniach pod postacią zestalonych płatów, a następnie – po rozpuszczeniu w gorącej wodzie – serwowano w stołówkach jako „zupę drożdżową".

Elementem kluczowym dla losów każdego mieszkańca w czasach oblężenia, niejako podstawowym szablonem, wedle którego toczyło się jego życie, był system racjonowania żywności. System taki wprowadzało każde państwo uczestniczące w wojnie i wszędzie był on trawiony przez korupcję, oszustwa i spekulanctwo. W objętym blokadą Leningradzie wszystkie te praktyki występowały jednak w zwielokrotnionym wymiarze i działo się tak nie tylko ze względu na ekstremalne warunki wojennego życia, ale także z powodu brutalności i niekompetencji samego radzieckiego reżimu. Skutki tego również miały nieporównanie większy wymiar. W innych miejscach złe planowanie i słabe zarządzanie prowadziło do dokuczliwego zjawiska niedojadania, do wydzielania zbyt małych i nadto powtarzalnych posiłków. W Leningradzie przełożyło się zaś na trudną do oszacowania liczbę dodatkowych ofiar śmiertelnych.

W Związku Radzieckim kwestia żywności zawsze była swoistym środkiem przymusu albo nagradzania, a w skrajnych przypadkach – eliminowania nieprzydatnych kosztem tych pożytecznych. Jak to wyraził Lenin w przemówieniu na Wszechrosyjskiej Konferencji Żywieniowej w roku 1921, w samym środku głodu towarzyszącego wojnie domowej:

„Nie chodzi tylko o kwestię sprawiedliwego rozdzielania [żywności]; rozdzielanie to musi być postrzegane jako pewna metoda, pewien instrument, środek zwiększania produkcji. Wsparcie państwa w formie żywności musi być udzielane tylko tym robotnikom, którzy są naprawdę niezbędni dla maksymalnej produktywności w pracy. A jeśli rozdzielanie żywności ma być stosowane jako instrument polityki, używajcie go po to, by zmniejszyć liczbę tych, którzy nie są bezwarunkowo niezbędni, a wspierać tych, którzy są”[13].

Filozofia ta, dająca się streścić słowami „Jesz tak, jak pracujesz”, przećwiczona została w pierwszych obozach pracy powstających w Związku Radzieckim, to jest w łagrach na Wyspach Sołowieckich nad Morzem Białym. Więźniów podzielono tu na trzy grupy: zdatnych do ciężkiej pracy, zdatnych wyłącznie do lżejszych zajęć oraz inwalidów. Pierwszej grupie przysługiwało 800 gramów chleba dziennie, drugiej – 500 gramów, a trzeciej – 400 gramów. Jak łatwo przewidzieć, najsilniejsi, a przy tym stosunkowo najlepiej odżywiani, pozostawali w dobrym zdrowiu, najsłabsi zaś i dostający dokładnie połowę tego, co najsilniejsi, jeszcze bardziej opadali z sił, aż w końcu umierali. System ten, pomyślany (błędnie) tak, by zapewnić obozom samowystarczalność, został następnie powielony w całym gułagu[14].

Po drugiej stronie drabiny społecznej rozdział żywności służył jako środek wyznaczania hierarchii w ramach partii i całego establishmentu. „Zamknięte” sklepy i restauracje były dostępne wyłącznie dla członków partii albo pracowników wskazanych instytucji, stołówki zakładowe zaś zhierarchizowane były w stopniu o wiele większym niż ich odpowiedniki w najbardziej napuszonym banku przy słynnej Wall Street. Korespondent wojenny Wasilij Grossman w obszernej powieści autobiograficznej zatytułowanej *Życie i los* notuje, że w stołówce Instytutu Fizyki Moskiewskiej Akademii Nauk przygotowywano sześć różnych jadłospisów – odpowiednio „dla doktorów habilitowanych, dla starszych pracowników naukowych, dla pomocniczych pracowników naukowych, dla starszych laborantów, dla pracowników technicznych i dla pracowników obsługi. Największe problemy wywoływały dwie najwyższe kategorie, różniące się od siebie tym, że w pierwszej na

trzecie danie przysługiwał kompot z suszonych owoców, w drugiej zaś – kisiel z proszku”[15].

Inny dziennikarz, brytyjski komunista John Gibbons, spędził wojnę, pracując dla Moskiewskiego Radia. Zimą przełomu lat 1941 i 1942, kiedy braki żywności dawały się mocno we znaki na terenie całego Związku Radzieckiego, z niezadowoleniem przyjmował on fakt, iż jego zakładowe obiady składały się z suchego chleba i niesłodzonej herbaty, podczas gdy jego szef, siedzący w tym samym pokoju, jadł jajka i szynkę. Choć zasadniczo akceptował to jako element całego systemu, który był „bez wątpienia słuszny”, uznawał mimo to, że „cholernie nieprzyjemnie jest c z u ć z a p a c h jajek i szynki, tym bardziej że szef uważał to za całkiem normalne i nigdy mi nawet nie zaproponował choćby kawałka szynki”[16].

System racjonowania żywności w Leningradzie funkcjonował z grubsza tak, jak ten panujący w gułagu. Choć w teorii miał on zaopatrywać każdego według potrzeb, w praktyce skupiał się raczej na zapewnianiu (z trudem) przeżycia tym, którzy byli niezbędni do obrony miasta, a więc żołnierzom i robotnikom fabrycznym, skazując na śmierć pracowników umysłowych, ludzi starszych, bezrobotnych i dzieci. Po wprowadzeniu systemu racjonowania w połowie lipca początkowe przydziały ustalono na poziomie analogicznym jak dla moskwian. Pracownicy fizyczni otrzymywali hojną rację 800 gramów chleba dziennie, umysłowym przysługiwało 600 gramów, dzieciom i bezrobotnym zaś – 400 gramów, a do tego zupełnie wystarczająca ilość mięsa, tłuszczów, płatków zbożowych albo makaronu, a wreszcie cukru. Co zadziwiające, rada miejska zredukowała te racje dopiero 2 września, a więc niemal dwa tygodnie po tym, jak odcięta została ostatnia linia kolejowa do Moskwy. Na żądanie Pawłowa w ślad za tą pierwszą redukcją poszła po kolejnych dziesięciu dniach następna, która obniżyła dzienne przydziały chleba do 500 gramów dla pracowników fizycznych, 300 gramów dla umysłowych, 250 gramów dla niepracujących członków rodzin i 300 gramów dla dzieci. Jednocześnie podniesiono racje tłuszczu i cukru, żeby zrekompensować ten spadek, co z późniejszej perspektywy okazało się ogromnym błędem. Jak przyznawał po wojnie sam Pawłow: „Patrząc wstecz, można powiedzieć, że racje tłuszczów

w sposób oczywisty, ale także racje cukru, nie powinny były wzrosnąć we wrześniu. Tych około 2500 ton cukru i 600 ton tłuszczów wydanych we wrześniu i październiku… byłoby niezwykle cenne w grudniu". Dodawał jednak, że w tamtym czasie nikt nawet nie przypuszczał, że miasto będzie odcięte przez tak długi czas[17].

Najniższy poziom racje osiągnęły po ostatecznej redukcji z 20 listopada, kiedy to spadły do 250 gramów chleba dziennie dla 34 procent ludności cywilnej zakwalifikowanej do kategorii pracowników fizycznych i 125 gramów – trzech cienkich kromek – dla wszystkich pozostałych (przy czym ilość przysługującego mięsa i tłuszczów była po tej ostatniej obniżce doprawdy symboliczna). Dla posiadaczy kartek niższej kategorii oficjalna wartość odżywcza dziennej racji wynosiła 460 kilokalorii, to jest mniej niż jedna czwarta tego, co przeciętnemu dorosłemu niezbędne jest do utrzymania wagi (od dwóch do dwóch i pół tysiąca kilokalorii dziennie). Nawet jednak te 460 kilokalorii pozostawało wyłącznie na papierze, w rzeczywistości bowiem – jak już widzieliśmy – wartość odżywcza chleba była konsekwentnie obniżana poprzez dodawanie „zapełniaczy", mięso praktycznie całkowicie zniknęło, a w niektóre dni w ogóle nie wydawano żadnych racji. Dzisiejsi dietetycy, którzy na przykładach ocalałych z oblężenia badają długofalowe efekty niedożywienia w okresie płodowym i niemowlęcym, oceniają, że samo uwzględnienie „zapełniaczy" nakazuje sytuować wartość odżywczą ówczesnej dziennej racji bliżej 300 kilokalorii[18]. Tymczasem – jak przyznał później Pawłow – gdyby druga redukcja racji z 12 września została przeprowadzona zaledwie sześć dni wcześniej, pozwoliłoby to zaoszczędzić prawie cztery tysiące ton mąki i w ogóle uniknąć tej ostatniej obniżki z listopada[19].

Tak skrojone przydziały nie zapewniały zatem nawet możliwości przeżycia. Szczególnie surowo zostały potraktowane w tym systemie racjonowania starsze dzieci i nastolatki. Wszystkie dzieci poniżej dwunastego roku życia zakwalifikowano do jednej kategorii, co oznaczało, że jedenastolatek otrzymywał dokładnie tyle samo, co raczkujący brzdąc. Natomiast tych w wieku od dwunastu do czternastu

lat potraktowano jako „niepracujących członków rodziny", nawet jeśli w rzeczywistości pracowali, z całkowitym pominięciem faktu, że przy szybko rozwijających się organizmach potrzebują oni wręcz więcej kilokalorii od dorosłych. Mało tego, oto dziecko kończące dwanaście lat w okresie między redukcją racji z 12 września a kolejną z 1 października „karane" było obcięciem dziennego przydziału chleba z 300 do 250 gramów. Jak przyznawał Pawłow, zaszeregowania te były „niesprawiedliwe", ale „sytuacja uniemożliwiała lepsze odżywianie [tych kategorii ludności]"[20]. Równie niesprawiedliwie, jako „niepracujące członkinie rodziny", zostały zakwalifikowane pozostające bez stałego zajęcia matki, na których barkach spoczął fizyczny ciężar wystawania w kolejkach po chleb, załatwiania innych produktów żywnościowych czy dźwigania wody i opału. Znamienne jest, że owi „niepracujący członkowie rodziny" otrzymywali również mniejsze ilości innych towarów pozaspożywczych, na przykład jedno pudełko zapałek w porównaniu z dwoma przysługującymi robotnikom. Nic dziwnego, że ich kartki określano mianem *smiertników*, od słowa *smiert'*, „śmierć"[21].

Przekazywaniu swoich racji przez osoby produktywne tym z kategorii niepracujących miały zapobiegać zakazy wynoszenia jedzenia z zakładów pracy do domów. Pewna lekarka wojskowa, po tym jak zmuszono ją do przeprowadzki do szpitala, w którym pracowała, a tym samym do pozostawienia bez opieki swojej zaawansowanej już wiekowo matki, poprosiła o pozwolenie na zanoszenie jej części swoich stosunkowo hojnych przydziałów. Prośbę odrzucono, ale mimo to udawało jej się przemycać dla matki trochę jedzenia, które wynosiła zaprzyjaźniona salowa. „Nakazano mi stawić się przed komisarzem – wspominała później – który usiłował mnie przekonać, że nie mam prawa narażać swojego zdrowia, pozbawiając się należnego mi jedzenia. Zgodziłam się z nim bez żadnych protestów, ale też powiedziałam mu, że nie mogłam postąpić inaczej, bo moim świętym obowiązkiem jest chronić swoją matkę"[22]. Choć w wielu miejscach pracy – takich choćby jak to – reguł nie przestrzegano zbyt ściśle, były też zakłady, w których przeszukiwano torby wychodzących do domów pracowników.

Warto też zauważyć, że władze poczyniły kilka wyjątków w tym bezlitośnie praktycznym systemie. Gdy Żdanow dowiedział się o umieraniu wielu wiekowych naukowców w mieście, miał ponoć osobiście zlecić sporządzenie listy najwybitniejszych przedstawicieli środowiska akademickiego i przesłanie im przez miejskie organizacje handlowe dodatkowych paczek z jedzeniem[23]. Jedną z beneficjentek takich działań była artystka Anna Ostroumowa-Lebiediewa, która otwierając drzwi 20 stycznia 1942 roku, ze zdumieniem zobaczyła w nich jakąś kobietę w białym płaszczu, dźwigającą pudło wypełnione masłem, mięsem, mąką, cukrem i suszonym grochem. „To od towarzysza Żdanowa – zapisała w dzienniku – który zwrócił uwagę na mój wiek i osobiście się postarał, by wysłano mi jedzenie. Oceniam, że jest tego mniej więcej tyle, ile można dostać przez miesiąc na kartki robotnicze”[24]. Ta dostawa wystarczyła jej oraz jej służącej Niuszy na dziesięć dni, ale wcale nie złagodziła stanowiska artystki wobec całego systemu racjonowania. Kartki dla niepracujących członków rodziny uznawała ona za wyrok śmierci i „hańbę”, postrzegając je jako próbę oczyszczenia Leningradu z ludzi starych i gospodyń domowych, stanowiących „zbędne gęby do wyżywienia”[25].

Największą i nieuniknioną słabością systemu racjonowania była jego podatność na korupcję. Najbardziej wyidealizowane radzieckie relacje w ogóle nie wspominają o tym zjawisku, odmalowując całe miasto – może z wyłączeniem nielicznych ludzi słabego ducha i sabotażystów – jako bezinteresownie oddane stawianiu oporu wobec wroga. Jednak nawet te bardziej realistyczne, jak choćby książka Pawłowa (opublikowana podczas krótkotrwałej „odwilży” z czasów Chruszczowa), w dużym stopniu nie doszacowują poziomu panującej wówczas korupcji – wyszczególniają środki podejmowane w celu zapobiegania podrabianiu kartek żywnościowych czy praktykom wyłudzania nienależnych racji ze strony dużej części populacji, za to prześlizgują się nad problemami kradzieży czy łapówkarstwa w obrębie samych instytucji rozdzielających żywność. Mimo że „egoiści” i „szarańcza” podejmowali próby podkopania systemu racjonowania, Pawłow ostatecznie oceniał, że „środki podjęte przez organizację partyjną w mieście umożliwiły ochronę ludności przed spekulantami,

oszustami i pasożytami. Zaufanie mieszkańców do wprowadzonego systemu rozdzielania żywności zostało utrzymane. Jedzenia było niewiele, ale każdy wiedział, że jego racja nie zostanie przyznana komuś innemu. Wiedział, że otrzyma tyle, ile powinien otrzymać”[26].

W rzeczywistości, co pokazują zarówno zapiski prywatne, jak i dokumenty oficjalne, sytuacja nie było wcale tak różowa. Leningradczycy nie tylko nie otrzymywali tyle, ile powinni, wręcz przeciwnie – musieli godzinami wystawać w kolejkach, także nocami i na mrozie, nierzadko tylko po to, by ostatecznie dostać racje o wiele mniejsze od tych, które im przysługiwały, albo wręcz odejść z kwitkiem. Wcale też nie uważali, by system racjonowania był sprawiedliwy: wszyscy pamiętnikarze narzekają na swoich skorumpowanych szefów i rumiane pracownice obsługi w stołówkach czy sklepach; wszyscy też opisują, jak przy każdej nadarzającej się okazji załatwiają sobie dodatkowe racje, a potem pokątnie nimi handlują.

Także w kartotekach partyjnych aż roi się od przypadków korupcji. W jednej z poufnych notatek czytamy, że przewodniczący i wiceprzewodniczący rady Piotrogrodzkiej Strony, zamiast „zachować żelazny porządek”, wprowadzili regularne przydziały żywności poza systemem racjonowania dla siebie i swoich kolegów. „Ponadto towarzysz Iwanow zamienił gabinet w sypialnię dla siebie i swojej koleżanki, towarzyszki Wołkowej, wystawiając się tym samym na oskarżenia o utrzymywanie stosunków seksualnych z podwładną”[27]. Podobne przypadki odnotowano w komitecie partyjnym dzielnicy primorskiej, gdzie dwunastu członków tegoż komitetu, pod przywództwem jego pierwszego sekretarza i przewodniczącego miejscowej rady, odbierało specjalne dostawy bezpośrednio od lokalnego Zarządu Stołówek Pracowniczych. Wysłany tam śledczy NKWD donosił, że „przed obchodami 7 listopada [rocznicy rewolucji] Zarząd przyznał komitetowi obwodowemu dziesięć kilo czekolady i osiem kilo kawioru oraz innych produktów w puszkach. Szóstego z komitetu zatelefonowano do Zarządu, domagając się więcej czekolady (...). Łącznie, w listopadzie sprzeniewierzono żywność wartą cztery tysiące rubli (...). Stołówka numer 13 miała papierosy przeznaczone dla wszystkich członków komitetu – tysiąc paczek – ale sekretarz

Charitonow rozkazał, by stołówka ich nie rozdawała, mówiąc: «Sam je wszystkie wypalę»".

Nikita Łomagin – historyk, który najdogłębniej przekopał się przez archiwa petersburskiej służby bezpieczeństwa – wnioskuje, że skoro raport z tego wydarzenia sporządzono dopiero pod koniec grudnia, to wcześniej swoją działkę musieli też odbierać sami milicjanci. Tym bardziej że – jak trafnie zauważa – żaden z zaangażowanych w ten proceder oficjeli partyjnych nie stracił swojego stanowiska[28].

Zamiast karać nieuczciwych urzędników, przywództwo partii skupiało się na uniemożliwianiu zwykłym ludziom obchodzenia systemu racjonowania. Jednym z pierwszych posunięć Pawłowa było ukrócenie procederu bezprawnego albo wielokrotnego okazywania kartek żywnościowych. Zaraz po przybyciu do miasta we wrześniu zorientował się on, że oficjalne statystyki nie nadążają za olbrzymimi przemieszczeniami ludności, które nastąpiły w ostatnich dwóch miesiącach. Pozwalało to leningradczykom odbierać dodatkowe racje na kartki swoich krewnych czy znajomych, którzy zostali ewakuowani z miasta albo wysłani na front. Dzięki ściślejszym kontrolom i wprowadzeniu kar za nadużycia ograniczono liczbę kartek wydanych w październiku do 2,42 miliona, to jest o 97 tysięcy mniej niż miesiąc wcześniej. To jednak nie wystarczyło, więc 10 października rada miejska przegłosowała rezolucję, podsuniętą przez Żdanowa, o konieczności ponownego zarejestrowania wszystkich kartek. Od 12 do 18 października leningradczycy musieli osobiście stawić się w biurach zarządców budynków albo w swoich miejscach pracy i okazać dokumenty potwierdzające tożsamość po to, by móc otrzymać na swoich kartkach stempel „ponownej rejestracji". Nieostemplowane w ten sposób kartki były po tym okresie konfiskowane zaraz po okazaniu. Ten środek zapobiegawczy ograniczył liczbę pozostających w obiegu kartek na chleb o kolejnych 88 tysięcy, kartek na mięso – o 97 tysięcy, tych na olej i masło zaś – o 92 tysiące.

Z miejsca wzrosła liczba podań o wydanie duplikatów zaginionych kartek. Pawłow zapamiętał, że wszyscy zgłaszający się po nie „opowiadali mniej więcej tę samą historyjkę: «Zgubiłem kartki, kiedy kryłem się przed bombardowaniem albo ostrzałem artyleryjskim»...

Albo też – jeśli ich budynek został zniszczony – «Kartka była w moim mieszkaniu wtedy, gdy w dom trafiła bomba»”[29]. W odpowiedzi zarządzono, że duplikaty kartek może wydawać jedynie centralne biuro do spraw kartek żywnościowych, w dodatku wyłącznie w najlepiej udokumentowanych przypadkach. Z punktu widzenia petentów zmieniało to dobrze im znany proces uciążliwych zmagań z kolejnymi szczeblami machiny biurokratycznej w dosłowną walkę o życie, doprowadzając do powstania – jak to określiła Lidia Ginzburg – „dziwacznego połączenia starej formy (biurokracji) z nową treścią (ludźmi umierającymi z głodu)”:

„Najpierw jest ta złośliwa sekretarka, mówiąca bardzo głośno, wystudiowanym tonem odmowy, z lekka tylko powstrzymując swój urzędowy triumfalizm. Potem ta powolna sekretarka, o pięknych, mocno umalowanych oczach, w ubraniu dalekim od stylu typowego dla oblężenia (…). Patrzy na ciebie bez złośliwości – jej jedynym pragnieniem jest jak najszybciej pozbyć się problemu – a twoją prośbę odrzuca leniwie, nawet z pewną żałością (…). Wreszcie jest ta rzeczowa sekretarka, która… napawa się samym urzędowym procesem. Odmawia ci w sposób napuszony, pośród kazań i pouczeń. I choć ta sekretarka zainteresowana jest wyłącznie tym, co sama mówi, petent, który bez kartki na żywność za kilka dni prawdopodobnie umrze, ma się chociaż przez chwilę poczuć pocieszony całym tym perorowaniem”[30].

Także w grudniu zarządzono, że kartki można wymieniać na żywność jedynie w wyznaczonych sklepach. Ponieważ jednak niektóre sklepy zaopatrywane były wyraźnie lepiej od innych, kolejnym powodem walki na śmierć i życie z wszechwładną biurokracją stawała się próba zarejestrowania w wybranym przez siebie sklepie. Pamiętnikarz Iwan Żylinski, zdesperowany sytuacją w swoim sklepie numer 44, bezustannie okupowanym i wręcz rządzonym przez „chuligańskie babcie”, zdołał przenieść się do bardziej poukładanego Gastronoma, przekupując jego kierownika – oddając mu swoją futrzaną czapkę[31].

Nadmierna krytyka byłaby jednak oderwana od rzeczywistości. Żaden system racjonowania nie mógłby ocalić całej populacji Leningradu: osób do wyżywienia było po prostu zbyt wiele, a zapasy

żywności zbyt szczupłe. Nie można też powiedzieć, by przyjęty w mieście system okazał się całkowitym fiaskiem: ostatecznie jedzenie gromadzono, rozdzielano i organizowano jego rozdawanie w okolicznościach, które łatwo mogły się przerodzić w całkowite zerwanie wszelkich więzów i norm społecznych. System ten miał jednak niezaprzeczalnie kilka poważnych i możliwych do uniknięcia wad, które doprowadziły do śmierci niezliczonych tysięcy ludzi.

Im dłużej trwało oblężenie, tym bardziej rozpowszechniony stawał się zwłaszcza jeden typ oszustw, polegający na ukrywaniu śmierci któregoś z członków rodziny, żeby można było wykorzystywać jego kartkę na żywność aż do momentu jej wygaśnięcia z końcem miesiąca. Jak wspominał Żylinski, mając na myśli swoich sąsiadów mieszkających wraz z nim w dużym drewnianym domu w północnej dzielnicy miasta, Nowej Dieriewni, mężowie w ten sposób pośmiertnie „zapewniali życie" wdowom po nich oraz swoim dzieciom. „Trzymani są w chłodnym miejscu – napisał on pod koniec stycznia 1942 roku – aż do końca miesiąca, bo dzięki ich kartkom można odebrać chleb. Tak właśnie stało się z Sieriebriannikowem i Usachowem – obaj trzymani są w szopie – a także z Syropiatowem i Fiodorowem. Dzieje się tak w całym mieście – o wiele więcej ludzi już zmarło, ale ich ciała są ukrywane"[32].

9. SPADANIE PRZEZ KOMIN

We wrześniu ciche i piękne letnie dni następowały naprzemiennie z jesiennymi wichurami. W październiku lato odeszło na dobre. Spadł pierwszy śnieg, tego roku nadzwyczaj wcześnie, bo już piętnastego, a siatkę miejskich kanałów zaczął pokrywać lód, szarawy przy granitowych nabrzeżach, a ciemno-przezroczysty na zewnętrznych obrzeżach[1]. Gieorgij Kniaziew, co rano zdążający swoim wózkiem wzdłuż wybrzeża Wyspy Wasiljewskiej, zauważył, że krzątający się żołnierze, którzy od jakiegoś czasu naruszali spokój jego „promienia świata", gdzieś zniknęli. Nie było już rzędów maszerujących marynarzy ani odgłosów hełmów przyczepionych do ich plecaków. Nic nie zostało po pędzących ulicami ubłoconych wojskowych ciężarówkach ani po żołnierzach obozujących z końmi na żółknącej już trawie porastającej plac Rumiancewa. Jakiś okręt wojenny przesłaniał mu za to widok na budynek Senatu, kłując w oczy bielą przemalowanych dla zimowego kamuflażu trzech wielkich kominów. Tuż obok sfinksów, wciąż nieobłożonych workami z piaskiem, stała natomiast – na klockach, bo brakowało jej dwóch kół – jakaś ciężarówka. Same sfinksy wyglądały jak „nieszczęsne, nagie szczeniaki wyrzucone na okrutny mróz"[2].

Cały ten okres – od września aż do końca grudnia 1941 roku – był, jak to ujmuje historyk Siergiej Jarow, czasem, w którym leningradczycy „spadali przez komin". Na przestrzeni zaledwie trzech miesięcy Leningrad zmienił się z miasta znajomego i z grubsza oswojonego – z zewnątrz wcale nie tak bardzo różniącego się na przykład od bombardowanego Londynu – w jedną wielką kostnicę, niczym z obrazów Goi. Wszędzie wokół płonęły budynki, czasem całymi dniami, bez żadnych prób ich zagaszenia, a na ulicach walały się zniekształcone ludzkie zwłoki. Ta narastająca spirala upadku oznaczała dla poszczególnych mieszkańców coraz szybsze przechodzenie od

stosunkowo „normalnego" wojennego życia – naznaczonego zamętem, niedoborami czy nalotami – do bezradnego przyglądania się śmierci głodowej swoich mężów, żon, ojców, matek i dzieci, a dla wielu, rzecz jasna, także własnej śmierci.

Te zmiany były tak błyskawiczne, a przy tym przebiegały pośród tak olbrzymich anomalii, że przekazywane pocztą pantoflową wieści o umieraniu ludzi z głodu przyjmowano początkowo z nieufnością. Lidia Ginzburg spisała swoje niezwykle elokwentne wspomnienia z okresu blokady w formie relacji anonimowego „człowieka oblężenia", łączącego w sobie doświadczenia wielu różnych osób. Według niego miejsce głodu „było na pustyni – z wielbłądami i mirażami". Zupełnie „nie wierzyli, że mieszkańcy dużego miasta mogą umierać śmiercią głodową... O pierwszych przypadkach śmierci znajomych jeszcze rozmyślano (mój znajomy? w biały dzień? w Leningradzie? doktor nauk? z głodu?)"[3].

Jelena Skriabina, która po ogłoszeniu wojny w pierwszym odruchu wynajęła za niewielkie pieniądze domek na wsi, również uznawała przewidywania dotyczące śmierci głodowej za „poniżające i absurdalne". Choć sama była odpowiedzialna za czworo niepracujących osób – swoją matkę, dwóch synów i zaawansowaną wiekowo byłą nianię – wróciła do miasta dopiero w połowie sierpnia, wobec czego bardzo późno zaczęła gromadzić zapasy żywności. 15 września wybrała się na obrzeża Leningradu, by tam, w drodze handlu wymiennego, pozyskać od wieśniaków jakieś produkty żywnościowe: „Miałam papierosy, buty mojego męża i kilka par damskich pantofli (...). Wszędzie musiałam błagać, dosłownie się płaszczyć. Chłopi mieli już pełno różnych cennych przedmiotów i nie chcieli nawet ze mną rozmawiać". Kilka dni później udało jej się, po nieskończenie długim staniu w kolejce, kupić wódkę, którą następnie przehandlowała za ziemniaki u jakiejś „starej pijaczki (...). Na szczęście dla nas wokół wciąż nie brakuje takich starych kobiet"[4]. Poszczęściło jej się również z pewnym tatarskim handlarzem ulicznym, który sprzedał jej czekoladę i końskie mięso za gotówkę („to zupełnie niewiarygodne w tych dniach, bo pieniądze są już dziś nic niewarte") i butelkę czerwonego wina.

Jednak, jak zanotowała na początku października, nie wszyscy jej sąsiedzi mieli tyle szczęścia:

„Na naszych oczach ludzie zmieniają się w zwierzęta. Któż by pomyślał, że Irina, kobieta zawsze tak cicha i tak urocza, jest w stanie pobić swojego męża, którego zawsze uwielbiała? I to dlaczego? Bo ciągle tylko chce jeść i zawsze mu mało. Czeka, aż ona przyniesie coś do domu, po czym wręcz rzuca się na jedzenie...

Najbardziej makabryczny widok w naszym mieszkaniu stanowi jednak rodzina Kurakinów. On, powróciwszy z wygnania i wyniszczony latami więzienia, ma już rozdęty brzuch. To wprost straszne! Niewiele zostało też z jego żony, tak kiedyś przezeń kochanej. Jest ciągle podenerwowana i skłonna do kłótni. Ich dzieci płaczą i błagają o jedzenie. Ale zamiast tego tylko dostają w skórę. Kurakinowie wcale nie stanowią jednak wyjątku. Głód zmienił prawie wszystkich".

Kontrasty leningradzkiej ulicy: człowiek dobrze odżywiony i „dystrofik". Ligowski Prospekt, grudzień 1941 roku.

Przed podążeniem tą samą drogą rodzinę Skriabiny uratowały dwa czynniki umożliwiające im przeżycie. Po pierwsze, dysponowali przepustką do stołówki pracowniczej, którą posiadał mąż Jeleny, inżynier. Dzięki niej Skriabinie udawało się dzień w dzień przynosić do domu w metalowych bańkach osiem porcji zupy i cztery porcje owsianki. Po drugie, ratowała ich fikcyjna praca załatwiona przez

jednego z przyjaciół jej piętnastoletniemu synowi Dimie, uprawniająca go do odbierania racji, które przysługiwały dorosłym robotnikom. Choć jej młodszy syn, pięcioletni Jura, w dalszym ciągu żył w beztroskiej i radosnej nieświadomości, „pomagając" dozorcy rąbać drewno na opał czy odśnieżać podwórko, dla nastoletniego Dimy nawet większe racje „robotnicze" okazywały się niewystarczające:

„Stracił zainteresowanie czymkolwiek. Nie chce czytać ani rozmawiać… nie zwraca uwagi nawet na bombardowania. Jedyne, co go obchodzi, to jedzenie. Całymi dniami jest głodny i przetrząsa wszystkie szafki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kiedy nic nie znajduje, żuje fusy po kawie albo te ohydne chrupki olejne, którymi kiedyś karmiono wyłącznie bydło… Jeszcze we wrześniu chodził po mieście, wyszukując rzeczy, które można by kupić, interesując się komunikatami wojskowymi, spotykając się z przyjaciółmi. Teraz wygląda jak stary człowiek, ciągle mu zimno. Całe dnie spędza blisko pieca, opatulony w zimową kurtkę, blady, z ciemnymi sińcami pod oczami. Jeśli nic się nie zmieni, umrze"[5].

Niewiele pomogła kolejna praca, załatwiona przez męża Skriabiny. Dima został posłańcem w szpitalu, skąd wyprawiano go bezustannie w różne rejony miasta przy trzymającym już teraz siarczystym mrozie. Obiecywany mu w zamian wieczorny posiłek często okazywał się nic niewart. Kierownik szpitalnej kuchni to zwykły oszust, wściekała się Skriabina: „Tylko wówczas, gdy Dima przychodzi razem z synem dyrektora, dostaje pełny zestaw – nawet kotlety. Nic dziwnego, że t a m t e n chłopiec jest tak dobrze odżywiony i ma rumiane policzki". 15 grudnia, po tym jak zasłabł na ulicy, Dima położył się na stałe do łóżka – w oblężniczym żargonie „rozłożył się". „Leży w ciszy i nie chce z nikim rozmawiać, tylko wtula twarz w poduszkę. Już nawet nie wstaje, by szukać jedzenia w kuchennych szafkach czy w kredensie… Jest taki wysoki i chudy, i wygląda tak niewiarygodnie żałośnie… Patrzę na niego z przerażeniem. Boję się, że umrze"[6]. W ciągu nieco ponad czterech miesięcy Skriabina przeszła długą drogę od zabawy ze swoimi chłopcami w parku przy pałacu Katarzyny do obserwowania, jak starszy z nich gaśnie z powodu tak, wydawałoby się, prozaicznego jak niedożywienie.

Olga Grieczina mieszkała z matką i młodszym bratem Wołodią (zdrobniale Wową) w eleganckiej kamienicy o szarej elewacji i pompatycznych zdobieniach, stojącej w połowie długości ulicy Majakowskiego, jednej z niegdyś wspaniałych, ale wówczas już mocno podupadłych arterii odchodzących od Newskiego Prospektu. Jej ojciec, lekarz, zmarł kilka lat wcześniej, a starszy brat Leonid został powołany do wojska. W październiku, gdy już zwolniono ją z obowiązku kopania rowów, Grieczinie udało się odwiedzić Leonida w jakiejś wsi koło Szlisselburga, w której stacjonowała jego bateria moździerzy. Poznała również jego nową narzeczoną, sanitariuszkę, która – zdaniem Olgi – zupełnie do niego nie pasowała. Upierała się, żeby wszyscy razem sfotografowali się „głowa przy głowie, z uśmiechami, w najlepszej wiejskiej tradycji", a potrafiła mówić chyba tylko o zasłonach i firankach. Leonid, podobnie jak żołnierze z jego oddziału, był radosny – wszyscy cieszyli się, że uszli z życiem z okrążenia pod Kingisepp. Nie mieli jednak ani chleba, ani cukru, a ich konie były bardzo wychudzone i próbowały gryźć swoimi wielkimi żółtymi zębami drewniany ganek, do którego były przywiązane. W jednostce brakowało też amunicji: „Każda bateria dostaje pięć pocisków. Kiedy je wystrzelimy, Niemcy odpowiadają ogniem, który trwa nawet dwadzieścia cztery godziny, a my nie możemy już nic zrobić, bo nie mamy czym strzelać".

Wkrótce po powrocie Olgi do Leningradu jej matka wpadła pod samochód podczas zaciemnienia. Choć odniosła tylko niewielkie obrażenia, szybko zaczęła opadać z sił i odtąd trzeba jej było pomagać przy schodzeniu do piwnicy na czas nalotów. Uparła się też, by dzielić się swoją racją żywnościową z ich psem, ukochaną „futrzastą kuleczką" wabiącą się Kasztanka. Kiedy psa ktoś ukradł – jeśli wierzyć plotkom, po to, by go zjeść – Olga odczuła niejaką ulgę. Nieformalny system wzajemnych przysług, dzięki któremu Rosjanie radzili sobie jakoś z brakami oraz z biurokracją – określany jako *błat* – teraz, jak zauważyła Grieczina, zaczął się załamywać. Po lekarstwo dla matki Olga udała się do byłego kolegi ojca, doktora Michajłowa. Był on winien Grieczinom przysługę, odkąd, jeszcze w roku 1916, przyłapano go na ratowaniu przed egzekucją „samostrzelców" – żołnierzy, którzy sami postrzelili się

w lewą dłoń po to, by jako inwalidzi wydostać się z wojska (mieli zostać odesłani). Ojciec Olgi nie zadenuncjował go, choć tak należało postąpić, lecz założył nowe szwy na dłoniach żołnierzy (tak, by ukryć rany po kulach), a jego samego przeniósł do innego szpitala. Michajłow pracował teraz w klinice mieszczącej się w piwnicy budynku stojącego całkiem niedaleko kamienicy Grieczinów, przy Pestla, ładnej uliczce w stylu włoskim, zamkniętej z obu stron dwoma kościołami o doskonale wyważonych proporcjach. Olga odnalazła go „obleganego przez stare kobiety – przynajmniej tak to wtedy wyglądało. On sam też zresztą wydawał się już mocno posunięty w latach. Poprosiłam go, żeby przyszedł obejrzeć mamę, ale odmówił, mówiąc: «Słuchaj, teraz chodzimy do domu tylko w wyjątkowych wypadkach, a ona ma już postawioną diagnozę i przepisane lekarstwa». Pamiętam, że byłam oburzona i zgromiłam go, że jak to – on, wychowany w tradycji humanistycznej, wierny przysiędze Hipokratesa, odmawia odwiedzin u chorej osoby? Wysłuchał mnie ze smutkiem, a potem powiedział: «Jeśli do was przyjdę, nie będę już w stanie wrócić do domu. Wszystko mam wymierzone: raz dziennie mogę przejść dystans z ulicy Czajkowskiego na Pestla. Na więcej nie mam już sił. A jeśli nie przyjdę do pracy, co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi?» – i wskazał na drzwi, za którymi czekali jego pacjenci”.

Kolejny doktor, któremu Olga zapłaciła z góry za wizytę domową, najpierw cynicznie poradził jej, by karmiła matkę rosołem i mlekiem, a następnie – już w kuchni – wypisał receptę na środki uspokajające. Po jego wyjściu Olga zauważyła, że z blaszanego pudełka na kuchennym stole zniknęła część znajdujących się tam słodyczy.

W listopadzie zarówno Olga, jak i Wowa znaleźli pracę. Wowa został palaczem – musiał wprawdzie rąbać i ładować drewno, ale za to miał zapewnione ciepło i posiłek. Olga podjęła pracę w zakładzie poligraficznym zamienionym teraz w fabrykę amunicji. Sprawdzała jakość produkowanych tam łusek pocisków, a także przenosiła je z jednego stanowiska roboczego na drugie. Choć łuski były ciężkie, tłuste od smaru i pokryte metalowymi opiłkami, które kaleczyły jej dłonie, dzięki tej pracy zarabiała tygodniowo dwieście trzydzieści rubli, a do tego dostawała tyle zupy („tak naprawdę to raczej gorącej wody”),

ile tylko zdołała wypić albo zabrać do domu dla matki. Pod koniec miesiąca nadeszła wiadomość o pierwszej śmierci w rodzinie – Leonid zginął w bitwie niedaleko miejsca, w którym kilka tygodni wcześniej odwiedziła go Olga.

Na początku grudnia opuchnięte nogi i niegojące się rany na dłoniach zmusiły Olgę do porzucenia pracy. Wtedy też zaczęły do niej docierać wieści o umierających sąsiadach z jej kamienicy. Pierwszymi, którzy odchodzili, byli (dość typowo w przekroju całego miasta) podrzędni pracownicy: najpierw blokowy portier – „bardzo schludny i szanowany człowiek" – oraz jego żona, następnie dozorca, po nim „niski, wąsaty i ponury hydraulik, mieszkający na pierwszym piętrze i bez przerwy ganiający chłopaków za chuligaństwo". Kolejni byli pozostali mieszkańcy budynku, począwszy od męża śpiewaczki mieszkającej piętro wyżej i ich upośledzonego umysłowo syna:

„Pewnego grudniowego wieczoru, około godziny dwudziestej trzeciej, ktoś zastukał do drzwi. Otworzyłam, a tam stała sąsiadka N. z małą szklaneczką w dłoni. Powiedziała:

– Mój syn umiera. Błagam, dajcie mi łyżkę oleju słonecznikowego! Jeśli wleję mu go do ust, może zdołam go uratować.

– Ale ja już nie mam oleju!

– Na pewno masz, musisz mieć! Musisz uratować mojego syna!

Ja dalej się upierałam, że nie mam, chociaż w rzeczywistości miałam sto gramów oleju, otrzymanych przypadkiem, już nawet nie pamiętałam gdzie, na moje kartki. Ale nie mogłam go oddać N. – karmiłam nim mamę. Gdybym oddała go synowi N., którego zresztą zawsze uważałam za bardzo nieprzyjemnego, co miałabym dawać swojej mamie? Zezłościłam się na N. – odmawiając jej, odczuwałam straszliwy wstyd – a ona sobie poszła. Rano jej chłopiec zmarł. Poczułam się jak morderczyni"[7].

Tak jak słabły organizmy leningradczyków, zawodzić zaczynał też krwiobieg samego miasta. W październiku elektrowniom zaczęło brakować opału, wskutek czego znacząco ograniczono dostawy prądu. Do trolejbusów, już wcześniej zarekwirowanych i zamienionych na ambulansy, dołączyły teraz tramwaje, unieruchomione w różnych

punktach na trasie swojego kursowania, które szybko zaczęły pokrywać się szronem i soplami lodu. Ich wyłączenie z ruchu, jak zauważyła Ginzburg, „uświadomiło mieszkańcom «nieznaną współczesnemu człowiekowi realność miejskich odległości»", wydłużając poszczególne ulice, a zwłaszcza niczym nieosłonięte wietrzne mosty na Newie. Miasta nie odśnieżano, więc wszystkie arterie, poza tymi największymi, były nieprzejezdne, a normalnym widokiem stały się wąskie ścieżki wydeptywane przez ludzi w śniegu, które wyznaczały odtąd nowe skróty wiodące w poprzek miejsc zniszczonych przez bombardowania i bez ogrodzeń porozkradanych na opał. Zakrywające okna poszczególnych bloków i kamienic pomysłowe konstrukcje ze starych gazet, papieru pakowego, desek i sklejki nie wydawały się już, jak na początku wojny, tak dziwaczne i krzykliwe; teraz deskowania te miały w sobie jakąś „pogrzebową symbolikę", piętno „ludzi stłoczonych razem w jednym miejscu, ginących, pogrzebanych żywcem"[8].

Począwszy od 27 listopada w blokach zabroniono używania elektryczności w godzinach od dziesiątej rano do piątej po południu, kiedy i tak prąd pojawiał się bardzo nieregularnie albo zgoła wcale. Leningradczycy, aby zapewnić sobie oświetlenie i ciepło, powrócili więc do starych i wypróbowanych sposobów stosowanych na wsi. Metodą chałupniczą wyrabiano różnego rodzaju lampy – zaimprowizowaną latarnię sztormową zwaną „nietoperzem" czy *koptiłkę*, czyli „kopciucha", składającą się z knota zanurzonego w małej butelce, blaszanej puszce albo odwróconym wieczku od czajnika. Wszystkie one paliły się, wydzielając mnóstwo lepkiej czarnej sadzy, która osiadała na twarzach, dłoniach i ścianach mieszkań. Kiedy skończyła się nafta – ostatni jej przydział, w wysokości dwóch i pół litra na osobę, rozdano we wrześniu – zamiast niej zaczęto palić kamforę, odplamiacze, smary maszynowe, wodę kolońską i środki owadobójcze. Wszystkie te substancje błyskawicznie zniknęły ze sklepów i osiągały z biegiem czasu coraz bardziej zawrotne ceny na czarnym rynku. Drugim niezbędnym elementem wyposażenia domów w okresie oblężenia były małe, zwykle wyrabiane metodą chałupniczą, metalowe piecyki zwane *burżujkami*. Ich rury były wyprowadzane bezpośrednio na zewnątrz przez zabite deskami albo zatkane pakułami górne lufciki w oknach. Palono w nich

drewno odzyskiwane ze zbombardowanych miejsc, meble (sprzedawane na ulicach szafy kosztowały więcej, jeśli były już porąbane), krzyże zdejmowane z grobów na cmentarzach, książki i klepki parkietu. Gieorgij Kniaziew w rozmowie z tatarską żoną palacza z Akademii usłyszał radę, żeby wkładać do swojego piecyka wysuszone odchody, jak to czynili Tatarzy na stepie. Sama nazwa *burżujka* – niedwuznacznie nawiązująca do „burżuazji" – wzięła się albo od przysadzistego kształtu piecyków, albo od ich dużego zapotrzebowania na opał, albo wreszcie od faktu, że to właśnie byłe mieszczaństwo używało tego rodzaju sprzętu podczas wojny domowej. W jednym z raportów ze stycznia 1942 roku odnotowano, że materiały i narzędzia z metalu potrzebne do wyrobu *burżujek* kradziono z fabryk i sprzedawano na czarnym rynku. Trzecim, a dziś bodaj najbardziej żywym ze wszystkich symboli blokady, były sanki, niegdyś dziecinna zabawka, która zamieniła się w niezbędny środek transportu drewna na opał, wody, a na końcu także martwych ciał.

Leningradczycy musieli też opanować inne umiejętności charakterystyczne dla życia na wsi. Nauczyli się więc, że drewno brzozowe pali się dobrze, a osikowe źle, że suszone liście klonu mogą zastępować tytoń, że skręcony z nich papieros – zawinięty w kawałek gazety – można zapalić, przepuszczając promienie słoneczne przez szkło od okularów albo uderzając metalem o kamień. O dziwo, tylko nieliczni próbowali wędkowania pod lodem, prawdopodobnie z powodu braku odpowiedniego sprzętu i umiejętności. Producent teatralny Aleksandr Dymow czuł się niczym w maszynie czasu. Blokada cofnęła Leningrad z powrotem do XVIII wieku, ale w rzeczywistości było nawet gorzej niż wtedy – ludzie bowiem nie mieli już futrzanych płaszczy, na rogach ulic nie było studni, wodę zaś trzeba było nosić w garnkach, a nie w wiadrach zawieszonych na koromysłach[9]. W większości bloków i kamienic zaopatrzenie w wodę słabło stopniowo, poczynając od najwyższych pięter. Kiedy „wysychał" już ostatni kran, mieszkańcy udawali się najpierw do sąsiedniego bloku, a następnie do pękniętych rur i przerębli wycinanych przez strażaków w zamarzniętych kanałach lub rzekach. Z czasem woda wylewająca się przez takie otwory zamarzała, tworząc lodowe pagórki, na które trzeba się było wspinać na

czworakach, wlokąc za sobą swój pojemnik. Lichaczowowi udało się dobrać do wody z hydrantu pożarowego, którą zaciągał do domu w ocynkowanej wanience dla niemowlaków. Jak zauważył, po drodze rozlewało się mniej wody, jeśli wrzuciło się do niej kilka patyków, które pływały po powierzchni. Okazało się też, że jego zaawansowany już w latach ojciec („najbardziej niekonsekwentny i porywczy człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem"), jako weteran wojny domowej – w czym przypominał *burżujki* – zadziwiająco dobrze rąbie drewno. Lichaczow odkrył poza tym pewną prawidłowość: oblężenie przeżywali zoologowie, ponieważ wiedzieli, jak łapać szczury i gołębie. Niepraktyczni matematycy umierali.

Pranie ubrań przy uszkodzonej rurze wodociągowej na jednej z ulic oblężonego Leningradu.

W miarę jak oficjalne racje żywnościowe malały, a prywatne zapasy się wyczerpywały, leningradczycy na własną rękę rozpoczęli coraz

bardziej desperackie poszukiwania rozmaitych substytutów jedzenia. Najpopularniejsze były makuchy i *duranda* – plewy lnu oraz ziarna bawełny i konopi albo pestki słonecznika, sprasowane w jednolite bloki, którymi normalnie karmiono bydło. Po starciu na tarce i obsmażeniu w oleju robiono z nich „naleśniki", a wielki trud, który trzeba było włożyć w ich przygotowanie, pozwalał odnosić podnoszące na duchu wrażenie, że oto gotuje się jakiś prawdziwy posiłek. Kolejnym niemal powszechnie jedzonym pokarmem był klej stolarski, wyrabiany z kości i kopyt zwierząt zarzynanych w ubojni. Lichaczow znalazł w Domu Puszkina osiem zestalonych płatów tego kleju, jego żona namoczyła je w kilkakrotnie zmienianej wodzie, a następnie zagotowała z dodatkiem liści laurowych, by otrzymać gar śmierdzącej galarety, do której zjedzenia zmuszali się, przyprawiając ją octem i musztardą. Zagotowali także semolinę używaną do czyszczenia białych kożuchów ich córek: „Pełno w niej było wełnianych nitek i rozmaitych szarych brudów, ale ogólnie byliśmy z niej zadowoleni". Pewien wykładowca w ASP przeszukiwał natomiast mieszkania ewakuowanych przyjaciół: „Wszedłem do jej pokoju, grzebałem w szafach, znalazłem jakieś zzieleniałe, pleśniejące już sucharki i coś jeszcze. Uzbierałem sporą torebkę. Ogromnie byłem ucieszony, że zdobyłem tyle rzeczy jadalnych… Potem pewien student przyniósł mi makuchy w prezencie. Przyniósł trzy placki. To była wtedy kolosalna rzecz – trzy placki makuchów!"[10]. Jadł on także olej z siemienia lnianego oraz klej wyrabiany z ryb, zwykle używany do mieszania farb i gruntowania płócien malarskich.

Substytuty żywności często bywały niebezpieczne. Nawet jeśli same w sobie nie były trujące, mogły powodować biegunkę i wymioty albo uszkadzać już naruszoną wyściółkę żołądka. Były jednak lepsze niż nic. Jak odkryli leningradczycy, potrzebne kalorie zawierały się na przykład w glicerynie, podobnie jak w proszku do zębów, lekarstwie na kaszel czy kremie kosmetycznym. Robotnicy fabryczni jedli przemysłową kazeinę (rodzaj białka wykorzystywany także przy produkcji farb), dekstrynę (używaną do wiązania piasku w formach odlewniczych), smar czołgowy i rozmaite smarowidła do maszyn. W Instytucie Fizjologicznym Pawłowa jedzono psy używane do eksperymentów, w innej placówce

badawczej naukowcy rozdzielili między siebie zapasy „ekstraktu Liebiga" – mięsnego wywaru zrobionego z embrionów cielęcych i używanego jako pożywka dla hodowli bakterii. Jeden z ojców przyniósł do domu przeżarte już robactwem kolano renifera zabitego podczas nalotu w zoo[11].

Zjedzono również olbrzymią większość zwierząt domowych. „Przez cały dzień – pisała żona do walczącego na froncie męża – zajmujemy się wyszukiwaniem czegoś do jedzenia. Razem z tatą zjedliśmy dwa koty. Bardzo trudno je znaleźć i złapać, więc teraz wszyscy szukamy jakiegoś psa, ale psów także nigdzie nie widać"[12]. Jedna z rodzin, by oszczędzić sobie wstydu przed sąsiadami, używała, rozmawiając o kocim mięsie, francuskiego słowa *chat* – wymawianego, jak na ironię, dokładnie tak jak rosyjskie „sza" na uciszenie kogoś. Byli tacy, którzy wymieniali się zwierzętami domowymi, by nie musieć jeść swoich własnych, albo handlowali nimi pokątnie, wymieniając na inne potrzebne dobra. Pewna nauczycielka przyniosła do domu odręczne ogłoszenie, które znalazła przyklejone od strony ulicy do okna swojego pokoju nauczycielskiego. Brzmiało ono: „Oddam 4,5 metra flaneli i piecyk prymus w zamian za kota" i wywołało „długą dyskusję na temat: czy jedzenie kotów jest etyczne czy nie?"[13]. Tego typu skrupuły szybko straciły jakiekolwiek znaczenie. Oto jak jedna z ocalałych z oblężenia wspomina kolegów swojego ojca, astronoma pracującego w obserwatorium w Pułkowie:

„Nie wszyscy rodzice kochają własne dzieci tak mocno, jak Messer i jego żona kochali swojego wielkiego pointera Graalię. Kiedyś, gdy Jelizaweta Aleksiejewna obserwowała tego psa bawiącego się na trawie, rozczulała się, a do oczu napływały jej łzy. W sezonie łowieckim Messer co niedzielę zabierał zaś ukochanego czempiona na polowanie, wymaszerowując na nie z dumą i pompą, w oficjalnym, prawdziwie niemieckim stylu.

A w styczniu 1942 roku ją zjedli. Messer podcinał jej gardło, podczas gdy Jelizaweta Aleksiejewna ją przytrzymywała. Pies był silny, nie mogli sobie dać rady we dwójkę, więc poprosili o pomoc Pimienową,

w zamian obiecując jej kawałek mięsa. Kiedy było już po wszystkim, dostała od nich jednak tylko jelita”[14].

W tym właśnie okresie zawartość prywatnych zapasów jedzenia i dóbr nadających się do wymiany zaczęła wyznaczać granicę między życiem a śmiercią. Jedna z rodzin odkryła u siebie pełną walizkę „skamieniałych” sucharów, schowanych na czarną godzinę przed dwudziestu laty, w czasie wojny domowej. Inna, jak wspominał pewien dziesięcioletni pamiętnikarz, natrafiła na pudełko świeczek, które udało się sprzedać za 625 rubli, choć w roku 1923, gdy jego ojciec przyniósł je do domu, kosztowały zaledwie po osiem kopiejek za sztukę. Filolog klasyczna Olga Fridenberg i jej matka utrzymywały się przy życiu dzięki paczce puszek, którą obie przygotowały wcześniej dla brata pamiętnikarki przed jego wyjazdem do gułagu. Inna kobieta sprzedała z kolei ubrania nieżyjącego męża, zakupione przed jego wyjazdem do Ameryki jeszcze przed wojną. Wyjazd ten kosztował go zresztą życie, bo w czasach Wielkiego Terroru został rozstrzelany za sprzyjanie kapitalistom. Teraz za to jego dobrej jakości garnitury i marynarki pozwoliły ocalić resztę rodziny.

Kiedy brakowało jedzenia, pojawiały się marzenia i fantazje. Igor Kruglakow, w czasie oblężenia liczący osiem lat, pamięta, jak wraz z siostrą przetrząsał rodzinne pudła z ozdobami bożonarodzeniowymi w poszukiwaniu orzechów włoskich: „Ich zawartość była zeschnięta i nadpsuta, ale i tak je zjedliśmy, smakowały nam jak prawdziwe jedzenie. Wydłubaliśmy też wszystkie okruchy ze szczelin w naszym wielkim, wiecznie brudnym stole kuchennym – one też wydawały się nam prawdziwym jedzeniem. Nie mogę powiedzieć, by podniosło nas to na duchu, był to po prostu jakiś sposób na zabicie czasu”. Pod koniec listopada jego dziadek zmarł na „biegunkę głodową” (matka rozpaczała, że mogło się tak stać, ponieważ w desperacji dała mu do picia rozwodniony nadmanganian potasu, ów jasnofioletowy uniwersalny środek odkażający znany jako *margancowka*). Dzieci, jeszcze niedawno biegające po ulicach w poszukiwaniu szrapneli, teraz leżały w łóżku, kuląc się z zimna i przeglądając dziewiętnastowieczną książkę o ptakach oraz poradnik autorstwa pani Mołochowiec zatytułowany *Prezent dla młodych gospodyń*, zawierający przepisy na galarety, musy,

tort biszkoptowy i pieczone prosię. „Po raz pierwszy w życiu czytałem słowa «babka rumowa». W książce były też obrazki, dość proste, ale i tak sprawiały nam przyjemność”[15]. Jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów eksponowanych w Petersburskim Muzeum Obrony Leningradu jest wymyślony jadłospis przelany na papier przez wygłodniałego szesnastolatka, Walę Czepko. Wykaligrafował on starannie: „Menu na czas po głodowaniu, jeśli będę jeszcze żył. Pierwsze danie: zupa ziemniaczano-grzybowa albo kapuśniak z kawałkami mięsa. Drugie danie: kasza owsiana z masłem albo perłowa z prosa lub jęczmienia, albo gryczana, albo ryż, albo kasza manna. Danie mięsne: gałki mięsne z purée ziemniaczanym, kiełbaski z purée ziemniaczanym albo z kaszą. Ale i tak nie ma sensu o tym marzyć, bo przecież nie dożyjemy tej chwili”. Nie dożył, zmarł w lutym.

Kto wie, czy nie smutniejsze od przykładów fizycznej degradacji były jednak sytuacje, w których głód niszczył osobowości i relacje międzyludzkie. Troszcząc się coraz bardziej głównie o jedzenie, ludzie stopniowo zatracali wszelkie zainteresowanie światem wokół nich, a w skrajnych przypadkach wszystkim, co nie pozwalało im zdobyć czegoś do jedzenia. „Przed wojną – napisała Jelena Koczina już 3 października – ludzie stroili się w szaty odwagi, wierności zasadom, uczciwości – czego tylko im się podobało. Huragan wojenny strząsnął z nich wszystkich te łachmany: teraz każdy jest tym, kim tak naprawdę zawsze był, a nie takim, jakim chciał być postrzegany”.

Jej dziennik, spisywany na marginesach starych gazet, kawałkach papierowej tapety czy na odwrocie zadrukowanych formularzy, z bolesną szczerością przedstawia stopniowy rozpad jej własnego małżeństwa. Tuż przed wybuchem wojny Jelena była radosną kobietą, przepełnioną zachwytem nad nowo narodzonym dzieckiem i kochającym ją mężem. „Dima jest na urlopie – pisze 16 czerwca, patrząc, jak mąż zmienia dziecku pieluchę. – Cały dzień zajmuje się naszą córeczką: kąpie ją, ubiera, karmi. Jego starannie utrzymane, wrażliwe dłonie projektanta radzą sobie z tym wszystkim z zadziwiającą wprawnością. Przez włosy przeświturje mu słońce, rozświetlając jego pogodną twarz”. Sześć dni później na tę szczęśliwą, młodą rodzinę, podobnie jak na miliony innych, spadła wieść o inwazji:

„Wyszłam z Leną do ogrodu, zabrałam też jej kolorowe grzechotki. Słońce świeciło już całkiem mocno. Nagle krzyk i odgłos tłuczonych naczyń. Koło domu przebiegła kobieta, która jest właścicielką naszej daczy. «Jeleno Iosifowno! Wojna z Niemcami! Właśnie ogłosili to przez radio!»". Dwa tygodnie po rozpoczęciu wojny między nią a mężem wybuchła pierwsza poważna kłótnia o to, czy Jelena powinna, czy też nie powinna wyjechać do Saratowa wraz ze swoim instytutem. Ostatecznie Jelena postanowiła nie uczestniczyć w ewakuacji, a domknięcie pierścienia oblężenia uwięziło całą rodzinę w Leningradzie. Przez cały wrzesień Dima prawie w ogóle nie spał. Nocami uczestniczył w patrolu przeciwpożarowym lokalnej brygady obrony cywilnej, a po pracy chodził kopać ziemniaki na zapomnianym zagonie warzywnym. Jelena zaś co rano maszerowała z córeczką wzdłuż nabrzeża Newy do szpitala dziecięcego po wydawaną tam rację mleka sojowego dla niemowlaków:

„Klony płoną gorącą czerwienią, niczym dogasające węgle w ognisku. Liście opadają powoli, trafiając prosto do moich rąk. Zabieram je do domu i układam na parapecie, co rano nowe. Może to ostatnie liście w moim życiu. Grad pocisków artyleryjskich smaga nabrzeże, lądując na terenie Akademii Sztuk i Uniwersytetu. Czasami pociski spadają naprawdę blisko, a my widzimy przewracających się ludzi.

W szpitalu Lena natychmiast wypija swoje mleko. Kiedy się kończy, płacze rozdzierająco, wyciągając rączki w kierunku białych butelek dla niemowlaków… Ale nikt nie da jej więcej: racja wynosi tylko 125 gramów".

Dima został przeniesiony do fabryki zbrojeniowej, gdzie pracował jako operator tokarki, co dawało mu prawo do kartki przysługującej robotnikom fizycznym:

„Podczas przerwy obiadowej przynosi mi swój posiłek: mały kotlet mięsny i dwie łyżki purée ziemniaczanego. Pomimo moich protestów zmusza mnie, bym zjadła to wszystko sama: «Jedz, proszę, musisz karmić Lenę. O mnie się nie martw, jestem najedzony». Ale ja widzę, że to nieprawda – on je tylko zupę. Długo tak nie wytrzyma, a zresztą, ja i tak z dnia na dzień mam coraz mniej mleka".

Na początku października, mimo że oboje musieli już napocząć swoje żelazne rezerwy ziemniaków i sucharów, mleko Jeleny skończyło się definitywnie. „Nocami wypijam cały dzban wody, ale to nie pomaga. Lena strasznie płacze i drapie moją pierś niczym młode jakiegoś dzikiego zwierzęcia (biedactwo!). Oddajemy jej teraz całe masło i cały cukier, jakie możemy dostać na nasze kartki żywnościowe". 10 października Jelena po raz pierwszy zapisała, że podejrzewa Dimę o potajemne podjadanie sucharów, gdy jej akurat nie ma w domu. Skończyły się one cztery tygodnie później, co sprawiło, że z możliwych pokarmów dla dziecka pozostało im tylko czterysta gramów prosa. („Teraz przeklinam sama siebie, że kupiłam go tylko dwa kilo w sklepie komercyjnym. Ależ byłam głupia!"). Nie ufając już mężowi, Jelena zaczęła chować proso przed każdorazowym wyjściem z mieszkania – „w kominie, pod łóżkiem, pod materacem. Ale on je wszędzie znajdzie". 26 listopada, wracając niespodziewanie do domu, nakryła go na gorącym uczynku:

„– Ani mi się waż! – wykrzyknęłam, tracąc panowanie nad sobą.

– Zamknij się, nic na to nie poradzę.

Spojrzał na mnie z desperacją. Nawet nie próbował uniknąć mojego spojrzenia, jak to robił przez kilka ostatnich dni. Zamknęłam się, a gniew mi przeszedł... W końcu, oddając mi swoje obiady, musiał przecież zacząć odczuwać głód przede mną".

Proso skończyło się 2 grudnia. Dwa dni później Jelenie udało się zdobyć na swoje kartki makaron. Stało się to przez przypadek i dzięki uprzejmości pewnej nieznajomej. Oto chodząc po ulicach w poszukiwaniu jakiegoś jedzenia na sprzedaż, Jelena zauważyła wóz konny załadowany skrzyniami:

„Za wozem, niczym za karawanem, ciągnął się cały tłum ludzi. I ja dołączyłam się do tej dziwacznej «procesji żałobnej». Jak się okazało, w skrzyniach był makaron, ale nikt nie wiedział, gdzie ma trafić. Woźnica uparcie się nie odzywał. Widząc przed sobą jakiś sklep, pobiegliśmy tam na wyścigi i pośród obelg i wyzwisk ustawiliśmy się w kolejkę. Zachowywaliśmy się jak tresowane zwierzęta. Ale koń tylko łypnął na nas swoimi wielkimi, pięknymi oczami i pociągnął wóz dalej.

Wysypując się z kolejki, pobiegliśmy w ślad za nim. Powtarzało się to pięć razy…

Wreszcie wóz się zatrzymał przy jednym z kolejnych sklepów. Przed nim stała już długa kolejka, zakręcająca aż za najbliższy róg… Strażnik bram raju, czyli kierownik sklepu, odliczał «dusze wiernych», wpuszczając do środka jednorazowo po dziesięć osób. Stałam i bezmyślnie się przypatrywałam. Nie wiem, co takiego wypisane było na mojej twarzy, ale nagle jakaś starsza kobieta stojąca w kolejce zapytała mnie łagodnie: «Kiedy jest wasza kolej?». Odpowiedziałam, że nie jestem w kolejce, a stawanie w niej teraz byłoby bezcelowe, bo i tak makaronu nie wystarczy dla wszystkich. Dodałam też, czego zwykle nie robię, że mam w domu małe dziecko i nie wiem, czym będę je teraz karmić".

Kobieta nic nie powiedziała, ale – gdy drzwi otworzyły się ponownie – wepchnęła Jelenę do środka, a sama pozostała na zewnątrz. „Byłam tak oszołomiona, że nawet wówczas, gdy miałam już makaron w trzęsących się z podniecenia rękach, wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się stało".

Czas kupiony dzięki temu aktowi miłosierdzia był jednak krótki. Choć Dima zdołał jeszcze, kosztem ogromnego wysiłku fizycznego, zrobić dla nich *burżujkę* z pordzewiałego metalu wydobytego z leju po bombie, do połowy grudnia popadł już w apatię i paranoję. Przestał chodzić do pracy, nie pomagał jej zajmować się dzieckiem, a wstawał z łóżka tylko po to, by iść do sklepu po chleb. Kawałek dodawany dla uzupełnienia wagi, jakże cenny *dowiesok*, zjadał zresztą w całości w drodze do domu. Jego sposób poruszania się, zanotowała Jelena, przypominał teraz ruchy „zepsutego robota", jego twarz miała „skamieniały" i „dziki" wyraz, oczy otaczała sadza, a skóra na jego twarzy, opuchłej i obrzękłej, lśniła niczym lakier. Jej własna twarz także była już napuchnięta – wyglądała teraz „jak tylna część świni". Żadne z nich nie potrafiło już myśleć o niczym innym poza jedzeniem:

„Nalewam cztery chochle «zupy» [zrobionej z kleju stolarskiego i pokruszonego chleba] dla Dimy i dwie dla siebie. Z tego powodu to ja mam prawo wylizać garnek, chociaż zupa jest tak cienka, że tak naprawdę nie ma tam nic do wylizywania. Dima je swoją porcję łyżeczką do herbaty, żeby starczyła mu na dłużej. Ale dziś skończył jeść

szybciej ode mnie. Trafił mi się jakiś wyjątkowo twardy kawałek skórki, który przeżuwałam z całym namaszczeniem. Wyczułam, jak spogląda z nienawiścią na moje miarowo poruszające się szczęki.

– Ty tak specjalnie jesz bardzo wolno! – wykrzyknął nagle ze złością. – Próbujesz zadawać mi tortury!

– O co ci chodzi? Po co miałabym to robić? – wyrwało mi się ze zdumieniem.

– No, proszę cię, nie zaprzeczaj, przecież wszystko widzę.

Wpatrywał się we mnie oczami pobladłymi z nienawiści. Byłam przerażona. Czy on oszalał?".

Wiera Inbier po raz pierwszy zobaczyła trupa ciągniętego na sankach 1 grudnia. „Nie było żadnej trumny. Zawinięto go w biały całun, pod którym wyraźnie odróżniały się kolana, bo płótno było obwiązane bardzo mocno. Jak w pochówku biblijnym albo z czasów starożytnego Egiptu. Sylwetka ludzkiego ciała była wystarczająco dobrze widoczna, ale nie sposób powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta". Pod koniec miesiąca taki widok stał się już powszechny. Jak raportowało NKWD Żdanowowi właśnie pod koniec grudnia, jeszcze w październiku „w związku z trudnościami z jedzeniem" zmarło w Leningradzie 6199 osób, co stanowiło wzrost o prawie 80 procent w stosunku do średniej miesięcznej liczby zgonów sprzed wojny, wynoszącej około 3500. W listopadzie liczba ta wzrosła do 9183, a do 21 grudnia – do 39 073. Każdego z pięciu dni poprzedzających datę raportu odnajdywano na ulicach od 113 do 147 trupów. Śmiertelność była szczególnie wysoka wśród mężczyzn (71 procent łącznej liczby ciał), osób powyżej sześćdziesiątego roku życia (27 procent łącznej liczby) i niemowląt (14 procent). Jak odnotowywał raport, mimo aresztowania 1524 „spekulantów", ceny żywności, którą wymieniano na inne dobra w oficjalnie nielegalnym, ale w praktyce tolerowanym, handlu ulicznym, wzrosły do niebotycznego poziomu. Futro z królików warte było jeden *pud* (16 kilogramów) ziemniaków, kieszonkowy zegarek – półtora kilograma chleba, para filcowych butów w komplecie z nakładanymi na nie kaloszami – cztery kilogramy *durandów*. W ostatnich sześciu dniach grudnia zmarło kolejnych 13 808 ludzi, podnosząc liczbę ofiar śmiertelnych w tym miesiącu do niemal 53 tysięcy[16].

Ten wzrost uważnie śledzono także w Berlinie. Wywiad wojskowy, jak również Sicherheitsdienst, formacja wywiadowcza SS, regularnie słały raporty na temat warunków panujących w mieście, zestawiając doniesienia pozyskiwane od informatorów, dezerterów i jeńców wojennych. Sicherheitsdienst raportował 24 listopada:

„Zaczęły się szerzyć choroby. Szczególnie kobiety są podatne na poważne infekcje gardła, a to ze względu na niewystarczające albo zupełnie nieistniejące ogrzewanie w lokalach domowych, a także rozbite szyby w oknach. Śmiertelność wśród dzieci jest dość wysoka. Odnotowano przypadki duru brzusznego i tyfusu plamistego, choć nie można jeszcze mówić o epidemii. Zaobserwowano również liczne przypadki czerwonki”[17].

Dwa tygodnie później kolejny raport wywiadu, nadesłany z 18 Armii von Küchlera, chwalił się skutecznym ostrzałem artyleryjskim, zakończonym trafieniami w szpital, dom kultury, Teatr Maryjskiego, magazyn żywności, bocznice tramwajowe oraz biura „Leningradzkiej Prawdy”. Odnotowano w nim, że ofiar tych bombardowań nie zabierano już autobusami, ale wozami ciągniętymi przez konie, o które zresztą też często było trudno ze względu na brak paszy. Najwięcej miejsca niemiecki wywiad poświęcił jednak zjawisku narastającego głodu. Jak słusznie zauważał, racje żywnościowe dla cywilów były obniżane już pięciokrotnie od początku września, a „zła organizacja dystrybucji żywności” sprawiała, że posiadacze kartek otrzymywali często nawet mniej niż należny im przydział albo wręcz nic. „Zdarza się, że coraz bardziej osłabieni robotnicy tracą przytomność na stanowiskach pracy. Odnotowano już także pierwsze przypadki śmierci głodowej. Można z tego wnioskować, że w nadchodzących tygodniach będziemy świadkami dalszego znaczącego pogorszenia sytuacji żywnościowej ludności cywilnej w Petersburgu”[18].

Historyk sztuki Nikołaj Punin swój ostatni wpis w dzienniku dokumentującym zimę w oblężeniu zanotował 13 grudnia, siedząc w ciemnych pokojach pałacu Szeremietiewa. Wcześniej pisał o swojej tęsknocie za tym, by pootwierano wszystkie kościoły i by rozbrzmiewały w nich modlitwy, płynęły łzy, paliły się świeczki, a wszystko po to, by uczynić „mniej odczuwalnym ten chłód zimnej jak stal materii, w której

żyjemy". Teraz przyrównywał Stalina do zazdrosnego starotestamentowego Boga:

„*De profundis clamavi*: Panie, ocal nas..., bo giniemy. Ale Jego Wielkość jest równie nieubłagany, jak niewzruszona jest władza radziecka. Dla niej nic przecież nie znaczy, że straci trzy miliony [ludzi], skoro ma ich sto pięćdziesiąt milionów. A Jego Wielkość, przebywając w swoich niebiosach, nie ceni ziemskiego życia tak, jak cenimy je my... Żyjemy w zmarzniętym i głodującym mieście, sami będąc porzuceni i zagłodzeni. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej spadło tak dużo śniegu. Miasto przykryte jest śnieżnym puchem niczym całunem. Śnieg jest czysty, gdyż fabryki nie działają, a z kominów nad budynkami mieszkalnymi z rzadka tylko unosi się dym. Dni są bezchmurne, a przemieszczanie się byłoby całkiem łatwe, tyle że miasto jest przysypane jak wioski na prowincji, białym i trzaskającym śniegiem...

I wszystko jest proste; nikt nie mówi już nic szczególnego. Nie rozmawia się o niczym oprócz kartek żywnościowych, a także ewakuacji. Wszyscy po prostu cierpią i prawdopodobnie myślą, tak jak ja, że może jeszcze nie nadeszła ich kolej.

Odczuwam samotność, przede wszystkim w nocy, a także bezsens jakichkolwiek błagań czy modlitw, czasami cicho płaczę... I nie ma żadnego zbawienia. I nie sposób go sobie nawet wyobrazić, chyba że oddamy się marzeniom. Odwróciliśmy się do Niego plecami – myślę sobie – a On do nas. *Miserere* – mamroczę i dodaję – oto on, *dies irae*. Panie, ocal nas"[19].

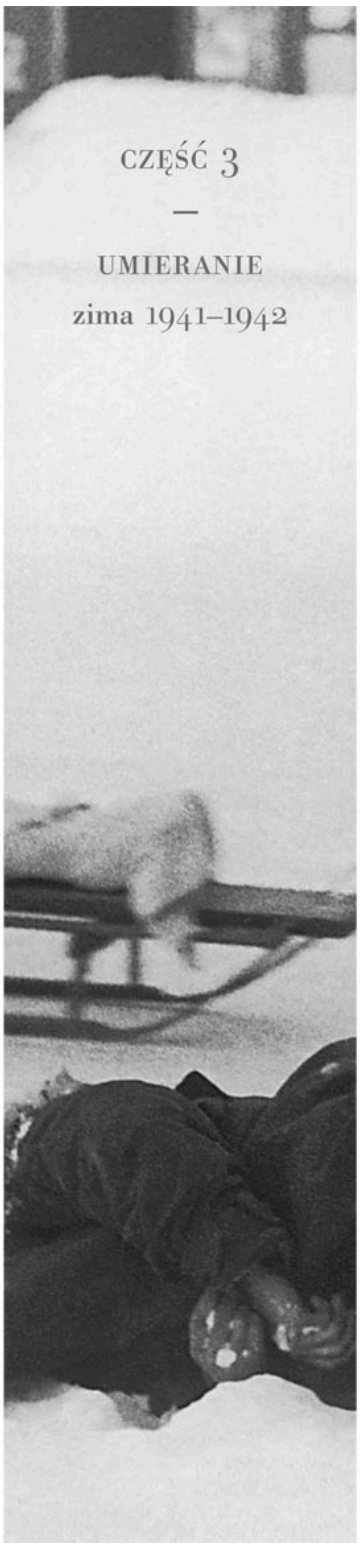

CZĘŚĆ 3

—

UMIERANIE

zima 1941–1942

Myślę, że jedyną prawdą życia jest głód – reszta to ułuda. W czasie głodu ludzie się odsłaniali, ogołacali, uwalniali od jakichkolwiek błyskotek czy ozdób. Niektórzy okazywali się wówczas wspaniałymi, niezrównanymi bohaterami, inni zaś – draniami, łajdakami, mordercami, kanibalami. Nie sięgano po żadne półśrodki. Wszystko było takie prawdziwe. Wrota niebios stały szeroko otworem, a w nich można było dostrzec Boga

Dmitrij Lichaczow[1]

10. DROGA ŻYCIA

Porucznik Fritz Hockenjos miał trzydzieści dwa lata i dowodził oddziałem *Radfahrzug*, to jest rowerową jednostką zwiadowczą wchodzącą w skład 215 Dywizji Piechoty stanowiącej część 16 Armii generała Buscha[2]. Przed wojną był leśnikiem, pochodził – podobnie jak większość jego podkomendnych – z cudownie malowniczego średniowiecznego miasteczka Lahr, leżącego pośród winnic ciągnących się kilometrami na pofałdowanym terenie między doliną Renu a zachodnim krańcem Schwarzwaldu. Miał żonę Elsę i dwóch synów, w wolnym czasie lubił polować, podglądać życie ptaków, fotografować i śpiewać w miejscowym chórze kościelnym.

Do Związku Radzieckiego przybył 24 listopada pociągiem wojskowym. Jeszcze będąc na platformie z działami przeciwlotniczymi, zachwycił się rozległymi, uprawnymi polami Litwy. „Oto krajobraz bliski memu sercu! Żadnych płotów z drutu kolczastego ani słupów telegraficznych – tylko wolność i przestrzeń!" Kiedy żołnierze zatrzymali się na jednej z wiejskich stacyjek, by nakarmić i rozruszać konie, szybko zostali otoczeni przez przyjazny tłumek ciekawskich nastolatków oraz kobiet noszących walonki i kolorowe chusty na głowach. „Wszyscy oni mówili trochę po niemiecku, żartowali sobie z nami... Zaczęła się ożywiona wymiana produktów, a kiedy wysiadł też zespół muzyczny i zagrał walca, niewiele było trzeba, by żołnierze ruszyli do tańca z dziewczętami, które wyglądały na takie, co nie miałyby nic przeciwko". Następnego dnia pociąg zatrzymał się w Rydze, gdzie żołnierze zobaczyli pierwszych Rosjan – jeńców wojennych pracujących na kolei pod bacznym okiem łotewskiego nadzorcy:

„Są ubrani w jakieś łachmany i mają puste, wygłodniałe twarze. Wyglądają na tak zagłodzonych, że wydaje ci się, jakby lada moment mieli paść z wycieńczenia. Podeszli do pociągu i zaczęli żebrać, skamląc – wzdragam się przed tym porównaniem, ale nie znajduję innego –

niczym zwierzęta. Nasi chłopcy o miękkich sercach dawali im chleb, ale Łotysz szybko odegnał tych biedaków kolbą karabinu. Kuśtykali obok torów, schylali się po leżące gdzieniegdzie skórki kiełbasy, kawałki chleba czy niedopałki papierosów i natychmiast chciwie pakowali wszystko do ust. Łotysz objaśnił nam, że w jego obozie około pięćdziesięciu jeńców dziennie umiera z głodu, od chorób albo od kul podczas próby ucieczki. Powiedział nam też, że bolszewicy w trakcie odwrotu z miasta zabrali ze sobą połowę dzieci z Rygi i sześćdziesiąt procent mieszkańców Dyneburgu. Wszystko to zmroziło nam krew: tu na Wschodzie wieją piekielnie silne wiatry".

W nocy z 26 na 27 listopada transport dotarł do znaczonej drutem kolczastym i drewnianymi wieżyczkami strażniczymi dawnej granicy rosyjskiej, sprzed 1939 roku. „Siedziałem przy oknie i chuchałem na oblodzoną szybę, by móc cokolwiek przez nią zobaczyć… W bladym świetle księżyca widziałem wrzosy, bagna, powalone drzewa w lesie, leżące odłogiem pola, zarośla". Od tej pory nocami pociąg musiał być zaciemniany, a po każdym postoju jego koła odmrażano za pomocą lamp lutowniczych. Na zewnątrz krajobraz pozostawał „wciąż ten sam, wciąż mało krzepiący":

„Kilka skarłowaciałych wierzb i brzóz, poza nimi tylko monotonna biel. Kilka małych, ciemnych chatynek smętnie przytulonych do siebie; wszędzie dookoła ciemne lasy na horyzoncie, pada lekki śnieg. Na parę godzin utknęliśmy w szczerym polu. Na torach pracowały grubo opatulone postacie – kobiety i mężczyźni. Kiedy ich mijaliśmy, podnieśli wzrok, ale patrzyli tak, jakby nas wcale nie widzieli. Tylko dzieci machały do nas i żebrały o chleb: «Pan, *gib Brot!*», daj chleba! – krzyczały. To były pierwsze słowa, które usłyszeliśmy od Rosjan, a mieliśmy je słyszeć jeszcze wielokrotnie".

28 listopada Hockenjos i jego ludzie wysiedli z pociągu, by dalszą podróż odbywać drogami, rojącymi się już od żołnierzy, koni i długich rzędów jeńców wojennych. Pchając swoje mocno obładowane rowery, przy przenikliwym wietrze przekroczyli przez most pontonowy rzekę Wołchow, minęli leżące w ruinach miasto i zamek Gruzino, a następnie przechodzili od jednej przeludnionej miejscowości do drugiej w poszukiwaniu dowództwa swojego pułku, które wreszcie odnaleźli:

„ściśnięci w jednym małym, śmierdzącym baraku – oficerowie sztabowi, sekretarz, kartograf, posłaniec, telefonista i radiooperator siedzieli wszyscy w jednym pomieszczeniu". Ich własna zaś kwatera tej nocy mieściła się w chłopskiej chacie, którą musieli dzielić z gospodynią i trójką jej dzieci. Jak kobieta pospiesznie ich zapewniła, rodzina ta była narodowości nie rosyjskiej, lecz litewskiej, a pochodziła od baptystów wygnanych przez carów za odmowę służby w wojsku. „W roku 1938 – zanotował Hockenjos – przyszli tu Sowieci i zabrali wszystkich mężczyzn, których następnie wysłali do obozu pracy koło Archangielska. Obiecaliśmy, że w razie gdybyśmy odnaleźli jej męża, odeślemy go prosto do domu. Adolf Hitler, którego rozpoznała na znaczku pocztowym, na pewno wszystko wyprostuje!"

Po kolacji ich gospodyni grała chorały na fisharmonii, a młodzi Niemcy pokazywali jej swoje rodzinne zdjęcia i zabawiali dzieci, rozkręcając przy nich wieczne pióra, kieszonkowe budziki i dynama od rowerów. „Spytałem ją o «kołchoz, Komsomoł i komisarza». Nie – w mieście nie ma żadnych członków partii ani komisarza, ale był tu kiedyś kołchoz. «Och, kołchoz *kaput! Gut, gut!* Bolszewik – *nix gut!*»".

Piechota niemiecka z taborami konnymi w marszu na Leningrad, listopad 1941 roku.

Następnego dnia jednostka rowerowa przemieściła się do wsi Rachmysza, położonej 8 kilometrów za linią frontu i stanowiącej jej punkt docelowy. Jak napisał tego wieczoru Hockenjos:

„Dano nam typowy rosyjski dom, przesiąknięty specyficznym, kwaśnym zapachem, który omal nie zwalił nas z nóg. Ściany wytapetowano starymi gazetami – jak szybko odkryliśmy – przeciwko karaluchom. Stół, ława, łóżko za piecem i dwa obrazki świętych stanowią całe umeblowanie. Jedynymi przedmiotami z metalu są rura od pieca i samowar... Fiodor, nasz gospodarz, to klasyczny rosyjski «mużyk». Jego żona jest niewiarygodnie brudna i wydaje się źródłem wszystkich nieprzyjemnych zapachów w domu. Trudno określić wiek ich obojga, więc nie sposób też powiedzieć, czy ta blondwłosa dziewczynka z rumianymi policzkami, która dzięki swoim okrągłym kształtom i brudnym stopom przypomina mi małego prosiaczka, jest

ich córką czy też może wnuczką. Całości rodziny dopełnia drobny chłopiec imieniem Kola, któremu wiecznie leci z nosa…

Nie rozmawiamy dużo. Siedzimy przy stole albo leżymy na podłodze, paląc i pijąc herbatę. Od czasu do czasu Fiodor wychodzi zza pieca i wygrzebuje z puszki po śledziach niedopałki papierosów. Jeśli akurat nic w niej nie ma, bierze kawałek gazety, podchodzi do stołu, stuka obcasami i uśmiecha się, nadstawiając pusty papier. Chcąc nie chcąc muszę sięgnąć po mój tytoń i dać mu małą szczyptę. Dziękuje mi wówczas głębokim ukłonem, po czym oddala się z powrotem za piec.

Ubóstwo tych ludzi przekracza wszystkie nasze dotychczasowe wyobrażenia o tym wspaniałym raju dla chłopów i robotników. Fiodor już od lat nie widział herbaty ani cukru, ani też tytoniu, parafiny czy innych luksusów. Pośrodku paleniska stoi kocioł wypełniony ziemniakami i jakimś bliżej nieokreślonym wywarem, którym rodzina żywi się dzień w dzień. Piją gorącą wodę z samowaru, nalewając ją do starych blaszanych puszek. Kiedy dałem małemu Koli kilka landrynek, staruszka natychmiast wyrwała mu je z ręki i włożyła po jednej do każdej z puszek, po czym zalała gorącą wodą".

Od przybycia do Rachmyszy życie Hockenjosa, poza niewygodami, zaczęło też przynosić niebezpieczeństwa. Już pierwszej nocy wysłano go na miejsce ataku sowieckiej partyzantki, który miał się okazać zaledwie jednym z całej serii tego typu napaści:

„Ciemność zapada o czwartej, a w słabym świetle parafinowej lampy godziny bardzo się wydłużają. Tak więc wszyscy idziemy spać o ósmej – Rosjanie wdrapują się na piec, a my układamy się na słomę… O dziesiątej ktoś stuka do drzwi i krzyczy: «Pobudka! Na drodze do Gladu płonie karetka polowa i słychać strzały. Jednostka rowerowa, natychmiast udać się tam w celu rozpoznania!»".

Po przybyciu na miejsce jednostka mogła już tylko pozbierać rannych. „Nie sposób odnaleźć jakichkolwiek śladów w lesie. Czy to jakiś patrol, który zapuścił się aż tak daleko? Czy może partyzanci? O drugiej nad ranem z powrotem leżeliśmy już na naszej słomie". Do 4 grudnia – „przy przeraźliwym mrozie sięgającym minus trzydziestu stopni Celsjusza" – na miny wjechały trzy kolejne ciężarówki.

Jeśli nie było akurat żadnych rannych do pozbierania, zadaniem *Radfahrzugu* było patrolowanie przestrzeni między zajmowanymi przez Niemców miasteczkami i wsiami leżącymi wzdłuż mocno rozciągniętej linii frontu. Wieczorem 7 grudnia Hockenjos i jego ludzie otrzymali rozkaz udania się do sąsiedniego batalionu, by odebrać nowe rozkazy, a także przywieźć broń i zapasy. O godzinie szóstej następnego ranka, w kompletnych ciemnościach i przy czterdziestostopniowym mrozie, odkryli jednak, że ich ciężarówka, choć jej silnik grzano przezornie niemal przez całą noc, nie chce zapalić. Wobec tego wyruszyli pieszo, w miarę możliwości chroniąc twarze przed mrozem, a rzęsy i nozdrza przed osiadającym szybko szronem. O dziewiątej zza drzew wstało słońce, w niezwykłej czerwonej poświacie, podświetlając mikroskopijne kryształki lodu zawieszone w powietrzu, połyskujące i ostre niczym odłamki szkła. O dziesiątej minęli stanowisko dowodzenia – dwóch ludzi z jednostki było już wówczas niezdolnych do dalszego marszu z powodu odmrożeń. Jak napisał Hockenjos:

„Za pięć godzin znów zapadnie ciemność. Wymykamy się i ponownie zapuszczamy na tę ziemię niczyją – długi rząd ciemnych sylwetek w jasnym osikowym lesie, niezdarnie brnących przez sięgający po kolana śnieg i stanowiących przerażająco dobry cel na tle całej tej bieli. Nie mamy ani przeciwśniegowych peleryn, ani rakiet śnieżnych.

Przez dobrą godzinę przedzieramy się przez wysoki, milczący, zaśnieżony las. Tu i ówdzie pociski artyleryjskie poczyniły niewielkie wyrwy w gęstych szeregach świerków i sosen. Naraz otwiera się przed nami większa polana, na której stoi na wpół zrujnowana chata. Wydaje nam się, że dostrzegamy jakiś ruch, więc ustawiam karabin maszynowy na skraju lasu i wysyłam grupę do zbadania sytuacji. Znajduje ona dwa włochate konie gryzące strzechę, którą pokryta jest chata. Uciekają galopem z rozwianymi grzywami i ogonami".

W dalszej części marszruty las nieco się przerzedził, za to śnieg zaczął sięgać ludziom aż po biodra. W pewnym momencie natknęli się na ślady, które uznali za tropy wilka, a następnie kolejne wyglądające na pozostawione przez łosia. Od południa dochodziły ich odgłosy ciężkich walk, a gdy nad ich głowami pojawiły się rosyjskie myśliwce, mocno przywarli do drzew. O siódmej wieczorem, kilka godzin po zachodzie

słońca, doszli do jakiejś drogi, przy której natrafili na starannie ułożoną stertę trupów oraz równy rządek chat – wioskę Goreszno. „Sznaps, herbata i wojskowy chleb (...). Dwudziestu z moich ludzi ma odmrożenia, większość bardzo poważne. Stopy niektórych z nich całkowicie poczerniały i muszą wczołgiwać się do kwater na rękach i kolanach". Następnego ranka Hockenjos otrzymał wiadomość, iż tej nocy jedna z kuchni polowych wjechała na minę, a z wypadku ocalał zaledwie jeden żołnierz. „Czekamy na naszą ciężarówkę, ale nie przyjeżdża. Zamiast tego z lasu wychodzi patrol z ciałami siedmiu zwiadowców, których spotkaliśmy wczoraj. Mają porozbijane głowy i poodcinane nosy oraz uszy". Dwa dni później Hockenjos dowiedział się o ataku Japonii na amerykańskie okręty wojenne w Pearl Harbor. „Jeśli to nie jest wojna światowa – zapisał w dzienniku z niezwykłą dlań wyrazistością – to nie wiem, co miałoby nią być. Wygląda na to, że może jednak dochrapię się stopnia kapitana".

Hockenjos znajdował się na tyłach drugiej bitwy o Tichwin, miasto leżące 175 kilometrów na południowy wschód od Leningradu i stanowiące najbardziej na wschód wysunięty szpic niemieckiego klina przerzuconego przez rzekę Wołchow. Tichwin był niezwykle ważny ze względu na swoje położenie przy linii kolejowej, za której pośrednictwem dostarczano zaopatrzenie do Leningradu przez Ładogę. Południowe brzegi jeziora znajdowały się pod kontrolą Wehrmachtu od zajęcia Szlisselburga 8 września. Armia niemiecka utrzymywała tam kontrolę konsekwentnie i nieustępliwie, choć sam zajmowany pas miał zaledwie 30 kilometrów szerokości. Pociągi przejeżdżające przez Tichwin kierowano na rozładunek do Wołchowa, położonego 20 kilometrów na południe od nadbrzeżnego miasteczka Nowaja Ładoga, skąd – pod ostrzałem niemieckich myśliwców – odpływały barki do leżącego po przeciwnej stronie jeziora, na kontrolowanym przez Rosjan zachodnim brzegu osiedla letnich domków Osinowiec. Ostatnich 45 kilometrów do Leningradu transporty pokonywały niewielką podmiejską linią kolejową. Przez całą jesień udało się w ten sposób, omijając blokadę, dostarczyć do miasta racje żywnościowe wystarczające jego mieszkańcom na dwadzieścia dodatkowych dni.

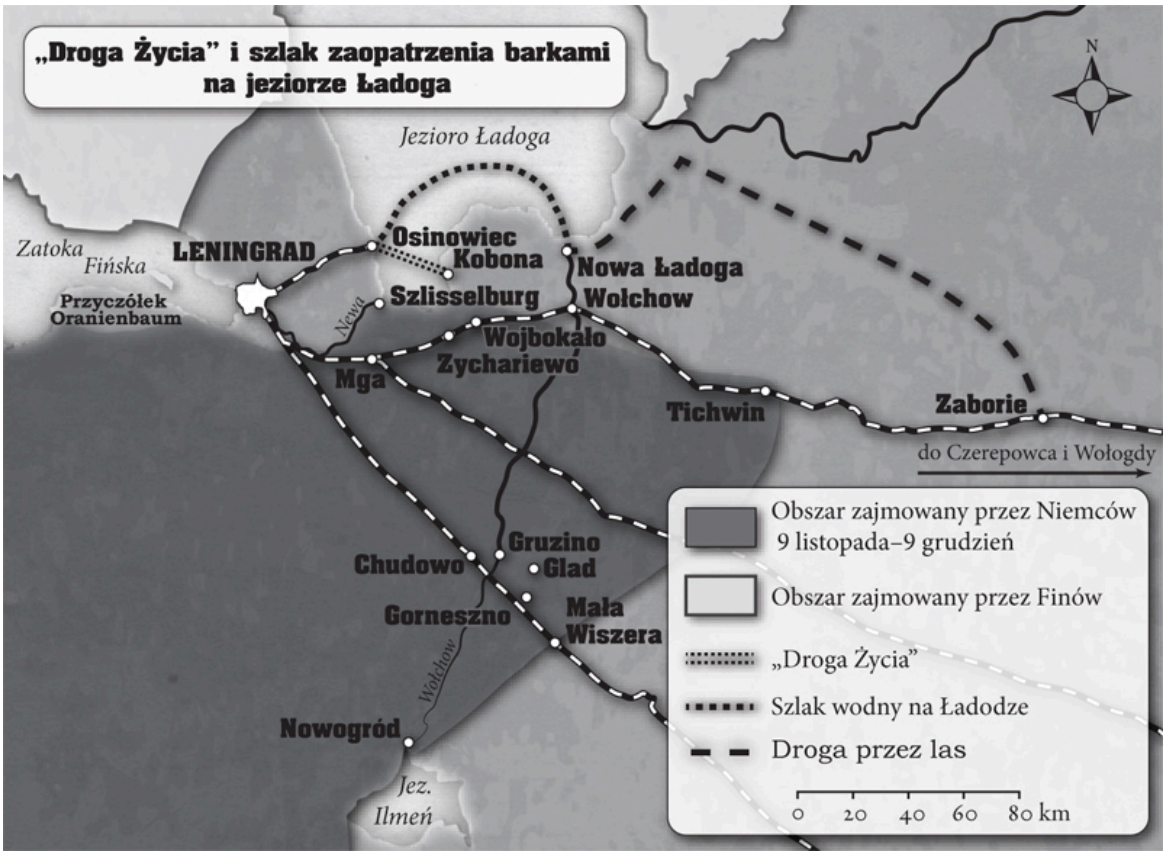

8 listopada – w apogeum bitwy o Moskwę – Tichwin wpadł w ręce Niemców wraz z 20 tysiącami żołnierzy, 96 czołgami, 179 działami oraz pociągiem opancerzonym[3]. Utrata miasta oznaczała odcięcie kluczowej dla Leningradu linii zaopatrzenia. Od tej pory najbliższym Nowej Ładogi miejscem, w którym mogły się zatrzymywać pociągi z żywnością, było Zaborie, położone 170 kilometrów na wschód. Rada Wojenna Frontu Leningradzkiego natychmiast rozkazała budowę – przez niemal dziewiczy las, z wykorzystaniem przymusowej siły roboczej rekrutowanej spośród miejscowych chłopów – nowego, dwustukilometrowego odcinka drogi, który miał zostać ukończony w ciągu dwóch tygodni. Jednocześnie Rada rozkazała zmniejszenie dziennych racji żywnościowych dla żołnierzy frontowych z 800 do 600 gramów, dla jednostek na tyłach natomiast z 600 do 400 gramów. Była to zaledwie pierwsza z tego typu decyzji: kolejne trzy cięcia – jeszcze jedno dla wojskowych i aż dwa dla cywilów – nastąpiły niedługo potem. Tymczasem Ładogę pokrył lód, uniemożliwiający poruszanie się po nim barek z zaopatrzeniem – ostatnie dotarły do Osinowca 15 listopada.

Zanim dokończono budowę nowej drogi i zanim lód na jeziorze uzyskał grubość mogącą utrzymać ciężarówki, transporty żywności do Leningradu były możliwe wyłącznie drogą powietrzną. Na skutek gniewnych i uporczywych żądań Żdanowa do obsługi tej trasy wyznaczono ostatecznie 64 samoloty, ale w stałej gotowości operacyjnej znajdowała się jedynie niecała jedna trzecia tej liczby, co pozwalało dostarczać do miasta dziennie od 40 do 50 ton żywności, składającej się głównie ze sprasowanych bloków mrożonego mięsa[4].

Obserwowana z nadzwyczajną uwagą i wielkim napięciem przez hydrologów pokrywa lodowa narastała niepokojąco powoli. Jeden z badaczy, aby obliczyć możliwe tempo jej przyrastania, przestudiował nawet zapiski prowadzone od czasów średniowiecza przez mnichów z wyspy Wałaam, którzy co roku odnotowywali datę pierwszego pojawienia się pieszych pielgrzymów w ich klasztorze. Jak szacowano, dla bezpiecznego przejazdu jeźdźca na koniu potrzebna była pokrywa grubości 10 centymetrów, dla sań ciągniętych przez konia – 18 centymetrów, dla załadowanej dwutonowej ciężarówki zaś 20 centymetrów. Lód musiał mieć zatem grubość 20 centymetrów na całej, mierzącej aż 30 kilometrów, trasie z Osinowca do miejscowości Kobona, w najbliższym punkcie kontrolowanego przez Rosjan wschodniego brzegu jeziora.

17 listopada, gdy grubość lodu wynosiła zaledwie 10 centymetrów, na jezioro zapuścili się pierwsi zwiadowcy, wyposażeni w kamizelki ratunkowe i długie tyki. Następnego dnia wiał wiatr od północy, temperatura spadła i zaczęły się prace nad oczyszczaniem trasy ze śniegu, oznakowaniem jej oraz wznoszeniem mostów nad rozpadlinami w lodzie. Do 20 listopada pokrywa lodowa przyrosła do 18 centymetrów grubości i wyruszyły na nią pierwsze transporty – 300 sań ciągniętych przez konie. Dwa dni później ich śladem podążyły pierwsze ciężarówki, jadące w odpowiednio dużych odstępach. W drodze powrotnej, choć każda z nich wiozła tylko kilka worków ziarna, niektóre z wozów wpadły pod lód. W kolejnym konwoju samochody wyposażono w sanie, aby lepiej rozłożyć ciężar. Nie zdało się to na nic: do 1 grudnia do miasta dostarczono zaledwie około 800 ton mąki – mniej niż zapotrzebowanie na dwa dni – a 40 ciężarówek utknęło w zaspach albo

się zepsuło. Na nowo wybudowanej drodze lądowej do Zaboria, wąskiej i pełnej dziur, było jeszcze gorzej: pierwszy konwój, który wysłano nią 6 grudnia, potrzebował aż czternaście dni, by okrężną trasą dotrzeć na miejsce, przy czym ponad 350 ciężarówek musiano wziąć na hol albo porzucić. Wasilij Czurkin, artylerzysta uczestniczący w sierpniu w chaotycznej ucieczce z Wołosowa, otrzymał rozkaz wyruszenia przez lód w wietrzną i kompletnie ciemną noc 7 grudnia. Spowalniały go odmrożenia stóp i zaczął odstawać od swojego oddziału. Byłby się całkiem zagubił, gdyby nie dostrzegł nieregularnych czerwonych błysków z latarni morskiej na przeciwległym brzegu. Dotarł do Kobony o pierwszej po południu następnego dnia, minąwszy po drodze dziesięć ciężarówek wyładowanych mąką, których tylne osie zapadły się pod lód, a także jakiegoś młodego żołnierza umierającego z wyziębienia[5].

Na trasę tę nie wyjechały odtąd żadne kolejne konwoje. 9 grudnia, po całej serii chaotycznych ataków na nadmiernie rozciągniętą południową flankę niemieckiego klina, radziecka 4 Armia, której dowództwo objął miesiąc wcześniej generał Mierieckow, ostatecznie odzyskała Tichwin, tocząc o miasto ciężki bój, w którym mogło zginąć nawet do dziewięciu tysięcy Niemców[6]. Odtąd ponownie rozładowywano pociągi z zaopatrzeniem w Tichwinie, a droga dla ciężarówek skróciła się do 160 kilometrów: 130 kilometrów lądem przez Nową Ładogę i Kobonę oraz 30 kilometrów po zamarzniętym jeziorze. Wyzwolenie dwóch następnych miast, ważnych stacji kolejowych, Wojbokała i Żychariowa, pozwoliło na wprowadzenie nowych udogodnień. Począwszy od 1 stycznia, pociągi z zaopatrzeniem rozładowywano zaledwie 13 kilometrów od brzegów jeziora, a trasa dla ciężarówek skróciła się do niecałych 45 kilometrów. Odtąd dostawy po owej Drodze Życia – choć w rzeczywistości było to sześć równoległych dróg – stopniowo się poprawiały. Mimo rozlicznych utrudnień, takich jak zawieje i zamiecie, złe zarządzanie (pierwszy odpowiedzialny za drogę, niejaki pułkownik Żmakin, został zwolniony za niekompetencję), niemieckie bombardowania czy zatory na drugorzędnej i niedostatecznie wyposażonej linii kolejowej Osinowiec–Leningrad, do czasu roztopów, które nadeszły pod koniec kwietnia, przewieziono

w ten sposób łącznie 270 900 ton żywności i 90 tysięcy ton paliwa oraz innych towarów[7].

Mniej udane okazały się podejmowane w listopadzie i grudniu próby przerwania samego oblężenia. Żukow, wyjeżdżając do Moskwy, zostawiał Front Leningradzki z niewielkim, krwawo zdobytym przyczółkiem na lewym brzegu Newy, po południowej stronie Szlisselburga, znanym jako *Newski piataczok*, to jest „Newska pięciokopiejkówka". Był to skrawek ziemi o długości dwóch kilometrów i szerokości niecałego kilometra, który na mapach wyglądał wprawdzie nie najgorzej, ale w rzeczywistości był zbyt mały i leżał w zbyt odkrytym terenie (nieco dalej wzdłuż rzeki Niemcy kontrolowali wyglądającą jak forteca elektrownię), by stanowić dogodne miejsce do wyrwania się z okrążenia. Kilkakrotnie podejmowane próby – 2, 9, 11 i 13 listopada – zakończyły się niepowodzeniem, przynosząc za każdym razem olbrzymie straty w ludziach.

Nie powiodła się również analogiczna próba przebicia się przez skute lodem jezioro na tereny leżące na północ od Szlisselburga. Podjęto ją 13 listopada. Z przyczółka Oranienbaum do Leningradu przetransportowano drogą powietrzną 80 Dywizję Strzelców i rozkazano jej forsowny marsz w kierunku Ładogi, a następnie atak na umocnione pozycje niemieckie. Duża liczba ludzi wpadła wówczas pod zbyt cienki lód; inni, wycieńczeni i wychłodzeni, zmarli jeszcze przed rozpoczęciem właściwego natarcia. Stalin był wściekły, że nie poinformowano go o tej katastrofie: „To bardzo dziwne, że towarzysz Żdanow wydaje się nie odczuwać żadnej potrzeby kontaktów telefonicznych (...). Można by pomyśleć, że w wyobrażeniach towarzysza Żdanowa Leningrad nie leży w ZSSR, ale na jakiejś odległej wyspie na Pacyfiku"[8]. Żdanow poświęcił dwóch nieszczęsnych oficerów odpowiadających za akcję: pułkownika Iwana Frołowa i komisarza Konstantina Iwanowa. Jak podano w skazującym ich wyroku, trzy godziny przed rozpoczęciem ataku Frołow miał „oświadczyć dwóm przedstawicielom Frontu, że nie wierzy w powodzenie całej operacji" – słowa te podkreślono w kopii dokumentu przesłanej Żdanowowi. 3 grudnia Frołowa i Iwanowa rozstrzelano za „tchórzostwo i defetyzm"[9]. Łącznie, z około 300

tysiącami czerwonoarmistów zaangażowanych w bitwę o Tichwin i wszelkie inne akcje zaczepne związane z tą operacją, aż 110 tysięcy uznano za rannych bądź niezdolnych do walki, a 80 tysięcy za zabitych, wziętych do niewoli bądź zaginionych. Po stronie niemieckiej było 45 tysięcy ofiar.

Patrząc z ogólniejszej perspektywy, dla całego Frontu Wschodniego koniec 1941 roku okazał się prawdziwym momentem zwrotnym. Niemcy okrążyli wprawdzie Leningrad, ale nie udało im się zdobyć miasta. Podobnie rzecz miała się także u bram Moskwy. Na początku listopada, po sześciu tygodniach zaciętych walk, operacja „Tajfun" zaczęła tracić impet, po części z powodu coraz większych opadów śniegu, po części zaś dzięki wytrwałemu oporowi znakomicie zorganizowanemu przez Żukowa. Psychologicznym przełomem okazał się 7 listopada, czyli rocznica rewolucji. W przeddzień Stalin wygłosił butną mowę na pełnej przepychu moskiewskiej stacji metra Majakowska, a zaraz potem na placu Czerwonym odbyła się uroczysta i wielka, choć nieco ryzykowna, defilada wojskowa. Wobec wciąż spadającej temperatury i rosnących strat w ludziach generalicja Hitlera poprosiła o pozwolenie na okopanie się na czas zimy. „Czas spektakularnych dokonań operacyjnych już minął – napisał w dzienniku Halder 11 listopada. – Nasi żołnierze nie są już w stanie posunąć się dalej". Hitler jednak był innego zdania i nalegał, by Moskwę zdobyto jeszcze przed końcem roku. Jego generałowie, choć niechętnie, wznowili więc ofensywę. „Feldmarszałek von Bock sam przejął dowództwo bitwy o Moskwę, sprawując je z wysuniętego stanowiska dowodzenia – zanotował Halder 22 listopada. – Z ogromną energią wysyła on w bój wszystko, co tylko zdoła zmobilizować". Choć dywizje niemieckie na południe od miasta były „wykończone" – jak zanotował Halder, jeden z pułków w jego dawnej 7 Dywizji był dowodzony obecnie przez porucznika – na północy wciąż istniała szansa na powodzenie, a żołnierzy „bezustannie popychano do jego osiągnięcia. Von Bock porównuje tę sytuację z bitwą nad Marną, gdzie ostatni batalion, który mógł być jeszcze rzucony do walki, ostatecznie przechylił szalę zwycięstwa". Tydzień później von Bock zatelefonował do Haldera, informując, że operacja podąża w złym kierunku. Teraz już nie

porównywał jej z Marną, ale z Verdun – „brutalną walką pierś w pierś, na wyniszczenie (...). Podkreśliłem, że nam także zależy na oszczędzaniu ludzkiego życia, ale jednocześnie musimy podjąć ostateczny wysiłek, by rzucić wroga na kolana poprzez zaangażowanie w walkę wszystkich naszych sił”[10].

Fedor von Bock i Hitler w Wilczym Szańcu, styczeń 1941 roku.

16 grudnia – gdy linia frontu była już kusząco blisko miasta, a rozbłyski moskiewskich dział przeciwlotniczych znalazły się w zasięgu wzroku – Hitler ostatecznie dał za wygraną. Operację „Tajfun” zakończono, ale armiom wschodnim w dalszym ciągu polecono utrzymywanie pozycji na całym froncie. Pośród „burzliwych dyskusji”, „szaleńczych wybuchów” i „dramatycznych scen” – by użyć terminologii samego Haldera – generałowie starali się przekonać wodza o konieczności wycofania się na lepiej umocnione linie obrony[11]. Trzy dni później, dwanaście dni po ataku na Pearl Harbor i osiem dni po wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym, Hitler zdymisjonował von Bocka ze stanowiska dowódcy Grupy Armii „Środek”, a von

Brauchitscha ze stanowiska głównodowodzącego wojsk lądowych, ogłaszając, że sam przejmuje naczelne dowództwo. 13 stycznia, po jeszcze jednej burzliwej naradzie w Wilczym Szańcu, o zwolnienie ze służby poprosił także von Leeb. Zastąpił go bardziej uległy Küchler, a na południu Reichenau Rundstedta – wkrótce jednak zmarł on na zawał serca. Łącznie podało się do dymisji albo zostało zwolnionych około czterdziestu starszych oficerów. Od tej pory skłonność Hitlera do zarządzania najdrobniejszymi szczegółami operacji wojskowych mogła się już rozwijać bez żadnych przeszkód, przynosząc ostatecznie katastrofalne skutki[12].

Większość historyków uważa, że w tym właśnie momencie losy wojny się odwróciły. Nawet nie dlatego, że wojska niemieckie rozpoczęły odwrót, ale ponieważ od tej pory nie było już praktycznie żadnych szans na zwycięstwo. Mając przeciwko sobie zjednoczone już trzy mocarstwa, Niemcy porywały się z motyką na słońce. Wątpliwości co do zwycięstwa aliantów nie miał z pewnością Churchill. Jak to ujął na posiedzeniu rządu wojennego, nic nie mogło równać się z potęgą wojskową Stanów Zjednoczonych, a Front Rosyjski złamie niemieckie morale. Od Leningradu aż po Krym Wehrmacht znalazł się w „opłakanym stanie: jednostki zmechanizowane unieruchomione przez mrozy, jeńcy brani w łachmanach, armie próbujące osiągnąć jakąkolwiek stabilizację, rosyjska dominacja w powietrzu. Jeśli chodzi o zdobycie Rosji, Niemcy dostali łupnia. Wiatry się zmieniły i zaczyna się faza, która będzie miała narastające konsekwencje (...). Nie powinniśmy się już martwić o ostateczny rezultat tej wojny. Palec Boży wskazuje teraz na nas”[13].

Ponieważ Tichwin ponownie stracono, Fritz Hockenjos i jego *Radfahrzug* otrzymali rozkaz wycofania się za rzekę Wołchow. 21 grudnia opuścili więc dotychczasową ubogą kwaterę w Rachmyszy, wcześniej jednak podłożyli ogień pod stodoły i zarżnęli owce i kurczaki, żeby mieć prowiant na drogę. „Naszemu wyjściu z wioski towarzyszyło zawodzenie kobiet” – napisał Hockenjos. Raz jeszcze żołnierze musieli pchać obładowane rowery po zatłoczonych i zaśnieżonych drogach, mijając unieruchomione kolumny zmotoryzowane oraz długie rzędy chłopskich sań „z niemowlętami opatulonymi w koce na samym

wierzchu sterty bagaży, i żonami podążającymi za saniami i ciągnącymi za sobą krowę albo kozę". Następnego popołudnia natrafili na jakieś walki – gdzieś z przodu rozlegały się okrzyki „Hurra!", na poboczu paliła się ciężarówka, a pośrodku drogi stały ranne konie z nisko pochylonymi głowami. Kiedy zapadła ciemność, podczołgali się ostrożnie bliżej, korzystając z osłony przydrożnych rowów. „Dotarliśmy do ciał wielu martwych Rosjan, a potem je minęliśmy i zaczęliśmy biec tak szybko, jak tylko potrafiliśmy. Kiedy przybyliśmy do Gladu, znaleźliśmy tam sztab 2 Batalionu, który po prostu siedział sobie na miejscu, zupełnie nieświadomy tego, co właśnie się stało. Można było się rozpłakać". O godzinie trzeciej rano następnego ranka oddział wyruszył w dalszą drogę, strzelając na oślep w kierunku lasów po obu stronach drogi w odpowiedzi na ostrzał prowadzony przez niewidzialnych Rosjan. Z nastaniem dnia *Radfahrzug* ponownie znalazł się pod ostrzałem, tym razem kiedy mijał kolumnę z zaopatrzeniem:

„Wszędzie słychać świst kul i wybuchy. Ranni są znoszeni, bez poodcinanych płaszczy i butów. Z otwartych ran sączy się ciemna krew. Tuż obok ludzie stoją sobie, palą papierosy i przegryzają *Knackerbrot*. Dopiero kiedy w powietrzu zaczynało naprawdę mocno gwizdać, kryli się na chwilę za samochodami i końmi. Trudno mi było stwierdzić, czy był to godny podziwu spokój, czy raczej pełna obojętności głupota".

Oddział Hockenjosa był ostatnią jednostką, która przekroczyła rzekę Wołchow pod wsią Gruzino. Było już wówczas po zmroku, a za ich plecami palące się wioski rozświetlały horyzont na jasnoczerwono. W wigilię Bożego Narodzenia żołnierze dotarli do Chudowa, miasta leżącego na magistrali kolejowej Leningrad–Moskwa. Tam też zostali na noc, obozując w opuszczonej hucie szkła, w której nie było ani jednej szyby w oknie. „Kulimy się z zimna z papierosem w ręku przed wielkimi piecami do wytopu szkła – napisał Hockenjos. – W jednym z rogów stawiana jest choinka; w innym kilku inżynierów montuje stoły i ławy. Ktoś nieśmiało ćwiczy na harmonijce ustnej jakieś nabożne melodie. Ja mam na kolanach otwarty notatnik i piszę świąteczny list do Elsy, korzystając z poświaty bijącej od płomieni". Z oddali dobiegały głuche odgłosy wybuchów – to Rosjanie „zrzucali walizki" na stację kolejową. Zadziwiające jest, skonstatował Hockenjos, jak szybko udało im się

podciągnąć swoją ciężką artylerię. O północy wraz ze swoimi ludźmi porucznik wzniósł toast za narodzenie Chrystusa. Posłużył im do tego zrabowany armaniak, który Hockenjos przywiózł tu ze sobą aż znad Loary.

11. SANIE I KOKONY

Leningrad leży na sześćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej północnej, a więc tej samej, na której znajdują się na przykład Wyspy Szetlandzkie, a tylko o kilka stopni niżej niż Anchorage na Alasce. Zimą słońce wschodzi tu o dziewiątej rano i wisi oślepiająco nisko nad horyzontem do trzeciej po południu, kiedy ponownie zachodzi. Dziś średnie temperatury zimowe w mieście oscylują zazwyczaj wokół minus dziesięciu stopni Celsjusza, ale w styczniu 1942 roku spadały one znacznie poniżej minus dwudziestu stopni. Ulice blokowały zaspy o wysokości dorosłego człowieka, z trakcji tramwajowych zwisały metrowe sople lodu, a kobiety wytaczające łuski pocisków artyleryjskich w Zakładach Bolszewickich potrafiły naciąć kawałek metalowej rury, uderzyć weń młotkiem i z łatwością przełamać na pół. Podczas krótkich słonecznych dni w oczach tych, którzy mieli jeszcze siły i ochotę, by rozglądać się wokół siebie, miasto wyglądało niewiarygodnie pięknie – powietrze uwolnione od oczywistych o tej porze roku dymów z pieców węglowych było oszałamiająco przejrzyste, a śnieg, nieskalany samochodowymi spalinami, miał swoją naturalną, niebieskawobiałą barwę. Z kolei podczas osiemnastogodzinnego zaciemnienia, któremu towarzyszyła dodatkowo martwa cisza (jako że mróz unieruchomił też niemieckie bombowce), Leningrad wyglądał niczym „miasto na dnie morza".

Leningradczycy witali Nowy Rok najlepiej, jak tylko potrafili. Wiera Inbier spędziła pierwszą część wieczoru na czytaniu nowych utworów, zorganizowanym w Czerwonym Salonie w budynku Związku Pisarzy przy ulicy Szpalernej, długim i raczej nieciekawym bulwarze pełnym gmachów rządowych, który biegnie z Instytutu Smolnego do centrum miasta. W kominku płonęło kilka małych polan drewna, a na stole prezydialnym paliła się pojedyncza świeca. „Było bardzo zimno. Gdy przyszła kolej na mnie, usiadłam bliżej świecy i zaczęłam czytać z rękopisu pierwszy rozdział poematu (nie ustaliłam jeszcze

ostatecznego tytułu). Po raz pierwszy czytałam go publicznie. W tym miejscu, gdzie przeklinam Niemców, zabrakło mi tchu. Trzykrotnie musiałam przerywać i zaczynać od początku". O północy, po powrocie do szpitala Erismana, Wiera wraz z mężem zeszła na dół do gabinetu ordynatora „z ostatnią butelką skwaśniałego rieslinga. Nalaliśmy do kieliszków i wypiliśmy w milczeniu. Zamierzaliśmy posiedzieć dłużej, lecz zadzwonił telefon. Lekarz dyżurny z izby przyjęć zawiadomił, że na korytarzach i w łazience leży czterdzieści trupów. Nie wie, co ma robić. Lekarz naczelny udał się do izby przyjęć, a my poszliśmy do siebie na górę i położyliśmy się spać"[1].

Wasilij Czekrizow po powrocie z frontu, gdzie budował bunkry, spędzał sylwestra w stoczni Sudomech. Od miesiąca nie było tam prądu: „Nie robimy zupełnie nic, co źle wpływa na morale załogi. Powinni chociaż pozwolić ludziom pójść do domu, ale kierownictwo trzyma ich wszystkich tutaj cały dzień (...). Mówiono mi, że w warsztacie numer 3 robią od ośmiu do dziesięciu trumien dziennie – a to tylko jeden z naszych zakładów". Czekrizow zauważył też, że leningradczycy nie zwracają już uwagi na ostrzał artyleryjski: on sam widział przechodniów walczących o resztki drewnianego ogrodzenia, podczas gdy wokół wciąż trwało bombardowanie, a jego kolega był świadkiem sceny dosłownego rozszarpania przez tłum dopiero co zabitego konia. Krótko przed północą napisał:

„Za godzinę nastanie rok 1942. Siedzę w naszej świetlicy, oświetlanej jedynie przez blask od pieca. Przynajmniej pod tym względem nie mamy źle – drewna na opał jest pod dostatkiem. Siedzę tak i podgrzewam kawę w moim kubku. Odbiór radiowy jest dziś dobry – te noworoczne przemówienia... Trudno tak witać Nowy Rok – o głodzie i chłodzie, widząc co dzień umierających ludzi. Przemówienia tryskają jednak optymizmem. Mroczne, trudne dni są już za nami. Choć zaopatrzenie w żywność wcale się nie poprawia, to w powietrzu wyczuwa się zapach klęski nieprzyjaciela i jego odwrotu".

Podobnie jak tysiące innych Czekrizow pomyślał o swojej żonie i synu: „Jak się mają Dina i Gelik? Czy dostali te pieniądze? Jeśli dostali, nic im nie będzie. Co za szczęście, że nie ma ich tutaj ze mną. Jak

mógłbym znieść patrzenie na głodnego Gelika i świadomość, że nie mogę zrobić nic, żeby mu pomóc?”[2].

Jelena Koczina wstała o czwartej rano, by ustawić się w kolejce po jedną z butelek wina rozdawanych z okazji Nowego Roku:

„Zwątpiłam, że uda mi się wytrzymać w kolejce choćby godzinę. Ale minęła jedna, dwie, trzy. Biegły tak jak szare myszy i przepadały w ciemności. A ja wciąż stałam i stałam, i powtarzałam sobie tylko jak zaklęcie: «Wszystko ma swój kres, wszystko ma swój kres, wszystko ma swój kres»... I oto księżyc zgasł. Niebo zszarzało, zbielało, pobłękitniało... Noc odeszła. Cud, że jeszcze żyję. O trzeciej po południu dostałam butelkę z pięknym błyszczącym kołpaczkiem”.

Jelena udała się z tą butelką wprost na uliczny targ, gdzie miała szczęście i zamieniła ją u jakiegoś marynarza na wielki bochen chleba. Po powrocie do domu spędziła wraz z mężem resztę wieczoru w ponurej, pełnej apatii ciszy:

„Dima nie kradnie już chleba. Całymi dniami leży odwrócony do ściany... Jego twarz pokryła się gęstą warstwą sadzy. Nawet jego delikatne, jasne rzęsy stały się grube i czarne. Staram się nie myśleć, jaki był niegdyś czyściutki, zadbany, nienaganny. No cóż, ja również jestem niezbyt schludna. Bardzo nękają nas wszy. Śpimy razem (mamy tylko jedno łóżko) w watowanych paltach i, mimo tej «osłony izolacyjnej», obojgu nam niemiła jest wzajemna bliskość”[3].

W Leningradzie właśnie rozpoczynał się okres masowego umierania. W grudniu, według rejestrów milicyjnych (z całą pewnością wydatnie niedoszacowanych), głód i związane z nim przypadłości – określane w nowym żargonie mianem „dystrofii” – spowodowały śmierć 52 881 osób spośród cywilnej populacji miasta liczącego około dwóch i pół miliona mieszkańców[4]. W styczniu i lutym te oficjalne statystyki osiągnęły szczytowe wartości odpowiednio 96 751 i 96 015 ofiar śmiertelnych.

Widok śmierci, już w grudniu dość powszechny, teraz stał się wręcz wszechobecny. „Dziś rano – napisała jedna z kierowniczek w elektrowni Lenenergo – zmarł ojciec [dyrektora] Czistiakowa. Wciąż leży na dziennym łóżku w gabinecie Czistiakowa. Obok niego Czistiakow

wykonuje swoje codzienne obowiązki, je posiłki, a także odpoczywa na tym samym łóżku. Do gabinetu przychodzą koledzy i interesanci – ciało nie przeszkadza żadnemu z nich”[5]. Ludzie niczym w mgnieniu oka otruci wyziewami z Wezuwiusza padali na ulicach z wycieńczenia, a ich ciała zostawały w miejscach, w których szukali schronienia – wtulone w bramy i zaśnieżone tramwaje albo leżące przy murach i ogrodzeniach. Ostroumowa-Lebiediewa napisała 18 stycznia:

„Na chodnikach przy ścianach budynków postawiono mnóstwo drewnianych skrzyń i napełniono je piaskiem. Nie ma wody, więc ten piasek to wszystko, czym możemy gasić pożary. Dziś, gdy szłam ulicą, zobaczyłam staruteńką kobiecinę siedzącą na jednej z takich skrzyń. Już nie żyła. Kilka budynków dalej, na innej skrzyni, przycupnął jakiś chłopiec. Szedł ulicą, poczuł wielkie zmęczenie, przysiadł i umarł”.

Wiera Kostrowicka, nauczycielka tańca w szkole baletowej Teatru Maryjskiego, a prywatnie siostrzenica francuskiego poety Guillaume’a Appolinaire’a, zauważyła natomiast stopniowe ogołacanie ciała opartego o latarnię uliczną naprzeciwko filharmonii:

„Ten człowiek siedzi w śniegu, oparty plecami o latarnię. Ubrany jest w łachmany i ma na sobie plecak… Prawdopodobnie szedł na Dworzec Fiński, zmęczył się i przysiadł, żeby odpocząć. Przez dwa tygodnie mijałam go co dzień, idąc do i ze szpitala. W tym czasie siedział: 1. bez plecaka, 2. bez łachmanów, 3. w samej bieliźnie, 4. nagi, 5. jako szkielet z wyrwanymi wnętrznościami. Zabrali go stamtąd w maju”[6].

Szok i przerażenie znajdowały ujście w prawdziwie wisielczym humorze. Okryte całunem trupy ciągnięte po ulicach, czasami parami, na saniach, w spacerówkach, ręcznych wózkach czy po prostu na kawałkach plandeki określano jako „mumie” albo „kokony”. Wzmocnione „posiłki dodatkowe”, czyli *usilonoje dopołnitielnoje pitanije*, w skrócie UDP – racje żywnościowe przyznawane czasem umierającym – zyskały nazwę *umriosz dniom pozżie*, czyli „umrzesz dzień później”[7]. Żegnając się, ludzie życzyli sobie nawzajem, by nie „skończyli w okopach”, przy czym nie chodziło im wcale o wojskowe umocnienia na froncie, lecz o świeżo wykopywane doły na cmentarzach. Żołnierze, patrolujący ulice i zbierający z nich ciała porzucone bezpośrednio na

chodnikach, nazywali swoją pracę „zrywaniem kwiatów", bo głowy zmarłych były często owinięte w jaskrawy materiał, by łatwiej było ich dostrzec pod śniegiem[8]. Ciała pozostawiano także w parkach w otwartych okopach, które z czasem zamieniały się zresztą w masowe groby, bo w wyniku rozkradania na opał podpierających je stempli stopniowo ulegały one zawaleniu. Wszystko to, jak zawsze z zadowoleniem, odnotowywał niemiecki wywiad wojskowy. W jednym z raportów z 12 stycznia donoszono, że przy ulicy Strajków (długiej arterii przecinającej przemysłowe przedmieścia w południowo-zachodniej części miasta) zasłabło i zmarło z wycieńczenia sześć osób, których ciał nie uprzątnięto. „Takie przypadki stały się na tyle częste, że nikt już nie zwraca na nie uwagi. Zresztą ludzie są na ogół do tego stopnia wyczerpani, że i tak jedynie nieliczni mogliby udzielić realnej pomocy"[9].

Śmiertelność miała swój wyraźny rys demograficzny, częściowo wynikający z przyjętego systemu racjonowania żywności. W styczniu 73 procent ofiar śmiertelnych stanowili mężczyźni, a 74 procent – dzieci poniżej piątego roku życia albo dorośli po czterdziestce. W maju natomiast większość, bo 65 procent, stanowiły już kobiety, a tylko nieco mniejszy odsetek – 59 procent – dotyczył dzieci poniżej piątego roku życia albo dorosłych po czterdziestce. Młodzież w wieku od 10 do 19 lat stanowiła zaledwie 3 procent ogólnej liczby ofiar w pierwszej dekadzie grudnia, ale już 11 procent w maju[10]. W obrębie pojedynczej rodziny typowy porządek umierania jej poszczególnych członków był zatem następujący: najpierw dziadek i niemowlęta, następnie babcia i ojciec (jeśli nie został wysłany na front), na końcu zaś matka i starsze dzieci.

Moment, w którym cała rodzina była skazana na śmierć, następował wówczas, gdy ostatni mogący się jeszcze poruszać jej członek okazywał się już zbyt słaby, by stać w kolejce po racje żywnościowe. Głowy rodziny – zwykle były nimi matki – stały zatem przed rozdzierającym serce dylematem: czy samej jeść więcej i zachować siły do opieki nad resztą, czy też dawać hojniejsze racje najsłabszemu członkowi rodziny – zazwyczaj dziadkowi, babci albo też dziecku – i narażać życie wszystkich. O tym, jak wielu wybierało jednak dobro swoich dzieci, świadczyć może duża liczba sierot pozostawionych w mieście. Te,

którym się poszczęściło, trafiały do domów dziecka; pozostałe miały mniej fartu – ich kartki przywłaszczali sobie sąsiedzi, a one same albo kradły na ulicach, albo po prostu umierały w samotności[11].

Fizycznymi oznakami głodu, pojawiającymi się w różnym stopniu u zdecydowanej większości leningradczyków, były: wycieńczenie, puchnięcie nóg i twarzy, przebarwienia twarzy („opalenizna głodowa", jak to określano w ówczesnym żargonie – wedle opisów twarze przybierały kolor „czarny", „sinoczarny", „żółty" albo „zielony"), wrzody, poluzowywanie się albo wypadanie zębów, a także osłabienie pracy serca. Kobiety przestawały miesiączkować, zanikał też popęd seksualny. Inżynier Dmitrij Łazariew opisał w dzienniku własne samopoczucie:

„Już od dłuższego czasu chciałem napisać, czego doświadcza osoba wycieńczona z głodu. Śpisz bardzo mało – sześć lub siedem godzin. Przez całą noc bezustannie podciągasz kołdry i opatulasz się w nie jak najmocniej, bo zawsze jest ci zimno. Chłód rozlewa się wzdłuż kręgosłupa na całe ciało. Twoje wystające kości szybko zaczynają cię boleć, co zmusza do częstych zmian ułożenia. Przez cały czas dręczy cię głód: czując pustkę w żołądku, gwałtownie połykasz swoją własną ślinę. Trudno jest zmusić się do wykonania jakiegokolwiek fizycznego ruchu, nawet najlżejszego. Przed obróceniem się w łóżku przez dłuższy czas zbierasz w sobie siły. Zwlekasz, próbujesz odłożyć ten moment. W swojej głowie wielokrotnie powtarzasz konieczną sekwencję ruchów, zanim naprawdę się do nich zabierzesz. Nastaje ranek, a bardzo ciężko jest ci przezwyciężyć inercję, podnieść się z łóżka i ubrać. Za dnia wykonujesz powolne i ostrożne ruchy. Mimo że nosisz ciepłe ubrania, ciągle jest ci zimno, a w dodatku prześladuje cię nieprzyjemne uczucie szumu w uszach. Własny oddech i słowa odbijają się rezonansem niczym w jakimś pustym naczyniu. Twoje stopy są spuchnięte, a na skórze palców masz głębokie pęknięcia (...). Funkcjonujesz na uboczu tego wszystkiego, co dzieje się wokoło. Na przykład w stołówce spotykasz znajomego czy kolegę i nie masz nawet siły się z nim przywitać. Patrzysz na niego obojętnie, a on odwzajemnia się tym samym spojrzeniem. Po co tracić energię na słowa?"[12].

Lidia Ginzburg opisuje to samo jako rodzaj przedwczesnego starzenia się w połączeniu z poczuciem alienacji wobec własnego ciała:

„To świadomość dźwiga ciało… wola mieszała się do spraw, z którymi nie miała nigdy związku. «Proszę, oto chodzę – mówiła – to znaczy, właściwie chodzi moje ciało i muszę je pilnie obserwować. Powiedzmy, wysuwam prawą nogę, lewa zostaje z tyłu, opiera się na palcach i zgina w kolanie (z jakim trudem się zgina w kolanie!), potem odrywa się od ziemi, w powietrzu przenosi w przód… Trzeba się przyjrzeć, jak ona to robi, że zostaje w tyle, bo przecież przez to można się przewrócić». Było to jak nauka upiornego tańca.

Jeszcze bardziej upokarzająca w swojej nagłości była utrata równowagi. To nie słabość, nie chwianie się z osłabienia, ale coś całkiem innego. Człowiek chce postawić nogę na skraju krzesła, żeby zawiązać sznurówkę; w tejże chwili traci równowagę. W skroniach pulsuje i serce zamiera. Ciało wymknęło się spod kontroli i chce lecieć jak pusty worek w bezdenną otchłań.

W wyobcowanym ciele pojawiają się nieznośne procesy – zwyrodnienia, wychudzenie, puchnięcie – niepodobne do starych, dobrze znanych chorób, bo zachodzą jakby w martwej materii. Inne objawy są już nawet niezauważalne dla porażonego nimi człowieka. «Patrzcie, on już puchnie z głodu» – mówią o kimś, a on sam jeszcze tego nie jest w stanie zauważyć… Nagle człowiek zdaje sobie sprawę, że puchną mu dziąsła. Ze strachem maca je językiem, dotyka palcem. Zwłaszcza nocą nie dają mu spokoju. Leży i w skupieniu doświadcza ich oślizgłości i braku czucia, okropnego wrażenia braku bólu: kawałek martwego ciała we własnych ustach”[13].

W ostatnich stadiach wygłodzenia cierpiący na nie ludzie wyglądali niemal jak poruszające się szkielety, z wklęsłymi brzuchami, zapadniętymi policzkami, wystającymi szczękami i przeraźliwie pustymi spojrzeniami. „Stawia obute w walonki nogi sztywno, jak protezy – napisała Inbier o ujrzanym na ulicy mężczyźnie, któremu ktoś pomagał iść. – Oczy wychodzą mu z orbit, jak u epileptyka. Skóra na twarzy – napięta. Usta na wpół otwarte, tak że widać zęby, które z głodu jak gdyby się wydłużyły. Nos zaostrzył się, stajał jak gdyby, pokrył się

cały rankami, a koniuszek zagiął się nieco na bok. Wiem już, co znaczy wyrażenie «trawiony głodem»”[14].

Przez cały styczeń i luty miejski Komitet Partii wydawał prawdziwą lawinę rozkazów – o produkcji *burżujek*, tabletek chloru i szczepionek, o „rozliczaniu” kierowników aptek, o sortowaniu niedoręczonej poczty, o zaopatrywaniu domów dziecka w poduszki i kołdry, o tworzeniu brygad hydraulików w celu naprawy systemu kanalizacji, o dostarczeniu trzynastu tysięcy par bawełnianych skarpet do jednego ze szpitali. Wszystkie trafiały w całkowitą pustkę.

Pośród wielu rządowych służb, które po prostu przestały funkcjonować, była straż pożarna. Ogień pojawiał się nader łatwo i często, i to nie tylko z powodu bombardowań, ale też przez domowej roboty piecyki oraz „drzazgi” – zwitki papieru albo szczapy drewna używane do oświetlania pomieszczeń, kiedy już skończyła się nafta do „nietoperzy” czy „kopciuchów”. Zajęte pożarem budynki paliły się nierzadko całymi dniami. Również służba zdrowia zupełnie nie dawała sobie rady. Jeden z raportów sporządzonych dla Popkowa, przewodniczącego Rady Miejskiej, datowany na 12 lutego, informował:

„W szpitalu imienia 25 Rocznicy Października pościeli nie prano od 15 stycznia (…). Sale są kompletnie nieogrzewane, więc niektórych pacjentów przeniesiono na korytarze, gdzie znajdują się prowizoryczne piecyki. Ze względu na bardzo niskie temperatury pacjenci przykrywają się nie tylko szpitalnymi kocami, ale także brudnymi materacami i swoimi własnymi paltami (…). Toalety nie działają, a podłogi nie są w ogóle zmywane”.

Spośród 181 szpitalnych lekarzy jedynie 27 stawiało się do pracy, a na 298 pielęgniarek – zaledwie 163. Ponad tysiąc martwych ciał czekało na zajęcie się nimi. W Szpitalu Dziecięcym imienia Rauchfusa, którego w niektóre dni w ogóle nie ogrzewano, pacjenci spali po dwoje albo i troje na jednym łóżku. Od sześciu tygodni ich nie myto ani nie zmieniano im pościeli, co skutkowało wszawicą u wszystkich. W kostnicy i magazynach zebrało się już 299 trupów[15]. Stos martwych ciał wciąż przyrastał też obok tylnego wejścia do szpitala Erismana, od

strony Karpowki – były to zarówno trupy już nie mieszczące się w szpitalnej kostnicy, jak i zmarli przynoszeni tu z sąsiedztwa przez krewnych. Jak napisała Inbier:

„Teraz już co dzień na saniach przywożą nam od ośmiu do dziesięciu ciał. A one po prostu leżą tak sobie, na śniegu. Coraz trudniej jest o trumnę, coraz mniej jest też materiałów, z których można by ją zrobić. Ciała owijane są w prześcieradła, koce, obrusy, czasami nawet w firanki. Raz widziałam niewielki pakunek zawinięty w papier i obwiązany sznurkiem. Bardzo mały rozmiar wskazywał na ciało dziecka.

Jakże makabrycznie wyglądają tak na śniegu! Tu i ówdzie spod tych prostych całunów wystaje raz ręka, raz noga… Przypomina mi to pole bitwy i noclegownię – jedno i drugie naraz”[16].

Dmitrij Łazariew, który odwiedził szpital Erismana, by pożegnać przyjaciela, zobaczył tam przelewające się kubły na nieczystości, zwane przezeń „wiadrami miodu”, i opisywał, że jedyną opiekę zapewniają pacjentom odwiedzający[17]. 15 stycznia szpitalna kostnica stanęła w ogniu, którym zajęła się od wciąż tlących się waciaków zwiezionych tam ciał robotników poległych w pożarze swojej fabryki. Łącznie, według danych miejskiego wydziału zdrowia, 40 procent pacjentów przyjętych do któregokolwiek z 73 szpitali w mieście w pierwszym kwartale 1942 roku nie wyszło już stamtąd żywych. Olbrzymie różnice między poszczególnymi placówkami – w Szpitalu imienia Karola Marksa wskaźnik śmiertelności wśród pacjentów przyjętych w styczniu wynosił aż 84 procent, podczas gdy w Drugim Dzielnicowym Szpitalu Dziecięcym „Październik” zaledwie 12 procent – sugerują jednak, że szacunki te mogą być dalece niepełne[18].

Marina Jeruchmanowa na własne oczy doświadczała błyskawicznego pogarszania się warunków w zamienionym na szpital hotelu „Jewropa”. 16 listopada tuż przed jego głównym wejściem spadła bomba, odcinając zasilanie elektryczne, a więc ogrzewanie, oświetlenie, piece w kuchni i windy. Utrzymujące się jeszcze pewne znaki lepszych czasów – wyprasowane obrusy czy śnieżnobiałe uniformy kelnerów – szybko odeszły w zapomnienie, ale szpital zdołał jeszcze funkcjonować w miarę normalnie aż do Nowego Roku, kiedy to wskutek awarii wodociągu

zamarzła woda w toaletach. Odtąd wszędzie już zapanował brud i nieporządek. Pacjenci załatwiali swoje potrzeby na głównej klatce schodowej, zamieniając ją szybko w „żółtą górę lodową", w restauracji na drugim piętrze urządzili sobie czarny rynek, a w długich, ciemnych korytarzach napadali na sanitariuszki roznoszące jedzenie po oddziałach. Wiele z nich – jak Marina i jej siostra – było pannami z dobrych domów, wychowanymi „na Turgieniewie". *Sztrafniki* – smagli żołnierze o błyszczących oczach z 16 Batalionu Karnego, w większości byli skazańcy – przejęli dla siebie największe pokoje, przypinając sobie do ramion dywany, a głowy owijając – niczym turbanami – aksamitnymi zasłonami, przez co wyglądali „jak załoga statku pirackiego". Fortepian stopniowo pozbawiano mahoniowego pudła, które porąbano i spalono w piecach, a Wschodnią Restaurację, piękną salę z witrażem przedstawiającym łódź wikingów, zamieniono w kostnicę.

4 stycznia, po wielu dniach piętnastogodzinnej pracy, polegającej na wnoszeniu wiader z gorącą wodą na czwarte piętro po oblodzonych schodach, Marina zasłabła i poczuła silne bóle brzucha. Jakaś miła pielęgniarka umieściła obie dziewczyny wraz z matką w klitce na najwyższym piętrze – kiedyś jednym z najtańszych pokoi w całym hotelu. Ściany pokrywały szaroniebieska farba i – niczym tapeta we wzory z motywami paproci – gruba warstwa szronu, ponieważ temperatura w pomieszczeniu wynosiła jedenaście stopni poniżej zera. Przeżyć w tych warunkach pozwoliła im półlitrowa butelka alkoholu odkryta przez matkę Mariny w dawnej aptece hotelowej. Za jedną jej połowę kupiły suchary, a druga posłużyła im jako zapłata za zrobienie *burżujki* z wiadra, czego podjął się jakiś mężczyzna. Piecyk ten, opalany połamanymi meblami i starymi aktami osobowymi z hotelowego archiwum (przed wrzuceniem do ognia podań o zatrudnienie, pisanych przez dawno już niepracujących w hotelu kelnerów czy cukierników, Marina i jej siostra najpierw z uwagą je przeglądały), zamienił pokoik w „arkę" Jeruchmanowych. Wkrótce wprowadziły się do nich jeszcze dwie pielęgniarki, jedna z nich ze starą matką. W pokoju uchwalono zakaz prowadzenia ponurych rozmów, a także panowała zasada, że każda z mieszkanek codziennie rozbiera się do naga, tak by można było

sprawdzić, czy w jej ubraniach nie ma wszy. „Arka" nie mogła jednak pomieścić wszystkich. Na początku Nowego Roku siostry odwiedził ich cioteczny brat, dwunastoletni Lesza:

„Chłopiec znalazł się już w ostatnim stadium wygłodzenia. Był cały obrzęknięty – płyny ustrojowe spowodowały taką opuchliznę jego ciała, że wydawało się, jakby zaraz miała popękać mu skóra (...). Jakoś udało nam się go postawić na nogi, dałyśmy mu coś do jedzenia. A on, niczym zdarta płyta, wciąż powtarzał tylko, że umrze w ciągu tygodnia, a jego matka nawet wcześniej, i tak w kółko, i w kółko. Siedziałyśmy i słuchałyśmy, ale nasze uczucia były tak przytępione (...). Żyłyśmy tylko po to, by żyć. Myśli i emocje jakby zupełnie zamierały".

W całym mieście rozmaite instytucje – szkoły, fabryki, banki, urzędy pocztowe, komisariaty milicji, wydziały uniwersyteckie – przestawały działać w podobny sposób, choć ich pracownicy, jeśli tylko zostało im jeszcze trochę sił, w dalszym ciągu zjawiali się w zakładowych stołówkach, by się w nich trochę ogrzać, spotkać kogoś znajomego, a może nawet dostać talerz wodnistej zupy. Tak sytuację w swoim Instytucie Optycznym opisywał Łazariew: „Rano siedzieliśmy wokół piecyka, w milczeniu, ze spuszczonymi głowami. Siedzieliśmy tak całymi godzinami, bez ruchu, bez słowa. Kiedy kończyło się drewno, piecyk wygasał. Choć na podwórzu była wielka sterta drewna na opał, nikt nie miał siły, by je porąbać i wnieść na górę po schodach. Zamiast tego siedzieliśmy w zimnie i czekaliśmy na porę obiadu. Po obiedzie szliśmy do domu". Podobnie jak w przypadku Domu Akademików opisywanym przez Gieorgija Kniaziewa czy bloku, w którym mieszkała Olga Grieczina, pierwsze zgony odnotowano pośród personelu pomocniczego. „Właśnie zmarła z głodu ta stara sprzątaczka – napisał Łazariew 25 grudnia. – Jeszcze przedwczoraj ścierała kurz z mojego biurka. Mówiono mi, że wróciła do domu, położyła się do łóżka, wyciągnęła ręce, westchnęła i umarła. A dziś, gdy wszedłem do laboratorium, zobaczyłem w sąsiednim pokoju ciało dopiero co zmarłego strażnika".

W odróżnieniu od sprzątaczki Łazariew miał wstęp do Domu Akademików, klubu dla kadry akademickiej, mieszczącego się w dziewiętnastowiecznym gmachu ze wspaniałym *porte-cochère*

(portykiem dla powozów), stojącym nad Newą, tuż obok Ermitażu. Jeszcze we wrześniu można tu było dostać, poza systemem racjonowania, *pirożki*, kawę i ziemniaki. Teraz, po zaostrzeniu zasad sprzedawania żywności, miejscowe specjały ograniczały się do zupy i słodkiej herbaty. Łazariew napisał:

„W wyziębionym korytarzu tworzy się długa kolejka oczekujących, zakręcająca aż na marmurowe schody. Ludzie stoją w milczeniu i czekają. Niemal każdy ma na ramieniu teczkę, a w niej skrywa pojemnik na jedzenie, które zabierze do domu, dla rodziny. Czekanie zdaje się nie mieć końca. Jest zimno, zwłaszcza wówczas, gdy stoi się obok masywnych marmurowych poręczy – płynie od nich wyczuwalna fala chłodu. Wreszcie nadchodzi nasza kolej i możemy wejść do stołówki. Zmarznięci, w futrzanych paltach i czapkach, siadamy przy wolnych stolikach. Po jakimś czasie zaczyna się zdawkowa rozmowa. Zoolog – wysoki mężczyzna, kiedyś ze sporą nadwagą – narzeka, że wszystkim ludziom daje się tyle samo jedzenia, niezależnie od ich wagi i wzrostu. «Bo zauważcie tylko, ci więksi…» – peroruje, ale nikt go nie słucha. Do naszego stolika podchodzi bowiem Katiusza z nożyczkami i pudełkiem zapałek na wycięte odcinki kartek. To nasza ulubiona kelnerka – wydaje się nam, że szybciej przynosi jedzenie i daje nieco większe porcje. Ludzie przychodzą do stołówki z własnymi talerzami i łyżkami. Szanowany siwowłosy profesor wylizuje do czysta talerz, zanim włoży go do swojej torby na maskę przeciwgazową”[19].

Sam Łazariew wiosną poważnie zachorował, ale szczęśliwie zdołał się uratować dzięki tymczasowemu oddelegowaniu na okręt stawiający miny, co nie tylko zapewniło mu porządne posiłki, ale też umożliwiło oddanie jego kartek żonie i córce.

Leningradzki Komitet Partii oficjalnie zamknął w ciągu całej zimy dwieście siedemdziesiąt fabryk, ale większość pozostałych i tak ledwie funkcjonowała; nawet resztki zakładów zbrojeniowych były zdolne tylko do nielicznych i chaotycznych prac naprawczych[20]. Olga Grieczina, osierocona w styczniu po śmierci matki, spędzała noce, stojąc na warcie w swojej niedziałającej już fabryce amunicji. Sama, w opuszczonym zakładzie, odpędzała strach, czytając przy świetle „nietoperza” *Wojnę światów* H.G. Wellsa (osoba oddelegowana do pełnienia warty miała

prawo do wzięcia najlepszej książki, dzięki czemu mogła choć na chwilę oderwać myśli od szczurów, które „obmierźle i nieprzerwanie" biegały po betonowych posadzkach). Po zakończeniu warty Grieczina siadywała w ciepłym pokoiku dozorcy i obierała z igieł gałązki sosny, by przygotować sobie napój z witaminą C – kolejny suplement diety opracowany przez Akademię Leśnictwa. Za nocną pracę uzyskiwała prawo do jednego posiłku, wydawanego co dzień o godzinie drugiej nad ranem, składającego się z zupy i kaszy.

Spośród 270 robotników pracujących w warsztacie numer 15 stoczni Sudomech Wasilija Czekrizowa 47 zmarło jeszcze przed końcem stycznia. „Ilu umrze w lutym – tego nie wie nikt. Jedynie 70 zjawia się w fabryce na apelu albo w stołówce. Wszyscy inni tylko leżą (...). Wyuczeni, wykwalifikowani robotnicy, kręgosłup naszego warsztatu, wszyscy pomarli (...). Zaledwie kilku ludzi pracuje przy naprawach, ale trudno to nawet nazwać pracą, tak naprawdę tylko zabijają czas"[21]. Zwyczajowe drakońskie kary za niestawiennictwo w pracy przestały odnosić jakikolwiek skutek. Jak uskarżał się autor raportu dla Żdanowa z początku lutego, w stoczni imienia Andre Marti „setki ludzi nie przychodzą do pracy, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Z każdym dniem liczba nieusprawiedliwionych nieobecności rośnie... Po tym, jak dzielnicowy komitet partii uświadomił kierownictwu, że jego zachowanie jest równoznaczne z kryciem uchylających się od pracy, w ciągu dwóch dni podjęto kroki wobec siedemdziesięciu dwóch takich pracowników. Ale na tym błędy [kierownictwa] się nie zakończyły. Spośród tych siedemdziesięciu dwóch przypadków połowę oddalono z powodu braku dowodów"[22].

Przez zadziwiająco długi czas w miarę normalnie prowadzono natomiast życie akademickie. Iranista Aleksandr Bołdyriew jeszcze pod koniec grudnia wciąż prowadził seminaria w Ermitażu (napominając swoich studentów za nieprzykładanie się do referatów). Historyk sztuki Nikołaj Punin miał zajęcia aż do ostatnich dni listopada. W szpitalu Erismana patolog Władimir Garszyn wykładał w samym środku nalotów bombowych, a pod koniec semestru zimowego, jak zwykle, przystąpił do egzaminowania studentów nawet wówczas, gdy umierali w akademikach. (Zauważył, że najpierw poddawali się nieżonaci

mężczyźni, a dziewczyny i pary po ślubie wytrzymywały dłużej). Jedynym sposobem, by jakoś funkcjonować, była według niego ciągła praca:

„Wymyślamy więc różne rzeczy do roboty dla laborantów, byle tylko dać im jakieś zajęcie. Jeśli przestaniesz pracować, po prostu się położysz, nie jest dobrze – nie masz żadnej gwarancji, że jeszcze kiedyś wstaniesz. Jedna z laborantek zmarła w samym laboratorium. Znaleziono ją rankiem zwiniętą w kłębek pod ciepłym szalem, z nowymi brązowymi walonkami na nogach. Nie poszła do domu, mieszkała za daleko. Mąż innej laborantki został zabity na ulicy podczas ostrzału artyleryjskiego. Wzięła dwa dni wolnego, potem wróciła do pracy. Jej i tak już obrzękła twarz opuchła jeszcze bardziej od płaczu. Cały czas milczy. Czy praca postępuje? Owszem, jakoś tam idzie.

Najważniejsze to nie poddawać się. Zaczęły się egzaminy, ja siedzę na ustnych – i nie wygląda to wcale tak źle! Coś tam jednak pamiętają z wykładów! Egzaminatorka, moja asystentka, magluje ich dość dokładnie, choć łagodnie. Skąd oni biorą w sobie tyle siły?”[23].

Inbier obserwowała, jak inny lekarz ze szpitala Erismana bronił pracę doktorską w szpitalnym schronie przeciwlotniczym. Toasty po obronie wznoszono rozcieńczonym spirytusem[24].

Wyzywająco wręcz uporczywe trwanie przy nierzadko dosyć surrealistycznych pozorach normalnego życia, nawet w najtrudniejszym okresie tej zimy, cechowało zwłaszcza instytucje powszechnie znane i szanowane. 9 lutego Inbier uczestniczyła w dwudniowej konferencji pisarzy bałtyckich, zorganizowanej przez Związek Pisarzy. Aby się do niej przygotować, zacerowała sobie dodatkową parę rękawiczek i pończoch, wymieniła kartki na cztery posiłki w stołówce na dwa jajka i mały kawałek wysuszonego sera i naruszyła swój prywatny zapas jedzenia, wyciągając zeń tabliczkę czekolady. Spacer z Erismana na miejsce konferencji, w normalnych czasach pozwalający na miłą przechadzkę z Piotrogrodzkiej Strony na Wyspę Wasiljewską, zajął jej dwie godziny. Po drodze mijała zakopane w śniegu tramwaje, budynek palący się całą noc bez jakichkolwiek prób ugaszenia, a także ulicę zalewaną przez wodę z zepsutego hydrantu – kłęby pary, które z niego buchały, podświetlała różowa jasność poranka.

Pod koniec dnia wypełnionego odczytami, prelekcjami i przemowami Inbier udała się na spoczynek na polówce rozłożonej za parawanem w pełnej dymu tytoniowego sali konferencyjnej. Wczesnym rankiem obudził ją odgłos rąbanego drewna. „Jak się okazało, Z. porąbał siekierą krzesło, na którym wczoraj siedział. Widziałam, jak wrzucił je do piecyka. Nieszczęsne krzesła leningradzkie! Znowu zrobiło się ciepło. Zasnęłam".

W Akademii Nauk Gieorgij Kniaziew, którego „promień świata" skurczył się teraz jeszcze bardziej, bo mróz unieruchomił jego wózek inwalidzki, obserwował bezradnie, jak jego podwładni – którym przecież jeszcze nie tak dawno prawił umoralniające kazania – umierają jeden po drugim. 5 stycznia napisał: „S. Szachmatowa-Kaplan i jej szesnastoletni syn Alosza, wnuk akademika Szachmatowa, chłopiec niezwykle zdolny i wielki amator astronomii, który niewątpliwie miałby duże osiągnięcia w swojej ukochanej dziedzinie i prawdopodobnie zostałby w przyszłości wybitnym naukowcem, a może i członkiem Akademii. Wiadomość o tej śmierci wstrząsnęła mną i wszystkimi naszymi pracownikami". Następnego dnia odbyło się planowe zebranie komisji historycznej przy Akademii Nauk, na którym Kniaziew zaprezentował swój referat („być może mój ostatni") zatytułowany *Historia dziekanów wydziałów Akademii przez cały okres jej istnienia (1925–1941)*. Kiedy go odczytywał, na zewnątrz, na dziedzińcu, leżał „jakiś nieszczęśnik", nawet pozbawiony butów. Kniaziew przyznawał w swoim dzienniku, że utrzymywanie pozorów pewności siebie stawało się już niemożliwe:

„Chcąc robić dobrą minę do złej gry, staram się przy ludziach uśmiechać, mówię same krzepiące słowa, usiłuję podnosić innych na duchu (...). I tylko tutaj, na tych stronicach pozwalam sobie nie udawać. Jestem tu cały, taki, jaki jestem (...). Spotkałem Swikul, której syn, skromny piętnastoletni Wowa, właśnie zmarł. Bezgraniczny żal, rozpacz – to wszystko nic nie znaczy w porównaniu z tym, co wyrażają jej oczy, zapadłe policzki, drżący podbródek. Uściskałem ją, przytuliłem, nic więcej nie mogłem zrobić"[25].

W Ermitażu pracownicy i ich rodziny – razem około dwóch tysięcy osób – przenieśli się na stałe do piwnicy, gdzie spali na zbitych z desek

łóżkach, za to w osobliwym otoczeniu starożytnych turkmeńskich chodników i złoconych mebli pałacowych. Ponieważ okna na półpiętrach schodów prowadzących do piwnic zamurowano, w środku panowała niemal całkowita ciemność, nawet za dnia. Tylko jeden pokój – gabinet dyrektora Iosifa Orbelego – miał prąd elektryczny, a to dzięki przeciągnięciu kabla ze starego jachtu wycieczkowego cara Mikołaja, „Gwiazdy Polarnej", zacumowanego na Newie. Poza tym jedynymi źródłami światła były świeczki palące się przy ikonach i „nietoperze", zasilane – jak podaje jeden z pamiętników – foczym tłuszczem dostarczanym przez zoo. Jak zauważył Bołdyriew, niektóre pracownice nieśmiało sięgały też po długo skrywane świece ślubne – wysokie i cienkie gromnice z wosku trzymane przez oboje państwa młodych podczas tradycyjnego obrządku prawosławnych zaślubin.

Jednym z najsłynniejszych wydarzeń zorganizowanych tej zimy na przekór blokadzie miasta było sympozjum odbywające się w Ermitażu w połowie grudnia, dla uczczenia pięćsetnej rocznicy urodzin timurydzkiego wezyra, poety Aliszera Nawoi. Towarzyszyła mu wystawa porcelany zdobionej scenami zaczerpniętymi z twórczości Nawoi (pracujący w dawnych carskich zakładach porcelany artysta Michaił Moch pomalował jedną miseczkę, wzorując się na stylu Wielkich Mogołów). Aleksandr Bołdyriew wygłosił stosowny referat, a poeta Wsiewołod Rożdiestwienski, który specjalnie z tej okazji otrzymał przepustkę z frontu, recytował wiersze. Iranista Nikołaj Lebiediew, tak słaby, że musiał przez cały czas siedzieć, odczytał zaś swoje nowe tłumaczenie poezji Nawoi. Wśród słuchaczy znalazła się stara matka Bołdyriewa, która uparła się, by dołożyć się do oficjalnego obiadu małym kawałkiem chleba z tłuszczem wieprzowym. I – jak zauważył jeden z uczestników – nie miało żadnego znaczenia to, że wśród publiczności nie znalazł się choćby jeden Uzbek. Całe to wydarzenie stanowiło bowiem „wyzwanie rzucone wrogowi. Światło walczyło z ciemnością"[26]. Bołdyriew, zawsze trzeźwy w osądach, uznał sposób odczytywania zaprezentowany przez swojego starego przyjaciela Lebiediewa za „zły i słabo zorganizowany", ale już samo jego tłumaczenie za „cudowne – napisane jasnym, przejrzystym językiem Puszkinowskich baśni". Swój referat także ocenił jako wart zachodu:

„W pracy leży jedyne szczęście i satysfakcja naszych dni. Im gorsze jest fizyczne położenie – do pewnego momentu – tym jaśniej i bardziej świeżo pracują nasze umysły”[27].

Dwa miesiące później Bołdyriew dowiedział się o śmierci Lebiediewa w wyniku wygłodzenia w połączeniu z czerwonką. Po raz ostatni widział go dwa tygodnie wcześniej, w piwnicach Ermitażu:

„On i jego żona leżeli w zimnie i całkowitych ciemnościach w tym podziemnym piekle, jakim jest nasza piwnica (schron numer 3). Poznał mnie po głosie i chwycił za rękę, niczym tonący brzytwę. Dali mi dwieście pięćdziesiąt rubli, błagając, by kupić im za nie chleb i świece na targu (...). Ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedział, brzmiały: «Jak ja bardzo chcę żyć, Sandrik, jak ja chcę żyć!». Mówił tym niezwykłym, melodyjnym głosem, którym tak niezrównanie odczytywał swoje cudowne, pełne muzyki przekłady (...). Tak naprawdę sam byłem już wtedy zbyt osłabiony, by móc mu udzielić jakiejś realnej pomocy; i tak nie byłbym w stanie nic mu kupić. Może prędzej Gala, która faktycznie chodziła czasami na targ, ale i jej się nie udało, miała za mało sił. A zresztą, mało kto już wówczas sprzedawał chleb za pieniądze”[28].

Kolejnym przejawem wewnętrznego oporu i siły ducha leningradczyków był fakt, iż niektóre z kilkudziesięciu teatrów i sal koncertowych w mieście w dalszym ciągu działały. Muzyczny Teatr Komediowy – popularna *Muzkomedia* – grał niemal całą zimę, a w pozbawionej już kryształów w żyrandolach filharmonii koncerty odbywały się jeszcze w grudniu. (Jeden ze słuchaczy zauważył, że z całej sekcji smyczkowej jedynie kontrabasiści mogli nosić palta z owczej skóry, cała reszta musiała wkładać watowane kurtki, które pozwalały swobodnie poruszać rękami). Uważa się, że przez cały czas trwania blokady leningradczycy mieli możliwość uczestniczenia łącznie w ponad dwudziestu pięciu tysiącach różnego rodzaju publicznych występów, a wyobrażenia artystów rzucających się w wir wojennej pracy – Szostakowicza na dachu konserwatorium, Achmatowej stojącej na warcie przed pałacem Szeremietiewa, primabalerin szyjących siatki kamuflujące – należą do najważniejszych znaków rozpoznawczych oblężenia.

Nie wszyscy mieszkańcy potrafili jednak powstrzymać się od cynicznych komentarzy. Jeden ze słuchaczy koncertu, który dał wielki skrzypek Dawid Ojstrach (specjalnie na tę okazję ściągnięty samolotem z Moskwy), odnotował, że publiczność nie składała się ze zwyczajowych przedstawicieli inteligencji, a do tego wydawała się niebywale zdrowa. On i jego żona byli z całą pewnością najbardziej „dotkniętymi dystrofią" ludźmi na sali[29]. Nawet pewien zagorzały stalinista, widząc tłum ludzi rozpychających się po bilety na operę *Miłość żeglarza* w marcu 1942 roku, nie mógł się oprzeć skojarzeniom z chlebem i igrzyskami[30]. Jednym z najbardziej gorzkich zapisów pamiętnikarskich jest zapewne relacja Wiery Kostrowickiej, nauczycielki tańca w szkole baletowej Teatru Maryjskiego:

„W kwietniu okazało się, że trzeba sportretować odrodzenie miasta rękami jego półżywych mieszkańców. L. S. T. [dyrektorka szkoły] wpadła więc na jakże próżny pomysł, by to właśnie nasza szkoła – a dokładniej to, co z niej zostało – dała pierwszy [wiosenny] występ dla publiczności w sali filharmonii.

Niektóre z dziewcząt były stosunkowo zdrowe dzięki szczęśliwemu położeniu ich rodzin, ale i tak wszystkie miały szkorbut. Najbardziej utalentowana z nich, Lusia Aleksiejewa, nie mogła tańczyć tańca klasycznego – jej nogi, pokryte sinymi wybroczynami, uginały się pod nią i odmawiały jej posłuszeństwa.

Poinformowałam L. S. T. o tej sytuacji.

W odpowiedzi usłyszałam pełen wściekłości krzyk i groźby, że tym, które odmówią tańczenia, nie zostaną przyznane kartki na następny miesiąc...

Występ więc się odbył. Pokazaliśmy nawet «umierającego łabędzia» i inne baletowe bzdury. Pietia, którego ucharakteryzowałam tak, by wyglądał jak żywy człowiek, «zatańczył» dwa numery. Aby w ogóle mógł się poruszać, dziewczęta przyniosły mu chleb i kaszę. Zaprowadziłam go na scenę i starałam się nie patrzeć, jak «tańczy». Podczas przerwy zasłabł, osunął się w moje ramiona, po czym zwymiotował całą zjedzoną kaszę.

Na spektakl nie przybyła publiczność z zewnątrz, bo brakowało jej w całym mieście. Dwa pierwsze rzędy zajmowali oficjele odpowiedzialni za nadzór nad kulturą i sztuką oraz przedstawiciele z Instytutu Smolnego i organizacji partyjnych. Z ufarbowanymi na rudo włosami, ubrana niczym modelka, L. S. T. błyszczała podczas antraktu, odwzajemniając pozdrowienia i nienaturalnie głośno zapewniając o swojej wielkiej miłości do dzieci oraz o tym, jak bardzo starała się przez całą zimę uratować im wszystkim życie".

Pietia umarł wkrótce potem, w sierocińcu, a L. S. T. – niejaka Lidia Siemionowna Tager – w dalszym ciągu popisywała się kolejnymi modnymi kapeluszami i nowymi futrami, zakupionymi za żywność, której miała pod dostatkiem jako żona szefa zaopatrzenia frontu leningradzkiego[31].

Z czysto praktycznego punktu widzenia najdziwniejsza z opowieści o wojennych losach różnych instytucji w mieście jest bodaj ta dotycząca leningradzkiego zoo, niewielkiej, ale uroczej placówki, działającej od lat sześćdziesiątych XIX stulecia, a zlokalizowanej na tyłach Twierdzy Pietropawłowskiej na Piotrogrodzkiej Stronie. Zanim został domknięty pierścień oblężenia, z zoo ewakuowano do Kazania pięćdziesiąt osiem najcenniejszych zwierząt, a wiele pozostałych zginęło w trakcie pierwszych nalotów bombowych. Rada miejska, zamiast nakazać ubój i zjedzenie całej reszty, przyznała zoo specjalne racje siana i warzyw korzeniowych, dzięki którym – a także przy niezwykłym oddaniu i poświęceniu ze strony personelu – udało się utrzymać przy życiu przez pierwszą zimę w oblężeniu aż osiemdziesiąt pięć zwierząt. Jak odkryli pracownicy zoo, lisy, gronostaje, szopy pracze i sępy można było przekonać do zjedzenia „warzywnej mieszanki" złożonej z otrębów, makuchów i ziemniaków, jeśli tylko wcześniej namoczono ją w niewielkiej ilości krwi albo wywarze kostnym. Bardziej wybredne były tygrysy, sowy i orły, którym taką samą mieszankę trzeba było wszyć w skórę królika albo świnki morskiej. Kiedy następnego lata zoo ponownie otwarło swoje podwoje dla publiczności, te zwierzęta, którym udało się przeżyć zimę – jak czarny sęp Wieroczka, antylopa nilgau – Żeglarz czy niedźwiedź Griszka – stały się prawdziwymi celebrytami. Niekwestionowaną gwiazdą został jednak hipopotam Krasawica,

„Ślicznotka”. Jedyna przedstawicielka tego gatunku w Związku Radzieckim była przez całą zimę otoczona wielką troską przez swoją oddaną opiekunkę Jewdokię Daszynę, która co dzień myła ją, zużywając czterdzieści wiader ciepłej wody, przyniesionej uprzednio własnoręcznie z Newy i zagrzanej, a także nacierała jej szarą workowatą skórę olejkiem kamforowym, by zapobiec powstawaniu pęknięć[32]. Zdjęcie z 1943 roku ukazuje Krasawicę i Daszynę stojące razem w błotnistej zagrodzie. Daszyna trzyma kawałek zieleniny; hipopotam odpoczywa, opierając podbródek o ziemię, i łypie na aparat oczkiem z długimi rzęsami. Z tyłu, za olbrzymim zwierzęciem, na balustradzie siedzą w rządku dzieci z wielkimi kolanami i ogolonymi głowami.

Tego rodzaju osiągnięcia były jednak zaledwie promykami światła w olbrzymim morzu ciemności. Znacznie więcej o ogólnym stanie miasta mówi działalność Zarządu Pogrzebowego, agencji odpowiedzialnej za kostnice i cmentarze[33]. Przez kilka pierwszych miesięcy wojny jej mniej więcej dwustupięćdziesięcioosobowy personel, dysponujący dwunastoma pojazdami mechanicznymi i trzydziestoma czterema końmi, całkiem nieźle dawał sobie radę ze znacznie zwiększoną ilością pracy. W lipcu 1941 roku dokonano 3688 pochówków – jeszcze tylko nieznacznie więcej niż w miesiącach przedwojennych, w sierpniu było ich już 5090, we wrześniu – 7820, w październiku – 9355, a w listopadzie – 11 401. Dwa z ośmiu nowo wyznaczonych stanowisk grzebalnych – o których pomyślano zawczasu, spodziewając się masowych ofiar nalotów bombowych – okazały się ostatecznie leżeć po niewłaściwej stronie frontu. Od 80 do 85 procent ciał dostarczanych do kostnic udawało się zidentyfikować dzięki członkom rodziny i pochować w tradycyjny sposób. Pozostałych zaś rejestrowano i obfotografowywano przy udziale milicji.

Począwszy od grudnia, kiedy główne ulice wiodące do największych podmiejskich cmentarzy zaczęły się wypełniać saniami, które przewoziły „mumie”, wszystkie te procedury kompletnie się jednak załamały. Za bramami cmentarnymi personel zarządu (uszczuplony w ciągu zimy o czterdzieści sześć osób, które nie dożyły wiosny) był całkowicie bezradny, co dawało pole do popisu rozmaitym „hienom

cmentarnym", przynoszącym własne łomy i proponującym kopanie osobnych grobów w zamian za chleb albo pieniądze. Pojawiły się też oferty czasowego wynajmu trumien, a nawet grobów, do których ciała składano jedynie na krótki czas, przed ich ostatecznym wrzuceniem do rowów razem z całą resztą. W marcu pewna kobieta pragnęła pochować swojego zmarłego ojca na cmentarzu Serafimowskim, ale nie stać jej było na osobny pogrzeb, umówiła się więc z pracownikami, że za dwadzieścia pięć rubli umieszczą go oni z brzegu, a nie pośrodku masowej mogiły, zgadzając się jednocześnie, by wpierw wyjęli go z trumny. Wychodząc z cmentarza, dostrzegła przykład makabrycznego cmentarnego humoru: jakiegoś trupa postawiono pionowo, do ust włożono mu papierosa, a wyciągniętą i zamarzniętą rękę skierowano tak, by wskazywał nią na rowy[34].

Zdjęcie wykonane na jednej z ulic Leningradu w lutym 1942 roku – w szczytowym okresie śmiertelności w oblężonym mieście.

W miarę upływu czasu coraz więcej krewnych dostarczało swoich zmarłych jedynie do najbliższej tymczasowej kostnicy. Takie utworzono

w każdej z piętnastu dzielnic miasta, po części w celu zmniejszenia liczby konduktów pogrzebowych na ulicach, bo – jak zauważył zarząd – miały one „zły wpływ na ludność". Jedno z takich miejsc zostało nader obrazowo opisane przez Dmitrija Łazariewa, który pod koniec stycznia zostawił tam ciało zmarłego teścia:

„Zarządca domu ołówkiem na skrawku papieru zapisał nam, jak dotrzeć do dzielnicowej kostnicy przy ulicy Głuchaja Zelenina [Głucha Prochowa]. Dał nam sanie i przestrzegł nas, że jeśli zmarły nie ma trumny, wolno go przewozić ulicami dopiero po ósmej wieczorem. Było niezwykle zimno, nawet jak na tę porę roku – trzydzieści pięć stopni poniżej zera. Nina, Nika i ja przywiązaliśmy ciało ręcznikami do jakiejś deski, a następnie z wielkim trudem opuściliśmy je po ciemnej klatce schodowej. Nina została w domu, żeby położyć dzieci spać; Nika i ja pociągnęliśmy sanie na Głuchą Prochową (...). Najpierw ciągnęliśmy razem, potem na zmianę, żeby drugie z nas mogło odwrócić się plecami do wiatru i rozgrzać nieco twarz i dłonie. Wydawało się nam, że cała ta droga – w rzeczywistości dosyć krótki dystans – nigdy się nie skończy. Dotarliśmy wreszcie do bram kostnicy, która wcześniej była składem drewna. Kobieta przy drzwiach, także na wpół żywa z zimna, właśnie szykowała się do pójścia do domu, więc głosem męczennicy kazała nam się pospieszyć. Zaciągnęliśmy sanie wąską ścieżką przez podwórze do wielkiej szopy. Otwierając na oścież jej drzwi, zobaczyliśmy w świetle księżyca całą górę trupów, na wpół rozebranych albo zaszytych w prześcieradła, zrzuconych na jeden wielki stos, niczym polana drewna na opał. Kobieta pokazała nam ze zniecierpliwieniem, że powinniśmy dorzucić nasze ciało na sam wierzch tej góry (...). Nikogo więcej tam nie było, a ona sama trzymała się na uboczu, najwyraźniej nie zamierzając nam pomóc. Odwiązaliśmy więc ciało od sanek i spróbowaliśmy je podrzucić, ale bez powodzenia – nasze wycieńczone mięśnie nie miały na to dość siły. Nie było innego sposobu, niż po prostu wciągnąć je na stos. Okazało się, że najłatwiej było ciągnąć za nogi. Potykając się, zaczęliśmy wspinać się na górę, depcząc po śliskich i zmarzniętych na kamień brzuchach, plecach i głowach. W powietrzu, pomimo mrozu, unosił się duszący smród. Wkrótce całkiem opadliśmy z sił, a głowa i ramiona biednego Władimira Aleksandrowicza wciąż

leżały na zewnątrz szopy. Wtedy kobieta spróbowała je dopchnąć drzwiami, sprawdzając, czy się zamkną. Niestety, musieliśmy wspiąć się wyżej, ale nie mieliśmy już na to sił. Wreszcie, w odruchu desperacji, szarpnęliśmy ciałem, a ono przesunęło się w bok, głowa zaś przechyliła się na jedną stronę. Jednocześnie drzwi się zamknęły i coś głucho szczęknęło. To kobieta z kostnicy majstrowała przy zamku drzwi, sprawdzając, czy się ponownie otworzy. Przez kilka minut staliśmy w zupełnej ciemności, bojąc się poruszyć… Wreszcie drzwi się otworzyły. Ostrożnie, podtrzymując się nawzajem za ręce, zeszliśmy na dół, na otwartą przestrzeń i wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą. Kobieta (może była kierownikiem tej kostnicy?) niedbale wsadziła sobie wszystkie dokumenty do kieszeni i tak zakończył się cały pogrzeb”[35].

Szesnaście kolejnych kostnic podobnych do tej otwarto w kwietniu, kilka z nich w opuszczonych kościołach, w tym jedną w soborze Trójcy Świętej, a inną w kaplicy klasztoru Aleksandra Newskiego.

15 stycznia rada miasta rozkazała wykopać kolejne, większe rowy na cmentarzu Bolszeochtinskim, po drugiej stronie Newy, naprzeciwko Instytutu Smolnego, a także na cmentarzu Serafimowskim w Nowej Dieriewni, na starym cmentarzu luterańskim na Wyspie Dekabrystów oraz na cmentarzach Piskariowskim i Bogosłowskim na dalekich przedmieściach w północno-wschodniej części miasta. Choć każda z piętnastu rad dzielnicowych sama miała znaleźć po czterystu robotników do obsadzenia nowych brygad pogrzebowych, w praktyce tylko jedna z nich wywiązała się z tego zadania, więc ostatecznie powierzono je oddziałom NKWD i jednostkom obrony cywilnej. Koparki „Komsomolec”, z którymi zaczęto prace, okazały się niezdolne do przebicia wierzchniej warstwy ziemi, zamarzniętej nawet do głębokości półtora metra. Sięgnięto zatem po materiały wybuchowe, a także po większe i cięższe modele koparek.

Drugi rozkaz, wydany 2 lutego, instruował rady dzielnicowe, by dostarczały dziennie łącznie 60 ciężarówek z przyczepami do odbierania ciał z kostnic i szpitali. Pięciotonowe ciężarówki miały przewozić naraz 100 ciał, trzytonowe – 60, półtoratonowe zaś – po 40. Kierowców motywowano dodatkowymi racjami żywnościowymi – po drugiej i każdej kolejnej dostawie przysługiwało im 100 gramów chleba

i 50 gramów wódki. W rezultacie, jak donosił Zarząd Pogrzebowy, w ciągu kilku dni lutego „na sam tylko cmentarz Piskariowski przywożono dziennie od sześciu do siedmiu tysięcy ciał (...). Na ulicach miasta można było zobaczyć pięciotonowe ciężarówki wyładowane po brzegi górami trupów, słabo przykrytymi, z pięcioma albo sześcioma robotnikami siedzącymi na samym wierzchu". Ekipy robotników, aby móc upakować jak najwięcej zamarzniętych na kamień trupów, stosowały tę samą technikę co przy załadunku drewnianych bali – ciała tych znajdujących się przy brzegach stawiali pionowo, tworząc z nich jakby ogrodzenie zapobiegające wypadaniu całej reszty[36]. Na cmentarzach ekipy kopiących nie były w stanie dotrzymać tempa tak częstym dostawom, co prowadziło do olbrzymich zatorów. Zarząd szacował, że w najtrudniejszym momencie lutego niepochowanych ciał na cmentarzu Piskariowskim było od 20 do 25 tysięcy – czekały one na swoją kolej ułożone w rzędy wysokie na dwa metry, a długie na dwieście metrów.

Sytuacja zaczęła się powoli stabilizować dopiero w marcu – wraz z decyzją o przekształceniu pieców do wypalania cegieł w krematoria. Ponadto powoli spadała śmiertelność wśród mieszkańców. Masowe pogrzeby odbywały się jednak aż do końca maja. Na cmentarzu Piskariowskim, który stał się największym miejscem masowych pochówków, od 16 grudnia do 1 maja wykopano łącznie 129 rowów, zapełnionych i przysypanych ponownie. W każdym z sześciu największych – głębokich na 4–5 metrów, szerokich na 6, a długich nawet na 180 metrów – zmieściło się, wedle wyliczeń Zarządu, około 20 tysięcy ciał. Na cmentarzu Bogosłowskim trupy zrzucano do opuszczonego wyrobiska po piaskarni (pomieściło 60 tysięcy ciał i zapełniło się w ciągu 5–6 lutowych dni), do rowu przeciwczołgowego (10 tysięcy) oraz do lejów po bombach (kolejny tysiąc). Do pochówku następnych 15 tysięcy ciał posłużyło 18 rowów przeciwczołgowych na północnym skraju cmentarza Serafimowskiego. Łącznie, jak donosił zarząd, w granicach miasta zostały wykopane i zapełnione 662 masowe groby, nie licząc istniejących już wyrobisk, lejów czy rowów przeciwczołgowych. Liczba ciał, które do nich wszystkich złożono, wciąż jest przedmiotem debaty, ale szacuje się, że cywilów, którzy

zmarli w Leningradzie podczas pierwszej zimy w oblężeniu, było około pół miliona[37].

12. „BYLIŚMY JAK KAMIENIE”

Maria Maszkowa, kierowniczka działu gromadzenia zbiorów w Bibliotece Publicznej (mieszczącej się w ładnym, szaroniebieskim budynku z początku XIX wieku, na rogu placu Aleksandrowskiego i Newskiego Prospektu), 17 lutego 1942 roku zapisała:

„Mija dzień za dniem, i może jest już trochę późno na zaczynanie pamiętnika. Wokół dzieją się – i idą w zapomnienie – niewyobrażalne, przerażające rzeczy. W pamięci zostaje za to cała reszta, sprawy trywialne i przyziemne. Przyszło dzisiaj trochę listów, które przypomniały mi, że poza Leningradem toczy się inne życie i że są tam ludzie, którzy nie są w stanie wyobrazić sobie choćby jednej setnej tego, przez co my przechodzimy.

Przez okno słyszę odgłosy ostrzału artyleryjskiego. Kiedyś się nimi nie przejmowałam, ale teraz myślę tępo: „Gdzieś tam zawala się budynek, a w nim miażdżeni są ludzie”. Ale czymże to jest przy wszystkim, co dotąd już się wydarzyło? Wszyscy jesteśmy chorzy. Olga Fiodorowna [jej teściowa] jest w bardzo złym stanie – to zresztą normalne, bo w każdym pokoju są jacyś martwi ludzie, nie ma rodziny bez trupa. Minął już niemal miesiąc, odkąd Anna Jakowlewna Zwejnek umarła z głodu. Wciąż tutaj leży, w swoim przeraźliwie zimnym i brudnym pokoju – poczerniała, wyschnięta, z odsłoniętymi zębami. Nikt się specjalnie nie pali, by ją stąd sprzątnąć i pochować, wszyscy są zbyt słabi, by się tym przejmować. Dwa pokoje dalej leży drugi trup – jej córka Asia Zwejnek, która także zmarła z głodu, przeżywszy matkę o dwanaście dni. Asia umarła dwa kroki od mojego łóżka, a Wsiewołod [mąż Maszkowej] i ja zaciągnęliśmy ją tam, gdzie leży, bo w naszym pokoju jest zbyt ciepło, by trzymać w nim martwe ciało…

Niemal na moich oczach zmarł N. P. Nikolski, przyjaciel Wsiewołoda i [były] wiceprzewodniczący Rady Najwyższej ZSRR. Przywieziono go

saniami, miał trafić do kliniki rehabilitacyjnej, która postawiłaby go na nogi (...). Ale on zapadł w śpiączkę i szybko umarł – w gabinecie Wsiewołoda. Leżał na kanapie przez dwanaście dni, bo nie było komu go pochować. Łącznie Biblioteka straciła już co najmniej sto osób...

Stosunek ludzi do umierania, do samej śmierci i do pogrzebu znacznie się uprościł. Początkowo było to bardzo trudne. Zrobić trumnę – ciężko ją teraz dostać, kosztuje pięćset–siedemset rubli – wykopać grób, za co trzeba zapłacić chlebem... Potem pojawiły się trumny na wynajem, a jeszcze później ciała zaczęto wozić do kostnic saniami, owijając je tylko w prześcieradła i koce. W ten sposób pochowałam W. F. Kariakina, męża Zinaidy Jepifanowej (...), a moje nerwy, choć mocno znieczulone, i tak z trudem zniosły wszystko to, co widziałam...

Asia przeprowadziła się do nas po śmierci matki (...). Kiedy i ona zmarła, ku mojej rozpaczy, nie mogłam skorzystać z jej kartek żywnościowych, bo dwa dni wcześniej zjawił się u niej jakiś przyjaciel, który je sobie zabrał i zniknął. Kradzież kartek jest przerażająca i coraz bardziej powszechna (...). W sklepach i na ulicach często można usłyszeć przeszywający, rozdzierający krzyk – wtedy wiesz, że komuś właśnie ukradli jego kartki, albo też z czyichś rąk wyrwano kawałek chleba. To wszystko jest nieznośnie przygnębiające, a jedyne, co cię ratuje, jest zwierzęca obojętność na ludzkie cierpienie”[1].

Jak się udawało to wszystko przeżyć? Wiele wpisów w pamiętnikach kończy się na styczniu albo lutym – ich autorzy byli już zbyt wycieńczeni, by pisać, albo też po prostu nie znajdowali w sobie odpowiednich słów. Inni skupiali się na zwięzłych komunikatach o śmierci krewnych albo o zdobytym i spożytym jedzeniu. Byli jednak i tacy – wśród nich poetka Olga Bergholc – którzy właśnie wtedy zaczynali pisać coraz bardziej rozwlekle, dając wielokrotnie i dobitnie upust uczuciom desperacji, niedowierzania, winy, złości czy przerażenia. Jeśli dziś pyta się któregoś z coraz mniej licznych ocalałych z oblężenia o to, jak pamięta tamte miesiące, odpowiedź będzie niemal zawsze taka sama: *„chołod, gołod, snariady, pożary”*, czyli „chłód, głód, pociski, pożary”, co jest już w zasadzie utartą frazą, której długie, rymujące się sylaby stanowią zarówno poręczny skrót, jak i rodzaj litanii.

Najbardziej oczywistą konsekwencją zimy w oblężeniu było zawężenie horyzontów życia do „żelaznego" trójkąta: dom – kolejka po chleb – ujęcie wody, a także do kręgu najbliższej rodziny i sąsiadów. Uwięzieni w ciemnych, przeraźliwie zimnych mieszkaniach, uzależnieni od sań, domowej roboty lamp i wynajdowanego gdziekolwiek opału, leningradczycy porównywali sami siebie do jaskiniowców, do Robinsona Crusoe i do polarników. Życie sprzed wojny, które kiedyś uważali za wyjątkowo źle zorganizowane, teraz jawiło im się niczym „bajka" – by użyć słów „Człowieka oblężenia" z pamiętnika Lidii Ginzburg.

„Woda w kranach, światło po naciśnięciu przełącznika, jedzenie w sklepach (...). Z tamtych dawnych czasów pozostała jedynie rycina wisząca nad półką z książkami oraz gliniany krymski dzban na szafce – prezent od kogoś. Kobieta, która go podarowała, była teraz w nieokupowanej części Rosji, stając się czymś tak odległym i nieużytecznym (...). W narastającym chaosie tej zimy czuło się, że ten dzban i nawet te półki z książkami są jak Sale Pogankina albo ruiny Koloseum, w tym sensie, że już nigdy nie nabiorą żadnego praktycznego znaczenia"[2].

Skurczył się również świat uczuć. Ocaleni opisują, że byli wówczas „jak wilki", a nawet jeszcze częściej – „jak kamienie". Automaty wyprane z emocji i zainteresowane jedynie przedłużeniem własnego życia. Widok nieznajomego osuwającego się z wycieńczenia na ulicy, który jeszcze w listopadzie i grudniu stawiał przed innymi przechodniami moralny dylemat – zatrzymać się i pomóc, ryzykując, że nie przyniesie się jedzenia do domu swojej rodzinie, czy też minąć i iść dalej? – teraz, w styczniu i lutym, z rzadka był w ogóle odnotowywany. 13 stycznia, wychodząc z domu do Domu Akademików na „zupę sojową", Aleksandr Bołdyriew dowiedział się, że jeden z jego sąsiadów, który „w ostatnich kilku miesiącach zupełnie się postarzał i zniedołężniał", zwalił się z nóg na ulicy przed domem i został wciągnięty do środka przez przechodzących żołnierzy. „Wciąż tam leży, na klatce, i najwyraźniej umiera. Ale nie poszedłem do niego, udałem się prosto na obiad. Droga tam i z powrotem kosztuje mnie mnóstwo sił, całą moją niewielką dzienną rezerwę. Gołowan także szedł na obiad, ale jemu nie

wystarczyło już tej rezerwy”[3]. Jak zauważył inny pamiętnikarz, dozorcy prosili ludzi, którzy ze zmęczenia przysiadali na schodach i w drzwiach ich budynków, aby szli dalej, bo wiedzieli, że jeśli siedzący tam człowiek umrze, to na nich spadnie obowiązek zaciągnięcia jego ciała do kostnicy. Chyba że taki człowiek był dobrze ubrany; wówczas dozorca „okazuje mu więcej uprzejmości, a nawet proponuje krzesło, bo wie, że później może sobie zabrać jego ubrania”[4]. W rodzinach też zamierały uczucia, śmierć ukochanych mężów czy rodziców powodowała jedynie ulgę, że można będzie teraz dostać na ich kartki dodatkową rację żywności, albo też niepokój, w jaki sposób pozbyć się ich ciał.

Niemal nikt nie potrafił myśleć o niczym innym niż tylko o jedzeniu. O tym, jak je dostać, przygotować, oszczędzać, wyliczać, na jak długo wystarczy – wszystko to należało do kanonu powszechnych obsesji, podobnie zresztą jak wspomnienia poprzednich posiłków. Ginzburg napisała o swoim „Człowieku oblężenia”:

„Kiedy szedł ulicą, lubił powoli rozpamiętywać wszystko, co zjadł tego ranka i poprzedniego dnia; roztrząsał także, co zje jeszcze dzisiaj, albo też zajmował się obliczeniami dotyczącymi racji i kartek żywnościowych. Odnajdywał w tym to samo napięcie i zaabsorbowanie, które wcześniej znał jedynie w sytuacjach rozważania i zapisywania bardzo istotnych problemów (...). Do czego jest to tak denerwująco podobne? Do czegoś z poprzedniego życia? Ach tak – do nieszczęśliwej miłości”[5].

Inni wpadali w szpony „chlebomanii”, wyobrażając sobie, jak zanurzają kolejne kromki czarnego razowca w oleju słonecznikowym albo zajadają niekończący się zapas białych maślanych bułeczek. (Warłam Szałamow, głodujący w tym czasie w kopalniach złota Kołymy, napisał: „wszyscy mieliśmy wtedy te same marzenia o bochnach żytniego chleba, przelatujących obok nas niczym meteory albo anioły”). Rodziły się też nowe zwyczaje dotyczące spożywania jedzenia. W niektórych rodzinach jedzono wszystko, co udało się uzbierać na dany dzień, za jednym zamachem, a w innych rozkładano to na trzy „posiłki”. Żywność zbierało się na jedną kupkę, po czym dzielono równo między wszystkich albo też przyznawano „według potrzeb”, ewentualnie przydzielano każdemu członkowi rodziny „zgodnie z jego

racją". Przygotowywanie posiłków rozrastało się do rozbudowanych rytuałów. Żylinscy, wykorzystawszy już swoje liście herbaty kilka razy, mieszali je z solą i zjadali łyżeczką. Czteroletnia córeczka Bołdyriewa wpadała w szał, jeśli stół nie był nakryty wedle z góry określonego planu, a „posiłkom" nie towarzyszyły pewne utarte formuły słowne: „Herbata jest tak zimna, że muchy i komary mogą się po niej ślizgać, możesz więc ją pić bez pomocy kubka czy łyżeczki, prosto ze spodeczka". (Jej ojciec napisał: „Słowa te padają jakieś pięć razy przy każdym kubku, stanowiąc dziwaczną, niemal odpychającą rymowankę, reakcję dziecka na otaczający je chaos")[6]. Rzecz jasna, tradycyjna gościnność zupełnie zaniknęła. „Wiem, że jest głodna – napisała młoda Klara Rachman o dopiero co owdowiałej i zawszonej matce szkolnej koleżanki, która przyszła błagać ją o makuchy. – Ale powinna zrozumieć, że w takich czasach proszenie o coś jest nie na miejscu". Ojciec Rachman, jej „drogi tatko", miał umrzeć w marcu[7].

Właśnie w tym czasie leningradczycy uciekali się też do wykorzystywania najbardziej nieprawdopodobnych zamienników żywności, zdrapując wyschnięty klej z wewnętrznej strony ściennych tapet czy rozgotowując buty i pasy (przekonywali się jednak, że procesy garbarskie zmieniły się od czasów Amundsena i Nansena, bo skóra pozostawała w dalszym ciągu twarda i niejadalna). Na ulicznych targach pojawiła się w sprzedaży „ziemia Badajewa", wykopywana spod pozostałości po spalonych składach Badajewa i ponoć nasycona zwęglonym cukrem. Igor Kruglakow z jeszcze jednym małym chłopcem postanowili oszukać czujność strażników i wykopać jej trochę sami:

„Znalazłem coś, co wydało mi się kawałkiem cukru, więc włożyłem to sobie do ust. Ssałem to przez jakiś czas, wracając do domu. Nie rozpuszczało się, ale miało słodki smak. Kiedy przyszliśmy do domu, wyplułem to na dłoń – to był tylko zwykły kamień (...). Mama nas oczywiście skrzyczała, ale nie chcąc zranić moich uczuć, udawała, że rzeczywiście było tam trochę cukru. Zmieszała go z wodą i mieliśmy poczucie, jakbyśmy pili słodką herbatę"[8].

Odmawianie sobie jedzenia, by oddać je innym – a dokonywały tego setki tysięcy leningradczyków – stało się aktem najwyższej samokontroli i niezwykłej dobroczynności.

W styczniu Jelena Koczina i jej mąż przeprowadzili się do przyjaciół. Odwiedzając swoje mieszkanie 1 lutego, Koczina zastała otwarte drzwi wejściowe i porąbane na kawałki meble. „«Czemu rąbiecie nasze meble?» – spytałam kobietę z mieszkania obok. «Bo jest zimno» – odpowiedziała lakonicznie. Co mogłam rzec na takie *dictum*? Ona ma dwoje dzieci, którym jest rzeczywiście zimno". Wracając cztery dni później, zastała na swoim łóżku leżącego trupa. „Był tak płaski, że tkanina marszczyła się tylko odrobinę w miejscach, gdzie winny znajdować się głowa i stopy. Odłupałam nogę od krzesła i poszłam sobie, nie próbując nawet ustalać, kto to jest". Dwa dni później do ciała dołączyły dwa kolejne. „Widać sąsiedzi urządzili sobie u mnie kostnicę. No cóż, niech tam. Zwłoki mi nie przeszkadzają"[9].

Momentem, w którym leningradczycy najczęściej wychodzili ze swoich „jaskiń", a tym samym zyskiwali możliwość pełnego uświadomienia sobie skali tragedii, jaka dotknęła ich miasto, była chwila, w której musieli zorganizować pochówek któregoś z krewnych. Dmitrij Lichaczow, kiedy w marcu zmarł jego zrzędliwy, choć tak dobrze rąbiący drewno ojciec, umył go wodą toaletową, położył mu na powiekach osiemnastowieczne rublówki, zaszył go w prześcieradło i przywiązał do szerokich, podwójnych sań, zrobionych z dwóch par mniejszych sanek połączonych kawałkiem sklejki. Najpierw wraz z żoną zaciągnęli jego ciało do soboru Świętego Włodzimierza, gdzie pop odprawił nad nim liturgię pogrzebową i rzucił na nie garść ziemi, dodając jeszcze jedną garść w imieniu kobiety, której syn zaginął gdzieś na froncie. Następnie zabrali ciało do nowo otwartej „kostnicy" na terenie sali koncertowej, gdzie leżały już tysiące innych ciał, złożone jedno na drugim na otwartym powietrzu. Kiedy przyjechała ciężarówka, która miała zawieźć ciała na cmentarz, Lichaczow próbował namówić kierowcę, by zabrał jego ojca pierwszym transportem, obawiał się bowiem, że w przeciwnym wypadku ktoś rozerwie jego całun i powyrywa mu złote zęby. Kierowca jednak odmówił[10].

Matka Olgi Griecziny zmarła w domu 24 stycznia. Chcąc ze wszelką cenę zapewnić jej najlepszy możliwy pogrzeb, Olga wraz z młodszym bratem, Wowką, zakupili od dozorcy trumnę, płacąc mu za nią chlebem i dodając jeszcze dwieście rubli. Choć okazała się ona za krótka, bo zabrakło drewna, dołożyli wszelkich starań, by wyglądała jak najokazalej: wyścielili ją prześcieradłem i kocem, a obramowali koronkami odprutymi z jednej z matczynych chust. Dodatkowo, co już wydawało się całkowicie niewiarygodne, Oldze udało się kupić w pustej zazwyczaj kwiaciarni przy Newskim Prospekcie bukiet ozdobnych kwiatów adiantum. Wspominała:

„Trumna wyglądała naprawdę dobrze. Byłam zadowolona, widząc efekt mojej pracy, nie myśląc wcale, po co w ogóle ją wykonałam (...). Bardzo dziwnie było patrzeć na tę białą postać pod prześcieradłem. Dlaczego? Kto to jest? Spojrzałam raz jeszcze i to wcale nie była Mama, to była sama Śmierć – czaszka obciągnięta skórą, kości, ręce wyglądające jak kurze pazury. (Przez kolejnych dwadzieścia pięć lat nie byłam w stanie wypatroszyć kurczaka, tak bardzo ten obraz mnie później prześladował). A skoro to nie ona, muszę pozbyć się tego czegoś tak szybko, jak to tylko możliwe, a wtedy wszystko będzie w porządku. Odnalazłszy w sobie jakąś pozytywną energię, zaczęłam wszystko organizować. Zamówiłam grób, wezwałam krewnych...".

Stypę zepsuł niestety jej wujek Sierioża, który przyszedł w dziwnym ubraniu i grymasił jak dziecko, bezustannie powtarzając, że chce dostać zupę (zmarł kilka tygodni później). Z pomocą syna dozorcy zaciągnęli trumnę saniami z ulicy Majakowskiego przez prospekt Suworowski, mijając Instytut Smolny, a dalej mostem Bolszeochtinskim aż na cmentarz Bolszeochtinski. W miarę jak zbliżali się do bram cmentarza, coraz częściej mijali na poboczu drogi pozostawione tam „mumie", owinięte w pościel albo stare zasłony. Widzieli też zaimprowizowane trumny, na przykład zrobioną z kanapy, a ozdobioną wieńcem wykonanym z barwionych na purpurowo strużyn drewna, czy inną z pudła staromodnego zegara – w tej było małe dziecko. Matka Olgi miała „prawdziwy grób, wykopany na zamówienie, choć niezbyt głęboki", a na nim zbity z desek krzyż z wypisanym nieścieralną kredką imieniem i nazwiskiem oraz datami urodzenia i śmierci[11].

Ocalali z oblężenia odczuwali niepohamowaną potrzebę doszukania się prawidłowości, wedle której następowały poszczególne zgony, jakichś racjonalnych powodów, dla których jedni przeżywali, a inni umierali. Według jednej z teorii jako pierwsi umierali najlepsi, „szlachetni, powściągliwi, sumienni", prawdziwi petersburżanie, ci, którzy nie potrafili przepychać się do przodu w darwinowskiej walce o przetrwanie. Według innej analizy (bardziej rozpowszechnionej) to właśnie powściągliwość i sumienność ratowały ludziom życie: aby przetrwać, trzeba było utrzymywać ciągłą aktywność i zachowywać pewne podstawowe standardy – myć włosy, golić się, zamiatać podłogę, nakrywać do stołu na czas „posiłków", czyścić zęby węglem drzewnym, nie jeść kota, nie wylizywać talerza i nie dopuszczać do przelewania się wiadra z nieczystościami ani nie wyrzucać odchodów przez okno. „Kiedy ktoś rezygnował z mycia szyi i uszu – wspominał jeden z ocalałych – przestawał chodzić do pracy, zjadał całą swoją rację chleba za jednym zamachem, a następnie kładł się i przykrywał kocem, nie zostawało mu już wiele życia na tym świecie"[12].

Tego rodzaju dyscyplina konieczna była również w przypadku dzieci. Pod koniec stycznia Jelena Koczina i jej mąż przeprowadzili się do bardzo rygorystycznie poukładanej rodziny przyjaciela, mając nadzieję (złudną) na cieplejsze mieszkanie. Jego dzieci, „przezroczyste jak piwniczne łęty kartoflane", spędzały całe dnie, siedząc bez ruchu jedno przy drugim „przesiąknięte pokorą niczym gąbki wodą. Żona N.A., Gala, i babka, pracują jak nakręcone. Co rano otrzymują od niego całodzienny program zajęć... On zaś, jako doświadczony nadzorca-amator, pilnie wsłuchuje się w odgłosy funkcjonowania rodzinnej maszyny i w porę wzmaga lub osłabia obciążenie, zwiększa lub zmniejsza racje żywnościowe. Chleb przechowuje w swoim biurku, trzy razy dziennie waży go i wydaje odpowiednie porcje"[13].

Lichaczow i jego żona kazali swoim czteroletnim córkom uczyć się na pamięć poezji. Dzięki temu zapamiętały one fragmenty *Eugeniusza Oniegina* – scenę na balu czy sen Tatiany – a także wiersz miłosny Achmatowej zatytułowany *Dała mi babcia Tatarka*, traktujący o dziewczynie udającej, że zgubiła pierścień, choć naprawdę oddała go kochankowi, który odpływa w dal. Jak wspominała jego żona,

dziewczynki zachowywały się „jak bohaterki. Wprowadziliśmy zasadę: żadnych rozmów o jedzeniu, a one jej przestrzegały! Przy stole nigdy nie prosiły o jedzenie, nigdy nie były niegrzeczne, zachowywały się niezwykle dorośle, z namaszczeniem, powagą. [Przez cały dzień] siedziały blisko *burżujki*, rozgrzewając sobie dłonie”[14]. Inną regułą panującą w domu było codzienne mycie, choć czasem ograniczało się tylko do mycia twarzy i rąk, a także załatwianie się – gdy toaleta już zamarzła – na poddaszu, do którego, mieszkając na piątym piętrze, wszyscy mieli łatwy dostęp. „Na szczęście – zauważa Lichaczow – musieliśmy tam chodzić zaledwie raz w tygodniu, a nawet tylko raz na dziesięć dni (...). Kiedy wiosną na dworze zrobiło się cieplej, na suficie w korytarzu pojawiły się brązowe zacieki: chodziliśmy zawsze w określone miejsca”.

Także powiększona rodzina Dmitrija Łazariewa, tłocząca się w komunalnym mieszkaniu na Piotrogrodzkiej Stronie, okazywała sobie wzajemnie wiele wsparcia. Chociaż dwóch jej „członków” – przyjaciel rodziny i teść Łazariewa – nie zdołało przeżyć zimy, dla całej reszty mieszkanie stało się (podobnie jak pokoik w „Jewropie” dla Mariny Jeruchmanowej) prawdziwą „arką”. Łazariew z żoną starali się zabawiać dzieci – sześcioletnią córkę i dziewięcioletnią siostrzenicę – czytając im na głos powieści detektywistyczne jeszcze sprzed rewolucji, a także grając w kalambury. Ich córka szczególnie zapamiętała jeden z nich: odgadywanie słowa *błokada*. Sylabę *błok* demonstrowali, odgrywając scenę z wiersza Aleksandra Błoka, a cząstkę *ad* – po rosyjsku „piekło” – pokazując diabła smażącego duszę na patelni. Całe zaś słowo obrazowało udawanie, że potykając się, ciągną za sobą przez pokój ciężkie sanie[15].

Zachowane dzienniki i pamiętniki, co oczywiste, pochodzą z tych rodzin, które zdołały przetrzymać najgorsze, i to przetrzymać razem. Tymczasem bardzo wielu rodzinom się to nie udało. Liczne i niemal identyczne są świadectwa o tych, którzy się poddali: brak odpowiedzi na stukanie do drzwi; ciemność, smród i zimno; nieruchome sylwetki zagrzebane pod całą stertą koców; mamrotanie i majaczenie. Z mieszaniną odrazy i współczucia Maria Maszkowa odnotowywała rozkład rodzin sąsiadujących z nią pod numerem 18 przy ulicy Sadowej.

W większości były to rodziny jej kolegów i koleżanek z Biblioteki Publicznej. Jedna z sąsiadek jeszcze do niedawna twardą ręką trzymała swoją „silną, sprawną, pełną energii" rodzinę. Jednak po tym, jak jej mąż dostał powołanie do wojska, rodzice zaczęli się kłócić i kraść, zanim ostatecznie umarli, a córkę zabrano do domu dziecka, przestało jej samej zależeć na czymkolwiek poza jedzeniem: „Ma przemożną żądzę jedzenia, jedzenia bez końca, smakowania i rozkoszowania się nim (...). Kiedy jej mąż przyjeżdża do domu na przepustkę, jest przerażona – mógłby jeszcze zjeść jej rację chleba. Rozpoznaję ten stan ducha – odnajduję go także w sobie i w Oldze, i w każdym innym"[16]. Inna sąsiadka zwróciła się przeciwko swojemu dziesięcioletniemu synowi Igorowi po tym, jak zgubił on swoją kartkę żywnościową:

„Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać przemiana, która nastąpiła u tej kochającej matki. Zawsze wręcz się z niej podśmiewaliśmy, że za bardzo dba o swojego Igorka... A teraz zmieniła się w wilczycę, pozbawioną przez głód cech ludzkich. Troszczy się jedynie o to, jak by tu podwędzić kawałek jedzenia Igorowi, martwi się tylko tym, że to on zabierze jej choć okruch chleba albo podkradnie łyżkę zupy zrobioną z jej ziarna. Kiedy poszłam do niej porozmawiać o tym, jak można by pomóc Igorowi, nawet nie słuchała, co mówię. Prześladował ją ten jeden strach – że w jego ręce wpadnie jej kartka albo że zje on jej chleb. Stwierdziła kategorycznie: «Jestem głodna, chcę żyć. Nie obchodzi mnie Igor i jego głód. Zgubił kartkę, to niech sam się o siebie martwi». Nie ma zamiaru niczego mu oddawać. Musi sama przeżyć i nie interesuje jej nic innego. Jest cała przepełniona złością i zazdrością w stosunku do każdego, kto trzyma się jeszcze na nogach. Igor po prostu stał i nic nie mówił, tylko pożerał łapczywie kawałek chleba, który z litości dali mu sąsiedzi. A ona wykrzykiwała gniewnie: «Nie wierz w jego narzekania! Patrz, jaki ogromny kawał chleba właśnie wpakował sobie do ust, podczas gdy ja leżę tu głodna i słaba!». Igor, pomimo przerażenia i tragizmu całej tej sytuacji, zachowuje się spokojnie i nigdy nie narzeka. Możliwe, że nie jest już zdrowy na umyśle"[17].

Mieszkańcy bloków komunalnych, w których kuchnie, łazienki i korytarze były wspólne, z bardzo bliska obserwowali przypadki załamania u swoich sąsiadów. Na przykład dziewięcioletni Igor

Kruglakow, utrzymywany przy życiu dzięki żelaznej dyscyplinie narzucanej przez matkę i babkę (nie wolno było rozmawiać o śmierci, a on i jego siostra musieli codziennie stać na zewnątrz w śniegu przez dziesięć minut, aby złapać trochę światła i świeżego powietrza), słyszał, jak mieszkające obok małżeństwo najpierw się kłóci, potem walczy ze sobą, a wreszcie wali w ścianę po tym, jak żona zabiła ich małe dziecko[18].

Wzorowym wręcz przykładem osoby ocalałej z oblężenia był iranista Aleksandr Bołdyriew. Przystojny, egoistyczny i obdarzony kąśliwym poczuciem humoru, uszedł czystkom z lat 1936–1937, spędzając dużo czasu w szpitalu z powodu wrzodów żołądka albo wyjeżdżając w delegacje naukowe do odległych rejonów Azji Środkowej. Kiedy wybuchła wojna, uniknął powołania do wojska dzięki pomocy kochanki, koleżanki z Ermitażu, która wstawiła się za nim u dyrektora muzeum, Iosifa Orbelego, za pośrednictwem swojego od dawna już chorującego męża. Choć Bołdyriew nie był członkiem partii, niestrudzenie zabiegał przez cały okres oblężenia o nawiązywanie i podtrzymywanie użytecznych znajomości, a zapisawszy się jednocześnie do Domu Akademików do Instytutu Wschodniego, a także do Ermitażu, w każdym z tych miejsc spożywał codziennie „obiad". Z Ermitażu udało mu się ponadto załatwić kartkę robotnika fizycznego, jak również – co już szczególnie zasługuje na podziw – rekompensatę za utracony urlop w wysokości 1417 rubli. Dodatkowo wygłaszał wykłady historyczne dla marynarzy z uwięzionych w Leningradzie przez lód okrętów (ich tematy: „Flota Piotra I", „Literatura Bratnich Narodów Azji Środkowej" i „Dzisiejszy Afganistan"). Czasami tego rodzaju zlecenia oznaczały tylko długi spacer przez całe miasto bez żadnych korzyści, ale zwykle zapewniały mu one posiłek i kilka papierosów marki Biełomorkanał. Jego dziennik z okresu oblężenia przypomina bezustannie uzupełniany roboczy kalendarz z nazwiskami urzędników, których należy o coś poprosić, listą długów, o które trzeba się upomnieć, i propozycjami interesów, które są warte uwagi (on sam mówi w pewnym momencie o „skakaniu przez bagno po kępach trawy")[19]. Udało mu się również nie stracić nadziei (w jego oczach oblężenie w każdej chwili miało zostać przerwane, a Anglia lada moment miała otworzyć drugi front)

ani też dystansu do siebie i poczucia absurdalnego humoru. „Przez cały czas – napisał 10 lutego – czy to siedząc, czy stojąc, czy leżąc, uświadamiam sobie moje krańcowe wychudzenie. Szczególnie uderzający jest zanik pośladków, tego jedynego naprawdę niepowtarzalnego elementu mnie samego, z którego byłem tak bardzo dumny. Teraz właściwie już nie posiadam tyłka, a moja miednica i kości biodrowe stukają w krzesło przy siadaniu".

Choć rodzinę Bołdyriewa trudno było określić jako harmonijną – żona bezustannie kłóciła się z jego matką, a on sam z żoną – ani na moment nie przestali działać razem, jak jedna drużyna. Bołdyriew przynosił do domu z rozlicznych stołówek „zupę drożdżową" i „galaretę", jego żona oddawała krew (przysługiwały za to dodatkowe przydziały), matka zaś wystawała w kolejce po odbiór racji żywnościowych. Przede wszystkim jednak mieli szczęście, że wcześniej odziedziczyli dużo cennych rzeczy, które teraz mogli sprzedawać albo wymieniać. Poza tradycyjnie poszukiwanymi w handlu ulicznym ubraniami i butami, sprzedali zimą trzy zegarki – jeden samego Bołdyriewa, drugi należący do jego zmarłego ojca, a wreszcie longinesa żony – zyskując w zamian dziesięć kilogramów mąki i pięć kilogramów tłuszczu wołowego. Ponadto pozbyli się bursztynowej cygarniczki (za 200 gramów chleba), dwóch kompletów srebrnych łyżeczek deserowych (za dwa kilogramy chleba i 700 gramów mięsa), srebrnego dzbanuszka do śmietany i cukiernicy, porcelanowych filiżanek (sprzedanych w starym sklepie Fabergé przy ulicy Morskiej za 670 rubli, które wystarczyły na litr oleju słonecznikowego), a wreszcie obrączki ślubnej jego matki. Takie właśnie połączenie wytrwałości, współpracy i dopisujące im szczęście ocaliło życie Bołdyriewowi, jego żonie i córce, choć już nie jego szwagrowi, wujowi i matce, którzy zmarli z głodu między grudniem a majem.

Wieczorami, leżąc na kanapie tuż obok pieca opalanego meblami i ramami obrazów, Bołdyriew czytał powieści. 19 grudnia skończył *Wielkie nadzieje* Dickensa: „Nieopisana rozkosz – jedyne fragmenty, które nieco zgrzytają, to te wciąż powtarzające się, jakże angielskie, opisy kulinarne". Następnego dnia zabrał się do *Dobrych towarzyszy*

J.B. Priestleya („Jak dotąd wspaniałe. Tym, co przede wszystkim przyciąga, jest Anglia, współczesna Anglia"), których kończył czytać „z wielkim żalem – takiej właśnie książki pragnąłem". Następny w kolejce był Kipling i jego pełen gorąca i światła *Kim* („niebiańska przyjemność"), a po nim Bulwer-Lytton ze swoją krytyką systemu karnego i sądowego za czasów regencji w *Paulu Cliffordzie*. W marcu przyszedł czas na de Maupassanta i *Ostatniego Mohikanina* Fenimore'a Coopera, a w kwietniu na *Grę losu* Conrada, rzecz o nastoletniej dziewczynie odrzuconej przez społeczeństwo po uwięzieniu jej ojca.

Pisanie o tym, że oblężeni leningradczycy szukali ucieczki przed niewygodami i ograniczeniami w lekturze jest rzecz jasna truizmem. („Głównie czytałem Balzaca i Stendhala" – miał podobno powiedzieć jeden z brygadzistów w Zakładach Kirowa partyjnemu pismakowi Aleksandrowi Fadiejewowi, „raportującemu" z miasta wiosną). Tyle że taki właśnie obraz wyłania się z pamiętników i dzienników. Według Ginzburg na początku wojny „wszyscy" łapczywie czytali *Wojnę i pokój*, jako że „Tołstoj raz na zawsze zdefiniował męstwo, człowieka czyniącego swą powszechną powinność wobec wojny narodowej"[20]. Jednego z tych dni, gdy żona wróciła z punktu dystrybucji racji żywnościowych w Akademii z pustymi rękami, Gieorgij Kniaziew zabijał czas, czytając „historię świata", pracę o Hetytach i – co było do niego zupełnie niepodobne – coś o francuskich dekadentach[21]. W ciemne jak noc popołudnie 14 stycznia Wiera Inbier siedziała w palcie i rękawiczkach i czytała książkę wielkiego dziewiętnastowiecznego botanika Klimienta Timiriaziewa zatytułowaną *Słońce, życie i chlorofil*, w której zawarł on niemal wizjonerski opis roślinności zamieniającej energię słoneczną w życie na Ziemi. „Kiedy czytam te słowa – napisała w swoim dzienniku – zdaje mi się, że widzę kołyszący się ocean zielonego listowia i cząstki światła, lecące ku nam przez lodowate przestrzenie wszechświata"[22]. Pewien porucznik Armii Czerwonej, odpowiedzialny za balony zaporowe, czytał *Tajemniczą wyspę* Juliusza Verne'a, z której zaczerpnął, i z powodzeniem wdrożył, pomysł wykorzystania wodoru znajdującego się wewnątrz balonów do napędzania silników ściągających je w dół[23]. Maria

Maszkowa przeczesywała antykwariaty w poszukiwaniu perełek pochodzących z domowych biblioteczek naprędce wyprzedawanych przez uchodźców. W ten sposób udało jej się kupić dla siebie Hercena, Dostojewskiego oraz *Klub Pickwicka* („nudne, bezsensowny humor; dziwię się, że coś takiego drukują, choćby dla dzieci"), a dla swojego dziesięcioletniego syna – Juliusza Verne'a, żywot Pissarra oraz powieści przygodowe o Dzikim Zachodzie autorstwa Thomasa Mayne Reida. Kolejny ocalały z oblężenia, mający wówczas dziesięć lat, wspomina, że lista jego ówczesnych lektur miała równie eskapistyczny charakter: baśnie Puszkina, *Książę i żebrak* Twaina, *Voyage of the Beagle* Darwina i *Dwóch małych dzikusów* Ernesta Setona Thompsona, rzecz o chłopcu z miasta, który uczy się życia w lesie od Indian mieszkających w głuchych ostępach Ontario w latach pięćdziesiątych XIX stulecia.

Oprócz czytania leningradczycy także pisali. Kniaziew tworzył swoje katalogi, Inbier poezje, Lichaczow historię średniowiecznego Nowogrodu, a Olga Fridenberg pracę naukową o początkach greckiej epiki, przerwaną jednak, gdy zawartość jej kałamarza zamarzła i zamieniła się w jedną fioletową bryłę. Anna Ostroumowa-Lebiediewa, która – co godne odnotowania – nigdy nie zatraciła charakterystycznego dla niej zmysłu dostrzegania piękna, opisywała w szczegółach obrazy nagich, oszronionych gałęzi odcinających się na tle nieba, i to nawet w najgłębszej otchłani lutego. Próbowała też zająć czymś pożytecznym swoich coraz bardziej popadających w apatię nastoletnich siostrzeńców, Pietię i Wowę – „bladych i chudych jak kartka papieru" – układając kompozycje martwej natury z książek i wazonu z jesiennymi liśćmi, które mieli rysować (Wowa umarł, Pietia przeżył). Michaił Stieblin-Kamieński, badacz folkloru i przyjaciel Bołdyriewa, studiował gramatykę starogrecką i próbował przekonać sam siebie, że – jak później pisał – „dana mu została jedyna w swoim rodzaju sposobność podglądania życia w jego najbardziej dziwnych i odległych od normalności aspektach". Wcześniej często próbował wyobrazić sobie średniowieczną Rosję w okresach głodu i zarazy, teraz wszystkie te wyobrażenia stały się rzeczywistością. Nic dziwnego, że ówcześni kronikarze pisali o smokach spadających z góry na ludzi i porywających kobiety i dzieci[24]. Archeolog Boris Piotrowski,

mieszkający w podziemiach Ermitażu, napisał historię Urartu, zaginionego królestwa z VIII wieku p.n.e., położonego na brzegach jeziora Wan. Na marginesach dopisywał: „Przeraźliwie zimno" i „Zimno, trudno mi pisać"[25]. Nikołaj Sokołow w zoo zapisywał, jak różne gatunki zwierząt reagują na ogień artyleryjski. Pawiany i małpy, zauważał, dostawały podczas ostrzałów napadów histerii, ale za to szybko przyzwyczaiły się do balonów zaporowych, wobec snopów światła ze szperaczy i flar okazywały natomiast „normalną ciekawość". Kompletnie niewzruszony pozostawał zaś niedźwiedź, nawet gdy jeden z pocisków rozerwał jego klatkę, on „spokojnie leżał, liżąc sobie łapę". Podobnie zimną krew zachowała syberyjska kozica górska; kiedy jedna z wielkich bomb spadła na jej zagrodę, znaleziono ją wpatrującą się z lekkim zainteresowaniem w świeżo powstały lej. Struś emu natomiast był „kompletnie niewrażliwy na cokolwiek", zapewne – jak sądził Sokołow – ze względu na swój „ograniczony intelekt".

Książki służyły też oczywiście do jeszcze jednego celu, poza czytaniem i pisaniem – nadawały się na opał. „Grzejemy się – pisała Fridenberg – paląc wspomnienia i deski podłogowe. Jak się okazuje, proza daje więcej ciepła niż poezja. A dzięki jednej książce historycznej możemy zagotować wodę na herbatę w czajniku"[26]. Bołdyriew dzielił swoje książki, podobnie zresztą jak meble, na trzy kategorie: „zachować", „sprzedać" i „spalić". Lichaczow rozrywał i wrzucał do swojej *burżujki*, jeden po drugim, kolejne tomy protokołów z posiedzeń przedrewolucyjnej Dumy, zachowując tylko zapis ostatniej sesji, prawdziwy rarytas. Olga Grieczina spaliła podręczniki prawa rzymskiego zmarłego wujka – jak odkryła, dziewiętnastowieczny papier dawał więcej ciepła niż ten z późniejszych czasów radzieckich. Znalazła się też rodzina, która zaczęła od publikacji encyklopedycznych i książek technicznych, następnie przeszła do oprawnych roczników gazet, jeszcze później do niemieckich klasyków, potem do Szekspira, by wreszcie spalić wielotomowe, oprawiane na niebiesko i złoto, kolekcje dzieł Puszkina i Tołstoja[27].

Inną oczywistością potwierdzaną przez pamiętnikarzy jest emocjonalne wsparcie, jakie leningradczycy czerpali ze słuchania radia. Po wybuchu wojny mieszkańcom skonfiskowano przenośne odbiorniki radiowe, słuchali więc audycji nadawanych drogą kablową za pośrednictwem ponad 400 tysięcy głośników, które – począwszy od lat dwudziestych XX wieku – instalowano zarówno w mieszkaniach prywatnych, jak i w przestrzeni publicznej[1*]. Mieszcząca się w domu Radiokomitetu na rogu ulic Italiańskiej i Małej Sadowej miejska rozgłośnia radiowa emitowała audycje przez całą pierwszą zimę w oblężeniu, mimo przerw w dostawie prądu czy uszkodzeń sieci transmisyjnej w wyniku ostrzału i bombardowań. Opowieści o jej ozdrowieńczych mocach jest całe mnóstwo. Poetka Olga Bergholc, zasłabłszy na ulicy, ocknęła się na dźwięk swojego głosu czytającego jej własne poezje; pilot myśliwca doleciał do domu „na jednym skrzydle", kiedy usłyszał, jak Kławdia Szulżenko – rosyjska Vera Lynn – śpiewa *Małą błękitną chusteczkę*; gospodyni domowa, z trudem idąca chodnikiem, przebywała odcinki od głośnika do głośnika, jak gdyby były to żywe postacie czekające na nią w dobrze znanych miejscach. Program dla nastolatków (nachalnie stalinowski), zatytułowany *List do mojego przyjaciela w Leningradzie*, nadany 7 grudnia, zachwycił wprost szesnastoletnią Klarę Rachman. „Co za wspaniały list! – napisała w dzienniku. – Bardzo precyzyjnie wyraża moje myśli. Zapiszę wszystko, co tylko z niego pamiętam"[28]. Pisarz Gleb Uspieński, paląc późną nocą papierosa na stacji kolejowej na południe od Ładogi, ze zdumieniem usłyszał słowa „Tu mówi Leningrad", rozlegające się we mgle, która unosiła się nad jego głową. Różne opóźnienie, z którym sygnał radiowy docierał do poszczególnych głośników wiszących na słupach telegraficznych, sprawiało, że słowa nakładały się na siebie i odbijały echem na dużą odległość. Zdaniem Uspieńskiego brzmiało to tak, jakby wielu olbrzymów ustawionych w rzędzie łagodnie ostrzegało niemieckich „durniów", by dali sobie spokój i wracali do domów, zanim stanie im się krzywda[29].

Najchętniej słuchanymi audycjami były najnowsze informacje podawane przez Sowinform, emitowane codziennie o godzinach jedenastej rano i dwudziestej trzeciej wieczorem. Zdobywszy odbiornik

radiowy w samą porę na styczniową ofensywę Armii Czerwonej, Fridenberg i jej matka słuchały każdego słowa wypowiadanego przez spikera, wstrzymując oddech i ze łzami w oczach. Dobrze wiedziały, że wiadomości te nie są prawdziwe, że nie należy im ufać, „ale tak czy inaczej człowiek słuchał i wierzył”[30]. Autentycznie uwielbiane były audycje, w których Bergholc czytała własne wiersze, a szczególnie *Dziennik lutowy*, długi poemat zamówiony u niej w lutym 1942 roku z okazji Dnia Armii Czerwonej. Choć został ocenzurowany, zdołał zachować oprócz patriotyzmu także dużą dawkę realizmu i uczuć osobistych, dzięki czemu doskonale trafiał w powszechne nastroje słuchaczy. Jak wspomina jedna z ocalałych, wiersze te były „tak proste, że wręcz wbijały ci się w głowę. Szło się ulicą i mruczało pod nosem poszczególne wersy (...). Kiedy musiałam wspiąć się na dach biblioteki i stać tam podczas ostrzału artyleryjskiego, w jakiś sposób czułam się lepiej, znając je na pamięć”. Inna ocalała określa je jako „wspaniałe (...), naprawdę potrafiły nami wstrząsnąć i wytrącić nas z tego zwierzęcego zafiksowania na punkcie jedzenia”[31]. Innymi popularnymi audycjami były: *Ognisko* – rozwijający wyobraźnię program dla dzieci, kontynuowany także przez długi czas po wojnie, a także – począwszy od wiosny 1942 roku – *Listy z frontu i na front*, umożliwiające leningradczykom wysyłanie sobie nawzajem osobistych (i podtrzymujących na duchu) wiadomości. Z Radiokomitetu nadawano też do wojsk oblegających Leningrad. Ta niemieckojęzyczna sekcja, kierowana przez komunistycznych austriackich emigrantów, braci Ernsta i Fritza Fuchsów, emitowała pełne defetyzmu wywiady ze schwytanymi jeńcami niemieckimi, a także spreparowane „listy z domu” odnajdywane ponoć w kieszeniach martwych żołnierzy. Jeden z nich opisywał bombardowanie Berlina, inny – napisany przez Bergholc – rozpływał się nad urokami świąt Bożego Narodzenia w Bawarii: „Czy pamiętasz zapach świątecznych ciastek? Przyprawy, rodzynki, wanilię? Ciepło i skwierczenie świątecznych świec?”[32].

Rodzina Nikitinów, styczeń 1942 roku. Nikołaj Nikitin, maszynista, umarł z głodu w kwietniu 1942 roku, podobnie jak jego matka (siedząca z lewej). Żona i dzieci Nikitina przeżyły i zostały ewakuowane z Leningradu w grudniu tego samego roku. Zdjęcie wykonał brat Nikołaja, Aleksander, który przepadł bez wieści zimą na przełomie lat 1942 i 1943.

W przerwach między audycjami, które w grudniu i styczniu skurczyły się do zaledwie kilku godzin dziennie, radio nadawało odgłos spokojnego tykania metronomu (pięćdziesiąt uderzeń na minutę) – dla rodzin posiadających wciąż sprawne odbiorniki był to autentyczny rytm bicia serca Leningradu. Tak naprawdę nie miało znaczenia, co dokładnie emituje Radiokomitet. Liczył się fakt, że był to wciąż żywy organizm, że utrzymywał on komunikację z mieszkańcami miasta. Iwan Żylinski był jednym z wielu pamiętnikarzy, którzy dzień po dniu, nawet wtedy, gdy ich wpisy ograniczały się tylko do komunikatów o spożytej żywności albo o zgonach wśród sąsiadów, odnotowywali, czy wciąż są w stanie odbierać sygnał radiowy.

Znacznie trudniej jest ocenić, jak dużo otuchy i wsparcia czerpali leningradczycy w najtrudniejszych miesiącach masowych zgonów ze swojej wiary[33]. Do końca lat trzydziestych XX wieku zorganizowane formy kultu religijnego w Związku Radzieckim albo zostały podporządkowane państwu, albo zeszły całkowicie do podziemia, po tym jak Stalin pozamykał bądź zburzył tysiące cerkwi i klasztorów, a także stracił, uwięził lub wygnał żyjących w nich mnichów, zakonnice i popów. Z chwilą rozpoczęcia wojny na terenie całej diecezji leningradzkiej czynnych było zaledwie dwadzieścia jeden świątyń; pozostałe albo rozebrano, albo przekształcono w magazyny, garaże, kina, planetaria czy „muzea religijne". Sobór Zbawiciela na Krwi – wielobarwny, wręcz cukierkowy budynek w stylu neorosyjskim, pełen błyszczących mozaik, a dziś stanowiący jedną z głównych atrakcji turystycznych Petersburga, został – jak na ironię – ocalony przed wyburzeniem właśnie przez wybuch wojny.

Po niemieckiej napaści Stalin dokonał błyskawicznego zwrotu, pozwalając kościołowi prawosławnemu (ale już nie katolickiemu ani baptystycznemu czy luterańskiemu) na odgrywanie większej, choć wciąż ściśle reglamentowanej, roli w życiu publicznym w zamian za wsparcie wysiłków wojennych państwa. Niektóre cerkwie ponownie otwarto, przemianowano, a następnie zamknięto pismo „Ateist", patriarsze Leningradu Aleksiejowi zaś pozwolono na wygłoszenie patriotycznej odezwy do narodu, w której przywoływał on świętych rycerzy z czasów średniowiecznej Rosji: Dymitra Dońskiego i Aleksandra Newskiego, za to ani razu nie wspomniał o Stalinie. Popom zezwolono też na odprawianie liturgii pogrzebowych (jak w przypadku ojca Lichaczowa), a także na wznowienie odwiedzin w domach wiernych w celu udzielenia im ostatniej posługi. Cerkiewne krypty zaczęły służyć jako schrony przeciwbombowe i punkty dystrybucji nafty, drewna opałowego, gorącej wody i ubrań. (Raczkujący wówczas poeta Josif Brodski przeczekiwał naloty w podziemiach pełnego wojskowego przepychu soboru Spaso-Prieobrażenskiego, stojącego nieopodal jego rodzinnego mieszkania na Litiejnym Prospekcie). Leningradzkie świątynie zebrały też całkiem pokaźne fundusze na obronę kraju – ponad dwa miliony rubli do końca 1941 roku – za które

wystawiono kolumnę czołgów imienia Dymitra Dońskiego oraz jednostkę powietrzną imienia Aleksandra Newskiego. Podobne zasługi miała też Wielka Synagoga Chóralna, jedyne ocalałe miejsce kultu dla liczącej około dwustu tysięcy członków populacji leningradzkich Żydów.

Za to mniejsze grupy wyznaniowe w dalszym ciągu były bezlitośnie prześladowane. Typowy los podzieliło niewielkie, ukrywające się w podziemiu zgromadzenie, ujawnione i zlikwidowane latem 1942 roku. Jak stwierdza odpowiedni raport NKWD, na jego czele stał sześćdziesięcioletni mężczyzna znany jako archimandryta Kławdij, który był już wcześniej więziony za „działalność kontrrewolucyjną", a obecnie przebywał w Leningradzie nielegalnie. Wśród jego wyznawców, ludzi starszych i w większości bezrobotnych, znajdowali się „kułacy", byłe zakonnice, „elementy zakonne", a także jedna pielęgniarka ze szpitala Lenina. Ich przewiny, wedle zeznań złożonych przez Kławdija, polegały na „nielegalnych próbach pozyskiwania wiernych", „wychwalaniu porządku przedrewolucyjnego i ówczesnych standardów życia", a także „głośnym okazywaniu dezaprobaty dla metod stosowanych przez władzę radziecką"[34]. Nie wiemy, co się z nimi stało, ale ich los prawdopodobnie nie różnił się znacząco od przypadku ojca Bergholc, lekarza, który na początku 1942 roku został deportowany na Syberię za odmowę donoszenia na ojca Wiaczesława, z którym się przyjaźnił i zwykł kiedyś grywać w karty[35].

Trudno orzec, jak wielu leningradczyków uczestniczyło w nabożeństwach i uroczystościach religijnych podczas pierwszej zimy w oblężeniu. Choć jeden z pamiętnikarzy w poruszający sposób opisuje nabożeństwa w soborze Świętego Włodzimierza – chór opatulony w szale i w walonkach, zamarznięty na kamień olej w lampkach oświetlających ikony, sakrament komunii przyjmowany, z braku wina, pod postacią soku z buraków – z reguły w dziennikach z tamtego okresu brak jest jakichkolwiek uwag na ten temat, nawet gdy pojawiają się nieopatrznie szczere wpisy dotyczące innych delikatnych kwestii. Możliwe więc, że owe tłumy w soborze Świętego Włodzimierza były tylko wynikiem figli płatanych pamiętnikarzowi przez życzliwą pamięć, być może prawdziwe tłumy zaczęły zjawiać się w katedrze dopiero od wiosny, gdy ocalali leningradczycy odzyskali siły do opłakiwania swoich

zmarłych, ale może też być tak, że dzienniki pisali z reguły przedstawiciele inteligencji, a do cerkwi chodziły zwykle masy pracujące. Wykształceni leningradczycy mieli też zapewne większe trudności z zachowaniem choćby resztek swojej wiary. Bergholc – z pochodzenia Żydówka, a w młodości żarliwa komunistka – postrzegała oblężenie jako zbiorową karę za dopuszczenie do tego, by ideały rewolucji zostały tak bardzo wypaczone, a także za kłamstwa i tchórzostwo moralne z czasów „wielkiej czystki":

„Cóż za nieszczęsny z nas naród! Na jakie zeszliśmy manowce? W jak straszliwy ślepy zaułek, w jakie upodlenie? Och, cóż za słabość i przerażenie! Nie mogę zrobić nic, nic. Powinnam była zakończyć życie, to byłoby najbardziej uczciwe. Tak często kłamałam, popełniłam tak wiele błędów, których nie da się odkupić ani naprawić (...). Musimy pokonać Niemców, zniszczyć faszyzm, zakończyć tę wojnę. A potem musimy zmienić wszystko w nas (...). (Właśnie przed chwilą Kolka [jej mąż] miał napad [epilepsji] – musiałam zakrywać mu siłą usta, żeby nie wystraszył dzieci śpiących w pokoju obok. Walczył straszliwie). Dlaczego żyjemy? O Boże, dlaczego my żyjemy? Czy naprawdę już nie dosyć wycierpieliśmy? Nic lepszego już nigdy nie nadejdzie".

Ten ponury nastrój udzielił się jej po wizycie przyjaciela, który wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku po przeżyciu morskiego odwrotu z Tallina, a wcześniej tego dnia odwiedził ją, mamrocząc bezładnie: „Przez dwadzieścia lat źle robiliśmy, a teraz za to płacimy"[36].

Byli i tacy, którym w miarę narastania cierpienia i strachu wracała wiara. Członkowie partii szeptali pod nosem modlitwy i żegnali się w schronach przeciwlotniczych. Gieorgij Kniaziew, na co dzień wyznawca Turgieniewa, Tołstoja i Czechowa, w najtrudniejszych chwilach stycznia wypełniał sobie długie, osiemnastogodzinne noce rozważaniami na swój „ulubiony temat: Chrystusa, tego niezwykłego nauczyciela miłości i miłosierdzia, rodem z dalekiej Galilei"[37]. Pewien malarz, umierający u boku swojej żony, rysował szkice ognistego anioła, a także Chrystusa – z głową podobną do czaszki, przypominającą oblicza głodujących – a wreszcie Maryi Dziewicy rozpościerającej ochronny całun nad przypominającym studnię podwórzem poczerniałego bloku mieszkalnego[38]. Staroobrzędowcy i Adwentyści

Dnia Siódmego w dalszym ciągu, jak to czynili od roku 1938, odprawiali potajemne nabożeństwa w zaciszu swoich domów. Matka w jednej z takich rodzin (jej mąż, kapłan, był więziony podczas Wielkiego Terroru w latach 1936–1937) kazała szóstce swoich dzieci klęczeć na podłodze i modlić się długimi godzinami. Kiedy już padały z wycieńczenia, pozwalała im podłożyć poduszki (dwoje z tej szóstki zmarło)[39]. Muzułmanie i buddyści również musieli modlić się potajemnie, mimo że tysiące z nich służyło na Froncie Leningradzkim, a w mieście znajdował się zarówno meczet, jak i wspaniała świątynia buddyjska, wzniesiona za panowania cara Mikołaja II, obecnie służąca do cumowania balonu zaporowego stanowiącego jednocześnie wojenny maszt radiowy.

Wiara i religia pozostały zatem w czasie oblężenia kwestiami prywatnymi, stanowiąc dość niepewne źródło pociechy w trudnych chwilach. Poluzowanie przez Stalina polityki kościelnej miało charakter oportunistyczny i tymczasowy, o czym leningradczycy doskonale wiedzieli. Pewna dziesięcioletnia dziewczynka zabrana do jednego z dziewięćdziesięciu ośmiu nowo utworzonych sierocińców, które powstawały od stycznia do marca 1942 roku, obudziła się którejś nocy i w oknie sali sypialnej zobaczyła swoją wychowawczynię klęczącą z opuszczoną głową. Wychowawczyni wyjaśniła jej, że modli się za swojego syna, który zaginął na froncie, a następnie gorąco prosiła, by nikomu nie opowiadała o tym, co właśnie zobaczyła[40].

13. SWIAZI

To trudne do przetłumaczenia słowo miało olbrzymie znaczenie dla wszystkich w Związku Radzieckim. *Swiazi*, czyli „więzi", „związki", były po części znajomościami, po części koneksjami, po części zaś praktyką wymiany przysług, nierzadko za pomocą przekupstwa. Dzięki nim Rosjanie byli w stanie obchodzić monopol państwa w dziedzinie dystrybucji dóbr i zatrudnienia i załatwiać sobie w praktyce wszystko, co tylko było możliwe, od pracy i miejsca na studiach po wiadra ziemniaków czy nową parę butów. W czasie pokoju zręczne odwoływanie się do *swiazi* pomagało poprawić własny standard życia; w czasie oblężenia decydowało o życiu lub śmierci.

O ile pierwszym kręgiem, do którego odwoływał się typowy leningradczyk, by uniknąć śmierci głodowej, była najbliższa rodzina, o tyle kolejny stanowiło grono przyjaciół i znajomych. Przyjaźnie, wyrastające z kilku pokoleń związków o charakterze małżeńskim, zawodowym czy wynikających z jednakowego wykształcenia, jak również ze wspólnie przeżywanych w przeszłości doświadczeń strachu i zubożenia, szczególnie między głęboko zżytymi ze sobą rodzinami inteligenckimi, stawały się niezwykle silne i były bardzo intensywnie odbierane. Wcale nieodosobniony jest tutaj przykład owdowiałej i bezdzietnej Anny Ostroumowej-Lebiediewej, której dawni koledzy jej męża z chemicznego instytutu badawczego przekazywali niewielkie, ale dodające otuchy podarunki w postaci żywności. „Odwiedził mnie dziś mój przyjaciel Piotr Jewgieniewicz – napisała 1 stycznia 1942 roku. – Dostałam od niego garść mąki owsianej na kisiel, a Iwan Jemielianowicz przyniósł trzy szproty". Ta sama para przyjaciół zjawiła się u niej ponownie kilka tygodni później, tym razem z dwustoma gramami chleba, suszoną cebulą, proszkiem musztardowym, „malutkim kawałeczkiem mięsa, czterema suszonymi pieczarkami oraz czterema zmarzniętymi ziemniakami (pierwsze, jakie widzimy od jesieni). To bezcenne skarby i byłam niezmiernie wdzięczna, zwłaszcza

że przez ostatni tydzień jedynym, co miałam do jedzenia, były wodorosty… Co za święto!”[1].

Podobną lojalność i troskę okazywali emerytowany kasjer kolejowy Iwan Żylinski i jego żona Olga staremu przyjacielowi, którego rodzina wyjechała w transporcie ewakuacyjnym. W Nowy Rok zaprosili go do siebie na wino i makuchy – wcześniej starannie wysprzątali swój pokój i wyczyścili ubrania, jego samego zaś zaraz po przybyciu umyli i ogolili. Udzielili mu też schronienia, kiedy budynek, w którym mieszkał, został zbombardowany, a wreszcie poświęcili cenny chleb, by zapewnić mu godny pochówek. Planowali adoptować jego osierocone dzieci, ale do tego już nie doszło – Olga także zmarła z głodu, a Iwana aresztowało NKWD.

Nawet pomniejsze akty dobroci mogły przynieść niewspółmierny rezultat: jedna z ocalałych pamięta, jak mieszkająca po sąsiedzku nastoletnia dziewczyna przynosiła jej rodzinie drewno na opał, podkradane ze składu drzewnego, w którym pracowała: „Nie było tego wiele, ale dla nas było ono wszystkim”[2]. Pomoc nie musiała też mieć konkretnego i materialnego wymiaru. Olga Grieczina – miała wówczas dziewiętnaście lat i mieszkała zupełnie sama – po ludzku znalazła pociechę i wsparcie w krótkich, ale płynących z głębi serca rozmowach z nieznajomymi na ulicy, którzy w styczniu i lutym zwykli chadzać parami, obawiając się napadów:

„Ciekawie było obserwować tak różne ludzkie odruchy: z jednej strony, boisz się, że to, co masz najcenniejszego – twoja kartka na żywność – może zostać ukradziona; z drugiej jednak – chcesz, choćby na czas krótkiego spaceru do domu, być z kimś, kto cię wysłucha. Nigdy więcej nie odczuwałam takiego dziwnego, niekontrolowanego pragnienia opowiadania o sobie wszystkiego ludziom zupełnie nieznajomym…

Kiedy się żegnaliśmy, każde z nas dziękowało drugiemu za towarzystwo i życzyło sobie, byśmy mogli dożyć zwycięstwa. W tego rodzaju pożegnaniach wykształciła się pewna nowa etykieta, bo formuły słowne były niemal zawsze dokładnie takie same, niezależnie od tego, czy wypowiadali je ludzie prości, czy dobrze wykształceni. Nawet prosta kobieta, słysząc moją nieszczęśliwą historię, współczuła mi i pocieszała,

mówiąc, że jestem jeszcze młoda i że wszystko znowu się ułoży – dom, nauka, przyjaciele. Te naiwne, ale jakże szczere i dobre życzenia dawały mi witaminy, których potrzebowałam, by żyć. I właśnie dlatego, podobnie zresztą jak wszyscy pozostali, w odpowiedzi na historię zasłyszaną od towarzysza drogi dzieliłam się z nim także swoją własną”[3].

Drugim i najważniejszym dla leningradczyków kręgiem *swiazi* był ten związany z ich miejscem pracy. Praca oznaczała nie tylko prawo do robotniczej kartki na żywność, ale też – przy odrobinie szczęścia – dostęp do posiłków sprzedawanych poza systemem racjonowania, a także do drewna na opał, paczek żywnościowych ze stowarzyszonych z zakładem organizacji na nieokupowanym terytorium Związku Radzieckiego, a wreszcie prawo do łóżka w jednej z blisko setki lecznic rehabilitacyjnych, zwanych *stacyonarami*, otwieranych począwszy od grudnia zgodnie z wytycznymi rady miasta. Choć większość *stacyonarów* niewiele różniła się od umieralni, do których przywożono ludzi w stanie agonalnym, były też i takie, które naprawdę ratowały pacjentom życie, choćby tylko wydzielając im jedzenie bez konieczności stania po nie w długich kolejkach.

Nie wszystkie zakłady pracy były równie dobre. Spośród fabryk najlepiej wyposażone okazały się wielkie i prestiżowe zakłady zbrojeniowe, jednak szanse ich załogi na przeżycie nie odstawały zbytnio od średniej dla innych cywilów, a to ze względu na fizyczne obciążenia związane z wykonywaną tu pracą, planowe bombardowania, a wreszcie fakt, że nawet po zakończeniu poboru większość robotników zakładów zbrojeniowych stanowili mężczyźni. W Zakładach Metalowych imienia Stalina śmiertelność oscylowała wokół 35 procent, a w Zakładach Kirowa, usytuowanych w narażonych na ostrzał artyleryjski południowych dzielnicach miasta, wynosiła od 25 do 34 procent.

Podczas jesiennego zrywu produkcyjnego nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy była równoznaczna z popełnieniem przestępstwa o charakterze kryminalnym i karana utratą prawa do pracowniczej racji żywnościowej. Ale w okresie masowych śmierci nikt już nie egzekwował tych przepisów. Pracownicy niepojawiający się w zakładzie byli

automatycznie wciągani na listę chorych i mogli zachować kartki, wskutek czego w styczniu 1942 roku aż 837 tysięcy leningradczyków wciąż pozostawało zarejestrowanych jako robotnicy, pomimo że 270 fabryk w mieście już oficjalnie zamknięto, a większość pozostałych z trudem funkcjonowała[4]. Pośród licznych leningradczyków posiadających czysto teoretyczne zatrudnienie była Jelena Skriabina. 15 stycznia 1942 roku napisała: „Przyjaciele znaleźli mi stanowisko w warsztacie krawieckim. Dzięki temu mogę otrzymywać racje pierwszej kategorii. Warsztat produkuje bardzo niewiele – nie ma w nim światła ani opału – ale tak czy owak wydają nam racje pracownicze. W ten sposób dostaję choć trochę więcej chleba, a teraz każda okruszynka jest bezcenna”[5].

W oczach leningradzkiej inteligencji jedną z najbardziej pożądanych „enklaw przetrwania” – jak określał miejsca pracy w okresie zimy w oblężeniu jeden z historyków – był Radiokomitet, którego dyrektor potrafił w uczciwy sposób zorganizować wśród załogi dystrybucję rozmaitych produktów żywnościowych regularnie przemycanych przezeń do własnego biura z osławionej stołówki numer 12 na Smolnym. I choć ilości tych produktów były bardzo niewielkie – kilka kostek cukru, kilka kotletów mięsnych, miska kaszy – „nie sposób nawet opisać – jak wspominał Jurij Makogonienko, kochanek Olgi Bergholc – olbrzymiego efektu moralnego pośród całej załogi”[6]. Pracownicy Radiokomitetu otrzymali też co najmniej dwie specjalne przesyłki żywnościowe z Moskwy: pierwszą z nich załatwiła niezłomna siostra Bergholc, Maria, która osobiście dopilnowała, by pełna zapasów ciężarówka dojechała do nich pod koniec lutego przez zamarznięte jezioro Ładoga. „Muśka jechała okrężną drogą – napisała z podziwem Bergholc – tylko z kierowcą, uzbrojona w jakiś pistolet, w spodniach, w półkożuszku… Spała w samochodzie, wdawała się w dyskusje i spory z dowódcami, nocowała w wioskach dopiero co oswobodzonych od Niemców, zabierała po drodze listy i przesyłki dla leningradczyków. Jestem z niej dumna i jednocześnie zadziwiona nią – moją kłótliwą, swarliwą Muśką”[7].

Drugą dostawę zorganizowała już sama Bergholc, która będąc w Moskwie, gdzie czytała fragmenty swojego *Dziennika lutowego*,

zbierała przy okazji żywność i lekarstwa do wysyłki drogą powietrzną do Leningradu. Udałoby się jej zresztą wysłać znacznie więcej zapasów, gdyby nie nieufność władz samego Leningradu, które niechętnym okiem patrzyły na wszelkie inicjatywy pozapartyjne, a poza tym nie chciały, by wyszły na jaw ich własne niedociągnięcia, i wreszcie prawdopodobnie obawiały się gniewnej reakcji ludzi na fakt, że niektóre instytucje są zauważalnie lepiej zaopatrzone od innych. Jak napisała wściekła Bergholc 25 marca, „przyszedł właśnie telegram od Żdanowa zabraniający wysyłania osobnych paczek poszczególnym organizacjom w Leningradzie. Podobno ma to «złe konsekwencje polityczne». Dzięki temu idiotycznemu telegramowi z trudem uda nam się wysłać cokolwiek Radiokomitetowi". Prośby nie odnosiły żadnego skutku:

„Dziś przyjął mnie Polikaropow – przewodniczący Wszechzwiązkowego Radiokomitetu. Został mi na duszy nieprzyjemny osad po tym spotkaniu. Źle przeprowadziłam z nim rozmowę – mówiłam nieśmiało, z lękiem, a trzeba było być bezczelną. Prosiłam o wysłanie paczki z żywnością dla naszego Radiokomitetu. Dobrze utrzymany urzędnik, wyraźnie zmęczony moją obecnością, mówił wytartymi, śmierdzącymi komunałami, że «sami leningradczycy protestują przeciwko tym paczkom» («leningradczycy» – czyli Żdanow!), że «państwo wie lepiej, komu pomagać» i tym podobne brednie"[8].

Mimo to zatrudnienie w Radiokomitecie pozwalało Bergholc, choć obrzękniętej i chorej na żółtaczkę, nie tylko ocalić własne życie, ale też pomagać przyjaciołom. Jedną z tych, które z jej pomocy skorzystały, była Maria Maszkowa. Uczucie wdzięczności mieszało się u niej z wewnętrznym sprzeciwem wobec tej sytuacji. Niejednokrotnie zdarzało jej się, że nie była w stanie oderwać się od ciepłego, dobrze oświetlonego mieszkania Bergholc i serwowanych tam przysmaków w postaci smażonego chleba czy kawy, by wrócić do swoich dzieci i umierającej teściowej, leżących w jej własnym, ciemnym i wyziębionym mieszkaniu. Bergholc dawała jej suchary, pomarańcze, herbatniki, zupę w proszku i cebule pochodzące z pierwszej moskiewskiej dostawy dla Radiokomitetu, a także chleb, herbatniki,

zupę w proszku, ryż, mąkę gryczaną, kiełbaski, czekoladki, wódkę, tytoń i opakowania witaminy C z drugiej. „Wymieniam to wszystko z takimi szczegółami – napisała Maszkowa w dzienniku po radosnej kolacji spożytej z tej okazji – bo są to takie rarytasy – cudowne, niewiarygodne… Siedzieć z przyjaciółmi obok radośnie sapiącego samowaru, widzieć chleb pokrojony normalnie w kromki i ułożony na talerzu, widzieć dzieci jedzące tyle, ile tylko zapragną… Nie martwić się o to, że bochenek tak szybko znika, rozmawiać o czymś innym niż jedzenie – czy to nie jest szczęście?”[9]

Kolejną godną pozazdroszczenia enklawą był Związek Pisarzy, kierowany przez powieściopisarkę Wierę Kietlinską. W styczniu wystąpiła ona do zastępcy Żdanowa, Aleksandra Kuzniecowa, o pozwolenie na wysłanie konwoju ciężarówek wyposażonych dodatkowo w piecyki i ocieplanych filcem i sklejką. Pojechałyby one Drogą Życia przez Ładogę na nieokupowane terytorium ZSRR. W jedną stronę zabrałyby ewakuowane rodziny pisarzy, w drodze powrotnej zaś przywiozłyby produkty żywnościowe zakupione za sumę stu tysięcy rubli od kołchoźników, którzy w zamian otrzymaliby rozrywkę w postaci „współczesnej literatury” i „wieczorków literackich”. „Wiemy dobrze, że odwołano wszystkie nieplanowane wyjazdy – przymilała się w jednym z listów – ale usilnie was prosimy, by uczynić wyjątek od tej reguły. Nawet w najtrudniejszych czasach Partia i władza radziecka zawsze otaczały literaturę szczególną troską. Pamiętamy rozmowę Lenina z Gorkim o tym, jak należy żywić naszych pisarzy i uczonych”[10]. Jej zabiegi i starania odniosły oczekiwany skutek i już wczesną wiosną, na długo przed tym, jak inne instytucje powróciły do normalności, stołówka Związku wydawała dzień w dzień zupę jęczmienną, barszcz, kaszę i deser[11]. Wiera Inbier także skorzystała z hojnej dostawy żywności przysłanej w marcu z centrali Związku Pisarzy w Moskwie: „Gdy ujrzałam ich [paczek] zawartość, straciłam głowę. Złapałam w każdą rękę po puszce skondensowanego mleka i nie mogłam się z nimi rozstać”[12]. Lidia Ginzburg postrzegała te paczki jako przykład działania w praktyce radzieckiej hierarchii społecznej „z niezwykłą przejrzystością i okrucieństwem”. W jej ocenie te dostawy czekolady, masła, sucharów i konserw rozdzielane były nie tyle według potrzeb, ile

według starszeństwa i tempa pracy. Pisarze aktywnie działający w Związku dostawali każdy po dwa kilogramy, ci mniej aktywni – po kilogramie, a ci w ogóle niezaangażowani nie dostawali zupełnie nic[13]. Jednym z tych, którzy nie cierpieli Kietlinskiej, był Walerian Bogdan-Bieriezowski, kierujący leningradzkim oddziałem Związku Kompozytorów. Bezskutecznie błagał ją o przyjęcie pod swoje skrzydła głodujących kompozytorów, którzy nie posiadali własnej stołówki czy klubu[14]. Choć atak czerwonki uniemożliwił mu dotarcie na spotkanie z przewodniczącym rady miasta, Popkowem, Bieriezowskiemu udało się ostatecznie uzyskać jedenaście dodatkowych kartek na żywność pierwszej kategorii, a do tego trzy miejsca w klinice rehabilitacyjnej, utworzonej pod koniec grudnia w hotelu Astoria. Wówczas jednak stanęło przed nim straszliwe zadanie rozdzielenia tych nowo uzyskanych dóbr:

„Otrzymuję wiele dojmująco bolesnych próśb. Szczególnie poruszył mnie telefon od L. A. Portowa, który kilkakrotnie z żałością w głosie błagał mnie: «Zróbcie to. Zróbcie to teraz. Jeśli poczekacie jeszcze tydzień, dla mnie będzie już za późno. Nie przeżyję».

A mimo to mogłem mu obiecać tylko miejsce na liście oczekujących, wraz z bardzo osłabionymi Rubcowem i Pejsinem, bo przecież A. Rabinowicz (chory na gruźlicę), Dioszewow (już z trudem w ogóle się poruszający) i Miklaszewski są w jeszcze gorszym stanie. Jeśli chodzi o ratowanie ludzkiego życia, nie sposób dokonywać wyboru. Życie każdego człowieka radzieckiego musi być ratowane. Ale przecież i tak trzeba wybierać, w tym sensie, że trzeba wyznaczać jakieś priorytety. Nie wolno dać się zwieść sądom na temat «wartości» twórczej czy praktycznej poszczególnych osób (zawsze będą one bardzo subiektywne), należy za to kierować się obiektywnymi kryteriami: jak blisko śmierci jest każdy z tych ludzi”[15].

Dwudziestu jeden spośród osiemdziesięciu członków Związku Kompozytorów zmarło z powodu określonego przez Bogdana-Bieriezowskiego w jego oficjalnym raporcie jako „wycieńczenie”[16]. Z tych samych przyczyn również on stracił matkę, siostrę, szwagra, teścia i siostrzenicę.

Jak można się było spodziewać, solidarność w miejscach pracy często się załamywała. Dmitrij Lichaczow odnotowuje, że pełniący wówczas obowiązki dyrektora Domu Puszkina zachowywał się podle: zwalniał pracujące tam kobiety (co było równoznaczne z wyrokiem śmierci, bo skazywało je na racje przysługujące niepracującym członkom rodziny), wykradał umierającym kartki na żywność, a w końcu wyrzucał ich za drzwi, aby nie musieć później pozbywać się ich ciał.

„Pamiętam śmierć Jasinskiego. Był wysokim, szczupłym, bardzo przystojnym mężczyzną, przypominającym mi trochę Don Kiszota. Mieszkał w bibliotece Domu Puszkina, na rozkładanym łóżku, za regałami książek (...). Nie domykały mu się usta, z których ciekła ślina, jego poczerniała twarz w upiorny sposób kontrastowała z zupełnie białymi, rozczochranymi włosami. Skóra ciasno opinała mu kości... Ciągle się kurczyła i robiła coraz cieńsza, aż wreszcie przestała mu zakrywać zęby, które wystając, upodobniały jego czaszkę do głowy żółwia. Kiedyś wyszedł zza regałów opatulony z wierzchu kocem i zapytał: „Która godzina?". A potem spytał, czy to dzień, czy noc (głosy cierpiących na dystrofię stawały się coraz bardziej bełkotliwe, w miarę jak ich struny głosowe ulegały zanikowi). Trudno mu było ocenić samemu, bo wszystkie okna w holu zostały zabite deskami. Dzień lub dwa później nasz zastępca dyrektora, Kanajłow, przepędził wszystkich, którzy chcieli spokojnie umrzeć w Domu Puszkina, żeby nie musieć usuwać ich ciał. Przez to zmarło wielu ludzi z naszego personelu pomocniczego – portierzy, dozorcy, sprzątaczki. Najpierw ich tu ściągnięto, wyrwano z rodzin, a potem, gdy już nie mieli siły sami wrócić do domu, wyrzucono na trzydziestostopniowy mróz. Kanajłow uważnie przyglądał się wszystkim niepokojąco słabnącym i w rezultacie w naszej siedzibie nie zmarła ani jedna osoba"[17].

W styczniu 1942 roku Kanajłow załatwił sobie ewakuację przez jezioro Ładoga, oferując znajomym miejsca w ciężarówce w zamian za niesienie jego walizek, które wypchał cennymi dywanami i innymi wartościowymi przedmiotami. Zresztą walizki – piękne, stare z żółtej skóry – też nie należały do niego. Stanowiły część spuścizny przekazanej Domowi Puszkina przez rozkochanego w książkach nieślubnego syna cara Aleksandra III. Wiele innych wartościowych

przedmiotów z Domu Puszkina rozkradli też marynarze ze stacjonującego nieopodal okrętu podwodnego, kiedy następca Kanajłowa (tylko nieznacznie mniej skorumpowany) pozwolił im wprowadzić się do środka i przywłaszczyć sobie sofę Turgieniewa oraz łóżko Błoka w zamian za dostarczanie mu zupy i światła elektrycznego. „Wiosną – wspominał Lichaczow – kiedy puścił lód na Newie, pewnego pięknego dnia marynarze bez żadnego ostrzeżenia wyszli z Instytutu, zabierając ze sobą wszystko, co tylko byli w stanie. Kiedy już sobie poszli, znalazłem na podłodze pozłacaną płytkę: zegar Czaadajewa. Sam zegar zniknął. Ciekawe, w którym miejscu na dnie morza teraz leży?”[18]

Zdecydowanie najlepszymi organizacjami, z którymi warto było mieć związki, by uniknąć głodowania, były siły zbrojne, agencje przygotowujące i rozdzielające produkty żywnościowe oraz centralna siedziba partii w Instytucie Smolnym.

Życie na froncie, w okopach otaczających Leningrad, było wyjątkowo ciężkie. Żołnierzy poddawano brutalnej, całkowicie zależnej od kaprysów dowódcy dyscyplinie i zmuszano do forsownych marszów na długich dystansach w niedopasowanych butach i zbyt skąpych ubraniach, kopania rowów i ziemianek łomami albo kilofami w zmarzniętej na kamień ziemi, do spania pod gołym niebem, na śniegu, okrytych wyłącznie własnymi szynelami, do toczenia bezustannej walki z wszami i ze szczurami, a wreszcie – podczas działań bojowych – wytrzymywania całych dni bez gorących posiłków czy możliwości zmiany bielizny. Jednakże ich racje żywnościowe, nawet w najbardziej okrojonej wersji, zawierały aż pięćset gramów chleba dziennie. Choć w niektórych jednostkach żywność systematycznie zawłaszczali starsi stopniem, pełna racja żywnościowa wystarczała żołnierzom do przeżycia. Ogólnie ilość jedzenia krążącego w siłach zbrojnych umożliwiała wykarmienie nie tylko samych wojskowych, ale także najbliższych członków ich rodzin. Żony i narzeczone oficerów stacjonujących w mieście miały się zauważalnie lepiej od sąsiadów, dzięki czemu zasłużyły na pogardliwe przezwisko „dam obronnych”. Jedna taka dama – żona inżyniera wojskowego – była sąsiadką Gieorgija Kniaziewa. Skupowała ona od innych mieszkańców ich bloku obrusy,

ręczniki, dywany czy lampy, płacąc za nie chlebem, cukrem i ryżem. Jak cierpko zauważył Kniaziew, te okruchy i resztki, które im dawała, pozwalały wprawdzie innym na „trzymanie się jeszcze", ale jednocześnie uświadamiały im, że „są więc w Leningradzie wśród nas, wygłodzonych, ludzie syci!"[19]. Na początku lutego 1942 roku u drzwi Jeleny Skriabiny zjawił się gładko ogolony, elegancki umundurowany oficer, który wręczył jej papiery ewakuacyjne. Wydawał się on Jelenie przedstawicielem jakiejś obcej rasy, „dosłownie człowiekiem z innego świata, który przez przypadek wylądował na naszej planecie (...). Po raz setny nachodziła cię refleksja, jak odmiennie usytuowani są mający władzę bądź dysponujący przywilejami niż zwykli ludzie, którzy nie posiadają nic poza kartkami na żywność"[20]. Wojskowi pojawiają się też jako bohaterowie różnych „historii ocalenia" – jak określają je historycy oblężenia – to jest powtarzanych przez tych, którzy przeżyli, opowieści o dziwnych nieznajomych zjawiających się w ostatniej chwili z ratującymi życie paczkami jedzenia. Choć stanowią one część mitologii oblężenia – jeden z historyków porównuje je wręcz do opowieści o Aniele z Mons z czasów pierwszej wojny światowej[21]– wiele z tych historii jest niewątpliwie prawdziwych. Igor Kruglakow pamięta, że „tuż przed albo tuż po Nowym Roku zastukał do naszych drzwi jakiś młody, rumiany pilot. Przynosił dwie skrzynki od ojca. Jedna zawierała masło i mąkę, druga była pełna sucharów. To nas ocaliło". Rodzinę Skriabiny uratował zaś zupełnie im nieznany żołnierz, który zjawił się u nich z wiadrem kiszonej kapusty[22].

Wysoko cenione były też delegacje na front, jako że często wiązały się z możliwością spożycia posiłków postrzeganych jako prawdziwe uczty. Pewna aktorka wysłana tam w połowie grudnia, by zapewnić rozrywkę frontowym żołnierzom, z zachwytem wspominała potem menu okolicznościowego „bankietu" wydanego dla uczczenia „stu czterdziestu Bohaterów Wojny Ojczyźnianej": 100 gramów alkoholu na osobę, dwie szklanki piwa, 300 gramów chleba oraz jedna biała bułeczka, 50 gramów solonego smalcu wieprzowego, dwa kotlety mięsne z gryką i sosem, szklanka kakao z mlekiem, ziarna słonecznika, paczka papierosów Biełomorkanał oraz pudełko zapałek. Ponadto pozwolono jej zabrać ze sobą do domu 400 gramów landrynek[23]. Wiera

Inbier w lutym 1942 roku była natomiast członkinią delegacji wizytującej odcinek frontu nad rzeką Wołchow, przywożąc ze sobą zestawy do golenia, gitary oraz pięć karabinów automatycznych, na których wyryto słowa: „Najlepszemu tępicielowi niemieckich okupantów". Przy śniadaniu przeszedł ją dreszcz, gdy zobaczyła, że podają owsiankę, chleb i duży kawał masła. „Wspaniała rzecz! Następnym razem muszę koniecznie wziąć ze sobą łyżkę". Około setki tego typu delegacji robotniczych wizytowało linię frontu w listopadzie i grudniu[24]. Innym cywilom udawało się wkręcić na okręty wojenne zacumowane w różnych punktach miasta. Praca na pokładzie łodzi podwodnej oraz stawiacza min uratowała życie odpowiednio inżynierom Czekrizowowi i Łazariewowi, a liczni pisarze i naukowcy – jak choćby Bołdyriew – zarabiali na jakże cenne dla nich posiłki, dając pogadanki albo wykłady marynarzom. Frontowym żołnierzom zabraniano natomiast odwiedzin w domach, co zresztą i tak byłoby dla nich podwójnie niebezpieczne, bo samotny człowiek idący rankiem ulicą z plecakiem na ramieniu stanowił kuszący cel dla rabusiów i mógł wówczas nawet stracić życie.

Jedną z najbardziej niezawodnych metod przeżycia oblężenia było znalezienie stanowiska w którejś z organizacji przygotowujących bądź dystrybuujących produkty żywnościowe. Co oczywiste, leningradczycy pracujący w takich właśnie miejscach rzadko umierali z głodu. Przeżyła na przykład cała, licząca 713 osób, załoga fabryki słodyczy Krupska, podobnie jak wszyscy pracujący w piekarni numer 4 czy w jednej z wytwórni margaryny. W piekarni Bałtika zmarło jedynie 27 z liczącej 334 osoby załogi (do tylu rozrosła się ona z pierwotnych 276 pracowników), wszyscy mężczyźni[25]. Kelnerki w stołówkach czy sprzedawczynie w sklepach z chlebem były niemal bez wyjątku „grube", podobnie jak personel przytułków dla dzieci – jedna z przyjaciółek Ostroumowej-Lebiediewej, widząc w otwartej ponownie wiosną publicznej łaźni młode kobiety o „rubensowskich" kształtach, automatycznie założyła, że muszą one pracować w piekarni, kuchni wydającej zupy albo w domu dziecka[26]. Ponieważ u większości kobiet menstruacja ustała zupełnie przez cały okres zimy, te z nich, które

w roku 1942 urodziły dzieci, także uznawano za pracujące albo w zakładach spożywczych, albo w stołówkach (jedyne dwie kobiety w ciąży napotkane przez Czekrizowa podczas całego oblężenia były kelnerkami w stoczniowym bufecie).

Miarą siły nabywczej takich kobiet był fakt, że najbardziej chodliwymi towarami na czarnym rynku nie były wcale dobra o dużej wartości praktycznej, lecz modne damskie ubrania. Skriabina wymieniła materiał na sukienkę i bluzkę z szyfonu za chleb i ryż, handlując ze swoją byłą pokojówką, która teraz, będąc kochanką dyrektora hurtowni, ubierała się w futra z wiewiórek[27]. Bołdyriew przekupił „carycę kuchni" w Domu Akademików koronkową chusteczką i żółtymi pomponikami z jedwabiu. Żona Lichaczowa na targu Sytnym sprzedała dwie sukienki za kilogram chleba i tysiąc dwieście gramów suchej karmy dla bydła[28]. W całym systemie dystrybucji żywności w dalszym ciągu kwitły też kradzież i korupcja. Tak miało już pozostać aż do końca oblężenia, mimo że latem 1942 roku podjęto stanowczą próbę rozprawienia się z tym procederem. Jeden z leningradczyków tak oto uskarżał się na panującą sytuację w prywatnym liście napisanym we wrześniu tego roku, a przechwyconym przez NKWD: „Są ludzie, którzy nie wiedzą, czym jest głód, którzy byli dotąd naprawdę rozpieszczani. Spójrzcie na sprzedawczynie w którymkolwiek sklepie, a zobaczycie złoty zegarek na jednym przegubie, a bransoletkę na drugim. Nawet kobiety wydające posiłki w stołówkach noszą w tych czasach złoto". Jak posępnie odnotowywali autorzy raportu, była to tylko jedna z 10 820 podobnych skarg przechwyconych w ciągu zaledwie dziesięciu dni[29]. Donoszenie o tego rodzaju nieprawidłowościach nie miało sensu: kiedy żona Łazariewa poskarżyła się na to, że dzieci w szpitalu pediatrycznym, w którym pracowała, dostawały mniej niż połowę przysługującego im mleka, została wysłana za miasto do kopania przez dwanaście godzin dziennie szpitalnego zagonu z warzywami[30].

Zdecydowanie największe szanse na przeżycie mieli jednak aparatczycy usadowieni w głównej siedzibie partii – za co byli też najbardziej znienawidzeni. „Sama widziałam, jak na Smolny dowożą chleb – miała syknąć do swojej sąsiadki z kolejki jakaś kobieta podsłuchana przez informatora pod koniec stycznia. – Oni tam nie

chodzą głodni. Gdyby musieli przez kilka dni obyć się bez chleba, może usiedliby na chwilę i zastanowili się, zwrócili na nas trochę baczniejszą uwagę". Inna kobieta mówiła tak: „Napychają sobie buzie, a my głodujemy, patrząc, jak ich tłuste gęby wożone są po mieście samochodami. To nie jest w porządku"[31]. Szeregowi członkowie partii – w większości zwykli robotnicy – nie mieli się dużo lepiej od pozostałych cywilów. Szacuje się, że w pierwszej połowie 1942 roku śmierć głodową poniosło 17 tysięcy członków partii, co stanowiło 15 procent ich łącznej liczby. I choć wskaźnik ten był ponad dwukrotnie mniejszy od śmiertelności w całej grupie cywilów, wynoszącej 30–40 procent, trudno jest bezpośrednio porównywać te dwie kategorie, jako że przekrój demograficzny aparatu partyjnego – w większości mężczyźni, stosunkowo niewielu ludzi starszych, żadnych dzieci – znacząco odbiegał od zróżnicowania całej populacji[32]. Zaopatrzenie w żywność było natomiast bez wątpienia znacznie lepsze w przypadku biurokratów pracujących w głównej siedzibie partii. Mówi się często, że Żdanow zjadał podczas oblężenia racje zwykłych robotników, ale zważywszy na to, jakie posiłki podawano na Smolnym, wydaje się to wysoce nieprawdopodobne. Zapraszani tu goście wychodzili z drażniącym odczuciem opuszczania krainy wszelkiej obfitości: Lichaczow, uczestniczący w naradzie dotyczącej komisji książkowej, wspomina, że „pachniało tam jak w jadalni", a pewien oficer zaopatrzeniowy Armii Czerwonej zapamiętał, że dostarczał na Smolny wędzoną szynkę, jesiotra i kawior, pozostałe z transportu żywności wysłanego za miasto do ewakuowanych rodzin partyjnych oficjeli[33].

Wspaniała, jedyna relacja z pierwszej ręki, opisująca w szczegółach, co dokładnie jadły leningradzkie elity, pochodzi od Nikołaja Ribkowskiego, aktywisty Profsojuzu, partyjnej centrali związkowej. Liczący w chwili wybuchu wojny trzydzieści osiem lat Ribkowski wywodził się z rodziny chłopskiej, był żarliwym stalinistą i należał do tego pokolenia funkcjonariuszy partii, które skorzystało na czystkach Wielkiego Terroru, ochoczo wchodząc w buty starszych towarzyszy, z którymi tak bezceremonialnie się wówczas rozprawiono. Przed załatwieniem sobie pracy w Instytucie Smolnym na początku grudnia 1941 roku, żył on jak każdy leningradczyk, martwiąc się

o ewakuowanych z miasta żonę i syna („Zaoszczędziłem kilka tabliczek czekolady, które wyślę Sieriożeńce"), stojąc w kolejce po zwykłe racje żywnościowe i – jak wszyscy inni – chudnąc w oczach. „Czy to moje ciało, czy zamieniono je z jakimś innym w chwili mojej nieuwagi? Moje nogi i nadgarstki są jak u dorastającego dziecka, żołądek się zapadł, żebra wystają od góry do dołu". Zatrudnienie w Instytucie Smolnym, gdzie zajmował stanowisko instruktora w „dziale kadr" rady miasta, było dlań przepustką do innego świata. Czwartego dnia w pracy napisał:

„Na poranne śniadania *pasta* albo spaghetti, albo kasza z masłem, a do tego dwie szklanki słodkiej herbaty. Obiad – na pierwsze danie zupa, na drugie mięso, co dzień. Na przykład wczoraj jadłem zupę warzywną ze śmietaną, a po niej mielone mięso z makaronem. Dziś na pierwsze jest zupa z makaronem, a na drugie wieprzowina z gotowaną kapustą. Wieczorami dla tych, którzy wciąż jeszcze są w pracy, chleb z masłem i serem w dowolnej ilości, do tego słodka bułka i kilka szklanek słodkiej herbaty. Nieźle. Kartki odcinają tylko na chleb i mięso, cała reszta jest poza systemem racjonowania. To oznacza, że z resztą kartek można iść do sklepu i kupić zboże, masło czy cokolwiek dostępnego, a także wziąć trochę do domu".

Choć wielu pracujących w Instytucie Smolnym zapadało na biegunki, budynek był ciepły, czysty i dobrze oświetlony, a jego instalacje kanalizacyjne i wodociągowe w pełni sprawne. Jak zauważał Ribkowski, inni leningradczycy „załatwiają potrzeby w swoich mieszkaniach, a potem opróżniają wiadra gdziekolwiek bądź, a przed jedzeniem nie myją rąk (...). Spotkanie z takimi ludźmi – a spotyka się ich dość często – nie należy do przyjemnych".

W marcu 1942 roku Ribkowski został wysłany do domu wypoczynkowego (w praktyce hotelu) należącego do rady miejskiej, położonego w jednej z miejscowości letniskowych na północ od Leningradu:

„Okolica jest prześliczna. Małe dwupiętrowe dacze z zadaszonymi tarasami, w otoczeniu strzelistych sosen, sięgających aż do nieba (...). Po spacerze na mrozie, zmęczony i z głową lekko zamroczoną od leśnych zapachów, wracasz do ciepłego, przytulnego pokoju, zapadasz się w miękki, wygodny fotel i z rozkoszą rozprostowujesz nogi.

Jedzenie, jakie tu dają, niczym się nie różni od starych, dobrych czasów przed wojną w miejscach takich jak to: zróżnicowane, przepyszne, najwyższej jakości. Dzień w dzień jemy mięso – jagnięcinę, szynkę, kurczaka, gęsinę, indyka i kiełbaski, są także ryby – leszcz, śledź bałtycki i stynka – smażone, gotowane albo w galarecie. Kawior, wędzony jesiotr, ser, pierożki, kakao, kawa, herbata, 300 gramów białego albo czarnego chleba dziennie, 30 gramów masła, a na dokładkę do tego wszystkiego – 50 mililitrów wina i dobrego porto do obiadu i kolacji… Jemy, pijemy, spędzamy czas na dworze, śpimy albo nie robimy nic, słuchając tylko patefonu, przerzucając się żartami i grając w domino albo w karty… Prawie nie pamiętam tutaj o wojnie. Przypomina nam ona o swojej obecności tylko poprzez odległe odgłosy dział, a przecież znajdujemy się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu".

Niejako na swoją obronę Ribkowski dodawał, że rady dzielnicowe podobno dogadzają sobie wcale nie gorzej, „a kilka organizacji dysponuje *stacyonarami*, w porównaniu z którymi nasza całkowicie blednie"[34]. Od końca lutego rady dzielnicowe musiały przejąć ciężar żywienia także miejscowego personelu NKWD, na którego barkach spoczęła odpowiedzialność za prowadzenie większości standardowych działań administracyjnych miasta po tym, jak duża część członków partii i Komsomołu wyjechała na front[35].

Na samym dole hierarchii żywieniowej w Leningradzie znaleźli się ludzie, którzy nie byli nawet leningradczykami, lecz uchodźcami z podmiejskich wiosek. We wrześniu 1941 roku, kiedy liczne rodziny chłopskie zaczęły ściągać do miasta, uciekając przed nacierającymi wojskami niemieckimi i fińskimi, Rada Wojenna przekazała odpowiedzialność za nich do rad peryferyjnych dzielnic Leningradu, którym rozkazano sprawdzać ich tożsamość, nie dopuszczać, by tramwajami lub pociągami podmiejskimi przedostawali się do centrum miasta, a wreszcie zapewnić im zakwaterowanie w opuszczonych mieszkaniach, szkołach i domach studenta[36]. Jak napisał Lichaczow, „Leningrad został otoczony pierścieniem chłopskich wozów, którym nie

wolno było wjechać do samego miasta. Chłopi mieszkali w obozowiskach, razem ze swoim bydłem i rozwrzeszczanymi dziećmi, które nocami wręcz zamarzały z zimna. Na początku ludzie wychodzili do chłopów, aby kupić mleko i mięso, więc ci zaczęli zabijać swoje krowy. Ale już pod koniec 1941 roku wszystkie te grupy wieśniaków pozamarzały na śmierć, podobnie jak kobiety tych uchodźców, upakowane w szkołach i innych budynkach użyteczności publicznej”[37].

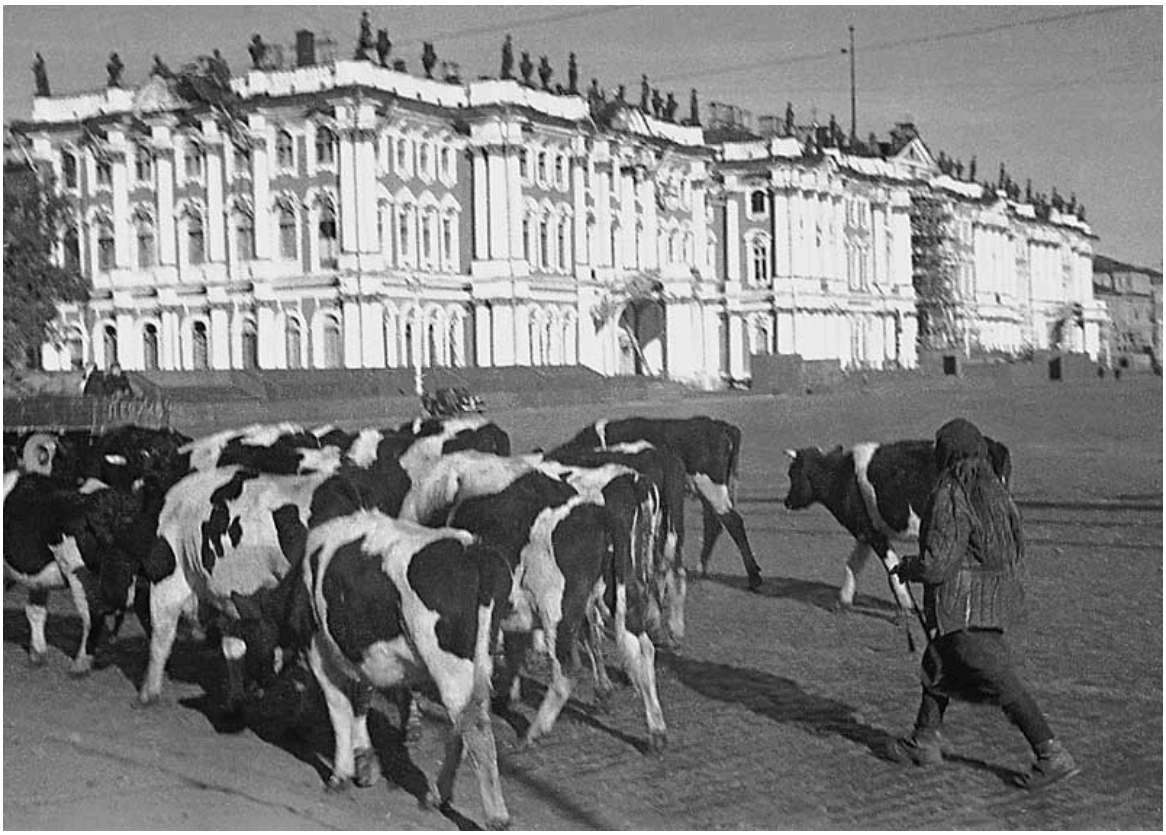

Chłopi – uchodźcy z podleningradzkich wsi przechodzą wraz z dobytkiem obok Ermitażu, wrzesień 1941 roku.

Lichaczow przesadził, ale bardzo nieznacznie. Władze Leningradu z całym okrucieństwem zaniedbywały uchodźców, co potwierdzają raporty NKWD zajmującej się – poza tysiącem innych rzeczy – także kontrolowaniem działalności innych agencji rządowych. Warunki życia 64 552 chłopów karelskich (ponad jedną trzecią tej liczby stanowiły dzieci) rozlokowanych na północno-wschodnich przedmieściach Leningradu były „skrajnie niezadowalające” – według autora raportu z końca listopada. Pomieszczenia, w których ich zakwaterowano, były

ciemne, brudne, nieogrzewane i bez dostępu do bieżącej wody, a większość uchodźców musiała spać bezpośrednio na podłodze z powodu braku łóżek. W Toskowie, gdzie ośmiuset ludzi umieszczono w nieogrzewanej szkole z powybijanymi szybami w oknach, przybysze z miejsca zaczęli podkradać miejscowej ludności drewno na opał, a także ścinać drzewa i rozbierać budynki gospodarskie, a mimo to dziesięcioro dzieci zmarło na zapalenie płuc tylko „w pięciu ostatnich dniach". Nadto uchodźcy w tej miejscowości otrzymywali wyżywienie gorsze nawet niż wszyscy pozostali, ponieważ kierownik zaopatrzenia lokalnego punktu ewakuacyjnego (właśnie aresztowany) wstrzymywał wcześniej ich kartki żywnościowe, dokonując dzięki nim „oszukańczych kombinacji mających mu zapewnić jedzenie na własne potrzeby". Nie podejmowano też żadnych kroków, które mogłyby powstrzymać szerzenie się chorób zakaźnych: w jednej z przeludnionych miejscowości samotny lekarz musiał obsłużyć pięć tysięcy ludzi, a wszędzie indziej służby medyczne działały „słabo". W podsumowaniu raport stwierdzał: „Organizacje dzielnicowe ignorują warunki panujące w punktach ewakuacyjnych i usiłują wymigać się od odpowiedzialności za pomaganie ewakuowanej ludności. Uznajemy za konieczne rozkazanie dzielnicowym komitetom partii i komitetom wykonawczym rad rozwiązanie sytuacji w punktach ewakuacyjnych na ich terenie, a także poprawę warunków życia i standardów kulturalnych ewakuowanych"[38].

Do czasu, gdy dwa miesiące później NKWD przygotowała kolejny raport, uchodźcy umierali już powszechnie i masowo. We Wsiewołożsku, punkcie ewakuacyjnym na północno-wschodnich obrzeżach Leningradu, z domów i akademików zebrano 130 martwych ciał. Kolejnych 170 znaleziono w szpitalu, około 100 leżało niepochowanych na cmentarzu, a 6 kolejnych porzucono na ulicach. Charakterystyczny jest wkład samej NKWD w poprawę „warunków życia i standardów kulturalnych" uchodźców. Jedenastu chłopów zostało aresztowanych za okazywanie „postaw antyradzieckich", a dwunasty – za zabijanie kotów i psów w celu ich zjedzenia. Innych oskarżono o „próbę wzniecenia zorganizowanego powstania". W rzeczywistości „powstańcy" ci mieli zamiar skrzyknąć się i wybrać

spośród siebie przedstawicieli, którzy udadzą się do Moskwy, by tam poprosić o pomoc Stalina[39].

14. „ROBINSON CRUSOE BYŁ SZCZĘŚCIARZEM”

Dnia 22 stycznia 1942 roku Państwowy Komitet Obrony w Moskwie rozkazał zbiorową ewakuację ludności Leningradu. Decyzję taką powinien był podjąć tak naprawdę sześć miesięcy wcześniej. Lód na Drodze Życia już od kilku tygodni był zamarznięty do wystarczającej grubości, więc ewakuacja miała się odbyć ciężarówkami przez Ładogę. Do nadzorowania tej operacji, mającej objąć 500 tysięcy cywilów (przy czym pierwszeństwo dano kobietom, dzieciom i ludziom starszym) wysłano Aleksieja Kosygina, zastępcę przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, a w latach sześćdziesiątych drugą osobę w państwie po Breżniewie.

Choć ewakuacja miała charakter obowiązkowy, pewna część leningradczyków starała się jej uniknąć: obawiali się, że nie przeżyją podróży, nie chcieli zostawiać krewnych, poza tym mieli podejrzenia (nierzadko uzasadnione), że gdy raz opuszczą swoje mieszkania, już nigdy ich nie odzyskają. Jedną z takich osób był Aleksandr Bołdyriew, naciskany przez przełożonych, by wyjechał wraz z innymi ocalałymi pracownikami Ermitażu do Kisłowodzka na Kaukazie: „Jechać z dystrofią, na takim mrozie (...), zostawiając mieszkanie, Mamę i wszystko inne, kiedy tutaj być może jesteśmy w przeddzień sukcesu? Nie mogę tego zrobić (...). Zdaje się, że u Sztakelbergów matka, siostra i brat zmarli wszyscy jeszcze przed wyruszeniem, podobnie jak księgowy Ponamariow. Ich ciała wyrzucono z okien pociągu ewakuacyjnego prosto na peron Dworca Fińskiego”[1]. Wiera Inbier, nieświadomie naśladując wypowiedź brytyjskiej królowej Elżbiety podczas bombardowań Londynu, oświadczyła, że jej mąż zostaje ze swoimi studentami, a ona zostaje ze swoim mężem[2]. Olga Grieczina czuła natomiast, że wyjazd byłby niczym „odwrót z frontu”. Z kolei znajoma studentka Gieorgija Kniaziewa nie zamierzała wyjeżdżać,

ponieważ zostały jej tylko trzy egzaminy do ukończenia studiów magisterskich, a poza tym nie chciała zostawiać swojej matki i ciotek[3].

Żadnego wyboru co do wyjazdu czy pozostania nie miały za to tysiące chłopów pochodzenia niemieckiego bądź fińskiego z otaczających Leningrad wiosek, których nie zdążono deportować minionego lata z powodu zbyt późno wydanych przez Berię odpowiednich rozkazów. Operację tę przeprowadzono zatem teraz, bardzo brutalnie, przy użyciu wojska i pod nadzorem „trójek" złożonych z przedstawicieli lokalnych komitetów partii, rad i NKWD. Każdy obwód musiał dostarczyć z góry określoną liczbę ewakuowanych, którym dano na spakowanie zaledwie kilka godzin, a ich żywy inwentarz i zapasy żywności konfiskowano pośród grabieży i podpaleń[4]. Końcowym efektem takich działań było całkowite ogołocenie podleningradzkich wiosek z siły roboczej, co dało najzupełniej przewidywalne skutki dla produkcji rolnej latem 1942 roku. Na przykład w przyczółku Oranienbaum wywózka 4775 wieśniaków spowodowała, że dwanaście skolektywizowanych gospodarstw rolnych zupełnie opustoszało, a w ośmiu kolejnych pozostało zaledwie po kilka rodzin[5]. I choć niektórzy z deportowanych obawiali się, że zostaną zabici – „wywiezieni przez zatokę i wepchnięci pod lód", jak głosiła jedna z pogłosek – były też przypadki, kiedy rdzenni Rosjanie błagali wręcz o dołączenie ich do transportów. Raport z przyczółka Oranienbaum opisuje ponadto kilka przypadków oficerów Armii Czerwonej usiłujących uratować Finów przed deportacją – co oceniano z troską jako dowód na to, że „niektórzy wojskowi towarzysze wrośli tak bardzo w lokalną społeczność, że identyfikują się mocno z interesami miejscowej ludności, zapominając o powinności wobec państwa". Łącznie, od początku wojny do 1 października 1942 roku, przymusowo deportowano z pierścienia oblężenia 128 748 ludzi, z czego prawie połowę stanowiły osoby pochodzenia niemieckiego albo fińskiego, pozostałą zaś część „przestępcy" bądź „elementy obce społecznie"[6].

W samym mieście ogromna większość leningradczyków desperacko pragnęła jednak wyjechać i tłumnie zjawiała się przed biurami ewakuacyjnymi, głośno narzekając na przełożonych, którzy nie musieli – tak jak oni – ustawiać się w długich kolejkach. „Dlaczego wysyłają wszystkie fabryki, instytuty i ich najwyższy personel?" – narzekał jeden

z podsłuchanych kolejkowiczów. „Najwyraźniej wcale nie są tacy pewni, że Niemcy nie zajmą Leningradu!" Ktoś inny perorował, że Niemcy szykują się do wielkiej wiosennej ofensywy: „Szefowie dbają tylko o siebie i wyjeżdżają jako pierwsi, a nas mogą już tu zostawić"[7]. Jednak nawet tych, których zakwalifikowano do ewakuacji, czekała droga przez biurokratyczne piekło. Najpierw musieli zostać uznani za wystarczająco silnych, by wytrzymać trudy podróży, nie mogli też być chorzy zakaźnie. Następnie kandydaci do ewakuacji odwiedzali kolejne urzędy i biura, wszędzie wypełniając papiery i naklejając na nie odpowiednie znaczki. Wreszcie czekała ich sprzedaż dobytku, by mieć za co kupić jedzenie na drogę, na końcu zaś konieczność spakowania dozwolonych dwudziestu ośmiu kilogramów bagażu na osobę i zaciągnięcia go przez most Litiejny na Dworzec Fiński. Wszystkie te zadania dla ludzi skrajnie wygłodzonych i wycieńczonych miały przygniatający wręcz ciężar, dla wielu z nich zdecydowanie przekraczający pozostały im zasób sił, o czym mogą świadczyć statystyki dotyczące śmiertelności prowadzone w punkcie medycznym na Dworcu Fińskim: spośród 2564 ludzi przybyłych tu od początku lutego do 13 kwietnia aż 230 zmarło na miejscu, nigdzie nie wyjechawszy[8].

Wielu ewakuowanych stało też przed straszną próbą: czy zostać i starać się ratować życie jednego z członków rodziny, zbyt wątłego, by mógł wyjechać, czy uciekać samemu, zostawiając słabych, a dając szansę silniejszym? Owe „wymuszane porzucenia", jak określają je badacze zjawiska głodu, zdarzały się nagminnie. Dmitrij Lichaczow opisuje trzy takie przykłady z kręgu swoich przyjaciół, w tym przypadek Wasilija Komarowicza, specjalizującego się w badaniu twórczości Dostojewskiego. Na dzień przed planowanym wyjazdem jego żona i córka zaciągnęły go saniami do *stacyonaru* Związku Pisarzy. Po przybyciu na miejsce okazało się jednak, że lecznica będzie zamknięta przez kilka kolejnych dni. Obie błagały dyżurną lekarkę o przyjęcie pacjenta, ale ta odmówiła. Kobiety mimo to zostawiły go tam, w podziemnej szatni. Karmiony przez lekarkę Komarowicz utrzymał się przy życiu na tyle długo, by ukończyć swoją rozprawę doktorską. Została ona opublikowana po wojnie i dziś czyta się ją zupełnie normalnie, poza tym że przypisy datowane są według świąt kościelnych.

Druga rodzina, o której pisze Lichaczow, zostawiła w mieście córkę, zmarłą potem w szpitalu, trzecia zaś – starszą matkę, porzuconą już na Dworcu Fińskim (nie została nawet odwiązana od sań) po tym, jak nie przeszła badań w punkcie medycznym[9].

Podobny dylemat został oszczędzony Jelenie Skriabinie, bo niejako rozwiązał się sam. „Pogłoski o możliwej ewakuacji – napisała 29 stycznia – stają się coraz bardziej natarczywe. Mój wujek (...) nie jest w stanie znieść tych dyskusji. Nawet gdyby miał zostać zabrany z Leningradu, nie przeżyłby podróży. A tutaj, otoczony opieką swojej żony, może jeszcze się trzymać". Wujek zmarł jednak następnego dnia:

„Zachowanie mojej cioci, która zawsze go uwielbiała, było takie samo jak wszystkich dookoła w tych czasach – nawet nie zapłakała. O szóstej wieczorem Ludmiła wróciła do domu z pracy. Wpuściłam ją i przekazałam jej smutne wieści o śmierci ojca. Zalała się gorzkimi łzami, i chyba dopiero wówczas naprawdę dotarło do cioci to, co się stało. Wzięła córkę w ramiona i także ona długo płakała w jej objęciach. Łatwiej było patrzeć na ten wybuch rozpaczy niż na straszliwą zatwardziałość, którą spotyka się teraz u wszystkich w Leningradzie"[10].

Jedną z najsmutniejszych historii jest ta o Juriju Riabinkinie, piętnastolatku, który o wybuchu wojny dowiedział się niespodziewanie w drodze na zawody szachowe. Ten nieporadny, bardzo spięty nastolatek, mieszkający wraz z rodziną w straszliwych warunkach, może być pod wieloma względami postrzegany jako radziecki odpowiednik Anny Frank. Jego los był jednak znacznie bardziej złożony. Podobnie jak rówieśnicy początkowo powitał wojnę z dziecięcym podnieceniem, wykorzystując czas wolny od szkoły do gry w oczko i zabawy w fanty („Łopatkin po kręconych schodach wlazł na piętro na czworakach. Finkelstein nosił na barana Bronia"). Ponadto pełnił też warty przeciwpożarowe na dachu eleganckiego i nowoczesnego budynku mieszkalnego przy ulicy Sadowej 34 (dziś mieści się tam bank), w którym przebywał wraz z matką i młodszą siostrą.

W połowie października Jurij zaczął „spadać w dół komina". Najpierw skarżył się na to, że ciągle jest głodny („z głodu burczy mi w brzuchu i z ust płynie ślina"), a później zaczął odczuwać nienawiść do lepiej

odżywionej rodziny, która właśnie przeprowadziła się do ich bloku („I wstyd mi się robi teraz, kiedy widzę, jak mama pije wodę, a A.N. stoi obok i rozprawia o teatrze (...). Ta Anfisa Nikołajewna przypomina tłuściutką, nażartą kotkę...”[11]). Pod koniec miesiąca chłopak z trudem wchodził już po schodach, przestał się też przejmować zmienianiem ubrania. Choć miał tylko jedną świeczkę, przy której mógł czytać, próbował szukać ucieczki w lekturach – Dumas był dla niego „bardzo zajmujący”, a *Miłość życia* Jacka Londona to „cudowna książka”. Dwa tygodnie później obrzękła mu od puchliny wodnej cała twarz, a wszystkie myśli zaczęły obsesyjnie krążyć wokół jedzenia: „Noc w noc widzę we śnie chleb, masło, *pirożki* i ziemniaki. A zanim położę się spać, ostatnią moją myślą jest zawsze ta, że za dwanaście godzin noc się skończy, a ja będę mógł znów zjeść kawałek chleba...”. Jego matka co rano wychodziła do pracy, zabierając ze sobą młodszą siostrę, zadaniem Jurija było zaś stanie w kolejkach po racje żywnościowe:

„Matka i Ira przychodzą do domu głodne, zmarznięte i zmęczone (...), z trudem w ogóle powłóczą nogami. W domu nie ma żadnego jedzenia ani drewna na opał do pieca (...). Zaczynają na mnie krzyczeć i wyrzucać mi, że sąsiadom z dołu udało się dostać zboże i mięso, a mnie nie (...). Muszę więc znów iść stać w kolejce, ale wszystko na próżno... Och, gdybym tylko miał parę walonek!”[12].

W grudniu wpisy stają się nieomal histeryczne, są mieszaniną fantazjowania („Mama dostanie pracę bibliotekarki w jakimś nowo zorganizowanym szpitalu, a ja będę jej pomocnikiem”) i nienawiści do samego siebie za podwędzenie kilku okruszków chleba z rodzinnych zapasów jedzenia. Pojawiły się też symptomy paranoi:

„Cóż to za tortury, którym Matka i Ira poddają mnie wieczorami? Przy stole Ira specjalnie je tak powoli, żeby nam pokazać, że proszę bardzo: ona tu jeszcze je, a reszta, czyli my, którzy już zjedliśmy, może siedzieć i przyglądać się jej wygłodniałym wzrokiem. Matka zjada pierwsza, potem bierze po trochu od każdego z nas. Kiedy chleb jest już rozdzielony, Ira wybucha płaczem”[13].

Pod koniec miesiąca dziennik zmienia się w ciąg luźnych, bezładnych zapisków: „Ja chcę żyć, ale nie mogę żyć tak jak teraz! Ale jak ja chcę

żyć!" czy „Gdzie jest Mama? No, gdzie ona jest?". Ostatni pojawia się z datą 6 stycznia:

„Ledwo mogę chodzić czy cokolwiek robić. Nie mam już prawie żadnych sił. Mama także z trudem się porusza – trudno mi sobie wyobrazić, jak jej się to w ogóle udaje. Teraz często mnie bije, ofukuje i krzyczy na mnie. Wpada w dzikie napady złości, bo nie może znieść mojego żałosnego wyglądu – tej słabej, głodnej, udręczonej osoby, która z trudem potrafi przesunąć się z miejsca na miejsce, wiecznie tylko przeszkadza i «udaje», że jest chora i bezradna. Ale ja nie udaję... O Boże, co się ze mną stanie?"[14].

O tym, co się z nim stało, dowiedzieli się czterdzieści lat później od jego siostry, Iry, dwaj historycy oblężenia: Aleś Adamowicz i Daniił Granin. Jurij został pozostawiony samemu sobie. Matka, wystarawszy się o miejsca w transporcie ewakuacyjnym dla całej rodziny, sprzedała ich dobytek za żywność na drogę oraz watowane spodnie i kurtki, po czym załadowała sanie najpotrzebniejszymi rzeczami i srebrnymi sztućcami do późniejszej sprzedaży. Nie była jednak w stanie znieść na dół swojego syna. Zostawiła go więc leżącego na kanapie, a sama z córką wyruszyła, ciągnąc za sobą sanie, na Dworzec Fiński. „Kiedy tylko przekroczyliśmy Newę – wspominała Ira – Matka rozpaczliwie chciała po niego wrócić. A ja oczywiście płakałam: «Jura tam został, zupełnie sam!». Ale niemal chwilę po tym, jak wsiadłyśmy do wagonu, pociąg ruszył, i tak odjechałyśmy". Nie wiemy, co się stało z Jurijem. Możliwe, że zmarł w Leningradzie albo w trakcie ewakuacji, bo jego dziennik, przyniesiony do redakcji jednej z gazet w odpowiedzi na apel ogłoszony w 1970 roku, wypłynął później w regionie Wołogdy. Możliwe nawet, że przeżył wojnę, ale nie mógł bądź nie chciał po niej szukać kontaktu ze swoją rodziną. Niewiele z niej zresztą zostało. Jego ojciec, aresztowany już wcześniej podczas Wielkiego Terroru z lat 1936–1937, zginął gdzieś w gułagu. Matka zmarła w trakcie ewakuacji, na ławce dworca kolejowego w Wołogdzie. Tylko jego siostra Ira przeżyła wojnę w jednym z domów dziecka, później zaś była wychowywana przez swoją ciotkę[15].

Pośród licznych podnoszących na duchu mitów dotyczących oblężenia jest i ten, że podczas ewakuacji Drogą Życia uchodźcom zapewniano dobrą opiekę i bezpieczeństwo. Nawet szef zaopatrzenia Dmitrij Pawłow, którego pamiętniki wydane w czasach „odwilży" należą do najbardziej otwartych i szczerych w swojej epoce, twierdzi, że ewakuacja była „starannie przemyślana i dobrze zorganizowana":

„Na drodze ewakuacyjnej ustanowiono dla wywożonych ludzi cały ciąg polowych kantyn. Kiedy tylko leningradczycy przekraczali jezioro i wjeżdżali na ląd, wydawano im gorący kapuśniak, ziemniaki i mięso, a także inne posiłki, o których ci wycieńczeni ludzie śnili dotąd po nocach. Zapach chleba, zrobionego z czystej żytniej mąki, wręcz zwalał z nóg wygłodzonych. Od chwili postawienia stopy na lądzie byli otoczeni miłością i opieką. Każdy czuł w sercu wielkie pragnienie niesienia im pomocy w taki sposób, w jaki tylko mógł"[16].

W istocie trudno o słowa bardziej odbiegające od rzeczywistości. Pierwszą próbą wytrzymałości, jaką musieli przejść ewakuowani, było dotarcie pociągiem z Dworca Fińskiego do Osinowca. Choć cały ten dystans wynosił tylko 45 kilometrów, podróż mogła trwać nawet kilka dni. Wysiadłszy na brzegu jeziora, podróżni musieli zdobyć miejsce w jednej z ciężarówek przewożących ich przez jezioro, do czego potrzebowali łapówek. Jelena Koczina zdołała się przebić przez groźne, rozwrzeszczane tłumy kłębiące się przy tylnych klapach ciężarówek, wręczając kierowcy jednej z nich dwa litry wódki; matka Igora Kruglakowa targowała się z grubym, pijanym kierowcą noszącym futrzane palto założone bezpośrednio na chłopską sukmanę, proponując mu najpierw paczkę papierosów Biełomorkanał, potem pieniądze, a w końcu srebrny zegarek kieszonkowy z kurantem należący do jej ojca. Sama Droga Życia przypominała rejon bieguna północnego – oślepiająco białą, płaską równinę przy ładnej pogodzie („Jasnoczerwona chorągiewka kontrolera ruchu – pisała Inbier – widoczna jest z odległości kilometra"), ciemną przestrzeń wypełnioną wyciem wiatru podczas zamieci, a zimną, czarną pustkę w nocy. Nielicznym szczęściarzom udało się przejechać ten dystans autobusami przysłanymi z Moskwy, ale większość musiała siedzieć na otwartych bądź przykrytych jedynie brezentem pakach ciężarówek, gdzie łatwo

było umrzeć z wychłodzenia. Wielu pasażerów, zbyt słabych, by trzymać się burt, gdy ich wóz podskakiwał na grudach lodu, po prostu z niego wypadało. Jedna z żołnierek patrolujących Drogę Życia co rano znajdowała ciała kilkorga małych dzieci i niemowląt, wyrzuconych z objęć swoich matek przez pęd ciężarówek, które starały się zdążyć przed świtem[17].

Na przeciwległym brzegu, w nieokupowanej części kraju, baza powitalna była co najmniej niewystarczająca. Pamiętnikarze opisują, jak godzinami wystawali w kolejkach po zupę, nie mogli nigdzie znaleźć miejsca do spania i musieli wręcz walczyć o miejsca w pociągach mających ich wywieźć w głąb Rosji. Co więcej, początkowo, kiedy żywności akurat nie brakowało, nie podejmowano żadnych środków, by przeciwdziałać umieraniu z przejedzenia, tak częstemu u skrajnie wygłodzonych ludzi. Pewien lekarz, któremu rozkazano utworzyć punkt medyczny w Życharіewie, zauważył, że ewakuowani błyskawicznie zjadali cały suchy prowiant – wędzone kiełbaski i chleb – wydzielany im na dalszą, trwającą trzy dni podróż do Tichwina, od czego pękały im żołądki. Najpierw bezskutecznie próbował interweniować w tej sprawie u szefa ośrodka ewakuacyjnego, prosząc go o zmianę dotychczasowych ustaleń. Ostatecznie udało mu się doprowadzić do spotkania z wizytującymi to miejsce przedstawicielami moskiewskiego Państwowego Komitetu Obrony, którym opisał wyniki przeprowadzonych przez siebie sekcji zwłok, a następnie zaproponował, by zamiast wydzielać ewakuowanym cały suchy prowiant, karmiono ich po drodze niewielkimi ilościami prosa i kaszy manny gotowanymi w pociągowych kotłach[18].

Typowa relacja opisująca całość doświadczeń związanych z tą – jakże radziecką w swoim charakterze – operacją ewakuacyjną pochodzi od Władimira Kulabki, sześćdziesięciopięcioletniego owdowiałego inżyniera chłodnictwa. Przeżył on pierwszą część zimy dzięki podarunkom od sąsiadki pracującej w sklepie spożywczym, a w lutym otrzymał propozycję wyjazdu w jednym z pierwszych konwojów mających wyruszyć Drogą Życia. Zgodził się, w nadziei, że dotrze do syna, lekarza wojskowego stacjonującego w mieście Czerepowiec, położonym 400 kilometrów na wschód od Leningradu, na linii kolejowej

do Wołogdy. Kulabko powiedział zarządcy swojego bloku, że przenosi się tylko do innego mieszkania, zostawił klucze u jednego z sąsiadów, innemu zaś zapłacił naftą, makaronem i orzechami za pomoc w zaniesieniu walizki na Dworzec Fiński. Trzykilometrowy spacer z ulicy Sadowej, przerywany częstymi odpoczynkami na skrzyniach z piaskiem, zajął im dwie godziny. Pociąg, który miał odjechać o godzinie dziesiątej trzydzieści rano, pojawił się na stacji dopiero o szóstej po południu, przy czym przydzielony Kulabce przedział był już zajęty przez obładowanych bagażami „biznesmenów". Wykłócaniem się i usilnymi prośbami Kulabko zdołał wepchnąć się, z walizką, koszykiem i poduszką, na *tambur*, otwartą i wietrzną platformę między wagonami, na którą zwykle palący podróżni wychodzą na papierosa. Pociąg ruszył w końcu o pierwszej w nocy i przystąpiono do rozdawania jedzenia. Kulabko szybko sobie uświadomił, że aby cokolwiek dostać, będzie musiał wręczyć łapówkę. Sprawę załatwiła karteczka z napisem „400 g chleba dla Kulabki, pieniądze w załączeniu, reszty nie trzeba". „Po dziesięciu minutach miałem już mój chleb. Ucząc się na tym doświadczeniu, tak samo postąpiłem w przypadku zupy". Po przybyciu do Osinowca sześć godzin później Kulabko zauważył piętnaście trupów leżących wzdłuż torów.

Ewakuacja z Leningradu przez zamarznięte jezioro Ładoga, kwiecień 1942 roku.

Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że aby się znaleźć na ciężarówce przewożącej przez jezioro, musi sięgnąć po kolejną łapówkę:

„Czekałem, głodny i niedożywiony jak wszyscy dookoła mnie (mimo że w Leningradzie obiecano nam trzy posiłki dziennie i dano na nie odpowiednie kartki). Mniej więcej o piątej po południu odszukałem kogoś z kierownictwa, ale on zbył mnie takim czy innym bzdurnym argumentem. Wtedy zrozumiałem, że w ten sposób nigdzie szybko nie pojadę. Ciężarówki przyjeżdżały i odjeżdżały, ale ludzie nadzorujący ewakuację sami decydowali, kogo na nie wpuścić, nie przestrzegając żadnej listy ani kolejki (...). Jeszcze raz poszedłem do tego kierownika i powiedziałem mu, że jestem chory i że jadę do syna, odznaczonego żołnierza".

Wkrótce podszedł do niego jeden z ludzi nadzorujących wyjazdy, który zgodził się na pięćset gramów tytoniu za zorganizowanie mu miejsca w pierwszej ciężarówce z zamkniętą paką, która się nadarzy. Cztery godziny później Kulabko doczekał się wreszcie na swoją kolej,

także dlatego że sprytnie odmówił wręczenia łapówki do momentu, w którym posadzono go w środku wraz z bagażem. „Taki sam system przekupstwa, tyle że znacznie drobniejszego, panował w ciężarówce. Kierowca bezustannie prosił o papierosy, które mu dawano. W przeciwnym razie samochód zwalniał albo nagle coś się w nim psuło. Wręczony w odpowiednim momencie papieros natychmiast rozwiązywał wszystkie problemy". Odstawszy trzy godziny w korku, bo musieli przepuścić ciężarówki z żywnością jadące w przeciwną stronę, dotarli wreszcie na drugi brzeg jeziora o piątej nad ranem następnego dnia.

Choć Kulabko w praktyce wyrwał się już z pierścienia oblężenia, nie był to w żadnym razie koniec jego gehenny. Najpierw musiał stać w trzygodzinnej kolejce po kaszę i zupę po to tylko, by dowiedzieć się, że ewakuowani muszą mieć własne talerze i łyżki. Problem ten udało mu się obejść, wręczając kelnerce pięćdziesiąt rubli, a do tego jeszcze swój paszport jako zastaw za miskę. Kiedy wreszcie przyjechał jakiś pociąg, dosłownie opadły go tłumy oszalałych ludzi. Zapłaciwszy kolejne trzydzieści rubli jakiemuś żołnierzowi za pomoc w dźwiganiu bagażu, Kulabko zdołał dostać się do jednego z wagonów towarowych, z kilkoma wychudzonymi studentami inżynierii, którzy nie chcieli go dopuścić do ustawionego w środku opalanego sianem piecyka. Po podróży trwającej pięć dni i tyle samo bezsennych nocy, przerywanej długimi kolejkami po jedzenie, drobnymi kradzieżami oraz śmiercią jednego ze studentów, którego ciało reszta kolegów natychmiast wypchnęła za drzwi – pociąg dotarł wreszcie do Czerepowca:

„Wyczołguję się z wagonu i oczywiście spadam na ziemię, ciągnę za sobą moje trzy tobołki i krzyczę: «Pomóżcie mi zanieść to na stację!». Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Próbuję sam je tam zawlec, ale są ciężkie i co chwilę się przewracam. Stoję więc w rozpaczy. Wreszcie zauważam jakiegoś smyka i pytam go, czy zaniesie moje rzeczy na stację. On na to: «A dasz papierosa?». Odpowiadam, że tak... Docieramy do stacji. Widzę jakiegoś milicjanta i pytam go: «Jak dostanę się pod ten adres?». On odpowiada, że na placu stoją konne dorożki. Jak jakiś głupek idę na plac, daję chłopcu papierosa i stoję tam, wypatrując dorożek. Ale żadna się nie zjawia, bo nigdy ich tu nie było. Proszę różne

osoby o pomoc, lecz nikt nie reaguje. Zaczynam więc ciągnąć wszystkie moje rzeczy do przechowalni bagażu, która na szczęście nie jest zbyt daleko. Walizkę pcham po śniegu nogą, a całą resztę niosę. Poruszam się tak po metr, półtora metra, po czym zatrzymuję się na odpoczynek. Stoję tam i mam oczy pełne łez. Jak ja dotrę do Borii?".

Ocalenie nadeszło ze strony jakiegoś młodego żołnierza, który nie chcąc słyszeć o żadnych dowodach wdzięczności, wziął jego bagaże i zaprowadził go do szpitala Borii, a po drodze dał mu jeszcze do przegryzienia swój wojskowy sucharek[19]. Kulabko wyjeżdżał z Leningradu wtedy, gdy operacja zbiorowej ewakuacji trwała dopiero od niecałych dziesięciu dni, ale opisywany przezeń chaos utrzymywał się także później, aż do połowy kwietnia, kiedy z powodu wiosennych roztopów ciężarówki nie mogły już wjeżdżać na lód i tak rozgnieciony wtedy przez nie do tego stopnia, że zanurzały się aż po osie w roztopionej brei[20].

Ilu ludzi ocalono dzięki Drodze Życia? Oficjalnie w styczniu 1942 roku liczba wywiezionych wynosiła 11 296, w lutym – 117 434, w marcu – 221 947, a w kwietniu – 163 392, co daje łącznie imponującą i znacznie przekraczającą plan liczbę 514 069 osób ewakuowanych w niecałe cztery miesiące[21]. Trzeba jednak odliczyć tych, którzy zmarli po drodze, już w trakcie ewakuacji: czy to podczas przekraczania jeziora, czy później, w pociągach wywożących uchodźców w głąb nieokupowanej Rosji. W przepełnionych, pozbawionych toalet wagonach towarowych szalały rozmaite choroby żołądkowe, czego doświadczyła choćby Koczina:

„Ustępu nie ma. Jeśli zatem ktoś zgłosi «zapotrzebowanie», to w realizacji bierze udział zazwyczaj cała społeczność wagonu. Przebiega to następująco: wspólnymi siłami otwiera się drzwi, po czym «petent» ściąga spodnie i wypina sempiternę na wiatr. Kilka osób trzyma go za ręce i pod pachy… [Podczas postojów] wszyscy wyłazimy z pociągu i kucamy rządkiem – kobiety, mężczyźni, dzieci – przy swoich wagonach. Ludność miejscowa tłoczy się w pobliżu i przypatruje się nam ze zgorszeniem… A nam jest wszystko jedno. Nie znamy ani

wstydu, ani żadnych innych uczuć... Chorzy jadą razem z nami, dopóki nie umrą. Wówczas wyrzucamy ich w biegu”[22].

Fakt, iż ewakuowanym nie zapewniano odpowiedniej opieki nawet już po dotarciu na drugą stronę jeziora, potwierdza jeden z raportów NKWD z 5 marca. Mówi on o „nieodpowiedzialnym i bezdusznym” traktowaniu uchodźców przez personel jednego z punktów powitalnych, a także o „nieludzkich” warunkach w pociągach. Tylko z jednego z nich wyciągnięto na stacji Wołchow 17 martwych ciał, w Babajewie 20 kolejnych, w Czerepowcu 7 dalszych, a w Wołogdzie jeszcze 7. Z innego musiano usunąć 26 trupów w Wołchowie, 32 w Tichwinie, 4 w Babajewie i 6 w Wołogdzie[23]. Szacuje się, że w wielkim masowym grobie z czasów wojny w Wołogdzie, zawierającym głównie ciała ewakuowanych leningradczyków, spoczęły doczesne szczątki około 20 tysięcy ludzi.

Ofiary ewakuacji z Leningradu, Kobona nad jeziorem Ładoga, kwiecień 1942 roku.

Ci, którym udało się przeżyć ów początkowy etap ewakuacji, w dalszym ciągu stali przed problemem odnalezienia lokalnej władzy,

która mogłaby wydać im kartki żywnościowe i zapewnić zakwaterowanie. Mniej istotny był to problem tylko dla wywożonych w ramach jakiejś instytucji albo jadących do swoich krewnych. Ponieważ praktycznie wszędzie było pełno przesiedleńców, a braki w zaopatrzeniu w żywność były wręcz chroniczne (nawet w Moskwie zimą na przełomie lat 1941 i 1942 żebracy umierali na ulicach), wyżywienie i zakwaterowanie wszystkich graniczyło z niemożliwością. Skriabina, która wyjechała Drogą Życia w lutym, najpierw musiała patrzyć na śmierć swojej matki w pełnym chaosu tak zwanym szpitalu w Czerepowcu, a następnie tułać się z wycieńczonymi synami całymi tygodniami wzdłuż linii kolejowej, od jednego miasta do drugiego, w poszukiwaniu jakiegoś współczującego urzędnika. Kiedy wreszcie takiego znalazła, stało się tak tylko dzięki *swiaziom*: jej dawny lekarz rodzinny został wyższym urzędnikiem partyjnym w mieście Gorki [obecnie Niżny Nowogród]. „Jego nazwisko czyniło cuda (...). Urzędnik odepchnął ludzi stojących przede mną na bok i przyjaznym gestem zaprosił nas do pójścia za nim. Zaprowadził nas prosto do biura w Komitecie Partii w Gorkim (...). Po dziesięciu minutach było po wszystkim – wyszłam stamtąd, ściskając w ręku trzy dokumenty: dwa uprawniały do dodatkowych racji żywnościowych, a trzeci do specjalnego transportu na Kaukaz".

To, że wcześniej Skrabinie bezustannie odmawiano pomocy i zbywano ją pod byle pretekstem, było jak najbardziej do przewidzenia, zważywszy na wszechobecne w czasie wojny zamieszanie i braki w zaopatrzeniu oraz na charakterystyczną dla systemu radzieckiego opieszałość urzędniczą. Ona sama postrzegała jednak swoją sytuację w perspektywie czysto ludzkiej i osobistej: „Sądzę, że Robinson Crusoe był szczęściarzem – napisała. – On przynajmniej dobrze wiedział, że jest na bezludnej wyspie i musi sobie radzić sam. Ale ja jestem pośród innych ludzi"[24].

15. TRUPOŻERSTWO I LUDOŻERSTWO

Przestępczość jest jednym z tych aspektów oblężenia, który nie był poruszany w tradycyjnej radzieckiej historiografii. Jak twierdził komisarz do spraw zaopatrzenia, Dmitrij Pawłow, leningradczycy byli zbyt „szlachetni", by podnosić z ziemi bochny chleba wypadające z ciężarówki trafionej przez pocisk, a przy tym „zazdrośnie chronili" drzewa w parkach przed wycinką na opał. Dawany przez nich przykład zaprzeczał „twierdzeniom zagranicznych pisarzy, którzy uznawali, że człowiek traci swoją moralność i staje się drapieżną bestią, gdy tylko silnie dotknie go głód. Jeśli miałoby to być prawdą, w Leningradzie powinna była zapanować anarchia"[1].

Wprawdzie w oblężonym mieście anarchia nie zapanowała, ale za to przeszła przez nie silna fala przestępczości, w tym zwłaszcza kradzieży i morderstw popełnianych w celu przywłaszczenia sobie czyjejś żywności albo kartek na nią, a wreszcie także kanibalizmu. Najpospolitszymi przestępstwami były bandyckie napady i rozboje uliczne. Jelena Koczina, wracając do domu w połowie grudnia 1941 roku ze sklepu z chlebem, zobaczyła, jak biegnie w jej kierunku nastolatek ubrany w szkolny mundurek jednej z miejskich zawodówek. Odsunęła się na bok, ale przebiegający koło niej chłopiec wyrwał jej z ręki chleb i pobiegł dalej, pozostawiając ją jak wrytą, wpatrzoną w puste dłonie. Kiedy wróciła do domu, dostała burę od sąsiadki za to, że nie schowała chleba pod paltem. Cztery dni później mąż Jeleny wdał się w bójkę z innym uczniem zawodówki o znalezioną skórkę od chleba:

„[Dima] natknął się dziś na dziecięce sanki załadowane chlebem. Sanki otaczał pięcioosobowy uzbrojony konwój. Za nimi posuwał się tłum. Wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w bochenki. Dima ruszył z tłumem. Pod sklepem sanki rozładowano. Ludzie rzucili się na puste skrzynki w poszukiwaniu okruchów. Dima znalazł na ziemi, wdeptaną w śnieg, sporą skórkę. Jakiś chłopaczek wyrwał mu ją z rąk. Zaczął ją

żuć ten podły zasmarkaniec, śliniąc się i mlaszcząc. W Dimę wstąpił demon. Chwycił chłopczyka za kołnierz i zaczął nim potrząsać, nie myśląc, co robi. Głowa malca dyndała na cieniutkiej szyjce, jak u szmacianego Pietruszki. Mimo to nadal poruszał szybko szczękami, oczy miał zamknięte. «Dosyć, dosyć wujku! Patrz!» – rozkrzyczał się nagle i szeroko otworzył usta”[2].

Uczniowie zawodówek, tacy jak ci dwaj, pojawiają się jako złodzieje w dziesiątkach analogicznych relacji[3]. Podobnie jak chłopscy uchodźcy rozlokowani na przedmieściach należeli oni do najbardziej zmarginalizowanych i zaniedbanych grup społecznych w Leningradzie. Na krótko przed wojną szkoły zawodowe – *riemieslennyje uczyliszcza* – należały do najmniej prestiżowych instytucji w całym systemie szkolnictwa. Miały przyuczać młodych ludzi ze wsi i małych miasteczek do pracy w fabrykach, zapewniając im na czas nauki wikt i opierunek. Po domknięciu pierścienia oblężenia uczniowie tych szkół zostali odcięci od swoich rodzin i znaleźli się na łasce i niełasce nierzadko opieszałych i mało sumiennych dyrektorów. Aleksiej Kosygin, komisarz przysłany z Moskwy do nadzorowania zbiorowej ewakuacji Drogą Życia, zauważył, że są oni wycieńczeni bardziej od innych ewakuowanych, wobec czego postanowił osobiście dokonać inspekcji w Szkole Zawodowej numer 33. Odkrył tam, że chłopcy mają wszy, śpią po dwóch albo trzech na jednym łóżku, nie mają pościeli ani poszewek na poduszki, a chorzy nie są w żaden sposób odseparowani od zdrowych. Jakby tego było mało, personel kuchenny systematycznie podkradał przeznaczoną dla nich żywność, pozostawiając im co najwyżej połowę przynależnych im racji. Jak napisał Kosygin w pełnym wściekłości liście do Żdanowa, powinno się natychmiast aresztować i postawić przed sądem całe kierownictwo i personel, a dodatkowo umożliwić przedstawicielowi uczniów bezpośrednie nadzorowanie pracy kuchni. Nie dysponujemy wprawdzie zbiorczymi danymi dotyczącymi śmiertelności w szkołach zawodowych, ale szacuje się ją na szokujące 95 procent[4].

Proceder kradzieży dokonywanych przez tysiące innych opuszczonych dzieci przebywających w Leningradzie został nieco przyhamowany po otwarciu, a następnie ewakuowaniu 98 nowych

sierocińców. Trafiały do nich jednak zwykle tylko te dzieci, które nie ukończyły jeszcze trzynastego roku życia. „Położenie czternasto- i piętnastolatków pozbawionych rodziców jest szczególnie trudne – oceniał autor jednego z raportów dla Żdanowa. – Nie przyjmuje się ich do domów dziecka, więc tłoczą się w pobliżu sklepów i piekarni, wyrywając z rąk kupujących chleb i inne produkty żywnościowe". Dalej raport stwierdzał, że personel miejskiego oddziału szkolnictwa odmawia wysyłania do sierocińców nawet młodszych dzieci, jeśli nie są one umyte, uznane za wolne od infekcji i nie posiadają wszystkich koniecznych dokumentów[5]. Znacznie poważniejszym zmartwieniem w oczach milicji było natomiast zagrożenie utratą kontroli nad tłumami gromadzącymi się przed sklepami z chlebem, co mogłoby się przerodzić w zwyczajną grabież. Choć dystrybucja żywności nie została nigdy w poważny sposób zakłócona, zdarzały się przypadki bliskie rozruchom, zwłaszcza w styczniu i lutym 1942 roku, kiedy to leningradczycy musieli już o świcie ustawiać się w długie kolejki, a często nie dostawali nawet odrobiny chleba. Pewnego styczniowego wieczoru Dmitrij Łazariew poszedł szukać żony, która wyszła ustawić się w kolejce o siódmej rano. Znalazł ją stojącą wśród mnóstwa innych ludzi przed sklepem z chlebem na Bolszym Prospekcie:

„Ludzi wpuszczano do sklepu po dziesięcioro naraz. W pewnym momencie, gdy nadeszła kolej następnej dziesiątki, wszyscy z tyłu zaczęli napierać na tych z przodu, chcąc włamać się do środka. Para milicjantów próbowała odepchnąć tłum od drzwi. Wreszcie zaczęli kłamać i obiecywać, że jak tylko wszyscy się cofną o kilka kroków, ludzie zostaną wpuszczeni do sklepu. Kiedy tłum rzeczywiście się cofnął, zaryglowali drzwi i ogłosili, że sklep został zamknięty, a wszyscy mogą iść do domu. Rozległy się krzyki i skargi – niektórzy nie jedli już od dwóch dni, inni mieli w domach wygłodzone dzieci".

Porządek przywrócono dopiero po tym, jak Łazariew i kilku innych mężczyzn poszło na tył sklepu i przekonało kierownika, by wydał racje dla kolejnych siedemdziesięciu osób[6]. W pierwszych dwudziestu siedmiu dniach stycznia NKWD odnotowało łącznie siedemdziesiąt dwa takie „ataki" dokonane przez zwykłych ludzi na sklepy, wozy i sanie z żywnością. Choć w jednym przypadku szabrownicy rzucali cegłami

w personel sklepu, zazwyczaj chodziło właśnie o kolejkowiczów, starających się dopchać jak najszybciej do lady, albo o niewielkie grupki (czasem uzbrojonych dezerterów, ale o wiele częściej kobiet albo uczniów zawodówek), przewracających sanie bądź wózki z zaopatrzeniem i uciekających z ich zawartością[7]. Jak stwierdza jeden z raportów z początku stycznia, typowy dla tego okresu:

„W sklepie z chlebem numer 318 podburzony przez nieznaną osobę tłum wdarł się do środka i zabrał saniami 100 kilogramów chleba. Kilku ludzi zdołaliśmy aresztować. W sklepie z chlebem numer 399 około 50 kilogramów chleba zostało zrabowanych przez tłum, ale nie aresztowano ani jednego szabrownika. Grupa ludzi napadła na wóz wiozący nową dostawę do sklepu z chlebem numer 318. W nocy 7 stycznia zauważono dwóch ludzi chowających się pod ladą sklepową. Odkryto, że mają przy sobie noże. Tego samego dnia został obrabowany sklep numer 20 na Gaza Prospekcie. Podobne wypadki zdarzyły się na Smolnym i w innych dzielnicach”[8].

W odpowiedzi na to przed sklepami zaczęto umieszczać więcej milicjantów, a transportom z dostawami nakazano zmieniać trasy przejazdu i poruszać się w eskorcie strażników[9].

Jedną z bardzo nielicznych pamiętnikarek, która przyznaje się do tego, że korzystała ze skradzionej żywności, jest Jelena Koczina. Jej obrzękły od puchliny wodnej mąż Dima zaczął kraść w połowie grudnia, posługując się naostrzoną laską, na którą nadziewał bochenki chleba w nieoświetlonym sklepie. Pewnego razu zauważyła to jedna z innych kolejkowiczek, która wyszła za nim ze sklepu i zagroziła mu, że na niego doniesie:

„«Dawaj połówkę, bo jak nie, to doniosę!» – szepnęła, ucapiwszy rękaw jego palta… Weszli do bramy, podsunął jej pod nos cały bochenek: «Masz, żryj!». Chwyciła żwawo, przysiadła na stopniu i zaczęła go łapczywie pożerać. Dima czas jakiś obserwował to w milczeniu, po czym usiadł obok niej i zabrał się do szarpania swojej połówki. Siedzieli tak ramię w ramię, przerzucając się obelgami, póki nie zjedli wszystkiego”.

Z kolei worek gryki wykradziony z fabrycznego magazynu w połowie stycznia umożliwił Koczinom powolne odzyskiwanie wagi, co starannie

ukrywali przed sąsiadami, celowo się nie myjąc. Jak zauważała Jelena, starając się częściowo usprawiedliwić, pracownice sklepów z chlebem były nie mniej nieuczciwe, a do tego „okrągłe jak bułeczki": „Za chleb mają wszystko, co im się zamarzy. Prawie wszyscy chodzą bez żenady w złocie i cennych futrach. Niektórzy nawet za ladą demonstrują przepyszne popielice i selskiny"[10].

Coraz częściej zdarzały się też morderstwa popełniane dla zdobycia żywności albo kartek na nią – w pierwszej połowie 1942 roku aresztowano za nie 1216 osób[11]. Leningradczycy najbardziej obawiali się napadów ze strony nieznajomych na pustej ulicy, ale przypadki odnotowane przez NKWD opisują raczej ludzi zabijających członków własnej rodziny, kolegów czy sąsiadów. Zarówno przestępcy, jak i ofiary bywali często nieletnimi w ciężkiej sytuacji życiowej. Typowym, i zarazem godnym współczucia, przykładem jest przypadek pewnego osiemnastolatka, który zabił siekierą swoich dwóch młodszych braci, w wieku dwóch i piętnastu lat, a został schwytany podczas próby zabójstwa także matki. W trakcie przesłuchania wyjaśnił, że przyłapany na drobnej kradzieży stracił pracę, a wraz z nią prawo do otrzymywania robotniczych racji żywnościowych, chciał więc wykorzystać kartki swoich braci. Kolejni dwaj nastoletni chłopcy, w wieku osiemnastu i piętnastu lat, zaatakowali i poważnie zranili sąsiadów – matkę z sześcioletnią córeczką, a zostali aresztowani podczas próby uzyskania chleba na skradzione im kartki. Jeszcze inny chłopiec, szesnastoletni operator maszyn fabrycznych, został zamordowany przez swojego kolegę z pracy w hotelu robotniczym po tym, jak pochwalił się mu, że zdołał właśnie wymienić na jedzenie kartki z kilku ostatnich dni[12].

Wielu innych przestępstw z pewnością nie odnotowano, ponieważ w najgorszym okresie zimy nawet milicja częściowo przestała funkcjonować. 10 lutego szef leningradzkiego NKWD, P. N. Kubatkin, poprosił przełożonych w Moskwie o tysiąc nowych ludzi do pilnowania fabryk w mieście, gdyż w jego obecnym zespole, składającym się teoretycznie z 2800 osób, 152 ludzi zmarło z „wycieńczenia", 1080 znajdowało się w szpitalu, a co najmniej setka dziennie zgłaszała się

jako chora[13]. Kuratorka pałacu w Pawłowsku, Anna Zielenowa, do której obowiązków należało między innymi wyszukiwanie antyków znajdujących się w prywatnych rękach i umieszczanie ich pod kuratelą oficjalnych instytucji, udała się pewnego razu do mieszkania jakiejś (podobno wdzięcznej) kolekcjonerki, a po wyjściu zastała na półpiętrze schodów milicjanta, który jej towarzyszył, rozpartego na krześle, ale już martwego[14]. Inne relacje zaświadczają o rozpowszechnionej korupcji i stosowaniu odpowiedzialności zbiorowej: „Jeśli odkryto, że skradziono chleb – wspominał pewien powojenny emigrant – zganiono pięcioro ludzi i wszystkich ich za to rozstrzeliwano, niezależnie od tego, czy byli w to zamieszani, czy też nie”[15].

Mimo to z relacji tych, którzy przeżyli pierwszą zimę w oblężeniu, wyłania się ogólny obraz ludzi, którzy obawiali się nie tyle bandytów czy morderców, ile ciszy, pustki i odosobnienia. Jedenastoletnia Angielina Kupajgorodska przetrwała ten okres w samotności i izolacji rodzinnego mieszkania nad Fontanką, ponieważ oboje jej rodzice, inżynierowie chemicy, zmuszeni byli przenieść się na stałe do swoich zakładów pracy. Siedemdziesiąt lat później przyznaje, że przeżyła tylko dzięki regulaminowi spisanemu dla niej przez ojca na małym skrawku papieru: co dzień miała się myć i opróżniać kubeł na nieczystości, nigdy nie wolno jej było odbierać więcej niż jednej dziennej racji żywnościowej naraz, regularnie miała też chodzić na pocztę i sprawdzać, czy jacyś krewni nie przesłali jej pieniędzy. Pamięta, że wychodzenie na zewnątrz ją przerażało, ale nie z powodu obaw przed przestępcami – tak naprawdę dowiedziała się, że takowi istnieli, dopiero długo po wojnie, z późniejszych lektur. W tamtym czasie czuła się po prostu „samotna w wielkim mieście, absolutnie samotna. Szłam do sklepu, a potem z powrotem, prosto na nasze podwórze, wspinałam się na schody i wchodziłam do drzwi mieszkania. Jeśli ktoś chciałby mi coś zrobić, mógłby mnie przewrócić jednym małym paluszkiem. Ale nigdy nie spotkałam żadnej żywej duszy”[16]. Jelena Koczina, czekając, aż mąż wróci do domu z jednej ze swoich wypraw po kradziony chleb, zwykła schodzić na półpiętro i nasłuchiwać jego kroków: „Z dołu parowała cisza i osiadała na schodach. Plunęłam w studnię klatki

i usłyszałam donośne pacnięcie na dole. Długo stałam w ciemności, plułam i słuchałam”[17].

Bodaj najbardziej znanym ze wszystkich przestępstw i zbrodni szerzących się podczas oblężenia – a przy tym najbardziej symptomatycznym dla desperacji leningradczyków – był kanibalizm. Poetka Olga Bergholc usłyszała o tym po raz pierwszy od znajomego psychiatry:

„Niedawno Prendel powiedział nam, że wzrasta liczba przypadków zjadania martwych ciał. W maju [1942 roku] w jego szpitalu odnotowano piętnaście takich przypadków, w porównaniu z jedenastoma z kwietnia. Musiał wówczas – i wciąż musi – wydawać opinię specjalisty co do tego, czy kanibale są odpowiedzialni za swoje czyny. Kanibalizm – to fakt. Powiedział nam o pewnej parze kanibali, która najpierw zjadła małe ciałko swojego dziecka, a następnie zwabiła w pułapkę troje kolejnych dzieci, po czym zabiła je i zjadła (…). Z jakiegoś powodu to, co mówił, wydało mi się zabawne, naprawdę zabawne, zwłaszcza gdy próbował ich usprawiedliwiać. Powiedziałam: «Ale ty nie zjadłeś swojej babci!». I odtąd nie byłam już w stanie traktować tych jego opowieści o kanibalach poważnie. To wszystko jest takie odrażające – kanibale, podziurawione dachy, okna bez szyb, bezsensownie niszczone miasta. O tak, to przecież heroizm i romantyzm wojny!”[18].

Do momentu opublikowania w roku 2004 milicyjnych rejestrów z czasów oblężenia świadectwa o wykorzystywaniu ludzkiego mięsa jako pokarmu miały charakter wyłącznie pogłosek – w które jednak ówcześni leningradczycy mocno wierzyli – o dzieciach porywanych na ulicy albo też relacji poszczególnych pamiętnikarzy o znajdowaniu trupów pozbawionych nie tylko ubrań, ale także łydek czy pośladków. Drastyczny opis młodej pary zwabionej do mieszkania, które staje się rzeźnią, podawany jako fakt przez Harrisona Salisbury’ego w jego *The 900 Days* (900 dni), po bliższym zbadaniu okazuje się tylko fragmentem zaczerpniętym z powieści wydanej – prawdopodobnie z inspiracji nazistowskich propagandzistów – na terenie okupowanej Ukrainy[19].

Również dla większości ówczesnych leningradczyków kanibalizm był tematem wziętym raczej z drugorzędnych horrorów aniżeli znanym z bezpośredniego doświadczenia. „Na placu Pokrowskim – napisał nauczyciel geografii Aleksiej Winokurow – wpadłem na tłum ludzi wpatrujących się w milczeniu w okaleczone niezdarnymi ruchami ciało jakiejś młodej, pulchnej kobiety. Kto i po co to zrobił? Czy to dowód na uporczywe pogłoski o kanibalizmie?”[20] Kiedy jedna z raczej zdrowo wyglądających znajomych Dmitrija Lichaczowa nie wróciła do domu po tym, jak poszła pod jakiś dziwny adres ubić transakcję wymienną, zastanawiał się, czy przypadkiem nie zamordowali jej owi złowrodzy handlarze oferujący na ulicznym targu niewiadomego pochodzenia mielone „kotlety”[21]. Udawszy się do swojej fabryki, by odebrać należną jej wypłatę, Olga Grieczina zauważyła góry metalowych opiłków narosłe wokół tokarek i spytała, co też się stało z ich starszą sprzątaczką, do której wszyscy zwracali się z czułością „ciociu Nastio”. Powiedziano jej, że została rozstrzelana, co Grieczina początkowo potraktowała jako żart. „Ale nie, to jednak prawda! Zjadła swoją córkę – ukryła ją pod łóżkiem i odkrawała kawałek po kawałku. Zastrzeliła ją milicja. W tych dniach nie staje się przed sądem”[22].

Władze miasta były w pełni informowane przez NKWD, które w szczegółach opisało pierwszych dziewięć przypadków „wykorzystywania ludzkiego mięsa jako żywności” w swoim raporcie o sytuacji w mieście z 13 grudnia 1941 roku. Pewna matka udusiła osiemnastomiesięczną córeczkę, aby nakarmić nią siebie i trójkę starszych dzieci; jakiś dwudziestosześciolatek, zwolniony z fabryki opon, zamordował i zjadł swojego osiemnastoletniego współlokatora; inny robotnik, pracujący w zakładach metalowych (a przy tym członek partii), wraz z synem zabił młotkiem dwie kobiety z obozowiska dla uchodźców, po czym ukrył ich rozćwiartowane ciała w szopie; bezrobotny hydraulik zabił żonę, aby nakarmić ich nastoletniego syna i siostrzenice, a trupa trzymał w ukryciu w ubikacjach hotelu robotniczego Lenenergo[23]. Dziesięć dni później następny raport donosił o kolejnych trzynastu przypadkach: bezrobotny osiemnastolatek zamordował siekierą babcię, po czym ugotował i zjadł jej wątrobę oraz płuca; inny siedemnastolatek wykradł z cmentarza

niepochowane jeszcze ciało i przemielił je w domowej maszynce do mięsa; jakaś sprzątaczka zabiła swoją roczną córeczkę i nakarmiła nią drugie, o rok starsze dziecko[24]. Również pośród zdesperowanych ludzi uciekających się do jedzenia ludzkiego mięsa jednymi z pierwszych byli pod wieloma względami zaniedbani uczniowie *riemieslennych uczyliszcz*. W Szkole Zawodowej numer 39 przy ulicy Mochowej „uczniowie pozostawieni byli sami sobie. Nie mieli żadnego nadzoru, a w grudniu nie wydano im także żadnych kartek na żywność. Przez cały grudzień jedli mięso wyłapywanych i zabijanych kotów i psów. 24 grudnia uczeń Ch. zmarł z niedożywienia, a jego ciało zostało częściowo wykorzystane przez pozostałych uczniów jako pokarm. 27 grudnia zmarł drugi uczeń W. i także jego ciało wykorzystano do zjedzenia. Jedenastu ludzi aresztowano za kanibalizm, wszyscy przyznali się do winy. Dyrektor szkoły Leimer oraz komendantka Płaksina, winni pozostawienia całej tej grupy uczniów bez nadzoru oraz bez zapewnienia im środków na przeżycie, zostali postawieni w stan oskarżenia o przestępstwa kryminalne”[25].

Łącznie w grudniu milicja aresztowała za kanibalizm jedynie 26 ludzi, ale już w styczniu liczba ta wystrzeliła w górę do 356, a w lutym jeszcze wyżej, bo do 612. W marcu i kwietniu spadła o połowę, do 300 osób, by znów nieco wzrosnąć w maju, a wreszcie spadać gwałtownie przez cały czerwiec i lipiec[26]. Do grudnia 1942 roku, kiedy proceder ostatecznie wygasł, aresztowano łącznie 2015 „kanibali”[27].

W języku rosyjskim istnieje ważne z moralnego punktu widzenia rozróżnienie pomiędzy *trupojedstwem* – „zjadaniem trupów” – a *ludojedstwem* – „ludożerstwem”, czyli zabijaniem ludzi w celu ich zjedzenia. Pomimo opisywanych w raportach milicyjnych ponurych przypadków zabijania członków własnej rodziny, to właśnie ta pierwsza praktyka była o wiele bardziej rozpowszechniona (na przykład spośród trzystu osób „wykorzystujących ludzkie mięso jako pokarm” aresztowanych w kwietniu 1942 roku tylko czterdzieści cztery były mordercami)[28]. Przestępczość zorganizowana w tym względzie była niezwykle rzadka: raporty NKWD wymieniają zaledwie jeden taki przypadek – sześciu młodych mężczyzn, wśród nich trzech

pracowników kolei, którzy zwabili w pułapkę kolejno trzynaście ofiar upatrywanych głównie pod sklepami z chlebem. Najpierw składali im fikcyjne oferty transakcji wymiennej, a następnie, po zaprowadzeniu do jakiegoś mieszkania, ogłuszali uderzeniem w głowę[29]. Kanibalizm był nieco mniej rozpowszechniony w centrum miasta niż na jego obrzeżach, z reguły uboższych, gorzej patrolowanych przez milicję, o licznych, coraz bardziej przepełnionych cmentarzach. Najwięcej aresztowań dokonano w odległych od centrum dzielnicach Primorskiej i Krasnogwardiejskiej, a także w przemysłowej dzielnicy Wyborska Strona; najmniej natomiast w dzielnicy Smolnej, w której mieściła się główna siedziba partii[30]. 22 grudnia milicja patrolująca cmentarz Serafimowski w Nowej Dieriewni zatrzymała dwie kobiety z workami, w których znaleziono ciała trójki niemowląków. Przesłuchanie wykazało, że jedna z nich była żoną żołnierza wysłanego na front, druga zaś żoną dozorcy, i że obie planowały nakarmić zawartością worków swoje córki, w wieku odpowiednio osiemnastu miesięcy i szesnastu lat. Następnego dnia na tym samym cmentarzu przyłapano na gorącym uczynku dwóch kolejnych złodziei ciał – robotnika fabrycznego i stolarza – oni także zamierzali dać jeść dzieciom[31]. Pewnego czterdziestotrzyletniego bezrobotnego, wraz z żoną i trzynastoletnim synem, aresztowano za „systematyczne wykradanie" ciał ze szpitalnej kostnicy, z kolei dwudziestoczteroletnią pielęgniarkę za przywłaszczanie sobie amputowanych kończyn zabieranych z sali operacyjnej[32].

Inne łatwo dostępne trupy należały do kolegów z pracy albo krewnych, którzy właśnie zmarli z głodu. Dla tej akurat odmiany *trupojedstwa* typowy był pewien rodzaj kooperacji, o czym zaświadcza kilka przypadków ze stycznia i lutego. W fabryce Pierwszego Maja dziewięciu mężczyzn, wszyscy mieszkający w tym samym hotelu robotniczym, wspólnie zjadło ciało kolegi z pracy[33]. W fabryce Lenina jedna z robotnic podzieliła się z dwiema koleżankami ciałem swojego jedenastoletniego syna. Pewna sprzątaczka oddała część ciała zmarłego męża bezrobotnej sąsiadce. Elektryk oraz zastępca dyrektora w jednej z publicznych łaźni wspólnie zjedli trupa palacza kotłowego[34], a trzy

pracownice obrony cywilnej, z których jedna była członkinią partii, rozdzieliły między siebie ciało, które znalazły w zabezpieczanym budynku uszkodzonym przez bombardowanie[35].

Dmitrij Łazariew zetknął się z opisywaną praktyką, wysłuchując relacji z pierwszej ręki o propozycji udziału w takim właśnie przedsięwzięciu:

„Przyszła do nas Walentina Antonowna (przyjaciółka Niny [żony Łazariewa]). Trzęsąc się z podniecenia, opowiedziała, jak to wczoraj jakaś kobieta usilnie starała się wciągnąć ją w odrażający interes. Wcześniej tego dnia kilka pracownic obrony cywilnej dokonujących rozbiórki budynku na [Wyspie] Kriestowskiej zostało przygniecionych spadającymi belkami i zginęło. Ich ciała zabrano do opuszczonej szopy stojącej obok mieszkania, w którym samotnie żyje ta właśnie kobieta. Zaproponowała ona Walentinie Antonownie, żeby razem zabrały ciało jednej z zabitych dziewczyn do owego mieszkania, tam je ugotowały, część zjadły, a część zasoliły na później. Powiedziała, że ma już drewno na opał, ale sama nie zdoła wszystkiego zrobić. Na zachętę podała przykład swojej siostry, która już od trzech tygodni je ludzkie mięso, dzięki czemu odzyskała siły i czuje się o wiele lepiej. Kategorycznym tonem stwierdziła, że nie chce słyszeć o żadnym wahaniu, że jest to sprawa życia lub śmierci i że następnego ranka po nią przyjdzie i razem pójdą to zrobić".

Walentina Antonowna nie spała całą noc. W jednym i tym samym momencie z oburzeniem odrzucała nawet możliwość rozważania takiej propozycji, a zarazem przekonywała samą siebie, patrząc na śpiącego obok dorosłego syna, że przez wzgląd na niego powinna się zgodzić. Potem jednak zaczynała wyobrażać sobie w szczegółach, co tak naprawdę będzie to za sobą pociągać, i aż się wzdrygała, krzycząc w myślach: „Nie! Wszystko, tylko nie to! Wtedy chyba stracę zmysły!". Ale zanim nastał ranek, jeszcze raz utwierdziła się w przekonaniu, że nie było to przecież morderstwo i że te dziewczyny tak czy owak były już martwe, i jeśli tego nie zrobi, jej wysoki i postawny syn wkrótce umrze z głodu. Z tą myślą zasnęła, a kiedy zbudziła się rano, czekała na zapowiedzianego gościa. Jednak gdy ta kobieta wreszcie się zjawiła, Walentina Antonowna zareagowała, dość nieoczekiwanie dla samej

siebie, gwałtowną odmową. Kobieta sobie poszła, głośno i szpetnie ją przeklinając[36].

Łącznie, spośród wszystkich aresztowanych za „wykorzystywanie ludzkiego mięsa jako pokarmu", 64 procent stanowiły kobiety, 54 procent – bezrobotni albo „bez stałego zatrudnienia", a ponad 90 procent niepiśmienni albo legitymujący się tylko podstawowym wykształceniem. Zaledwie 15 procent stanowili „rdzenni mieszkańcy" Leningradu, a tylko dwa procent było już wcześniej notowanych przez milicję. Typowym leningradzkim „kanibalem" nie był zatem ani legendarny Sweeney Todd, ani bestialska szumowina społeczna z radzieckiej historiografii, lecz uczciwa, acz słabo wykształcona gospodyni domowa z przedmieść, usiłująca zdobyć jakiekolwiek produkty białkowe, by uratować własną rodzinę.

Co godne odnotowania, leningradzki samorząd lekarski podjął co najmniej jedną próbę zaklasyfikowania tych, którzy zniżyli się do jedzenia ludzkiego mięsa, jako umysłowo chorych. 20 lutego 1942 roku szef służb medycznych Frontu Leningradzkiego zwołał specjalne zebranie z udziałem siedmiu wybitnych psychiatrów – naukowców akademickich, dyrektora szpitala psychiatrycznego, naczelnego psychiatry sądowego i przedstawiciela wojskowej służby medycznej – na którym miano zdecydować, czy zjadający ciała mogą, czy też nie mogą być pociągani za swoje czyny do odpowiedzialności karnej. Opinia wydana przez to grono była, z prawnego punktu widzenia, wewnętrznie sprzeczna: zjadacze ciał byli wprawdzie zdrowi na umyśle, ale zarazem nie byli zatwardziałymi przestępcami. Jeden z uczestników zgłosił zdanie odrębne, argumentując, że żadna zdrowa na umyśle osoba z definicji nie może uciec się do kanibalizmu, ale ci, którzy to czynią, powinni tak czy inaczej stawać przed sądem: „To są ludzie nieprzystosowani społecznie i niebezpieczni! Musimy rozprawiać się z nimi surowo!". W konkluzji stwierdzono, że kanibale byli w większości zdrowi na umyśle, ale „prymitywni, na niskim poziomie moralnym i umysłowym". I choć wszyscy oni byli niebezpieczni, „okresy odosobnienia" wobec nich powinny być orzekane indywidualnie w stosunku do każdego przypadku i z uwzględnieniem okoliczności

danej zbrodni („czy jest to czynne, czy bierne zjadanie trupów"), a także biorąc pod uwagę osobowość winowajcy[37].

W praktyce jednak wszyscy kanibale – zdrowi czy chorzy na umyśle, mordercy czy nieszkodliwi „zjadacze trupów" – traktowani byli jako przestępcy. A ponieważ w Kodeksie karnym nie istniał żaden zapis traktujący o kanibalizmie, przypadki te rozpatrywano z niezwykle pojemnego paragrafu o „bandytyzmie" (artykuł 59, paragraf 3 Kodeksu karnego). Do chwili zwołania wyżej wzmiankowanego zebrania psychiatrów przed sądami wojskowymi stanęło już 554 kanibali, z czego 329 rozstrzelano, a 53 skazano na dziesięcioletnie kary więzienia. Co najmniej kolejnych 45 zmarło (prawdopodobnie z głodu) w tymczasowym areszcie[38]. Ale choć oficjalnie nie czyniono rozróżnienia między mordercami a zjadaczami ciał, owa gradacja kar mogłaby sugerować, że w praktyce ci drudzy karani byli stosunkowo lżej. Spośród 1913 kanibali, którzy doczekali się procesów do początku czerwca, sądy wojskowe orzekły egzekucję wobec 586, a kary więzienia w wysokości od pięciu do dziesięciu lat wobec 668[39]. Nie jest jasne, co się stało z pozostałymi 659. Możliwe, że po prostu czekali jeszcze na proces, ale istnieje też pewna szansa (większa chyba niż pobożne życzenia), że skoro typową osobą „wykorzystującą ludzkie mięso jako pokarm" była samotna kobieta z dziećmi na utrzymaniu, nigdy wcześniej niekarana, wobec części winowajców wnoszono prośby o uniewinnienie i łaskę. Byłoby niejaką pociechą zakładać, że być może nie potraktowano ich odmownie.

16. ANTON IWANOWICZ JEST WŚCIEKŁY

Ludzie chodzący Newskim Prospektem zimą przełomu lat 1941 i 1942 mieli wątpliwą przyjemność oglądania całej serii plakatów zapowiadających film muzyczny, który miał wejść do kin w momencie wybuchu wojny. Plakaty te rozklejone na ulicznych lampach i stanowiące absurdalny, niestosowny wręcz ślad po znowu nie tak dawnych czasach pokoju, ogłaszały wielkimi czarnymi literami tytuł filmu: *Anton Iwanowicz jest wściekły*.

A jak wściekli byli sami leningradczycy i dlaczego ich wściekłość nigdy nie przerodziła się w otwarty bunt? Z pewnego punktu widzenia pytanie to jest mało poważne – leningradczycy, podobnie jak inni obywatele Związku Radzieckiego, odczuwali lojalność jeśli nie wobec bolszewizmu, to z całą pewnością względem ojczyzny. Nienawidzili i bali się Niemców, a wreszcie byli zbyt wychudzeni i wycieńczeni, by mieć siły na coś więcej ponad walkę o zwykłe przeżycie. Z innego punktu widzenia kwestia ta pozostaje jednak zagadką. Mowa tu przecież o setkach tysięcy ludzi, którzy już wcześniej, przed wojną, doznali zubożenia i bezpośrednich represji ze strony swojego rządu, a teraz niemal bez wyjątku albo sami stali na krawędzi śmierci głodowej, albo musieli bezradnie przyglądać się śmierci bliskich i przyjaciół. Co więcej, hipokryzja i nierówności systemu radzieckiego kłuły ich teraz w oczy bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ludzie widzieli przecież światła palące się niemal bez przerwy w budynkach rządowych, rozkwitającą wszędzie korupcję czy dobrze odżywione dzieci swoich przełożonych. Moskwa była daleko, szeregowi milicjanci równie wycieńczeni jak cała reszta mieszkańców – cóż więc mieli do stracenia? W końcu to właśnie niedobory chleba, katastrofalnie prowadzona wojna i niekompetencja władz doprowadziły do wybuchu rewolucji lutowej w roku 1917. Dlaczego historia nie powtórzyła się więc po kolejnym ćwierćwieczu?

Na taką powtórkę z całą pewnością liczyli naziści. Ich przedwojenne przeświadczenie o tym, że już sama wieść o inwazji doprowadzi do niemal natychmiastowego wybuchu powstania ludowego, utrzymywało się jeszcze przez dłuższy czas. Przede wszystkim znacznie przeszacowali oni skalę rosyjskiego antysemityzmu; każda, najmniejsza nawet wzmianka mogąca o nim świadczyć, była nagłaśniana ponad miarę w traktujących o sytuacji w „Peterburgu" raportach zarówno SS, jak i wywiadu wojskowego. Nadto niemiecka propaganda rosyjskojęzyczna okazała się zdumiewająco nieudolna, niemal jednocześnie potępiając „żydowsko-stalinowski" rząd radziecki i chełpiąc się tym, jak niezwyciężony i pełen okrucieństwa jest Wehrmacht. („Zjedzcie boby, szykujcie groby" czy „Żarcia nie macie, Leningrad oddacie!")[1]. Wywiad wojskowy zaczął korygować ten kurs dopiero jesienią, przyznając, że choć „kwestia żydowska" była przedmiotem „coraz częstszych i żywszych dyskusji" wśród leningradczyków, brakowało „jakichkolwiek dowodów na istnienie zorganizowanego czy czynnego oporu wobec komunistycznych władz". Jak zauważano, ulotek zrzucanych nad miastem bynajmniej nie podawano sobie z ręki do ręki, lecz ukrywano do wykorzystania w przyszłości, na wypadek, gdyby miasto poddano. Kolejny raport, powstały dwanaście dni później, stwierdzał, że choć nastroje wśród ludności były pełne rozgorączkowania i zaniepokojenia, „rząd czerwonych, przy pomocy terroru i ożywionej propagandy, trzyma ludność pod ścisłą kontrolą, więc obecnie nie można liczyć na wybuch zorganizowanego powstania przeciwko nieprzyjacielowi"[2].

Służby wywiadowcze SS – Sicherheitsdienst – dłużej trwały przy pobożnych życzeniach, donosząc ochoczo o każdej ponurej pogłosce czy antysemickim żarcie[3]. W samym środku ciężkiej zimy oba wywiady zaczęły już jednak coraz mocniej uświadamiać sobie fakt, że brutalność nazistowskiej okupacji jedynie wzmacnia opór zwykłych Rosjan przeciwko niej. „Dotychczas schwytani przez nas dezerterzy rozróżniali nazistów od Niemców sprzeciwiających się hitleryzmowi – raportowano w lutym do Sicherheitsdienst – ale teraz wszyscy nazywają Niemców «barbarzyńcami i faszystami», którzy muszą zostać zniszczeni"[4]. Do maja 1942 roku, kiedy to wywiad w Leningradzie musiał przestawić się

na raportowanie o generalnej sytuacji na terytoriach okupowanych, porzucono już wszelkie nadzieje na jakiekolwiek powstanie.

Niemcy nie mylili się jednak, zakładając, że leningradczycy są wściekli. Trudno jest nam ocenić nastroje panujące wśród całej ludności, ale poszczególne pamiętniki pokazują, że leningradczycy wściekali się tyleż na niekompetencję, bezduszność, hipokryzję i nieuczciwość swoich własnych urzędników, co na odległego i bezosobowego nieprzyjaciela. Jak na ironię, najwięcej dowodów świadczących o tym, jak zwykli ludzie postrzegali władze, znajdujemy w archiwach samego reżimu. W odróżnieniu od wielu innych dyktatorów Stalin i jego aparatczycy nigdy nie osiągnęli bowiem tego stopnia samozadowolenia, by uznać, że są powszechnie uwielbiani – wręcz przeciwnie, tropili spiski niemal za każdym rogiem. Pomijając jednak aspekty paranoiczne, trzeba odnotować, że raporty słane do Żdanowa co kilka dni przez szefa „wydziału instruktażu" miejskiego Komitetu Partii były niezwykle wyrafinowane i łączyły strzępy zasłyszanych rozmów w dość przekrojowe podsumowania kwestii zajmujących leningradczyków w danym momencie oblężenia. Odnotowywano w nich wiek, płeć, pochodzenie etniczne i status społeczno-ekonomiczny każdego rozmówcy, ale szczegóły te przekazywano dalej do NKWD jedynie wówczas, gdy wyrażane przezeń uwagi krytyczne miały charakter otwarcie polityczny. Cenzorzy wojskowi przechwytujący prywatne listy słane na front zaznaczali sobie odsetek tych, które zawierały „negatywne komunikaty" (wzrósł on z sześciu–dziewięciu procent na początku stycznia 1942 roku do dwudziestu procent pod koniec tegoż miesiąca[5]). Listy skierowane do Żdanowa, nadsyłane przez mieszkańców miasta, grupowano według tematyki, a ich napływ w każdym miesiącu wyliczano osobno dla poszczególnych kategorii[6]. Choć rozkazy Żdanowa, by rozwiązać ten czy ów problem sygnalizowany mu w ten sposób przez ludność miasta, pozostawały często na papierze, nie można powiedzieć, że był on niedoinformowany.

Poparcie dla władz rosło bądź spadało w zależności od zmian wielkości racji żywnościowych i postępów na froncie. Fala patriotyzmu, która ogarnęła Leningrad na wieść o niemieckiej inwazji, nie utrzymała

się zbyt długo, ustępując miejsca strachowi i pogardzie już na jesieni. Wtedy wszystkim wydawało się, że miasto lada chwila padnie, a partyjna wierchuszka pospiesznie ewakuowała się drogą lotniczą. Archiwista Gieorgij Kniaziew tak napisał 29 listopada 1941 roku o jednej ze swoich koleżanek:

„Nie możemy bez obrzydzenia wspominać obywatelki Napałkowej. Okazuje się, że jeszcze w przeddzień agitowała jakiegoś «biadolącego inteligenta», mówiąc, że każdy leningradczyk powinien być czujny i w każdej chwili gotów odeprzeć wroga… Na kilka godzin przed odlotem nie wspomniała ani słowem, że opuszcza Leningrad, kolegów i swych towarzyszy z partii (…). Tak się urządzają ci, co nawołują innych do poświęcenia, bohaterstwa i odwagi…”[7].

Jesień roku 1941 była również czasem kulminacji nastrojów antysemickich, wymierzonych w całkiem pokaźną, bo stanowiącą przed wojną nieco ponad sześć procent ogółu ludności mniejszość żydowską w Leningradzie (choć, jak już wspomniano, nigdy nie osiągnęły one rozmiarów przewidywanych przez Niemców). Irina Zielenska, kierowniczka w elektrowni Lenenergo, była wstrząśnięta, doświadczając 1 września w stołówce zakładowej „przypływu antysemityzmu” ze strony jakiejś „prymitywnej, wulgarnej dziewczyny”. Martwiła się też, że wszędzie wokół spotyka się „szeptanie po kątach, krzywe spojrzenia rzucane członkom Partii, nieufność i wrogość – to wszystko może doprowadzić do straszliwego wybuchu”[8]. W Muzeum Rosyjskim, według Anny Ostroumowej-Lebiediewej (która sama miała wyraźnie antysemickie poglądy), „personel był pełen oburzenia na zachowanie Żydów (…). Kiedy na zebraniu apelowano o zgłaszanie się ochotników, przemawiali oni bardzo żarliwie i w duchu patriotycznym, ale w praktyce wszystkim bez wyjątku udawało się znaleźć dla siebie ciepłe, bezpieczne gniazdka”[9]. W mieście krążył nawet żart dotyczący masowej ewakuacji przedstawicieli leningradzkiej inteligencji do Azji Środkowej: zamiast atakować Niemców, Żydzi szturmują Taszkient.

Poparcie dla władz wzrosło w grudniu, wraz z odparciem niemieckiej ofensywy pod Moskwą, ale spadło ponownie w styczniu 1942 roku, kiedy to radzieckie działania podejmowane w celu przerwania oblężenia spaliły na panewce, a obiecane wcześniej zwiększenie racji

żywnościowych nigdy nie nastąpiło. Samą zapowiedź takiego zwiększenia, ogłoszoną 25 grudnia, przyjęto z szaloną radością: „Dadzą nam więcej chleba! Mama i ja popłakałyśmy się z radości (...), nie sposób opisać, jak bardzo jesteśmy szczęśliwe!" – napisała pewna kobieta do męża walczącego na froncie[10]. Wiera Inbier po raz pierwszy usłyszała o tym od swojej pokojówki, która widziała jakiegoś człowieka wybiegającego ze sklepu z chlebem i na przemian to śmiejącego się, to płaczącego, to wreszcie łapiącego się za głowę[11]. Zapowiedź ta okazała się jednak tylko chwytem propagandowym; w rzeczywistości do dystrybucji trafiało odtąd nawet mniej żywności niż wcześniej. O godzinie szóstej rano 29 grudnia Iwan Żylinski ustawił się w kolejce przed znienawidzonym sklepem numer 44 przy ulicy Moskiewskiej, do którego był przypisany, w nadziei skorzystania z dostawy amerykańskich puszek mięsnych, która miała nastąpić właśnie tego dnia. Kiedy wraz z nastaniem dnia, to jest trzy i pół godziny później, sklep wreszcie otwarto, okazało się, że puszek wystarczy tylko dla dwustu osób. A ponieważ on miał w kolejce numer 233, zorientował się, że dalsze oczekiwanie nie ma sensu i wrócił do domu z pustymi rękoma. Następnego dnia wraz z żoną zjedli więc tylko jeden posiłek składający się z pięćdziesięciu gramów chleba i porcji „zupy" zrobionej z gorącej wody, okruszków i oleju z nasion bawełny. Dwa dni później, w Nowy Rok, kolejki przed sklepami zaczęły się ustawiać już o godzinie pierwszej w nocy, a z każdą kolejną godziną liczba ludzi i chaos tylko się powiększały. Żylinski napisał:

„Numery poszczególnych kolejkowiczów są zapisywane i im wręczane. Wtedy oni, mając już je w ręku, w pośpiechu idą do domów, żeby się ogrzać. Ale ci, którzy dochodzą później, czasem wkręcają się do kolejki, wypisując sobie nowe numerki (...). Nadchodzi szósta rano, a sklep wciąż jest zamknięty. Podobnie jest także o siódmej, a potem o ósmej. Wreszcie o dziewiątej, jeśli kierowniczce wreszcie się zachce, otwiera drzwi, a wówczas wszyscy pchają się naraz do środka, wypełniając szczelnie cały sklep. Szyby przed kasami są porozbijane, lady porozpychane na boki i tak dalej.

Przechodnie na Newskim Prospekcie, zima 1941 roku.

Kierowniczka to kobieta, która kiedyś sprzedawała warzywa na targu, prosto z naręcznego kosza (...). Jedyne, czym się wyróżnia – przynajmniej ja tak to oceniam – to jej legitymacja partyjna. Zamiast spróbować poprawić zaopatrzenie, spędza cały czas na wydawaniu żywności znajomym na zapleczu sklepu. Cały 25 posterunek milicji odbiera racje z tyłu sklepu, bez konieczności stania w kolejce. Tam też smażą oni mięso pochodzące z ostatniej dostawy i popijają je białym winem (...). Sklep znajduje się przy bocznej uliczce i nigdy nie zagląda tu żadna inspekcja. Ale co taki inspektor mógłby zrobić? Sam chodzi głodny i sprzedałby własnego ojca za kawałek mięsa”[12].

Również i tego dnia Żylinski nie zdołał odebrać jakiegoś jedzenia, mimo że stał w kolejce od godziny piątej rano aż do siódmej wieczorem.

Wpływ, jaki tego rodzaju doświadczenia wywierały na opinię publiczną, był całkowicie przewidywalny. „O ile w pierwszych dniach po zapowiedzianym wzroście norm chleba nastroje wśród ludności miasta

poprawiły się – odnotowywał partyjny raport z 9 stycznia – o tyle ostatnio duża liczba ludności wykazuje zniechęcenie i przygnębienie. Wynika to z faktu, że nie wydano jeszcze żadnych zapasów na kartki styczniowe, a wiele osób nie otrzymało nawet mięsa, cukru ani zboża za ostatnią dekadę grudnia". Dalej zacytowano typową wówczas wymianę zdań między dwiema kobietami czekającymi przed jednym ze sklepów na Międzunarodnym Prospekcie:

„– W radiu ciągle słyszymy, że ludność Leningradu mężnie i heroicznie znosi wszelkie trudności. Ale ile nas to męstwo kosztuje? Dzień w dzień coraz więcej ludzi umiera z głodu! Śmierć – oto kres naszego męstwa. Czy władza wie, ilu ludzi tu umiera?

– To jasne, że nasz rząd nie ma nas czym wyżywić. Zwykli ludzie umierają, ale w rządzie nie umiera nikt. Oni są dobrze odżywieni i wcale się o nas nie troszczą".

Jak zauważał autor raportu, kolejkowicze stojący w pobliżu nie próbowali nawet polemizować z opiniami obu kobiet, lecz przysłuchiwali się im w pełnej aprobaty ciszy. Wkrótce potem pojawił się kierownik sklepu, który ogłosił, że nie ma już więcej jedzenia, na co zebrany tłum zareagował gniewnymi krzykami. Wtedy kierownik kazał im iść do rady dzielnicowej, gdzie znajdują się „ludzie, którzy powinni coś z tym zrobić".

Równie iluzoryczne okazało się zwiększenie o pięćdziesiąt gramów nierobotniczej racji żywnościowej od 24 stycznia. Choć do tego czasu, dzięki uruchomieniu dostaw przez Drogę Życia, zaopatrzenie w mąkę wyraźnie się poprawiło, zbiegło się to z poważnymi przerwami w dostawach bieżącej wody do piekarń, w wyniku czego przez kilka dobrych dni na przełomie stycznia i lutego do dystrybucji niemal w ogóle nie kierowano chleba. Kiedy kierownik sklepu przy Sowieckim Prospekcie ogłosił, że chleb, który ma, wystarczy tylko dla kilkudziesięciu osób, tłum „wybuchnął, wznosząc szaleńcze hałasy i krzyki": „Robią z nami, co tylko chcą! Wczoraj zwiększyli nam racje, a dziś już odbierają cały chleb!"; „Zabierają nam ostatki naszych racji. Czego oni naprawdę chcą? Chcą, żebyśmy wszyscy pozdychali jak zwierzęta!"; „Zamykają nam usta tymi pięćdziesięcioma gramami, ale żeby je dostać, trzeba stać w kolejce pięć godzin na mrozie!"; „Trwa

wojna, więc uznają, że cywile też mogą sobie ginąć!”[13]. Podsłuchano też pewnego księgowego z Teatru Komedii, który mówił: „Ludzie głodują, a oni przynoszą Żdanowowi kakao do łóżka”. W kopii raportu przeznaczonej dla Żdanowa nazwisko księgowego zostało złowieszczo podkreślone[14].

13 stycznia przewodniczący rady miejskiej Piotr Popkow wygłosił przez radio przemówienie, w którym stwierdzał, że najgorsze już minęło i że zaopatrzenie w żywność zaczyna się powoli poprawiać. Jak skomentował to mało rozważnie, choć celnie, pewien inżynier, były to tylko „puste słowa mające uspokoić ludność”[15]. Efekt okazał się jednak odwrotny do zamierzonego. Komentarze wśród tłumu zgromadzonego pod sklepem na placu Dyktatury Proletariatu (teraz używano już krótszej i bardziej przystającej do rzeczywistości wersji plac Dyktatury) były wielce kąśliwe: „No jasne, Popkow ma dość jedzenia, więc łatwo mu tak mówić. Chciałbym, żeby tu do nas wyszedł i zobaczył, jak marzniemy”; „Zawsze mówią, że sytuacja się poprawia. Ale co to dokładnie znaczy, że się poprawia? Czekam na chleb już od czterech godzin, a wciąż nie ma po nim żadnego śladu”; „Piękne słowa powiedział Popkow – sam jest najedzony, a nas karmi obietnicami”; „Wkrótce zarządzą naszą ewakuację – na cmentarz Wołkowski”[16]. Nastoletnia Klara Rachman wysłuchała przemówienia w domu przez odbiornik radiowy: „On twierdzi, że to wszystko potrwa jeszcze tylko kilka dni, że wkrótce sytuacja się poprawi. Ale kiedy? Prawdopodobnie wtedy, kiedy już kopniemy w kalendarz”. Krążyły pogłoski, że Popkow już został aresztowany za sabotaż, że Leningrad ma zostać ogłoszony „miastem otwartym”, że Stalin potajemnie negocjuje warunki pokoju albo że już nie zależy mu na utrzymaniu miasta, gdyż po zakończeniu wojny ma ono przejść w ręce Brytyjczyków i Amerykanów[17].

Hipokryzja Popkowa sprowokowała niektórych do głośnego wypowiadania pogróżek. „Zacznie mówić do rzeczy – powiedział pewien pracownik teatru – kiedy pójdziemy i porozbijamy sklepy”. Jedna z gospodyń domowych stwierdziła zaś: „Patrzcie, do czego doprowadzili nas nasi przywódcy – ludzie zabijają i zjadają własne dzieci. A my, głupcy, tylko siedzimy i nic nie mówimy. Musimy się

zbuntować, jeśli nie chcemy wszyscy umrzeć z głodu. Czas już zakończyć tę wojnę”[18]. Dysponujemy mimo to zaledwie dwiema relacjami o antyrządowych demonstracjach. Pierwsza z nich, opisana w jednym z raportów wywiadu niemieckiego, miała się ponoć odbyć w Zakładach Kirowa w połowie października 1941 roku. Na wieść o tym, że pułk złożony z robotników tej fabryki został właśnie starty z powierzchni ziemi na Froncie Fińskim, robotnicy mieli podobno odmówić dalszej pracy i zażądać podpisania pokoju. Przybyłe na miejsce oddziały NKWD zaczęły strzelać do tłumu, zabijając wielu robotników, a następnie ciężarówkami wywiozły z zakładu prowodyrów buntu[19].

Druga z relacji pochodzi ze wspomnień spisanych na emigracji przez byłego oficera zaopatrzeniowego Armii Czerwonej, Wasilija Jerszowa. Opisuje on, że idąc rankiem w rocznicę rewolucji, to jest 7 listopada 1941 roku, ulicą Staczek – szeroką arterią biegnącą z przemysłowej dzielnicy Awtowo na południe, w kierunku linii frontu – ujrzał tłum składający się z kilkuset dzieci, w wieku od dziesięciu do czternastu lat, które podeszły do rogatek strzeżonych przez wojsko. Sięgając pod palta, dzieci wyciągnęły spod nich całe garście ulotek wzywających do buntu – „Dwadzieścia cztery lata temu obaliliście carat! Prosimy, obalcie teraz znienawidzonych katów z Kremla i ze Smolnego!” – i zaczęły rozdawać je przez barierki żołnierzom. Jeden z komisarzy rozkazał wojskowym otworzyć ogień, a kiedy ci odmówili, sam zaczął strzelać. W tej samej chwili rozpoczął się ostrzał niemieckiej artylerii i dzieci uciekły. Dwadzieścioro z nich zdołano jednak aresztować, podobnie jak tych żołnierzy, którzy odmówili wykonania rozkazu, a także kilkudziesięciu członków ich rodzin[20].

Ponieważ w archiwach partyjnych, a także w rejestrach służb bezpieczeństwa nie pojawiły się jak dotąd żadne wzmianki o którymkolwiek z tych dwóch wypadków, jest całkiem możliwe, że w ogóle do nich nie doszło. Informator Niemców mógł być po prostu nadgorliwy, mówiąc to, co było chętnie słuchane, a Jerszow być może celowo przesadzał, zwiększając tym samym swe szanse na otrzymanie amerykańskiego obywatelstwa, albo też cytował zwykłe pogłoski. Nie ma jednak wątpliwości, że po mieście krążyły ulotki wzywające

leningradczyków do buntu. Na przykład pewna z nich, wrzucana do metalowych, pomalowanych na niebiesko skrzynek pocztowych u wejścia do jednego z bloków mieszkalnych na Wyspie Wasiljewskiej, nawoływała do uczestnictwa w „głodowej demonstracji" 22 stycznia o godzinie dziesiątej rano na placu Pałacowym, skąd zamierzano „przejść do naszych bojowników i poprosić ich o zaprzestanie tego bezmyślnego oporu". Żołnierze mieli powstrzymać się od otwierania ognia jako „nasi ojcowie, bracia, synowie", nie należało się też obawiać „nic niewartego NKWD", gdyż brakowało mu „sił, by powstrzymać głodne masy". Każdy z czytelników miał napisać kolejnych dziesięć kopii ulotki, po czym włożyć je do skrzynek pocztowych w sąsiednich budynkach[21]. Za rozdawanie apelu podobnej treści został aresztowany pewien inżynier pracujący w jednej z fabryk produkujących przyrządy i narzędzia. Apel ten brzmiał:

„Pracujący leningradczycy! Śmierć zawisła nad Leningradem. Co dzień umiera dwa albo trzy tysiące ludzi. Czyja to wina? Władzy radzieckiej i bolszewików. Zapewniają nas oni, że blokada zostanie przerwana, a normy żywieniowe podniesione, ale okazuje się, że są to kłamstwa, podobnie jak kłamstwami okazywały się wszystkie inne obietnice władzy radzieckiej. Pochwyćcie przywódców miasta! Ocalcie siebie samych i Ojczyznę, albo czeka was śmierć!"[22].

Kolejny autor ulotek, podpisujący się jako *Buntowszczik*, czyli „buntownik", regularnie zostawiał całe pliki ulotek, przepisywanych ręcznie albo kopiowanych maszynowo, na Dworcu Moskiewskim, a także wysyłał je bezpośrednio do Popkowa i Żdanowa. Pomimo podjęcia nadzwyczajnych środków w celu jego wyśledzenia, w tym ustalenia adresów wszystkich placówek sprzedających pewien konkretny rodzaj kopert czy też porównania charakteru pisma trzynastu tysięcy ludzi, człowiek ten przez niemal dwa lata umykał służbom bezpieczeństwa. Kiedy wreszcie go wytropiono, okazało się, że to zwyczajny, pięćdziesięciopięcioletni rdzenny Rosjanin, pracujący przy wytopie stali w Zakładach Bolszewickich, którego jedynym podejrzanym rysem byli „krewni w Polsce". „Jakie było oficjalne stanowisko Łużkowa w swoim warsztacie? – pisał gniewnie zastępca Żdanowa, Aleksander Kuzniecow, w raporcie poświęconym tej

konkretnej sprawie. – I co wiedziała o nim zakładowa organizacja partyjna? Proszę to sprawdzić i poinformować mnie o wszystkim ustnie”[23].

17. WIELKI DOM

Pomijając ulotki i dwie trudne do zweryfikowania demonstracje, powszechny gniew mieszkańców miasta nigdy nie przerodził się w zorganizowaną rewoltę. Po części mogło to wynikać z dosyć chłodnej kalkulacji: leningradczycy odczuwali wprawdzie strach i nieufność wobec własnych przywódców, ale też szybko nauczyli się nienawidzić faszystów, w miarę jak spadało coraz więcej bomb, a do miasta zaczęły docierać wieści o olbrzymich zniszczeniach w wyzwalanych z rąk niemieckich miastach i miasteczkach w regionie moskiewskim. Było to również pewne osiągnięcie reżimu, świadczące o tym, jak dobrze działał wywiad wewnętrzny, jak umiejętnie wykorzystywano szczerą lojalność okazywaną przez wielu ludzi (zwłaszcza młodych), jak silną ręką trzymano wojsko i milicję, a wreszcie jak skutecznie zdołano już jakiś czas wcześniej zniszczyć wszystkie potencjalne źródła opozycji instytucjonalnej. Jeśli przyjąć za sowietologiem z okresu zimnej wojny, Merlem Fainsodem, że to właśnie katastrofy i sytuacje kryzysowe są najtrudniejszymi testami dla każdego systemu politycznego, trzeba uznać, że wytrwanie Leningradu wystawia aparatowi władzy radzieckiej najwyższe świadectwo za bezwzględność, wytrzymałość i zdolność przetrzymywania największych nawet wstrząsów. Jak stwierdza w konkluzji Fainsod, oblężenie powinno więc stanowić dla ludzi Zachodu nauczkę, by nie próbowali nie doceniać radzieckiego totalitaryzmu[1].

Idąc na północ Litiejnym Prospektem, szerokim bulwarem w stylu *belle époque*, łączącym Newski Prospekt i Dworzec Fiński, przy samym końcu ulicy, tuż przed rzeką, dociera się do budynku znanego jako Wielki Dom – dziś jest to siedziba Federalnej Służby Bezpieczeństwa, a wcześniej jej poprzedniczek, to jest KGB i NKWD. Wzniesiony w latach dwudziestych XX wieku, w stylu bezkompromisowo modernistycznym, stanowi on, dzięki swoim surowym rzędom polerowanego czerwonobrunatnego marmuru, uderzający kontrast

z otaczającymi go wystawnymi i dostojnymi kamienicami wybudowanymi na przełomie XIX i XX stulecia. Jak wspomina jeden z ocalałych z oblężenia, kiedy zaczęły się naloty na miasto, „wszyscy leningradczycy mieli wielką nadzieję na to, że bomby spadną na budynek NKWD przy Litiejnym Prospekcie i zniszczą wszystkie mieszczące się tu archiwa. Ale budynek, ze swoim okazałym marmurowym wejściem, wciąż stał – olbrzymi i straszny”[2].

Nieprzerwanie trwał też terror, choć jego największe natężenie przypadło na pierwszych dwanaście miesięcy wojny[3]. Po zakrojonych na szeroką skalę deportacjach z lipca i sierpnia 1941 roku przyszedł czas na czystki o mniejszym zasięgu we wrześniu, w listopadzie, a potem raz jeszcze w marcu, przy czym ta ostatnia objęła około setki naukowców z rozmaitych instytucji akademickich[4]. Do jesieni 1942 roku już ponad dziewięć i pół tysiąca ludzi aresztowano za przestępstwa polityczne, przy czym około jednej trzeciej z nich stanowili przedstawiciele inteligencji albo „byli kułacy, rzemieślnicy, właściciele ziemscy, arystokraci i urzędnicy”, resztę zaś chłopi i zwykli robotnicy lub pracownicy umysłowi[5]. Ci, którzy stawali przed obliczem trybunałów wojskowych, działających teraz w zastępstwie sądów ludowych, mieli znikome szanse na zwolnienie: jedynie w sześciu procentach spraw zapadały wyroki uniewinniające albo oddalające całe oskarżenie. Sądy cywilne, które w porównaniu z tą statystyką okazywały się nadzwyczaj pobłażliwe (wyroki uniewinniające albo oddalające sprawę stanowiły tutaj dwadzieścia procent wszystkich), otrzymywały reprymendy ze strony oskarżyciela wojskowego[6].

Lichaczow miał okazję przekonać się na własne oczy, jak działała machina terroru w czasie oblężenia, gdy w Domu Puszkina aresztowano Grigorija Gukowskiego – tego samego profesora, którego krytykowała Olga Grieczina za uchylanie się od poboru i który żartował, że jeśli Niemcy wejdą do miasta, on będzie się podawał za Ormianina. Zaraz po aresztowaniu zmuszono go do złożenia donosów na trzech kolegów z pracy, z których jeden wkrótce potem zmarł z głodu w więzieniu, a drugi chwilę po wypuszczeniu. Lichaczow, który sam

odsłużył wcześniej pięcioletni wyrok na Wyspach Sołowieckich, nie potrafił zdobyć się na krytycyzm. Jak napisał później:

„W tamtym czasie zwykła rozmowa między dwiema osobami, w której mówią one, co zrobią, gdzie się schowają, jeśli Niemcy zajmą miasto, była uznawana niemal za zdradę stanu. Dlatego wcale nie myślałem obwiniać Gukowskiego ani też wielu innych, którzy przymuszeni złożyli swoje podpisy pod wszystkim, co tylko podsunął im przesłuchujący-torturujący ich człowiek (...). Gukowski został aresztowany pierwszy raz i najwyraźniej nie wiedział, że należy wówczas albo odmawiać odpowiedzi na zadawane pytania, albo mówić tak mało, jak to tylko możliwe”[7].

Marksena Karpicka, kolejna dobra znajoma śledczych NKWD jako córka „wrogów ludu”, została wezwana do Wielkiego Domu i poproszona o potwierdzenie donosu jednego z jej kolegów z Biblioteki Publicznej, byłego oficera armii carskiej, teraz już w podeszłym wieku, który pomagał przy drobnych pracach w zamian za towarzystwo i ciepły kąt. Kiedy odmówiła, przesłuchujący ją milicjant szyderczo skomentował, że można się było tego spodziewać, zważywszy na jej pochodzenie. Karpicka, ku swojemu zaskoczeniu, zareagowała „«wybuchem wściekłości»: Powiedziałam, że nikt jak dotąd nie udowodnił, że moi rodzice byli wrogami ludu, i że to, co on mówi, samo jest przestępstwem (...). Tylko nierozwagą charakterystyczną dla młodego wieku można tłumaczyć ten mój przypływ odwagi! On aż podskoczył i rzucił się w moją stronę, jak gdyby chciał mnie uderzyć (...). Wstałam i chwyciłam za stołek (...). Ale on się opamiętał, usiadł za swoim biurkiem i poprosił mnie o dokumenty”.

Choć nakazano jej opuścić Leningrad, Karpicka zdołała ujść przed deportacją dzięki pomocy swojej szefowej, która umieściła ją we własnym gabinecie bibliotecznym, ukrywając miejsce jej przebywania przed władzami aż do końca wojny[8].

Nauczyciel geografii Aleksiej Winokurow zwrócił uwagę służb bezpieczeństwa, kiedy rozwieszał ręcznie pisane ogłoszenia, w których wyrażał zainteresowanie zakupem krajobrazowych zdjęć z Uralu i Syberii. Na jednym z nich ktoś dopisał zaproszenie do mieszkania na Newskim Prospekcie, gdzie Winokurow z miejsca został przechwycony

przez porucznika milicji i odprowadzony do Wielkiego Domu. W swoim dzienniku zapisał: „W NKWD było męcząco. Personel w tym gmachu zdumiewa monotonią. Durna procedura przesłuchania trwała jakieś trzy godziny. Porucznik z trudem spisał protokół, który praktycznie w całości musiałem mu podyktować". Między innymi te słowa zostały podkreślone rok później, gdy dziennik skonfiskowano podczas przeszukania mieszkania Winokurowa. Inne zaznaczone przez śledczego fragmenty dotyczyły widzianych przez autora trupów wypadających z tyłu ciężarówki czy maszerujących Newskim Prospektem wychudzonych żołnierzy, którzy w pewnym momencie wyszli z szyku, by wymienić tytoń na chleb. NKWD zainteresowało też krytyka Sowinformu za jego „bezsensowne" doniesienia, a także odniesienia do Niemców jako do Europejczyków. W połączeniu ze wzmianką, że Winokurow chciałby dołączyć do krewnych mieszkających w okupowanym przez nazistów mieście Stara Russa, stanowiło to materiał więcej niż wystarczający do jego skazania. 16 marca 1943 roku został uznany winnym „prowadzenia kontrrewolucyjnej agitacji" wśród uczniów i nauczycieli swojej szkoły, za co stracono go trzy dni później[9]. Sprytniejszy okazał się Aleksandr Bołdyriew, który chcąc wspomnieć w swoim dzienniku o kolejnych przesłuchaniach, posługiwał się każdorazowo swoistym szyfrem – odniesieniem do „głupiej" angielskiej powieści zatytułowanej *Dwie wyprawy do Wielkiego Domu*[10].

Egzekucja mogła być zresztą pewną formą wybawienia, jako że świadectwa z innych dzienników i pamiętników zdają się sugerować, że olbrzymia większość uwięzionych w Leningradzie podczas pierwszej zimy w oblężeniu zmarła z wygłodzenia. Jeden z więźniów w zakładzie karnym Kriesty (to jest „krzyże"), w ogromnej budowli z czerwonej cegły wzniesionej w stylu neobizantyńskim tuż obok Dworca Fińskiego, który miał za zadanie usuwać z cel ciała zmarłych towarzyszy niedoli, naliczył ich w okresie od 16 października do 2 lutego aż 1853:

„Co dzień zabieraliśmy od dwudziestu pięciu do czterdziestu zmarłych. Wewnętrzne strony ich ubrań pokryte były ruchomą skorupą wszy. Nikt ich w żaden sposób nie oznakowywał ani nie opisywał – ci ludzie byli zupełnie anonimowi, nikt tu niczego nie odnotowywał.

Wynosiliśmy ciała na dziedziniec, gdzie załadowywano je na ciężarówki i gdzieś zabierano (...). A 3 lutego zobaczyłem, że drzwi z korytarza do wszystkich cel więziennych stoją otworem. Nie było już kogo w nich zamykać”[11].

Relacja tego więźnia pokrywa się z raportem przygotowanym przez miejską służbę statystyczną, dotyczącym łącznej liczby zgonów w leningradzkich więzieniach – liczba ta wzrosła od zera w marcu 1941 roku do 1172 w grudniu i 3739 w styczniu 1942 roku, a następnie utrzymywała się powyżej dwóch tysięcy w każdym z czterech kolejnych miesięcy[12]. Więźniów kierowano też do pracy na Drodze Życia oraz do znajdujących się wewnątrz pierścienia oblężenia przedsiębiorstw należących do Gułagu, w tym do wyrębu lasu, farmy hodującej świnie, elektrowni, a także zakładów produkujących amunicję, środki chemiczne i kable. Również i tam ich szanse na przeżycie były nikłe: 31 grudnia NKWD poprosiło komisarza do spraw zaopatrzenia Dmitrija Pawłowa o podniesienie dziennej racji chleba dla 3578 więźniów przebywających w obozach pracy z 250 gramów do przyznawanych pracownikom fizycznym 350 gramów, argumentując, że aktualnie wydawane racje doprowadzają w szybkim tempie do „wycieńczenia” i „niezdatności do pracy”[13].

Śmierć w więzieniu albo w obozie pracy prawdopodobnie przypadła też w udziale kasjerowi kolejowemu Iwanowi Żylinskiemu. Ten pięćdziesięciopięciolatek, przyzwoity, inteligentny, pomysłowy i pełen patriotyzmu, może być symbolem tysięcy zwykłych leningradczyków, których życie znalazło swój kres w trakcie oblężenia, tyle że nie za sprawą wroga, lecz przez postępowanie własnych władz. W środku zimy on i jego żona Olga byli już obrzękli od puchliny wodnej i mogli chodzić tylko z pomocą laski, a każdy kolejny dzień przeżywali na skromnych racjach chleba uzupełnianych kroplami na kaszel, gliceryną, olejem rycynowym, klejem do tapet i klejem stolarskim, a wszystko to popijali gorącą wodą doprawianą do smaku skórkami pomarańczy, musztardą w proszku, gałązkami czarnej porzeczki albo solą. Swoje wyziębione mieszkanie oświetlali, paląc drewniane drzazgi. Podobnie jak w przypadku Winokurowa los Żylinskiego mogło przypieczętować zainteresowanie fotografią. Kiedy przestały kursować tramwaje,

Żylinski musiał porzucić przedwojenną pracę, a następnie nie otrzymał umówionego wynagrodzenia (dostawy drewna na opał) w kolejnej – i wtedy, w połowie stycznia, zaczął ogłaszać się jako fotograf paszportowy dla ludzi szykujących się do ewakuacji. Urządził prowizoryczne studio w tym samym pokoju, w którym ukryta za kredensem i pianinem leżała jego martwa matka, ubrana w najlepszą sukienkę, z ikoną położoną u wezgłowia. Plan się powiódł, przynosząc mu sto gramów chleba za każde zdjęcie, choć nie zdążył już dzięki niemu uratować Olgi, która zmarła we śnie 20 marca. „Wraz ze śmiercią Oli – napisał Żylinski – nadeszła wiosenna odwilż, o której tak marzyła przez całą zimę". Jego żona zmarła też na krótko przed tym, kiedy oboje otrzymali cały plik zaległych listów i przekazów pieniężnych od ewakuowanych krewnych, przez których niesłusznie czuli się dotąd zapomniani i opuszczeni.

Żylinski został aresztowany bez żadnego ostrzeżenia tydzień później, być może z inicjatywy wrogich mu sąsiadów. Również w jego przypadku milicja odnalazła i skwapliwie przejrzała dziennik, w którym zapisywał swoje dość przenikliwe przewidywania dotyczące dalszego rozwoju sytuacji wojennej. Jego zdaniem Niemcy popełnili błąd, uznając, że mogą „dojść spacerkiem, zupełnie jak przez Polskę, aż do Uralu", ponieważ nie uwzględnili faktu, że Rosjanie, nie będąc wcale bolszewikami z natury, dysponują historyczną nienawiścią do najeźdźców, przewagą bezkresnych przestrzeni, „specyficznym psychologicznie myśleniem: może to i szaleniec, ale za to nasz szaleniec", a wreszcie umiejętnością radzenia sobie w warunkach braków i niedoborów. Alianci zasilają Związek Radziecki swoistą kroplówką, która wystarcza do utrzymania kraju w gotowości bojowej, ale jest zbyt mała, by mógł on podjąć wielką kontrofensywę. Po wojnie przekształcą oni Leningrad w „międzynarodowy port" i będą wywierać na ZSRR presję, by zezwolono tu na wolność słowa i wyznania „w pełnym znaczeniu tych terminów (...). Rzecz jasna, nasi będą wić się tak długo, aż Ameryka i Anglia odpuszczą i pozwolą nam dusić się we własnym sosie (...), w ostatecznym rozrachunku znowu zostaniemy sami ze swoim Kominternem, podczas gdy reszta świata dalej będzie demokratyczna, parlamentarna i kapitalistyczna, jak przywykliśmy

określać tę drugą stronę”[14]. Z powodu tych komentarzy Żylinski został oskarżony o „szkalowanie radzieckiej rzeczywistości” i skazany na śmierć, przy czym wyrok ten zamieniono później na dziesięć lat więzienia.

Bodaj najbardziej przejmującym dokumentem w aktach prokuratorskich Żylinskiego jest wykaz zawartości jego mieszkania. Jak zapisał przeszukujący je milicjant: „Umeblowanie składa się z dwóch kredensów, dwóch metalowych łóżek, kanapy obitej tkaniną w kratę, pianina, stołu, pięciu krzeseł, niklowanego samowaru, ręcznie obsługiwanej maszyny do szycia, lampy, gramofonu «Krasnogwardiejec» i okrągłego zegara ściennego”. Po drewnianym budynku, w którym mieszkał wraz z żoną Olgą, nie ma już nawet śladu; dziś przy jednym końcu ulicy stoi centrum handlowe, przy drugim zaś salon samochodowy, przed którym na lśniącym czystością placu wystawiono piękne nowe auta. Mniej zmian zaszło na leżącym przecznicę dalej cmentarzu Serafimowskim – przez pokrytą opadającymi liśćmi plątaninę alejek z nagrobkami przepływa milczący tłum krewnych odwiedzających groby, sprzedawczyń kwiatów i staruszek z miotłami. Zaraz za główną bramą stoi niekształtny pomnik wzniesiony w czasach Breżniewa dla upamiętnienia tych, którzy zmarli z głodu, ale same masowe groby – pas nierównej ziemi ciągnący się przy granicy cmentarza z sąsiednim składem drewna – pozostawiono zupełnie bez opieki. Ludziom takim jak Żylinski – niewinnym ofiarom nie tyle wojny, ile wojennego terroru – żadnych pomników nie postawiono.

CZĘŚĆ 4

—

CZEKAJĄC NA WYZWOLENIE

styczeń 1942–
–styczeń 1944

Dziś poszedłem do kliniki. Wywieszono tam dwie ważne informacje. Pierwsza: „Przyjmowanie zgłoszeń dzieci pozostawionych bez opieki z powodu śmierci rodziców w pokoju numer 4". Druga: „Poliklinika nie wystawia świadectw zwalniających od obowiązku pracy". A kiedy wracałem do domu, na płocie zobaczyłem przypięte jeszcze jedno ogłoszenie „Lekka trumna na sprzedaż".

Dmitrij Łazariew, kwiecień 1942[1]

18. MIASNOJ BOR

Z punktu widzenia reszty świata agonia Leningradu toczyła się gdzieś daleko, na uboczu, i w dużej mierze w nieświadomości tegoż świata. Kiedy już bezpośrednie zagrożenie dla miasta minęło, uwaga aliantów najpierw zwróciła się ku bitwie o Moskwę, a następnie skupiła się na olbrzymich stratach ponoszonych na Dalekim Wschodzie i na wszystkich innych frontach wojny. Pierwszy miesiąc masowych zgonów w Leningradzie, grudzień 1941 roku, zbiegł się z upadkiem Hongkongu; drugi – z ciężkimi stratami na Atlantyku, gdzie niemieckie U-Booty zatapiały kolejne transporty aliantów; trzeci zaś – z zajęciem przez Japonię Singapuru, wraz z siedemdziesięcioma tysiącami żołnierzy brytyjskich i całego Commonwealthu. Jeśli chodzi o Związek Radziecki, Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym zależało przede wszystkim, by nie dopuścić do całkowitego załamania się tego państwa albo do podpisania przez Stalina odrębnego traktatu pokojowego, a jednocześnie opierać się napływającym ze strony Rosjan – i ze strony brytyjskiej lewicy – coraz bardziej natarczywym wezwaniom do otworzenia drugiego frontu. Pierwszy z arktycznych konwojów wiozących czołgi, samoloty Hurricane i inne zaopatrzenie wojskowe przekierowane z brytyjskiego programu Lend-Lease przybył do Archangielska pod koniec sierpnia, co dało początek czterem długim latom cierpkiej współpracy dyplomatycznej. Jak napisał później Churchill: „Rząd sowiecki sprawiał wrażenie, jakby robił nam wielką łaskę, walcząc o swoje własne życie na terytorium własnego kraju”[2].

W styczniu 1942 roku Wehrmacht praktycznie stanął w miejscu na całym froncie wschodnim. Analitycy wielokrotnie wyśmiewali niemieckich generałów za objawianą po wojnie skłonność do zrzucania winy za ostateczną klęskę na Wschodzie na pogodę, drogi i fakt, iż byli oni zastraszani przez Hitlera, czyli – na dobrą sprawę – na wszystko, tylko nie na własne błędy i wyższość Rosjan na polu bitwy. Takie podejście nie jest jednak do końca sprawiedliwe: zima przełomu lat 1941

i 1942 rzeczywiście była niespotykanie mroźna, nawet jak na warunki rosyjskie, co nie mogło pozostać bez wpływu na zdolność bojową wojsk niemieckich, w tym zwłaszcza Grupy Armii „Północ". Nagły spadek temperatur okazał się – jak pieklił się Hitler 12 stycznia podczas kolacji w Wilczym Szańcu – „niemożliwą do przewidzenia katastrofą, paraliżującą właściwie wszystko. Na Froncie Leningradzkim, przy temperaturze dochodzącej do czterdziestu dwóch stopni poniżej zera, po naszej stronie nie działał ani jeden pistolet, ani jeden karabin maszynowy, ani jedno polowe działo"[3]. Uziemione zostały samoloty, silniki czołgów i ciężarówek nie chciały zapalać, a konie brodziły aż po brzuchy w śniegu, wobec czego, aby przemieścić się z jednego punktu do drugiego, żołnierze musieli w dzień odśnieżać łopatami trasę, którą następnie w nocy poruszały się ich transporty. Ponadto żołnierze kradli miejscowym chłopom ubrania i pościel (radzieckie rysunki satyryczne przedstawiały ich jako pokracznych „zimowych Fritzów", z wielkimi chustami na głowach i w falbaniastych galotach), inaczej bowiem łatwo padali ofiarą odmrożeń i śmierci z wychłodzenia. Rosyjska prasa podkpiwała sobie wręcz, że hiszpańska Błękitna Dywizja, przysłana przez Franco jako jego wkład w wojnę z komunizmem, została tak nazwana nie od koloru koszul żołnierzy, lecz od sinej barwy ich twarzy.

Jednostka rowerowa Fritza Hockenjosa – teraz przekwalifikowana na jednostkę narciarską – została wysłana na posterunek w niewielkiej osadzie Zwanka, leżącej na zachodnim brzegu rzeki Wołchow. Na kwaterę wyznaczono im opuszczony klasztor, stojący na terenie byłego majątku Gawriły Dierżawina, dworskiego poety carycy Katarzyny Wielkiej. Z punktu obserwacyjnego na szczycie klasztornej dzwonnicy we wszystkich kierunkach aż po horyzont rozciągały się przykryte grubą warstwą śniegu wrzosowiska i lasy. Jedynymi punktami charakterystycznymi, przełamującymi tę monotonię, były szeroki pas zamarzniętej rzeki, rząd słupów telegraficznych ciągnących się wzdłuż linii kolejowej Moskwa–Leningrad oraz pojawiające się od czasu do czasu na niebie sylwetki samolotów przelatujących nieopodal w drodze z albo do jakiegoś odległego rosyjskiego lotniska. Przed nimi zaś, na przeciwległym brzegu rzeki, rozłożyła się nowo sformowana rosyjska 2 Armia Uderzeniowa, której natarcia spodziewano się właściwie lada

dzień. Z tyłu, w mroźnych lasach pełnych drzew pokrytych kryształami lodu, błąkały się resztki jednostek rozbitych w niedawnych walkach. Hockenjos napisał:

„Dzień w dzień jesteśmy zarazem widzami i aktorami jakiegoś makabrycznego dramatu – który przez kilka ostatnich tygodni rozgrywa się bez przerwy w tych śnieżnobiałych lasach – o rosyjskim pułku sięgającym dna (...). Wydaje się, że leśna bitwa z 30 grudnia była ich ostatnim, desperackim zrywem, a wśród poległych znalazł się także dowódca pułku. Ci, którzy przeżyli, już dawno złożyli broń i zjedli ostatnie racje suchego chleba. Teraz błąkają się bez celu po lasach, jak zwierzęta odłączone od swojego stada. Ślepe, apatyczne zwierzęta. Już nawet nie myślą o tym, żeby się przebić do swoich, choć nasze linie są naprawdę bardzo rozrzedzone. Nie myślą też o tym, żeby się poddać – po prostu idą przed siebie, tylko po to, by zagłuszyć swój głód i zwalczyć uczucie zimna. Las jest pełen ich śladów, nie ma dnia, żeby jakiś patrol na nich nie wpadł i paru nie zastrzelił. Pewnej mroźnej księżycowej nocy jeden z moich patroli nagle dostrzegł ich tuż obok, jakieś trzydzieści kroków od ścieżki – długi rząd cieni truchtających przed siebie w milczeniu. Wystrzelili do nich wszystkim, co mieli; kilku padło na śnieg, pozostali dalej truchtali w milczeniu, tyle że zboczyli z lekka w głąb lasu (...). Ci, którym udaje się uniknąć kul, padają ofiarą głodu i zimna, jeden po drugim. Wpełzają pod poszycie, zwijają się w kłębek i tak się to dla nich kończy. Niektórzy za dnia bezmyślnie wałęsają się po obrzeżach lasu, inni wpadają wprost na nasze straże i posterunki, jak gdyby wcale ich nie dostrzegali. Z trudem podnoszą wtedy swoje poczerniałe od mrozu ręce czy poruszają ustami. Z ran na ich popękanych twarzach sączy się krew. Kula jest dla nich wybawieniem.

A czasami zdarza się tak: wartownik, w swoim szwabskim dialekcie, woła w dół bunkra: «O, idzie następny!». W odpowiedzi Obergefreiter K. pyta wszystkich: «Który z was, nowych chłopców, nie ma jeszcze walonek?». W górę podnosi się kilka rąk, a wtedy K. mówi: «Karle, idź i je sobie weź!». Karle zeskakuje ze swojej drewnianej pryczy, bierze karabin i wychodzi na zewnątrz. Po chwili słychać strzał i Karle wraca z parą walonek pod pachą”.

Hockenjos i jego ludzie obdzierali też zmrożone trupy Rosjan: „Niestety, walonki musimy rozcinać, by móc zdjąć im je z nóg, ale można je potem na powrót zszyć. Nie jest z nami jeszcze tak źle, jak z tymi z 2 Batalionu, którzy obcinają martwym Rosjanom całe nogi, a potem odmrażają je na piecyku w swoim bunkrze". Jak z niejaką dumą odnotował Hockenjos, do lutego on i jego ludzie stali się już prawdziwymi *Frontschweine*. Brudni i brodaci, musieli się nauczyć opuszczania watowanych bawełną spodni na wierzch ponownie zszywanych walonek, by nie wpadał do nich śnieg, a także niedopinania płaszczy przy samej szyi, by móc szybko sięgnąć za pazuchę po ręczne granaty. Głowy owijali chustami i dopiero na nie zakładali hełmy, a nosy oklejali gazą i plastrami lekarskimi, by chronić je przed odmrożeniami. Opaski zakładane na ręce miały zapobiec pomyleniu ich z nieprzyjaciółmi. „Zdecydowanie nie wyglądamy już teraz jak niemieccy żołnierze" – przyznawał Hockenjos[4].

Niedostatki znoszone przez żołnierzy oblegających Leningrad były jednak niczym przy cierpieniach odczuwanych przez obrońców miasta. Jednym z najmniej znanych faktów odkrytych w radzieckich archiwach jest zjawisko głodu w szeregach Armii Czerwonej. Jak wiadomo, w czasie całej wojny racje żywnościowe w wojsku radzieckim były marne: chleb „podobny kolorem i gęstością do asfaltu", kasza przezywana „szrapnelem"[5]. Ale żołnierze walczący wewnątrz pierścienia oblężenia nie tylko w całkiem sporej liczbie dezerterowali, postrzelali się w dłonie i stopy czy popełniali samobójstwa, ale też umierali śmiercią głodową. Działo się tak z powodu złej organizacji, kradzieży i korupcji. Choć racja żołnierska – w najmniej korzystnym momencie wynosząca 500 gramów chleba i 125 gramów mięsa dla walczących na froncie oraz 300 gramów chleba i 50 gramów mięsa dla przebywających na tyłach[6] – teoretycznie wystarczała do przeżycia, w praktyce wielu ludzi otrzymywało znacznie mniej[7].

Jedną z takich osób był Siemion Putiakow, trzydziestoszścioletni żołnierz piechoty stacjonujący na jednym z lotnisk na spokojnym odcinku Frontu Fińskiego, po północno-zachodniej stronie Leningradu.

W swoim dzienniku, rozpoczętym w chwili poboru i kontynuowanym później bez większych przerw, zapisywał długą litanię narzekań – na brak ćwiczeń, na „muzealne" karabiny, na swojego porucznika („taki tępy, że nawet najgorzej wykształceni żołnierze dziwią się jego rozkazom"), na opryskliwość starszych oficerów czy na wykorzystywanie przez nich wojskowych pojazdów do przywożenia swoich narzeczonych. Na początku grudnia Putiakow zorientował się, że oficerowie ci podkradają także żywność należną podwładnym, rozkazując personelowi kuchennemu rozdzielanie racji żywnościowych przeznaczonych dla sześciu żołnierzy między ośmiu, nadwyżkę zaś zabierając dla siebie. W rezultacie Putiakow pod koniec miesiąca nie dość, że chodził już bez przerwy głodny, to jeszcze miał więcej problemów z powodu składanych coraz częściej skarg:

„Wczoraj, przy wydawaniu obiadu, spytałem jednego z pracowników politycznych, dlaczego nie dają nam pełnych porcji. Myślałem, że to porządny człowiek, który chce, żeby do naszych żołądków trafiały całe przydziały. Ale on zaczął na mnie krzyczeć, że w regulaminie nic nie ma o tym, byśmy mogli sami sprawdzać normy. Wobec tego ja spytałem go, gdzie w regulaminie jest zapis, że można nam dawać mniej, niż powinniśmy dostawać. Wtedy on wpadł w szał. Muszę poznać jego nazwisko. A jego brzydka gęba wygląda mi na zdrowszą, niż powinna"[8].

Putiakow świętował sylwestra, goląc się, patrząc na zdjęcie swojej żony i dzieci, a także wspominając posiłki z minionych świąt spędzanych w gronie rodzinnym. 8 stycznia miał już trudności z poruszaniem się: „Podczas rąbania drewna gryzłem końskie kości. Głód, głód. Z mojej obrzękłej twarzy nie schodzi opuchlizna. Mówią, że będą zwiększać racje, ale ja w to nie wierzę (...). Czort jeden wie, co ja piszę i w jakim celu". Z furią atakował skorumpowanych sierżanta i podporucznika w swoim plutonie: „To nie ludzie, to bestie w ludzkiej postaci!". Część żołnierzy w jednostce już umarła z głodu: „odrażająca śmierć z wygłodzenia (...), lepiej byłoby zginąć w bitwie z faszystami". Kilka dni po tym, jak próbował złożyć oficjalną skargę u lekarza wojskowego, został aresztowany. Oskarżony o „wyrażanie

rozczarowania zaopatrzeniem w żywność w Armii Czerwonej", został rozstrzelany 13 marca 1942 roku.

Nie sposób jest podać łącznych szacunków dotyczących śmiertelności w szeregach leningradzkich armii, ale doświadczenia Putiakowa zdecydowanie nie były odosobnione. Podobne relacje znajdujemy w listach wysyłanych przez żołnierzy do rodzin: „Jesteśmy straszliwie głodni – napisał jeden z nich. – Nie chcemy ginąć z głodu. Niektórych towarzyszy odesłano już do szpitala. Niektórzy poumierali. Co to będzie? Jaki pożytek z takich śmierci płynie dla naszej Ojczyzny?". Inny z kolei skarżył się: „Z każdym dniem jesteśmy coraz słabsi. Nie dostajemy żadnego mięsa ani tłuszczu, tylko trzysta gramów chleba. W zupie nie ma ani jednego ziarenka, ani jednego ziemniaka, żadnej kapusty – to tylko mętna posolona woda (...). Straciliśmy mnóstwo wagi – wyglądamy teraz jak własne cienie. Pogryzamy paszę z wytłoków roślin oleistych, którą karmione są nasze konie, bo nie ma już dla nich owsa. Wypełniamy żołądki wodą". Trzeci żołnierz miał już „dość życia. Albo umrę z głodu, albo się zastrzelę. Dłużej już tego nie zniosę"[9]. Wasilij Czurkin, przebywający wraz ze swoją baterią artylerii na linii frontu na południe od Ładogi, narzekał, że choć niektórzy żołnierze z jego jednostki byli tak słabi, że z trudem w ogóle stali na nogach, jakiś leniwy *politruk* kazał im kopać dla siebie superwygodny schron na każdym nowym postoju, podczas gdy oni sami i tak spali na zewnątrz, na śniegu. Człowiek ten „nie nadawał się do niczego – był tylko nieprzydatnym dodatkowym ciężarem"[10]. W samym mieście leningradczycy byli wstrząśnięci krańcowym wychudzeniem żołnierzy, których widzieli czy to w szpitalach, czy maszerujących po ulicach[11].

Podobnie jak głodujący w Leningradzie cywile niektórzy żołnierze uciekali się do kanibalizmu w lasach ciągnących się za Zwanką. Hockenjos natrafił na miejsce nazwane przez niego „obozem zjadaczy ludzi". Odnalezione niekompletne kończyny potwierdzały relacje dwóch młodych sanitariuszek Armii Czerwonej wziętych wcześniej do niewoli przez jego batalion i umieszczonych we własnym szpitalu polowym. Wasilij Jerszow – ten sam, który twierdził, że widział dzieci wręczające antyrządowe ulotki żołnierzom na jednym z posterunków kontrolnych – był starszym oficerem zaopatrzeniowym dla 56 Dywizji Strzelców 55

Armii, stacjonującej w Kołpinie, niedaleko na południe od Leningradu. Wśród jego obowiązków było też zaopatrywanie szpitala wojskowego. Mieścił się on w byłych Zakładach Iżorskich, gdzie od dwóch do trzech tysięcy chorych i rannych leżało na słomie w przykrytych szklanym dachem i wyposażonych w cementową wylewkę warsztatach, a ciała dwustu albo więcej umarłych dzień w dzień palono na fabrycznym dziedzińcu. Personel medyczny, choć liczny, składał się z ludzi niewykwalifikowanych i straszliwie wychudzonych, mimo że w teorii otrzymywali oni racje przysługujące „wojskowym na tyłach". Jak relacjonuje Jerszow:

„Pewnego dnia Lagun zauważył, że jeden z lekarzy wojskowych, kapitan Czepurny, kopie w śniegu na dziedzińcu. Obserwując go z ukrycia, sierżant dostrzegł, że odcina on kawałek mięsa z amputowanej nogi, wkłada go sobie do kieszeni, ponownie zakopuje nogę pod śniegiem i odchodzi. Pół godziny później Lagun wszedł do pokoju Czepurnego, niby to o coś go zapytać, i zobaczył, że je on mięso smażące się na patelni. Sierżant był przekonany, że było to ludzkie ciało (...). Wszczął więc alarm, a w wyniku przeprowadzonego śledztwa stało się jasne, że nie tylko chorzy i ranni leżący w szpitalu jedzą ludzkie mięso, ale czyni tak również jakieś dwadzieścia osób personelu medycznego, od lekarzy i pielęgniarek po personel pracujący na zewnątrz – wszyscy oni systematycznie żywią się kawałkami martwych ciał czy amputowanych nóg. Zgodnie ze specjalnym rozkazem wydanym przez radę wojskową ludzi tych rozstrzelano".

Egzekucję wykonał na nich rubaszny i wulgarny kapitan Borisow z Wydziału Specjalnego, wojskowego skrzydła NKWD, któremu Jerszow wydał dodatkowy przydział wódki przeznaczony właśnie dla plutonów egzekucyjnych (sześćset gramów, z czego jedna trzecia przed, a dwie trzecie po wykonaniu zadania). „Muszę zaznaczyć – dodaje Jerszow – że kapitan Borisow osobiście rozstrzelał jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt procent ludzi (...). Nie potrafił przeżyć dnia bez alkoholu, więc starał się wykonywać samemu tak wiele egzekucji, jak tylko to było możliwe"[12].

Jerszow odnotował też przypadki morderstw popełnionych przez wygłodniałych żołnierzy na ludziach zanoszących dwa razy dziennie

z polowej kuchni na linię frontu ocieplane pojemniki z zupą, przymocowywane im do pleców za pomocą skórzanej uprzęży:

„Na początku stycznia 1942 roku dowódca dywizji zaczął dostawać pilne telefony od dowódców pułków i batalionów, skarżących się, że ta czy inna grupa żołnierzy nie otrzymała posiłków, że roznoszący je człowiek nie pojawił się z pojemnikiem, prawdopodobnie zastrzelony przez niemieckich snajperów. Dogłębna weryfikacja wykazała, że działo się coś niewiarygodnego: żołnierze opuszczali okopy wczesnym rankiem, szli na spotkanie z ludźmi niosącymi jedzenie, a po ich zasztyletowaniu przejmowali całość dla siebie. Następnie jedli tak dużo, jak tylko byli w stanie, zakopywali zamordowanego człowieka pod śniegiem, a jego pojemnik ukrywali, po czym szli z powrotem do swoich okopów. Taki morderca wracał na miejsce zbrodni jeszcze dwukrotnie w ciągu dnia: najpierw po to, by dojeść resztki z pojemnika, a potem, by odciąć kawałki ludzkiego mięsa i je także zjeść. Aby dać jakieś wyobrażenie o skali tego procederu, powiem, że w mojej dywizji podczas zimy przełomu lat 1941 i 1942, na samej linii frontu – a więc bez uwzględnienia jednostek przebywających na tyłach – było około dwudziestu takich przypadków”[13].

Pomimo opłakanego stanu leningradzkich armii Stalin włączył je do szerokiej ofensywy, która miała ruszyć późną zimą, a zaplanowano ją jeszcze w trakcie listopadowej i grudniowej bitwy o Moskwę. Zakreślona z uderzającym przerostem ambicji, miała doprowadzić do odzyskania Smoleńska, a także ukraińskiego Donbasu oraz Krymu, a wreszcie zapewnić wyzwolenie Leningradu. W szerszej zaś perspektywie chodziło o to, by nie pozwolić Niemcom złapać oddechu i nie dopuścić do przygotowania przez nich nowych działań zaczepnych wiosną[14].

Odpowiedzialność za przełamanie linii niemieckich skupionych wokół Leningradu miała spoczywać przede wszystkim na Froncie Wołchowskim, dowodzonym przez generała Mierieckowa, naprzeciw którego stała 18 Armia Grupy Armii „Północ” rozlokowana wzdłuż linii biegnącej na południowy zachód od jeziora Ładoga, a następnie na południe, wzdłuż rzeki Wołchow, aż do Niżnego Nowogrodu. Podczas gdy armie zamknięte w pierścieniu oblężenia robiły wszystko, co w ich

mocy, by przebić się na południe bądź wschód, siły związane na Froncie Wołchowskim miały przypuścić natarcie w kierunku zachodnim, przedostając się na drugi brzeg rzeki i odcinając jednostki niemieckie skupione wokół Lubania, Tosny i Mgi. W operacji tej początkowo miało wziąć udział łącznie 326 tysięcy żołnierzy, co dawało teoretycznie pięćdziesięcioprocentową przewagę w ludziach, sześćdziesięcioprocentową w uzbrojeniu w działa i moździerze, a trzydziestoprocentową w sprzęcie lotniczym.

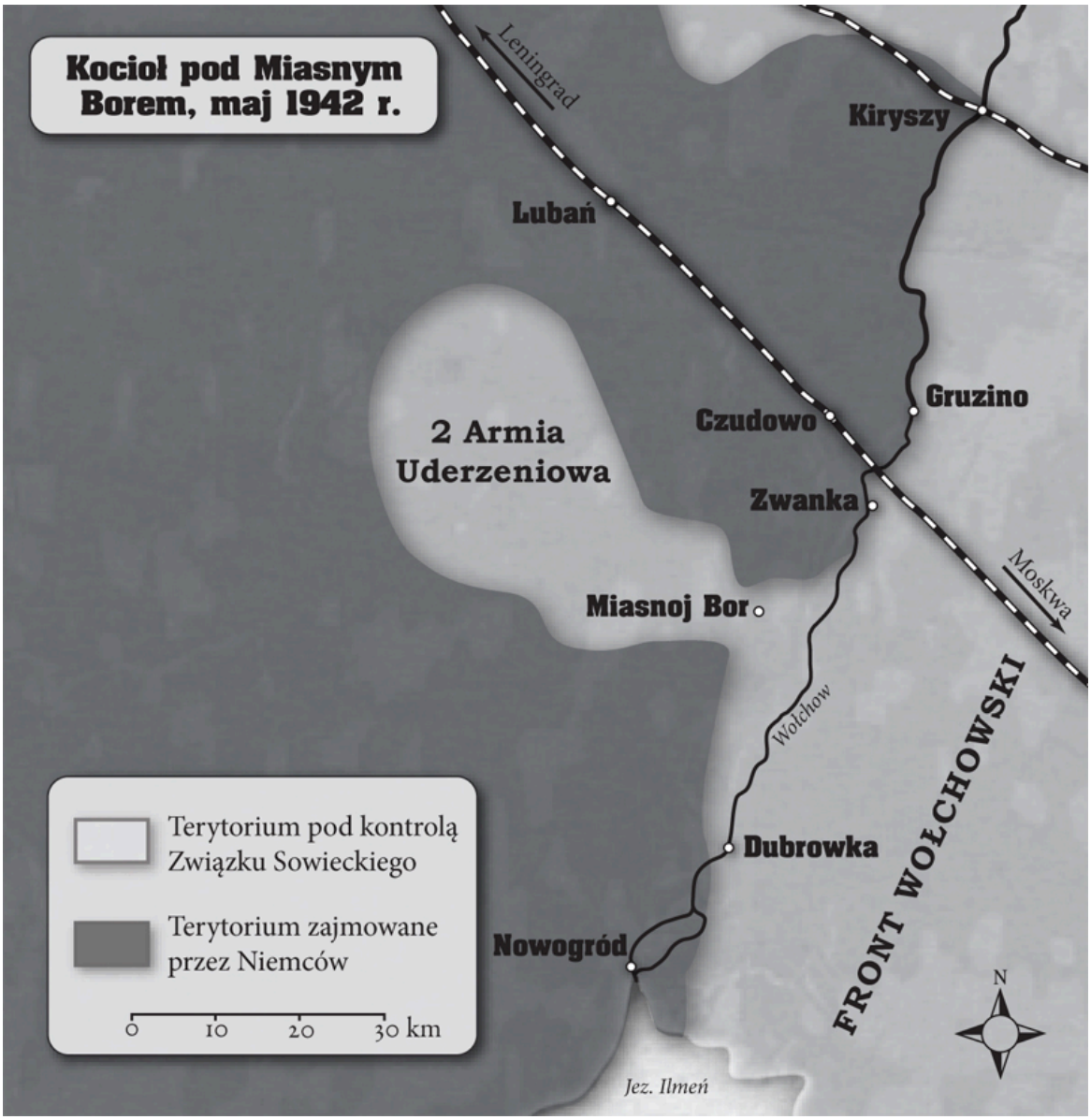

Stalin uparł się, by ofensywa rozpoczęła się w pierwszym tygodniu stycznia, ignorując prośby Mierieckowa o przyznanie mu większych sił artyleryjskich, rezerw oraz czasu na przeprowadzenie koncentracji wojsk i zapewnienie odpowiedniej logistyki. Dodatkowo, chcąc trzymać na krótkiej smyczy i tak już zapewne przerażonego Mierieckowa, wódz oddelegował do Leningradu powszechnie znienawidzonego Lwa Mechlisa, szefa Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej i jednego z organizatorów czystek w wojsku z lat 1937–1938[15]. Operacja od samego początku szła jak po grudzie: 4 i 5 stycznia toczone przez czterdzieści osiem godzin ciężkie walki nieopodal Kiriszy posunęły front o marne pięć kilometrów, a przypuszczone 6 stycznia natarcie przez skutą lodem rzekę Wołchow, pod ogniem karabinów maszynowych, zakończyło się utratą ponad trzech tysięcy ludzi w samych tylko pierwszych trzydziestu minutach szturmu. „Ponawiane ataki wroga – zapisał w swoim dzienniku Halder tonem zdecydowanie lekceważącym – ale nic naprawdę wielkiego”[16]. W taki właśnie sposób – nieskoordynowany, rwany i chaotyczny – ofensywę kontynuowano przez cały styczeń i luty. Hockenjos, powracający do Zwanki 20 stycznia, zastał klasztor na wpół zniszczony w wyniku ostrzału artyleryjskiego z przeciwległego brzegu rzeki Wołchow – na krużgankach było pełno lejów po bombach, sklepienie kaplicy kompletnie wypalone, a sosny i dęby porastające zbocza schodzące w dół, do rzeki, zmieniły się w „nędzne miotły”. Miesiąc później z łatwością odparto kolejne natarcie Rosjan:

„Iwan udekorował budynki i ich okolice całą wiązanką pozdrowień od artylerii, dział przeciwczołgowych i granatników. Szczytem wszystkiego było pojawienie się w biały dzień, na otwartej przestrzeni, piętnastu Rosjan ubranych w kurtki narciarskie i najwyraźniej mocno nagrzanych wódką. Porucznik artylerii Vogt i ja obserwowaliśmy ich z okopów komunikacyjnych na wysuniętym zboczu. Najpierw zbliżyli się do grupki ciemnych sylwetek siedzących pośrodku rzeki Wołchow od ostatniego ataku Rosjan i przeszukali ich na okoliczność czegoś do zjedzenia. Przez nasze lornetki mogliśmy dostrzec, jak wyciągają konserwy z plecaków tych martwych ludzi. Następnie podążyli przez śnieg w kierunku naszego skraju lasu ciągnącego się od północnej

strony wzgórza klasztornego aż do rzeki. Kiedy brakowało im już tylko dwustu metrów, walnęliśmy do nich z naszych wielkich dział. Cel ustawiony był dobrze – większość z tej piętnastki już się nie podniosła. Ja tam pozwoliłbym chłopakom podejść bliżej moich wartowników, żeby można ich było załatwić z karabinów, a nawet na sam skraj lasu, gdzie moi ludzie leżeli i czekali już od jakiegoś czasu. Ale ci od ciężkiej broni nie chcieli przegapić takiej kaszki z mleczkiem.

Wieczorem dwóch martwych Rosjan próbowało na powrót ożyć, ale mój wartownik był uważny i z miejsca ich zastrzelił. Kolejnych paru Rusków mniej”[17].

Kilka kilometrów dalej w górę rzeki, naprzeciwko wioski Miasnoj Bor, radziecka ofensywa poczyniła większe postępy. Jej siłę uderzeniową stanowiła nowo sformowana 2 Armia Uderzeniowa, która – mimo że dowodzona przez jednego z pachołków Berii, nieudolnego w sprawach wojskowych, składająca się z rekrutów pochodzących z bezleśnych stepów nadwołżańskich – przełamała linie niemieckie 17 stycznia i przeniknęła głęboko na tyły Wehrmachtu. Do końca lutego jej 100 tysięcy żołnierzy zdołało zająć i utrzymać przyczółek o powierzchni około 50 kilometrów kwadratowych, którego północny brzeg był odległy o zaledwie 10 kilometrów od jednego z kluczowych celów całej ofensywy: węzła kolejowego w Lubaniu.

Georg von Küchler (w środku) podczas inspekcji jednostki na Froncie Wschodnim, luty 1944 roku.

Wszystkie te zdobycze wyglądały jednak znacznie bardziej imponująco na papierze niż w rzeczywistości. Wysiłki podejmowane w celu rozszerzenia wyrwy poczynionej w liniach nieprzyjaciela spełzały na niczym wobec błyskawicznie wzywanych przezeń posiłków. Lubań, choć tak bliski, pozostawał wciąż poza zasięgiem, a odzyskany teren składał się – pomijając kilka rozproszonych wiosek – z płaskiego i praktycznie niezamieszkanego lasu, torfowisk i mokradeł. Zdając sobie sprawę z niekorzystnego położenia 2 Armii Uderzeniowej, Hitler 2 marca rozkazał nowemu dowódcy Grupy Armii „Północ", Georgowi von Küchlerowi (który w styczniu zastąpił von Leeba) przeprowadzenie operacji *Raubtier*, „Drapieżnik", mającej odciąć tę armię od pozostałej części wojsk na Froncie Wołchowskim. „Koncentracja sił powietrznych w tym sektorze – napisał w swoim dzienniku Halder – wymagana jest w dniach 7–14 marca (...). Po wyeliminowaniu klina wołchowskiego nie będzie się tracić krwi na zmiażdżenie nieprzyjaciela na bagnach; może

on tam pozostać i zagłodzić się na śmierć”[18]. Natarcie lądowe rozpoczęło się o świcie 15 marca, a w ciągu pięciu dni odcięto obie drogi – nazwane imionami „Erika” i „Dora” – wiodące do przyczółka. Po trwających do końca miesiąca desperackich walkach wokół Miasnego Boru, dających przewagę raz jednej, raz drugiej stronie, Rosjanom udało się ostatecznie utrzymać korytarz o szerokości zaledwie półtora kilometra, którym pod osłoną nocy można było dostarczać saniami zaopatrzenie teraz niemal już odciętej 2 Armii Uderzeniowej.

W kwietniu rozpoczęła się odwilż. Dźwięcząca w uszach cisza ustąpiła miejsca szmerowi płynącej wody, a siarczyste mrozy – mżawkom. Wciąż zakwaterowany w Zwance Hockenjos obserwował zmieniający się krajobraz i robił zdjęcia pierwszym niewielkim spłachetkom ziemi – ciemnej i upstrzonej zeschłymi źdźbłami trawy – wyglądającym nieśmiało spod śniegu, a także przesiadywał godzinami na szczycie klasztornej dzwonnicy:

„Kępy trzcin, szerokie zakola wody na przemian z pasami pożółkłej trawy, czarne wrzosowisko i gdzieniegdzie resztki śniegu. Nad tym wszystkim jasne wiosenne niebo, z pięknymi barankami obłoków: morze rozradowanych skowronków i rozkrzyczanych czajek. A w bagnistym lesie po prawej stronie szczygły w każdym krzaku (...). Wszędzie wokół ludzie wylegli przed bunkry, pozdejmowali koszule, obnażając pobladłe torsy (...). Pogwizdują i podśpiewują. Ten radosny hałas niesie się pewnie aż do Rosjan, ale nie zamierzam go zakazywać”[19].

Dla uwięzionej w pułapce 2 Armii Uderzeniowej odwilż przyniosła wyłącznie kolejne nieszczęścia. Korytarz łączący ją z pozostałą częścią rosyjskiego frontu stał się niemożliwy do przebycia, unieruchamiając zarówno dostawy zaopatrzenia, jak i ewakuację rannych. Padały konie, które natychmiast zjadano, ziemianki zalewała woda, a pociski musieli zacząć nosić sami żołnierze, brodzący po pas w bagnie albo skaczący „niczym króliki” z kępy na kępę, przy szyderczych okrzykach Niemców: *„Rus, kup-kup!”*. Dla osłony Rosjanie za dnia budowali „przedpiersia” z gałęzi, mchu i opadłych liści; nocami spali na otwartej przestrzeni, skupiając się wokół ognisk, przy których mogli osuszyć przemoknięte walonki i pikowane kurtki. Aby tchnąć w ofensywę nowe życie, Stalin

dokonał przetasowań wśród swoich generałów, odwołując Mierieckowa i podporządkowując Front Leningradzki Frontowi Wołchowskiemu, teraz pod dowództwem protegowanego Żukowa, Michaiła Chozina. Dowództwo 2 Armii Uderzeniowej przekazano zaś pospiesznie ściągniętemu na miejsce Andriejowi Własowowi, zawodowemu żołnierzowi o słusznym wzroście i z okularami na nosie, który wcześniej wyprowadził 37 Armię z okrążenia pod Kijowem i walczył na szpicy grudniowej kontrofensywy na przedpolach Moskwy. 12 maja, po otrzymaniu od wywiadu informacji, że Niemcy ściągają posiłki, Chozin rozkazał Własowowi wydostać się z okrążenia i dołączyć do pozostałej części wojsk Frontu Wołchowskiego. Choć przez korytarz nieopodal Miasnego Boru udało się wydostać pięciu dywizjom i czterem brygadom, a – wedle źródeł niemieckich – co najmniej dwa tysiące żołnierzy zdezerterowało, wewnątrz niemieckiego „kotła" wciąż pozostawało uwięzionych kolejnych siedem dywizji i sześć brygad, liczących łącznie około dwudziestu tysięcy ludzi[20]. Wspomina jeden z ocalałych:

„Nieprzyjaciel najpierw brał którąś jednostkę w okrążenie, czekał, aż osłabnie z braku zapasów, a potem rozpoczynał ostrzał.

Byliśmy zupełnie bezradni, ponieważ nie mieliśmy ani amunicji, ani benzyny, ani chleba, ani tytoniu, ani nawet soli. Ale najgorszy ze wszystkiego był brak pomocy medycznej. Żadnych lekarstw, żadnych bandaży. Chcesz pomóc rannym, ale jak? Już dawno temu podarliśmy całą naszą bieliznę na bandaże, teraz zostały nam już tylko mech i wata. Szpitale polowe pękają w szwach, a nieliczny personel medyczny jest zrozpaczony. Setki rannych, którzy nie są w stanie sami chodzić, po prostu leżą pod krzakami. Wokół nich kłębią się roje komarów i much, zupełnie jak pszczoły w ulu. Jeśli podejdziesz zbyt blisko, cały ten rój przenosi się do ciebie, przykrywa cię całego, dostaje ci się do ust, oczu, uszu – to nie do zniesienia. Komary, muchy i wszy – nasi znienawidzeni wrogowie (...). Wszy to zresztą nic nowego, ale żeby w takich ilościach? (...) Te szare diablice zjadają nas żywcem, z apetytem, całkowicie pokrywając nasze ubrania i ciała. Nie ma nawet sensu próbować ich rozgniatać; wszystko, co można zrobić, jeśli ma się wolną chwilę, to

strząsnąć je na ziemię. Na jednym guziku można ich znaleźć sześć albo siedem…

Podstawowym problemem był jednak głód. Męczący, nigdy niekończący się głód. Gdziekolwiek szedłeś, cokolwiek robiłeś, nigdy nie opuszczały cię myśli o jedzeniu (…). Nasze zaopatrzenie w żywność zależało teraz od dostaw powietrznych wykonywanych przez U2 [typ małego jednosilnikowego dwupłatowca]. Każdy z nich mógł zabrać pięć-sześć worków sucharów. Ale nas były tysiące – jak u licha mogło to wystarczyć dla wszystkich? Jeśli taki worek wyląduje szczęśliwie, czyli bez rozdarcia się przy uderzeniu, oznacza to po jednym kawałku suchego chleba na dwóch żołnierzy. W przeciwnym razie jesteś zdany tylko na siebie, musisz jeść to, co uda ci się znaleźć – korę, trawę, liście, paski z uprzęży… Raz ktoś znalazł stary ziemniak zagrzebany w popiele po jakiejś spalonej szopie. Rozkroiliśmy go i każdy dostał po małym kawałeczku. Co za uczta! Niektórzy lizali swój kawałek, inni go wąchali. Ten zapach przypomniał mi dom i rodzinę”[21].

Kolejne zmiany na szczytach dowodzenia – odwołanie Chozina i rozdzielenie dwóch północnych frontów (Front Wołchowski przypadł ponownie zrehabilitowanemu Mierieckowowi, a Leningradzki – małomównemu artylerzyście o pokerowej twarzy, Leonidowi Goworowowi) – nastąpiły zbyt późno, by móc w jakikolwiek sposób wpłynąć na rozwój sytuacji[22]. Do połowy czerwca resztki 2 Armii Uderzeniowej zostały zepchnięte na niewielki pas mokradeł leżący na zachód od Miasnego Boru:

„Białe noce, więc przez dwadzieścia cztery godziny dziennie mieliśmy nad głowami niemieckie samoloty, ostrzeliwujące nas i zrzucające bomby. Hałas ostrzału artyleryjskiego był nieprzerwany i ogłuszający, podobnie jak odgłos łamanych i palących się drzew (…). Nie byliśmy już żadnym wojskiem – byliśmy tłuszczą na bazarze. Kompletny zamęt – żadnej łączności między jednostkami, posłuszeństwo wobec dowództwa przestało istnieć. Żadnych informacji o naszym własnym położeniu, za to niezliczone ilości niemieckich materiałów propagandowych – ulotek, gazet, kolorowych odezw, walających się po ziemi i wzywających nas do poddania się (…). Las płonie, torf się tli. Wszędzie pełno lejów po bombach, poskręcanych,

połamanych drzew, a także stosów bezużytecznych karabinów i zniszczonych lawet z działami. I trupy – gdzie tylko spojrzysz, trupy. Są ich tysiące, śmierdzących i pokrytych muchami, rozkładających się w czerwcowym słońcu. Mijasz takiego, a wszystkie muchy wzlatują znad niego wprost przed twoją twarz – nic nie widzisz, włażą ci do oczu, do nosa, wszędzie. Wielkie, tłuste, brzęczące muszyska – na samą myśl o nich aż wzbiera obrzydzenie. Na każdym skrawku suchej ziemi leżą ranni żołnierze, krzycząc, jęcząc, błagając – niektórzy o wodę, inni o to, by ktoś ich dobił. Ale nikogo to nie obchodzi. Ludzie błąkają się po lasach, obojętni, posępni, na wpół oszalali; w czapkach z nausznikami zawiązanymi pod brodą tak, by w twarz nie cięły ich komary; z oczami czerwonymi i opuchniętymi z braku snu (...). Nikt nie ma zegarka, nie liczymy już czasu. Którego dzisiaj mamy? Czy to dzień, czy noc?”[23].

Koniec nadszedł w ciągu kilku kolejnych, wciąż niezmiennie rozświetlonych nocy od 21 do 24 czerwca, podczas całej serii samobójczych prób wyrwania się z okrążenia przez korytarz między niemieckimi liniami, teraz długi już na cztery kilometry, a szeroki na zaledwie kilkaset metrów. Ci, którzy zachowali jeszcze resztki sił, nieśli karabiny, ranni i najbardziej wycieńczeni szli zaś z pustymi rękami. Ogień otworzony przez Niemców był, wedle słów jednego z ocalałych, „tak zaciekły, że wszystko wokół wzbijało się w powietrze – ludzie, ziemia, drzewa. Nie było nic widać, tyle było dymu”. Potykając się o stare i wciąż przybywające trupy, żołnierz ów schronił się w leju po bombie, a następnie zsunął ze skarpy, tuż obok niemieckiego czołgu, wprost do jakiegoś strumienia. „Zapadła zadziwiająca cisza, a potem nagle jakiś głos: «Stój! Kto idzie?!». To byli nasi. Przedostaliśmy się wreszcie na drugą stronę”[24].

Wśród tych, którzy się nie przedostali, był również generał Własow, który kilka dni wcześniej zerwał wszelką łączność radiową z kwaterą główną swojego frontu. Kwestią niewyjaśnioną pozostaje, co dokładnie działo się z nim przez kolejne trzy tygodnie. Wiemy tylko, że 12 lipca został pochwycony przez Niemców w jednej z wiosek leżących na zachodnich obrzeżach przyczółka i przetransportowany drogą lotniczą do Winnicy w środkowej Ukrainie, do siedziby nowej kwatery Hitlera, a zarazem lokalizacji specjalnego obozu dla wysokich rangą jeńców

radzieckich. Tutaj – być może w przypływie wściekłości na to, jaką katastrofą zakończyła się operacja pod Miasnym Borem, a może w wyniku skumulowanych przez całe lata i długo tłumionych wątpliwości i frustracji – Własow zwrócił się przeciwko Stalinowi, pisząc do niemieckich władz list. Argumentował w nim, że skoro wielu radzieckich obywateli silnie sprzeciwia się bolszewizmowi, cywile na terytoriach okupowanych winni być traktowani lepiej, a radzieckich jeńców wojennych należy wcielać do Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej. Jak się okazało, źle ocenił adresatów swojego apelu. „Nigdy nie zbudujemy jakiejś Rosyjskiej Armii – szydził Hitler. – To doprawdy pierwszorzędne urojenie". Choć naziści wykorzystywali potem Własowa do celów propagandowych, obwożąc go po terytoriach okupowanych i podpisując jego nazwiskiem ulotki wzywające Armię Czerwoną do poddania się, nigdy nie dane mu było spotkać się z Hitlerem, a komendę nad dwiema dywizjami sformowanymi z rosyjskich jeńców przyznano mu dopiero pod koniec stycznia 1945 roku. Cztery miesiące później schwytali go Sowieci w zamieszaniu w trakcie powstania praskiego, a w lipcu 1946 roku postawiono go przed zamkniętym sądem i następnie powieszono[25].

Zdrada Własowa miała fatalne skutki również dla reputacji 2 Armii Uderzeniowej, której koniec został w ten sposób przedstawiony w nowym świetle: już nie jako heroiczna walka do ostatniego człowieka, lecz jako rozmyślne i masowe oddanie się w ręce nieprzyjaciela. W sierpniu ściągnięto zza niemieckich linii szefa łączności Własowa, niejakiego generała-majora Afanasjewa, który kilka minionych tygodni spędził z partyzantami, żywiąc się jeżami i leśnym szczawiem. Raport z jego przesłuchania, podczas którego opisywał on Własowa jako człowieka popadającego w bezmyślne otępienie, a następnie samotnie oddalającego się w głąb lasu, cały przesiąknięty jest strachem przed oskarżeniem o zdradę. Afanasjew twierdzi na przykład, że lecąc z powrotem za linie radzieckie, nie mógł się powstrzymać od wydawania okrzyków: „Hurra! Niech żyje nasz Wielki i Ukochany Przyjaciel i Nauczyciel, Towarzysz Stalin!", choć był w samolocie „jedynym pasażerem, a pilot nie mógł go usłyszeć"[26].

Andriej Własow (z prawej) w towarzystwie niemieckiego generała dokonuje przeglądu oddziału Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej.

Już po wojnie 2 Armia Uderzeniowa stała się tematem tabu. Nie opisywano jej historii, nie organizowano dla jej upamiętnienia żadnych uroczystości, nie wznoszono też żadnych pomników, a wdowom po walczących w jej szeregach żołnierzach odmawiano wojskowych emerytur. Weterani byli zmuszeni traktować swoją w niej służbę jako wstydliwą tajemnicę, równie niegodną wyjawienia, jak fakt bycia synem kułaka czy popa. Proces rehabilitacji zaczął się dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy to grupki miejscowych ochotników zaczęły zapuszczać się w głąb dziewiczych lasów, by tam odszukiwać i sprawiać godne pochówki dziesiątkom tysięcy wciąż niepogrzebanych ciał.

Sasza Orłow jest synem jednego z założycieli ruchu ochotników. W woderach i kurtce wojskowej stoi on obok sfatygowanego pojazdu opancerzonego w leśnej głuszy o kilka kilometrów na południowy wschód od Miasnego Boru. Śnieg i niebo zlewają się w jedną, płaską

i monotonną szarość; nie przełamują jej nawet wyblakłe kolory suchych trzcin i odrastającej na nowo wikliny. Zaraz za nim, tam gdzie grunt opada w dół, płynie rzeka Wołchow. Pomijając ćwierkające ptaki w pobliskich krzakach, panuje tu całkowita cisza. W tym miejscu, wyjaśnia Sasza, znajdował się niemiecki bunkier. Kopiąc nogą w śniegu, błyskawicznie znajduje stary skórzany but, zardzewiałą piłę, dwie wypełnione ziemią zielone butelki po winie, kawałek pasa z amunicją, rurę od piecyka, resztki czegoś, co kiedyś było zapewne zwiniętym szlauchem, oraz dziesiątki spiczasto zakończonych nabojów do karabinu, kaliber 7.92 milimetrów, ułożonych w równych rządkach w zbutwiałej drewnianej skrzyni. Ignorując nerwowe uwagi na temat bezpieczeństwa, Sasza rozbija następnie jeden z nabojów o kamień i wysypuje z niego niewielką kupkę lśniących, szarawych opiłków. Słychać trzask zapalniczki i kupka zajmuje się ogniem, wyrzucając na wszystkie strony miniaturowe fontanny jasnych białych iskier.

Znaleziska dokonane przez grupę są prezentowane w sali gimnastycznej miejscowej szkoły. Znajdują się tu ręcznie namalowane ścienne mapy, na których linie frontu zostały starannie zaznaczone nachodzącymi na siebie czerwonymi i szarymi kreskami, wielki asortyment broni (raz na jakiś czas milicja ją nam odbiera, mówi Sasza, ale wtedy jego grupa po prostu idzie do lasu i przynosi nową), a także trochę „śmiecia" w postaci hełmów, butelek po wodzie czy cynowych łyżek z inicjałami wydrapanymi na rączkach cyrylicą. Trzy grube segregatory wypełnione są odpowiednikami żołnierskich blaszek identyfikacyjnych stosowanymi w Armii Czerwonej: wąskimi paskami papieru, zapisywanymi ręcznie, a następnie zwijanymi i wkładanymi do środka małych, zakręcanych cylindrów z bakelitu. Kiedy dziś są one odnajdywane, z reguły nie sposób ich już odczytać, co skutkuje tym, że z dwudziestu dziewięciu tysięcy ciał odnalezionych dotąd w rejonie Miasnego Boru, zidentyfikowanych zostało zaledwie tysiąc osiemset. Na ścianie wisi znalezisko, z którego Sasza jest najbardziej dumny, wykopane w miejscu, w którym znajdowała się ostatnia kwatera Własowa. To matryca drukarska (ołowiane czcionki wciąż są wciśnięte w skorodowaną metalową ramkę) jednostronicowej „gazety" 2 Armii Uderzeniowej. Jej nagłówki głoszą: „Śmierć niemieckim okupantom!",

„Nieprzyjaciel nie przełamie naszego oporu!” i „Nasze zwycięstwo jest bliskie!”. To konkretne wydanie, niemal z całą pewnością nigdy nie wydrukowane, miało się ukazać z datą środową, 24 czerwca – w dniu, w którym resztki 2 Armii Uderzeniowej podjęły ostatnią próbę wyrwania się z okrążenia korytarzem nieopodal Miasnego Boru.

Łącznie, zimowa ofensywa, prowadzona od stycznia do kwietnia 1942 roku, zakończyła się utratą 308 tysięcy spośród 326 tysięcy żołnierzy rzuconych do walki na obu frontach: Leningradzkim i Wołchowskim. Z tej liczby 213 303 uznano za „straty medyczne” – byli to ranni oraz zmarli w szpitalach – 95 tysięcy zaś za „straty nieodwracalne” – polegli w boju, wzięci do niewoli albo zaginieni. Operacje podjęte w maju i czerwcu kosztowały oba północne fronty utratę kolejnych 94 tysięcy ludzi, z których co najmniej 48 tysięcy, według źródeł niemieckich, zostało wziętych do niewoli pod Miasnym Borem[27].

Ilja Frenklach, ocalały z równie zdziesiątkowanego Zaciągu Narodowego, został przeniesiony do jednostki rozpoznawczej przy 52 Armii na Froncie Wołchowskim. Jego zadanie polegało na leżeniu całymi godzinami bez ruchu na terytorium niczyim i obserwowaniu linii nieprzyjaciela przez lornetkę. Wszędzie wokół niego było pełno trupów, a porównując stan ich rozkładu, dało się stwierdzić, czy uczestniczyły one w jesiennym, czy może już w wiosennym „poborze do nieba”. Frenklach wspomina:

„Leżąc tam, nie sposób było oprzeć się rozmyślaniu i porównywaniu: dlaczego Niemcy są tak dobrze wyszkoleni, podczas gdy my możemy tylko próbować pokonać ich przewagą liczebną? Dlaczego oni korzystają z techniki i rozumu, a my mamy wyłącznie nasze bagnety? Dlaczego za każdym razem, gdy ruszamy do ataku, rzeki spływają naszą krwią, a pola pełne są naszych trupów? Gdzie są nasze czołgi? Komu potrzebna jest zapadła wiocha Dubrowka? I mnóstwo innych pytań, bez odpowiedzi.

A potem pojawiało się uczucie mdłości – tylko ludzie walczący na frontach Leningradzkim albo Wołchowskim w pierwszych dwóch latach wojny zrozumieją, co mam na myśli. Gdyby nasi generałowie

i pułkownicy właściwie wykonywali swoją pracę, zwyciężylibyśmy, ponosząc jakąś jedną czwartą tych wszystkich strat (...). Rzeźnicy i grabarze – tych mieliśmy naprawdę pod dostatkiem”[28].

19. NIEŚMIAŁA RADOŚĆ ŻYCIA I ODDYCHANIA

Przez całą wiosnę i lato 1942 roku do tych, którzy mieli jeszcze dość wewnętrznej energii, by się im przysłuchiwać, napływały z Sowinformu doniesienia układające się w długie pasmo złych i bardzo złych wieści. Klęska 2 Armii Uderzeniowej pod Miasnym Borem (wywiedziona z faktu, iż nagle przestano o niej w ogóle wspominać) zbiegła się z okrążeniem i utratą dwustu tysięcy żołnierzy pod Charkowem, a także z odwrotem z Półwyspu Kerczeńskiego na Krymie, po tym jak jego obrona została koncertowo spartaczona przez Lwa Mechlisa, tego samego ignoranta od brudnej roboty, który wcześniej wydatnie przyczynił się do zamienienia styczniowej ofensywy pod Leningradem w kompletną katastrofę. Najboleśniejszym ciosem był jednak upadek Sewastopola, który nastąpił 4 lipca. Ta ważna baza marynarki wojennej i historyczna siedziba rosyjskiej Floty Czarnomorskiej znajdowała się w okrążeniu już od listopada ubiegłego roku: 106 tysięcy radzieckich żołnierzy broniło miasta przed 203 tysiącami Niemców i Rumunów, dowodzonych przez Ericha von Mansteina. Cywilnych mieszkańców Sewastopola nie ewakuowano – tak jak w Leningradzie – a jedynie kazano im się schronić przed intensywnym ostrzałem artyleryjskim w piwnicach, jaskiniach i katakumbach, gdzie wytwarzali ubrania i amunicję, żywiąc się psami i kotami.

Trzy dni przed tym, jak Stalin wydał wreszcie rozkaz o poddaniu miasta – odpowiadający za nie admirał potajemnie odpłynął na pokładzie jednej z łodzi podwodnych – prasa wciąż przechwalała się, jakże jest ono niezwyciężone: „Sewastopol – grzmiała «Krasnaja Zwiezda» – to chwała Rosji, duma Związku Radzieckiego. Widzieliśmy już kapitulacje miast, znamienitych twierdz, państw. Ale Sewastopol się nie podda. Nasi żołnierze nie grają w żadne wojenne gry. Oni walczą na śmierć i życie. Nie mówią: «Poddaję się», kiedy widzą kilka nieprzyjacielskich pionków na szachownicy”[1].

Była to czytelna aluzja do Tobruku, libijskiego portu zajmowanego przez brytyjską 8 Armię i kluczowego dla jej planów obrony Egiptu, który jednak dziewięć dni wcześniej został niemal bez rozlewu krwi zdobyty przez feldmarszałka Rommla, wraz z trzydziestoma trzema tysiącami brytyjskich i południowoafrykańskich żołnierzy oraz dużą ilością zapasów. Churchill dowiedział się o tym w Gabinecie Owalnym, w samym środku spotkania z Rooseveltem. Jak wspominał jeden z obecnych na tym spotkaniu generałów: „To był straszliwy szok. Po raz pierwszy w mojej karierze widziałem, że premier się wzdryga". W sierpniu wysłannik Churchilla i Roosevelta, Averell Harriman, przyleciał do Moskwy, aby przygotować ich pierwsze spotkanie na szczycie ze Stalinem, podczas którego obaj przywódcy wyjaśnili radzieckiemu dyktatorowi, że obiecywane wcześniej lądowanie wojsk w północnej Francji zostaje odłożone na czas nieokreślony, ustępując miejsca operacji *Torch* („Pochodnia"), zmierzającej do zaatakowania Rommla od tyłu, przez pozostające pod kontrolą rządu w Vichy Maroko i Algierię. Reakcja Stalina była tak grubiańska, że tłumacz Churchilla sądził, iż jego rosyjski odpowiednik musiał coś poplątać w przekładzie. On jednak przełożył słowa dyktatora wiernie i dokładnie – otóż Stalin mówił swoim sprzymierzeńcom prosto w twarz, że po prostu boją się Niemców[2].

Gdy wielkie mocarstwa spierały się o wojenną strategię, do Leningradu nadeszła wiosna. Lód na kanałach kruszył się i pękał, z dachów i balkonów zsuwały się ciężkie lawiny wodnistego śniegu, a kanciaste bryły zamarzniętego na kamień piasku do gaszenia pożarów (obudowujące je skrzynie z desek dawno już zostały rozebrane na opał) odtajały i rozkruszyły się na mniejsze cząstki. W Ermitażu woda z pękających rur zalała piwnicę pod Salą Ateny, zatapiając kolekcję osiemnastowiecznej porcelany. Personel, teraz już niemal w całości składający się z kobiet, brodził w mętnej wodzie, rozgarniając na boki pływające po powierzchni oznakowania katalogowe i delikatnie wyławiając figurki miśnieńskich pasterzy i pastereczek. W naruszonej przez bomby konstrukcji dachu zaczęły się pojawiać nieszczelności, a kadetom wojskowym pomagającym przenosić antyczne meble

w suche miejsca dziękowano, oprowadzając ich po galeriach muzeum, w których pracownik placówki, prowadząc „zwiedzających" od jednej pustej ramy do drugiej, tłumaczył, jakich dokładnie arcydzieł w nich brakuje[3].

W miarę jak dni stawały się dłuższe, a racje żywnościowe większe, leningradczycy zaczynali wyłaniać się ze swoich „małych wycinków świata", na powrót zaznajamiając się ze światem zewnętrznym oraz ze zwykłymi ludzkimi odczuciami. Olga Grieczina, wyposażona w koszyk i nożyczki, przeczesywała parki w poszukiwaniu pierwszych okazów mleczy i pokrzyw – tak wielu ludzi wpadło na ten sam pomysł, że musiała zapuścić się aż na strzelnicę, żeby wreszcie jakieś znaleźć. Kiedy 15 kwietnia ruszyły pierwsze tramwaje, ludzie, potykając się, biegli za nimi, na przemian śmiejąc się i płacząc[4]. „W jadalni – napisał Dmitrij Lichaczow o Domu Puszkina – wpadamy na siebie ze słowami: «A więc ty żyjesz! Tak się cieszę!». Ktoś tam właśnie dowiedział się ze smutkiem, że taki a taki umarł, a taki a taki wyjechał z miasta. Ludzie przeliczali się nawzajem, przeliczali też tych, którzy wyjechali, zupełnie jak na apelu w obozie pracy"[5].

1 maja (aby go uświetnić sklepy z jedzeniem udekorowały swoje wystawy sztucznymi owocami i warzywami[2*]) brygadzista stoczniowy Wasilij Czekrizow z radością odnotował fakt, że mężczyźni idący do pracy nie tylko mają krawaty, a kobiety – kapelusze i wyszminkowane usta, ale też część ludzi zjawia się pijana. Zazwyczaj byłby na nich oburzony, ale tego roku uznał to za pożądaną oznakę powrotu do normalności. Kilka tygodni później, zaraz po obudzeniu, ze zdumieniem odkrył, że ma erekcję; równie zdziwiony był, gdy przechodząc podwórzem, usłyszał, jak jakaś kobieta głośno przeklina i zawodzi. „Nie wiem, dlaczego ona płakała. Niemniej jednak łzy są dowodem na to, że sytuacja w Leningradzie się poprawia. Kiedy dzień w dzień na ulicach ciągnięto albo porzucano setki trupów opatulonych w jakieś szmaty, żadnych łez nie było (albo ja ich nie widziałem)"[6].

Pierwszymi emocjami, jakie na powrót pojawiły się u wymyślonego przez Lidię Ginzburg „Człowieka oblężenia", dotąd otępiałego od głodu, były: irytacja – na przeciekające kalosze, na połamane okulary, na

niezdarność przy trzymaniu rękawiczek i torby na zakupy w zatłoczonym sklepie z jedzeniem – a także niecierpliwość, objawiająca się „uczuciem traconego czasu". W następnej kolejności przyszły żal i, nieodstępujące go ani na krok także wcześniej, poczucie winy:

„Ludzie oblężenia zapominali o swoich doznaniach, ale za to pamiętali fakty. Fakty wypełzały powoli z zakamarków pamięci, ukazując się w świetle reguł zachowania, które teraz zaczynały ciążyć na powrót ku ogólnie przyjętym normom.

«Tak chciało się jej cukierków. Dlaczego zjadłem tamtego cukierka? Mogłem nie jeść. Wszystko byłoby wtedy inaczej...» W taki właśnie sposób «Człowiek oblężenia» myśli o swojej żonie albo o matce, której śmierć uczyniła fakt zjedzenia słodyczy nieodwracalnym. Pamięta ten fakt, ale nie jest w stanie przywołać uczucia: uczucia towarzyszącego zjedzeniu tego kawałka chleba albo tych słodyczy, które popychało go do czynów okrutnych, haniebnych, poniżających"[7].

Jedną z takich owładniętych poczuciem winy ocalałych była Olga Bergholc, której chory na epilepsję mąż Kola zmarł w szpitalu jeszcze w lutym. Swoje smutki i wyrzuty sumienia przelewała teraz na karty dziennika: dlaczego nie odwiedzała go każdego dnia? Dlaczego nie była przy nim, gdy umierał? Dlaczego nie zaniosła mu kilku herbatników z tych, które przysłała jej siostra z Moskwy? A przede wszystkim: jak powinna teraz zachowywać się wobec swojego kolegi z Radiokomitetu, Jurija (Jurki) Makogonienki, z którym wciąż łączył ją pełen namiętności romans?

„Dziś przez cały dzień przed oczami stawał mi Kola, w dniu, w którym odwiedziłam go po raz drugi w szpitalu na Piesocznej. Widziałam jego spuchnięte ręce, całe popękane i pokryte wrzodami. Widziałam, jak ostrożnie podawał je siostrze, żeby mogła zmienić na nich bandaże, a jednocześnie bez przerwy coś mamrotał, utrudniając mi karmienie, sprawiając, że rozlewałam bezcenne jedzenie. Wpadłam w rozpacz i w przypływie wściekłości ugryzłam go w tę jego biedną spuchniętą rękę. Och, ty suko! (...) Byłam nim zmęczona. Zdradziłam go. Nie, to nie tak. Wcale go nie zdradziłam, tylko okazałam się słaba i bezduszna. Tak właśnie nazywa mnie teraz Jurka! Ale przecież to

oznacza zdradę wobec Koli! A JA NIE ZDRADZIŁAM. Nigdy. Ale oddanie serca Jurce, to popełnienie zdrady wobec niego (...). Jestem nieszczęśliwa w pełnym, absolutnym sensie tego słowa (...). Mam nadzieję, że wszystkie straszne rzeczy, jakie mogą się zdarzyć, przydarzą się mnie".

Zalew targających nią uczuć zbiegł się w czasie z powszechnym i oficjalnym sukcesem jej długiego poematu *Dziennik lutowy*. Pod koniec marca Bergholc poleciała samolotem do Moskwy, by uczestniczyć tam w całej serii odczytów i przyjęć, w tym również w centralnej siedzibie NKWD („Przypuszczam, że były wśród nich jakieś osobniki ludzkie, ale jakież to prostaki, jakie chamy"). Z tej właśnie sposobności skorzystała, by upomnieć się o swojego ojca, w tym akurat czasie wywożonego więziennym pociągiem w kierunku Minusińska na południowej Syberii.

„Pisze: «Skontaktuj się z kim tylko będziesz mogła – z Berią etc. – ale wydostań mnie stąd». Jedzie tak już od 17 marca. Karmią ich raz dziennie, a czasem nawet i to nie. W jego wagonie zmarło już sześciu ludzi, a kilku innych tylko czeka na swoją kolej... Mój Boże, o co my walczymy? Za co umarł Kola? Dlaczego ja chodzę po świecie z palącą raną w sercu? Dla systemu, w którym wspaniała osoba, wybitny lekarz wojskowy i prawdziwy rosyjski patriota, doznaje zniewag, jest niszczony, skazywany na śmierć – i nikt nie może z tym nic zrobić"[8].

Choć udało się jej doprowadzić do spotkania z sekretarzem organizacji partyjnej w NKWD, nie przyniosło to żadnych rezultatów: „Ucięliśmy sobie «pogawędkę» (nie potrafię nawet o tym mówić i nie trząść się cała z nienawiści). Przyjął moją pisemną prośbę i obiecał, że przekaże ją dalej, do Narkomu, jeszcze tego samego wieczoru. Ale czy oni coś zrobią? Trudno mi w to uwierzyć". I rzeczywiście – sprawę przekazano ponownie do Leningradu („po prostu uwolnili się od problemu"), a jej ojcu nie pozwolono wrócić do domu aż do końca wojny.

Rozpacz Bergholc była tym większa, że moskwianie zupełnie nie zdawali sobie sprawy z powagi wydarzeń w Leningradzie. Zarówno o klęskach militarnych z pierwszych miesięcy wojny, jak i o głodzie po prostu się w wiadomościach nie wspominało. Choć w gazetach ukazywały się pojedyncze wzmianki o „brakach żywności", pojawiały się

one rzadko i mimochodem, ginąc w całym zalewie makabrycznych doniesień o liczbie cywilów zabitych w wyniku kolejnych niemieckich ostrzałów czy bombardowań[9]. Na użytek wewnętrzny opracowano cały zestaw eufemizmów mających zamaskować straszliwy wymiar tej tragedii: zamiast o „głodzie" czy „wygłodzeniu" (w języku rosyjskim to jedno i to samo słowo: *gołod*) raporty krążące w aparacie władzy mówiły o „wycieńczeniu", „awitaminozie", „skumulowanych efektach niedożywienia", „śmierci z powodu trudności z zaopatrzeniem w żywność" albo – najczęściej – o „dystrofii", wymyślonym właśnie wtedy pseudomedycznym terminie, który przeniknął także do języka zwykłych ludzi i jest powszechnie stosowany do dziś[10]. Chociaż Bergholc mogła bez przeszkód rozmawiać ze swoimi moskiewskimi przyjaciółmi – przyłapywała się zresztą na tym, że robi to „bez przerwy, z tępym, wyobcowanym poczuciem zaskoczenia", zupełnie tak, jak wówczas, gdy wypuszczono ją z więzienia w 1939 roku – to już jej audycje radiowe były poddawane silnej cenzurze. Jak napisała:

„Zyskałam przeświadczenie, że oni tutaj nic nie wiedzą o Leningradzie. Wydaje się, że nikt nie ma choćby najmniejszego pojęcia o tym, przez co przechodzi to miasto. Mówią, że leningradczycy to bohaterowie, ale nie wiedzą, na czym polega to ich bohaterstwo. Nie wiedzą, że był u nas głód, że ludzie umierali z głodu, że nie działała publiczna komunikacja, że nie było prądu ani wody. Nigdy nie słyszeli o takiej chorobie jak «dystrofia». Ludzie mnie pytają: «Czy ona jest niebezpieczna?» (...). A ja w radiu nie mogłam nawet otworzyć ust, bo powiedziano mi: «Możesz mówić, o czym chcesz, ale żadnych wspomnień dotyczących okresu głodu. Żadnych, żadnych. Odwaga leningradczyków, ich bohaterstwo – oto, czego nam potrzeba (...). Ale ani słowa o głodzie»"[11].

Wiozący ze sobą skrzynki cytryn i puszki skondensowanego mleka, Bergholc wróciła do Leningradu 20 kwietnia, by przekonać się na miejscu, że skończyła się zima i Niemcy wznowili naloty. Wraz z Makogonienką przeprowadziła się z jego pokoju na poddaszu z widokiem na uszkodzone po bombardowaniach dachy do leżącego dwa piętra niżej mieszkania jakiegoś dawnego lokatora zabitego niedawno na froncie. W mieszkaniu pełno było należących do aktora

zdjęć, książek, „cała masa małych spodeczków, dwie filiżanki od kompletu i zardzewiała maszynka do mięsa" – to wyposażenie jeszcze pogłębiło dręczące ją poczucie wyobcowania, wywołując u niej wrażenie wchodzenia z butami w czyjeś życie albo wręcz wkraczania w życie po śmierci. Nie potrafiła nic napisać – „to jak krwawe i bolesne wyrywanie czegoś z mojej duszy, niczym zaciętej taśmy z dalekopisu". Doskonałą, jej zdaniem, okazją do wyzywającego zademonstrowania potęgi słowa winna być konferencja pisarzy zorganizowana 30 maja. W rzeczywistości jednak okazała się ona pokazem „zorganizowanej hipokryzji" – nudnym, przesiąkniętym polityką i odbywającym się w cieniu aż nadto odczuwanej wśród kolegów po piórze niebezpiecznej zazdrości o jej nagle i niespodziewanie zdobytą sławę[12].

Sześć tygodni później Makogonienko na jakiś czas stracił pracę w Radiokomitecie za to, że przez nieuwagę nadał w eter jeden z zakazanych wierszy – gorzką i ironiczną *Drogę życia* Zinaidy Szyszowej. Ze względu na nawiązanie do trupa przechowywanego na balkonie, a także rozmyślnie banalną, a przez to niezwykle sarkastyczną w wymowie ostatnią zwrotkę – „Odpoczywaj, synku, zrobiłeś wszystko, co było trzeba / Byłeś przy obronie Leningradu" – cenzura już wcześniej uznała wiersz za „dziwaczny" i „nieledwie prześmiewczy", teraz zaś zdjęto go z anteny dosłownie w połowie wersu na skutek interwencji telefonicznej bezpośrednio z miejskiego Komitetu Partii[13]. Nadano natomiast *Dziennik lutowy* samej Bergholc, tyle że ocenzurowany: trzykrotnie powtarzającemu się wersetowi: „W tym brudzie, mroku, głodzie i smutku" odebrano wyrazistość, zastępując słowa „głód" i „brud" bardziej abstrakcyjnymi, a przez to bezpieczniejszymi: „niewolą" i „cierpieniem"[14]. Pociechą mogły być dla Bergholc wyrazy uznania i wdzięczności napływające ze strony setek zwykłych ludzi. Niektóre z przychodzących listów miały formę półoficjalnych stanowisk jakichś mniej lub bardziej zorganizowanych grup (w tym jednostek Armii Czerwonej czy robotników rolnych z gospodarstw kolektywnych); inne były pisane przez osoby prywatne, dziękujące jej za ubranie w słowa ich własnych doświadczeń i odczuć. Jedna z takich kobiet opisywała, jak kolejne czytane na antenie fragmenty poematu pomagały jej godzić się z wieścią o śmierci syna na froncie; inna – jak uspokajały ją

one podczas prób nakarmienia w ciemnościach umierającego męża, gdy łyżka trafiała często w jego nos zamiast do ust. „To coś naprawdę wspaniałego" – napisała Bergholc:

„Lud Leningradu, w całej masie, leżał w ciemnych, wilgotnych zakamarkach mieszkań, na trzęsących się łóżkach (...). (Boże, sama przecież dobrze wiem, jak leżałam tak bez żadnej woli życia, żadnych pragnień, w tej pustce dookoła). A ich jedyną więzią ze światem zewnętrznym było radio (...). Jeśli dałam im choć chwilę szczęścia – choćby tylko przelotną jego iluzję – wówczas moje życie ma jednak jakiś sens".

Podobnie jak inni upatrywała pełną symboliki pociechę w nadejściu wiosny, w zazielenianiu się lip rosnących na miejskich skwerach (wszystkie bazie aż do wysokości wyciągniętej ręki były pieczołowicie pozrywane) czy w rozrastaniu się kolonii podbiału i rumianku na rumowiskach zbombardowanych domów. Jeden z jej nielicznych autentycznie radosnych wpisów pojawił się którejś ciepłej czerwcowej nocy pod nieobecność Makogonienki, wypatrującego wówczas na dachu bomb zapalających:

„Wczoraj mieliśmy cudowny wieczór. Nie licząc się z kosztami, Jurka kupił olbrzymią wiązkę brzozowych witek. Wnieśliśmy ją do środka i wstawiliśmy do wazonu. Okno było otwarte na oścież, dając widok na szerokie, spokojne niebo.

Powiewał lekki wietrzyk, miasto było bardzo ciche, a zapach brzeziny tak przesłodki, że poczułam, jak odradza się we mnie całe moje życie, wszystkie najwspanialsze dni. Przez duszę przepłynęły mi ciepłe uczucia – szczęścia, pożądania, zadowolenia. Pełne wilgoci i zapachów dzieciństwo w Głuszynie. Pierwszy wieczór z Kolą na wyspie, kiedy on, taki młody i przystojny, pocałował mnie po raz pierwszy. Miałam wtedy na sobie haftowaną bluzeczkę, która również pachniała brzeziną (...). A teraz mam i ten wczorajszy wieczór, gdy leżałam obok przystojnego, kochającego, obecnego męża i czułam całą sobą, że to właśnie jest szczęście – to, że on jest teraz tutaj, leży przy mnie, kocha mnie, i że jest tak cicho i tak pięknie pachnie, pachnie świeżą brzeziną. Wszystko to zlało się w jedno, bezboleśnie – czy też, by być bardziej precyzyjną, zlało

się z przyjemnym bólem. Wszystko było cudowne, nieustające, pełne”[15].

Pod koniec marca ruszyły ponownie usługi pocztowe, co dało leningradczykom możliwość otrzymywania nierzadko pierwszych od miesięcy wieści od ewakuowanych z miasta przyjaciół i krewnych. A ponieważ ewakuowani zwykle mieli jedynie mgliste pojęcie o tym, przez co musieli przechodzić ci, którzy pozostali, takie odnowienie dawnych kontaktów przebiegało niejednokrotnie w dość niezręcznej atmosferze. Filolog klasyczna Olga Fridenberg, chora na szkorbut i poruszającą się o lasce, poczuła się dotknięta lekkim w tonie listem od swojego kuzyna Borisa Pasternaka, w którym opisywał on życie w leżącym na Uralu mieście Czystopol: błoto spływające brukowanymi ulicami, kobiety przychodzące po wodę do hydrantu pod jego oknem i noszące ją wiadrami zawieszonymi na drewnianym koromyśle. „Z jakiegoś powodu – pisał on z niepokojem – czuję, że ten list nie idzie w dobrym kierunku, wyczuwam też (...), że odbierasz go chłodno i z poczuciem wyobcowania”. Miał rację, Fridenberg spodziewała się czegoś więcej: „Nie, nie mogłam oczekiwać wsparcia od kogokolwiek, z którejkolwiek strony – napisała z goryczą. – List mówił o wiadrach wody, o duszy kogoś, po kim wszystko spływa gładko jak po chłodnym marmurze”[16].

Młoda kuratorka Anna Zielenowa jeszcze w lutym napisała list do jednego z kolegów ewakuowanych do Nowosybirska, w którym szczerze i otwarcie opisywała napięcia między pracownikami muzeum ściśniętymi w soborze Świętego Izaaka. Teraz się z tego wycofywała. Obawiała się, że jej pierwszy list mógł wywrzeć na odbiorcy mylne wrażenie: choć bowiem każdy ma jakiś czuły punkt, to próby, które razem przeszli tej zimy, tak naprawdę tylko scaliły ich kolektyw jeszcze mocniej[17]. Bogdan-Bieriezowski, prezes leningradzkiego oddziału Związku Kompozytorów, zaczął otrzymywać prośby od ewakuowanych członków związku o sprawdzenie, co się dzieje z ich mieszkaniami. Było to zadaniem niezwykle uciążliwym, bo wymagającym toczenia bezustannych biurokratycznych bojów z nieuczciwymi zarządcami budynków, a także podejmowania wyczerpujących wędrówek po całym mieście. Chora na tyfus Anna Achmatowa, ewakuowana do pełnego

inteligencji Taszkientu, dowiedziała się tam, że jej były sąsiad, mały chłopczyk przezywany Szakalikiem (Małym Szakalem) zginął w jednym z nalotów. Kiedyś czytywała mu Lewisa Carrolla, teraz zaś napisała dlań własny wiersz:

> Do drzwi piąstką zastukaj – otworzę.
> Otwierałam ci zawsze tak samo.
> Nieschodzone nas dzieli przestworze,
> Góry, wichry i skwar, i bezdroże,
> Ale ja pozostanę twą damą…
> Nie słyszałam ja z ust twoich jęku.
> Nigdy ty mnie o chleb nie prosiłeś.
> Klonu przynieś gałązkę po ciemku
> Lub po prostu zielone źdźbła w ręku,
> Jak przed rokiem mi je przynosiłeś.
> Jeden łyk przynieś wody przeczystej
> Z naszej Newy zimnego strumienia,
> Wtedy ja z twojej główki złocistej
> Krwawe ślady obmyję cierpienia[18].

Jak później odkryła, owe „krwawe ślady" dotyczyły jednak nie samego Szakalika, lecz jego starszego brata, który zginął ponadto nie w niemieckim nalocie, lecz z wygłodzenia.

Wiera Inbier z całego pliku docierających do niej nie po kolei listów od córki, ewakuowanej – podobnie jak Pasternak – do Czystopola, dowiedziała się o śmierci z powodu zapalenia opon mózgowych swojego malutkiego wnuka. „Przeczytałam list do końca. Odłożyłam na bok. Potem wzięłam go nagle do rąk, przeczytałam po raz drugi z nieokreśloną nadzieją, że może mi się tylko zdawało. Nie, to prawda". Z okazji jego pierwszych urodzin Inbier zrobiła mu grzechotkę z różowego celuloidowego pojemniczka, suszonego ziarenka grochu i kawałka wstążki, po czym zawiesiła ją u wezgłowia swojego łóżka.

Teraz uświadomiła sobie, że wówczas nie żył on już od miesiąca, po czym schowała grzechotkę głęboko do szuflady[19]. Wasilij Czurkin na froncie otrzymał dwa listy. Pierwszy, od ojca, informował go, że jego starszy syn, Żenia, został zabity w boju trzy i pół miesiąca wcześniej. Drugi, od młodszego syna, Toli, który opisywał okoliczności śmierci głodowej jego żony, a swojej matki: „Na podwórzu naszego bloku załadowali jej ciało, wraz z wieloma innymi, na ciężarówkę, zupełnie jak drewno na opał. Zabrano ją na cmentarz Piskariowski i pochowano we wspólnym grobie (...). Wiesz, Tato, teraz już tylko ty i ja zostaliśmy z całej naszej rodziny. Zemścij się na tych dwunogich bestiach, Tato, za Mamę i za Żenię!”[20]. Sam Tola ledwie skończył siedemnaście lat i czekał niecierpliwie na powołanie, licząc, że trafi do jednostki swojego ojca.

Dla Władimira Garszyna – pełnego ogłady pięćdziesięcioczteroletniego naczelnego patologa w szpitalu Erismana, a prywatnie jednego z kochanków Anny Achmatowej – sposobem na powrót do normalności była praca. W marcu po raz pierwszy od trzech miesięcy się rozebrał: „Włożono to dziwne, kościste ciało do wody, a następnie je z niej wyjęto. Ciało nie było w stanie samo wydostać się z tej niebiańskiej cieczy. Jak ciepło! (...). To ciało kogoś innego, nie moje. Nie znam go; działa inaczej niż przedtem. Wydala inne odchody; wszystko w nim jest takie nowe i nieznane”. Nowa była także jego osobowość. Miał szczęście, udało mu się przetrwać okres największego głodu i nie popaść ani w obojętność, ani w nienawiść czy wściekłość. (Najlepszy dowód – worek owsa, który dał rodzinie goszczącej Achmatową przed jej ewakuacją, uratował tym ludziom życie[21]). A jednak wiele się zmieniło, a on sam był „nie do końca w porządku”. Musiał wejrzeć w głąb siebie, „przestudiować to nowe ciało i tę nową duszę, zbadać ich najskrytsze zakamarki, jak gdybym przeprowadził się do nowego, nieznanego mieszkania”. Oprócz wglądania w swoje ciało, Garszyn, już całkiem dosłownie, wglądał też, rzecz jasna, w ciała innych ludzi, przeprowadzając sekcje kolejnych trupów w kostnicy szpitala Erismana. Jak było do przewidzenia, brakowało im tłuszczu, ale jego największe zdumienie budził stan poszczególnych organów:

„Oto wątroba – utraciła niemal dwie trzecie swojej wagi. A oto serce – ono utraciło ponad jedną trzecią, czasami prawie połowę. Śledziona skurczyła się do ułamka swoich normalnych rozmiarów. Przejrzeliśmy karty pacjentów. Niektórzy, zanim umarli, jedli przez jakiś czas całkiem zadowalająco, ale i tak nie zdołali dojść do siebie – szkody wyrządzone ich ciałom okazały się nie do naprawienia. To potworna trzecia faza dystrofii, która jest nieodwracalna (...). Zużywszy już cały swój zapas tłuszczu, organizm zaczyna niszczyć własne komórki, niczym okręt, na którym kończy się paliwo i trzeba go po kawałku rozbierać, żeby mieć co wrzucić do kotłów. Znaliśmy to wszystko z teorii, ale teraz mogliśmy zobaczyć to na własne oczy, dotknąć własnymi rękami, zbadać pod mikroskopem".

Oglądając w powiększeniu wyizolowane próbki – „najcieńsze z możliwych plasterki ludzkiej tkanki – schludne, kolorowe, pięknie barwione" – Garszyn odkrywał w sobie dwa przeciwstawne uczucia: pierwsze przynależne badaczowi żądnemu nowych odkryć i drugie – palącą żądzę potępienia winnych. „Te piękne próbki są wołaniem o tragedii, świadectwem walki, jaką podejmuje ciało. Pokazują spustoszenie, zniszczenie podstawowych struktur każdego życia (...). Bo przecież ten «eksperyment» nie został obmyślony przez naturę, nie przez naturę. Nienawiść do tych, którzy go rzeczywiście zorganizowali, oto co czuję". Kim dokładnie byli według niego ci ludzie, tego już nigdy nie sprecyzował[22].

Pierwszym zadaniem władz w momencie, w którym zima zaczęła ustępować miejsca wiośnie, było niedopuszczenie do wybuchu chorób zakaźnych. W tym celu sprawą absolutnie kluczową było pozbieranie tysięcy niepochowanych trupów wyłaniających się spod śniegu albo odmarzających w piwnicach czy magazynach. Kolejną zaś, równie ważną – uprzątnięcie przyrastających od pięciu miesięcy ludzkich odchodów – wytwornie określanych mianem „brudu" – zalegających w bocznych zaułkach i na podwórzach. Podczas gdy Garszyn usilnie starał się zachować równowagę w swoim laboratorium, na zewnątrz szpitala Erismana blade, opuchnięte sanitariuszki z głowami owiniętymi chustami i strzępami płaszczy powiązanymi sznurkiem oczyszczały dziedziniec kilofami i szpadlami. „Nie są w stanie pracować

– napisał Garszyn. – Mają siły tylko do tego, by siedzieć przy piecu i popijać herbatę. A jednak jakoś tam pracują (...). To coś w rodzaju instynktu przeżycia". W połowie kwietnia ze szpitala Erismana odebrano 52 trupy, ze szpitala w Kujbyszewie – 730, z dziecięcego – 114, z psychiatrycznego – 378, z Dworca Fińskiego – 204, z Domu Ludowego – 70, a z zamienionej w kostnicę piwnicy pod niewielką biblioteką przy ulicy Milionnej nieopodal Ermitażu – 103. Na cmentarzach natomiast trzeba było poprawiać nieszczelne i wydzielające trupie zapachy groby kopane podczas zimowego szczytu zgonów[23].

Wysiłki zmierzające do powstrzymania ludzi od wyrzucania na zewnątrz swoich odchodów albo załatwiania się na wspólnych przestrzeniach w blokach mieszkalnych zostały podjęte jeszcze w styczniu, tyle że nic nie dały. „Przy wejściu do budynku numer 47 przy Sowieckim Prospekcie – raportował pewien milicjant – powieszono ogłoszenie informujące o tym, iż pozostawianie na zewnątrz ludzkich odchodów podlega karze. Ale na podwórzu budynku nie ma choćby jednego kanału czy dołu kloacznego, do którego można by wylać nieczystości, a postawiona tam latryna jest tak zapuszczona, że nie sposób nawet się do niej zbliżyć". Pewna kobieta przyłapana na wypróżnianiu swojego kubła z nieczystościami powiedziała tylko: „A karajcie do woli! Gdzie niby mam to wylać? Sobie na głowę?". Dodała też, że jeśli trzeba kogoś ukarać, to już prędzej dozorcę i zarządcę budynku – to przez nich pozamarzały rury i ona musi teraz dźwigać wodę przez pół kilometra. Po kilku falstartach kampania oczyszczania miasta ruszyła ostatecznie 28 marca. Pierwszy jej dzień przyniósł jednak tylko same rozczarowania – ludzie zjawiali się z opóźnieniem albo wcale, szwankował transport, brakowało łomów, a czterysta pięćdziesiąt spośród rozdanych szpadli nie miało górnych uchwytów. Choć do pracy zgłosiło się na ochotnika wielu takich, którzy teoretycznie byli z niej zwolnieni – osoby starsze, ranni na wojnie, dzieci – nie brakowało też ludzi usiłujących się od niej wymigać. Pewną gospodynię domową podsłuchano, jak mruczała pod nosem: „Niech najpierw nas nakarmią, a potem będziemy pracować". A jedna robotnica w fabryce oświadczyła wprost: „Nie chcemy, i tyle". Dane jakiegoś człowieka, któremu wymknęło się: „Nie zamierzam pracować

dla radzieckich władz" przekazane zostały do NKWD[24]. Mimo wszystko dwa dni później liczba ludzi, którzy zjawili się do sprzątania, wzrosła już do dwustu dziewięćdziesięciu tysięcy. Wiera Inbier zaobserwowała:

„Całe miasto, wszyscy, kto tylko może utrzymać łopatę lub łom w ręku, oczyszczają ulice. Jest to mniej więcej taka praca, jaką byłoby doprowadzenie do porządku zanieczyszczonego bieguna północnego: góry lodu, zwały śmieci, stalaktyty nieczystości... Na nadbrzeżnych ulicach lub na moście można czasami zobaczyć kawałek już oczyszczonego chodnika. Jest to wzruszający widok. Oczyszczony chodnik wydaje się tak piękny jak polana usiana kwiatami. A opuchnięta kobieta o żółtej twarzy, w wyświechtanej szubie, spogląda, opierając się na łomie, na oczyszczony przez siebie kawałek asfaltu. A potem – znów do pracy"[25].

W oczach Olgi Griecziny, wysłanej wraz z jej brygadą obrony cywilnej do oczyszczania placu Lwa Tołstoja, scena ta wyglądała niczym „wykopaliska prowadzone w jakimś starożytnym mieście":

„W niektórych miejscach śnieg został odgarnięty aż do ziemi, w innych praca jeszcze się nawet nie zaczęła. Były tam całe tłumy ludzi – więcej, niż widzieliśmy razem w jednym miejscu od długiego czasu. Ci, którzy nie mogli pracować, po prostu siedzieli na stołkach – ktoś pomógł im wyjść na zewnątrz i pogrzać się na słońcu. Wszyscy pracowali z radością i ochotą. Grupy najsłabszych ludzi zaciągały wielkie kawały śniegu i lodu do Karpowki na ogromnych płytach ze sklejki, do których przywiązano liny. Cały brud i śnieg wrzucano właśnie do rzeki"[26].

Aleksandr Bołdyriew, który wciąż niezmordowanie odwiedzał kolejne instytuty w poszukiwaniu możliwości zjedzenia obiadu albo jakichkolwiek innych korzyści, dowiedział się o kampanii dwa dni przed jej ogłoszeniem. Uznał, że z całą pewnością wykończy ona wielu zaangażowanych w nią ludzi, ale też dostrzegał sens rozumowania władz: „lepsza już śmierć kilkuset gospodyń domowych i niepracujących członków rodzin teraz niż kilku tysięcy w epidemii za jakiś miesiąc". Wezwany do pomocy przy oczyszczaniu terenu wokół

Ermitażu, pracował tylko przez dwie godziny 28 marca („Ada i inni pokrzykują niczym właściciele niewolników") i jeszcze godzinkę 29 marca, po czym wykpił się wymówką, że uszkodził sobie kolano („Smród na wpół rozpuszczonego, czekoladowego śniegu jest odrażający. A kiedy rozbijasz go kilofem, tysiące drobinek obryzgują ci ubranie i twarz"). Następnego dnia naprawdę zrobił sobie krzywdę, tracąc koniuszek kciuka przy rąbaniu drewna. Zaświadczenie od życzliwego lekarza – podziękował mu, wręczając kolekcję książek o sztuce – zwolniło go od obowiązku dalszej pracy. Inni nie mieli jednak tyle szczęścia. „Pruszewska – napisał w Niedzielę Wielkanocną – zmarła dziś w lecznicy rehabilitacyjnej Ermitażu. Choć była ona w stanie skrajnej, podręcznikowej wręcz dystrofii, jeszcze przedwczoraj wciąż pracowała przy odśnieżaniu. Teraz Ada Wasiliewna pociesza się myślą, że [Pruszewska] «była już umysłowo chora, gdy trafiła do kliniki»"[27]. Łącznie, personel Ermitażu oczyścił teren muzeum z trzydziestu sześciu ton śniegu, lodu, szczap drzewnych, opadłego tynku i rozbitego szkła[28].

Kampania oczyszczania miasta z marca i kwietnia jest jednym z kilku stale obecnych elementów oblężenia, wymienianym jako moment zwrotny niemal w każdym wywiadzie z ocalałymi. Przypisuje się jej cudowne ocalenie miasta przed wybuchem epidemii trzech chorób zakaźnych tradycyjnie występujących w połączeniu ze zjawiskiem głodu: czerwonki, duru brzusznego i duru plamistego. W rzeczywistości jednak nie do końca jest to prawdą. Choć całkowita śmiertelność w mieście zaczęła spadać od marca i stale się później zmniejszała, w kwietniu liczba przypadków czerwonki i duru brzusznego na tysiąc mieszkańców była od pięciu do sześciu razy wyższa niż rok wcześniej, przypadków duru plamistego zaś – aż dwadzieścia pięć razy większa. Cytując te dane w prywatnym liście do Żdanowa z połowy maja, dowódca garnizonu leningradzkiego z wściekłością obwiniał za tę sytuację niedostateczny poziom służby medycznej oraz infrastruktury służącej utrzymaniu czystości. Jak wskazywał, cały czas nie działała połowa publicznych łaźni w mieście; zaledwie siedem procent mieszkań miało bieżącą wodę, a dziewięć procent kanalizację, a nawet jedna trzecia gospodarstw domowych

wciąż borykała się z poważnymi problemami z wszami. Na wielu podwórzach wciąż zalegały sterty ludzkich odchodów. Ogniska duru plamistego znajdowały się między innymi w klinikach rehabilitacyjnych, w domach dziecka, na dworcach kolejowych i w punktach ewakuacyjnych, a w przypadku niepodjęcia ze skutkiem natychmiastowym odpowiednich środków zaradczych wkrótce mogły się pojawić w koszarach wojskowych[29]. W relacjach pamiętnikarzy często pojawia się również czerwonka, określana też mianem „biegunki głodowej" – to ona nierzadko kończyła dzieło zniszczenia w przypadku osób poważnie już wygłodzonych. Bołdyriew był zdolny nawet z niej zażartować. Wspomina on, że w drodze na spotkanie z administracją Ermitażu, przechodząc akurat przez jedną z pustych galerii – tę samą, w której normalnie znajdowała się *Madonna Conestabile* Rafaela, poczuł konieczność „zrobienia tej rzeczy", i że wpadł nieledwie w zachwyt, widząc znajdującą się tam dużą górę piasku do gaszenia pożarów oraz leżący obok niej szpadel.

W miarę jak wiosna przechodziła w lato, a nadzieje na to, że oblężenie szybko zostanie przerwane, słabły, uwaga władz zwróciła się ku sposobom uniknięcia powtórki masowych zgonów z ostatniej zimy. Jadąc po raz pierwszy od wielu miesięcy tramwajem, Dmitrij Łazariew zauważył, że zapamiętane z zeszłego roku ogłoszenia – „Demaskujcie podżegaczy i szpiegów!" czy „Śmierć prowokatorom!" – zostały teraz zastąpione bardziej praktycznymi wskazówkami: „Piętnaście setnych hektara rodzi 800 kilo kapusty, 700 kilo buraków, 120 kilo ogórków, 130 kilo marchwi, 340 kilo brukwi, 50 kilo pomidorów i 200 kilo innych warzyw! To więcej, niż potrzeba dla całej rodziny na okrągły rok. Oszczędzaj popiół z pieca i użyj go na swoim zagonie warzywnym!"[30].

Powrót do życia – jedna z ulic w Leningradzie, lato 1942 roku.

Takie zachęty do ogrodnictwa zostały z entuzjazmem podchwycone przez leningradczyków, którzy korzystając z organizowanych przez władze akcji rozdawnictwa nasion i sprzętu – specjalnie w tym celu podjęto produkcję motyk i taczek – stworzyli tysiące warzywnych zagonów w miejskich parkach, na ulicznych skwerach i na nieużytkach. Personel Ermitażu powyrywał bzy i kapryfolia z „wiszących ogrodów" Katarzyny Wielkiej na dachu muzeum, by zrobić miejsce dla marchewek, buraków, kopru i szpinaku. Bołdyriewowie zasadzili cebulę w skrzynce na kwiaty wywieszonej za oknem („Och, jak tęsknię za cebulą!"), a Lichaczowowie uprawiali rzodkiew w odwróconym stole kuchennym. Łącznie, według „Prawdy", osoby prywatne wyhodowały 25 tysięcy ton warzyw w roku 1942, i 60 tysięcy ton w roku następnym. Oznaczało to, że ich uprawy osiągnęły dwukrotnie większą wydajność – rozumianą jako plon z hektara – aniżeli 633 „gospodarstwa pomocnicze" nowo utworzone przy rozmaitych instytutach, szkołach i fabrykach[31].

Ponadto, podobnie jak minionej zimy, żywność w dużych ilościach rekwirowano w gospodarstwach kolektywnych położonych w obrębie pierścienia oblężenia. Teraz jednak, poza rutynowymi dostawami obowiązkowymi na rzecz państwa, robotnicy rolni musieli także dostarczać zwierzęta hodowlane oraz ziarno siewne dla uchodźców przebywających w rejonie ich gospodarstw, przekazywać fundusze na kolumnę czołgów (nazwaną „Leningradzką Kolektywną"), a wreszcie robić „darowizny" ziarna ze swoich osobistych zapasów na rzecz Armii Czerwonej. Okręgowe komitety partii otrzymywały instrukcje, by przewidywane plony szacować nie na podstawie informacji od samych robotników rolnych, lecz danych z Wydziału Statystyki, a te komitety, które nie były w stanie zgromadzić nałożonych na nie kontyngentów, oskarżano o tolerowanie „elementów antykolektywnych". Władze zdobyły się nawet na jedno z nielicznych ustępstw wobec sił wolnego rynku: postanowiono otóż, że w zamian za dostawy zbieranych po lasach grzybów i jagód będą wydawane bielizna, mydło, nici, tytoń i wódka[32].

Raport NKWD, oceniający nastroje panujące wśród ludności wiosek leżących wokół miasteczka Borowicze, na wschód od Niżnego Nowogrodu, daje liczne przykłady niezadowolenia, jakie wywołało wprowadzenie wcześniej wymienionych regulacji. Cykl publicznych spotkań, pełnych patriotycznych przemówień, organizowanych w celu zebrania funduszy na „Kolektywną" kolumnę czołgową przyniósł zgodnie z planem trzy miliony rubli. „Powinniśmy pomóc Armii Czerwonej przepędzić te dwunogie bestie z naszej ziemi – zadeklarowała jakaś lojalna traktorzystka. – Trzech moich synów poszło na front. Jeden został zabity, ale za nasze pieniądze dwaj pozostali dostaną broń, której będą potrzebować do pokonania nieprzyjaciela". Było jednak wielu takich, którzy wprost odmawiali datków – przynajmniej początkowo. „Nie mam pieniędzy, więc nie zamierzam nic zadeklarować – stwierdziła pewna czterdziestojednoletnia kobieta. – Nie mam ich od kogo pożyczyć, a nawet gdybym miała, oni też nie mieliby pieniędzy, żeby mi je pożyczyć". Jednak już pod koniec spotkania kobietę przekonano na tyle, że poszła do domu i wróciła z kwotą trzystu rubli, które przeznaczyła na kolumnę. W gospodarstwie

kolektywnym *Krasnyj puchar* pewien nierozważny Estończyk, który początkowo nie chciał zadeklarować żadnej kwoty, „widząc uniesienie innych uczestników, zadeklarował ostatecznie tysiąc rubli, które z miejsca wpłacił gotówką".

Gdzie indziej wieśniacy byli jednak znacznie bardziej skorzy do otwartego wyrażania niezadowolenia, a niektórzy z nich, rozzuchwaleni odgłosem niemieckich dział, posuwali się nawet do gróźb wobec przełożonych. Jedna z kobiet, skrzyczana przez przewodniczącego rady swojej wsi za to, że źle pracuje, odpowiedziała mu w taki oto sposób:

„Nie mogę się już doczekać końca władzy radzieckiej. Doprowadziła ona chłopów do bankructwa, pozostawiła nas głodnymi i bosymi, a teraz jeszcze chce nas ogołocić. Ale ja nie będę się wam kłaniać, piękni panowie. Wasza władza zbliża się do końca. Wyprawiliście z tej wioski wszystkich dobrych ludzi, ale zaczekajcie tylko, teraz będzie wasza kolej".

Równie śmiały okazał się pewien pięćdziesięcioletni członek gospodarstwa kolektywnego *Jedinstwo* („Jedność"): „Nadchodzi nasz czas i odbierzemy to, co nasze. Może i nie umiem czytać i pisać, ale będę pierwszym, który doniesie na naszych szefów. I z pewnością mi uwierzą. Wtedy wam odpłacimy. I weźmiemy nie po jednej owieczce od każdego z was, ale będziemy zdzierać pasy z waszych pleców". (Ta „działalność kontrrewolucyjna", zaznaczano w raporcie, została udokumentowana w ramach przygotowań do aresztowania). Szerzyły się też pogłoski, że Ameryka i Wielka Brytania, w zamian za otwarcie drugiego frontu, żądają rozwiązania gospodarstw kolektywnych i rozdania ziemi ponownie właścicielom chłopskim[33].

W samym mieście rozpoczęto nowe kampanie mające zapobiegać kradzieżom żywności i jej sprzedaży na czarnym rynku. Choć aresztowano setki kierowników i pracowników sklepów spożywczych oraz agencji dystrybuujących żywność (520 w lipcu, 494 w sierpniu), a także skonfiskowano znaczne ilości bezprawnie przywłaszczonego przez nich majątku (62 złote zegarki we wrześniu) oba te procedery w dalszym ciągu kwitły w najlepsze[34]. Uliczne targowiska zamykane w jednej części miasta natychmiast pojawiały się gdzie indziej,

a robotnicy w fabrykach wciąż uskarżali się na to, że ich przełożeni oraz personel kuchenny zmawiali się, by podbierać im racje żywnościowe. W stoczni Sudomech rozprawa z nieuczciwym kierownictwem zakładu doprowadziła do zdecydowanego konfliktu między nim a miejscową organizacją partyjną. Rozczarowany członek partii Wasilij Czekrizow tak zapisał w dzienniku:

„Zarówno kierownicy wyższego, jak i niższego szczebla – wszyscy piją alkohol. Coraz częściej można zobaczyć tych drani wstawionych. Jeśli już zamierzają się upijać, mogliby przynajmniej robić to za zamkniętymi drzwiami. Sami opychają się, ile wlezie, kryją tych wszystkich złodziei w stołówkach i pozbyli się kontroli robotniczych, bo stają im one na drodze. Jest mnóstwo takich szefów – nie tylko tutaj, wszędzie (...). Na zebraniach deklarują swoje poparcie dla akcji ogrodniczej, a w weekendy nawet czasem wybiorą się na inspekcję działek. Ale na osobności mówią tylko o tym, jak by tu przywłaszczyć sobie wszystko, co się da. Kierownicy zaopatrzenia mają każdy po dwadzieścia kartek żywnościowych. Gdzie jest NKWD? Czy naprawdę nie mogą ich złapać?".

Na jednym z partyjnych zebrań pod koniec sierpnia Czekrizow wstał i publicznie zgłosił skargę: „Byłem zadowolony z tego, co powiedziałem, choć wiem, że Kalinowski [dyrektor Sudomechu], Dieriewianko i inni nie wybaczą mi tego. Mogą iść do diabła. Powiedziałem głośno to, co myśleli wszyscy siedzący na sali... Nie sprzedam się za zupę z soczewicy, choć dzień w dzień chodzę głodny". Nie odniósł specjalnych rezultatów.

Czekrizow musiał sprostać całej lawinie niemal niemożliwych do wykonania zadań produkcyjnych, a poza tym otrzymał polecenie wyburzenia czternastu drewnianych budynków na południe od Ławry Aleksandra Newskiego, w ramach kampanii władz zmierzającej do zapewnienia mieszkańcom zapasów drewna na opał. Rozbiórkę niektórych z nich przeprowadzano ręcznie, innych – za pomocą siekier i pił, jeszcze inne przewracano, mocując do traktora linę okrętową i dosłownie „ścinając" je równo z ziemią. Sam Czekrizow uznawał tę pracę za konieczność, ale jednocześnie odczuwał pewne przygnębienie, ponieważ domy były porządnie zbudowane (pod deskami podłogowymi tradycyjnie umieszczono popiół jako izolację), a ich mieszkańców nie

przesiedlono jeszcze w inne miejsce. Aby zmusić jedną, najbardziej oporną rodzinę do wyprowadzki, musiał nakazać swojej ekipie zerwanie dachu. Pozostali byli bardziej pogodzeni z losem. „Niszczymy ich domy, w których mieszkali od dziesięcioleci. A oni nawet nie są wściekli – zdają sobie sprawę z tego, że miasto potrzebuje drewna na opał. Po prostu siedzą tam na swoich tobołkach i walizach i czekają na transport”[35].

Pewien inżynier, z którym Wiera Inbier ucięła sobie pogawędkę, gdy wracali z prowadzonej przez nią pogadanki w jego fabryce, powiedział jej, że niedawno był z wizytą u rodziny w Nowej Dieriewni (starej dzielnicy robotniczej na przedmieściach, na północ od wyspy Jełagina, w której kiedyś mieszkali Żylinscy). Ze smutkiem odkrył, że jego dom rodzinny zniknął i nie zostało po nim nic poza rumowiskiem i kawałkami połamanych mebli. Grzebiąc w gruzach, odnalazł kilka rodzinnych zdjęć. „Cały mój dom – z żalem wyznał Wierze Inbier – mieści się teraz w kieszeni. Noszę go ze sobą”[36]. Olgę Grieczinę postawiono na warcie przed jednym z nowo wyburzonych domów do czasu przyjazdu ciężarówki. Nie minęło wiele czasu, a podeszła do niej nieśmiało jakaś starsza kobieta i zaproponowała małą rzepę w zamian za pozwolenie na odciągnięcie jednej deski. Po godzinie pełnienia warty Grieczina zdobyła już warzywa na „cały obiad – kilka rzep i marchewek”[37]. Kampania burzenia budynków, która trwała przez całą jesień, poważnie zmieniła wygląd północnych i wschodnich obrzeży miasta, przypominających dotąd niewielkie malownicze wioski. Jak zauważali cierpko sami leningradczycy, poczyniła ona więcej szkód niż niemiecki ostrzał artyleryjski i bombardowania razem wzięte.

Tym letnim kampaniom – ogrodniczej, konfiskującej żywność, antykorupcyjnej i akcji wyburzania domów – towarzyszyła również kolejna fala masowej ewakuacji przez jezioro Ładoga. Jej celem było pozbycie się z miasta niepracującej ludności i w teorii była ona obowiązkowa, choć wielu leningradczyków – jak choćby Bołdyriew czy malarka Anna Ostroumowa-Lebiediewa – zdołało jej uniknąć. Bołdyriew

dlatego, że nie kalkulowało mu się zostawiać wszystkiego, co zdążył już sobie pozałatwiać, Ostroumowa-Lebiediewa, której zaproponowano wylot z miasta i zakwaterowanie u siostry swojej przyjaciółki, chciała zostać tam, gdzie było jej miejsce:

„Mieszkać i cierpieć w Leningradzie przez tak długi czas, a teraz – tuż przed wyzwoleniem – z niego wyjechać?!... Wyobraziłam sobie siebie w Kazaniu, w ciepłym pokoju, bezpieczną od bomb i głodu – a jednocześnie zobaczyłam się w roli może nawet nie darmozjada, ale też i nie mile widzianej lokatorki, lecz starej kobiety, której nikt nie potrzebuje. I podjęłam decyzję: Nigdzie nie jadę. Nigdzie!”[38].

Filolog klasyczna Olga Fridenberg próbowała wyjechać razem ze swoją osiemdziesięcioletnią niewidomą matką, ale dała za wygraną po tym, jak ich przepełniony pociąg bez żadnych wyjaśnień stanął na cztery dni w szczerym polu w drodze do Osinowca. Przekupiwszy jednego ze strażników ostatnim bochenkiem chleba, Fridenberg zdołała wysiąść z pociągu wraz z matką i bagażami, po czym wróciła do swojego pustego, zostawionego w nieładzie mieszkania, w którym obie pozostały już do końca wojny.

Zmuszeni do pospiesznego wyprzedawania rzeczy w zamian za gotówkę lub żywność, ewakuowani wystawiali na chodnikach albo na parapetach mieszkań na parterze stragany z różnymi różnościami (to zadziwiające, pomyślała Grieczina, jak wiele starych i pięknych rzeczy pozostało jeszcze ludziom do sprzedaży). Dmitrij Lichaczow, po swoim przesłuchaniu w Wielkim Domu pozbawiony pozwolenia na pobyt i postawiony przed koniecznością opuszczenia miasta w ciągu trzech dni, obserwował strumień potencjalnych kupców przebierających zawartość jego rodzinnego mieszkania: „Po okazyjnych cenach kupowali żyrandole, dywany, przyborniki do pisania z brązu, malachitowe pudełka, skórzane fotele, kanapę, stojącą lampę z podstawą z onyksu, książki, kartki pocztowe z widokami miast – każdą z tych rzeczy mój ojciec i moja matka gromadzili pracowicie jeszcze przed rewolucją”. Łącznie cała ta wyprzedaż przyniosła mu zaledwie około dziesięciu tysięcy rubli, z czego dwa tysiące wydał z miejsca na sześć worków ziemniaków[39].

W wyniku wszystkich wyjazdów liczba ludności cywilnej Leningradu spadła do rozmiarów średniej wielkości miasta na prowincji. Z trzech i pół miliona mieszkańców tuż przed wojną, w kwietniu 1942 roku pozostało już tylko około miliona, do końca sierpnia – 776 tysięcy, a do końca roku – 637 tysięcy[40]. Niemieckie naloty i ostrzał artyleryjski z biegiem lata nieco zelżały, atmosfera w mieście stała się więc cicha, rodzinna, niemalże wiejska. W parkach kobiety w chustach na głowach okopywały rządki dorodnej kapusty, wzdłuż nabrzeży chłopcy łowili ryby, środkiem ulic pedałowali szaleńczo marynarze, omijając leje po bombach, odgrodzone żelaznymi stelażami łóżek, i działki warzywne. Personel Ermitażu wynosił na zewnątrz, na słońce, obite jedwabiem meble, a następnie szczotkami oczyszczał je z grubych pokładów żółtawozielonkawej pleśni. Portyk soboru Świętego Izaaka, w którym złożono skarby z Pawłowska, wyglądał niczym „boczny zaułek w Neapolu": z rozciągniętych pomiędzy gładkimi granitowymi kolumnami sznurów do bielizny zwisały wszędzie gobeliny i dywany. Na dziedzińcu pałacu Jusupowa pacjenci szpitalni, z charakterystycznymi dla szkorbutu krostami i wybroczynami, opalali się w samej tylko bieliźnie, najwyraźniej nie odczuwając ani zażenowania, ani jakiegokolwiek kontekstu seksualnego. Niektórym cały ten spokój dodawał otuchy, przypominając im wakacje na wsi u dziadków. Inni, jak Wiera Inbier, która właśnie powróciła z pełnej podniecenia Moskwy, uznawali go za przytłaczający i pełen smutku: „Cisza i pustka w mieście sprawiają wstrząsające wrażenie... Jak można pisać w takim mieście?! Nawet podczas nalotów było lżej"[41]. Olga Fridenberg w liście do kuzyna Borisa Pasternaka twierdziła, że Leningrad był wówczas „czystszy, niż jakiekolwiek miasto kiedykolwiek mogło być" – „sterylny", „święty" – ale też „bez jednego zalążka życia w środku. Żadnych kobiet w ciąży, żadnych głosów dzieci (...). Jak szklany klosz, z którego odpompowano całe powietrze"[42].

Leningrad zamienił się także w miasto kobiet, które teraz stanowiły trzy czwarte jego ludności i większość kadry robotniczej we wszystkich sektorach wytwórczych poza produkcją broni i przemysłem stoczniowym[43]. (Specjalny ropociąg, którego układanie po dnie jeziora Ładoga zakończono w czerwcu, umożliwił elektrowniom i fabrykom

wznowienie produkcji na ograniczoną skalę). Szef służb wartowniczych w Ermitażu narzekał, że z sześciuset pięćdziesięciu strażników, którymi dysponował przed wojną, teraz zostało mu zaledwie sześćdziesięciu czterech, przy czym ta „potężna ekipa składa się głównie ze starszych pań w wieku pięćdziesięciu pięciu i więcej lat, a kilku nawet po siedemdziesiątce. Wiele z nich dotkniętych jest kalectwem – kiedyś pracowały przy pilnowaniu eksponatów w galeriach (...), w każdym dowolnym momencie co najmniej jedna trzecia z nich znajduje się w szpitalu”[44]. W czerwcu Czekrizow, mimo wielkich oporów, został zmuszony do przyjęcia do pracy w swojej stoczni Sudomech grupy osiemnastu kobiet – byłych sekretarek i księgowych (narzekał głośno, że nie przydadzą mu się na nic, może poza sprzątaniem). Kilka miesięcy później musiał ugryźć się w język, bo przez ten czas udało mu się z powodzeniem przeszkolić ponad sto gospodyń domowych do pracy przy tokarkach, spawarkach i innych obrabiarkach metalu. Jego nowe robotnice nie tylko nieźle sobie radziły, ale wręcz – jak sam przyznawał – „pracowały dobrze”[45]. Stocznia zatrudniała także ponad dwieście dzieci, które nie ukończyły jeszcze osiemnastu lat – wszystkie albo były sierotami, albo nie miały w mieście żadnego z rodziców.

Żywność była teraz dostępna w większej ilości, a ludzi do wykarmienia pozostało wyraźnie mniej, więc większość leningradczyków zaczęła wreszcie jeść niemal normalnie – przynajmniej wedle standardów radzieckich. („Całkiem sprawnie zorganizowany system niedożywienia” – jak to sarkastycznie ujęła Ginzburg). Poza chlebem, mięsem, tłuszczami i cukrem kartki żywnościowe można było wymienić na niewielkie ilości soli, wina, suszonej cebuli, suszonych grzybów, żurawiny, solonej ryby, kawy i zapałek. W stołówkach zakładowych ludzie nie wylizywali już talerzy, choć wciąż zbierali resztki jedzenia palcami i wodzili głodnym wzrokiem za kelnerkami. Śmiertelność, jakkolwiek wciąż kilkakrotnie wyższa niż przed wojną, stale spadała, a miejsce „dystrofii”, jako podstawowej przyczyny zgonów, zajęła teraz niewydolność serca, pojawiająca się jako następstwo skrajnego niedożywienia[46].

Dłużej trwała zmiana nastawienia psychicznego. Wciąż nie przestawał zadziwiać brak kolejek przed sklepami spożywczymi („jak człowiek, który napina się, by podnieść ciężką walizę, i przekonuje się, że jest ona pusta" – napisała Ginzburg), a słowa „jestem głodny", jeszcze do niedawna przepełnione desperacją i rozpaczą, bardzo powoli nabierały pierwotnego znaczenia, wyrażającego zwykłą ochotę na zjedzenie posiłku. Większość leningradczyków wciąż była bardzo słaba, a poprawa ich kondycji niepewna i chwilowa. Bołdyriew ujął to, porównując własną rodzinę do pajęczej sieci, którą w każdej chwili może rozerwać przejeżdżający traktor. Kiedy pod koniec maja do Anny Ostroumowej-Lebiediewej przyszedł w odwiedziny jej ocalały piętnastoletni siostrzeniec, była wstrząśnięta tym, że jest on „blady jak trup, ledwie powłóczy nogami, niewiarygodnie chudy, podpiera się laską, powypadały mu włosy, a głowę pokrywa jakiś biały meszek". Jak to ona: zaraz posadziła go do malowania, a on wkrótce ukończył „dobre studium drzew, nieba i fragmentów Wydziału Anatomii"[47]. Ci naprawdę zdrowi wciąż wyróżniali się z tłumu, zwłaszcza w ponownie otwartych łaźniach publicznych. Bergholc widziała tam pewną młodą kobietę o gładkiej skórze i pełnych piersiach, którą oblegały inne kąpielowiczki, kościste i z przebarwieniami skóry, tak długo klepiąc ją po pośladkach i komentując, że musi by kochanką jakiegoś kierownika stołówki albo nieuczciwą pracownicą domu dziecka, aż dziewczyna wyskoczyła z basenu i uciekła[48].

Mimo znaczącej poprawy sytuacji ludzie wciąż umierali z głodu, ponieważ ich organizmy już wcześniej osiągnęły stan uniemożliwiający wyzdrowienie, a poza tym wielu z nich wypadło poza system racjonowania żywności. Począwszy bowiem od wiosny, choć same racje stopniowo zwiększano, znacznie utrudniono dostęp do kartek na żywność. Kolejna powszechna rejestracja z kwietnia zmniejszyła liczbę kartek w obiegu. Zaczęto ściślej przestrzegać regulacji wykluczających z grona uprawnionych do posiadania kartek tych, którzy nie mieli pozwolenia na pobyt, a także odbierano kartki bezrobotnym, chcąc w ten sposób zmusić ich do ewakuacji[49]. W lipcu Bergholc napisała:

„Na ulicach Leningradu nie ma już takiego średniowiecznego pomoru jak zimą, ale prawie każdego dnia gdzieś pod ścianą leży

kolejny wyczerpany do granic, umierający człowiek. Wczoraj na Newskim Prospekcie leżała tak na schodach «Gosbanku», w kałuży własnego moczu, kobieta. Potem widziałam, jak wlokło ją pod ręce dwóch milicjantów, a jej nogi, zgięte w kolanach, mokre i śmierdzące, ciągnęły się po asfalcie.

A dzieci, dzieci pod piekarniami... Na przykład taka para: matka i córka – trzyletnia dziewczynka z poczerniałą, zastygłą twarzyczką małpeczki, z ogromnymi, błękitnymi, wyblakłymi oczyma, unieruchomionymi w starczej pogardzie, niewidzącymi nikogo wokół. Jej napięta buzia była lekko uniesiona i odwrócona w bok, a zwierzęca, usmalona łapka zamarła w błagalnym geście... To sąd nad nami wszystkimi, nad ludzką cywilizacją, wyrok – najsurowszy z możliwych”[50].

Mimo wyraźnej poprawy sytuacji ludności Leningradu wiosną i latem 1942 roku śmiertelność wciąż była wysoka.

Łazariewa prześladowała natomiast myśl o pewnej głodującej nastolatce, która podeszła do niego pod sklepem spożywczym, błagając o kawałek chleba z dodatkiem głowy śledzia i wyznając, że „żyje bez kartek". Dał jej część racji odebranej dla swojej rodziny. Następnego dnia ponownie rozglądał się za nią przed sklepem, ale nigdy więcej już jej nie zobaczył.

Redaktor zakładowej gazetki w jednej z fabryk spotkał na ulicy głodujące dziecko:

„Rano, w drodze do pracy, zobaczyłem małego chłopca, zupełnie samego. Raz na jakiś czas popłakiwał, uderzył mnie też jego dziwny, niepewny chód. Podszedłem do niego, a on wymamrotał bezładnie, że jego matki nie ma i że aż do wieczora nie będzie miał co jeść. Było dla mnie oczywiste, że stracił rozum. Jego umysł błąkał się gdzieś daleko stąd. Wciąż mówił mi o swoim ojcu i prosił, żebym mu pokazał, w którą stronę idzie się na front. Szedł tam, żeby go odszukać, tyle że nie wiedział, jak tam dotrzeć"[51].

Podobnie jak tracący kontakt z rzeczywistością więźniowie w gułagu, tak teraz ludzie wciąż głodujący, będąc obiektami zarówno pogardliwych drwin, jak i współczucia, służyli jako swoiste memento, że śmierć jest niezmiennie blisko. Córka i siostrzenica Łazariewa nauczyły się następującej rymowanki, której słowa były wariacją na temat przedwojennej dziecięcej piosenki:

Szedł sobie dystrofik
Z mętnym wzrokiem
W koszyku niósł dupę trupa.
Jadam ludzkie mięso na obiad,
Więc i to się nada!
Och, głodne smutki!
A na kolację, oczywiście
Potrzebne mi będzie niemowlę.
Wezmę sobie od sąsiadów,
Wykradnę im je z kołyski[52].

Aby pozbyć się bezużytecznych z ich punktu widzenia, bo niesprawnych fizycznie pracowników, dyrektorzy zakładów wykorzystywali ich do zapełniania kontyngentów „ochotników" do pracy poza miastem, przy wyrębie lasu albo wydobyciu torfu. Bołdyriew, zapisany teraz do Biblioteki Publicznej, protestował przeciwko wysyłaniu do wydobycia torfu jednej ze swoich koleżanek, „dystroficzki drugiego stopnia" i „żałosnego, niezdarnego stworzenia", bez żadnych szans na wytrzymanie kopania po dziesięć godzin dziennie. „Praca! – napisał gniewnie w swoim dzienniku. – Już po jednym dniu wszyscy padają z nóg. A ona jutro musi tam jechać. Okrucieństwo, bezcelowe okrucieństwo". Ale po czterech tygodniach koleżanka wróciła i tak opisywała swoje przeżycia:

„Dla silnych jest to dobre miejsce – dodatkowy chleb, obiad. W barakach jest ciepło, jest też oświetlenie elektryczne. Wielu przybiera na wadze i wnioskuje o pozostanie tam na zimę – rzecz jasna, nie przeszkadza im obozowy reżim. Ale biada słabym, bo jeśli nie wykonujesz swojej normy, obcinają ci racje. Naszej nieszczęsnej bibliotekarce, która nawet przed wyjazdem ledwie stała na nogach, pozostawiono tylko jedną miskę zupy z pszenicy dziennie. A przecież ma kartkę pierwszej kategorii. Innymi słowy, nie dawano jej nawet racji, które powinna otrzymywać. Taki jest ten system. Zawsze i wszędzie słabi są teraz poniewierani i uciskani, z zasady. Słowo «dystrofik» stało się wręcz przekleństwem – w zakładach pracy, na ulicach, w tramwajach. Dystrofików traktuje się z pogardą, prześladuje, wbija w ziemię. Jeśli starasz się o pracę, przede wszystkim nie możesz wyglądać na dystrofika. Oto zasady moralne w drugim roku oblężenia"[53].

20. SYMFONIA LENINGRADZKA

Dla rządu amerykańskiego, a jeszcze bardziej brytyjskiego, partnerstwo ze Związkiem Radzieckim od zawsze było naznaczone licznymi trudnościami. Przez dwa pierwsze lata wojny (o czym wolą nie pamiętać nawet mniej nacjonalistycznie nastawieni Rosjanie) Związek Radziecki nie tylko otwarcie głosił swoje wsparcie dla światowej rewolucji, ale też był w przymierzu z hitlerowskimi Niemcami. Bardzo silny gniew na Zachodzie wzbudziła także inwazja radziecka na Finlandię – rządy brytyjski i francuski na poważnie rozważały wówczas wysłanie wspólnych sił ekspedycyjnych mających walczyć po stronie Finów. Dopiero wówczas, gdy Związek Radziecki sam stał się obiektem inwazji niemieckiej, z dnia na dzień zmienił się z wroga w potencjalnego przyjaciela.

Churchill, dowiedziawszy się o tym, natychmiast zrozumiał, że chcąc wiarygodnie przekonać szerokie masy obywateli do tak radykalnego zwrotu, musi mocno podkreślać różnicę między narodem rosyjskim a jego rządem. Po raz pierwszy uczynił to w radiowej przemowie nadanej w dzień rozpoczęcia operacji Barbarossa. W pamiętny sposób zaoferował wówczas wsparcie dla zwykłych Rosjan – „Widzę 10 tysięcy rosyjskich wiosek (...), gdzie ludzie wciąż cieszą się prostymi rzeczami, gdzie dziewczęta się śmieją, a dzieci bawią". Nie zrezygnował jednocześnie z dalszego potępiania reżimu: „Nikt nie był bardziej konsekwentnym oponentem komunizmu ode mnie... i nie odwołam ani jednego słowa, które o nim wyrzekłem"[3*]. Rządowym agencjom informacyjnym polecono trzymanie tego samego kursu, ale niełatwo było zachować odpowiednie proporcje. BBC, zobowiązane do poświęcania dużej ilości czasu antenowego sprawom rosyjskim, a jednocześnie trzymania się na dystans od spraw ideologicznych, nadawało przede wszystkim dziewiętnastowiecznych klasyków literatury (hitem okazała się radiowa adaptacja *Wojny i pokoju*, w której Celia Johnson grała Nataszę, a Leslie Banks – Piotra), pieśni ludowe

oraz Rimskiego-Korsakowa. Dopiero po sześciu miesiącach stacja ta uzyskała pozwolenie na nadawanie *Międzynarodówki* („proszono nas jednak, żeby z nią nie przesadzać"), a zapraszanym „rozmówcom" narzucano dyskusję tylko na tematy z odległej przeszłości, zwłaszcza jeśli mieli oni sympatie lewicowe. Kiedy gościem miał być na przykład Bernard Pares, wybitny uczony i założyciel Szkoły Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich przy Uniwersytecie Londyńskim, zdecydowano, że wyrządzi stosunkowo „niewiele szkód, mówiąc o Piotrze Wielkim i tych sprawach"[1]. O masowym głodzie w Leningradzie – poza rzucanymi od czasu do czasu luźnymi uwagami, że w mieście „źle się dzieje z żywnością" – w ogóle nie wspominano. Zamiast tego podkreślano straty Leningradu na polu kultury (Inbier napisała moralizatorski artykuł, właśnie na użytek zewnętrzny, o tym, jak to ostrzał artyleryjski uszkodził popiersie Roentgena, wynalazcy promieniowania jonizującego), a także niezłomną obronę miasta. (Niejaki profesor Ogorodnikow nadał braterskie pozdrowienia – „stojąc w płaszczu żołnierza piechoty, z karabinem w ręku" – dla dyrektora Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego)[2]. Ale już propozycja, by BBC nadawało swoje własne programy rosyjskojęzyczne bezpośrednio na terytorium Związku Radzieckiego, trafiła w próżnię. Anthony Eden, brytyjski minister spraw zagranicznych, twierdził, że kiedy sugestia taka została przedstawiona Majskiemu, radziecki ambasador „spłoszył się jak młody źrebak"[3].

Na początku roku 1942 dotarły wieści o pojawieniu się inicjatywy, która mogła w niemal doskonały sposób wznieść się ponad wszystkie te trudności. Oto w samym oblężonym Leningradzie powstała nowa symfonia, skomponowana przez Dmitrija Szostakowicza. W chwili wybuchu wojny Szostakowicz miał trzydzieści cztery lata, choć dzięki opadającej na czoło grzywce i sowim okularom wyglądał na młodszego. Wciąż był pamiętany jako cudowne dziecko: do konserwatorium wstąpił, mając lat trzynaście, a pełnoprawnym członkiem radzieckiego środowiska muzycznego został sześć lat później, kiedy jego I Symfonią zainteresował się wielki niemiecki dyrygent Bruno Walter. W 1936 roku kariera kompozytora stanęła jednak pod znakiem zapytania: wówczas

to jego *Lady Makbet mceńskiego powiatu*, z powodzeniem grywana już od dwóch lat, od czasu dobrze przyjętej premiery, niespodziewanie została określona przez „Prawdę" jako „mętlik zamiast muzyki". Przeżywszy końcówkę lat trzydziestych XX wieku w ciągłym strachu przed aresztowaniem, Szostakowicz powrócił do głównego nurtu życia artystycznego (podobnie jak Anna Achmatowa) wraz z inwazją niemiecką. Pisał piosenki żołnierskie, ale też publicznie uczestniczył w kopaniu rowów obronnych, zgłosił akces do Zaciągu Narodowego, a wreszcie dał się sfotografować w idiotycznym, staroświeckim blaszanym hełmie strażackim na dachu leningradzkiego konserwatorium. 17 września – ledwie po tygodniu od rozpoczęcia oblężenia – wezwano go do Radiokomitetu, by w nadawanej na cały kraj audycji odczytał tekst, którego tezy ściśle pokrywały się z artykułem *Wróg jest u bram* opublikowanym poprzedniego dnia jako wstępniak w „Leningradzkiej Prawdzie". Słuchaczom powiedział jednak, że nadaje z linii frontu, dodając, że choć poza granicami miasta trwa bój na śmierć i życie, to już w samym Leningradzie życie przebiega zupełnie normalnie, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż on sam dwie godziny wcześniej ukończył pierwszą część swojej nowej symfonii.

Sekretarz Szostakowicza – Isaak Glikman – był pierwszą osobą, która miała okazję wysłuchać zarysu tej nowej symfonii, w „jeden z tych stalowoszarych, przygnębiających dni", sześć tygodni wcześniej:

„Powiedział mi, że chce, abym posłuchał pierwszych stron jego nowego dzieła. Po chwili wahania zagrał ekspozycję i wariację tematu przedstawiającego inwazję faszystów. Byliśmy obaj niezmiernie podnieceni, rzadko się zdarzało, by Szostakowicz grał z tak silnie okazywanymi emocjami. Następnie siedzieliśmy chwilę w ciszy, którą przerwał wreszcie sam Szostakowicz, mówiąc (zapisałem te słowa dokładnie): «Nie wiem, jaki będzie los tego utworu». Po kolejnej pauzie dodał: «Przypuszczam, że krytycy nie mający nic lepszego do roboty potępią mnie za naśladownictwo *Bolera* Ravela. A niech potępiają. Ja właśnie tak słyszę wojnę»"[4].

Równie poruszony był kompozytor Bogdan-Bieriezowski, który dwa dni po wspomnianej audycji radiowej znalazł się w grupie muzyków

zaproszonych przez Szostakowicza do jego mieszkania, by wspólnie wysłuchali pełniejszą wersję próbną.

„Wszyscy jak jeden mąż poprosiliśmy go, by zagrał to jeszcze raz. Ale wtedy rozległy się syreny – kolejny alarm przeciwlotniczy. Szostakowicz zaproponował nam krótką przerwę, a sam pomógł zejść swojej żonie i dzieciom, Galinie i Maksimowi, do schronu przeciwlotniczego. Pozostawieni sami sobie, siedzieliśmy w milczeniu. Żadne słowa nie wydawały się odpowiednie, by wyrazić to, co właśnie usłyszeliśmy”[5].

Zdając sobie sprawę z wymiaru propagandowego tego nowego dzieła, władze na początku października ewakuowały Szostakowicza i jego rodzinę drogą powietrzną do Moskwy. Stamtąd zaś pojechali oni w zupełnym chaosie do nadwołżańskiego miasta Kujbyszew w przepełnionym pociągu (przez jakieś straszne pół godziny wydawało się wręcz, że rękopis symfonii zaginął). Tam zakwaterowano ich w szkolnej sali wraz z kilkoma innymi rodzinami. Mimo to, a także nie zważając na ciągły niepokój o pozostawione w Leningradzie matkę, siostrę, jak również całą rodzinę żony, Szostakowicz zdołał ukończyć orkiestrację VII Symfonii.

Jej przeróżne premiery – 5 marca 1942 roku w Kujbyszewie, 29 marca w Moskwie (na Kremlu, w Sali Kolumnowej), a w czerwcu i lipcu w Londynie i w Nowym Jorku – wszędzie wzbudzały sensację. „Siódma Symfonia – piała z zachwytu «Prawda» po prawykonaniu w Kujbyszewie – to twórczość wynikła ze świadomości narodu rosyjskiego (...). Hitler nie przestraszył Szostakowicza, Szostakowicz to rosyjski mężczyzna”[6]. Olga Bergholc, która była na koncercie w Moskwie, niezmiernie żałowała, że nie ma z nią jej zmarłego męża: „Jakież to okropne, że nie mogę opowiedzieć o tym Koli, jakie niesprawiedliwe, że tego nie usłyszy... Przez cały koncert w duszy szlochałam. Po pierwszej części coś się we mnie zapadło, tak mnie to wyczerpało emocjonalnie, że środek symfonii całkiem mi umknął. Żeby mogli ją usłyszeć nasi w Leningradzie!”[7]. Według Aleksandra Wertha, także obecnego na sali w Moskwie, symfonia wyrażała „nieskończone współczucie dla narodu rosyjskiego”, złowrogi marsz zaś, wygrywany przez piszczałki i bębny, a powtarzany jedenastokrotnie, za każdym razem głośniej i dobitniej,

dawał poczucie „nagiego zła, z całą jego niewiarygodną, pełną arogancji, nieludzko przerażającą mocą", który opanowywał cały kraj[8].

Londyńską premierę dzieła, która odbyła się w pierwszą rocznicę rozpoczęcia operacji Barbarossa, transmitowano na całe Imperium Brytyjskie. Jak wyjaśniał spiker tonem, który – jak mu polecono – miał być „szczery" i „pełen entuzjazmu", otwierająca część symfonii wprowadzała dwa tematy. Pierwszy był „prostolinijny i pełen siły, podobnie jak zwyczajne, ogorzałe twarze milionów radzieckich mężczyzn i kobiet zgromadzonych w niedzielę 22 czerwca ubiegłego roku w spokojnym i pełnym radości życiu". Drugi symbolizował niemiecką inwazję – „to temat faszystów – brutalnych, bezmyślnych, nieprzejednanych". (Z tekstu dla spikera wypadły ostatecznie odniesienia do tematu „podstępnego" i „sardonicznego" charakteru). „Kto ma uszy do słuchania i serce do odczuwania – podsumowywał dobitnie spiker – ten z pewnością zgodzi się, że muzyka ta jest opowieścią o najwyższym bohaterstwie, o niezachwianej wierze w zwycięstwo"[9]. Po tym górnolotnym wstępie nastąpiło samo wykonanie symfonii, pod batutą sir Henry'ego Wooda i w obecności sześciu tysięcy ludzi ciasno upakowanych w Royal Albert Hall.

W Nowym Jorku symfonia stała się obiektem przepychanki między dwoma wielkimi dyrygentami: Leopoldem Stokowskim i Arturem Toscaninim. Obaj oni energicznie lobbowali w ambasadzie radzieckiej za tym, by to właśnie jednemu z nich przypadł w udziale honor dyrygowania pierwszym wykonaniem. Ostatecznie zwyciężył Toscanini i jego Orkiestra NBC, a choć sam Szostakowicz prywatnie bardzo surowo ocenił jego interpretację („Miesza wszystko razem, a następnie polewa to jakimś ohydnym sosem"), premiera przyciągnęła do radioodbiorników miliony Amerykanów. Magazyn „Time" uczcił to wydarzenie, umieszczając na okładce „Strażaka Szostakowicza", a na pasku pod spodem pisząc: „Pośród bomb wybuchających w Leningradzie on usłyszał nuty zwycięstwa". W sezonie 1942–1943 symfonię grano w całych Stanach Zjednoczonych łącznie sześćdziesiąt dwa razy, przy czym wiele z tych koncertów zamieniało się w publiczne demonstracje poparcia dla rosyjskich wysiłków wojennych. Kanał CBS, nie chcąc, by stacja NBC ponownie go ubiegła, zapłacił rządowi

radzieckiemu dziesięć tysięcy dolarów za prawa do jakiejkolwiek symfonii, którą Szostakowicz skomponuje jako następną. Sam Szostakowicz, choć wychwalany pod niebiosa w radzieckiej prasie, był tym wszystkim mocno wytrącony z równowagi: „Każdy nowy sukces – powiedział później – oznaczał kolejny gwóźdź do trumny”[10].

Ostatnia i najbardziej poruszająca premiera VII Symfonii odbyła się w samym Leningradzie 9 sierpnia 1942 roku. Ponieważ najbardziej prestiżowe orkiestry zostały ewakuowane z miasta wkrótce po domknięciu pierścienia oblężenia, jej wykonanie przypadło w udziale symfonikom Radiokomitetu pod batutą Karla Eliasberga. Orkiestra ta, choć jej szeregi mocno przerzedził pobór wojskowy, grała jeszcze na początku pierwszej zimy w oblężeniu, gdy w mieście panował już powszechny głód. Swój ostatni publiczny występ dała 14 grudnia w lodowatej, niebiesko-białej Sali Wielkiej leningradzkiej Filharmonii (w programie był Czajkowski), a jej ostatni transmitowany na żywo koncert zorganizowano 1 stycznia 1942 roku i składał się on z fragmentów *Śnieżki* Rimskiego-Korsakowa. Solista, tenor, I. A. Łapszenkow, z trudem dotrwał do końca swojej partii, a jeszcze tego samego wieczoru zmarł. Kilka tygodni później Bergholc przypadkiem usłyszała, jak Makogonienko dyktuje na głos: „Pierwsze skrzypce umarły, fagot kona, najlepszy perkusista zmarł”[11]. Łącznie tamtej zimy życie straciło dwudziestu siedmiu członków tej orkiestry.

Pod koniec lutego 1942 roku Radiokomitet ogłosił, że orkiestra będzie odtworzona i nadał apel wzywający wszystkich pozostałych w mieście muzyków do stawienia się w celu rejestracji. Kiedy początkowo zjawiło się tylko szesnastu z nich, Eliasberg zwlókł się z łóżka w swoim *stacyonarze*, w dawnym hotelu Astoria, po to, by kuśtykając, chodzić od mieszkania do mieszkania i nawoływać wszystkich przykutych do łóżek do powstania na nogi. Jak wspomina jedna z oboistek, pierwsze próby trwały tylko czterdzieści minut, a ona sama odczuwała wielką przykrość, gdy u niektórych kolegów dostrzegła twarze zabrudzone sadzą i wszy wypełzające spod kołnierzyków. Zapewniono im posiłki, choć większość zabierała je ze sobą, dla rodziny. Pierwszy koncert – w programie walce oraz fragmenty *Dziadka do orzechów* i *Jeziora łabędziego* – odbył się 5 kwietnia w przestronnej sali Teatru

Aleksandryjskiego. Oboistka tak opisywała później to wydarzenie, począwszy od momentu, w którym Eliasberg wchodził na podwyższenie:

„Karl Iljicz wyszedł cały wykrochmalony i we fraku. Ale kiedy podniósł ramiona, trzęsły mu się ręce. Miałam odczucie, jakby był ptakiem, którego właśnie postrzelono i który w każdej chwili może spaść na ziemię (...). Po chwili ręce przestały mu drżeć, a on zaczął dyrygować.

Kiedy skończyliśmy grać pierwszy utwór, publiczność zaczęła bić brawo, ale nic nie było słychać, bo wszyscy nosili rękawiczki. Patrząc na nich, nie dało się też stwierdzić, kto był mężczyzną, a kto kobietą – kobiety były opatulone od stóp do głów, a mężczyźni nosili chusty i szale, a nawet kobiece futra (...). Po koncercie byliśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, ponieważ wiedzieliśmy, że zrobiliśmy to, co do nas należało, i że nasza praca na tym się nie kończy”[12].

Próby do Szostakowicza zaczęły się w połowie lipca, zaledwie kilka tygodni przed premierą. Rozpisana na osiem rogów, sześć puzonów, pięć kotłów, dwie harfy i co najmniej sześćdziesiąt dwa instrumenty smyczkowe, symfonia ta dalece przekraczała możliwości wykonawcze Radiokomitetu, choć ze szkół muzycznych i z orkiestr wojskowych pościągano dodatkowych muzyków grających na instrumentach dętych – obiecano im kartki żywnościowe robotników fizycznych. Mikrofilm z partyturą przybył drogą lotniczą ze Szwecji, a każdy z muzyków musiał ręcznie przepisać swoją partię. Mężczyznom rozdano marynarki, a kobietom ciemne sukienki, które – jak zapamiętała oboistka – wyglądały na nich jak na wieszakach. Datę koncertu ustalono w pierwszą rocznicę dnia, w którym Hitler planował ponoć urządzić bankiet dla uczczenia zwycięstwa w hotelu Astoria – rano, w dniu koncertu generał Goworow przeprowadził specjalną operację Szkwał, mającą zapobiec zakłóceniu tej wielkiej chwili przez naloty z powietrza bądź ostrzał artyleryjski. W obecności samych ważnych osób, w wypełnionej po brzegi sali filharmonii, zaczęto wreszcie koncert. Samo wykonanie było niedopracowane, ale za to atmosfera na sali wręcz przytłaczała obecnych. Tak zapamiętała to jedna ze słuchaczek uczestniczących w koncercie:

„Niektórzy płakali, ponieważ był to jedyny sposób, w jaki potrafili wyrazić swoje uniesienie; inni – ponieważ sami przeszli przez to, co z tak wielką siłą odmalowywała teraz muzyka; wielu innych dlatego, że opłakiwali tych, których stracili, a wielu też dlatego, że byli przytłoczeni samym faktem obecności właśnie tutaj, w Filharmonii".

Podczas finału wszyscy wstali: „Nie dało się słuchać na siedząco. Po prostu się nie dało"[13]. Oblegający miasto Niemcy, słysząc muzykę dobiegającą z głośników i niosącą się w ich kierunku przez pas ziemi niczyjej, mieli podobno uświadomić sobie w tej właśnie chwili, że wojna na Wschodzie jest nie do wygrania, ponieważ Leningrad jest niezwyciężony, podobnie jak Matka Rosja.

Jest to niewątpliwie cudowna opowieść, tyle że w oczach leningradczyków waga tego wydarzenia wydaje się większa w retrospekcjach aniżeli w tamtej właśnie chwili. Wzmianka o samym koncercie pojawia się u nielicznych pamiętnikarzy, a jeżeli nawet, to jest ona pobieżna i rzucona mimochodem. Możliwe, że zmienna niczym kameleon VII Symfonia – momentami to groźna, to nerwowa, to przerażająca, to natchniona – swoim charakterem pasowała bardziej do lata roku 1941, kiedy Szostakowicz ją stworzył, niż do długich, wypełnionych pustką i otępieniem miesięcy roku 1942. Jak napisała w swoim dzienniku zaraz po powrocie do domu obecna na premierze Wiera Inbier: „Był tam chrzęst zbliżających się niemieckich czołgów. Radosny finał jeszcze przed nami"[14]. Jeszcze później symfonia stała się zakładnikiem zimnej wojny: w Związku Radzieckim grywano ją aż do znudzenia, za to na Zachodzie całkowicie wykreślono z repertuaru jako napuszony przykład stalinizmu. Szostakowicz odzyskał cześć i reputację dopiero po śmierci, dzięki wspomnieniom pisanym przez swoich przyjaciół. Wyjaśniał w nich na przykład, że komponując słynny „faszystowski" marsz na piszczałki i kotły, miał na myśli nie tylko samych nazistów, ale też „innych wrogów ludzkości (...). Odczuwam nieprzemijający ból za tych, którzy zostali zabici przez Hitlera, ale nie mniejszy ból za tych zabitych z rozkazów Stalina. Cierpię za każdego, kto był torturowany, rozstrzelany czy zagłodzony na śmierć. Były ich w naszym państwie miliony, jeszcze zanim rozpoczęła się wojna z Hitlerem"[15].
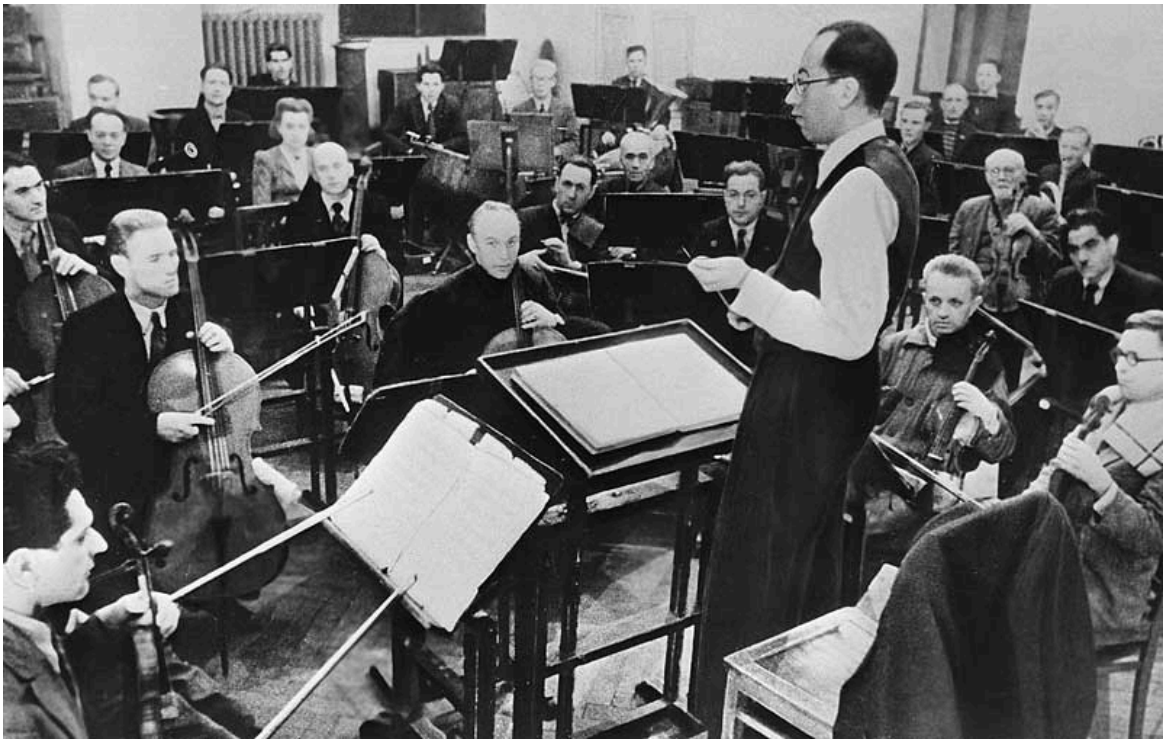
Karl Eliasberg (dyryguje) i muzycy orkiestry Radiokomitetu podczas prób do VII Symfonii Dmitrija Szostakowicza, 1942 rok.

Inną wspaniałą historią „ozdrowieńczą" z 1942 roku jest ta o leningradzkich dzieciach. Na początku oblężenia dzieci poniżej dwunastego roku życia stanowiły zaledwie niecałe 20 procent cywilnej populacji Leningradu, liczącej 2,4 miliona mieszkańców. Do maja 170 tysięcy z nich albo zmarło, albo ewakuowano Drogą Życia, a tysiące kolejnych zostało osieroconych lub pozostawionych bez opieki[16]. Jednym z najczęściej cytowanych świadectw z okresu oblężenia są zapiski czynione ołówkiem na kolejnych stronach podręcznej książki adresowej przez dwunastoletnią Tanię Sawiczewą:

„28 grudnia 1941 roku o dwunastej trzydzieści nad ranem – zmarł Żenia. 25 stycznia 1942 roku o trzeciej po południu – zmarła Babcia. 17 marca o piątej nad ranem – zmarł Lowa. 13 kwietnia o drugiej nad ranem – zmarł wujek Wasia. 10 maja o czwartej po południu – zmarł wujek Losza. 13 maja o siódmej trzydzieści rano – zmarła Mama. Sawiczewowie nie żyją. Wszyscy nie żyją. Została tylko Tania".

Począwszy od stycznia, brygady pracowników obrony cywilnej, złożone głównie z młodych, około dwudziestoletnich kobiet, obchodziły

„umarłe” mieszkania, zabierając z nich dzieci takie jak Tania. Przekazywano je następnie do prowadzonych przez milicję ośrodków dla sierot, podobnych do tych, które otwierano pięć lat wcześniej, by zajęły się potomstwem ofiar czystek. Z ośrodków tych młodsze dzieci, w wieku od trzech do trzynastu lat, przenoszono do jednego ze 130 nowych domów dziecka (98 z nich w obrębie miasta, 32 pozostałe w otaczających Leningrad miasteczkach i wioskach), otwieranych od stycznia do marca. Do końca roku objęto w ten sposób opieką 26 250 dzieci, z czego 54 procent sierot, a 30 procent wciąż posiadających jedno z rodziców, tyle że służące w siłach zbrojnych[17].

Starsze dzieci kierowano do brygad obrony cywilnej albo do fabryk, czy to bezpośrednio, czy przez odpowiednie szkoły zawodowe. Czternastoletnia Galina Wiszniewska, później śpiewaczka operowa, aktorka, pozostawiona w Kronsztadzie przez ojca i macochę, dołączyła do kobiecej brygady obrony cywilnej. Mieszkała w koszarach, nosiła kombinezon i uczyła się, jak zarzucać na ramiona deski, odkopywać pęknięte rury, pić wódkę, palić machorkę i śpiewać marynarzom jazz. Jak sama określiła we wspomnieniach, „nie była to szkółka dla szlachetnie urodzonych młodych dam (…). Tutaj nauczyłam się życia takiego, jakim ono naprawdę jest – życia, którego w innych warunkach nigdy bym nie poznała”[18].

Innym dzieckiem, które jako jedyne z całej rodziny przeżyło okres głodu, była Irina Bogdanowa, mająca wówczas osiem lat. Tragedia dotknęła jej rodzinę już w czasach Wielkiego Terroru, gdy dziadków ze strony ojca zesłano do Archangielska, a ojciec, dziennikarz „Leningradzkiej Prawdy”, popełnił samobójstwo. Irina – ładna, pulchna dziewczynka w białych podkolanówkach, z jasnymi włosami spiętymi w kucyki – była wychowywana przez matkę (geolog, rzadko bywającą w domu), ciotkę i babkę, a wszystkie razem żyły w mieszkaniu przy ulicy Barmalejewa na Piotrogrodzkiej Stronie. W lutym 1942 roku dorosłe lokatorki, jedna po drugiej, zapadły na czerwonkę i umarły, Irina pozostała sama w towarzystwie trupów matki i babki. Dziesięć dni później zabrała ją stamtąd jakaś dwudziestojednoletnia komsomołka, która przekazała dziewczynkę milicji wraz z ubraniami, butami i niewykorzystanymi odcinkami kartki żywnościowej („Pomyślcie tylko,

w tych warunkach, jak wielką uczciwością się wykazała, nie biorąc ich dla siebie!" – zachwyca się dziś Irina). Na jej formularzu rejestracyjnym ktoś początkowo napisał „chłopiec", a dopiero później poprawił na „dziewczynka". Te dni, które spędziła sama w pustym mieszkaniu, są dla niej jedną wielka pustką: pierwszym, co pamięta, jest pobudka w wielkiej, oświetlonej sali i świadomość, że dziewczyna, z którą śpi w jednym łóżku, nie żyje. Nie była to sytuacja niezwykła: spośród 4508 dzieci przyjętych do dziesięciu sierocińców położonych na przedmieściach 682 zmarło, głównie w pierwszych kilku dniach po ich przyjęciu[19].

Wiosną i latem 1942 roku sierocińce – w których łącznie znajdowało się 38 080 dzieci – ewakuowano na terytoria nieokupowane[20]. Przerzucane i odsyłane przez poszczególne władze administracyjne w kolejnych mijanych miejscowościach, podróżowały nierzadko nawet całymi tygodniami, by ostatecznie wylądować na głębokiej prowincji, z dala od służb medycznych czy środków łączności. Skrajnym przykładem może być tu dom dziecka numer 82, którego 135 osieroconych wychowanków umieszczono w dwóch małych i nieoświetlonych barakach w niewielkiej osadzie na zachodniej Syberii, 25 kilometrów od najbliższego telegrafu i 800 kilometrów od linii kolejowej[21]. Irina Bogdanowa, z całym swoim domem dziecka numer 57, została ewakuowana do jakiejś wioski w rejonie Jarosławia. Życie tam wspomina jako „trudne, ale dobre". Dzieci spały na materacach wypchanych słomą, posyłano je do ciężkiej pracy przy zbieraniu grzybów i jagód – nie wolno było zjeść ani jednej sztuki, dopóki nie wypełniło się swojej normy – i poddawano karze, jeśli zostały złapane na podkradaniu jedzenia. Irina musiała wygłosić publiczne przeprosiny przed całą szkołą za to, że niosąc bochenek chleba z miejscowej piekarni, wydłubała dla siebie kawałeczek i ulepiła go w kulkę z płatkami kwiatów zrywanych z przydrożnych lip: „One były takie słodkie i klejące, a z chlebem takie pyszne – do dziś pamiętam ten smak"[22].

Dla dzieci, podobnie jak dla dorosłych, powrót do zdrowia i równowagi wiązał się rzecz jasna nie tylko ze zwiększeniem racji żywnościowych. Ocalali pamiętają wszechobecne wówczas uczucia

wciąż powracającego niepokoju, otępienia, nieufności wobec dorosłych i obsesji na punkcie jedzenia. Zapytana o to, czy lubi pierniczki, jedna z dziewczynek ewakuowanych na Ural w ogóle nie zrozumiała pytania: „Siedziałam i zastanawiałam się, co to znaczy: smakuje, nie smakuje? Co to jest: chce się jeść albo nie chce się jeść?". Nocami wymykała się na pobliskie pole i rozkopywała je w poszukiwaniu chleba, który – jak sądziła – rośnie w ziemi jak ziemniaki. „Myślałam: muszę wykopać dołek, tam leży bochenek świeżego chleba. Wezmę go i najem się do syta"[23]. Pewna lekarka dała dzieciom na swoim oddziale kredki do rysowania; jedno z nich narysowało tarczę zegara i opatrzyło rysunek podpisem: „To jest nasz zegarek. Mówi nam, kiedy możemy zjeść następny kawałeczek chleba"; inne – dziewięcioletni chłopiec – narysowało wielki czarny kwadrat[24]. Wierę Inbier poproszono o jurorowanie w konkursie na opowiadanie. Jedna z uczestniczek wyobrażała sobie, że warzywa uprawiane przez nią w szkolnym ogródku są malutkimi ludzikami z zielonymi nóżkami i główkami i wbiegają na górę po schodach jakiegoś bloku, by uratować chudą, złotowłosą dziewczynkę, a następnie razem z nią, pośród ostrzału artyleryjskiego, pędzą schować się do okopów Armii Czerwonej[25]. Inne dzieci obsesyjnie gromadziły zapasy, zbierając okruszki chleba do pudełek po zapałkach. Jeszcze inne zaczynały się jąkać albo wręcz całkiem przestawały mówić[26]. Dla nauczycieli jednym z najbardziej obiecujących sygnałów powrotu ich uczniów do zdrowia był moment, w którym zaczynali znowu psocić i źle się zachowywać. Jedna z dziewczynek, której kazano zameldować się u dyrektorki za to, że samowolnie wybiegła na ulicę, ze zdumieniem ujrzała, jak ta zalewa się łzami: „To był pierwszy wybryk dziecięcy, a więc dzieci wyraźnie wracały do normalnego życia i to bardzo cieszyło dorosłych"[27].

Szkoła ocaliła też Olgę Grieczinę, choć nie jako uczennicę, lecz jako nauczycielkę. Od początku wojny Grieczina kopała rowy, pracowała w fabrykach, odgarniała śnieg, kilkakrotnie o włos uniknęła śmierci podczas nalotów, a wreszcie straciła matkę, która umarła z głodu. Jej szesnastoletni brat Wowka stał się dla niej obcym człowiekiem, który z rzadka zjawiał się w ich mieszkaniu, za to zawsze z jakimiś dziwnymi rzeczami: a to nowymi ubraniami, a to rowerem, a to słoikiem na wpół

zgniłych solonych pomidorów, a te – jak mało wiarygodnie twierdził – pożyczali mu krewni lub znajdował je sam w piwnicach Instytutu Smolnego. Olga zanotowała: „Nie był już tym samym wesołym słonikiem, którego tak uwielbiały wszystkie moje szkolne koleżanki, trochę tchórzliwym i niezbyt zainteresowanym nauką". W maju 1942 roku wszystko stało się jasne – Grieczina dowiedziała się, że aresztowano go za kradzieże – jak odkryła, nie tylko ze sklepów z chlebem, ale także od sąsiadów i krewnych, w tym od dwóch niezamężnych ciotek, którym zabrał kartki, obiecując przynieść w zamian racje żywnościowe; obie wskutek tego po niedługim czasie zmarły z głodu. Mimo że obeszła wiele komisariatów milicji, a także wystawała w długich, milczących kolejkach pod więzieniem Kriesty, Olga już nigdy więcej nie zobaczyła brata, a jakiekolwiek wieści o nim otrzymała dopiero latem następnego roku, kiedy zawiadomiono ją oficjalnie, że zmarł na „dystrofię" w jednym z obozów pracy w prowincji jarosławskiej.

Po aresztowaniu Wowki Olga przeżyła załamanie nerwowe. Zmuszona do sprzedaży pozostałych jej jeszcze rodzinnych dóbr chciwej koleżance ze szkoły (srebrny zestaw do herbaty podarowany jej rodzicom z okazji rocznicy ślubu poszedł za kilka rubli, a dębowy stół za dwa kilogramy prosa), pogrążyła się w olbrzymim poczuciu straty i opuszczenia, zaczęła mieć halucynacje, a wreszcie wpadła w głęboką depresję. W odpowiedzi na apel radiowy, ogłaszający nabór dla przedszkolanek, Grieczina zgłosiła się na szkolenie dla nauczycieli, na którym jednak siedziała z tyłu i spała:

„Budziłam się z rzadka i nie potrafiłam niczego zapisać ani zapamiętać. Na szczęście nie było żadnych egzaminów – wszystkie bym oblała. Było tam parę miłych dziewczyn, ale rozmawiałam z nimi jak jakiś robot. Myślę, że uważały mnie za niedorozwiniętą umysłowo. Było to zresztą prawdą, ponieważ nic nie pamiętam z całego czerwca. Nie pamiętam, co wtedy jadłam, z kim się spotykałam, ani żadnych innych szczegółów mojego ówczesnego życia. Nie czułam, że umieram, ale że już jestem martwa"[28].

Ocalenie przyniosła jej szkoła z internatem numer 43, prowadzona silną ręką i dobrze ustosunkowana placówka mieszcząca się w ładnym,

dziewiętnastowiecznym budynku nad samą Newą, jedną przecznicę od Ermitażu (stoi tam po dziś dzień). Jej dyrektorka, widząc przed sobą dwudziestojednoletnią chudą okularnicę, z głową opiętą dookoła długim warkoczem i w pocerowanych pończochach, z miejsca odesłała ją do kopania ziemniaków w szkolnym kołchozie. Olga jadła tam zupę z kapusty, przysypiała „z nosem przy ziemi" na ziemniaczanych grządkach, a przede wszystkim podczas długich jasnych wieczorów miała okazję otworzyć się wobec innych koleżanek, w większości świeżo owdowiałych wykładowczyń uniwersyteckich. We wrześniu wszystkie wróciły do miasta, a Olgę najpierw skierowano do naprawiania szkolnych podręczników („Trudno było się powstrzymać przed jedzeniem kleju zrobionego z czystej białej mąki"), a wreszcie przydzielono jej klasę „trzydzieściorga pięciorga już nie głodujących i całkiem żywych" czterolatków. „Nie masz pilnować tych dzieci – powiedziała jej dyrektorka – masz je wychowywać".

Praca okazała się niezwykła. Nauczycielki mieszkały przez całą dobę w szkole, wraz ze stu dwudziestoma podopiecznymi w wieku od czterech do siedmiu lat. W nocy – jeśli akurat nie sprowadzały dzieci do schronu przeciwlotniczego – spały na złączonych stołach, za dnia zaś nie tylko uczyły, ale też dokładały do pieców, przynosiły wodę, dźwigając ją z nieoświetlonej piwnicy sąsiedniego budynku po schodach nawet na drugie piętro szkoły, prały i suszyły pościel (sześcioro maluchów w grupie Olgi moczyło się w łóżku), czyściły ubikacje, składały i rozkładały polówki (cztery razy dziennie, biorąc pod uwagę również poobiednie drzemki), a także goliły dzieciom głowy, by pozbyć się wszy. Wieczorami natomiast naprawiały dziecięce ubranka, „odzyskując" guziki i gumki z tych nienadających się już do użycia. Nie było mydła ani pasty do zębów, a naczyń było tak niewiele, że wszyscy pili ze spodeczków. Personel szkolny był również angażowany do „ochotniczej" pracy na zewnątrz, przy wyburzaniu budynków w celu odzyskania drewna na opał albo przy opróżnianiu basenów w pobliskim szpitalu wojskowym. I choć mówienie o wojnie przy dzieciach było zabronione – nauczycielki miały je „przenosić w świat fantazji, bajek i sztuki" – rzeczywistość, co zrozumiałe, często sama naruszała ten zakaz. Na spacerach dzieci rywalizowały o łuski pocisków

wystrzelonych z dział przeciwlotniczych „Kirowa", zacumowanego nieopodal przy nabrzeżu Newy, a podczas przerw wzbudzały niepokój Olgi swoimi zabawami:

„Dziś dzieci znalazły na podwórzu jakąś dziurę i zaczęły ją pogłębiać, powtarzając monotonnie: «Dalej, dalej, kopcie szybciej. Są tu nasze maleństwa. Niemcy ich wszystkich pozabijali!».

Lida: «Tam jest mój Wowoczka!».

Rufa: «I moja Lilenka, i babcia!»...

Odciągnięcie dziewczynek od takiej zabawy było bardzo trudne. Fascynowała je i wciąż do niej wracały, raz za razem. Zaczynała ją zawsze Rufa, pięciolatka, najstarsza w mojej klasie. Nigdy wcześniej nie chodziła do przedszkola i najwyraźniej mieszkała z babcią, która pewnego dnia zasnęła i już nie chciała się obudzić. A przed nią odeszła jeszcze Lilenka – prawdopodobnie jej młodsza siostra – która także zasnęła na wieki"[29].

Olga nie miała dotąd zbyt wiele do czynienia z małymi dziećmi i początkowo uznawała kontrolowanie swojego „kolektywu" za prawie niemożliwe, ale z czasem nauczyła się, jak uciszać dzieci podczas posiłków – przydawała się do tego jej własna zabawka z dzieciństwa – pluszowa rękawica w kształcie pieska o lśniących oczach i długich, opadających uszach. Albo jak odwracać ich uwagę podczas nalotów: powtarzała im aż do znudzenia bajkę braci Grimm o magicznym garnku, z którego wypływał niekończący się strumień słodkiej złocistej kaszy – było jej tak dużo, że zalewała cały dom, a potem płynęła ulicami miasta. „Mnóstwo energii, czasu i krochmalu" poszło na przygotowania do Nowego Roku 1943. Poza obowiązkiem recytowania prostackich wierszy wychwalających Woroszyłowa, rozdawanych przez miejski wydział oświaty, dzieci, poprzebierane za śnieżynki, króliczki i misie, oraz jedna z nauczycielek występująca jako Snieguroczka (rosyjska Śnieżynka, wnuczka Dziadka Mroza) – mogły żonglować śnieżnymi kulkami zrobionymi z waty. Ciocia Motia, nieprzekupna osiemdziesięcioletnia szkolna kucharka, zrobiła *pirożki* ze specjalnie na tę okazję gromadzonej mąki.

Olga pozostała w tej szkole aż do jesieni 1944 roku, kiedy wznowiła swoje przerwane studia uniwersyteckie. Szkoła nie tylko ocaliła ją przed czarną rozpaczą, ale też dała „własne miejsce na Ziemi". Jak napisała później, „poczułam, że potrzebuję ludzi i że oni mogą potrzebować mnie".

21. OSTATNI ROK

Jednym z celów Hitlera na rok 1942 był Leningrad. Natarcie na to miasto Niemcy zamierzali przypuścić, zgodnie z dyrektywą führera z 5 kwietnia, natychmiast po tym, jak zwycięstwo na Krymie uwolni potrzebne ilości sprzętu opancerzonego i artylerii, a cała operacja miała otrzymać kryptonim *Nordlicht*, czyli „Północne Światło”[1]. Ignorując nalegania swoich generałów, by podjąć kolejną próbę zdobycia Moskwy, Hitler jasno wyłożył zamiary tuż po zdobyciu Sewastopola, kiedy to rozkazał von Mansteinowi i jego pięciu dywizjom przemieścić się na północ – wraz z olbrzymim kolejowym działem oblężniczym, zwanym „Ciężkim Gustawem”[2]. „Sankt Petersburg – rozmarzył się wódz podczas obiadu kilka dni później – musi zniknąć całkowicie z powierzchni ziemi. Moskwa również. A potem Rosjanie pójdą sobie na Syberię”[3]. Daleka od wycofywania się na Syberię Armia Czerwona podjęła tymczasem w połowie sierpnia kolejną, czwartą już próbę odepchnięcia Niemców od południowych brzegów jeziora Ładoga, skupiając się na leżących na południe od Szlisselburga Wzgórzach Siniawińskich, o które już wcześniej toczyły się krwawe i zacięte walki. Nowe dywizje von Mansteina zdołały wprawdzie powstrzymać natarcie Rosjan i utrzymać własne pozycje, ale nie miały już siły, by przejść do operacji *Nordlicht*. Tymczasem Hitler rozkazał rozpocząć także inne natarcie – operację *Blau* („Niebieska”), która miała zdecydowanie przesunąć linię frontu w kierunku południowym, ku Kaukazowi i Azji Środkowej. W ostatnim tygodniu lipca padł Rostów nad Donem, a w połowie sierpnia formacje pancerne zaczęły docierać do podnóża Kaukazu, skąd niezmiernie blisko wydawało się już do roponośnych pól otaczających Baku.

Tak naprawdę jednak szczęście w tej wojnie zaczynało sprzyjać Rosji. Na początku jesieni Wehrmacht był już zdecydowanie za bardzo rozciągnięty, jego linie zaopatrzenia zbyt wąskie, jego rekruci coraz

młodsi i coraz bardziej nieopierzeni, a jego generałowie coraz częściej tylko przytakiwali führerowi – Speer nazywał ich wręcz „potakującymi osłami”[4]. (Halder podał się do dymisji we wrześniu, lamentując nad „napadami dzikiej wściekłości” u Hitlera oraz nad jego „chroniczną tendencją do niedoceniania przeciwnika”). Za to Armia Czerwona zaczynała właśnie odzyskiwać zdolność bojową. W przeciwieństwie do Hitlera Stalin wreszcie sobie uświadomił, że decyzje o charakterze militarnym najlepiej jest pozostawić zawodowcom, i zaczął słuchać swoich generałów, a w październiku pozbawił też większości dotychczasowych uprawnień komisarzy politycznych, którzy wcześniej niemal krok w krok podążali za kadrą oficerską. Ponadto dostawy z programu Lend-Lease zaczęły wreszcie docierać drogą lądową przez Władywostok i Teheran zamiast za pośrednictwem niepewnych konwojów arktycznych. Produkcja broni – zwłaszcza silnych i niezawodnych czołgów T-34 oraz pistoletów maszynowych PPSz-41, potocznie zwanych pepeszami – stale rosła.

Powoli zaczynała też mieć znaczenie liczebność rosyjskiej populacji, a także fakt, że Armia Czerwona coraz chętniej sięgała po kobiety, których począwszy od wiosny 1942 roku rekrutowano już naprawdę dużo. Początkowo wykorzystywane jako personel pomocniczy, teraz kobiety – w większości, podobnie zresztą jak walczący mężczyźni, około dwudziestoletni – były szkolone do pilotażu myśliwców albo bombowców, do obsługi dział przeciwlotniczych, jako zwiadowczynie, snajperki, saperki, a wreszcie szeregowe żołnierki oddziałów piechoty. „Tego ranka – napisał skonfundowany Fritz Hockenjos – jeden z moich wartowników zauważył kobietę z karabinem. Strzelił do niej dla zabawy. A ona natychmiast padła na ziemię, zerwała się, obróciła, odpowiedziała ogniem i pobiegła przed siebie – równie dobrze jak każdy odpowiednio wyszkolony żołnierz. Miejmy nadzieję, że nigdy nie będę miał do czynienia z takimi kobietami”. Rok później, podczas ataku Rosjan pod Pskowem, ludzie Hockenjosa donieśli mu, że widzieli, jak w przód wybiegają żołnierki wyposażone w maty, przerzucają je przez zasieki z drutu kolczastego, po czym robią miejsce dla żołnierzy piechoty idących za nimi. „Zastrzeliliśmy i je, i żołnierzy piechoty. Ludzie powiedzieli mi o tym dopiero później, posługując się sprośnymi

żartami, żeby ukryć swoje zakłopotanie. Kiedy spytałem ich, skąd wiedzieli, że to były kobiety, powiedzieli: «Kiedy podskakiwały, wszystko im się trzęsło»”[5]. Do końca wojny przez Armię Czerwoną przewinęło się łącznie około ośmiuset tysięcy kobiet.

To, że losy wojny na Wschodzie zaczynają się odwracać, stało się oczywiste dla całego świata po wydarzeniach pod Stalingradem, miastem nad Wołgą, oddalonym o niecałe dwieście kilometrów od dzisiejszej granicy Rosji z Kazachstanem. Jego nazwa wciąż jest synonimem radzieckiej nieustępliwości i nazistowskiego przeliczenia się z siłami. Oblegane począwszy od sierpnia 1942 roku, wielokrotnie wydawało się o krok od upadku, dopóki w połowie listopada Żukow nie przeprowadził ambitnej akcji kontrokrążenia 6 Armii Paulusa. Podjęta w połowie grudnia przez von Mansteina próba oswobodzenia tej armii z potrzasku zakończyła się niepowodzeniem i po siedmiu kolejnych tygodniach straszliwej rzezi Paulus wreszcie się poddał, wraz z ponad dziewięćdziesięcioma tysiącami pozostałych przy życiu żołnierzy. Toczącego pianę z ust w Wilczym Szańcu Hitlera najmocniej zabolało jednak to, że Paulus nie popełnił samobójstwa: „Czym jest Życie? Życie to Naród. Jednostki przecież muszą umrzeć… Mógł się uwolnić od wszelkiego smutku i wstąpić do wieczności oraz zyskać nieśmiertelność w narodzie, ale on wolał udać się do Moskwy”[6]. Taka sama, mało podnosząca na duchu konstatacja znajdowała się na wszystkich kartkach pocztowych Feldpost, na których Hockenjos pisał do domu, do swojej żony: „Es ist gantzlich unwichtig, ob wir leben, aber notwendig ist, dass unser Volk lebt, dass Deutschland lebt” („Zupełnie nieważne jest, czy my będziemy żyć, za to musi żyć Naród, muszą żyć Niemcy”).

W Leningradzie, którego ludność stanowiła teraz zaledwie jedną piątą całej populacji sprzed początku wojny, druga zima w oblężeniu w niczym nie przypominała tej pierwszej. Poszczególne rodziny raz jeszcze skupiły się w pojedynczych pokojach ogrzewanych kopcącymi *burżujkami*; pozatykały wszystkie okna i zgromadziły zapasy żywności i drewna na opał. Ta zima była jednak łagodna, więcej mieszkań miało już dostęp do elektryczności i wody, a wielkość przydzielanych racji żywnościowych była na tym samym poziomie co w Moskwie. Nie

wystąpiła więc powtórna fala masowych zgonów, taka jak ta z przełomu lat 1941 i 1942.

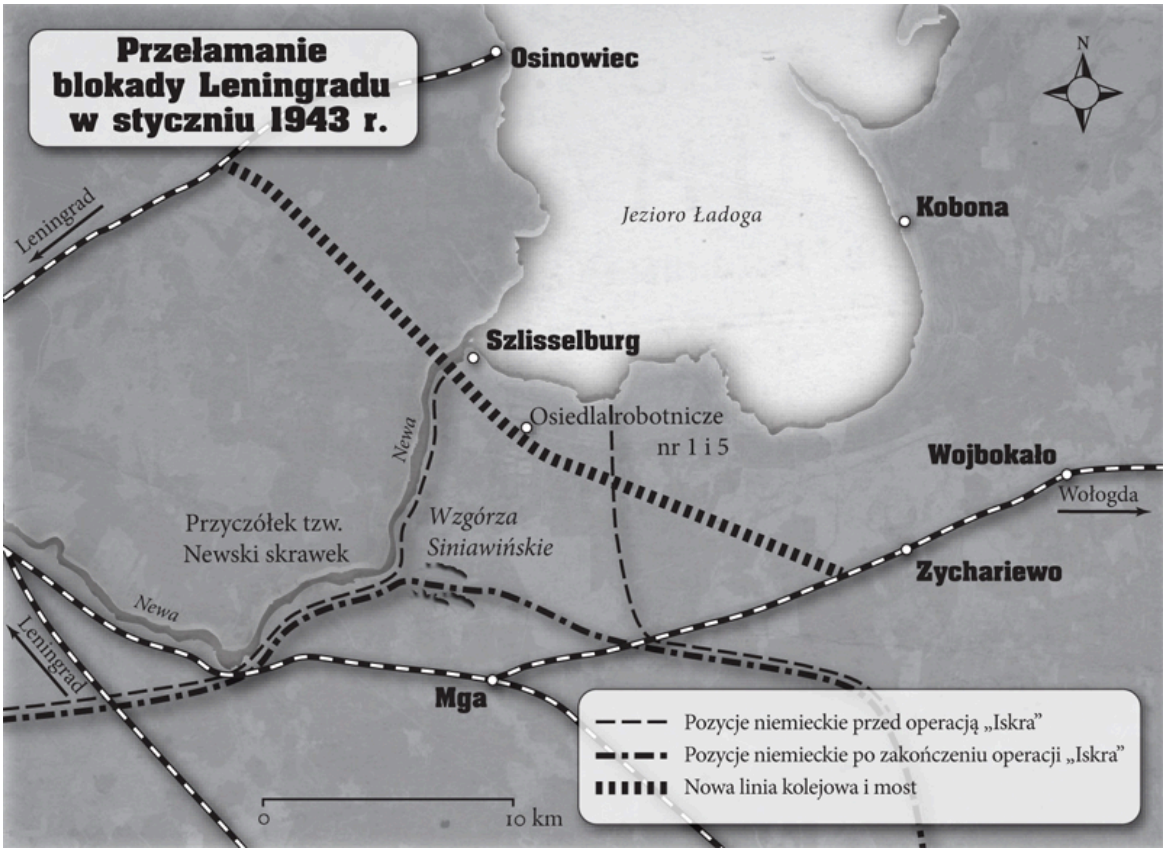

Kiedy bitwa o Stalingrad toczyła się jeszcze w najlepsze, Stalin rozkazał podjęcie kolejnego ataku w celu wyzwolenia Leningradu. Akcja ta, opatrzona kryptonimem „Iskra", była powtórzeniem sierpniowej ofensywy pod Siniawinem, ale zasadniczo nieco lepiej ją zaplanowano i przeprowadzono z użyciem lepszego wyposażenia. Armie leningradzkie miały przekroczyć Newę w trzech różnych punktach rozlokowanych wzdłuż odcinka rzeki biegnącego na południe od Szlisselburga, armie wołchowskie zaś miały uderzyć w kierunku zachodnim – by oba fronty spotkały się ostatecznie na południe od Ładogi. Kiedy jednak pierwsze próby przeprawienia czołgów po zamarzniętej Newie nie powiodły się, ponieważ lód okazał się jeszcze zbyt cienki, początek całej operacji przełożono na 12 stycznia, kiedy temperatura zdążyła już spaść do minus piętnastu stopni. Tego dnia nadzorowana przez Żukowa ofensywa rozpoczęła się bladym świtem od dwugodzinnego zmasowanego ostrzału artyleryjskiego prowadzonego

przez ponad cztery i pół tysiąca dział. Tym razem czołgi przeprawiono po pomysłowo ułożonych pontonach, które wcześniej przetransportowano na miejsce pod osłoną nocy i unieruchomiono, pozwalając im przymarznąć do lodu dzięki wodzie zassanej spod tafli. Do końca dnia na lewym brzegu Newy udało się już ustanowić przyczółek o długości pięciu kilometrów i szerokości kilometra. Do 14 stycznia dwa radzieckie fronty znajdowały się już w odległości zaledwie pięciu kilometrów od siebie. O godzinie dziewiątej trzydzieści rano 18 stycznia wreszcie doszło do ich spotkania, na wyrobiskach torfu, które przeszły do historii jako Osiedla Robotnicze numery 1 i 5, ale w rzeczywistości były placówkami Gułagu. Jeszcze tego samego dnia Armia Czerwona wyzwoliła Szlisselburg. Miasto było opustoszałe, bo niemal wszyscy jego mieszkańcy zmarli z głodu, a kilkuset ocalałych albo już wcześniej zesłano na roboty przymusowe, albo zabrano teraz, wraz z wycofującymi się wojskami niemieckimi.

W Leningradzie tłumy mieszkańców gromadziły się wokół ulicznych głośników. „Niezwykły dzień" – napisała Wiera Inbier 16 stycznia:

„Całe miasto czeka. Już lada chwila! Wzięliśmy Szlisselburg – to fakt. Opowiadają również, że dwa nasze fronty – Leningradzki i Wołchowski – połączyły się. Oficjalnie jeszcze nic nie wiadomo, ale miasto czeka.

Słychać kanonadę artyleryjską, przed chwilą skończył się alarm: życie oblężonego miasta toczy się swoim torem. Wszyscy jednak czekają na coś. Nikt o niczym nie mówi, jak gdyby wszyscy bali się, że wypowiedziane w złą godzinę słowo może dolecieć tam, gdzie rozstrzyga się teraz nasz los, i coś zmienić... Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Próbowałam pisać – też nie mogę"[7].

Oficjalne potwierdzenie nadeszło dwa dni później w formie wielkich plakatów porozklejanych po całym mieście. „Blokada została przełamana! Blokada została przełamana! – emocjonowała się Anna Ostroumowa-Lebiediewa. – Co za szczęście, co za radość! Przez całą noc nikt nie spał. Niektórzy płakali z radości, inni świętowali, jeszcze inni po prostu krzyczeli... Już nie jesteśmy odcięci od Ojczyzny! Bije w nas ten sam puls co u nich!"[8] Dmitrij Łazariew napisał zaś: „Wszyscy gratulują jeden drugiemu i opowiadają sobie, w jaki sposób i od kogo się

o tym dowiedzieli – jak kobiety wybiegały szczęśliwe z biur zarządów budynków, jak ktoś kogoś wycałowywał, a ktoś inny się przeżegnał… Co tam naloty i bombardowania, jakkolwiek byłyby one ciężkie i częste. Blokada została przełamana – to początek końca!”[9].

Rzeczywiście był to początek końca. Ale też nic ponadto. Zwycięstwo, jak na radzieckie standardy okupione dość niewielkimi stratami (trzydzieści cztery tysiące zabitych, zaginionych bądź wziętych do niewoli), było również dalekie od pełnego[10]. Armia Czerwona odepchnęła wprawdzie Niemców od jeziora Ładoga, ale wywalczyła wzdłuż jego południowych brzegów zaledwie wąski i niepewny korytarz wiodący do pozostałej części kraju, który w najwęższym punkcie miał tylko osiem kilometrów szerokości. (Fritz Hockenjos, patrząc ze swojego nowego punktu obserwacyjnego, kolejnej klasztornej dzwonnicy, nad Zatoką Fińską, mógł dostrzec samochody i pieszych na ulicach miasta, a także policzyć okna w budynku rządowym)[11]. W lutym 1943 roku rozpoczęto drugą operację, o kryptonimie *Polarnaja Zwiezda* („Gwiazda Polarna”), która miała na celu całkowite zniesienie oblężenia poprzez okrążenie niemieckiej 18 Armii od zachodu i odcięcie jej w ten sposób kolejowych linii zaopatrzenia wiodących na tyły w okolicach Pskowa. Ta ofensywa już się nie powiodła, częściowo wskutek deszczu, częściowo z powodu wzmocnionej czujności Hitlera po klęsce stalingradzkiej, a częściowo dzięki hiszpańskiej Błękitnej Dywizji, która z powodzeniem utrzymała swoje pozycje pod Krasnym Borem, tocząc o nie zawziętą wojnę pozycyjną, przeradzającą się miejscami w bezwzględny bój twarzą w twarz. Hockenjos, który wcześniej traktował Hiszpanów lekceważąco, pisząc o nich jako o „jednej wielkiej bandzie *caballeros*, nożowników i operetkowych tenorów”, prawdopodobnie musiał wówczas mocno ugryźć się w język.

Wywalczony wzdłuż brzegów Ładogi korytarz pozwolił jednak na zbudowanie tymczasowej, trzydziestoczterokilometrowej linii kolejowej wiodącej do Leningradu przez most pontonowy nad Newą. Pierwszy pociąg z nieokupowanej części kraju przejechał nią, a następnie wtoczył się na Dworzec Fiński 7 lutego, witany przemowami, machaniem chorągiewkami i wesołą muzyką graną przez orkiestrę dętą. Obwieszony portretami Stalina i Mołotowa (dodatkowo jeszcze

udekorowanymi dębowymi gałązkami), a także transparentem głoszącym: „Śmierć faszystowskim niemieckim uzurpatorom!", wiózł on podobno masło („dla leningradzkich dzieci") oraz mnóstwo kociaków, na które w mieście był duży popyt ze względu na plagę szczurów. Choć linia ta aż do września, kiedy to ostatecznie zepchnięto Niemców ze Wzgórz Siniawińskich, była narażona na ciągły ostrzał artyleryjski, to stała się cennym uzupełnieniem coraz lepiej funkcjonujących kanałów zaopatrzenia przez jezioro Ładoga (zarówno barkami, jak i po zamarzniętej pokrywie lodowej).

Wewnątrz samego, na wpół opustoszałego miasta panujące nastroje z biegiem roku 1943 coraz bardziej upodabniały się do pełnego napięcia i udręki wyczekiwania – na drugi front, na ustanie ostrzału i nalotów, na koniec wojny i powrót do normalnego życia. Wszyscy wciąż cierpieli dokuczliwy głód. Bibliotekarka Maria Maszkowa co rusz popadała w kolejne fale depresji, nie mogąc wzbudzić w sobie zainteresowania niczym innym poza męcząco nawracającymi myślami o chlebie i kaszy. Choć jej mieszkanie było teraz czyste i ciepłe, działały w nim elektryczność, ubikacja, telefon i radio, wciąż czuła się wyczerpana i rozdrażniona. W pracy różne zadania „przeciekały jej przez palce", w domu dręczyło ją poczucie winy za to, że nie potrafi odnaleźć przyjemności w przebywaniu z dziećmi. Jej wychudzony, dotknięty reumatyzmem mąż zamknął się w sobie, mówił niewiele, a wieczorami tylko spał „niczym świstak", podczas gdy ona, pełna złych emocji, cerowała skarpety, uczyła się niemieckiego albo czytywała *Braci Karamazow*. Zupełnie nie rozumiała też plotek przynoszonych przez swoją przyjaciółkę Olgę Bergholc z Radiokomitetu – o przeróżnych flirtach czy wybuchach zazdrości, a widok jakiejś kobiety karmiącej piersią dziecko w poczekalni lekarskiej wydał jej się niemal odpychający. Wyliczyła sobie, że dziecko musiało zostać poczęte w lutym albo w marcu poprzedniego roku, „miesiącach, w których ludzie padali z nóg setkami i tysiącami, umierając z głodu, gdy cmentarze były pełne, na ulicach walały się ciała, wszędzie wokół widać było poczerniałe, zasuszone twarze. I przy tym wszystkim – początek nowego życia! Skąd oni wzięli na to siły, skąd pożądanie?".

Echa masowych zgonów wciąż dochodziły ją na każdym kroku, głównie pod postacią zapuszczonych i znajdujących się w opłakanym stanie „umarłych" mieszkań, z których Maszkowa miała odzyskiwać książki dla Biblioteki Publicznej. Każde z nich miało własną historię: o śmierci, szabrownictwie, samobójstwie, aresztowaniu dzieci bądź oddaniu ich do sierocińca albo po prostu o ich zaginięciu. 7 kwietnia 1943 roku Maszkowa odwiedziła trzy takie miejsca, w tym jedno szczególnie „typowe dla Leningradu":

„Kiedyś mieszkała tu sześcioosobowa rodzina. Ojciec i najstarsza córka idą do Armii Czerwonej i odtąd nie ma już o nich żadnych wieści. Nikt nie wie, czy żyją, czy nie. Matka zostaje w Leningradzie z trójką dzieci – upośledzonym umysłowo Borisem, w wieku ośmiu lat, Lidą, trzynastolatką, i Lusią, piętnastolatką. Mężnie stara się ocalić je ze szponów śmierci, ale nie jest w stanie tego dokonać. W grudniu umiera Boris, w styczniu Lida, a następnie – na biegunkę głodową – sama matka. Pozostaje jedynie Lusia – z kartką niepracującego członka rodziny, sama w ciemnym, zimnym, zapuszczonym mieszkaniu, brudnym od odchodów i sadzy. Z trudem dowleka się na targ, sprzedaje resztę rzeczy, a wreszcie, z braku innych możliwości, zaczyna okradać sąsiadów. Przyłapano ją ze skradzionymi kartkami żywnościowymi i aresztowano. Od marca zeszłego roku nie ma o niej wieści. Może też już nie żyje. Pozostał po nich wszystkich tylko ten przerażający, dystroficzny pokój, cały w brudzie, śmieciach i sadzy. Nie ma już rodziny – tylko dwa puste łóżka, a wokół nich wszechobecny chaos – oto co zostało z niegdyś przytulnego domu. Och, jakie to wszystko znajome!".

W mieście rozlegały się także inne echa: echa terroru. Maszkowa była wzywana do Wielkiego Domu czterokrotnie, w lutym oraz w marcu, zawsze późno w nocy. Jedno z przesłuchań trwało aż dziewięć godzin i było prawdziwą męczarnią. Ona sama w dzienniku wspomina te „spotkania" jedynie pobieżnie i oględnie („Wróciłam do domu wściekła, mam dość skomplikowanych związków"), niemal na pewno jednak namawiano ją do donoszenia na przyjaciół i kolegów.

W miarę jak zima zaczęła przechodzić w wiosnę, jej życie stawało się na pozór nieco radośniejsze. W Niedzielę Wielkanocną wraz z mężem

upili się pięcioma litrami piwa i poszli na zakupy w poszukiwaniu jakichś ubrań; w Święto Pracy urządzili w mieszkaniu wiosenne porządki i zaprosili garstkę przyjaciół na *pirożki*, a także poszli do szkoły obejrzeć występ dzieci na okolicznościowym koncercie. Ale depresja i wstręt do samej siebie ani myślały ją opuścić.

„Skąd możemy brać siły, by żyć szczęśliwie, radośnie, bez ciągłego zamartwiania się? Dlaczego dzieci nie mogą być taką podstawą do szczęścia? W końcu to dobre dzieci, a my powinniśmy żyć właśnie dla nich. Dlaczego nie potrafimy stłumić w sobie tego strachu, że przez resztę naszego życia nie czeka nas nic poza wysiłkiem i stresem? Czy naprawdę chodzi tylko o brakujący kawałek chleba i miskę zupy? Czy nasze wewnętrzne zasoby są rzeczywiście tak skąpe, że to właśnie określa wszystko, co się dzieje wokół nas?”[12]

Dwie kobiety zbierają z ulicy mięso konia zabitego podczas bombardowania, grudzień 1942 roku.

Stres pogłębiały jeszcze częste naloty, sprawiające, że w okresie od stycznia do maja na każdą noc przypadał średnio nieco ponad jeden

alarm przeciwlotniczy[13]. Nieprzerwanie trwał też ostrzał artyleryjski – bardziej uciążliwy w pierwszej połowie roku – który w dodatku stał się tak dokładny, że trzeba było przesuwać przystanki tramwajowe i zamknąć dopiero co ponownie otwarte kina „Aurora" i „Junost'"[14]. Najbardziej zmasowany ogień pojawiał się teraz według pewnego ustalonego wzoru, przypadając na godziny porannych wyjść do pracy i wieczornych powrotów z niej. Szczególnie ciężki ostrzał następował w dni świąteczne (1 maja 1943 roku blok Wiery Inbier „kołysał się i bujał niczym huśtawka"), a także w czasie podawania wiadomości o (coraz częstszych teraz) radzieckich zwycięstwach. Za „szczęśliwe" miejsca w mieście uznawano wówczas między innymi plac Aleksandryjski, z posągiem Katarzyny Wielkiej w otoczeniu generałów i dworzan, a także Radiokomitet, który podobno miał ołowiane fundamenty pochodzące jeszcze z czasów, gdy mieścił się tu konsulat Japonii. Za nieszczęśliwe uchodziły most Litiejny, przezywany „Diabelskim", plac przed Dworcem Fińskim, określany mianem „doliny śmierci", a także róg Newskiego Prospektu i ulicy Sadowej, naprzeciwko Biblioteki Publicznej. To właśnie tam 8 sierpnia dzieci Maszkowej o włos uniknęły śmierci, kiedy wracały do domu z wyprawy na ryby: „Stanęły przede mną i zaczęły wyrzucać z siebie setki słów o oderwanych rękach i nogach, krwi, zmiażdżonej ciężarówce – a zaraz potem, na jednym oddechu, pochwaliły się złowieniem trzech małych rybek, które wciąż rzucały się na wszystkie strony w ich sieci. Wycałowałam je, wyściskałam, nie posiadałam się z radości, a jednocześnie czułam się kompletnie rozbita"[15].

Anna Ostroumowa-Lebiediewa mieszkała wciąż na Wyborskiej Stronie wraz ze swoją pokojówką Niuszą, której jedyny syn zginął poprzedniego roku na froncie. Podczas nalotów obie spały w korytarzu, Ostroumowa-Lebiediewa na rozkładanym krześle, a Niusza na kufrze. Z każdym uderzeniem pocisku o ziemię ich blok „podskakiwał" i kołysał się; z szafek w kuchni wypadały garnki i patelnie, łuski z dział przeciwlotniczych stukały o dach niczym suszony groch, a na suficie pojawiały się coraz to nowe pęknięcia. Raz przez okno wleciał odłamek bomby, który utkwił w jednym z krzeseł, a one drżały ze strachu, że to na poddasze spadła bomba zapalająca – wówczas cały blok niemal na

pewno zająłby się ogniem, jako że poza nimi w środku nie było już żadnych innych mieszkańców mogących pełnić warty przeciwpożarowe. Rano chodniki pokrywała warstwa rozbitego szkła, połyskująca w słońcu i chrzęszcząca pod butami. Ostroumowa-Lebiediewa trzymała się jakoś dzięki pracy – jej pierwszy drzeworyt powstały po okresie głodu był dla niej czymś niezwykłym: narzędzia żłobiły gładką, złocistą deskę z równą pewnością jak przedtem. Trzymała się też dzięki życzliwości oddanego jej kręgu przyjaciół i wielbicieli, w tej ostatniej grupie przede wszystkim młodszych od niej koleżanek po fachu. Na jej siedemdziesiąte drugie urodziny, przypadające 15 lutego 1943 roku, goście przynieśli świeczkę, pół litra mleka (po które ofiarodawca musiał iść w jedną stronę pięć kilometrów do najbliższego szpitala), małą paczuszkę herbaty, trzy cukierki i dwie łyżki stołowe kawy. Niusza podarowała jej zaś kostkę szarego mydła. „Wszystkie te prezenty są mile widziane i przydatne (…). Nie rozmawialiśmy o jedzeniu, racjach, chlebie, dystrofii i tak dalej, ale o książkach, twórczości, sztuce – o tym, co jest tak bliskie memu sercu, dzięki czemu żyję". Latem artystka zaczęła wychodzić na spacery, z żalem patrząc na szkody wyrządzone jej ulubionym budowlom, ale też zrywając koniczynę i jaskry rosnące wśród kęp wysokiej trawy na obrzeżach chodnika. Taka ilość chwastów sprawiała, że czuła się, jakby chodziła po „odkrytej ziemi, gdzieś na jakimś polu (…). Te skromne kwiaty, tak delikatne i ulotne, napełniają moją duszę natychmiastowym spokojem i szczęściem".

Narastająca tendencja do eskapizmu przejawiała się u niej także przeglądaniem swoich dzienników z okresu młodości i zawartych w nich notatek opisujących podróże z przełomu wieków do Włoch czy powstałe wówczas akwarele ukazujące Lugano i przełęcz Simplon. Wszystkie te wspomnienia spisywała teraz na nowo: w spokojne dni w szpitalnych ogrodach albo przechadzając się wśród okopów i ogródków warzywnych, a w trakcie nalotów, siedząc w pozbawionej okna łazience, na desce położonej w poprzek umywalki. Pewnej gorącej lipcowej nocy, w samym środku zmasowanego ostrzału artyleryjskiego, zadzwoniła do niej jedna z przyjaciółek, by zapytać, czy wszystko u niej w porządku:

„Między gwizdami i wybuchami pocisków zdołałam wykrzyczeć: «Wciąż tu jesteśmy! Wciąż tu jesteśmy!». A potem, przypominając sobie, że była ona za granicą, dodałam: «Na litość boską powiedz mi, jak nazywają się te kwiaty, które rosną na śniegu, wysoko w Alpach. Cały dzień próbuję sobie to dziś przypomnieć!».

«Fiołki alpejskie!»

«Tak, tak – fiołki alpejskie!»".

Kilka dni później ona i Niusza cudem uniknęły śmierci, gdy jeden z pocisków uderzył w dach o dwa pokoje obok, po czym przebił się przez cały budynek aż do parteru. Od tej pory podczas kolejnych nalotów zawsze już schodziły do schronu, ale nie wyprowadziły się z bloku.

Ostrzał artyleryjski utrudniał też pracę w stoczni Sudomech. 18 kwietnia na warsztat Wasilija Czekrizowa spadło aż trzydzieści jeden pocisków, co wymusiło jego przeniesienie. „Kiedy to się stało, w środku były moje dziewczyny, ale zanim wyszły, wszystko pozamykały – zanotował z uznaniem. – Dobre dziewczyny… Do wieczora wszyscy zamienili się w szklarzy, zabijając okna sklejką"[16]. Czekrizow, kiedy nie zajmował się akurat naprawianiem strat po bombardowaniach, spędzał większość czasu, tocząc w imieniu swojego personelu bezustanne boje z biurokracją:

„Interesujące. Jakaś dziewczyna wyszła ze szpitala, poszła do swojego hotelu robotniczego, ale go gdzieś przeniesiono. Gdzie, tego nikt nie wie. Żadnych rzeczy osobistych, żadnych pieniędzy ani kartek. Rada dzielnicowa przysłała ją do nas. Załatwienie jej sprawy potrwa sześć dni. Ostatnią noc spędziła na zewnątrz, na podwórzu. Dziś jest niedziela, więc nie możemy jej zarejestrować, a bez rejestracji nie możemy przydzielić jej miejsca w naszym hotelu. Nie może też dostać nowych kartek (…). Postanowiłem wysłać ją do ludzi organizujących pracę w ogródkach, ale nawet tam nie może dostać kartek przed wtorkiem. Bez kartek będzie chodziła głodna, a za trzy dni wróci do szpitala, z którego dopiero co wyszła (…). Załatwiłem więc ze stołówką, że dziś i jutro ją nakarmią, ale czy rzeczywiście tak zrobią? Oto przykład tego, w jakie zadania muszę się angażować przez ostatnich dziesięć dni.

Wszędzie brakuje rąk do pracy, ale tych, które już mamy, nie wykorzystujemy, jak należy”[17].

Poza takimi rutynowymi czynnościami Czekrizowa w dalszym ciągu zajmował także udział w wirtualnej rzeczywistości partyjnej polityki. Na jednym z lipcowych zebrań zakładowa organizacja partyjna zaaranżowała swoistą czystkę. W rezultacie jednego człowieka skazano śmierć, a siedmiu kolejnych na długie wyroki więzienia za działanie w zmowie z kierownictwem stoczni w celu przywłaszczenia sobie żywności, a także za „przygotowywanie się do powitania Niemców”. Mimo że Czekrizow sam został niesłusznie usunięty z szeregów partii jeszcze w latach trzydziestych, teraz nie miał żadnych wątpliwości co do zasadności tego drugiego zarzutu: „Jak Partorg mógł to przeoczyć?” – dziwił się w swoim dzienniku.

Także w innych instytucjach dochodziło do podobnych represji. Jakow Babuszkin – energiczny i nazbyt czasem szczery producent radiowy, który zorganizował prawykonanie symfonii Szostakowicza – został zwolniony z pracy w Radiokomitecie w kwietniu, tracąc w ten sposób prawo do uniknięcia poboru. W czerwcu zginął na froncie[18]. W zamienionym na szpital hotelu „Jewropa” Marina Jeruchmanowa – dwudziestojednolatka, która przeżyła okres masowych zgonów, pracując jako położna – została wezwana na świadka w procesie kierownika administracji hotelowej, człowieka uwielbianego przez personel za uczciwość, otwartość i urok osobisty. Broniony jedynie przez Marinę – która naiwnie zakładała, że inni także będą zeznawać na jego korzyść – został uznany za winnego „działalności kontrrewolucyjnej” z artykułu 58 Kodeksu karnego, „a także z niezliczonych innych cyferek i literek. Jak się wydaje, nie wystarczyłoby całego alfabetu, by wymienić wszystkie jego zbrodnie”. Marina była zszokowana widokiem swojego przełożonego, nieogolonego, bez paska i z wyrazem gorzkiej rezygnacji na twarzy. A następnie i jej wręczono wymówienie, a wraz z nią jej matce i siostrze[19].

Po zakończonej umiarkowanym sukcesem ofensywie sił rosyjskich ze stycznia 1943 roku na Froncie Północnym przez kilka kolejnych miesięcy nie dochodziło już do żadnych poważniejszych starć. Dość wczesna wiosenna odwilż wstrzymała ruchy wojsk, a po podjętej w lipcu kolejnej nieudanej próbie poszerzenia korytarza lądowego wzdłuż południowych brzegów Ładogi uwaga przeniosła się na środkowy i południowy odcinek frontu, gdzie właśnie nabierały rozpędu wielkie kontrofensywy Armii Czerwonej prowadzone na fali zwycięstwa pod Stalingradem. Rostów nad Donem został wyzwolony już w lutym, Charków zaś pod koniec sierpnia, wkrótce po lipcowej batalii pancernej toczonej na przedpolach Kurska. Wreszcie 3 września Stalin dostał swój długo wyczekiwany drugi front, jako że alianci wylądowali właśnie na południu Włoch.

Tymczasem pod Leningradem życie w okopach przebiegało nader spokojnie i rutynowo. Na południe od Zakładów Kirowa żołnierze podejmowali gości własnej roboty kiszoną kapustą i solonymi ogórkami. Na Froncie Wołchowskim Czurkin dużo spał, zbierał jeżyny, rankami widywał swojego generała ćwiczącego hantlami, a także pisał dziennik, siedząc przy biurku, na którym stała lampa naftowa, kałamarz, pudełko na stalówki oraz szklanka z bukietem dzikich kwiatów. W innych jednostkach żołnierze odławiali leszcze i szczupaki przy użyciu dynamitu, pędzili samogon, wystawiali na warcie uwiązane na postronkach gęsi i wystrugiwali sobie noże z pleksiglasowych szyb strąconych samolotów. Po drugiej stronie ziemi niczyjej Fritz Hockenjos spędzał czas, podglądając ptaki (żołnierz, który przyniósł mu wieści o pierwszym skowronku, zasłużył sobie na sznapsa), robiąc zdjęcia – za ulubione obiekty obierał cerkwie (zrujnowane) albo drzewa (osmalone) uchwycone na tle budzących zachwyt zachodów słońca – a także przysposabiając jako zwierzątko domowe jakiegoś zbłąkanego kota, którego nazwał Minką i pozwalał mu spać przy swojej głowie na zwiniętym wojskowym płaszczu. Jego ludzie zabawiali się, wywieszając komiczne znaki – „Berlin – 1400 km, Leningrad – 3 km" i *Kein Trinkwasser*, kiedy zalewało im okopy – albo nadając osłoniętym miejscom w okopach, w których grywali w karty, nazwy pubów z rodzinnej Szwabii: *am Wilden Mann* czy *am Alten Fritz*. Obie strony,

oddzielone od siebie jedynie kilkusetmetrowym pasem błota upstrzonego zasiekami z drutu kolczastego, z czasem zaczęły traktować się w sposób coraz bardziej familiarny, a to głośno komentując wizyty dziewcząt w okopach przeciwnika, a to wykrzykując w swoim kierunku rozmaite przytyki („Dajcie nam jednego z waszych Uzbeków, to my wam damy jednego z naszych Rumunów"), a to wreszcie dochodząc do milczącego porozumienia, kiedy i gdzie można do siebie strzelać. „Jednej nocy Rosjanie kłębią się po ziemi niczyjej, a my leżymy przed zasiekami i czekamy, by zdobyć jakichś jeńców – zaobserwował Hockenjos – a potem kolejnej nocy zamieniamy się rolami"[20]. Ten sam Hockenjos, czytelnym pismem, na odwrocie jednego z wydruków z dalmierza, zanotował też melodię *Kalinki* – prawdopodobnie spisaną ze słuchu, śpiewaną przez rosyjskich żołnierzy.

We wrześniu 1943 roku, kiedy to Wehrmacht znajdował się już w pełnym odwrocie na całej długości środkowego i południowego odcinka frontu, generalicja Hitlera zaczęła przekonywać go do wycofania się także spod Leningradu. Przy tej ilości sprzętu pancernego i dział, jakie były zaangażowane do obrony Smoleńska i Kijowa, nie sposób już było liczyć na ponowne objęcie miasta pełną blokadą, a odwrót na południu pozostawił armie północne niebezpiecznie odsłonięte, zwłaszcza w obliczu coraz liczniejszych grup partyzanckich, regularnie wysadzających pociągi i atakujących konwoje z zaopatrzeniem, które przez przypadek zjechały z głównych dróg. Dowódca miejscowej partyzantki w notatce dla Stalina z 25 września chwalił się, że jego ludzie, w liczbie około pięciu tysięcy, wysadzili 673 mosty drogowe i kolejowe, zniszczyli 7992 wagony i platformy towarowe, a ponadto spalili 220 składów i magazynów, 2307 ciężarówek i samochodów, 91 samolotów i 152 czołgi. „Partyzanci znowu mnie przepuścili" – z niejakim sarkazmem napisał w dzienniku Hockenjos po powrocie z krótkiego pobytu w szpitalu w Narwie[21].

Wywiad radziecki skwapliwie odnotowywał wątpliwości narastające także wśród niższych rangą żołnierzy: „Nie powinniśmy się przejmować tymi bagnami – powiedział przesłuchującym go śledczym jeden z wziętych do niewoli Niemców. – Powinni wysłać nas do obrony Ukrainy"[22]. Inny żołnierz, dezerter z niemieckich koszarów

w Nowogrodzie, twierdził, że jego oficerowie cały swój czas poświęcają na upijanie się i hazard, natomiast szeregowcy pokładają ufność w „jakiejś straszliwej broni, której istnienie póki co owiane jest wielką tajemnicą". On sam postanowił przejść na drugą stronę, zanim zostanie zabity[23]. Jeszcze inny Niemiec wyjaśniał, że zawsze czerpał całą swoją wiedzę o rozwoju sytuacji od kucharza w ich kuchni polowej, „ale teraz także i on wie tyle, co my. Jeśli nie informuje się nas na bieżąco o wydarzeniach na froncie, to dlatego że sprawy nie mają się aż tak dobrze. Rosja jest zbyt wielka, byśmy mogli ją pokonać"[24].

Hitler obawiał się dać Finom pretekst do wycofania się spod Leningradu i w ogóle z wojny – ich dyplomacja od jakiegoś czasu badała grunt w Ameryce. W końcu jednak, niechętnie, dał się przekonać i pozwolił von Küchlerowi na wzniesienie nowej linii obronnej – Linii Pantery – za rzeką Narwą i jeziorami Pejpus oraz Pskowskim. Pięćdziesiąt tysięcy przymusowych robotników, rekrutujących się w większości z miejscowej ludności, wybudowało 6 tysięcy bunkrów, ustawiło 200 kilometrów zasieków z drutu kolczastego i wykopało 40 kilometrów okopów i pułapek na czołgi. Linie bronione przez Grupę Armii „Północ" skróciły się teraz o jedną czwartą, a podczas odwrotu na nowe pozycje Niemcy zabrali ze sobą przynajmniej ćwierć miliona rosyjskich cywilów – część z nich poszła z własnej woli, a część wzięto z łapanki, by uniknąć ich późniejszego wcielenia do posuwającej się naprzód Armii Czerwonej. (Pracowicie pakowała się również chłopka, u której czasowo był zakwaterowany Hockenjos – jego zdaniem nie tyle z miłości do Niemców, ile z jeszcze większego przerażenia, jakie wzbudzali u niej bolszewicy). Pierścień oblężenia wokół Leningradu pozostawał jednak zaciśnięty niezmiennie mocno. Z Puszkina i ze wzgórz Pułkowa trwał nieprzerwany ostrzał artyleryjski – tyleż uporczywy, co mało skuteczny militarnie – a śmierć ginących od niego ludzi, jak choćby dwóch studentek w szpitalu Erismana w grudniu, wydawała się teraz, gdy koniec oblężenia mógł nastąpić właściwie lada dzień, jeszcze bardziej okrutna.

Pod koniec września Armia Czerwona odzyskała Smoleńsk, a 6 listopada – po błyskotliwym i niezauważonym przez nieprzyjaciela manewrze przekroczenia Dniepru – wyzwoliła Kijów, uwinąwszy się

z tym akurat na rocznicę rewolucji. Na północy natomiast w ostatnią fazę wchodziły przygotowania generała Goworowa do całkowitego wyzwolenia Leningradu. Ofensywę tę miano przypuścić z trzech stron: od zachodu z przyczółka Oranienbaum, do którego w tajemnicy skierowano już 52 tysiące żołnierzy, w kierunku Peterhofu i Uricka; od północy, z samego miasta, na Puszkin i Pułkowo; a od wschodu, z Wołchowa ku Nowogrodowi. Prośby kierowane do Żdanowa dały rezultat w postaci dodatkowych 21 600 dział, 1475 czołgów, 1500 wyrzutni rakietowych „Katiusza" i 1500 samolotów. Przy niemal dwukrotnie większej liczbie wojsk w stosunku do sił Grupy Armii „Północ" (1,24 miliona żołnierzy w porównaniu z 741 tysiącami von Küchlera), ponad dwukrotnie większej liczbie dział i ponad czterokrotnie większej liczbie czołgów i samolotów Goworow posiadał teraz przytłaczającą przewagę liczebną, a przy tym kontrolował przestrzeń powietrzną do tego stopnia, że rosyjskie ciężarówki nie musiały już nawet gasić świateł, podróżując w nocy.

Sam atak zaczął się rankiem 14 stycznia 1944 roku od zmasowanego ostrzału artyleryjskiego prowadzonego z Oranienbaumu. W gęstej mgle, w ciągu godziny i pięciu minut wystrzelono 104 tysiące pocisków. „Możemy zapomnieć o mojej przepustce – napisał tego wieczoru do żony jeden z niemieckich oficerów. – Kroi się tu bitwa, która przewyższa wszystko, co dotąd widziałem. Rosjanie nacierają z trzech stron. Przechodzimy tu piekło. Nie jestem nawet w stanie tego opisać. Jeśli przeżyję, opowiem ci o tym, kiedy się zobaczymy. W tej chwili mogę powiedzieć tylko jedno – życz mi szczęścia"[25]. Następnego ranka rozpoczął się kolejny zmasowany ostrzał, trwający tym razem godzinę i czterdzieści minut, a zakończony zrzuceniem 220 tysięcy pocisków na Pułkowo. Grzmot dział – także tych niemieckich, odpowiadających ogniem – był wręcz ogłuszający, również w samym Leningradzie, gdzie z sufitów odpadały tynki, lekkie sprzęty domowe kołysały się i podskakiwały, a jeden z warsztatów stoczni Czekrizowa trząsł się w posadach tak długo, aż wreszcie się zawalił. Skuleni w schronach i na klatkach schodowych leningradczycy modlili się o to, by był to już naprawdę koniec ich męczarni. Olga Fridenberg napisała 17 stycznia:

„Siedziałam na brzegu łóżka Mamy. Ogłuszający ostrzał artyleryjski. Spojrzałam na zegar, by sprawdzić przerwy [między uderzeniami]. Kolejny huk, ale tym razem nie ma eksplozji – to jakiś niewybuch, który trafił pewnie w jeden z sąsiednich budynków. I jeszcze jeden huk, tym razem cały świat aż zawirował. Dostaliśmy. Podniosłam oczy i zobaczyłam, jak wszystkie szyby w oknach wylatują razem, w jednej sekundzie. Do środka wpadło mroźne styczniowe powietrze.

Zrodziły się we mnie nadludzkie moce. Chwyciłam zimowe palto, okryłam nim Mamę i zaciągnęłam jej ciężkie łóżko do przedpokoju, a potem do mojego pokoju. Tutaj jedno z okien jakimś cudem pozostało całe, a drugie szybko zapchałam szmatami”[26].

Anna Ostroumowa-Lebiediewa spędziła oba najgorsze dni – 18 i 19 stycznia – w swojej łazience, skulona z przerażenia na dźwięk gwizdów i wybuchów dochodzących z zewnątrz. „Muszę przyznać, że to bombardowanie całkowicie plącze mi myśli. W mojej głowie wszystko zbite jest jakby w jeden ciasny supeł. Nikt nie jest w stanie się z tym oswoić. Opanowuje mnie niekontrolowane drżenie, moje serce niemal zamiera. Z każdą sekundą spodziewasz się pocisku, który zakończy twoje życie”. Ale wiadomości przekazane tego wieczoru przez Sowinform sprawiły, że rozpłakała się z radości. Peterhof, Krasnoje Sieło, Ropsza oraz osiemdziesiąt wiosek leżących wzdłuż rzeki Wołchow zostało właśnie wyzwolonych z rąk niemieckich.

Wiera Inbier, usiłująca – jak zwykle – pracować w swoim pokoju w szpitalu Erismana („Mój Boże, co za hałas!”), patrzyła jak autobusy Czerwonego Krzyża wyjeżdżają jeden po drugim na dworce kolejowe, by odebrać stamtąd kolejnych rannych żołnierzy. Zastanawiała się: ilu ich było łącznie we wszystkich szpitalach w mieście? Czy to możliwe, by ich danina krwi poszła na marne? W niedzielny poranek 22 stycznia – dzień po tym, jak wyzwolona została Mga, a von Küchler poleciał do Wilczego Szańca, by prosić tam o pozwolenie na wycofanie się z Puszkina i ze Słucka – zatelefonowano do niej ze Związku Pisarzy z informacją, aby była gotowa na rozpoczynający się za godzinę wyjazd prasowy do oswobodzonego już Peterhofu. Po drodze grupa przejeżdżała przez niedawne pola bitewne. Po obu stronach drogi było widać gruzowiska w miejscach niegdysiejszych wiosek, pola

poprzecinane okopami, ziemię spaloną ogniem artyleryjskim i tak czarną, jakby dopiero co ją zaorano. Wzdłuż przydrożnych rowów posuwali się saperzy, a rozbrojone już pociski układali w rządku na poboczu, gdzie połyskiwały srebrzyście niczym świeżo złowione ryby. Sam Peterhof zmienił się nie do poznania, stanowiąc „dziwny, biały, księżycowy" krajobraz poprzecinany kilkoma fragmentami ceglanych murów o jakichś niesamowitych kształtach oraz ruinami pojedynczej cerkwi. Wspaniały barokowy pałac Rastrellego był od wewnątrz cały wypalony ogniem – jak natychmiast uświadomiła sobie Inbier, „żadna siła ludzka nie zdoła już go wskrzesić". Podczas podróży powrotnej, wieczorem, w świetle płonącego domu Inbier dostrzegła kolumnę jeńców wojennych. Ci brudni i nieogoleni żołnierze byli pierwszymi Niemcami, jakich miała ona okazję oglądać od samego początku wojny.

Salut zwycięstwa, most Troicki w Leningradzie, 27 stycznia 1944 roku.

O godzinie ósmej wieczorem 27 stycznia 1944 roku – cztery dni po tym, jak na Leningrad spadł ostatni niemiecki pocisk – Inbier szybkim krokiem wyszła z zebrania partyjnego, by zdążyć na dawny carski plac

defilad znany jako Pole Marsowe, gdzie odbywał się oficjalny salut zwycięstwa. Parki, mosty i nabrzeża pełne były ludzi, pośród których stały też liczne czołgi i wojskowe motocykle. Od stoczni na zachodzie po Smolny na wschodzie 324 działa wystrzeliły 24 salwy armatnie, a towarzyszące wystrzałom płomienie z luf sprowadziły refleksję: „na starych obrazach malowano tak czasami ognie piekielne". Nad Newą szerokim łukiem rozbłysły flary, rzucając purpurowe, zielone, niebieskie i białe refleksy na lód, a także na morze zwróconych ku górze twarzy. Jeden ze szperaczy został skierowany na pozłacanego anioła na szczycie iglicy soboru Świętych Piotra i Pawła, a rzucany na niego snop światła był tak jasny i ostry, że zdawał się on solidnym mostem, po którym można by było wstąpić prosto do nieba. „Jedno z największych wydarzeń w życiu Leningradu – napisała Inbier w dzienniku później tego wieczoru – całkowite przerwanie blokady. Na wyrażenie tego, mimo iż jestem zawodowym pisarzem, brak mi słów. Mówię po prostu: Leningrad jest wolny"[27].

CZĘŚĆ 5

—

POKŁOSIE

U pamięci
Naprawdę rzadko bawię na wizycie,
Ona zresztą zawsze coś pokręci.
Gdy schodzę do piwnicy z lampą w ręku,
Lawina za mną wali się po ciemku,
Dudniąc po wąskich schodkach. Stroma droga,
A lampa kopci: wrócić mimo chęci
Nie mogę, schodzę – gdzież, jak nie do wroga?

Anna Achmatowa, 1940[1]

22. POWROTY

Koniec, podobnie jak koniec wszystkich wielkich konfliktów zbrojnych, pozostawił po sobie wielką ciszę – ciszę zamilkłych syren i dział, ciszę zabitych, zmarłych i zaginionych, których ich bliskim miało brakować odtąd już na zawsze, a dodatkowo, w przypadku Leningradu, także ciszę niewypowiedzianego smutku i przerażenia, przemilczanych faktów i sfałszowanej historii. Koniec, jak zawsze, oznaczał też nowy początek – pod względem militarnym – marsz Armii Czerwonej na Berlin; prywatnym – konieczność pogodzenia się ze stratą i zaczęcia nowego życia; publicznym – potrzebę odbudowy i ponownego zasiedlenia okaleczonego i wyludnionego miasta; politycznym – nowe fale represji, których kres w samym ich apogeum przyniosła dopiero śmierć Stalina w 1953 roku.

Koniec oblężenia nie był oczywiście końcem walk. Wprawdzie Armia Czerwona już po trzech tygodniach odepchnęła obie armie von Küchlera, 16. i 18., z powrotem pod granicę estońską, ale już przełamanie Linii Pantery i wykurzenie Niemców z granicznej cytadeli w Narwie udało się dopiero w lipcu 1944 roku, przy zaciekłym oporze stawianym przez Wehrmacht i olbrzymich stratach w ludziach, porównywalnych z poniesionymi w pierwszych miesiącach wojny. Jednym z poległych był siedemnastoletni syn Wasilija Czurkina, Tola. Sam Czurkin w każdej wolnej chwili szukał odtąd jego ciała, dopóki nie uświadomił sobie, że „jeśli chciałbym odwrócić każdego trupa na tym niewielkim skrawku ziemi, zajęłoby mi to długie miesiące. Wszędzie było ich pełno – po obu stronach dróg, w lasach, na polanach. Przyczółek Narwa połykał tak dywizję za dywizją”[2]. W ciągu sześciu miesięcy, które minęły od rozpoczęcia ofensywy wyzwoleńczej, zostało zabitych, wpadło w ręce wroga albo zaginęło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy radzieckich – nierzadko w takich samych nieporadnych natarciach piechoty, jakie dwa lata wcześniej przynosiły tak olbrzymie

straty[3]. Dołączywszy do swoich ludzi w Gatczynie po powrocie z bożonarodzeniowej przepustki, Hockenjos słyszał „raz po raz, jak to roznosili oni Rosjan na strzępy i odsyłali w częściach do domu – Gwardię Leningradzką, która nacierała wielką gromadą, wymachując czerwonymi chorągwiami i aż prosząc się o wystrzelanie". Hockenjos zastanawiał się, czy to może „rosyjski upór" kazał „pięćdziesięciu ludziom wychodzić z lasu w biały dzień i maszerować przez śnieg w naszą stronę przez zupełnie odkryty teren", czy też może działo się tak z powodu „diabelsko chłodnego wyrachowania jakiegoś komisarza, siedzącego sobie na skraju lasu i wysyłającego kompanię w otwarte pole tylko po to, by sprawdzić czujność naszej obrony? Tak czy owak bez trudu wystrzeliwaliśmy ich wszystkich przy użyciu karabinów, nie musieliśmy nawet uruchamiać naszych dział"[4].

Czy dzięki komisarzom, czy też nie, Armia Czerwona parła do przodu, a Wehrmacht był w ciągłym odwrocie, wszędzie pozostawiając za sobą spaloną ziemię. („Mógłbym powystrzelać tych chłoptasi z *Brandkommando* – oburzał się Hockenjos. – Biegają od domu do domu z tymi swoimi wiązkami płonącej słomy. Jasne, wykonują rozkazy, ale widać też, że sprawia im to przyjemność")[5]. Swoista ironia losu sprawiła, że kres Grupie Armii „Północ" przyniosło oblężenie: została uwięziona w pułapce na łotewskim Półwyspie Kurlandzkim. Hitler nie potrafił przyznać, że wojna z bolszewikami jest już przegrana, i nie chciał wydać zgody na rozpoczęcie jej ewakuacji drogą morską aż do stycznia 1945 roku, kiedy to Armia Czerwona wkraczała już na terytorium samych Niemiec. W rezultacie jeszcze w Dniu Zwycięstwa – za który Rosjanie uznają 9, a nie 8 maja – na Półwyspie wciąż broniło się ponad dwieście tysięcy niemieckich żołnierzy, którzy dopiero wtedy poddali się generałowi Goworowowi. Osobna radziecka ofensywa na północ, przez Przesmyk Karelski, poprowadzona przez Mierieckowa, zakończyła się natomiast 19 września 1944 roku rozejmem z Finami. Czurkin, zakwaterowany w zdumiewająco dlań schludnym fińskim gospodarstwie, widział przelatujący nad jego głową samolot Mannerheima, udający się w eskorcie trzech radzieckich myśliwców do Berlina. Granicę wyznaczono w sposób identyczny, jak po zakończeniu wojny zimowej, pozostawiając drugie co do wielkości miasto Finlandii –

Viipuri (ros. Wyborg) – po stronie rosyjskiej, gdzie znajduje się do dziś, wciąż urokliwe, ale fatalnie zaniedbane.

Wyzwolenie Leningradu zastało teraz już dwunastoletnią Irinę Bogdanową wciąż w jej domu dziecka na wsi pod Jarosławiem. Jak pamięta, wieść o tym wydarzeniu przywitano tam okrzykami radości i wyrzucaniem w górę poduszek:

„A potem, po kilku minutach, w kąciku sali, ktoś zaczął płakać. Po chwili, w innym kącie, kolejne dziecko, aż rozpłakałyśmy się wszystkie po kolei. Żadne z nas nie chciało ani śniadania, ani obiadu. Dopiero w porze kolacji wychowawczyniom udało się nas uspokoić i zaprowadzić do jadalni. Wszystko dlatego, że nagle zdałyśmy sobie sprawę z tego, że nikt tam na nas nie czeka. Będąc w domu dziecka, nie zastanawiałyśmy się dotąd nad tym, czekałyśmy tylko, aż ta wojna się skończy. Kiedy zwycięstwo już przyszło, musiałyśmy wrócić do prawdziwego życia i przypomnieć sobie o wszystkim tym, co straciłyśmy".

Olga Grieczina, która w ostatnich miesiącach pracowała w szkole numer 43, świętowała to wydarzenie ze swoimi koleżankami:

„Cały personel zebrał się razem wieczorem, zamiast – jak zazwyczaj – jeść osobno, każdy w swoim kąciku. Ludzie przynieśli wódkę, śpiewałyśmy, płakałyśmy, śmiałyśmy się. Ale jednocześnie było nam smutno – straty okazały się po prostu zbyt duże. Zakończyło się coś wielkiego, dokonały się niewiarygodne czyny – wszystkie to czułyśmy… Ale miałyśmy również mętlik w głowach. Jak teraz żyć? I po co?"[6].

Olga Fridenberg opłakiwała matkę, spędzając długie godziny skulona w łóżku, twarzą do ściany, albo też mechanicznie sprzątając i porządkując mieszkanie:

„Teraz mam tak dużo czasu. Czuję się w nim zupełnie zagubiona. Rozciąga się on wokół mnie w nieskończoność. Chcę go wypełnić robieniem czegoś, ciągłym poruszaniem się, ale nic to nie pomaga (…). Dopiero późnym wieczorem moja dusza nieco się ożywia – oto minął kolejny dzień. Z ulgą kładę się do łóżka i przez kolejnych siedem godzin szczęśliwie nie muszę myśleć o upływie czasu (…). Ale pobudka

następnego ranka jest straszna – ta pierwsza chwila świadomości po całej nocy. Jestem tutaj. Znowu zanurzona w czasie”[7].

Wielu ewakuowanych powracało do miasta latem 1944 roku, ponad dwukrotnie powiększając populację Leningradu w ciągu dwunastu miesięcy i przywożąc ze sobą tchnienie Azji Środkowej oraz głębokiej rosyjskiej prowincji. Pewnej dziewczynie, która mieszkała dotąd w gospodarstwie kolektywnym na południowych stepach, tak bardzo brakowało jazdy na oklep po polach i pastwiskach, że zamiast jeździć na koniu, wchodziła na dachy różnych budynków w mieście – „tylko tych mających pięć albo więcej pięter, im wyższych, tym lepszych”. Jedna z przyjaciółek Wiery Inbier przywiozła zaś ze sobą kołowrotek, przy którym siadywała w przerwach między ćwiczeniem sonat Beethovena[8]. Żołnierze zaczęli powracać do domu rok później, latem 1945 roku. Wychowywani w przekonaniu o niższości i zacofaniu kapitalizmu, mieli okazję przekonać się na własne oczy, jak naprawdę wyglądają standardy życia w Niemczech, nawet w czasach wojny. Wielu z nich zachodziło w głowę, po co w ogóle Niemcy najeżdżali Związek Radziecki, skoro mieli już tyle rzeczy u siebie.

Jako ostatni do miasta zawitali jeńcy wojenni. Spośród około 4,5 miliona wszystkich radzieckich wojskowych, którzy dostali się do niewoli w trakcie całej wojny, mniej więcej 1,8 miliona dożyło jej zakończenia, reszta zaś została albo rozstrzelana (głównie Żydzi bądź członkowie partii), albo zginęła od głodu lub chorób. Wielu nie wytrzymało też trudów forsownych marszów na zachód z wycofującym się Wehrmachtem. Docierająca do poszczególnych obozów jenieckich Armia Czerwona wszystkich przetrzymywanych w nich żołnierzy natychmiast internowała i poddawała „filtracji”. Standardowo zadawane pytania brzmiały: „Dlaczego się nie zastrzeliliście, zamiast się poddać?”, „Dlaczego nie umarliście w obozie jenieckim?” albo „Jakie zadania przydzieliły wam Gestapo i Abwehra?”, a dodatkowo – jeśli jeńców wyzwolili akurat alianci – „Jakie zadania przydzielił wam wywiad angielsko-amerykański?”. Lew Kopielew, *politruk* aresztowany za protesty przeciwko masowym gwałtom dokonywanym przez żołnierzy Armii Czerwonej na Polkach i Niemkach, znalazł się w jednej celi z dwoma młodymi leningradczykami. Schwytani w wieku

dwunastu lat, kiedy ich obóz pionierski nieopodal Ługi dostał się w ręce Wehrmachtu, zostali następnie wysłani na roboty przymusowe do Niemiec, a potem odesłani z powrotem na Front Rosyjski, by tam pracowali jako szpiedzy. Oni jednak, natychmiast po przekroczeniu linii rosyjskich, poddali się pierwszej napotkanej jednostce Armii Czerwonej. Choć Kopielew zapewniał chłopców, że wkrótce zostaną zwolnieni i wrócą do domu, już nigdy nie dowiedział się, co się z nimi rzeczywiście stało. On sam, dość typowo, został skazany za „działalność antyradziecką" i zesłany do gułagu, gdzie pozostał aż do 1954 roku[9].

Zdemobilizowani żołnierze powracający do Leningradu, lipiec 1945 roku.

Spotkania po latach (dla tych, którzy mieli to szczęście, by móc się jeszcze z kimś spotkać) bywały nierzadko bardzo trudne. Dzieci nieraz nie poznawały własnych rodziców, rodzice nie rozpoznawali swoich dzieci, małżonkowie czuli się wobec siebie obcy, za bardzo zmienieni. Nawet samo miasto wyglądało teraz inaczej – wymizerowane i mocno doświadczone, straszące pustką wybitych szyb i dziurami po bombach i szrapnelach. Uszczęśliwioną powrotem do domu Annę Achmatową

przywitał na dworcu jej przedwojenny kochanek, patolog Władimir Garszyn. Wcześniej się umówili w listach, że wezmą ze sobą ślub, a Achmatowa przejmie jego nazwisko. Teraz jednak okazało się, że Garszyn się rozmyślił. Achmatowa udawała sama przed sobą, że jej kochanek stracił rozum („Człowiek, który teraz / Nic dla mnie nie znaczy… Błąka się niczym duch na peryferiach / W bocznych uliczkach i w zaułkach życia"), ale w rzeczywistości Garszyn po prostu się zakochał w koleżance po fachu. Upokorzona Achmatowa usunęła wszystkie dedykacje, jakie umieściła dla niego w swoich wierszach, a także przeprowadziła się z powrotem do dawnego pokoju w dobudówce przy pałacu Szeremietiewa, tuż obok lokum Nikołaja Punina. Powybijane szyby w oknach udało się naprawić dzięki Oldze Bergholc, która użyła swoich wpływów i zmobilizowała do pracy konserwatora z Biblioteki Publicznej. Kiedy zabrała się do przekonywania go, jak ważną osobą jest Achmatowa, mężczyzna odparł jej, by nie obrażała jego inteligencji: „Umiem przecież czytać!". Po czym zdobył potrzebne mu szkło, usuwając je z kilku oprawionych w ramy pierwodruków wielkich dziewiętnastowiecznych pisarzy („Sądzę, że oni nam wybaczą").

Jednym z tych, którzy nie mieli już do kogo wracać, był Czurkin: obaj jego synowie zginęli na froncie, a żona zmarła z głodu. Przygarnięty przez przyjaciół, dopiero pod trzech dniach zebrał siły do odwiedzin swojego rodzinnego mieszkania. Panował w nim teraz „straszny bałagan. Złodzieje wywrócili wszystko do góry nogami. Wszystkie ubrania – garnitury i płaszcze – a także wszystkie cenne rzeczy zniknęły. A to, co ich nie zainteresowało, leży porozrzucane po podłodze (…). Zabrałem stamtąd tylko album ze zdjęciami. Oto oni, moi ukochani, patrzący na mnie w milczeniu. Nigdy ich już nie zobaczę. Czuję tak wielki ból, że wybucham płaczem".

Irina Bogdanowa, wciąż w Jarosławiu, miała więcej szczęścia. Choć ona także straciła całą swoją najbliższą rodzinę, udało się jej zapamiętać adres kilku przyjaciółek domu, a dokładnie czterech sióstr żyjących w staropanieństwie, wywodzących się z polskiej arystokracji, u których kiedyś spędziła wakacje w ich letniej daczy w jednej z miejscowości wypoczynkowych na wschód od Leningradu. Dwie ocalałe siostry (dwie

pozostałe zmarły z głodu) otrzymały list od Iriny, napisany niepewnym, dziecięcym pismem, w którym grzecznie pytała ona o zdrowie ich kota i psa. Natychmiast wybrały się do Jarosławia i zabrały ją do siebie, by wychować Irinę jak swoją własną córkę. Podobnie jak one ocaliły ją, tak Irina teraz zachowuje pamięć o nich. Przechowuje garść studyjnych zdjęć z przełomu wieków, wywołanych na płytkach ze złoconymi obramowaniami, ukazujących ładne młode kobiety o wąskich taliach i gęstych, rozpuszczonych włosach. Ich wielkie, białe kapelusze zdobią motywy w kształcie gołębich skrzydeł.

Leningrad potrzebował też odbudowy w sensie czysto fizycznym. Choć daleko mu było do praktycznie zrównanych z ziemią Charkowa, Mińska czy Stalingradu, a nawet – jeśli wierzyć tym, którzy widzieli oba te miasta – do Londynu, wciąż pozostawał miejscem, na które w trakcie całego oblężenia spadło ponad 150 tysięcy ciężkich pocisków artyleryjskich i ponad 10 tysięcy bomb burzących i zapalających[10]. Tylko nieliczne okna miały szyby, nieliczne ściany nie miały pęknięć, a nieliczne sufity nie przeciekały. Sam Ermitaż, choć – co niewiarygodne – trafiony bezpośrednio zaledwie dwukrotnie w trakcie całej wojny, wystawił zapotrzebowanie na 65 ton tynku, 100 ton cementu, 6 tysięcy metrów kwadratowych szkła, 80 ton alabastru i 6 kilogramów listków złota.

W miarę ponownego zaludniania miasta wzrastał popyt na nieuszkodzone domy, coraz częściej dochodziło też do ostrych sporów między powracającymi z ewakuacji właścicielami a nowymi lokatorami – legalnymi bądź bezprawnymi. Teoretycznie byli żołnierze, a także ci cywile, których ewakuowano pojedynczo (czyli polityczna i kulturalna elita miasta) mieli prawo do automatycznego odzyskania swoich przedwojennych domostw, w przeciwieństwie do cywilów ewakuowanych grupowo wraz z zakładami pracy (czyli zdecydowanej większości „zwykłych" ludzi). W praktyce jednak nawet przedstawiciele tych dwóch pierwszych kategorii, by odzyskać mieszkania, często musieli się uciekać do wręczenia łapówki albo uruchomienia znajomości i koneksji. Także prawo nakazujące zwrot cennych rzeczy, których pozbywano się jeszcze niedawno za ułamek ich wartości, nie

było egzekwowane należycie, wobec czego w czasach powojennych dość powszechny był widok ulubionego obrazu wiszącego na ścianie jednego z kantorów walutowych albo matczynej broszy przypiętej do klapy jakiejś zupełnie nieznajomej osoby[11].

Jeśli chodzi o architekturę, największe straty poniosły letnie pałace carskie położone pod miastem. Jedną z pierwszych osób, które miały okazję zobaczyć Pawłowsk, osiem dni po jego wyzwoleniu, była Anna Zielenowa. Otrzymawszy pozwolenie, choć już nie transport, by udać się na miejsce i oszacować rozmiary strat, wybrała się tam pieszo. Podróż ta, jak z pewną satysfakcją pisała jednemu ze swoich ewakuowanych kolegów, nie przebiegała jednak w samotności, jako że towarzystwa dotrzymywały jej wielkie stada wron, krążące nad wszystkimi niepogrzebanymi trupami niemieckich żołnierzy. Jednego z nich ktoś oparł o płot i przypiął mu napis: „Chciał dostać się do Leningradu. Nie zdołał". Przy wejściu do pałacowego parku Zielenowa dostrzegła, że zburzono środkową kolumnę dwuskrzydłowej bramy głównej – pomyślała, że prawdopodobnie po to, by zmieściły się w niej czołgi. Sam park usiany był lejami po bombach, kikutami drzew, ziemiankami i stanowiskami strzelniczymi. W jednym z bunkrów znalazła gobeliny, w których powycinano swastyki, w innym – obrazy i fortepian. Intarsjowane drzwi służyły jako mostki, po których przechodzono nad okopami, a mahoniowe szafy zamieniono w latryny. Sam pałac – podobnie jak Peterhof, podpalony przez Niemców w chwili odwrotu – stał w ogniu przez dziesięć dni:

„Nie ma już kopuły ani wież zegarowych, a biblioteka Rossiego spaliła się do gołej ziemi, łącznie z murami. Nie istnieje prawe skrzydło ani sala tronowa, ani kratowana galeria nad kolumnadą. Nie ma galerii z obrazami, nie ma kaplicy, nie ma całego pałacu (...). Zaglądając do środka przez okna na parterze, widzi się niebo, a jedynym sposobem na rozpoznanie poszczególnych komnat jest patrzenie na zachowane resztki tynku na ścianach".

W środku Zielenowa znalazła szpecące ściany malunki, pozostałości klepek parkietowych porozrzucanych niczym na wpół ułożone puzzle, a także sterty pustych butelek po winie. Poczerniałe belki wciąż lekko się dymiły, a roztopiony ołów kapał z resztek dachu wprost na jej aparat

fotograficzny. Posąg cara Pawła stojący przed głównym wejściem został zamieniony na słup telegraficzny – jego dwurożny kapelusz ściśle oplatały kable. („Tak się cieszę, że Paweł stoi tyłem do pałacu").

W zrównanym z ziemią Puszkinie w podobnych ruinach stały pałace Katarzyny i Aleksandra. W przypadku pałacu Katarzyny winę częściowo ponosiła Armia Czerwona, która nie rozbroiła dwóch ładunków bombowych z opóźnionym zapłonem – drugi z nich wybuchł 3 lutego, a więc ponad tydzień po wyzwoleniu miasta. „To wstyd i hańba – odpisał kolega Zielenowej, przeczytawszy jej doniesienia. – Ludzie powinni byli udać się na swoje posterunki w ciągu kilku pierwszych godzin"[12]. Tenże kolega w latach powojennych miał za zadanie poszukiwać na terytorium całej Europy Wschodniej skarbów zagrabionych z pałaców. Wśród tych nigdy nieodnalezionych znalazły się między innymi rokokowe płaskorzeźby ze słynnej Bursztynowej Komnaty w pałacu Katarzyny, podarowane carowi Piotrowi Wielkiemu przez Fryderyka Wilhelma. Ukryte za fałszywymi ścianami w czasie ewakuacji muzeum, zostały one szybko odnalezione przez okupujących miasto i pałac Niemców, którzy spakowali je w skrzynie i wywieźli do Królewca (obecnie Kaliningrad) w Prusach Wschodnich. Po raz ostatni widziano je właśnie na Zamku w Królewcu. Co się stało z nimi później, pozostaje tajemnicą. Pomijając potencjalnych łowców skarbów, większość ludzi interesujących się tym zagadnieniem zakłada, że zostały one zniszczone w pożarze, który rozszalał się w całym budynku kilka dni po tym, jak przeszedł on w ręce Armii Czerwonej w kwietniu 1945 roku[13].

Jeśli wierzyć dziennikarzowi Aleksandrowi Werthowi, celowe zniszczenie carskich pałaców „wywołało wśród Rosjan gniew równie wielki jak najgorsze niemieckie okrucieństwa dokonywane wobec ludzi". Podobnie jak większość on także początkowo uznawał je za nieodwracalne. A przewodniczący rady miasta Piotr Popkow, stojąc u szczytu Wielkiej Kaskady w ogrodach Peterhofu, miał ponoć wskazać ręką na poczerniałą skorupę leżącą przed jego oczami i oświadczyć: „To wszystko będzie zrównane z ziemią!"[14]. Byli też i tacy, którzy sądzili, że ruiny należy pozostawić na pamiątkę barbarzyństwa nazistów albo wybudować na ich miejscu hotele robotnicze.

Decyzja o odbudowie, podjęta przez samego Stalina, współbrzmiała z nastrojami społecznymi w Leningradzie i w całym Związku Radzieckim. Przede wszystkim każdy wraz z końcem wojny marzył o łatwiejszym, przyjemniejszym, po prostu „normalnym" życiu. Olga Grieczina, biedząc się, by zdobyć jako tako wyglądające ubrania, w których mogłaby pójść na wznowione właśnie studia na uniwersytecie, pozyskała niby całkiem nowe buty, odkręcając ostrza od pary łyżew. Marina Jeruchmanowa, zwolniona z „Jewropy", przysposobiła zbłąkanego bernardyna – psa tej samej rasy mieli kiedyś jej dziadkowie – którego karmiła lodami Eskimo i podsadzała na uliczne automaty do ważenia. Wyobrażała też sobie, że ocalili go z jakiegoś opuszczonego niemieckiego *Schlossu* zwycięscy *tankiści*. Nikołaj Ribkowski, aparatczyk odżywiający się w partyjnym sanatorium szynką i indyczym mięsem w okresie największego nasilenia masowych zgonów, wyczekiwał dnia, w którym będzie mógł pozwolić sobie na zabranie jakiejś dziewczyny do Teatru Maryjskiego i kupić jej w przerwie przedstawienia kawę i ciastko. Pracownicy naukowi ogrodów botanicznych sporządzili wyimaginowaną listę ciepłych krajów, do których chcieliby się wybrać służbowo w poszukiwaniu nowych roślin. Były na niej: Indie, Madagaskar, Jawa, Australia i Cejlon[15].

Odbudowa Newskiego Prospektu, 1944 rok.

Po wtóre, ludzie uświadomili sobie na dobre, że komunizm jest dla nich czymś stałym i niezmiennym. Jeszcze przed wojną można było sądzić, że reżim ma charakter tymczasowy. W prywatnych rozmowach o okresie caratu mówiło się „czas pokoju", sugerując niejako, że możliwy jest powrót do tego naturalnego porządku. Teraz to sformułowanie zupełnie wyszło z użycia – Petersburg odszedł w niepamięć, już na stałe zastąpił go Leningrad. Jednak po trzecie, ludzie chcieli, by komunizm ów miał inne oblicze. Po czterech długich latach walki, pracy i cierpień dla swojego kraju, czuli, że zasłużyli wreszcie na zaufanie ze strony swoich władz. Tęsknili za spełnieniem najbardziej zwyczajnych i podstawowych potrzeb codziennego życia – tęsknili więc za bezpieczeństwem, wygodą, rozrywką, ale także za wolnością wyrażania własnych opinii, podróżowania po świecie, a wreszcie prawdziwego uczestnictwa w życiu publicznym. W pierwszych powojennych wyborach do Rady Najwyższej leningradczycy świadomie unieważniali karty do głosowania, dopisując

na nich: „Kiedy macie zamiar znieść komunistyczne niewolnictwo?", „Najpierw dajcie nam chleb, a potem rozpisujcie wybory", „Precz z ciężką pracą w fabrykach i gospodarstwach kolektywnych, niech żyje wolność słowa i prasy", a nawet przekreślając nazwisko kandydata i pisząc: „Na Adolfa Hitlera". W Teatrze Aleksandryjskim podsłuchano, jak jeden z aktorów narzeka: „To poniżające. Czujesz się jak robot, jak pionek. Jak można głosować, skoro na liście jest tylko jedno nazwisko?"[16].

Aleksander Werth, któremu we wrześniu 1943 roku pozwolono przez krótki czas raportować z Leningradu, też wyczuł tę wszechobecną tęsknotę za zmianami. Podczas wydanego na jego cześć bankietu w Związku Pisarzy wznoszono zwyczajowe toasty za Churchilla i Edena, ale on wyczuł w ich tle „nawet bardziej niż w Moskwie (...) rzeczywiste pragnienie bliskich kontaktów z Zachodem w przyszłości. Myślano już o stoczniach i statkach – statkach wożących pasażerów w obu kierunkach – a także o towarach i książkach, i muzyce, i obrazach, i płytach gramofonowych". Przy wywiadzie z Popkowem uderzył go fakt, że on sam nazywa siebie „burmistrzem" Leningradu, a nie przewodniczącym rady miasta, podczas wizyty w bazie lotnictwa zaś, że różne sentencje przypięte na tablicy w stołówce zostały zaczerpnięte z podręcznika etykiety przedrewolucyjnego Korpusu Paziów („Unikaj gestykulowania i podnoszenia głosu" czy „Siła oficera leży nie w impulsywnych czynach, lecz w jego niezachwianym spokoju"). Jego pokojówka w hotelu Astoria, przyjmując odeń papierosa Lucky Strike, zaczęła wspominać, jak to paliła egipskie tanagry, gdy była na służbie u księżnej Borghese, a także jak co roku jeździła z nią do Paryża, by kupować tam bieliznę u Paquina i Wortha. Ostatniego wieczoru w mieście Werth został zabrany do teatru na sceniczną adaptację komedii Franka Capry *Ich noce*, w której nie brakowało charakterystycznych melodii z filmu, milionera, policjantów i gangsterów – „a wszyscy byli ubrani jak «prawdziwi» Amerykanie, w jaskrawoniebieskie i różowe garnitury". W całym mieście wisiało znacznie więcej portretów Żdanowa niż wizerunków Lenina czy Stalina. Wszystko to sprawiło, że Werth wyjeżdżał z miasta z „dziwnym wrażeniem, że Leningrad jest nieco inny od reszty Związku

Radzieckiego", a tradycyjne dlań przekonanie o własnej wyższości zostało dodatkowo spotęgowane przez świadomość, że podczas wojny walczono tu „na własną rękę", bez pomocy Moskwy. Chodziły nawet pogłoski, że być może z powrotem stanie się on stolicą – jeśli nie całego Związku Radzieckiego, to przynajmniej Republiki Rosyjskiej[17].

Wszystkie te nadzieje – na wygodne życie, pewien stopień politycznego pluralizmu, kontakt ze światem zewnętrznym czy specjalną rolę Leningradu – zostały już po wojnie niemal w całości stłamszone. Standardy życia, choć bardzo powoli, rzeczywiście ulegały pewnej poprawie. Jednak zarówno dla leningradczyków, jak i dla wszystkich Rosjan pierwsze lata zimnej wojny przyniosły tylko wznowione represje, których nasilenie przypadło na przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych, a wyraźny spadek nastąpił dopiero po śmierci Stalina.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, wydaje się, że taki rozwój sytuacji był nie tylko oczywisty, ale wręcz nieunikniony. Stalin nie musiał już dokonywać żadnych ustępstw na rzecz opinii publicznej, dotąd koniecznych dla sprostania olbrzymim wysiłkom wojennym, a przy tym zdawał sobie sprawę z tego, że żołnierze powracający do domów ze zwycięskiej kampanii w Europie w przeszłości potrafili już wzniecić niejedną rewoltę – i ani myślał poluzowywać opresyjną politykę. Wprawdzie w roku 1944 leningradzkie NKWD aresztowało za przestępstwa polityczne mniej ludzi niż zwykle (łącznie 373), stało się tak jednak dlatego, że służba ta była zaangażowana wówczas przede wszystkim w wyłapywanie rzekomych kolaborantów w nowo wyzwalanych miastach w całej okolicy. Liczba aresztowań wzrosła ponownie w roku 1945[18]. Także cenzura, lekko poluzowana w latach wojny, teraz działała znowu z całą surowością, zwłaszcza w odniesieniu do masowych zgonów zimą na przełomie lat 1941 i 1942. W dzienniku z czasów oblężenia pewna niepełnosprawna dwudziestojednolatka odnotowała – obok śmierci głodowej jej uwielbiającego grę w szachy ojca – także fakt odkrycia przez nią okaleczonych ciał ludzkich w sąsiednim mieszkaniu należącym do jakiegoś muzyka. Kiedy dziewczyna przeczytała to na głos w gronie przyjaciół, jeden z nich doniósł na nią, wskutek czego została skazana na sześć lat gułagu.

W oficjalnej wersji skrzypkowie nie jedli przecież dzieci, lecz całe oblężenie spędzili, grając Szostakowicza w rękawiczkach bez palców[19]. Kiedy Inbier skrytykowała Bergholc za to, że wciąż pisze ona „smutną, niedzisiejszą" poezję, nie spodziewała się zapewne, że wkrótce i jej własna twórczość zostanie potępiona na zebraniu Związku Pisarzy jako „odpychająca", „wiejąca chłodem" i będąca „torturą w czytaniu"[20]. W Radiokomitecie pracownikom nakazano zniszczyć nagrania improwizowanych wywiadów z czasów wojny przeprowadzanych ze zwykłymi ludźmi z ulicy. Oni jednak wbrew poleceniom zabierali taśmy do domów, skrywając je pod płaszczami, albo zanosili do magazynu w pudłach opisywanych jako „muzyka ludowa". Fridenberg, której zlecono (jak się później z przerażeniem dowiedziała, zleceniodawcą było NKWD) zebranie relacji od „bohaterek Leningradu", zorientowała się, że odsyłana jest wyłącznie do „ulubienic i pupilek władz (...). Wszystko to, co wzięte z życia, co autentyczne i prawdziwe, było niedopuszczalne (...). I choć wiele niewiarygodnie tragicznych rzeczy powierzonych mi zostało ustnie, nikt nie śmiał spisać tej całej prawdy"[21].

Jakiekolwiek utrzymujące się jeszcze nadzieje na nadejście „leningradzkiej wiosny" zdruzgotała, jak najbardziej publicznie i jak najbardziej celowo, latem roku 1946, rozprawa z leningradzką inteligencją. Choć została zainicjowana przez samego Stalina, jej przeprowadzenie powierzono Żdanowowi, co było ukrytą formą jego krytyki za sposób kierowania leningradzką organizacją partyjną. Sam Żdanow był już od jakiegoś czasu w Moskwie, gdzie powszechnie uznawano go za następcę Stalina. Na swoje ofiary upatrzył teraz Annę Achmatową i autora krótkich form Michaiła Zoszczenkę, wybierając oboje ze względu na ich popularność („Wiedziałam, że jest już po mnie w chwili, w której jakaś dziewczyna podbiegła do mnie i padła na kolana" – powiedziała Achmatowa po którymś z triumfalnych publicznych odczytów swojej poezji), ale także dlatego, że ucieleśniali oni pomysłowego, sceptycznego i proeuropejskiego ducha Leningradu. Pisarz Konstantin Simonow tak to ujął we wspomnieniach:

„Sądzę, że atak wymierzony w Achmatową i Zoszczenkę nie dotyczył jakoś szczególnie właśnie ich samych (...). Stalin zawsze był podejrzliwy

wobec Leningradu, uczucie to zachował jeszcze z lat dwudziestych, uczucie, że podejmowano tam próby stworzenia pewnej duchowej autonomii (...). Pomyślałem sobie wtedy: «Dlaczego Achmatowa, która nie wyemigrowała, która podczas wojny dawała tak wiele odczytów?» (...). Był to sposób pokazania inteligencji jej miejsca, zademonstrowania, że stojące przed nią zadania są równie jasne jak przed wojną"[22].

Cios spadł 15 sierpnia pod postacią uchwały przyjętej przez Komitet Centralny partii. Twórczość Achmatowej została w niej potępiona jako „pusta i błaha (...), przeniknięta wonią pesymizmu i rozkładu", a utwory Zoszczenki uznano za „odstręczające, ordynarne bzdury", które mogą wieść radziecką młodzież na manowce. Oboje też mieli wykazywać „obrzydliwą służalczość wobec burżuazyjnej kultury Zachodu". Jedno z leningradzkich pism publikujących ich utwory zostało zamknięte, drugie zaś przekazane pod nadzór redakcyjny szefa propagandy przy Komitecie Centralnym. Tydzień później sam Ždanow pofatygował się do Leningradu, by osobiście napiętnować oboje twórców w referacie wygłoszonym na forum Związku Pisarzy. W miarę jak siła i ciężar wypowiadanych przezeń słów (Achmatową opisywał jako „pół zakonnicę, pół dziwkę", a Zoszczenkę jako „prymitywnego i banalnego drobnomieszczanina (...) sączącego antyradziecką truciznę") docierały do zgromadzonych na sali, coraz bardziej zastygała ona w milczeniu – „tężejąc w ciągu tych trzech godzin w jedną wielką bryłę lodu", jak ujął to jeden ze słuchaczy[23]. Pewna kobieta usiłowała wyjść z sali, ale jej to uniemożliwiono, ponownie więc usiadła w ostatnich rzędach. Innych wyrazów protestu nie było, więc głosowanie nad wydaleniem Achmatowej i Zoszczenki ze Związku przebiegło jednomyślnie. Zebranie zakończyło się o pierwszej po północy, po czym wszyscy pisarze w ciszy i milczeniu zeszli po schodach i wyszli na zewnątrz, wprost w ciepłą letnią noc. „W takim samym milczeniu – wspominało jedno z nich – przeszliśmy wzdłuż alei na pusty plac, a potem w ciszy rozeszliśmy się do ostatnich trolejbusów. Wszystko to było niespodziewane i niezrozumiałe"[24]. Sama Achmatowa, demonstrując wyniosłą pogardę wobec całej tej sytuacji, twierdziła, że nic nie wie o żadnej uchwale, dopóki na własne oczy na brudnej i śliskiej stronie

z gazety, w którą zawinięto kupionego przez nią śledzia, nie ujrzała jej wydrukowanej. Powód, dla którego Simonow tak a nie inaczej zinterpretował rozprawę z Achmatową i Zoszczenką, był w gruncie rzeczy dosyć prosty: mimo mrożącej krew w żyłach retoryki Żdanowa żadne z obojga nie zostało aresztowane, a jedynie zmuszono ich do powrotu do dawnego życia sprzed wojny, w ukryciu i ubóstwie, na łasce garstki najwierniejszych przyjaciół, wobec konieczności spalenia prywatnych notatek i zapisków. Jedną z tych, które nie wyrzekły się Achmatowej, była Olga Bergholc, która w konsekwencji straciła stanowisko w zarządzie Związku Pisarzy.

W sierpniu 1948 roku polityka Kremla uległa zmianie, a to w związku ze śmiercią Żdanowa (bez żadnej pomocy z zewnątrz) na atak serca. Natychmiast po niej Malenkow i Beria przystąpili do umacniania swoich pozycji, rozciągając szeroko już nagłośnioną rozprawę z leningradzką inteligencją w potajemną czystkę protegowanych Żdanowa na Kremlu i w całej organizacji partyjnej w Leningradzie.

Ta tak zwana sprawa leningradzka, jak się o niej później przyjęło mówić, zaczęła się w lutym 1949 roku od zdymisjonowania zastępcy Żdanowa z czasów wojny, Aleksandra Kuzniecowa, który podążył w ślad za swoim patronem do Moskwy, gdzie powierzono mu nadzór nad NKWD, a także „burmistrza" Popkowa, który przejął obowiązki pierwszego sekretarza leningradzkiej organizacji partyjnej, oraz Nikołaja Wozniesienskiego, zdolnego młodego ekonomisty, który na plecach Żdanowa wywindował się na stanowisko szefa Państwowej Komisji Planowania. Jak napisano w tajnej uchwale: „Politbiuro uznaje, że Towarzysze Kuzniecow (...) i Popkow mają niezdrowe, niebolszewickie odchylenie, wyrażające się w demagogicznych gestach wobec „organizacji leningradzkiej, niesprawiedliwej krytyce Komitetu Centralnego (...) i próbach przedstawiania się jako szczególni obrońcy interesów Leningradu"[25].

Choć „polowanie już się zaczęło" – jak ujął to później Chruszczow – samych „zainteresowanych" wcale z miejsca nie aresztowano, a Wozniesienski był wręcz w dalszym ciągu zapraszany na zakrapiane nocne kolacje u Stalina. Dopiero 13 sierpnia Kuzniecowa, Popkowa oraz

trzech innych wysokich przedstawicieli organizacji leningradzkiej zaproszono do gabinetu Malenkowa, gdzie aresztowała ich jego ochrona. Wozniesienski natychmiast wysmażył uniżony list do Stalina: „Proszę, dajcie mi pracę, jakąkolwiek, bym mógł wykonywać swoje obowiązki wobec Partii i kraju (...). Zapewniam was, że w pełni odrobiłem lekcje w zakresie partyjnej postawy...". Jednak niewiele mu to pomogło[26]. Ostatecznie został aresztowany 27 października i dołączył do Popkowa i Kuzniecowa siedzących już w specjalnym więzieniu przygotowanym przez Malenkowa. We wrześniu 1949 roku postawiono ich przed zamkniętym sądem w Leningradzie, odbywającym posiedzenia w budynku dawnego klubu oficerskiego na Litiejnym. Kuzniecow odmówił przyznania się do winy i został z miejsca stracony – według Chruszczowa „w sposób straszny, przez powieszenie na haku wbitym w kark"[27]. Możliwe, że Wozniesienskiemu pozwolono pożyć nieco dłużej. Podobno kilka miesięcy po procesie Stalin spytał Malenkowa, co też dzieje się z tym słynącym ze swego pracoholizmu szefem Komisji Planowania, i zasugerował, by dać mu coś do roboty. Malenkow odparł, że to nie będzie możliwe, ponieważ zamarzł on na śmierć podczas przewożenia jedną z więźniarek[28]. Łącznie, w latach 1949–1951, stracono, uwięziono bądź wygnano 69 powiązanych z Leningradem oficjeli partyjnych, a także 145 członków ich rodzin. Z nich wszystkich najmniej zasługującym na litość był bez wątpienia P. N. Kubatkin, szef leningradzkiego NKWD. Standardowe zdjęcia milicyjne – *en face* i z prawego profilu – zrobione mu podczas aresztowania ukazują człowieka wymizerowanego i obszarpanego, zupełnie jak w przypadku tysięcy jego ofiar z czasów wojny.

Przeprowadzona w wielkiej tajemnicy „sprawa leningradzka" po dziś dzień pozostaje w dużym stopniu niewyjaśniona. Pretekstem dla niej, jak wyszeptał do ucha Stalina Malenkow, miał być fakt, że Wozniesienski naciągał dane dotyczące produkcji, a także to, że leningradzka organizacja partyjna zorganizowała bez pozwolenia Moskwy rolnicze targi handlowe. W rzeczywistości do czystek doszło raczej z powodu rosnącego napięcia zimnej wojny – w 1949 roku działał most powietrzny do Berlina, powstało NATO, a Związek Radziecki wyprodukował swoją pierwszą bombę atomową. Poza tym nie słabła

obawa Stalina przed możliwymi konkurentami. Prawdopodobnie dyktatora rozzłościły pogłoski o powołaniu Rosyjskiej (w przeciwieństwie do Radzieckiej, a więc wszechzwiązkowej) Partii Komunistycznej z siedzibą w Leningradzie, a także przyjacielska wizyta w tym mieście delegacji z Jugosławii rządzonej przez nazbyt niezależnie myślącego Titę[29]. Rewizjoniści argumentują natomiast, że czystka ta była po prostu elementem przemyślanej strategii walki o władzę, umacniając dominację Stalina i równoważąc siły frakcji istniejących na Kremlu. Najczęściej przyjmowanym i chyba najbardziej przekonującym wyjaśnieniem jest traktowanie tych wydarzeń jako jednego z ostatnich paroksyzmów umysłu starzejącego się paranoika.

Równolegle z tak zwaną sprawą leningradzką Stalin ogłosił też, ponownie za namową Malenkowa i Berii, wszechzwiązkową „wojnę z kosmopolityzmem". Charakterystyczne dla nieodległych czasów wojennych odwoływanie się do tradycyjnych wartości – powrócono wówczas do dawnych stopni i insygniów wojskowych, a także ustanawiano odznaczenia imienia Suworowa czy Newskiego – przerodziło się teraz w zajadłe zwalczanie wszelkich przejawów świata Zachodu. Był to zatem okres zwariowanej pseudogenetyki, przemianowywania pieczywa „francuskiego" na „miejskie", a także przechwałek, że tak naprawdę to Rosjanie wynaleźli radio, samolot i żarówkę. Dzień po dniu ludzie mający jakiekolwiek powiązania z zagranicą, jak również ci o żydowskich nazwiskach, po prostu znikali (jak zażartował jeden z nich: „Kiedyś to była loteria, teraz to już kolejka")[30], a na Uniwersytecie Leningradzkim gremia koleżeńskie ponownie zaczęły zbierać się po to, by oskarżać swoich poszczególnych członków o „formalizm", „burżuazyjny subiektywizm" czy „kłanianie się Zachodowi". Olga Fridenberg tak napisała o sytuacji na swoim wydziale filologii klasycznej:

„Wszyscy profesorowie byli rytualnie upokarzani. Niektórzy, jak Żyrmunski, znosili to z elegancją i klasą (...), ale profesor Tomaszewski, człowiek wcale jeszcze nie stary, o chłodnym temperamencie i kąśliwym dowcipie, bardzo spokojny i mało podatny na uczucia, wyszedł na korytarz Akademii Nauk po swoim egzaminie i po prostu zemdlał. Badacz folkloru profesor Azadowski, osłabiony już po przebytej

chorobie serca, stracił przytomność podczas samego zebrania i trzeba go było wynieść na zewnątrz".

Szacuje się, że w skali całego Związku Radzieckiego posady straciło tak wielu Żydów, że do 1951 roku zajmowali oni już tylko niecałe cztery procent stanowisk w administracji rządowej, gospodarce, mediach i na uniwersytetach, podczas gdy jeszcze w 1945 roku było to dwanaście procent[31]. Najwyżej postawioną ofiarą była pięćdziesięciotrzyletnia, uwielbiająca luksusy żona Mołotowa, Żemczużyna Polina Siemionowna, niegdysiejsza komisarz ludowa do spraw rybołówstwa. Po groteskowym pseudoprocesie, w którym była oskarżana między innymi o szpiegostwo na rzecz syjonistów i uprawianie seksu grupowego, zmuszono ją do rozwodu z Mołotowem i skazano na pięć lat łagrów. Na określenie całego tego plugastwa Fridenberg znalazła trafne, całkiem niedawno ukute słowo *skłoka*, oznaczające „najzwyklejszą, banalną wrogość; mściwe, drobne intrygi. Żywi się ona kalumniami, donosicielstwem, podsłuchiwaniem, knuciem, oszczerstwem (...). *Skłoka* jest alfą i omegą naszej polityki. *Skłoka* to nasza metoda"[32].

Achmatowa, choć pozostawiona na wolności, nie uniknęła cierpień z powodu prześladowań. Pośród tysięcy aresztowanych znalazł się bowiem jej trzydziestosiedmioletni syn Lew Gumilow, całkiem niedawno zdemobilizowany po tym, jak z Armią Czerwoną dotarł aż do Berlina. Już przed wojną spędził kilka lat w gułagu, a teraz skazano go na kolejnych dziesięć. Pomimo petycji słanych przez jego matkę, która dodatkowo potulnie zaangażowała się w tworzenie słusznej literatury (pisząc cykl patriotycznych wierszy zatytułowany *Pochwała pokoju*), został zwolniony dopiero na mocy powszechnej amnestii ogłoszonej przez Chruszczowa w 1956 roku. Aresztowano także jej byłego męża Nikołaja Punina, który – po tym jak publicznie skomentował zniknięcie swoich osiemnastu kolegów słowami: „Przeżyliśmy najazd Tatarów, przeżyjemy i to" – usłyszał zarzut bycia „adwokatem reakcyjnej idei «sztuki dla sztuki»", po czym został zesłany do łagrów Workuty w Arktyce. Z obozu pisał do swojej wnuczki ciepłe listy o zamkach z piasku, jeżach i leśnych grzybach, dopóki nie zmarł cztery lata później, dożywszy sześćdziesięciu pięciu lat[33].

Dokładnie w tym samym roku zmarł w samotności jeszcze jeden stary człowiek – Józef Stalin. Wieść o tym została powitana w mieszany sposób: albo pełną oszołomienia ciszą, albo też wybuchami intensywnych, oczyszczających emocji. W szkołach nauczyciele zarządzali wśród uczniów masowe opłakiwanie wodza; w domach zbiorowego zakwaterowania ludzie z trudem zmuszali się do zachowywania powagi czy też do okazywania oblicza pełnego łez; w łagrach strażnicy zbierali się w nerwowe gromadki, a więźniowie krzyczeli i wyrzucali w górę czapki. W dniu pogrzebu w Moskwie za konduktem z trumną wielkiego przywódcy szły nieprzebrane tłumy, ale już w Leningradzie pewien człowiek stracił legitymację partyjną za to, że dwukrotnie wyłączył radio podczas przemówień i w ciszy powrócił do swojej pracy. „Byliśmy w podwójnym oblężeniu – napisał już wcześniej Lichaczow – od środka i od zewnątrz”[34]. To „oblężenie od środka” wciąż się jeszcze nie zakończyło: Związek Radziecki dalej istniał i dalej był państwem szarym i represyjnym, pozostając takim przez kolejnych blisko czterdzieści lat. Ale już nigdy nie miało być aż tak źle.

23. OKRUCHY PAMIĘCI

Oblężenie Leningradu upamiętnia dziś przede wszystkim cmentarz Piskariowski, leżący obecnie w otoczeniu nowych osiedli mieszkaniowych i plątaniny zatłoczonych dróg wylotowych, na północno-wschodnich obrzeżach miasta. Otwarty w 1960 roku, jest on, jak na standardy radzieckie, kompleksem raczej skromnym, przewidzianym bardziej jako miejsce opłakiwania zmarłych aniżeli świętowania zwycięstwa. Masowe groby – duże, pokryte trawą kopce, przypisane do poszczególnych lat (w dużej mierze symbolicznie, gdyż pochówki nigdy nie były tak starannie rozgraniczane w czasie), tworzą długi rząd ciągnący się wzdłuż głównej alei cmentarza. Po jednej jego stronie pali się migotliwie płomyk wiecznego światła, ledwie dostrzegalny w silnym słońcu, po drugiej zaś stoi posąg kobiety o szerokich biodrach i w długiej sukience, odcinający się wyraźnie na tle nieba i nielicznych obłoków. Na fryzie w tle wyrzeźbiono słynne słowa zapożyczone ponoć (co nie jest prawdą) od Bergholc: „Nikt nie jest zapomniany, nic nie jest zapomniane".

Po obu stronach głównej alei ciągną się kolejne zbiorowe mogiły, ocieniane przez lipy i brzozy. Trawa na nich jest już przycinana mniej uważnie, a rozdzielające je zagłębienia porastają jaskry i mlecze. Z boku jednej z nich można dostrzec króliczą norę. Są tu także pojedyncze groby – z XIX wieku, pozostałe z czasów, gdy miejsce to było tylko zwykłym cmentarzem grzebalnym, ale także setki i tysiące tych należących do żołnierzy zmarłych w szpitalach wojskowych w całym Leningradzie. Z owalnych, wyblakłych czarno-białych medalionów z ceramiki spoglądają ich młode oblicza – przystojne, z odstającymi uszami, piegowate, azjatyckie, w okularach i bez. Naraz ożywa system głośników, z których dochodzą pełne powagi dźwięki *Marsza żałobnego* Beethovena, zniekształcone przez wiatr i nie najlepszy stan taśmy. Kiedy po jakimś czasie głośniki milkną, znów słychać tylko śpiew ptaków i odgłos odległych samochodów.

Podobnie jak wszystkie takie miejsca cmentarz Piskariowski nie zdaje egzaminu. Posągi, alejki, poezja – nic nie jest w stanie oddać tego, co należne ofiarom tragedii w skali tak olbrzymiej, jak ta w Leningradzie. Możliwe zresztą, że dla człowieka współczesnego nie istnieje żaden odpowiedni środek wyrazu. Wszystko, co można zrobić, to poświęcić swój czas, zaangażować umysł, oddać cześć. Upamiętnienie oblężenia stanowiło problem także dla państwa radzieckiego, a dziś rosyjskiego. Aż do śmierci Stalina spychano je na drugi plan jako kłopotliwe memento katastrofalnych pierwszych stadiów wojny. Zmarłym z głodu nie postawiono żadnego pomnika. Choć mówiono o nich w Norymberdze, były tam przytaczane liczby znacznie niedoszacowane. A tysiące kalekich żołnierzy przepędzono z miasta na dawne klasztorne wyspy Wałaam w północnej części jeziora Ładoga, wydając zarządzenia zabraniające im żebrania na ulicach. Masowe groby odgrodzono płotami i pozwolono im zarastać pokrzywami i jeżynami.

Część przedpola uprzątnięto za czasów Chruszczowa, który – po ożywionej publicznej dyskusji dotyczącej odpowiedniej lokalizacji – zezwolił zarówno na wybudowanie pamiątkowego kompleksu na cmentarzu Piskariowskim, jak również na publikację szczerej (jak na owe czasy) relacji Dmitrija Pawłowa, mówiącej o zaopatrzeniu w żywność w czasie wojny. Zarosło ono ponownie, choć już w inny sposób, za czasów Breżniewa, który zaprzągł oblężenie w propagowany przez siebie kult Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, pomyślany jako substytut coraz mniej porywającego ludzi marksizmu-leninizmu. W tej wersji historii cierpienia cywilów ponownie wysunęły się wprawdzie na plan pierwszy, tyle że w abstrakcyjnej, ugrzecznionej formie. Krańcowe i przerażające doświadczenia oblężenia sprowadzono do prostych symboli – chłodu, ciemności, dziecięcych sanek, *burżujki* – a straszliwy upadek moralny i społeczny przekuto w pokrzepiającą opowieść o odkupieniu. Według niej leningradczycy byli altruistycznymi, zdyscyplinowanymi bohaterami, którzy nigdy nie zwątpili w ostateczne zwycięstwo. Już dzięki temu, że przeżyli, pomogli obronić miasto, a nawet jeśli umierali z głodu, czynili to z godnością, prezentując coś w rodzaju ekstatycznego uniesienia. Z tego całego męczeństwa wyszli

zaś zahartowani, oczyszczeni, uwznioślени. Dlatego, jak argumentowali najbardziej ekstrawaganccy propagatorzy kultu, leningradzcy chłopcy i leningradzkie dziewczyny powinni pobierać się wyłącznie między sobą[1].

Próby obalenia tej napuszonej fasady spotykały się ze zdecydowanym odporem. Kiedy w 1969 roku Harrison Salisbury opublikował swoją klasyczną (choć nie bez upiększeń, zwłaszcza w odniesieniu do Woroszyłowa i Żdanowa) pracę *The 900 Days*, został zaatakowany nie tylko przez „Prawdę", w artykule podpisanym przez Żukowa, ale także przez zachodnią lewicę[2]. W języku rosyjskim książkę tę wydano dopiero w roku 1994, sześć miesięcy po śmierci samego Salisbury'ego. Przełomowa kompilacja ustnych opowieści *A Book of the Blockade* („Księga blokady"), przygotowana przez historyka Alesia Adamowicza i powieściopisarza Daniiła Granina, opublikowana po raz pierwszy w roku 1979, także znalazła się pod ostrzałem mimo wcześniejszych ponad sześćdziesięciu interwencji cenzury. Blokada informacyjna obejmowała zresztą nie tylko samo oblężenie, ale również wszelkie próby pisania historii „Petersburga". Kiedy sekretarz Szostakowicza, Solomon Wołkow, próbował znaleźć jakąś książkę traktującą o kompozytorach w Leningradzie, wydaną na początku lat siedemdziesiątych, słyszał to „raz po raz. Odrzucano samą koncepcję kultury Petersburga czy Leningradu. A cóż niby jest takiego w tej kulturze? My mamy tylko jedną kulturę – radziecką!"[3].

Milczenie zostało przerwane dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, wraz z nastaniem propagowanej przez Gorbaczowa polityki *głasnosti*, to jest „otwartości", poprzedzającej upadek komunizmu i całego Związku Radzieckiego. Nagle stało się możliwe poddanie oblężenia prawdziwej naukowej analizie. Po raz pierwszy można było krytykować wojenny terror, podobnie jak bezmyślne marnotrawstwo ludzkiego życia w Zaciągu Narodowym czy tragiczne w skutkach zaniedbania przy organizowaniu ewakuacji i systemu racjonowania żywności. W gazetach i magazynach masowo zaczęły się pojawiać nieocenzurowane relacje osobiste, których pozbawiona upiększeń rzeczowość i nierzadko cierpki ton działały niczym rozpuszczalnik na lukrowaną wersję breżniewowskiego mitu

o powszechnej skłonności do poświęceń. Adamowicz i Granin mogli teraz uzupełnić swoją „Księgę blokady" o ostrzejsze fragmenty dzienników (jak choćby te pisane przez Jurija Riabinkina, nastolatka porzuconego przez własną matkę), a także o materiał dotyczący kanibalizmu czy „sprawy leningradzkiej". Ukazało się też kilka demaskatorskich zbiorów dokumentów, przede wszystkim tych pochodzących z archiwów Federalnej Służby Bezpieczeństwa, sukcesorki NKWD. W rezultacie ugruntowana dotąd reputacja Żdanowa – mądrego i powszechnie kochanego przywódcy z czasów wojny – legła całkowicie w gruzach, co zaowocowało usunięciem jego nazwiska z nazw szkół, fabryk, okrętu wojennego oraz czarnomorskiego portu Mariupol. Największa zmiana nazwy dotyczyła jednak samego Leningradu, który od 1 października 1991 roku, w wyniku zaciętego referendum, stał się ponownie Sankt Peterburgiem (w wersji rosyjskiej) albo Sankt Petersburgiem czy też po prostu Petersburgiem[4].

Równie ważnymi strażnikami historii oblężenia, choć w stale malejącej liczbie, są „blokadnicy". Tyle że dla nich oblężenie wcale nie jest żadną historią, lecz dojmującym i wciąż żywym doświadczeniem życiowym, a ich wspomnienia z tego okresu są – jak to ujmuje Olga Grieczina – „umysłowym polem minowym. Wystarczy, że na nie nadepniesz, a od razu wybuchasz. Wszystko wylatuje w powietrze – spokój, dobrobyt, obecne szczęście"[5]. A potencjalne zapalniki pamięci czają się wszędzie dookoła – jakiś szczególny zawór wody czy hydrant przeciwpożarowy, warkot silnika samolotu czy skrzypienie płóz sanek, zapach kleju stolarskiego albo zwyczajny widok świeżego, niepodeptanego jeszcze śniegu na chodniku. Ktoś nigdy nie ubiera choinki, ponieważ przypomina mu ona tę, pod którą leżał jego umierający z głodu ojciec; inni zawsze omijają z daleka pewne ulice czy mosty. W przypadku Griecziny był to zapach ogniska, który pewnego dnia w roku 1978 wpadł do jej mieszkania przez otwarte okno. Od lat prezentująca ugrzecznioną wersję oblężenia w swoich pogadankach dla studentów, teraz siadła przy biurku i cała we łzach przez dwa dni i dwie noce pisała, dając upust swoim długo hamowanym uczuciom smutku i wściekłości. W wielu ludziach wciąż tkwią też pewne zachowania

z czasów oblężenia – *błokadniki* mówią o tym, że nie są w stanie zostawić na talerzu choćby odrobiny jedzenia, wyrzucić nawet mocno spleśniałego chleba czy przejść obok leżącego na ulicy kawałka drewna bez odczucia potrzeby zabrania go do domu, by posłużył do opalania nieistniejącej *burżujki*. Wśród ocalałych powszechne jest też poczucie winy (choć nigdy w ten sposób się go nie określa), które wyraża się w wielu przypadkach pełnym rozpaczy rozpamiętywaniem tego, że nie potrafiło się zapewnić komuś z rodziny godnego pogrzebu. Pewna kobieta, nieznająca miejsca pochówku ojca, odwiedza cmentarz Piskariowski co roku w dzień jego każdych urodzin i składa kwiaty na wszystkich grobach, na których dostrzeże jego imię albo zbieżną z dniem jego urodzin datę urodzenia. Jak mówi, nigdy nie spocznie w tych wysiłkach[6].

Wielu ocalałych całkowicie wyparło temat oblężenia i nigdy nie rozmawia o nim nawet ze swoją rodziną czy najbliższymi przyjaciółmi. Inni – jak czyniła przez pewien czas Grieczina – przyswoili sobie wersję propagowaną przez Breżniewa, z którą dawało się jakoś żyć, opakowując niejako własne, straszne i bolesne wspomnienia w większą i bezpieczniejszą opowieść. Nawet jednak ci, którzy czuli potrzebę otwartego mówienia o przeżyciach, z trudem znajdowali wdzięcznych słuchaczy. Marina Jeruchmanowa napisała:

„Gdzieś w środku zawsze nurtowało mnie to pytanie: Czy nie mogłabym po prostu mówić o tym, jak było naprawdę? Czasami zastanawiam się, czemu siedzieliśmy cicho. Prawdopodobnie dlatego, że jakoś tak nie wypadało o tym mówić (...). Za każdym razem, gdy rozmowa dotykała tematu blokady, wydawało się, że wszyscy już wszystko o niej wiedzą – coś tam czytali, słyszeli, widzieli filmy – a samo powtarzanie szczegółów ani nie dałoby satysfakcji opowiadającemu, ani nie pogłębiłoby zrozumienia u słuchacza.

My także oglądaliśmy filmy i czytaliśmy to, co napisano o tamtych czasach. Ale choć za każdym razem żołądek podchodził nam wtedy do gardła, wiedzieliśmy, że wszystkie one nie oddają tego, co wówczas czuliśmy".

Błokadniki narzekają często, że dziś już nikt nie interesuje się oblężeniem. „Każde pokolenie ma własne wojny – Afganistan,

Czeczenię – mówi jedna z nich. Inna opisuje, jak w trakcie pogadanki o oblężeniu dla młodocianych przestępców nie widziała z ich strony żadnej reakcji, dopóki nie zademonstrowała im swoich jedynych sześciu zębów pozostałych po przebytym szkorbucie[7]. Grieczina podkreśla napięcia rodzące się między weteranami oblężenia a powojenną ludnością napływową do Leningradu, której przedstawiciele – jak twierdzi – bezceremonialnie zajmowali zarezerwowane dla *błokadników* miejsca w środkach komunikacji publicznej, tłumacząc się tym, że w ich wioskach „też wszyscy głodowali”[8].

Prawdą jest, że w latach dziewięćdziesiątych oblężenie zeszło nieco na dalszy plan – znacznie więcej mówiło się wówczas o Wielkim Terrorze czy Gułagu. Dziś jednak jest inaczej. Ostatnia dekada przyniosła publikację całej rzeki wspomnień i dzienników, choć zazwyczaj w niewielkich nakładach albo też w niszowych pismach akademickich. Tendencja ta wciąż się utrzymuje: jedynie w czasie, który był potrzebny do zebrania materiałów do tej książki, ukazało się kilka nowych ważnych relacji, a kolejne bez wątpienia będą się pojawiać, wyciągane z zakamarków rodzinnych archiwów albo starych, zakurzonych szaf.

Niemal w ostatniej chwili podjęto też wysiłek zebrania ustnych świadectw od pozostałych jeszcze przy życiu ocalałych z oblężenia ludzi. Rozmowy z *błokadnikami* nierzadko więcej niż o samym oblężeniu mówią o rozmaitych strategiach, jakich ima się ludzki umysł, by oswoić to, co jest nie do zniesienia, i mimo wszystko należą one do doświadczeń z gatunku dużych wyzwań. Kobiety – bo w większości są to kobiety siedzące przy kuchennym stole zastawionym *zakuskami*, w obitym mahoniem gabinecie w Bibliotece Publicznej czy w lśniącej czystością i nowością kawiarni – kiedyś były przecież w tamtej właśnie sytuacji. Były okutanymi, czarno-białymi postaciami z trudem powłóczącymi nogami po zaśnieżonej ulicy, które wystawały w długich kolejkach przed sklepami z chlebem, dźwigały wiadra z wodą po oblodzonych schodach, patrzyły na to, jak ich własne ciało rozkłada się i przebarwia, a ich rodzice i rodzeństwo z wolna opadają z sił i wreszcie umierają. Wydarzenia tamtych dni są odległe i obce naszemu doświadczeniu, ale już nie pamięci tej właśnie kobiety, dla której działy

się one wcale nie tak dawno temu, a która teraz nalega, bym poczęstowała się jeszcze jedną kromką chleba z masłem i jeszcze jedną filiżanką herbaty.

„Blokadnicy", z którymi rozmawiam, są z definicji rozbitkami psychicznymi, ludźmi, którzy nauczyli się jakoś żyć ze swoim bólem i cierpieniem, a nawet oswoili je na tyle, że potrafią rozmawiać o nich na życzenie nieznajomej osoby z notatnikiem. Mimo to niezwykle poruszająca jest obserwacja, że mają tendencję do podkreślania pozytywów – szczęśliwych przypadków, które ich ratowały, poświęcenia ich matek, życzliwości obcych im ludzi. Nie podoba im się określanie ich mianem bohaterów – jak podkreślają, byli wtedy tylko dziećmi, a prawdziwymi bohaterami byli dorośli, którzy ich ocalili. Irina Bogdanowa, uratowana siedemdziesiąt lat temu ze swojego pełnego martwych ciał mieszkania, wciąż powtarza: „miałam szczęście" i „tak było mi pisane" – pisane, by znalazły ją uczciwe i sumienne komsomołki; pisane, by adoptowały ją dwie żyjące w staropanieństwie siostry, u których znalazła nową rodzinę. Jedyny moment, w którym do oczu napływają jej łzy, przychodzi wówczas, gdy opowiada o zwykłej ludzkiej małostkowości – o nowych lokatorach w jej rodzinnym mieszkaniu, którzy odmówili wpuszczenia jej do środka, gdy pod koniec wojny przyszła je zobaczyć. Jedyną osobistą rzeczą z dzieciństwa, jaką ma do dziś, jest mosiężny krucyfiks jej matki, który podali jej ci ludzie, zawinięty w gazetę, przez lekko uchylone drzwi.

Ta niechęć do osądzania innych, ta niewiarygodna determinacja, by skupiać się na najmniejszych nawet oznakach ludzkiej życzliwości, nie zaś na niezliczonych dowodach bezduszności swoich bliźnich, jest jednak czymś zupełnie różnym od lukrowania rzeczywistości charakterystycznego dla okresu radzieckiego. Jak na ironię, to nie sami *błokadniki*, lecz ich synowie i córki – pokolenie wchodzące teraz w szóstą albo siódmą dekadę życia, podczas gdy ich rodzice ukończyli już lat osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt – są najgorliwszymi obrońcami strywializowanej wersji radzieckiej. Ci, którzy naprawdę przeżyli oblężenie, podkreślają silnie i wielokrotnie jego hermetyczny i absolutnie destrukcyjny charakter, brak jakichkolwiek walorów „ocaleńczych" oraz głębię doznanych szkód. Rozmawiałam

z historyczką Angieliną Kupajgorodską, która przeżyła całą pierwszą zimę w oblężeniu zupełnie sama, pomijając rzadkie odwiedziny ojca, zmuszonego do zamieszkania w swojej fabryce. Siedząc na sofie w korytarzu Akademii Nauk, lekko skrępowana, powiedziała mi: „Wszystkie te opowieści o dziewczynkach zbyt słabych, by mogły same stać, i przywiązywanych do tokarek, wraz z przytulanymi kurczowo lalkami, są tylko powojenną idealizacją". W rzeczywistości oblężenie było ponure, ciężkie i potworne. Żaden człowiek nie powinien czegoś takiego przechodzić. Kiedy się żegnałyśmy, moja rozmówczyni nie bez trudu powstała, chwytając się mojego ramienia. Teraz, kiedy już skończyłam ją przepytywać, liczyło się tylko to, bym odebrała taki właśnie sygnał jej wewnętrznej siły.

Stosunek Rosjan do drugiej wojny światowej nie jest, ogólnie patrząc, zbyt skomplikowany: jest mieszaniną bezwzględnej dumy z tego, że zwyciężyli oni, stojący po słusznej stronie, z zapiekłą nienawiścią do wroga, który chciał ich zniszczyć. Wszelkie inne aspekty – takie jak przedwojenne czystki w korpusie oficerskim, pakt Sowietów z nazistami, błędy wojskowych, masakra polskich jeńców wojennych w Katyniu czy aresztowania i deportacje z czasów wojny – są wprawdzie dostrzegane (choć czasem niechętnie), ale uznawane za nieistotne dla sprawy.

Faktem pozostaje jednak, że Wielka Wojna Ojczyźniana – jak wciąż określa ją większość Rosjan – została wygrana olbrzymim, zdecydowanie nadmiernie wysokim kosztem. Oblężenie Leningradu stanowi być może najbardziej skrajny przykład tej rozrzutności. Wprawdzie to nazistowskie Niemcy doprowadziły do blokady miasta, działając z rozmyślnym i nieludzkim wyrachowaniem, ale też reżim radziecki nie potrafił ewakuować na czas ludności cywilnej, zapewnić jej odpowiednich zapasów żywności, położyć kresu kradzieżom jedzenia czy zorganizować właściwie transportów Drogą Życia. To także ten sam reżim radziecki bezmyślnie szastał życiem tysięcy młodych ludzi walczących w Zaciągu Narodowym, a jednocześnie wciąż wtrącał do więzień i rozstrzeliwał własnych, często najbardziej pokornych i patriotycznie nastawionych obywateli, i to nawet wówczas,

gdy i tak umierali już oni z głodu. Gdyby Rosja miała innych przywódców, mogłaby albo lepiej przygotować się do oblężenia, albo nie dopuścić, by Niemcy okrążyli miasto, albo wręcz nie pozwolić sobie na to, by najechały ją obce wojska.

Książka ta nie jest jednak pomyślana jako studium historii alternatywnej. Jeśli już, została ona napisana, przynajmniej w części, by wyprostować pewne radzieckie mity i, jako taka, skupia się w sposób oczywisty przede wszystkim na negatywach. Z całą pewnością nie ma wyrażać też przekonania, że Leningrad powinien był zostać poddany. Także naziści pozwoliliby cywilom umrzeć z głodu, podobnie jak to czynili w innych okupowanych rosyjskich miastach. Wszyscy pozostali w mieście Żydzi zostaliby wyłapani i wymordowani. Trzysta tysięcy żołnierzy wojsk Osi związanych pod Leningradem (od piętnastu do dwudziestu procent łącznej liczby walczących na całym Froncie Wschodnim) pomaszerowałoby dalej na wschód, co oznaczałoby dłuższą wojnę, jeszcze większe obszary Rosji zdobyte i zajęte przez najeźdźców, a także cięższe zadanie dla pozostałych aliantów. Wreszcie, Leningrad niemal z całą pewnością zostałby gruntownie zniszczony, najpierw przez wychodzących z miasta Sowietów, a następnie przez Niemców, w momencie ich ostatecznego odwrotu na zachód. W rezultacie jedno z najpiękniejszych miast w całej Europie byłoby dziś albo jedną z bezbarwnych, typowo stalinowskich aglomeracji – jak Charków czy Kaliningrad – albo sztucznym, częściowo zrekonstruowanym tworem, jak Warszawa czy Drezno.

Żaden z najobszerniej cytowanych przeze mnie pamiętnikarzy już nie żyje. Dmitrij Lichaczow – młody mediewista, który dowiedział się o inwazji, zażywając kąpieli słonecznych nad brzegiem rzeki – zwieńczył swoją wybitną karierę naukową stanowiskiem dziekana Wydziału Dawnej Literatury Rosyjskiej na Uniwersytecie Leningradzkim; był ponadto wybitnym działaczem na rzecz demokracji w epoce *głasnosti*. Zmarł w 1999 roku, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

Jelena Skriabina, młoda matka, która z mieszanymi uczuciami przyjęła wieści o niemieckiej inwazji, po wojnie wyemigrowała wraz z synami do Ameryki, gdzie została profesorem rusycystyki na Uniwersytecie Iowa. Jej mąż, pozostawiony w Leningradzie, uznając ją za zmarłą podczas ewakuacji, poślubił jej najlepszą, owdowiałą przyjaciółkę.

Anna Ostroumowa-Lebiediewa po wojnie w dalszym ciągu malowała, wciąż też cieszyła się względami oficjalnych czynników, wydając przed śmiercią w 1957 roku trzy tomy swoich mocno ocenzurowanych dzienników.

Maria Maszkowa została zwolniona z Biblioteki Publicznej w trakcie kampanii „przeciwko kosmopolityzmowi", trzy lata później jednak zatrudniła się tam ponownie i pracowała aż do emerytury.

Olga Fridenberg utraciła stanowisko dyrektorskie na Wydziale Filologii Klasycznej Uniwersytetu Leningradzkiego w trakcie kampanii „przeciwko kosmopolityzmowi", a wraz z nim także apetyt na życie, jednak zdołała jeszcze pożyć wystarczająco długo, by doczekać śmierci Stalina oraz dnia przyznania jej kuzynowi, Borisowi Pasternakowi, Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Anna Zielenowa dożyła całkowitej restauracji jej ukochanego pałacu w Pawłowsku, zmarła w roku 1980 podczas wykładu wygłaszanego na jednym z zebrań partyjnych.

Aleksandr Bołdyriew wkrótce po wojnie rozwiódł się, po czym ożenił po raz drugi. Nigdy nie stracił więzi z Ermitażem, a w chwili odejścia na emeryturę miał na swoim koncie ponad sto publikacji naukowych z dziedziny starożytnej literatury perskiej. Zmarł w 1993 roku.

Olga Grieczina uzyskała dyplom Uniwersytetu Leningradzkiego i objęła stanowisko profesora w Instytucie Pedagogicznym imienia Hercena, specjalizując się w aspektach folkloru u Puszkina. Wyszła za mąż i miała dwie córki. Zmarła w roku 2000, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat.

Wiera Inbier wstąpiła do partii i wraz z mężem wróciła do Moskwy. Mimo pokrewieństwa z Trockim nie objęły jej powojenne czystki

i pozostała lojalną członkinią środowiska literackiego aż do swojej śmierci w 1972 roku.

Olga Bergholc załamała się pod wpływem stresu i popadła w alkoholizm, odczuwając paradoksalną nostalgię za intensywnością życia w czasie oblężenia i za związanym z nim poczuciem sensu i celu. Przypadkowe spotkanie w teatrze z byłym śledczym NKWD, który ją kiedyś przesłuchiwał („Poznajecie mnie, Olgo Fiodorowna? Czym mogę wam służyć?"), pomogło jej uwolnić swojego zesłanego do łagrów ojca, który powrócił do Leningradu w 1948 roku, ale zmarł niecały rok później[9]. I choć jej śmierć, w roku 1975, nie została specjalnie odnotowana przez oficjalne media, wieść o niej rozniosła się pocztą pantoflową, wobec czego jej pogrzeb na cmentarzu Wołkowo przyciągnął tysiące zwykłych leningradczyków i zamienił się spontanicznie w uroczystość publiczną.

Wasilij Czekrizow w dalszym ciągu pracował przy budowie statków, dożył dziewięćdziesięciu siedmiu lat. W postscriptum do dziennika z czasów wojny przeklinał „cholernego Borisa [Jelcyna]" za upadek komunizmu.

Oberleutnant Fritz Hockenjos opuścił swoją jednostkę rowerową, by dołączyć do dywizji piechoty SS w Nadrenii, gdzie został pojmany przez Amerykanów. Po dwóch latach spędzonych w obozie jenieckim powrócił do pracy w leśnictwie, był też autorem serii popularnych pieszych przewodników po Schwarzwaldzie.

Leningrad – Petersburg – wciąż jest miastem pełnym melancholii, w którym lśniące fasady domów, jaskrawe barwy sklepowych witryn i nowe okna z PCV nie są w stanie przesłonić zepsutych rynien czy dziko rosnących jaworów w wilgotnych podwórzach na tyłach domów. Podobnie jak w innych niegdysiejszych stolicach czuje się tu nieadekwatność jego monumentalnej architektury: wspaniałych pałaców czy budynków rządowych zamienionych teraz w senne instytuty naukowe czy ciche muzea. Melancholia ta nie ma jednak charakteru tragicznego, lecz nostalgiczny – to raczej widok spadających jesiennych liści albo lekko sypiących się stiuków. Pośród

nawiedzających miasto duchów więcej jest jasnych i wyrazistych postaci fikcyjnych – takich jak księżna Helena o śnieżnobiałych ramionach czy Raskolnikow z siekierą – niż mglistych i niewyraźnych rzesz ludzi z okresu oblężenia. W odróżnieniu od krzykliwej Moskwy nowobogaccy nie rzucają się tu tak bardzo w oczy: księgarń wciąż jest więcej niż butików Versacego, na sali w filharmonii większość stanowią starsze panie w wytartych swetrach, za to z uduchowionym obliczem, studentki zaś wylegające po wykładach nad Mojkę flirtują ze swoimi kolegami, a nie z eleganckimi mężczyznami w stylowych włoskich koszulkach popijającymi kawę za osiem dolarów w barze hotelu „Jewropa". Poczucie pewnego dramatyzmu zapewnia jedynie pogoda: często zmieniające kolory niebo odbija się w równie niespokojnej rzece, śnieg potrafi padać bez końca, grubymi, przesłaniającymi cały świat płatkami, a wiejące od morza wiatry ranią oczy i całkowicie opróżniają ulice miasta.

Ostatnie słowo należy się Lidii Ginzburg, najbardziej analitycznej i prawdopodobnie najbardziej pogodzonej z losem ze wszystkich pamiętnikarzy blokady. Niejednokrotnie w zawoalowany sposób przypomina ona, że nawet po największych tragediach życie płynie dalej. Nowe zastępuje stare, w miejsce nieobecnych przychodzą inni, przeszłość zostaje przykryta i zapomniana. Jest czerwiec, czas białych nocy, a jej anonimowy „Człowiek oblężenia" pracował do późnych godzin i właśnie wychodzi ze swojego biura, w którym siedział przy zamkniętych okiennicach, na Newski Prospekt. Widząc świecące wciąż jasno słońce, którego blask odbija się od mokrych chodników, czuje „jak zwykle zdziwienie" i myśli sobie: „Właśnie to tak bardzo kochają prawdziwi leningradczycy. Ten bezkres, to poczucie nietkniętych rezerw życia, czekających każdego dnia, by po nie sięgnąć".

DODATEK

ILU ZGINĘŁO?[4*]

Łączną liczbę cywilnych ofiar oblężenia Leningradu usiłowano dotąd oszacować za pomocą dwóch różnych metod.

Pierwsza z nich opiera się na oficjalnych rejestrach zgonów. Wykorzystując dane z różnych źródeł: miejskiego centralnego ośrodka pracy, piętnastu dzielnic leżących w obrębie miasta oraz władz lokalnych w nieodległych Kronsztadzie i Kołpinie, powołana w roku 1943 Komisja do Zbadania Potworności Popełnionych przez Faszystowskich Okupantów ustaliła, że w trakcie oblężenia śmierć poniosło 649 tysięcy cywilów, z czego 632 253 zmarło z głodu i od powiązanych z nim chorób, pozostałych 16 747 zaś w bombardowaniach i ostrzałach artyleryjskich. Te właśnie liczby zostały przytoczone przez władze radzieckie podczas procesów norymberskich, a następnie były szeroko rozpowszechniane i cytowane. Ten sam rząd wielkości otrzymujemy, sięgając po statystyki Leningradzkiego Zarządu Pogrzebowego, rządowej agencji odpowiedzialnej za cmentarze i pochówki. Rejestry Zarządu wykazują, że przez jego struktury przewinęło się w okresie czternastu miesięcy (liczonych od początku listopada 1941 roku) około 460 tysięcy zwłok, do których dodać należy kolejnych 228 263 ciał pogrzebanych przez organizację obrony cywilnej (MPWO), co łącznie daje 688 263 pochówki.

Jednak podany przedział 650–690 tysięcy zgonów jest niemal z całą pewnością znacznie niedoszacowany. Wielu zgonów z okresu oblężenia nigdy nie zarejestrowano (według Wydziału Służb Komunalnych w Leningradzie „jedynie znikoma część ludności udawała się do urzędów rejestracyjnych”) albo też rejestrowano je długo po tym, jak do nich doszło. Po wojnie do Komisji wciąż wpływały nowe rejestracje

dotyczące okresu wojennego, ostatnie jeszcze w 1959 roku. Liczby pochodzące z Zarządu Pogrzebowego są równie wątpliwe, o czym świadczyć może wszechobecny chaos na cmentarzach i w kostnicach, jak również fakt, że sam Zarząd nie potrafił przygotować dziennych sprawozdań z liczby odebranych i pochowanych ciał, kiedy nakazała mu to rada miejska pod koniec grudnia 1941 roku.

Historycy próbowali także oszacować liczbę ofiar śmiertelnych metodą porównawczą, to jest przyglądając się spadkowi populacji Leningradu od momentu rozpoczęcia oblężenia do jego zakończenia, przy założeniu, że wszelkie braki, o ile nie ma danych świadczących o czymś przeciwnym, są pochodną śmierci głodowych bądź w bombardowaniach. Kiedy pierścień oblężenia został domknięty, na początku września 1941 roku, liczba cywilnej ludności w mieście oscylowała wokół 2,5 miliona ludzi, włączając w to około 100 tysięcy nowo przybyłych uchodźców. Do końca 1943 roku, a więc niemal w przeddzień wyzwolenia, spadła ona o co najmniej 1,9 miliona, do nie więcej niż 600 tysięcy. W tym czasie około miliona leningradczyków zostało ewakuowanych przez Ładogę, a kolejnych 100 tysięcy mieszkańców wysłano na front, co daje przypuszczalną liczbę zgonów z głodu na poziomie nie mniejszym niż 800 tysięcy ludzi.

Wyliczenia te w ostatnich latach nieco zmodyfikowała demografka Nadieżda Czerepnina, opierając się na zmianach w czasie liczby pozwoleń na pobyt w Leningradzie w omawianym okresie. Jej szacunek – wynoszący 700 tysięcy zgonów – jest wyraźnie niższy, częściowo dlatego że nie uwzględnia ona ani nielegalnie przebywających w mieście, nigdzie niezarejestrowanych ludzi z marginesu społecznego, ani też niezarejestrowanych uchodźców ze wsi.

Należy też wspomnieć, że żadne z powyższych wyliczeń nie obejmuje zgonów na terenach wiejskich leżących w obrębie pierścienia oblężenia ani też dziesiątków tysięcy tych, którzy nie przeżyli ewakuacji Drogą Życia – również na jej dalszych etapach. Jedyną w miarę bezpieczną konstatacją jest zatem ta, iż liczba cywilnych ofiar oblężenia była nie mniejsza niż 650 tysięcy i nie większa niż 800 tysięcy. Jeśli trzeba by podać jakąś pojedynczą liczbę, byłoby to prawdopodobnie około 750

tysięcy, a więc między jedną trzecią a jedną czwartą populacji Leningradu bezpośrednio sprzed oblężenia.

Ofiary wśród cywilów, czerwiec 1941–grudzień 1942

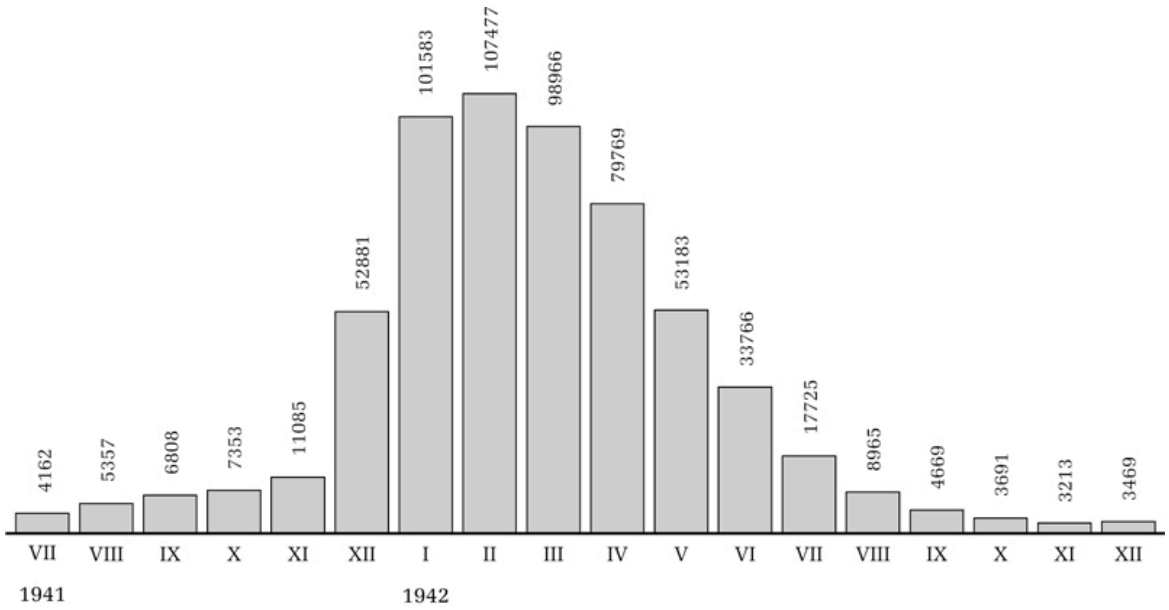

Źródło: Miejskie Biuro Statystyczne, raporty z 31 października 1942 i 15 lutego 1943, w: Dzieniskiewicz, *Leningrad w osadie*, dok. 149 i 151, s. 314 i 316. Liczby oparto na danych urzędów z piętnastu dzielnic Leningradu. Nie obejmują ofiar z Kronsztadu, Kołpina i innych oblężonych miejscowości.

Dzienna racja chleba, w gramach

	1941							1942	
	18 VII	2 VIII	12 IX	1 X	13 XI	20 XI	25 XII	24 I	11 II
Urzędnicy	800	600	500	400	300	250	350	400	500
Robotnicy	600	400	300	200	150	125	200	300	400
Dzieci poniżej 12 roku życia	400	300	250	200	150	125	200	250	300
Żyjący na utrzymaniu	400	300	300	200	150	125	200	250	300

Źródło: Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 79.

BIBLIOGRAFIA

Gerald Kleinfeld, Lewis Tambs, *Hitler's Spanish Legion: The Blue Division In Russia*, Carbondale, 1979.

Jelena Koczina, *Blockade Diary*, tłum. Samuel Ramer, Ann Arbor, 1990.

Lew Kopielew, *No Jail for Thought*, tłum. Anthony Austin, London, 1977.

Natalia Korkonoszenko, *Błokadnicy*, „Leningradskaja panorama" 8 (1991), s. 28.

O.N. Kosogor, A. A. Melua, S. K. Jegorov, red., *Żenszczina i wojna: o roli żenszczin w oboronie Leningrada 1941–1945 – sbornik statiej*, St Petersburg, 2006.

A.W. Kotow, *Legiendarnyj „Newskij Piataczok"*, „Znanije i obszczestwo" 718 (2004), s. 66.

Stanisław Kotow, *Dietskije doma błokadnogo Leningrada*, St Petersburg, 2002.

W.M. Kowalczuk, A. I. Rupasow, A. N. Chistikow, red., *Dożywiom li my do tiszyny? Zapiski iz błokadnogo Leningrada*, St Petersburg, 2009.

— *Ja nie sdamsia do posledniego... Zapiski iz błokadnogo Leningrada*, St Petersburg, 2010.

S.A. Kowalenko, red., *Anna Achmatowa. Sobranije soczinienij w szesti tomach*, Moskwa, 1998–2005.

Jelena Koczina, *Through the Burning Steppe: A Wartime Memoir*, tłum. Wadim Mahmudow, London, 2000.

Natalia Kozłowa, *Sowietskije ludi. Sceny iz istorii*, Moskwa, 2005.

Arnold Krammer, „Spanish Volunteers against Bolshevism: The Blue Division", *The Russian Review*, 32, 4 (October 1973), s. 388.

G.F. Kriwoszejew, red., *Rossia i SSSR w wojnach XX wieka: potieri woorużonnych sił – statisticzieskoje issledowanije*, Moskwa, 2001.

A.S. Kriukowskich, *Leningradskoje opołczenije*, St Petersburg, 2006.

— *Podwig opołczenija* w: *Istorija Rossii: issledowanija i razmyszlenija – sbornik statiej k 90-letiju so dnia rożdienija doktora istoriczieskich nauk Walentina Michajłowicza Kowalczuka*, St Petersburg, 2006.

A.M. Kuchumow, *Pawłowskij dworiec: istorija i sud'by*, St Petersburg, 2004.

Władimir Kulabko, *Błokadnyj dniewnik*, „Newa" 1, 2004, s. 210 (9–20 września 1941).

— „Newa", 2, 2004, s. 235 (30 września 1941–14 stycznia 1942).

— „Newa", 3, 2004, s. 262 (31 stycznia–12 marca 1942).

[Admirał] Nikołaj Kuzniecow, *Nakanunie*, Moskwa, 1989.

Dmitrij Łazariew. *Wospominanija o błokadie D. N. Łazariewa, N. W. Łazariewoj i E.D. Jakubowicz*, „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Peterburga" 5 (2000).

Basil Liddell Hart, *The Other Side of the Hill: Germany's Generals, Their Rise and Fall*, London, 1948.

Dmitrij Lichachow, *Kak my ostalis' żywy*, „Newa" 1, 1991, s. 15.

— *Reflections on the Russian Soul: A Memoir*, tłum. Bernard Adams, Budapest, 2000.

M.I. Lichonow, L. T. Pozina, E. I. Finogenow, *Partijnoje rukowodstwo ewakuacijej w pierwyj pieriod Wielikoj Otieczziestwiennoj Wojny 1941–2*, Leningrad, 1985.

Nikita Łomagin, *Soldiers at War: German Propaganda and Soviet Army Morale during the Battle of Leningrad, 1941–44*, "The Carl Beck Papers in Russian and East European Studies" 1306, Pittsburgh, 1998.

— W *tiszynach gołoda: błokada Leningrada w dokumientach giermanskich spiecsłużb, NKWD*, St Petersburg, 2000.

— *Nieizwiestnaja błokada*, St Petersburg 2004 (dokumenty i komentarze).

— *Nastrojenija leningradcew w zierkale politiczieskogo kontrola w prieddwierii napadienija Giermanii na SSSR* w: E.V. Iljin, red., *Bitwa za Leningrad*.

M.W. Łoskutowa, red., *Pamiat' o błokadie: swidietielstwa oczewidcew i istoriczieskoje soznanije obszczestwa – matieriały i issledowanija*, St Petersburg, 2005.

W.E. Łowiagina, red., *Błokadnyj dniewnik: żywopis' i grafika błokadnogo wriemieni* (katalog wystawy, Gosudarstwiennyj Muziej Istorii Sankt-Peterburga), St Petersburg, 2005.

John Lukacs, *June 1941: Hitler and Stalin*, New Haven, 2006.

Eino Luukkanen, *Fighter over Finland*, tłum. Mauno A. Salo, London, 1963.

Curzio Malaparte, *The Volga Rises in Europe*, tłum. David Moore, London, 1957.

Maria Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej* [w:] *W pamiat' uszedszych i wo sławu żywuszczich: pis'ma czitatielej s fronta; dniewniki i wospominanija sotrudnikow Publicznoj Bibliotieki 1941–1945*, St Petersburg, 1995.

A.N. Masłowa, red., *Publicznaja Bibliotieka w gody wojny, 1941–1945*, St Petersburg, 2005.

Suzanne Massie, *Pavlovsk: The Life of a Russian Palace*, Boston, 1990.

Evan Mawdsley, *Thunder in the East: the Nazi-Soviet War 1941–1945*, London, 2007.

Mark Mazower, *Hitler's Empire: Nazi Rule in Occupied Europe*, London, 2008.

G.S Mielnik, G.W. Żyrkow, red. *Radio, błokada, Leningrad*, St Petersburg, 2005.

[Marszałek] Kiril Miereckow, *Serving the People*, Moskwa, 1971.

— *Niekolebimo, kak Rossija*, Moskwa, 1965.

Catherine Merridale, *Night of Stone: Death and Memory in Russia*, London, 2000.

— *Ivan's War: The Red Army 1939–45*, London, 2005.

O.I. Mołkina, *Niemcy w kolce błokady* w: *Istorija Peterburga*, 3, 2006.

Xavier Moreno Juliá, *La División Azul: Sangre Espanola en Rusia, 1941–1945*, Barcelona, 2006.

William Moskoff, *The Bread of Affliction: The Food Supply in the USSR during World War II*, Cambridge, 1990.

Elliott Mossman, red., *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg, 1910–1954*, tłum. Elliott Mossman, Margaret Wetlin, London, 1982.

Roger Munting, *Soviet Food Supply and Allied Aid in the War, 1941–1945*, „Soviet Studies: 36, 4 (October 1984), s. 582.

Rimma Neratowa, *Żyzn' w leningradskoj błokade*, „Zwiezda" (1996).

Lynn Nicholas, *The Rape of Europe: The Fate of Europe's Treasures in the Third Reich and the Second World War*, London, 1994.

Władimir Nikitin, red., *Nieizwiestnaja błokada/Unknown Blockade. Leningrad 1941–1944*, St Petersburg, 2009.

N.N. Nikulin, *Wospominanija o wojnie*, St Petersburg, 2008.

Jurij Nikulin, *Zapiski sołdata*, „Zwiezda" 6, 2001, s. 108.

Geraldine Norman, *The Hermitage: The Biography of a Great Museum*, London, 1997.

Anna Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzieskije zapiski. Leningrad w błokadie*, Moskwa 2003.

Richard Overy, *Russia's War*, London, 1998.

Dmitrij Pawłow, *Leningrad 1941: The Blockade*, tłum. John Adams, Chicago, 1965.

Siobhan Peeling, *Dirt, disease and disorder: population re-placement in postwar Leningrad and the "danger" of social contamination* w: Nick Brown, Peter Gatrell, red., *Warlands: Population Resettlement and State Reconstruction in Soviet Eastern Europe, 1945–1950*, London, 2009.

— *„Out of Place" in the Postwar City: Practices, Experiences and Representations of Displacement during the Resettlement of Leningrad at the end of the Blockade*, niepublikowana praca doktorska, University of Nottingham.

Nina Perlina, *Olga Fridenberg's Works and Days*, Bloomington, 2002.

Wiktor Peterson, *Skoriej by było tiepło!*, „Newa" 1, 2001, s. 167.

— *Iz błokady – na Bolszuju Ziemlu*, „Newa" 9, 2002, s. 152.

Albert Pleysier, Swietłana Magajewa, *Surviving the Blockade of Leningrad*, Lanham, 2006.

Konstantin Płotkin, *Holokaust u stien Leningrada*, St Petersburg, 2005.

Hartwig Pohlman, *Wolchow: 900 Tage Kampf um Leningrad*, Bad Nauheim, 1962.

K.W. Połzikowa-Rubiec, *Oni uczilis' w Leningradie: dniewnik uczitielnicy*, Moskwa, 1948.

— *Dniewnik uczitiela błokadnoj szkoły: 1941–1946*, St Petersburg, 2000.

Nikołaj Punin, *Dniewnik*, „Zwiezda" 1, 1994, red. Irina Punina.

Sidney Monas, Jennifer Greene Krupala, red., *The Diaries of Nikolay Punin, 1904–53*, Austin, 1999.

Semion Putiakow, *Dniewnik krasnoarmiejca* [w:] Stanisław Bierniew, Siergiej Czernow, red., *Archiw Bolszogo Doma: błokadnyje dniewniki i dokumienty*, St Petersburg, 2007.

Aileen Rambow, *Überleben mit Worten: Literatur und Ideologie während der Blockade von Leningrad, 1941–1944*, Berlin, 1994.

— *The Siege of Leningrad: Wartime Literature and Ideological Change* w: Robert Thurston, Bernd Bonwetsch, red., *The People's War: Responses to World War Two in the Soviet Union*, Urbana, 2000.

Lazar Ratner, *Dwa błokadnych epizoda*, „Newa": 1, 2001, s. 151.

Donald Rayfield, *Stalin and his Hangmen*, London, 2005.

Roberta Reeder, red., *The Complete Poems of Anna Akhmatova*, tłum. Judith Hemschemeyer, Edinburgh, 1992.

— *Anna Akhmatova: Poet and Prophet*, London, 1995.

Irina Rieznikowa (Flige), *Riepriessii w pieriod błokady Leningrada*, „Wiestnik *Miemoriała"* 4/5 (10/11), 1995.

Andrew Roberts, *Masters and Commanders: How Roosevelt, Churchill, Marshall and Alanbrooke Won the War in the West*, London, 2008.

Aleksandr Rubaszkin, *Gołos Leningrada. Leningradskoje Radio w dni błokady*, St Petersburg, 2005.

Harrison Salisbury, *The 900 Days: The Siege of Leningrad*, London, 1969.

— *Disturber of the Peace: Memoirs of a Foreign Correspondent*, London, 1989.

Simon Sebag Montefiore, *Stalin: The Court of the Red Tsar*, London, 2003.

Inessa Seliwanowa, red., *Riadowoj błokadnoj epopiei chudożnik Wasilij Seliwanow*, St Petersburg, 2005.

W.N. Seliwanow, *Stojali, kak sołdaty. Błokada, dieti, Leningrad*, St Petersburg, 2002.

Gita Sereny, *Albert Speer: His Battle with the Truth*, London, 1995.

A.A. Szyszkin, red., *Zabwieniju nie podleżyt.: Statji, wospominanija, dokumienty*, 5–6, St Petersburg, 2005–2006.

M.W. Szkarowskij, *Iskriennij priwiet ot Stalina. Religioznaja żyzn' błokadnogo Leningrada*, „Rodina" 1, 2003.

Religioznaja żyzn' błokadnogo Leningrada po nowym dokumientalnym istocznikam [w:] E.W. Iljin, *Bitwa za Leningrad. Problemy sowriemiennych issledowanij*, St Petersburg,

2007.

Dmitri Shostakovich, *Story of a Friendship: The Letters of Dmitry Shostakovich to Isaak Glikman, 1941–1975, with a commentary by Isaak Glikman*, tłum. Anthony Phillips, London, 2001.

Harold Shukman, red., *Stalin's Generals*, London, 1993.

— *Stalin and the Soviet-Finnish War 1939–40*, London, 2002.

Jelena Szulgina, *W dwadcat' let oni posiedieli*, „Smiena" 7, maj 1995.

Jewgienij Szwarc, *Żywu biespokojno... Iz dniewnikow*, Leningrad, 1990.

Cynthia Simmons, Nina Perlina, red., *Writing the Siege of Leningrad: Women's Diaries, Memoirs and Documentary Prose*, Pittsburgh, 2002.

W.B Simonienko, S.W. Magajewa, M.G. Simonienko, J.W. Pachomowa, *Leningradskaja błokada. Medicinskije problemy – rietrospiektiwa i sowriemiennost'*, Moskwa, 2003.

Jelena Skriabina, *Siege and Survival: The Odyssey of a Leningrader*, tłum. Norman Luxenburg, Carbondale, 1971.

Ronald Smelser, Edward Davies, *The Myth of the Eastern Front: The Nazi-Soviet War in American Popular Culture*, Cambridge, 2008.

Boris Sokołow, *W plenu i na rodinie*, St Petersburg, 2004.

Nikołaj Sokołow, *Tiopłaja wanna dla biegiemota. Zoosad w gody wojny*, „Rodina" 1, 2003.

Nikołaj Sotnikow, *W błokadnyj gorod jechał... cyrk!*, „Newa" 6, 2002, s. 222.

Pär Sparén et al., *Long term mortality after severe starvation during the siege of Leningrad: prospective cohort study*, „British Medical Journal" 328 (January 2004), s. 11.

Albert Speer, *Inside the Third Reich: Memoirs*, London, 1970.

— *The Slave State: Heinrich Himmler's Masterplan for SS Supremacy*, tłum. Joachim Neugroschel, London, 1981.

Michaił Steblin-Kamienski, *The Siege of Leningrad*, [w:] „Granta" 30, „New Europe!" (April 1990).

Richard Stites, red., *Culture and Entertainment in Wartime Russia*, Bloomington, 1995.

Raszim Telaszkow, *Tatary w Wielikoj Otiecziestwiennoj Wojnie i błokadie Leningrada*, St Petersburg, 2005.

Hugh Trevor-Roper, red., *Hitler's Table Talk, 1941–1944*, tłum. Norman Cameron, R. H. Stevens, London, 1953.

— *Hitler's War Directives, 1938–1945*, London, 1964.

Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Peterburga, vol. 5, *Matieriały k istorii błokady Leningrada*, St Petersburg, 2000.

— t. 8, Wasilij Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wriemieni*, St Petersburg, 2004.

N. Tumarkin, *The Living and the Dead: The Rise and Fall of the Cult of World War II in Russia*, New York, 1994

Hubert van Tuyll, *Feeding the Bear: American Aid to the Soviet Union, 1941–1945*, New York, 1989.

A.Z. Wakser, *Nastrojenija leningradcew posle wojennogo wriemieni 1945–1953 gody*, „Nestor" 1, 5, 2001.

— *Leningrad poslewojennyj, 1945–1982 gody*, St Petersburg, 2005.

Sergiej Warszawski, Boris Rest, *Ordeal of the Hermitage*, tłum. Arthur Szkarowsky, New York, 1986.

— *Podwig Ermitaża*, Leningrad, 1987.

M.N. Weliczenko et al., red., *Leningradskij tramwaj 1941–1945*, St Petersburg, 1995.

Verbrechen der Wehrmacht: Dimensionen des Vernichtungskrieges 1941–1944, (Austellungskatalog, Hamburger Institut für Sozialforschung), Hamburg, 2002.

Aleksiej Winokurow, *Błokadnyj dniewnik*, [w:] Stanisławv Bernew, Siergiej Czernow, red., *Archiw Bolszogo Doma. Błokadnyje dniewniki i dokumienty*, St Petersburg, 2007.

Galina Wiszewska, *Galina. A Russian Story*, San Diego, 1984.

Dmitrij Wołkogonow, *Stalin: Triumph and Tragedy*, tłum. Harold Szukman, London, 1991.

Solomon Wołkow, *St Petersburg: A Cultural History*, New York, 1995.

— *Testimony: The Memoirs of Dmitri Shostakovich*, London, 1979.

N.L. Wołkowski, *Błokada Leningrada w dokumientach rassiekriecziennych archiwow*, Moskwa i St Petersburg, 2005.

Tatiana Woronina, I. E. Gusincewa, W. W. Kalendarowa, *Błokada głazami oczewidcew. Intierwiu s żytielami Leningrada 1940-ch godow*, „Nestor" 6, 2003, s. 37.

Tatiana Woronina, Ilija Uteczin, *Riekonstrukcija smysła w analizie intierwiu: tiematiczeskije dominanty i skrytaja polemika* w: M. W. Łoskutowa, red., *Pamiat' o błokadie. Swidietielstwa oczewidcew i istoriczieskoje soznanije obszcziestwa*, St Petersburg, 2005.

A. Wojewodskaja, *Czietyrie goda żyzni, czietyrie goda mołodosti*, St Petersburg, 2005.

Alexander Werth, *Moscow '41*, London, 1942.

— *Leningrad*, London, 1944.

— *Russia at War, 1941–1945*, London, 1964.

Elizabeth Wilson, *Shostakovich: A Life Remembered*, London, 1994.

Sergiej Jarow, *Rasskazy o błokadie. Struktura, ritorika i stil*, „Nestor" 6, 2003, s. 422.

Anna Zelenowa, *Statji, wospominanija, pis'ma. Pawłowskij dworiec, istorija i sud'ba*, St Petersburg, 2006.

Żenszczziny Leningrada w gody błokady (Tezisy naucznoj konfieriencji 10–11 marta 2005 g.), St Petersburg, 2005.

Iwan Żylinskij, *Błokadnyj dniewnik*, „*Woprosy istorii*" 5, 1996, s. 5 (21 grudnia 1941–15 stycznia 1942).

— „Woprosy istorii", 5–6, 1996, s. 3 (16–30 stycznia 1942).

— „Woprosy istorii", 5–7, 1996, s. 3 (31 stycznia–31 marca 1942).

Georgij Żukow, *Marshal of the Soviet Union G. Zhukov: Reminiscences and Refl ections*, tłum. Vic Schneierson, Moscow, 1985.

D.A. Żurawlew, *Frontowik w tyłu. Kontrol za nastrojenijami wojennosłużaszczich w leningradskich gospitalach wo wremia sowietsko-finlandskoj wojny 1939–1940 gg*, „Nestor" 6, 2003, s. 402.

ARCHIWA

Petersburg:

Oral History Center, European University at St Petersburg (Błokada w sud'bach i pamiati leningradcew).

Centralnyj Gosudarstwiennyj Archiw Istoriko-Politiczieskich Dokumientow Sankt-Peterburga (TsGAIPD SPb).

Centralnyj Gosudarstwiennyj Archiw Kinofotofonodokumientow Sankt-Peterburga (TsGAKFFD SPb).

Moskwa:

Gosudarstwiennyj Archiw Rossijskoj Fiedieracii (GARF).

Rossijskij Gosudarstwiennyj Archiw Litieratury i Isskustwa (RGALI).

Rossijskij Gosudarstwiennyj Archiw Socialnoj i Politiczieskoj Istorii (RGASPI).

Rossijskij Gosudarstwiennyj Wojennyj Archiw (RGVA).

Centralnyj Archiw Ministierstwa Oborony (TsAMO).

Inne miasta:

Bakhmeteff Archive of Russian and East European Culture, Columbia University.

BBC Written Archives Centre, Caversham.

Bundesarchiv-Militärarchiv, Freiburg.

Hoover Institution Archives, Stanford University.

Widener Library, Harvard University (Harvard Project on the Soviet Social System).

BIBLIOGRAFIA POLSKOJĘZYCZNA

Aleś Adamowicz, Daniił Granin, *Księga blokady*, Warszawa 1982.

Aleś Adamowicz, Daniił Granin, *Księga blokady*, Warszawa 1988 [wyd. 1 pełne].

Aleś Adamowicz, Daniił Granin, *W oblężonym Leningradzie. Dramatyczne wspomnienia*, Warszawa 2011.

Anne Applebaum, *Gułag*, Warszawa 2011.

Anthony Beevor, *Stalingrad*, Kraków 2008.

Olga Bergholc, *Tu mówi Leningrad*, Warszawa 1966.

Olga Bergholc, *Zakazany dziennik*, [w:] *Oblężone*, red. Agnieszka Knyt, Warszawa 2011.

Winston Churchill, *Druga wojna światowa*, Gdańsk 1994–1996.

Milowan Dżilas, *Rozmowy ze Stalinem*, Warszawa 1983.

Lidia Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, red. Agnieszka Knyt, Warszawa 2011.

Wasilij Grossman, *Życie i los*, Warszawa 2011.

Wasilij Grossman, *Pisarz na wojnie. Wasilij Grossman na szlaku bojowym Armii Czerwonej 1941–1945*, oprac. Anthony Beevor i Luba Winogradowa, Warszawa 2006.

Wiera Inber, *Oblężone miasto*, Warszawa 1953.

Jelena Koczina, *Dziennik czasu blokady*, [w:] *Oblężone*, red. Agnieszka Knyt, Warszawa 2011.

Evan Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, Kraków 2009.

Catherine Merridale, *Wojna Iwana. Armia Czerwona 1939–1945*, Poznań 2007.

Simon Sebag Montefiore, *Stalin. Dwór czerwonego cara*, Warszawa 2004.

Witold Pronobis, *Polska i Świat w XX wieku*, Warszawa 1990.

Oblężone, red. Agnieszka Knyt, Warszawa 2011.

Donald Rayfield, *Stalin i jego oprawcy*, Warszawa 2009.

Catherine Scott-Clark, Adrian Levy, *Bursztynowa komnata*, Poznań 2005.

Galina Wiszniewska, *Galina. Historia mojego życia*, Poznań 2000.

Dmitrij Wołkogonow, *Stalin. Wirtuoz kłamstwa, dyktator myśli*, Warszawa 2006.

Gieorgij Żukow, *Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 1970.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo wielu ludzi służyło mi pomocą przy tworzeniu tej książki. Po pierwsze, muszę podziękować mojemu agentowi Peterowi Robinsonowi, a także moim wydawcom – Billowi Swainsonowi, George'owi Gibsonowi i Ludger Ikas za pozyskanie i udostępnienie mi funduszy, dzięki którym mogłam pracować nad nią przez czas znacznie przekraczający trwanie samego oblężenia, to jest 872 dni. Wydarzeń tej skali, jakim była blokada Leningradu, nigdy nie da się opisać w sposób wyczerpujący, ja jednak miałam to szczęście, że dano mi i czas, i środki, by choć podjąć taką próbę.

Po drugie, moje najszczersze podziękowania należą się pięciu uczonym, którzy poświęcili swój cenny czas i kosztem własnych projektów naukowych wsparli moje dociekania. Są to: dr Tatiana Woronina z Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu, Maria Swiczeńska z rosyjskiej Biblioteki Narodowej, dr Luba Winogradowa, Paweł Rakitin z Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego oraz Michelle Miles z Albert-Ludwigs-Universität we Fryburgu. Poza przeczesywaniem rosyjskich i niemieckich archiwów wszyscy oni służyli mi radą i wsparciem, a wreszcie także życzliwą opinią na temat moich kolejnych pomysłów i koncepcji. Równie cierpliwe i wnikliwe okazały się Masza Bozunowa, Masza Jeremienko, Masza Kamińska, dr Jelena Chlinowska-Rockhill oraz Sofia Savage, które ponadto pomogły mi przełożyć dziesiątki opasłych tomów ustnych historii i dzienników z czasów oblężenia. Wszelka wartość, jaką posiada ta książka, jest zatem w dużej mierze zasługą ich wszystkich.

Miałam również to niezmierne szczęście, że zachęcali mnie do pracy koledzy historycy, pośród których wspomnieć należy zwłaszcza dr. Siergieja Jarowa i dr. Aleksandra Czistikowa z petersburskiego oddziału Rosyjskiej Akademii Nauk. Obaj oni niezwykle hojnie służyli mi swoim czasem i fachowością, wyjaśniając moje niezliczone wątpliwości i kierując moją uwagę na najnowsze dyskusje i publikacje. Niemiecki

ogląd oblężenia fascynująco objaśniali mi prof. Ulrich Herbert i dr Cornelia Brink z Fryburga. W Londynie natomiast profesorowie Orlando Figes i David Kirby, Simon Sebag Montefiore, a zwłaszcza Antony Beevor – *wielikij wożd* dla wszystkich, którzy trafili na Front Wschodni – służyli mi swoją wiedzą i kontaktami, a także wnosili nieco ożywienia w z natury długi i żmudny proces samego pisania. Podobnie pomocna była Judith Flanders, która znalazła czas w pracy nad własnymi książkami, by zająć się także moją i umiejętnie przykrawać ostateczną wersję rękopisu do właściwego kształtu. Wprowadzenie ostatnich poprawek ułatwił mi sokoli wzrok Richarda Collinsa, Anny Simpson z Bloomsbury i Bernda Rullkottera, tłumacza niemieckiej edycji książki.

Nieocenioną pomoc w postaci udostępniania własnych materiałów i odsyłania wyczerpujących odpowiedzi na pojawiające się znienacka maile okazali mi także Galina Afanasjewa z petersburskiego zoo, Marion Beaton z Biblioteki Mitchella w Glasgow, Meriel Buxton, Felicity Cave, dr Robert Dale z Uniwersytetu w Newcastle, dr Alan Dangour, George Edgar, Olga Fiłoczika z Muzeum Historycznego w Sankt Petersburgu, Irina Flige z petersburskiego oddziału Memoriału, Aleksandr Frenkel z Ośrodka Społeczności Żydowskiej w tym mieście, Deborah Hodgkinson, Virta Kaija z *Helsingin Samomat*, Olga Kałasznikowa z Radio Bałtika, dr Nikita Łomagin i dr Jekaterina Mielnikowa z Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu, dr Chiara Mayer-Rieckh, Giles Milton, Jurij Nagowicyn z Obserwatorium w Pułkowie, Catriona Oliphant, dr Władimir Osiński z Uniwersytetu Państwowego w Sankt Petersburgu, dr Siobhan Peeling z Uniwersytetu w Nottingham, Galina Retrowska z petersburskiej Filharmonii, Natalia Rogowa z rosyjskiej Biblioteki Narodowej, Olga Smirnowa i Renata Tairbekowa z redakcji zagranicznej BBC, dr Alexandra Smith z Uniwersytetu w Edynburgu, Tim Tzouliadis, Ludmiła Woronichina z Ermitażu, Nicolas Werth z paryskiego Institut d'Histoire du Temps Present, Stephanie Williams, dr Emma Wilson i Dymitr Żurawliew z petersburskiego Muzeum Medycyny Wojskowej.

Władimir Nikitin z wydziału dziennikarstwa petersburskiego Uniwersytetu Państwowego udzielił mi nieocenionej pomocy przy

dotarciu do zdjęć wykorzystanych jako ilustracje w tej książce, z których wiele pojawiło się po raz pierwszy w jego przełomowym zbiorze zatytułowanym *Nieznana blokada*. Galina Stoliarowa z *St Petersburg Times* ułatwiła mi pierwsze kroki w jej przepięknym mieście podczas moich kilku pierwszych w nim wizyt, a przy tym zdobyła dla mnie mnóstwo dziennikarskich wejściówek do zachwycającego Teatru Maryjskiego. Siergiej Zagacki pokazał mi oryginał dziennika z czasów oblężenia prowadzonego przez jego babkę, Klarę Rachman, a także zorganizował jego przepisanie w formie maszynopisu. Sasza Orłow z organizacji „Poisk" obwoził i oprowadzał mnie po polach bitewnych pod Miasnym Borem, a Aleksandr Osipow zorganizował dla mnie wyjazd do Newskiego Piataczoka. (Stworzone przezeń od A do Z okolicznościowe muzeum można obejrzeć w pomieszczeniu nad sklepem w miejscowości Newskaja Dubrowka). W Anglii kapitan Geoffrey Palmer w przezabawny sposób wspominał lata spędzone w czasie wojny w Brytyjskiej Misji Wojskowej w Moskwie, podziękowania za to kieruję do wdowy po nim, Angeliny Palmer. Lubow Dworacka wytrwale pracowała nad moim rosyjskim, a Robert Chandler wprowadził mnie do internetowego forum SEELANGS, którego członkowie dostarczyli mi wielu użytecznych wskazówek i sugestii. Posłanka Gisela Stuart pozytywnie rozpatrzyła prośbę ze strony działającego na rzecz wyjaśniania historii i obrony praw człowieka towarzystwa Memoriał, przedstawiając na forum Izby Gmin stosowne zapytanie do premiera. Personel Biblioteki Londyńskiej oraz biblioteki Szkoły Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich był jak zwykle niezwykle pomocny i kompetentny; równie użyteczny okazał się też jedyny w swoim rodzaju antykwariat Johna Sandoe.

Najbardziej utkwiły mi w pamięci wywiady z ocalałymi weteranami oblężenia. Daniił Alszyc, Irina Iwanowa (z domu Bogdanowa), Igor Kruglakow, Angielina Kupajgorodska i Galina Siemienowa zgodzili się opowiedzieć mi w szczegółach ten straszny okres w swoim życiu, za co należy im się z mojej strony pełna szacunku wdzięczność i olbrzymi podziw. Jestem także dłużniczką rodzin Bogdanowa-Berezowskiego, Hockenjosa i Starodubcewej za zezwolenie mi na zamieszczenie w tej książce fragmentów niepublikowanych dzienników znajdujących się

w ich posiadaniu. Na końcu, choć nie w hierarchii ważności, pragnę podziękować mojemu mężowi Charlesowi Lucasowi oraz naszym ukochanym synom Edwardowi i Bertiemu, którym zadedykowałam tę książkę. Bez nich przeczytałabym zapewne więcej, ale zrozumiałabym mniej.

ŹRÓDŁA FOTOGRAFII

Centralne Państwowe Archiwum Kinofotofonodokumentów w Sankt Petersburgu: s. 44, 81, 122–123, 136, 203, 212, 217, 257, 318–319, 384–385, 390, 443, 476, 487, 521, 532–533, 542, 548–549

Narodowe Archiwum Cyfrowe: s. 64–65, 69, 76, 100, 151, 164–165, 182, 198–199, 276–277, 289, 446, 453

Ria Novosti/EastNews: s. 220, 499–500

AKG/EastNews: s. 414–415

Fotografie pochodzące z wydania oryginalnego: s. 248, 344–345, 370–371

PRZYPISY

WPROWADZENIE

[1] O. Bergholc, *Tragiedija mojego pokolenija*, „Litieraturnaja gazieta", 18 lipca 1990, s. 5.

[2] E. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, Kraków 2009, s. 288. Śmiertelność pośród żołnierzy radzieckich wziętych do niewoli przez nazistów szacowana jest na jeszcze wyższą, bo wynoszącą aż 55 procent.

[3] Profesor Ulrich Herbert, wywiad z autorką, Freiburg, kwiecień 2008 r.

[4] „The Times", 19 stycznia 1943 r.

[5] Kapitan Geoffrey Palmer, wywiad z autorką, Sherborne, lipiec 2007 r. Kapitan Palmer, który niestety zmarł przed ukończeniem tej książki, był prawdopodobnie ostatnim Anglikiem, który osobiście spotkał Stalina. Wedle jego opisu przypominał on „dobrodusznego sklepikarza; kogoś, kto byłby dobrym ojcem chrzestnym dla twojego dziecka. Patrzył ci prosto w oczy, ale po chwili uświadamiałeś sobie, że w rzeczywistości przewierca cię wzrokiem. Było to dość niesamowite".

[6] Pamiętnikarka Wiera Inbier opisuje swoją wizytę w tym muzeum w dniu lądowania aliantów w Normandii, zob. jej *Leningrad Diary*, s. 204. Wywiad z kuratorem ponownie otworzonego muzeum w: *Writing the Siege of Leningrad: Women's Diaries, Memoirs and Documentary Prose*, red. C. Simmons i N. Perlina, Pittsburgh 2002, s. 170. Zob. też: L. Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad, 1941–1995: Myth, Memories and Monuments*, Cambridge 2006, s. 144. Książka ta jest fascynującą analizą sposobów upamiętniania oblężenia aż po dzień dzisiejszy, swoistą „opowieścią o opowieściach o oblężeniu", jak określa to sama Kirschenbaum.

[7] A. Applebaum, *Gułag*, Warszawa, 2011, s. 22.

[8] Zob. S. Jarow, *Rasskazy o błokadie: struktura, ritorika i stil*, „Nestor" 2003, nr 6, s. 422.

INWAZJA. CZERWIEC–WRZESIEŃ 1941

[1] L. Chukowskaja, *The Akhmatova Journals*, t. 1, 1938–1941, London 1994, s. 40.

1. 22 CZERWCA 1941

[2] D. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul: A Memoir*, Budapest 2000, s. 215.

[3] J. Skriabina, *Siege and Survival: the Odyssey of a Leningrader*, Carbondale, Illinois 1971, s. 3.

[4] A. Adamowicz, D. Granin, *Księga blokady*, Warszawa 1988, s. 259–260.

[5] *Khrushchev Remembers*, red. E. Crankshaw, London 1971, s. 135.

[6] *Stalin's Generals*, red. H. Shukman, London 1993, s. 2, 319–320.

[7] S. Wolkow, *St. Petersburg*, New York 1995, s. 425.

[8] G. Kułagin, *Dniewnik i pamiat': o pierieżyt'om w gody błokady*, Leningrad 1978, s. 17.

[9] *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg, 1910–1954*, red. E. Mossman, London 1982, s. 203.

[10] E. Mawdsley *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 9.

[11] J. Erickson, *Road to Stalingrad: Stalin's War with Germany*, London 1975, t. 1, s. 105.

[12] D. Wołkogonow, *Stalin. Wirtuoz kłamstwa, dyktator myśli*, Warszawa, 2006, s. 505. E. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 41 nn.

[13] *Hitler's Table Talk 1941–1944*, red. H. Trevor-Roper, London 1953, s. 24.

[14] *The Halder War Diary 1939–1942*, red. Ch. Burdick i H.-A. Jacobsen, London 1988, s. 313.

[15] E. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 12. A. Beevor, *Stalingrad*, Kraków 2008, s. 25 nn. M. Mazower, *Hitler's Empire: Nazi Rule in Occupied Europe*, London 2008, s. 142, 147.

[16] Feldmarszałek von Kleist, [w:] B. L. Hart, *The Other Side of the Hill: Germany's Generals, their Rise and Fall*, London 1948, s. 182.

2. BARBAROSSA

[1] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 4.

[2] *Leningrad w osadie. Sbornik dokumientow o gieroiczeskoj oboronie Leningrada w welikoj otoczestvennoj wojny 1941–1944*, red. A. Dzieniskiewicz, Petersburg 1995, dok. 197, s. 466.

[3] R. Bidlack, *The Political Mood in Leningrad during the First Year of the Soviet–German War*, „The Russian Review", styczeń 2000, nr 59, s. 99.

[4] *Leningrad w osadie*, dok. 197, s. 466.

[5] Wywiad z Lubą Winogradową, Moskwa 2007.

[6] A. Dzieniskiewicz, *The Social and Political Situation in Leningrad in the First Months of the German Invasion: the Social Psychology of the Workers*, [w:] *The People's War: Responses to World War II in the Soviet Union*, red. R. Thurston i B. Bonwetsch, Urbana 2000, s. 78.

[7] L. Ginzburg, *Czełowiek za piśmiennym stołom*, Leningrad 1989, s. 579.

[8] *Ibidem*, s. 91.

[9] O. Bergholc, przeł. A. Czendlik, H. Salisbury, *The 900 Days: the Siege of Leningrad*, London 2000, s. 121–122.

[10] L. Gouré, *The Siege of Leningrad*, Stanford, Kalifornia 1962, s. 59.

[11] *Leningrad w osadie*, dok. 197, s. 151.

[12] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 10–11 (1 lipca 1941 r.).

[13] O.I. Mołkina, *Niemcy w kolce błokady*, „Istorija Pietierburga" 2006, t. 3, s. 62–64.

[14] Liczby te zaczerpnięto z dwóch dokumentów NKWD. Pierwszy, znajdujący się w zbiorze dokumentów zredagowanym przez Dzieniskiewicza pt. *Leningrad w osadie* (s. 442, z 1 października 1942 r.), podaje łączną liczbę 58 210 Finów i Niemców deportowanych do tamtej pory. Drugi, ze zbioru dokumentów pod redakcją Nikity Łomagina pt. *Nieizwiestnaja błokada* (t. 2, s. 37, z 4 kwietnia 1942 r.), zawiera łączną liczbę 35 162 Finów i Niemców deportowanych w drugiej połowie poprzedniego miesiąca. Deportacje z marca 1942 r. dotyczyły głównie miasteczek i wsi wokół Leningradu.

[15] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 37–39.

[16] *Leningrad w osadie*, s. 441–442. *The Soviet Home Front 1941–1945*, red. J. Barber i M. Harrison, London 1991, s. 66. O. Figes, *The Whisperers: Private Lives in Stalin's Russia*, London 2007, s. 385–386.

[17] Rada Komisarzy Ludowych zarządziła powszechną mobilizację dopiero 2 lipca (Gouré, s. 38).

[18] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 22. Salisbury, *The 900 Days*, s. 168.

[19] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 261–262.

[20] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 220.

[21] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 255–256.

[22] Przez cały okres stalinowski zaskakująco skuteczną metodą umykania uwadze miejscowych służb bezpieczeństwa było czasowe zmienianie miejsca zamieszkania. Służby te bowiem często bardziej zajmowała konieczność wypełnienia narzucanych im kwot aresztowań aniżeli tożsamość samych aresztowanych. Lidia Czukowska, przyjaciółka i osobista sekretarka Anny Achmatowej, uniknęła czystek

z 1937 r., przenosząc się po prostu do Kijowa, gdzie zamieszkała u swoich teściów. „Jesteś niczym szklanka, która wtoczyła się pod ławkę podczas wybuchu w sklepie z porcelaną" – powiedziała wówczas Achmatowa.

[23] A. Werth, *Russia at War 1941–45*, London 1964, s. 162–167.

[24] *Ibidem*, s. 184.

[25] A. Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski: Leningrad w błokadie*, Moskwa 2003, s. 250.

[26] D. Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, Kansas 2002, s. 30–31.

[27] E. Luukkanen, *Fighter over Finland*, London 1963, s. 116. Salisbury, *The 900 Days*, s. 106.

[28] RGVA: Fond 32904, opis 1, d. 81, s. 28.

[29] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 35, 37.

[30] J. Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 3 i 9 lipca 1941, [w:] *Oblężone*, red. Agnieszka Knyt, Warszawa 2011, s. 17.

[31] *A Writer at War: Vasiliy Grossman with the Red Army 1941–1945*, red. A. Beevor i dr L. Winogradowa, London 2005, s. 9. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 68.

[32] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 13–15.

[33] Wywiad z autorką, Petersburg, wrzesień 2008.

[34] RGVA: Fond 32904, opis 1, d. 79, s. 58, 86.

[35] *A Writer at War*, s. 41.

[36] RGASPI: Fond 77, opis 4, d. 48, s. 11–20.

[37] *The Halder War Diary 1939–1942*, s. 445–446, 3 lipca 1941.

[38] S. Sebag Montefiore, *Stalin: the Court of the Red Tsar*, London 2003, s. 328. R. Overy, *Russia's War*, Londyn 1997, s. 81, Salisbury, *The 900 Days*,

s. 105.

[39] TsAMO: Fond 96a, opis 1711, d. 24, s. 24–25. Cytowane też w: D. Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 42–43.

[40] Zob. np. 9. Pskowski Oddział Graniczny NKWD z 3 lipca 1941 r. RGVA: Fond 32904, opis 1, d. 79, s. 88.

[41] S. Sebag Montefiore, *Stalin*, s. 338. G. Jukes, [w:] *Stalin's Generals*, red. Harold Shukman, London 1993, s. 129.

[42] *Stalin's Generals*, s. 313, 320. Generał Alan Brooke, szef brytyjskiego Sztabu Generalnego JKM, siedział tuż obok Woroszyłowa na kolacji podczas konferencji w Moskwie w sierpniu 1942 roku. Ocenił go jako „serdecznego i dziarskiego starego wiarusa, chętnego do rozmowy o wszystkim z dużym zaangażowaniem", ale ze znajomością wojskowości na poziomie „dziecka".

[43] Salisbury, *The 900 Days*, s. 112, 282, 322, 404. Zob. też: E. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 166.

[44] *The Halder War Diary 1939–1942*, s. 458–459, 446–447.

3. „NASI BIJĄ, A NIEMCY BIORĄ"

[1] N.A. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 30, s. 161. Werth, *Russia at War*, s. 179, 241, 399. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 68–70.

[2] L. Osipowa, 15 lipca i 13 sierpnia 1941 r., [w:] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 442–443.

[3] G. Kniaziew, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 287. Dzieniskiewicz, *The Social and Political Situation in Leningrad*, s. 73. I. Kruglakow, wywiad z dr Lubą Winogradową, Moskwa, styczeń 2007.

[4] I. Rieznikowa (Flige), *Riepresii w period błokady Leningrada*, „Wiestnik Memoriała" 4/5 (10/11), Petersburg 1995, s. 96. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 71.

[5] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 222. Skriabina, *Siege and Survival*, s. 21. Zob. też: D. Łazariew, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, St. Petersburg 2000, s. 195.

[6] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 28 czerwca 1941, [w:] *Oblężone*, s. 15.

[7] G. Kniaziew, 20 lipca 1941, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 282.

[8] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski*, s. 250–251.

[9] Gatczyna została już wówczas wprawdzie oficjalnie przemianowana na Krasnogwardiejsk, to jest „Miasto Gwardii Czerwonej", ale wciąż powszechnie posługiwano się starą nazwą.

[10] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 38.

[11] O. Grieczina, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 107.

[12] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czasť 1 – pogibielnaja zima (1941–1942 gg.)*, „Newa" 1994, nr 1, s. 220–221.

[13] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, czerwiec 1941, [w:] *Oblężone*, s. 15–16.

[14] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 12–13, 21 (8 lipca i 12 sierpnia 1941 r.).

[15] R. Nieratowa, *Żyzń w leningradskoj błokadie*, s. 18–28.

[16] Ch. von Luttichau, cytowany przez Glantza, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 41. Generał Blumentritt, cytowany przez Basila Liddella Harta, *The Other Side of the Hill: Germany's Generals, their Rise and Fall*, London 1948, s. 187.

[17] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 44–47. Salisbury, *The 900 Days*, s. 189–190.

[18] J. Bajkowa, www.hermitagemuseum.org

[19] M. Matie, www.hermitagemuseum.org

[20] Kniaziew, 7 i 15 lipca, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 270–271.

[21] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 8–9 (28 czerwca 1941 r.).

[22] *Ibidem*, s. 15 (18 lipca 1941 r.).

[23] W. Czurkin, [w:] *Wojennaja litieratura: dniewniki i pisma*, http://militera.lib.ru/db/churkin, część 1, s. 2 (15 sierpnia 1941 r.).

[24] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 58. TsAMO: Fond 217, op. 1217, d. 32, 33. N. Łomagin, *Soldiers at War: German Propaganda and Soviet Army Morale during the Battle of Leningrad, 1941–1944*, Carl Beck Papers nr 1306, Pittsburgh 1998, s. 11.

[25] 17 sierpnia 1941. RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 1.

[26] RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 13.

[27] RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 20.

[28] Salisbury, *The 900 Days*, s. 228.

[29] Liczby te podaję za Pantielejewem, cytowanym u Salisbury'ego w *The 900 Days*, s. 232.

[30] Szacunki dotyczące liczby ofiar w ludziach są bardzo przybliżone. W owym czasie mówiło się o utracie 17 tysięcy ludzi, a oficjalna wersja władz radzieckich podawała natomiast liczbę 5 tysięcy. Jeden z rosyjskich historyków morskich z okresu poradzieckiego szacuje tę liczbę na „ponad 12 tysięcy". Zob. Salisbury, *The 900 Days*, s. 238, oraz Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 99

[31] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 46.

[32] 29 września 1941 roku szef Kierownictwa Politycznego Floty Bałtyckiej kazał swoim podwładnym poinformować cały personel morski, że członkowie rodzin tych marynarzy, którzy poddali się Niemcom, zostaną z miejsca rozstrzelani jako „zdrajcy Ojczyzny". W styczniu 1942 roku wytyczna ta została uchylona i uznana za bezprawną; nie ma też żadnych dowodów, że kiedykolwiek wprowadzono ją w życie (zob. Łomagin, *Soldiers at War*, s. 15).

[1] I. Frenklach, www.iremember.ru, s. 2–3.

[2] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 22.

[3] Wywiad z autorką, Petersburg, marzec 2008 r.

[4] Raport Nikity Karpowa, członka Organizacji Partyjnej w Zakładach Kirowa i członka Pierwszej Dywizji Oddziału LANO w Zakładach Kirowa, 30 września 1943 r. TsGAIPD SPb: Fond 4000, opis 10, d. 1320, s. 14.

[5] TsGAIPD SPb: Fond 25, opis 12, swiazka 3, 1118, jed. chr. 13. Salisbury, *The 900 Days*, s. 220.

[6] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 126–127. R. Bidlack, *Workers at War: Factory Workers and Labor Policy in the Siege of Leningrad*, Carl Beck Papers nr 902, Pittsburgh 1991, s. 8.

[7] TsGAIPD SPb: Fond 25, opis 12, swiazka 13.

[8] N. Karpow. TsGAIPD SPb: Fond 4000, opis 10, d. 1320, s. 15.

[9] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 15, s. 9.

[10] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 2, s. 35.

[11] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 31. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 226.

[12] TsGAIPD SPb: Fond 2201, opis 1, d. 23.

[13] Raport polityczny z 10 lipca 1941 r. *Ibidem*.

[14] Raport polityczny dywizji LANO obwodu moskiewskiego, 9 lipca 1941 r. *Ibidem*.

[15] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 79.

[16] Zob. np. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 28, s. 20.

[17] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 15, s. 12.

[18] TsGAIPD SPb: Fond 2201, opis 1, d. 23.

[19] *Leningrad w osadie*, dok. 49, s. 131.

[20] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 29, s. 2–4.

[21] I. Altman, kierownik warsztatu w Fabryce Czerwonego Chemika i członek Pierwszej Dywizji. TsGAIPD SPb: Fond 4000, opis 10, d. 1305.

[22] Subotin do Rady Obrony Frontu Północnego, lipiec 1941 r. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 11. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 33–34.

[23] Zebranie Wydziału Politycznego z 8 lipca 1941 r. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 15, s. 7–8.

[24] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 15, s. 13.

[25] *The Halder War Diary 1939–1942*, s. 452 (6 lipca 1941 r.).

[26] Zebranie z 29 lipca 1941 r. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 46.

[27] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 26, s. 2.

[28] Dobrzynski, *Kirowskaja diwizija*, TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 15, s. 10–11.

[29] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 22, s. 132–134.

[30] Osoby niezdatne do regularnej służby wojskowej otrzymywały tak zwane białe bilety.

[31] *Ibidem*, s. 137.

[32] Raport Wydziału Politycznego z 29 sierpnia 1941 r. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 202. Salisbury, *The 900 Days*, s. 191.

[33] Raport do Żdanowa od kierownika wydziału politycznego LANO Kononczuka, połowa sierpnia 1941 r. TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 18.

[34] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 18.

[35] *Leningrad w osadie*, dok. 49, s. 132–133.

[36] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 35.

[37] Werth, *Leningrad*, Londyn 1944, s. 110–11.

[38] TsAMO: Fond 96a, opis 2011, d. 5, s. 133–137.

[39] Frenklach, www.iremember.ru, s. 6.

[40] D. Wołkogonow, *Stalin. Wirtuoz kłamstwa, dyktator myśli*, s. 590.

5. „ZŁAPANI JAK MYSZ W PUŁAPKĘ"

[1] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 10.

[2] D. Pawłow, *Leningrad 1941: the Blockade*, Chicago 1965, s. 9. Apel ten często niesłusznie określany jest mianem „Wróg u bram". W rzeczywistości artykuł zatytułowany *Wróg jest u bram* ukazał się w „Leningradzkiej Prawdzie" dopiero 16 września.

[3] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 11, 13, 15 (24 i 26 sierpnia, 1 i 8 września 1941 r.).

[4] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 298.

[5] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski*, s. 252–253 (4 i 16 sierpnia).

[6] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 47–48. Iwan Andriejenko, zastępca przewodniczącego wojennej rady miejskiej Leningradu, cytowany przez Adamowicza i Granina, *Księga blokady*, s. 132–133.

[7] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 51–52.

[8] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 7 (26 czerwca 1941 r.).

[9] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 2 lipca 1941, [w:] *Oblężone*, s. 16.

[10] K. Rachman; nieopublikowany rękopis w posiadaniu rodziny pamiętnikarki.

[11] G. Kniaziew, 17 lipca 1941 r., [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 272 n.

[12] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 276–278

[13] Rozkaz dla okręgowych sekretarzy partii, 11 sierpnia 1941 r. RGASPI: Fond 17, opis 22, d. 1644, s. 41.

[14] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 17–18 (2 sierpnia 1941 r.).

[15] N. Małakowa, [w:] M. Jones, *Leningrad: State of Siege*, London 2008, s. 98. Jones przeprowadzał w roku 2007 wywiady z ocalałymi z bombardowania w Liczkowie.

[16] M. Motkowska, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 274.

[17] *Ibidem*, s. 248–249. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 218.

[18] W. Moskoff, *The Bread of Affliction: the Food Supply in the USSR during World War II*, Cambridge 1990, s. 34.

[19] Wywiad z autorką, Wsiewołożsk, listopad 2006 r.

[20] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 10

[21] *Ibidem*, s. 24. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 227.

[22] *The Diaries of Nikolay Punin, 1904–53*, red. S. Monas i J. Greene Krupal, Austin 1999, s. 182–183.

[23] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 107–108.

[24] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 47.

[25] A. Barbowski, 30 sierpnia 1941 r. RGALI: Fond 2733, opis 1, jed. chr. 872, s. 15–16.

[26] Trudno dziś ustalić dokładną datę przyjazdu i wyjazdu komisji. Salisbury wnioskuje z pamiętników admirała Kuzniecowa, że wyruszyła ona 27 sierpnia, a na miejsce przybyła 28. Wiemy jednak, że Stalin wydał rozkaz dotyczący tej misji już 21 sierpnia, nawiązując łączność z miastem 27 sierpnia. Zwracał się między innymi do Mołotowa, a 29 sierpnia wydał rozkaz powrotu do Moskwy, co wskazywałoby, że

przybycie komisji do Leningradu nastąpiło kilka dni wcześniej, niż twierdzi Salisbury.

[27] RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 27.

[28] *Ibidem*, s. 35.

[29] *Ibidem*, s. 39.

[30] Montefiore, *Stalin*, s. 627.

[31] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. nr 4, s. 29.

[32] L. Szaporina, 4 września 1941 r., [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 22.

[33] O. Bergholc, *Zakazany dziennik*, 2 września 1941, [w:] *Oblężone*, s. 84.

[34] TsAMO: Fond 148a, opis 3763, d. 97, s. 29.

[35] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 23 (23 sierpnia 1941 r.).

[36] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 296.

OBLĘŻENIE SIĘ ZACZYNA. WRZESIEŃ–GRUDZIEŃ 1941

[1] K. Simonow, *Tri tietradi: stichi, poemy*, Moskwa 1964, s. 500.

6. „BEZ SENTYMENTÓW”

[2] *The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell*, red. S. Orwell i I. Angus, t. 2: *My Country Right or Left*, London 1970, s. 460.

[3] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, t. 3, ks. 2, Gdańsk 1995, s. 79–82.

[4] RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 49.

[5] Dokładna data przybycia Żukowa do Leningradu została ostatecznie ustalona dopiero niedawno. Choć w praktyce objął on dowództwo bezpośrednio po przyjeździe, odpowiedni rozkaz Stawki wydany został formalnie dopiero 11 września.

[6] *The Memoirs of Marshal Zhukov*, London 1971, s. 300, 314–316.

[7] W. Anfiłow, *Zhukov*, [w:] *Stalin's Generals*, s. 350. Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 78.

[8] W. Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wriemieni*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 8, Petersburg 2004.

[9] A. Zielenowa, *Statji, Wospominanija, Piśma: Pawłowskij Dworiec, Istorija i Sud'ba*, Petersburg 2006, s. 83–90. Zob. też: S. Massie, *Pavlovsk: the Life of Russian Palace*, London 1990, s. 195–202.

[10] W. Bogdanow-Bieriezowski, *Iz dniewnikow błokadnych let* (maszynopis), s. 9–10. RGALI: Fond 1817, opis 2, jed. chr. 185.

[11] K. Płotkin, *Cholokost u stien Leningrada*, Petersburg 2005, s. 6, 33–56.

[12] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 81–82.

[13] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 21.

[14] *Rossija i SSSR w wojnach XX wieka: potieri woorużonnych sił*, pod red. G.F. Kriwoszejewa, Moskwa 2001, s. 271. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 97–99.

[15] *The Halder War Diary, 1939–1942*, s. 487, 498–500 (26 lipca i 6, 7 sierpnia 1941 r.).

[16] *Ibidem*, s. 511, 514–515 (18 i 22 sierpnia 1941 r.).

[17] Zob. Dyrektywa Führera nr 35 z 6 września 1941 r.

[18] *The Halder War Diary, 1939–1942*, s. 536.

[19] Bundesarchiv/Militärarchiv: RM7/1014. Przytoczone w: *Verbrechen der Wehrmacht: Dimensionen des Vernichtungskrieges 1941–1944*, Hamburg 2002, s. 310.

[20] *Hitler's Table Talk 1941–1944*, s. 39–40.

[21] W powojennym wywiadzie z Basilem Liddellem Hartem generał Blumentritt wspominał, że w owym czasie wielu jego kolegów ponownie czytało relację Caulaincourta z 1812 r. „Wciąż widzę, jak von Kluge brnie przez błoto ze swojej nocnej kwatery do biura, gdzie stoi przed mapą z książką Caulaincourta w ręku".

[22] *The Halder War Diary, 1939–1942*, s. 458.

[23] Bundesarchiv/Militärarchiv: RW 4/v. 578, bl. 144–146. Przytoczone w: *Verbrechen der Wehrmacht*, s. 312–314.

[24] Bundesarchiv/Militärarchiv: RM7/1014, bl. 39–41. Przytoczone w: *Verbrechen der Wehrmacht*, s. 315–317.

[25] *Hitler's Table Talk 1941–1944*, s. 44.

[26] „Decyzja Führera dotycząca Leningradu", przekazana przez dowództwo marynarki wojennej Grupie Armii „Północ" 29 września 1941 r. *Tagebuch der Seekriegsleitung*, cyt. za: M. Domarus, *Hitler Reden und Proklamationen, 1932–1945*, t. 4, s. 1755.

[27] W. Ritter von Leeb, *Tagebuchaufzeichnungen und Lagebeurteilungen aus zwei Eeltkriegen*, Stuttgart 1976, s. 373 (12 października 1941 r.), [w:] *Verbrechen der Wehrmacht*, s. 318.

[28] Dziennik wojskowy Grupy Armii „Północ", 27 października 1941 r., [w:] *Verbrechen der Wehrmacht*, s. 12.

[29] Dyrektywa Führera nr 35, 6 września 1941 r., [w:] *Hitler's War Directives, 1938–1945*, red. H. Trevor-Roper, London 1964.

[30] M. Jones, *Leningrad: State of Siege*, London 2008, s. 33.

[31] Więcej o powojennej karierze Haldera w: R. Smelser, E. Davies, *The Myth of the Eastern Front: the Nazi–Soviet War in American Popular Culture*, Cambridge 2008.

7. „DO OSTATNIEGO TCHU"

[1] L. Szaporina, 8 września 1941 r., [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 23.

[2] Raport MPVO z 9 września 1941, [w:] *Leningrad w osadie*, s. 364.

[3] Pierwsze pociski artyleryjskie spadły na przedmieścia Leningradu 4 września, pierwsza bomba zaś 6 września, czego jednak większość mieszkańców nie zauważyła. Pierwszy regularny nalot przeprowadzono właśnie 8 września.

[4] N. Sokołow, *Tiopłaja wanna dla biegiemota: Zoosad w gody wojny*, „Rodina" 2003, nr 1, s. 153.

[5] Bergholc, *Zakazany dziennik*, 8–9 września 1941, [w:] *Oblężone*, s. 86.

[6] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 101–102.

[7] Rękopis niepublikowany, w posiadaniu rodziny pamiętnikarki.

[8] W. Garszyn, *Tam gdie smierť pomogajet żyzni*, „Archiw Patołogii" 1984, t. 46, nr 5, s. 84.

[9] Bergholc, *Zakazany dziennik*, 12 września 1941, [w:] *Oblężone*, s. 87–88.

[10] Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, s. 173.

[11] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 23–24, 27 (20 i 26 września 1941 r.).

[12] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czasť 1*, s. 227–231.

[13] Salisbury, *The 900 Days*, s. 304, 336.

[14] TsGAIPD SPb: Fond 2281, opis 1, d. 27, s. 2–4.

[15] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 309.

[16] *Archiw Bolszogo Doma: Płan „D"*, red. S. Berniew i N. Łomagin, Petersburg 2005. Książka zawiera faksymile odpowiednich dokumentów z archiwum FSB.

[17] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 99

[18] O dymisji dla A.P. Rowinskiego z Zakładów Czerwonego Chemika zob. RGASPI: Fond 17, op. 22, d. 1643, s. 97. O przypadku A.I. Wołkowa, dyrektora zakładów Naprzód, zob. *ibidem*, s. 101.

[19] RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1137, s. 68.

[20] TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 26, d. 5760.

[21] Inbier, *The Siege of Leningrad*, s. 19 (16 września 1941 r.).

[22] Łomagin, *Soldiers at War*, s. 14.

[23] Rieznikowa (Flige), *Riepriesii w pieriod błokady Leningrada*, s. 102.

[24] Bidlack, *The Political Mood in Leningrad*, s. 102–103.

[25] Brytyjskiej misji dotarcie na miejsce zajęło równo tydzień, co było wynikiem częstych postojów zarządzanych dla przepuszczania wojsk jadących w przeciwnym kierunku. Nie pomyślawszy o wzięciu ze sobą zapasów jedzenia, jej członkowie musieli targować się o żywność w gospodarstwach, które mijali po przybyciu na miejsce, umieszczeni zaś zostali „wielce niedogodnie" w szkole.

[26] Moskiewski *bolszoj drap* opisany został barwnie w: R. Braithwaite, *Moscow 1941: A City and its People at War*, s. 244–255.

[27] Salisbury, *The 900 Days*, s. 352 i Jones, *Leningrad: State of Siege*, s. 135.

[28] Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 183. RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 55.

[29] *Ibidem*, s. 60.

[30] N. Woronow, *W trudnyje wriemiena*, „Wojenno-istoriczeskij żurnał" 1961, nr 9, s. 71–72.

[31] RGASPI: Fond 558, opis 11, jed. chr. 492, s. 64.

[32] RGASPI: Fond 77, opis 3, d. 126, s. 9. Także: TsAMO: Fond 96a, opis 2011, d. 5, s. 138–140.

[33] TsAMO: Fond 96a, opis 2011, d. 5, s. 138–140.

[34] RGASPI: Fond 77, opis 4, d. 48, s. 51.

[35] Zob. np. list Kuzniecowa do Stalina z 8 listopada 1941 r. RGASPI: Fond 77, opis 4, delo 48, s. 51, 54.

[36] RGASPI: Fond 77, opis 3, d. 126, s. 24. Także: TsAMO: Fond 113a, opis 3272, d. 3, s. 166–171.

8. 125 GRAMÓW

[1] M. Starodubcewa (nazwisko panieńskie Jeruchmanowa), *Krugoworot wriemieni i sudby: wospominanija*. Ten rękopis powstał pod koniec lat siedemdziesiątych XX w. i znajduje się w rękach rodziny Starodubcewów. Rozdział 7, s. 506–517, poświęcony jest doświadczeniom autorki z czasów oblężenia.

[2] Zob. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 34, Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 48.

[3] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 191.

[4] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 49.

[5] *Ibidem*, s. 31.

[6] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 380–381.

[7] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 51–53.

[8] Starodubcewa, *Krugoworot wriemeni i sud'by*, s. 510.

[9] Leningrad, obłasť, ispołkom, rozkaz z 3 listopada 1941 r. RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1137, s. 8.

[10] *Leningrad w osadie*, dok. 20, s. 188–190.

[11] *Ibidem*, s. 111–112.

[12] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 64

[13] Cyt. za: Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 66.

[14] Zob. fascynujące rozdziały poświęcone obozom sołowieckim w: Applebaum, *Gułag*, s. 47–81.

[15] W. Grossman, *Życie i los*, Warszawa 2011, s. 476.

[16] Werth, *Russia at War 1941–1945*, s. 188.

[17] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 55.

[18] Pär Sparen *et al.*, *Long Term Mortality after Severe Starvation during the Siege of Leningrad: Prospective Cohort Study*, „British Medical Journal" 328 (3 stycznia 2004 r.), s. 11–14.

[19] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 120.

[20] *Ibidem*, s. 79–80.

[21] A. Bołdyriew, *Osadnaja zapiś: błokadnyj dniewnik*, s. 78 (29 marca 1942 r.).

[22] W. Gorochowa, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 88.

[23] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 123. Zob. też rozkaz z 26 grudnia 1941 r., podpisany przez Andriejenkę, przyznający akademikom specjalną dostawę masła, puszkowanego mięsa bądź ryb, jaj, cukru, ziarna, czekolady, mąki i wina. *Leningrad w osadie*, dok. nr 98, s. 209.

[24] Ostroumowa-Lebiedewa, *Awtobiograficzeskije zapiski*, s. 274 (20 stycznia 1942 r.).

[25] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 32.

[26] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 69, 80–81.

[27] Protokół 50 z [zebrania] Komitetu Partyjnego Miasta Leningradu, 9 stycznia 1942 r. RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1149, s. 9.

[28] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 1, s. 151–152. Więcej tego typu przykładów w: Protokół 53 z [zebrania] Komitetu Partyjnego Miasta Leningradu, 25 lutego 1942. RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1149, s. 121.

[29] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 73.

[30] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 81–82.

[31] I. Żylinski, *Błokadnyj dniewnik*, „Woprosy istorii" 1996, nr 5–6, s. 24 (4 stycznia 1942 r.).

[32] *Ibidem*, s. 3 (30 stycznia 1942 r.). Ten sam wybieg stosowano również na poziomie instytucji. Jak wykryli inspektorzy w Zakładach Metalowych Stalina, z 729 pracowników zarejestrowanych w tej fabryce 107 w rzeczywistości zostało ewakuowanych, 70 służyło w wojsku, 21 zostało aresztowanych, a 124 już zmarło.

9. SPADANIE PRZEZ KOMIN

[1] N. Gorszkow w swoim dzienniku z czasów oblężenia zwyczajowo odnotowuje dzienne temperatury. Dziennik ten można znaleźć w: *Błokadnyje dniewniki i dokumienty*, Archiw Bolszogo Doma, Petersburg 2004.

[2] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 356.

[3] Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, s. 187–188.

[4] Skriabina, *Siege and Survival*, 1971, s. 28–29, 50 (15 i 20 września 1941 r., 1 stycznia 1942 r.).

[5] *Ibidem*, s. 31–32, 35, 37 (8 października, 6 i 7 listopada 1941 r.).

[6] *Ibidem*, s. 41, 47 (24 listopada i 16 grudnia 1941 r.).

[7] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czasť 1*, s. 231–239.

[8] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 27.

[9] A. Dymow, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 413.

[10] I. Korotkow, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 48.

[11] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 55 nn. M. Tkaczewa, wywiad nr 14, BL-1-014, Uniwersytet Europejski w Sankt Petersburgu, Projekt historii mówionej „Blokada w sud'bach i pamiati leningradcew".

[12] Przytoczone w raporcie NKWD do Żdanowa z 13 grudnia 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 56, s. 252.

[13] K.W. Połzikowa-Rubiec, 20 stycznia 1942 r. Cytat za: A. Dzieniskiewicz, *Banditizm (osobaja katiegorija) w błokirowannom Leningradie*, „Istorija Pietierburga" 2001, t. 1, s. 48.

[14] S. Pawłowa, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, Sankt Petersburg 2000, s. 182.

[15] Wywiad z dr Lubą Winogradową, Moskwa, lipiec 2007.

[16] *Leningrad w osadie*, dok. 174, s. 411. Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 123.

[17] Narodowe Archiwum USA. Raporty o sytuacji w ZSRR sporządzane przez Policję Bezpieczeństwa i SD, nr 136. Mikrofilm T-175/233, s. 10–20. Przytoczne w: Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 169.

[18] *Ibidem*, s. 152 (4 grudnia 1941 r.).

[19] *The Diaries of Nikolai Punin, 1904–53*, s. 186, 190–191.

UMIERANIE. ZIMA 1941–1942

[1] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 244.

10. DROGA ŻYCIA

[2] Niepublikowany dziennik wojenny Hockenjosa, z którego pochodzą wszystkie kolejne cytaty, znajduje się we Freiburgu, w tamtejszym Bundesarchiv/Militärarchiv, pod sygnaturami MSG 2/4034, 4035, 4036, 4037, 4038.

[3] Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 100.

[4] A.W. Karasiew, *Leningradcy w gody błokady*, Moskwa 1959, s. 132–133.

[5] Czurkin, *Wojennaja litieratura: dniewniki i pisma* (8 grudnia 1941 r.) www.militera.lib.ru

[6] P. Carell, *Hitler Moves East 1941–1943*, Boston 1963, s. 269–270. Cyt. za: Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 106. Pawłow podaje liczbę 7 tysięcy zabitych.

[7] Szczegółowy opis funkcjonowania Drogi Życia w: Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 205–211.

[8] TsAMO: Fond 96a, opis 2011, d. 5, s. 191–194.

[9] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 10, s. 38–39.

[10] *The Halder War Diary 1939–1942*, red. Ch. Burdick, H.-A. Jacobson, London 1988, s. 561, 569 (22 i 29 listopada 1941 r.).

[11] *Ibidem*, s. 598.

[12] Zastępca Haldera, Günther Blumentritt, tak oto skarżył się brytyjskiemu historykowi Basilowi Liddellowi Hartowi zaraz po wojnie: „Jedynie admirałowie mieli podczas tej wojny pełny spokój, bo Hitler nie znał się zupełnie na wojnie morskiej, za to uważał, że wie wszystko o wojnie lądowej".

[13] A. Roberts, *Masters and Commanders: How Roosvelt, Churchill, Marshall and Alambert won the War in the West*, s. 64.

11. SANIE I KOKONY

[1] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 38–39 (1 stycznia 1942 r.).

[2] Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wriemieni*, s. 38 (31 grudnia 1941 r.).

[3] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 29 grudnia 1941 i 6 stycznia 1942, [w:] *Oblężone*, s. 41–42, 45.

[4] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 123.

[5] I. Zielenskaja, *Dniewnik*, [w:] *„Ja nie sdamsia do posledniego…"*, red. Kowalczuk, s. 10.

[6] Kostrowicka, kwiecień 1942, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 50–51.

[7] Moskoff, *The Bread of Affliction*, s. 196.

[8] I.M. Chaiko, *Dniewnik*, „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, s. 115.

[9] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 188.

[10] Raport NKWD dla Żdanowa, 2 czerwca 1942 r. Za: Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, s. 320–323. *Leningrad w osadie*, s. 412.

[11] Przykłady sierot wykorzystywanych przez sąsiadów w: Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 234, 241, a także: M. Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, [w:] *Pamiat' uszedszych i wo slawu żywuszczich: dniewniki, wospominanija, pińma*, St. Peteresburg 1995, s. 48 (5 marca 1942 r.).

[12] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, St. Petersburg 2000, s. 210 (styczeń 1942 r.).

[13] Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, s. 164–165.

[14] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 40 (2 stycznia 1942 r.).

[15] Raport dla Popkowa od prokuratora wojskowego Leningradu, 12 lutego 1942 r. Przytoczony za: *Leningrad w osadie*, dok. 136, s. 290–292.

[16] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 37–38 (26 grudnia 1941 r.).

[17] Łazariew, s. 207 (luty 1942).

[18] N. Czerepienina, *Assessing the Scale of Famine and Death in the Besieged City*, [w:] *Life and Death in Besieged Leningrad 1941–1944*, red. J. Barber, A. Dzieniskiewicz, London 2005, s. 47–48.

[19] Łazariew, *Wospominanija o błokadzie*, s. 207 (11 lutego 1942 r.).

[20] R. Bidlack, *Survival Strategies in Leningrad during the First Year of the Soviet-German War*, [w:] *The People's War: Responses to World War Two in the Soviet Union*, red. R. Thurston, B. Bonwetsch, Urbana 2000, s. 93.

[21] Czekrizow, *Dniewniki błokadnogo wriemieni*, s. 50 (5 lutego 1942 r.).

[22] Raport dla Żdanowa i Kuzniecowa od Antiufiejewa, 5 lutego 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v.

[23] W. Garszyn, *Tam gdie smiert' pomogajet żyzni*, „Archiw Patołogii" 1984, t. 44, nr 5, s. 84.

[24] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 33 (25 listopada 1941 r.).

[25] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 455, 471.

[26] G. Norman, *The Hermitage: the Biography of a Great Museum*, London 1997, s. 252.

[27] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 25–28 (9 i 10 grudnia 1941 r.).

[28] *Ibidem*, s. 56 (12 lutego 1942 r.).

[29] Chaiko, *Dniewnik*, s. 117 (25 marca 1943 r.).

[30] N. Ribkowskij, [w:] *Sowietskije Ludi*, red. L. Kozłowa, s. 263–264 (15 marca 1942 r.).

[31] W. Kostrowicka, kwiecień 1942 r., [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 47–52.

[32] Sokołow, *Tiopłaja wanna dla biegiemota*, I.M. Gergilewicz, *Podwig twoj biessmiertien (1942–1945)*, referat nieopublikowany.

[33] Raport z wydziału „spraw pogrzebowych" w Dyrekcji Miejskich Służb Komunalnych, 5 kwietnia 1943 r. *Leningrad w osadie*, dok. 153, s. 319–343.

[34] S. Buriakowa, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 100–101.

[35] Łazariew, *Wospominanija o błokadzie*, s. 202–204 (24 stycznia 1942 r.).

[36] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 250.

[37] *Life and Death in Besieged Leningrad, 1941–1944*, s. 1, 63. Raport Zarządu Pogrzebowego z kwietnia 1943 r. podaje szacunkową, jak przyznają

sami autorzy, liczbę 1 093 659 ciał pochowanych w ciągu 12 miesięcy, do 1 czerwca 1942 r. Powszechnie uznaje się tę liczbę za znacznie zawyżoną, co wynika z faktu, że personelowi cmentarnemu i ludziom odpowiedzialnym za transport ciał płacono od zgłoszonych zmarłych.

12. „BYLIŚMY JAK KAMIENIE"

[1] Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, s. 37–39 (17 lutego 1942 r.).

[2] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 11. Paweł Gubczewski z Ermitażu wspominał, że zawsze zadziwiały go przepych i nieprawdopodobna ilość energii wiążące się z organizacją przedwojennych wystawień w Filharmonii i Teatrze Maryjskiego – dlaczego wcześniej nie chodził częściej na koncerty i przedstawienia baletowe?

[3] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 41–42 (11–13 stycznia 1942 r.).

[4] Żilinski, *Błokadnij dniewnik*, „Woprosy istorii" 1996, nr 5–7, cz. 3, s. 3 (30 stycznia 1942 r.).

[5] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 62–63.

[6] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 83 (4 kwietnia 1942 r.).

[7] Rachman, 20 grudnia 1941 r.; niepublikowany rękopis.

[8] W rozmowie z dr Lubą Winogradową, październik 2007 r.

[9] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 1, 5 i 7 lutego 1942, [w:] *Oblężone*, s. 60–61.

[10] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 249–250.

[11] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czasť 1*, s. 242–243.

[12] Wołkow, *St. Petersburg*, s. 437. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 201.

[13] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 30 stycznia 1942, [w:] *Oblężone*, s. 60.

[14] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 266.

[15] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, s. 238.

[16] Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, s. 41 (18 lutego 1942 r.).

[17] *Ibidem*, s. 76 (23 kwietnia 1942 r.).

[18] W rozmowie z dr Lubą Winogradową, Moskwa, lipiec 2007 r.

[19] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 58 (13 lutego 1942 r.).

[20] Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, s. 159

[21] Kniaziew, 3 lutego 1942 r., [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 471.

[22] Iniber, *Leningrad Diary*, s. 50 (14 stycznia 1942 r.).

[23] A. Adamowicz, D. Granin, *Księga blokady*, s. 508–509.

[24] M. Steblin-Kamienski, *The Siege of Leningrad*, „Granta" 30, „New Europe", kwiecień 1990, s. 183–189. Po raz pierwszy opublikowane w: „Newa" 1989, t. 1.

[25] Norman, *The Hermitage*, s. 255.

[26] *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg, 1910–1954*, s. 225.

[27] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 82.

[28] K. Rachman, s. 5 (7 grudnia 1941 r.); nieopublikowany rękopis

[29] L. Uspienski, *Gordostʹ i lubow moja*, [w:] *Radio błokada Leningrad* [*sic!*], red. G.S. Mielnik i G.W. Żyrkow, Sankt Petersburg 2002, s. 203–204.

[30] Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad 1941–1995*, s. 54, 72.

[31] *Ibidem*, s. 66. Nie mamy pewności, kiedy po raz pierwszy został wyemitowany *Dziennik lutowy*. W swojej autobiografii z roku 1952 Bergholc wspomina, że telefon od cenzora w ostatniej chwili uniemożliwił jego nadanie w sam Dzień Armii Czerwonej, a w całości poszedł w eter dopiero w maju. Według innych relacji jednak audycja odbyła się planowo. Fragmenty poematu z całą pewnością były

publikowane w gazetkach ściennych i szeroko rozpowszechniane jeszcze przed wiosną.

[32] A. Rubaszkin, *Gołos Leningrada*, s. 136.

[33] Zob. M. Szkarowski, *Iskriennij priwiet od Stalina: religioznaja żyzń błokadnogo Leningrada*, „Rodina" 2003, nr 1, s. 146–150.

[34] Raport o „Likwidacji grupy Archimandryty Klawdija", 1 października 1942 r., [w:] *Leningrad w osadie*, dok. 192, s. 446.

[35] Przypis redakcji do: Bergholc, „Zwiezda", kwiecień 1991, nr 4, s. 128–141 (8 lutego 1942 r.).

[36] Bergholc, „Zwiezda", kwiecień 1991, nr 4, s. 128–141 (4 września 1941 r.).

[37] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 289, 474.

[38] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 244.

[39] Uniwersytet Europejski w St. Petersburgu: projekt historii ustnej *Błokada w sud'bach i pamiati leningradcew*, wywiad nr 42.

[40] S. Magayeva, A. Pleysier, *Surviving the Blockade of Leningrad*, Lanham 2006, s. 99.

13. SWIAZI

[1] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski*, s. 271, 275 (1 stycznia i 13 lutego 1942 r.).

[2] A. Wostrowa, rozmówczyni nr 17, BL–1-017, Uniwersytet Europejski w St. Petersburgu: projekt historii ustnej *Błokada w sud'bach i pamiati leningradcew*.

[3] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czasť 1*, s. 249–250.

[4] Bidlack, *Survival Strategies*, s. 93–95.

[5] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 54 (15 stycznia 1942 r.).

[6] Makogonienko, [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 408.

[7] O. Bergholc, *Zakazany dziennik*, 25 lutego 1942, [w:] *Oblężone*, s. 106.

[8] *Ibidem*, 23 i 25 marca 1942, s. 116–117.

[9] Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, s. 77 (23 kwietnia 1942 r.).

[10] *Leningrad w osadie*, dok. 210, s. 517.

[11] Moskoff, *The Bread of Affliction*, s. 181.

[12] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 72 (27 marca 1942 r.).

[13] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 66–67.

[14] Inny taki przykład w: Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 228.

[15] Bogdanow-Bieriezowski, *Iz dniewnikow błokadnych let*, maszynopis, RGALI: Fond 1817, opis. 2, jed. chr. 185, s. 26–27 (25 stycznia 1942 r.).

[16] Zob. *Leningrad w osadie*, dok. 216, s. 528.

[17] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 235–236.

[18] *Ibidem*, s. 238–240, 264. Więcej przykładów korupcji u Skriabiny piszącej o starszym personelu szpitalnym i jego rodzinach: s. 68, 71 (11 lutego 1942 r.).

[19] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 472.

[20] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 62 (4 lutego 1942 r.).

[21] Zob. J. Clapperton, *The Siege of Leningrad and the Ambivalence of the Sacred: Conversations with Survivors*, rozprawa doktorska, Uniwersytet w Edynburgu 2006, s. 294.

[22] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 41 (26 listopada 1941 r.).

[23] T. Niechludowa, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 62.

[24] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 65. Bidlack, *Survival Strategies*, s. 91.

[25] Bidlack, *Survival Strategies*, s. 94.

[26] Ostroumowa-Lebiediewa, 22 maja 1942 r., [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 32.

[27] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 38, 42–43, 60 (12 i 29 listopada 1941 r., 27 stycznia 1942 r.).

[28] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 82 (3 kwietnia 1942 r.), s. 82. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 230–231. Zob. też Żylinski, *Błokadnyj dniewnik*, „Woprosy istorii" 1996, nr 5, 22 grudnia 1941 r., s. 9 – tu o leningradkach handlujących sukienkami i kapeluszami z pracownikami świńskiej farmy położonej za cmentarzem Serafimowskim.

[29] *Leningrad w osadie*, dok. 187, s. 436.

[30] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 8, s. 234.

[31] Raport dla Żdanowa od kierownika wydziału instruktażu Miejskiego Komitetu Partii, Antiufiejewa, 27 stycznia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[32] Bidlack, *Survival Strategies*, s. 96, 106. Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 192. Zob. też: *The Harvard Project on the Soviet Social System*, Schedule B, t. 2, case 260, s. 6, 14 (dostępny online na stronie Widener Library).

[33] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 253. W. Jerszow, maszynopis bez tytułu, Research Program on the USSR, Bakhmeteff Archive, Columbia University, s. 72.

[34] N. Ribkowskij, [w:] *Sowietskije ludi: sceny iz istorii*, red. N. Kozłowa, Moskwa 2005, s. 264, 267–269, 276.

[35] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 1, s. 151–152.

[36] Zob. *Leningrad w osadie*, dok. 126, s. 273.

[37] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 223.

[38] Raport dla Kuzniecowa, 28 listopada 1941 r. *Leningrad w osadie*, dok. 127, s. 274–276.

[39] Raport z 28–29 stycznia 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 64, s. 281, 284.

14. „ROBINSON CRUSOE BYŁ SZCZĘŚCIARZEM"

[1] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 63 (21 lutego 1942 r.).

[2] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 75 (31 marca 1942 r.).

[3] G. Kniaziew, 22 lutego 1942 r., [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 480.

[4] Według jednego z raportów dla Berii z 4 kwietnia 1942 r., w drugiej połowie marca skonfiskowano: 7540 domów, 1020 krów, 134 konie i 92 inne zwierzęta gospodarskie. Zob. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. nr 9, s. 37.

[5] Zob. raport z obwodowej rady Oranienbaumu z 1 kwietnia 1942 r., [w:] *Leningrad w osadie*, dok. 184, s. 430–433. Także: Rieznikowa (Flige) *Repressii w pieriod błokady Leningrada*, s. 99.

[6] Raport NKWD z 1 października 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 190, s. 442.

[7] Raport dla Żdanowa i Kuzniecowa od Antiufiejewa, 21 marca 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[8] *Leningrad w osadie*, dok. 146, s. 308.

[9] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 245–246.

[10] Skriabina, *Siege and Survival*, s. 60–61 (29 i 30 stycznia 1942 r.).

[11] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 336, 340, 343.

[12] *Ibidem*, s. 344.

[13] *Ibidem*, s. 388.

[14] *Ibidem*, s. 416.

[15] *Ibidem*, s. 483–493.

[16] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 164. Korespondent wojenny A. Werth również błędnie opisuje Drogę Życia jako mechanizm działający „jak w zegarku" (*Russia at War*, s. 332).

[17] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 202.

[18] *Ibidem*, s. 435–438.

[19] W. Kulabko, *Błokadnyj dniewnik*, cz. 3, „Newa" 2004, nr 3, s. 262–267.

[20] Relacja z ewakuacji przebiegającej pod koniec marca 1942 r., [w:] J. Koczyna, *Dziennik czasu blokady*, [w:] *Oblężone*, s. 73–77.

[21] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 164.

[22] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 11 i 15 kwietnia 1942, [w:] *Oblężone*, s. 79–80.

[23] Raport dla komitetu partii obwodu leningradzkiego z 5 marca 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 137, s. 292–294.

[24] Skriabina, *Siege and Survival*, 25 lutego i 11 kwietnia 1942 r., s. 78, 101–102.

15. TRUPOŻERSTWO I LUDOŻERSTWO

[1] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 127–128.

[2] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 15 i 19 grudnia 1941, [w:] *Oblężone*, s. 33–34, 36–37.

[3] Zob. np. Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 87–89.

[4] Listy od Kosygina do Żdanowa, 10 i 17 lutego 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 106 i 134, s. 228, 288. Bidlack, *Survival Strategies*, s. 90. Zob. też: Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 99.

[5] Raport dla Żdanowa od Wydziału Organizacyjnego Leningradzkiego Komitetu Partii, 4 stycznia 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 176, s. 414.

[6] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, s. 204.

[7] Raport dla Popkowa od szefa miejskiej organizacji handlu spożywczego, 15 stycznia 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 178, s. 418–420. Zob. też: raport NKWD dla Berii z 23 lutego 1942 r., Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 67, s. 296.

[8] Raport dla Żdanowa i Kuzniecowa od Antiufiejewa z 9 stycznia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[9] O wzmocnionych środkach bezpieczeństwa zob. raport miejskiej milicji dla Popkowa z 30 stycznia 1942 r., [w:] *Leningrad w osadie*, dok. 179, s. 420. O ich efektach zob. raport NKWD dla Żdanowa, marzec 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 68, s. 301.

[10] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 20, 21, 22 i 26 grudnia 1941 i 17, 18 i 23 stycznia 1942 r., [w:] *Oblężone*, s. 37–40, 52–57.

[11] B. Belozerow, *Crime during the Siege*, [w:] *Life and Death in Besieged Leningrad 1941–1944*, s. 223.

[12] Raporty NKWD dla Żdanowa z 13 grudnia 1941 r., 28–29 stycznia, 23 lutego i z marca 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 56, 64 i 68, s. 255–256, 283, 295, 300. Raport dla Żdanowa i Kuzniecowa od Antiufiejewa z 9 stycznia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[13] Raport z 10 lutego 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 23, s. 83.

[14] Zob. też protokół z posiedzenia partii poświęconego „wzmocnionej czujności" z 9 stycznia 1942 r., *Leningrad w osadie*, dok. 177, s. 418. Jeden z obecnych narzekał na to, że „ze względu na złe wyżywienie w mieście nie ma żadnych straży". Objeżdżając swoją dzielnicę o godzinie pierwszej w nocy, nie widział on „absolutnie nikogo".

[15] *Harvard Project on the Soviet Social System*, Schedule B, t. 2, case 260.

[16] W rozmowie z autorką, wrzesień 2008.

[17] Koczina, *Dziennik czasu blokady*, 23 grudnia 1941, [w:] *Oblężone*, s. 39.

[18] Bergholc, *Iz dniewnikow*, 20 maja 1942, „Zwiezda" 1990, nr 6, s. 161.

[19] Zob. Salisbury, *The 900 Days*, s. 479–481. Powieść, o której mowa, to *Błokada* A. Darowa, opublikowana po raz pierwszy w Nikołajewie w 1943 r. Jej angielskie tłumaczenie ukazało się w Nowym Jorku w 1964 r.

[20] A. Winokurow, [w:] *Błokadnyje dniewniki i dokumienty: archiw Bolszogo Doma*, red. S. Berniew, S. Czernow, St. Petersburg 2004, s. 253 (14 marca 1942 r.).

[21] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 234–235.

[22] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czast' 1*, s. 240.

[23] Raport NKWD dla Żdanowa, 13 grudnia 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 56, s. 256–257.

[24] Raport od Leningradzkiego NKWD dla Berii, 24 grudnia 1941 r. *Ibidem*, dok. 60, s. 264

[25] Raport NKWD dla Żdanowa, 12 stycznia 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 1, dok. 63, s. 275–276.

[26] Raport dla Żdanowa od Kubatkina z 2 czerwca 1942 r. *Ibidem*, dok. 75, s. 322.

[27] Liczba ta wynika z całej serii raportów szefa leningradzkiego NKWD Kubatkina dla Żdanowa i dla Berii. Inny raport, przygotowany przez urząd prokuratora (*Leningrad w osadie*, dok. 195), podaje liczbę 1979 aresztowanych.

[28] Raport dla Berii od Kubatkina, 3 maja 1942 r. Łomagin *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 74, s. 319. Zob. też raport prokuratora wojskowego Panfilenki dla Kuzniecowa, 21 lutego 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 180, s. 421.

[29] Raport NKWD dla Żdanowa, 2 maja 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 73, s. 316.

[30] Zob. A. Dzieniskiewicz, *Banditizm (osobaja kategorija) w blokirowannom Leningradie*, „Istorija Pietierburga" 2001, nr 1, s. 50.

[31] Raport dla Berii od Kubatkina, 24 grudnia 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 60, s. 264.

[32] Raporty dla Berii od Kubatkina, 13 marca, kwiecień i 2 lipca 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 69, 70 i 76, s. 306, 310, 325–326.

[33] Raport NKWD dla Berii i Żdanowa, 28–29 stycznia 1942 r. *Ibidem*, dok. 64 s. 282.

[34] Raport dla Berii od Kubatkina, 23 lutego 1942 r. *Ibidem*, dok. 67, s. 297.

[35] Raport NKWD dla Żdanowa, marzec 1942 r. *Ibidem*, dok. 68, s. 302.

[36] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, s. 205–206, Dzieniskiewicz, *Banditizm*, s. 50. Raport prokuratora wojskowego Panfilenki dla Kuzniecowa, 21 lutego 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 180, s. 422.

[37] Dzieniskiewicz, *Banditizm*, s. 50–51.

[38] Raporty od Kubatkina dla Berii i Mierkułowa, 10 i 23 lutego 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 65 i 67, s. 286, 292.

[39] Raport dla Żdanowa od Kubatkina, 2 czerwca 1942 r. *Ibidem*, dok. 75, s. 323. Liczba ta odbiega od innej, zawartej w raporcie prokuratorskim z 1 lipca 1943 r., według którego 1700 osób zostało skazanych za „bandytyzm specjalnej kategorii", z czego 364 osoby stracono, a wobec 1336 osób orzeczono kary więzienia (*Leningrad w osadie*, dok. 195, tabela na s. 461).

[1] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 66–67. Zob. też Gouré, *The Siege of Leningrad*, s. 190.

[2] Raport z 18 Armii do Genshtab/OKV, 7 i 19 października 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 13 i 19, s. 127, 139.

[3] „Grupy opozycyjne" miały ponoć powstawać pośród robotników lotniczych zakładów zbrojeniowych. Raporty SD, 24 października i 7 listopada 1941 r. *Ibidem*, dok. 30 i 31, s. 161, 164. O radzieckich jeńcach wojennych zob. Mawdsley, *Wojna nazistowsko-sowiecka 1941–1945*, s. 122–126.

[4] Raport SD z 18 lutego 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 39, s. 196–197.

[5] Raport NKWD dla Żdanowa, 28–29 stycznia 1942 r. *Ibidem*, dok. 64, s. 280.

[6] Zob. np. zestawienie za 1939 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 1, dok. 7, s. 14.

[7] Kniaziew, 29 listopada 1941 r., [w:] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 353.

[8] Zielenskaja, 1 września 1941 r., [w:] *„Ja nie sdiamsia do posledniego…"*, s. 20.

[9] Ostroumowa-Lebiediewa, 6 lipca 1941 r., [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 27–28.

[10] Przytoczone w raporcie NKWD dla Żdanowa z grudnia 1941 r., Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 62, s. 271.

[11] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 37 (25 grudnia 1941 r.).

[12] *Ibidem*, s. 21 (2 stycznia 1942 r.).

[13] Raporty dla Żdanowa z wydziałów organizacyjnego i instruktażowego Miejskiego Komitetu Partii, 9 i 27 stycznia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[14] Bidlack, *The Political Mood in Leningrad*, s. 110–111.

[15] Raporty NKWD dla Berii i Żdanowa, 28–29 stycznia 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 64, s. 278.

[16] Raporty dla Żdanowa z wydziałów organizacyjnego i instruktażowego Miejskiego Komitetu Partii, 14 i 27 stycznia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760. *Leningrad w osadie*, dok. 199, s. 472.

[17] Raport dla Kubatkina, 12 lutego 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 66, s. 290.

[18] Raport NKWD dla Berii i Żdanowa, 28–29 stycznia 1942 r. *Ibidem*, dok. 64, s. 278.

[19] Raport dla szefa SD od Einsatzgruppe A stacjonującej w Krasnogwardiejsku, 10 grudnia 1941 r. *Ibidem*, dok. 35, s. 179.

[20] Jerszow, s. 77. Maszynopis bez tytułu, Research Program on the USSR, Bakhmeteff Archive, Columbia University.

[21] Raport NKWD dla Żdanowa, 12 stycznia 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 63, s. 274.

[22] Raport NKWD dla Berii i Żdanowa, 28–29 stycznia 1942 r. *Ibidem*, dok. 64, s. 285

[23] Raport od Kubatkina dla Kuzniecowa, 12 grudnia 1943 r. *Ibidem*, dok. 15, s. 57–60. Zob. też Jones, *Leningrad: State of Siege*, s. 286–288. W jednym z raportów z listopada 1941 r. pojawia się wzmianka o tym, że do władz miasta przesłano listy grożące strajkami i demonstracjami, jeśli nie zostaną zwiększone racje żywnościowe. Zob. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 53, s. 243–244.

17. WIELKI DOM

[1] W przedmowie do jednego z najlepszych powojennych studiów poświęconych tej tematyce, pracy Leona Gouré, *The Siege of Leningrad*.

Gouré, podobnie jak dziennikarz BBC Aleksander Werth, urodził się w rodzinie rosyjskiej. Jego rodzice, mienszewicy, uciekli przed rewolucją październikową do Berlina, a następnie przed Trzecią Rzeszą do Paryża, a wreszcie do New Jersey, gdzie Leon wstąpił do amerykańskiej armii i po raz pierwszy w swoim życiu otrzymał obywatelstwo. Walczył w bitwie o Ardeny, a po wojnie pracował jako tłumacz sił okupacyjnych w Niemczech. Następnie zrobił karierę akademicką i naukowo-badawczą. Zmarł w 2007 r., w wieku 85 lat.

[2] R. Neratowa, cyt. za: Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad*, s. 34.

[3] Raport NKWD z 1 lipca 1943 r. stwierdza, że 80 procent wyroków skazujących wydanych do tamtego momentu za przestępstwa kontrrewolucyjne zapadło w pierwszym roku wojny. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 19, 5, s. 453.

[4] Zob. Rieznikowa (Flige), *Riepriessii w pieriod błokady Leningrada*, s. 95–97. Raporty NKWD z 6 listopada i połowy grudnia 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 51 i 58, s. 232, 259.

[5] Raport NKWD z 1 października 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 190, s. 441.

[6] Raport prokuratora wojskowego, 1 lipca 1943 r. *Ibidem*, dok. 195, s. 257–259.

[7] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 235, 295.

[8] O. Figes, *The Whisperers*, London 2007, s. 445–446.

[9] *Błokadnyj dniewnik uczitiela Winokurowa A. I.*, [w:] *Błokadnije dniewniki i dokumienty*, red. S. Berniew, S. Czernow, „Archiw Bolszogo Doma", St. Petersburg 2004, s. 236–290.

[10] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 38 (31 grudnia 1941 r.). Anna Achmatowa zamiast terminu Wielki Dom używała określenia „Królewski Dwór Krainy Czarów".

[11] Rieznikowa (Flige), *Riepriessii w pieriod błokady Leningrada*, s. 103. We wspomnieniach ocalałych znajdujemy też dowody na istnienie kanibalizmu w więzieniu Kriesty: w okolicznościowej publikacji wydanej z okazji 100. rocznicy założenia placówki jeden z tych, którzy przeżyli oblężenie, opisuje, że widział grupkę 15–20 więźniów siedzących na dziedzińcu i jedzących mięso trupa (Bidlack, *Survival Strategies*, s. 107).

[12] Raport Leningradzkiej Służby Statystycznej, 5 maja 1944 r. *Leningrad w osadie*, dok. 156, s. 349. Liczba zgonów w więzieniach powoli spadała w dalszej części 1942 r., by w styczniu 1943 r. osiągnąć kolejny szczyt na poziomie 815.

[13] Petycja z Korekcyjnych Obozów Pracy i Kolumn NKWD do Wysłannika Państwowego Komitetu Obrony, Pawłowa, 31 grudnia 1941 r. *Leningrad w osadie*, dok. 175, s. 413.

[14] Żylinski, *Blokadnyj dniewnik (osień 1941–wiesna 1942 g.)*, „Woprosy istorii" 1996, nr 5–6, s. 3–7 (16 stycznia 1942 r.).

CZEKAJĄC NA WYZWOLENIE. STYCZEŃ 1942–STYCZEŃ 1944

[1] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 8, s. 208.

18. MIASNOJ BOR

[2] Churchill, *Druga wojna światowa*, t. 3, ks. 2, Gdańsk 1995, s. 11.

[3] *Hitler's Table Talk, 1941–1944*, s. 200, 220 (12–13 i 17–18 stycznia 1941 r.).

[4] Hockenjos, 5, 14, 16 stycznia i 1 lutego 1942 r.

[5] *A Writer at War* (wrzesień 1941 r.). Merridale, *Wojna Iwana. Armia Czerwona 1939–1945*, s. 211.

[6] Pawłow, *Leningrad 1941*, s. 88.

[7] O dezercjach zob. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 11, s. 40. O kradzieżach żywności i defraudacjach w oddziałach NKWD zob. rozkazy z 1 lutego, 22 kwietnia i 16 lipca 1942 r. RGVA: Fond 32912 op. 1 d. 78, s. 10, 39, 85. Jeden z raportów, z 21 lutego, narzeka, że wiozący dostawy kierowcy zatrzymują się po drodze w wioskach i miasteczkach, gdzie „zachowują się nieodpowiednio, upijają się i zaopatrują znajome kobiety w żywność" (RGVA: Fond 32904, op. 1, d. 80, s. 8).

[8] *Dniewnik krasnoarmiejca Putiakowa S. F.*, [w:] *Błokadnyje dniewniki i dokumienty*, s. 382 (29 grudnia 1941 r.).

[9] Raport NKWD dla Żdanowa, 22 grudnia 1941 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 59, s. 261.

[10] Czurkin, http://militera.lib.ru/db/churkin (20 listopada 1941 r.).

[11] Zob. np. Skriabina, *Siege and Survival*, s. 55 (18 stycznia 1942 r.).

[12] Jerszow, maszynopis bez tytułu, Research Program on the USSR, Bakhmeteff Archive, Columbia University, s. 40–41.

[13] *Ibidem*, s. 66–67.

[14] Dyrektywa Stawki, 10 stycznia 1942 r. Glantz, *The Battle for Leningrad 1941–1944*, s. 149–150.

[15] Zob. Salisbury, *The 900 Days*, s. 544–545 – tu długa lista „zasług" Mechlisa przy zalecaniu aresztowań swoich kolegów. Według słów jednego ze współpracowników był on „człowiekiem niezwykle energicznym i pełnym wigoru, równie zdecydowanym co niekompetentnym, dysponującym rozległą, lecz powierzchowną wiedzą, a przy tym przesadnie pewnym siebie, wręcz upartym". D. Rayfield nazywa go „najmniej znanym, ale najbardziej jadowitym ze wszystkich skorpionów Stalina".

[16] *The Halder War Diary, 1939–1942*, s. 599 (5 stycznia 1942 r.).

[17] Hockenjos, 23 lutego 1942 r.

[18] *The Halder War Diary, 1932–1942*, s. 608 (2 marca 1942 r.).

[19] Hockenjos, s. 84 (13 i 16 kwietnia 1942 r.).

[20] Glantz, *The Battle for Leningrad, 1941–1944*, s. 202–203.

[21] I.I. Kalabin, [w:] *Tragiedija Miasnogo Bora: sbornik wospominanij uczastnikow i oczewidcew Lubanskoj opieracyi*, red. I.A. Iwanowa, Sankt Petersburg 2005, s. 139–140. Podobne relacje w: Glantz, *The Battle for Leningrad, 1941–1944*, s. 204.

[22] W liście do Żdanowa z 3 czerwca 1942 r. Chozin bronił się przed oskarżeniami o pijaństwo i zabawianie się z dwiema telegrafistkami. Prostował, że owe telegrafistki przychodziły do niego wyłącznie po to, by razem oglądać filmy, a co do alkoholu, to choć wypijał „100 gramów wódki przed kolacją, czasem nawet dwie lub trzy małe szklaneczki", przez całe swoje życie nigdy nie był pijany (RGASPI: Fond 77, op. 3, d. 133).

[23] Kalabin, *Tragiedija Miasnogo Bora*, s. 142.

[24] I.D. Nikonow, [w:] *ibidem*, s. 157.

[25] Pełen opis kariery Własowa można znaleźć w: C. Andrejew, *Andrej Andrejewicz Własow*, [w:] *Stalin's Generals*, red. H. Shukman, London 1993, s. 301–311.

[26] RGASPI: Fond 83, op. 1, jed. chr. 18, s. 91–104.

[27] Glantz, *The Battle for Leningrad, 1941-1944*, s. 207–208.

[28] I. Frenklach, www.iremember.ru

19. NIEŚMIAŁA RADOŚĆ ŻYCIA I ODDYCHANIA

[1] Werth, *Russia at War*, s. 399.

[2] Roberts, *Master and Commanders*, s. 271, 287.

[3] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 65–66. Norman, *The Hermitage*, s. 257–258.

[4] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 93. Inbier, *Leningrad Diary*, s. 200 (25 maja 1944 r.). Pięćdziesięcioro dwoje ludzi zmarło po zjedzeniu trujących roślin (*Leningrad w osadie*, dok. 147, s. 312).

[5] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 255.

[6] Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wremieni*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 8, s. 79 (19 maja 1942 r.).

[7] Ginzburg, *Zapiski człowieka oblężonego*, [w:] *Oblężone*, s. 193.

[8] Bergholc, *Iz dniewnikow*, „Zwiezda" 1990, nr 6, s. 154 (3 kwietnia 1942 r.).

[9] Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad, 1941–1945*, s. 52. Zob. też Moskoff, *The Bread of Affliction*, s. 203–204.

[10] Inbier uczestniczyła 7 stycznia 1942 r. w wykładzie zatytułowanym „Choroba głodu".

[11] L. Marchasiow, *Dwa Leningradzkich radio*, [w:] *Goworit Leningrad*, red. G.S. Mielnik, G.W. Żyrkow, St. Petersburg 2005, s. 96.

[12] Bergholc, *Iz dniewnikow*, „Zwiezda" 1990, nr 6, s. 163 (31 maja 1942 r.).

[13] Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 1, s. 227–228. Marchasiow, *Dwa Leningradzkich Radio*, s. 97.

[14] A. Rambov, *The Siege of Leningrad: Wartime Literature and Ideological Change*, [w:] *The People's War: Responses to World War II in the Soviet Union*, red. R. Thursto, B. Bonwetsch, Urbana 2000, s. 163–164.

[15] Bergholc, *Iz dniewnikow*, „Zwiezda" 1990, nr 6, s. 160, 164 (13 maja i 3 czerwca 1942 r.).

[16] *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg, 1910–1954*, s. 216–221.

[17] Zielenowa, *Statji, wospominanija, pišma*, s. 115.

[18] A. Achmatowa, z cyklu *Pamięci Wali*, [w:] *Drogą wszystkiej ziemi. Poezja – proza – dramat*, przeł. A. Pomorski, Warszawa 2007, s. 99–100.

[19] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 60–61, 70–71 (19 i 20 lutego, 10 i 12 marca 1942 r.).

[20] Czurkin, *Wojennaja litieratura: dniewniki i pisma*, http://militera.lib.ru/db/churkin, cz. 2, s. 9–10 (27 maja i 28 czerwca 1942 r.).

[21] Reeder, *Anna Akhmatova*, s. 277.

[22] Garszyn, *Tam gdie smiert pomogajet żyzni*, t. 46, s. 83–88. Te krótkie wspomnienia zostały spisane już w 1944 r.

[23] Raporty OSBP i Zarządu Pogrzebowego z 14 kwietnia 1942 i 5 kwietnia 1943 r. *Leningrad w osadie*, dok. 141 i 153, s. 299, 337–338.

[24] Raporty dla Żdanowa od Antiufiejewa, przewodniczącego wydziału instruktażu w Miejskim Komitecie Partii, z 17 stycznia, 28 marca i 1 kwietnia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v, d. 5760.

[25] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 73–74 (28 marca 1942 r.).

[26] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czast' 1*, s. 269.

[27] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 76–79, 84 (26–31 marca i 4 kwietnia 1942 r.).

[28] Norman, *The Hermitage*, s. 256.

[29] List do Żdanowa od generała pułkownika Kabanowa, 11 maja 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 144, s. 307. Zob. też raport z miejskiego wydziału zdrowia dla Kosygina i Popkowa z 31 marca 1942 r. *Ibidem*, dok. 139, s. 296.

[30] RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1150, protokół 57, s. 54. Łazariew, s. 211–212.

[31] Moskoff, *The Bread of Affliction*, s. 202. Bidlack, *Workers at War*, s. 28.

[32] RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1138; protokół 45, s. 13, 44; protokół 47, s. 162. RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1139; protokół 48, s. 32. RGASPI: Fond 17, opis 43, d. 1140; protokół 50, s. 1, 3, 90.

[33] Raport NKWD dla Komitetu Partii obłasti leningradzkiej. Borowicze, 19 grudnia 1942 r. TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 20, d. 52.

[34] Raporty NKWD z 5 sierpnia, 5 września i 6 października 1942 r. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 78, 79, 80, s. 328–339.

[35] Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wriemieni*, s. 87, 97–98, 102 (29 czerwca, 26 sierpnia i 21 września 1942 r.).

[36] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 110–111 (16 września 1942 r.).

[37] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czast' 2*, s. 212.

Zob. też Łazariew, s. 213–14, 216, oraz Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 119 nn.

[38] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski*, s. 280, 295 (17 kwietnia i 24 września 1942 r.).

[39] Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 256–257.

[40] Miejski wydział statystyczny, 5 października 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 148, s. 313. Bidlack, *Workers at War*, s. 27.

[41] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 101 (7 sierpnia 1942 r.).

[42] The *Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg 1910–1954*, s. 222, 225.

[43] *Leningrad w osadie*, dok. 67, s. 160–161.

[44] P. Gubczewski, [w:] Norman, *The Hermitage*, s. 257.

[45] Czekrizow, *Dniewnik błokadnego wriemieni*, s. 94–95 (10 sierpnia 1942 r.).

[46] Ginzburg, *Blockade Diary*, s. 37, 105. Raporty NKWD dla Berii i Żdanowa. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 80 i 86, ss. 336, 353.

[47] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski,* s. 286 (24 i 30 maja 1942 r.).

[48] Bergholc, *Dniewnie zwiezdy*, „Ogoniok" 15–12 maja 1990, nr 19, s. 16.

[49] Zob. np. Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 191, 28 października 1942 r. Zob. też Winokurow, [w:] *Błokadnyje dniewniki i dokumienty*, s. 266 (17 czerwca 1942 r.).

[50] Bergholc, *Zakazany dziennik*, 2 lipca 1942, [w:] *Oblężone*, s. 138–139.

[51] Łazariew, s. 218 (grudzień 1942 r.). Malszewa, 23 lipca–7 sierpnia 1942 r. RGALI: Fond 2733, opis 1, jed. chr. 872, s. 160.

[52] Łazariew, *Wospominanija o błokadzie*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 5, s. 215–216. Podobne rymowanki z tamtych czasów można znaleźć w: Mołkina, *Niemcy w kolce błokady*, s. 62–64.

[53] Bołdyriew, *Osadnaja zapiś*, s. 148, 164–165 (28 sierpnia i 22 września 1942 r.). Zupełnie przeciwne podejście do sprawy prezentowało NKWD. W raporcie do Żdanowa z 9 stycznia 1942 r. postulowało ono, by dyrekcje fabryk przestały wysyłać do wyrębu lasu najsłabszych i najmniej wykwalifikowanych robotników, gdyż nie wypełniają przewidzianych dla nich norm i tylko „siedzą bezczynnie". (TsGAIPD SPb: Fond 24, opis 2v). Inny opis werbowania pracowników do kopania torfu zob. Buszujewa, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 136–137.

20. SYMFONIA LENINGRADZKA

[1] Ośrodek Pisemnych Archiwów BBC: E1/1270 Państwa: Rosja; Materiał do wykorzystania w programach, teczka 1, 1941–1943.

[2] Rubaszkin, *Gołos Leningrada*, s. 173.

[3] Ośrodek Pisemnych Archiwów BBC: E1/1281 Państwa: Rosja; Służba rosyjska (Polityka), teczka 1, 1939–1944.

[4] *Story of a Friendship: the Letters of Dmitry Shostakovich to Isaak Glikman, 1941–1975*, London 2001, s. XXXIV.

[5] Wołkow, *St. Petersburg*, s. 429.

[6] *Ibidem*, s. 433.

[7] Bergholc, *Zakazany dziennik*, 29 marca 19421, [w:] *Oblężone*, s. 118.

[8] Werth, *Russia at War, 1941–1945*, s. 272.

[9] Ośrodek Pisemnych Archiwów BBC: R46/297: Symfonia leningradzka 1942–1944.

[10] Wołkow, *Testimony: the Memoirs of Dmitri Shostakovich*, London 1979, s. 17, 104–106.

[11] Bergholc, *Zakazany dziennik*, 7 lutego 1942, [w:] *Oblężone*, s. 104.

[12] K. Matus, [w:] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 149. Zob. też Rubaszkin, *Gołos Leningrada*, s. 163–173.

[13] H. Robinson, *Composing for Victory*, [w:] *Culture and Entertainment in Wartime Russia*, red. R. Stites, Bloomington 1995, s. 71. Wołkow, *St. Petersburg*, s. 442.

[14] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 102 (9 sierpnia 1942 r.).

[15] *Testimony*, s. 118.

[16] Czerepienina, *Assessing the Scale of Famine and Death in the Besieged City*, s. 36.

[17] S. Kotow, *Dietskije doma błokadnogo Leningrada*, St. Petersburg 2002, s. 20.

[18] G. Vishnevskaya, *Galina: a Russian Story*, New York 1984, s. 30–35. Wiszniewska została później jedną z najsłynniejszych rosyjskich śpiewaczek sopranowych. Wraz ze swoim mężem, wiolonczelistą Mścisławem Rostropowiczem, pod koniec lat sześćdziesiątych uciekła na Zachód po tym, jak oboje wypadli z łask oficjalnych czynników,

przyjaźniąc się z Sołżenicynem. Zgromadzoną przez nich kolekcję rosyjskich dzieł sztuki, zakupioną w 2007 r. przez jednego z rosyjskich magnatów stalowych, można obecnie podziwiać na wystawie w Sankt Petersburgu.

[19] Kotow, *Dietskije doma*, s. 86.

[20] Raport dla Kosygina od Miejskiego Komitetu Wykonawczego, 28 lipca 1942 r. *Leningrad w osadie*, dok. 154, s. 344. Zob. też Kotow, *Dietskije doma*, s. 149.

[21] Kotow, *Dietskije doma*, s. 78–84.

[22] W rozmowie z autorką, Wsiewołożsk, listopad 2006 r.

[23] Clapperton, *The Siege of Leningrad*, s. 393. Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 196–197.

[24] Clapperton, *The Siege of Leningrad*, s. 120.

[25] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 148–149 (28 maja 1943 r.).

[26] Moskoff, *The Bread of Affliction*, s. 201, cytuje artykuł z „The Times" z 5 stycznia 1944 r.

[27] Adamowicz, Granin, *Księga blokady*, s. 200.

[28] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czast' 1*, s. 281.

[29] *Ibidem*, *czast' 2*, s. 219 (11 maja 1943).

21. OSTATNI ROK

[1] Dyrektywa Führera nr 41, 5 kwietnia 1942 r. *Hitler's War Directives 1939–1945*, s. 116–117.

[2] Dyrektywa Führera nr 44, 21 lipca 1942, *ibidem*, s. 127. Do przemieszczenia „Ciężkiego Gustawa", mogącego wystrzelić pocisk ważący 7 ton na odległość 37 kilometrów, były potrzebne osobne dźwigi i tory, a także specjalnie do tego przystosowana ekipa 1420 osób potrafiących złożyć i rozłożyć działo (co zajmowało im do sześciu

tygodni). Choć przetransportowano go pod Leningrad, na odległość zaledwie 30 kilometrów od miasta, jeszcze przed odwołaniem operacji *Nordlicht*, ostatecznie użyty on został jedynie pod Sewastopolem, gdzie wystrzelił łącznie 48 razy. Jeden z jego pocisków można dziś oglądać w Imperialnym Muzeum Wojny w Londynie.

[3] *Hitler's Table Talk, 1941–1944*, s. 617 (6 sierpnia 1942 r.).

[4] G. Sereny, *Albert Speer: His Battle with Truth*, London 1994, s. 363.

[5] Hockenjos, 28 lutego 1943 i 31 marca 1944 r. Więcej o kobietach w Armii Czerwonej w: Merridale, *Wojna Iwana*, s. 184 nn.

[6] A. Beevor, *Stalingrad*, s. 439.

[7] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 126–127 (16 stycznia 1943 r.).

[8] Ostroumowa-Lebiediewa, *Awtobiograficzeskije zapiski* (28 stycznia 1943 r.).

[9] Łazariew, *Wospominanija o błokadie*, t. 5, s. 219 (18 stycznia 1943 r.).

[10] *Rossija i SSSR w wojnach XX wieka: potieri woorużennych sił*, red. G.F. Kriwoszejew, Moskwa 2001, s. 283. Salisbury, *The 900 Days*, s. 549.

[11] Hockenjos, 11 sierpnia 1942 r.

[12] Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, s. 82–126 (luty–maj 1943 r.).

[13] Raport wydziału obrony przeciwlotniczej, *Leningrad w osadie*, załącznik do dok. 169, s. 398.

[14] Dokładne liczby w: Glantz, *The Battle for Leningrad, 1941–1944*, s. 130.

[15] Maszkowa, *Iz błokadnych zapisiej*, s. 132 (8 sierpnia 1943 r.).

[16] Czekrizow, *Dniewnik błokadnogo wremeni*, [w:] „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt-Pietierburga", t. 8, s. 141 (18 kwietnia 1943 r.). Łącznie pracę wznowiło teraz 186 fabryk (dla porównania, przed wojną czynnych było 368). Około 80 procent

robotników fabrycznych stanowiły częściowo wykwalifikowane kobiety w wieku do 24 lat (Bidlack, *Workers at War*, s. 32–33).

[17] Czekrizow, *ibidem*, s. 145 (18 lipca 1943 r.).

[18] Rubaszkin, *Gołos Leningrada*, s. 195.

[19] Starodubcewa, *Krugoworot (wremiena i sud'by)*, maszynopis w posiadaniu rodziny pamiętnikarki, s. 550.

[20] Hockenjos, s. 45 (16 stycznia 1943 r.).

[21] Raport dowódcy organizacji partyzanckiej w obwodzie leningradzkim, M. Nikitina, dla Stalina. Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, załącznik 5, dok. 2, s. 430; Hockenjos, s. 130 (25 listopada 1943 r.).

[22] RGASPI: Fond 269, opis 1, jed. chr. 30.

[23] W. Kulik (4 grudnia 1943 r.). RGASPI: Fond 269, opis 1, jed. chr. 29.

[24] G. Buss, wzięty do niewoli 14 stycznia 1944 r. RGASPI: Fond 269, opis 1, jed. chr. 29.

[25] RGASPI: Fond 269, opis 1, jed. chr. 30.

[26] *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg 1910–1954*, s. 234.

[27] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 179–182 (15, 22, 27 i 28 stycznia 1944). Zob. też Werth, *Leningrad*, s. 187.

POKŁOSIE

[1] A. Achmatowa, *Piwnica pamięci*, [w:] *Drogą wszystkiej ziemi*, przeł. A. Pomorski, s. 73.

[2] Czurkin, *Wojennaja litieratura: dniewniki i pińma*, http://militera.lib.ru/db/churkin, s. 8–9 (4 kwietnia 1944 r.).

[3] Glantz, *The Battle for Leningrad, 1941–1944*, s. 413.

[4] Hockenjos, s. 1–2, 37 (16 stycznia i 12 marca 1944 r.).

[5] *Ibidem*, s. 24 (14 lutego 1944 r.).

[6] Grieczina, *Spasajuś spasaja: czast' 2*, s. 246.

[7] *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg 1910–1954*, s. 237–238.

[8] Koczina, *Through the Burning Steppe: a Wartime Memoir*, London 2000, s. 145. Inbier, *Leningrad Diary*, s. 178 (12 styczeń 1944 r.).

[9] L. Kopelev, *No Jail for Thought*, London 1977, s. 6, 93, 99, 101–104, 134.

[10] *Leningrad w osadie*, dok. 226, s. 562.

[11] Zob. Lichaczow, *Reflections on the Russian Soul*, s. 256; Adamovich, Granin, *A Book of the Blockade*, s. 464; a także J. Murawiowa, wywiad nr 10, BL–1-010, Uniwersytet Europejski w St. Petersburgu: projekt historii ustnej *„Błokada w sud'bach i pamiati leningradcew"*.

[12] Zielenowa, *Statji, wospominanija, pińma*, s. 142–145, 155.

[13] Zob. C. Scott-Clark, A. Levy, *Bursztynowa komnata*, Poznań, 2005.

[14] Werth, *Leningrad*, s. 188–189. Salisbury, *The 900 Days*, s. 567.

[15] Inbier, *Leningrad Diary*, s. 203 (29 maja 1944 r.).

[16] A.Z. Wakser, *Nastrojenija Leningradcew poslewojennogo wremeni 1945–1953 gody*, „Nestor", nr 1 (5), St. Petersburg 2001, s. 311.

[17] Werth, *Leningrad*, s. 125, 167. Werth odwiedził Leningrad dwukrotnie, we wrześniu 1943 i w lutym 1944 r. Więcej o pogłoskach na temat możliwego przeniesienia stolicy do Leningradu w: Salisbury, *Disturber of the Peace: Memoirs of a Foreign Correspondent*, London 1989, s. 96.

[18] Raport NKGB z 14 marca 1945, Łomagin, *Nieizwiestnaja błokada*, t. 2, dok. 17, s. 62.

[19] „Żołądki ściskał im głód, ale oni przeżyli okrutne oblężenie", „The St Petersburg Times", 27 stycznia 2004.

[20] Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad*, s. 141.

[21] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 71–74, 76.

[22] Reeder, *Anna Akhmatova*, s. 289–293.

[23] Wołkow, *St. Petersburg*, s. 450.

[24] Reeder, *Anna Akhmatova*, s. 293.

[25] Bidlack, *Ideological or Political Origins of the Leningrad Affair? A Response to David Brandenberger*, „The Russian Review", styczeń 2005, nr 64/1, s. 94.

[26] Y. Gorlizki, O. Khlevniuk, *Cold Peace: Stalin and the Soviet Ruling Circle, 1945–1953*, Oxford 2004, s. 86.

[27] W swoich wspomnieniach Chruszczow przyznaje: „mogłem podpisać wyrok skazujący. W tamtych dniach, kiedy sprawa była już zamknięta – oraz jeśli Stalin uznał to za konieczne – to właśnie on podpisywał wyroki skazujące na posiedzeniu Politbiura, a następnie puszczał je w obieg, by cała reszta także się podpisała. Składaliśmy nasze podpisy na dokumencie, nie patrząc nawet, czego on dotyczy".

[28] S. Montefiore, *Stalin*, s. 540.

[29] Barwny opis wizyty delegacji jugosłowiańskiej oraz upadku Stalina w: M. Dżilas, *Rozmowy ze Stalinem*, Warszawa 1983, s. 120–127.

[30] Wołkow, *St. Petersburg*, s. 454.

[31] G. Kostyrczenko, *Tajnaja politika Stalina*, Moskwa 2001, s. 234. Cyt. za: D. Rayfield, *Stalin and His Hangmen*, s. 245.

[32] Reeder, *Anna Akhmatova*, s. 304. *The Correspondence of Boris Pasternak and Olga Friedenberg*, s. 303–304.

[33] *The Diaries of Nikolay Punin 1904–1953*, red. S. Monasa, J. Greene Krupala, Austin 1999, s. 212–213, 219.

[34] Lichaczow, *Reflections of the Russian Soul*, s. 255.

23. OKRUCHY PAMIĘCI

[1] Fascynująca analiza kultu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej znajduje się w rozdziale 6 pracy Kirschenbaum, *The Legacy of the Siege of Leningrad 1941–1995*.

[2] Zob. np. A.J.P. Taylor, „New York Review of Books", 10 kwietnia 1969.

[3] Wołkow, *St. Petersburg*, s. XVI.

[4] Szczegóły tej nazewniczej debaty w: *ibidem*, s. 542–545.

[5] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 109.

[6] *Ibidem*, s. 206.

[7] W. Stolbowa i A. Wostrowa, rozmówczynie nr 12 i 17. Uniwersytet Europejski w St Petersburgu: projekt historii ustnej *Błokada w sud'bach i pamiati leningradcew*.

[8] *Writing the Siege of Leningrad*, s. 109. Więcej o napięciach między starymi a nowymi mieszkańcami miasta w: S. Peeling, *Dirt, disease and disorder: population re-placement in postwar Leningrad and the „danger"of social contamination*, [w:] *Warlands: Population Resettlement and State Reconstruction in Soviet Eastern Europe, 1945–1990*, red. N. Baron, P. Gatrell.

[9] M. Bergholc, komentarz do: O. Bergholc, *Błokadnyj dniewnik*, „Zwiezda", kwiecień 1991, nr 3, s. 144.

[1*] Sam Hitler zachwycił się tym systemem i planował zainstalowanie podobnych głośników w każdej ukraińskiej wiosce. Nadawano by przez nie jednak nie wiadomości, lecz „wesołą muzykę", która dawałaby Ukraińcom „mnóstwo okazji do tańca" (przyp. autora).

[2*] Tymczasem w Moskwie Aleksander Werth zauważył „pełne okrucieństwa szynki, sery i kiełbasy powycinane z kartonu i pokryte grubą warstwą kurzu" (przyp. autora).

[3*] Prywatnie był już bardziej cyniczny: „Gdyby Hitler najechał Piekło – brzmiały jego słynne słowa wypowiedziane do osobistej sekretarki jeszcze tego samego wieczoru – uczyniłbym przed Izbą Gmin co najmniej przychylną wzmiankę o Diable" (przyp. autora).

[4*] W. M. Kowalczuk i G. L. Sobielew, *Leningradski „Rekwijem": o żertwach nasielenija w Leningradie w gody wojny i błokady*, „Woprosy istorii" 1965, nr 12, s. 191. N. Czerepienina, *Assessing the Scale of Famine and Death in the Besieged City*, [w:] *Life and Death in Besieged Leningrad, 1941–1944*, red. J. Barber, A. Dzieniskiewicz, London 2005, s. 28. Zob. też: E. Martineau, *Blokada mieżdu gieroizmom i tragiedijej (k metodikie woprosa)*, „Trudy Gosudarstwiennogo Muzieja Istorii Sankt Pietierburga" 2000, nr 8, s. 253 (przyp. autora).